



# MARK CHADBOURN

## WŁADZTWO CIEMNOŚCI

Wiek złych rządów, tom II

Nadchodzi czas bohaterów

Wydawnictwo Dolnośląskie



# Spis treści

Karta tytułowa

Kroniki

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

# MARK CHADBOURN

## władztwo ciemności

(Darkest Hour)

Wiek złych rządów (tom: II)

Przełożyła: Joanna Urban



2007

# Kroniki

Wiatr hula nielitościwie po krużgankach – zdawać by się mogło, że niesie z sobą z dalekich stron owe okrzyki bólu i rozpacz, którymi rozbrzmiewa ostatnimi czasy nasz kraj. Tu, w cieniu wspaniałego sklepienia salisburskiej katedry, choć jest nas niewielu, robimy co w naszej mocy, by płomień ludzkiej wiary płonął nadal. Ostatni to przyczółek chrześcijaństwa w świecie, co stał się bezbożny, gdy bogów przybyło. Czasem nawet i moja wiara słabnie, a już ponad trzydzieści lat przynależę do tego Kościoła. Cóż, wichur porywa precz sędziwe dogmaty. Trudno ot tak wierzyć w jedną rzecz, piękną i czystą, kiedy tyle cudów i dziwów dookoła. Po co w jedną, skoro można i we wszystkie? Ale ja się staram, walczę ile sił, nie porzucam pracy duszpasterskiej, która wypełniła me dorosłe życie. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, mam po temu powody. Może Wszechmogący da mi siłę, bym mógł raz jeszcze otworzyć na niego swoje serce. Może będzie mi dane nawrócić mieszkańców tej ziemi, tak jak udało się to moim poprzednikom we wczesnym średniowieczu.

Co ciekawe, gdy jest mi naprawdę ciężko, otuchy szukam nie w teologicznych kontemplacjach, a w poczynaniach zwykłych ludzi. Myślam i jestem wówczas najchętniej przy owej piątce, którą wyznaczono na zbawców naszej rasy. Podjęli się tego zadania nie z żądzy sławy, lecz tylko po to, by służyć po stronie Dobra. Trudności i spory tylko ich scaliły, zahartowały. Są żywym przykładem tego, na co stać ludzkość.



Wszystko zaczęło się od archeologa Jacka Churchilla, dla przyjaciół Churcha – człowieka o dobrym sercu, ale ciężko doświadczonego przez los. Odkąd dwa lata wcześniej jego ukochana popełniła samobójstwo, nie mógł zaznać spokoju. Zmagał się nie tylko ze smutkiem czasu żałoby: przede wszystkim dręczyły go potężne wyrzuty sumienia. Marianna z pewnością bardzo cierpiała, zanim podjęła decyzję o odebraniu sobie życia – jakże mógł tego nie zauważyć? Czuł się przez to współwinny jej śmierci.

W tym samym czasie Ruth Gallagher, inteligentna młoda kobieta o refleksyjnym usposobieniu i skłonności do nadmiernego kontrolowania własnych emocji, pięła się po szczeblach kariery. Czuła, że działa wbrew sobie, że to pułapka, ale w zawodzie prawnika widział ją tragicznie zmarły ojciec, który dostał ataku serca na wieść, że jego brat został zamordowany.

Church i Ruth spotkali się po raz pierwszy przypadkiem pewnego mglistego lutowego poranka, na krótko przed świtem, nad Tamizą, pod londyńskim mostem Alberta, gdzie stali się mimowolnymi świadkami przerażającej zbrodni. Na ich oczach olbrzymi mężczyzna zabił niejakiego Maurice'a Gibbonsa, szeregowego urzędnika Ministerstwa Obrony. Co gorsza, w pewnym momencie rysy twarzy zabójcy rozmyły się i zaczęły zmieniać, a kształt, jaki w końcu przybrały, okazał się tak potworny, że obserwujący tę scenę stracili przytomność.

Przez następne dwa tygodnie oboje nie mogli znaleźć dla siebie miejsca. Widok odmienionej twarzy napastnika, choć

wyparty w podświadomość, nie pozwalał im normalnie funkcjonować. W końcu, by dowiedzieć się, czego tak naprawdę doświadczali, postanowili połączyć siły, a kiedy wreszcie dzięki hipnozie dotarli do ukrytych w zakamarkach własnych umysłów obrazów, okazało się, że olbrzym spod mostu przeistoczył się w demoniczne monstrum. Z początku Ruth i Churchowi trudno było w to uwierzyć, ale udało im się skontaktować z przykutym do łóżka artystą o nazwisku Kraicow, który także spotkał na swojej drodze owego potwora.

Świat zdawał się stanąć na głowie nie tylko dla tej trójki. Jeśli mieli wierzyć forum internetowym, we wszystkich zakątkach kraju odnotowywano przeróżne nadprzyrodzone zjawiska, a także niewytłumaczalne zbrodnie. Informacje te nie przedostawały się jednak do mediów, bagatelizowane bądź wyśmiewane przez cynicznych redaktorów. Wielka szkoda, że nie potrafiliśmy rozpoznać tych sygnałów moglibyśmy wówczas należycie się przygotować. Punktem przełomowym w tej pierwszej fazie nowej ery, przynajmniej dla Churcha, było ukazanie się pewnej nocy ducha jego zmarłej dziewczyny.

Wydarzenie to wstrząsnęło młodym mężczyzną do głębi. Nagle, po długich miesiącach żałoby, poczuł, że oto pojawiła się szansa, by poznać odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Wkrótce za pośrednictwem poczty elektronicznej otrzymał wiadomość od pewnej kobiety, która nie tylko twierdziła, że wie coś więcej o wydarzeniach ostatnich tygodni, ale i pytała, czy nie mówi mu coś imię Marianna. Takiego zbiegu okoliczności Church nie mógł zignorować. I oto chęć rozwiązania osobistych problemów scalała się w jedno z pragnieniem rozwiązania zagadki tajemniczych zjawisk.

Umówiwszy się z nieznajomą w Bristolu, opuścili z Ruth

Londyn, ale już na pierwszym przystanku poza granicami miasta wystąpiły przeciwko nim siły ciemności – prawniczkę próbował uprowadzić kolejny stwór o zmieniających się rysach twarzy. Churchowi udało się ją odbić tylko dzięki pomocy podstarzałego hipisa o imieniu Tom. Stało się jasne, że ktoś dybie na ich życie, choć nadal nie wiedzieli, kogo – bądź czego – się bać.

Podejrzewali, że Tom coś wie, ale nie był to człowiek skory dzielić się sekretami. W dalszą drogę wyruszyli już w trójkę. Nowy towarzysz podróży nie należał do piątki wybrańców, ale w zbliżających się epokowych wydarzeniach odegrać miał równie kluczową rolę.

Po zapadnięciu zmroku przeciwnik ponowił próbę, byle tylko nie doprowadzić do spotkania całej drużyny. Gdy jechali na zachód, zaatakowała ich z powietrza plująca ogniem Bestia o pokrytym lśniącymi łuskami cielsku. Na autostradzie wybuchł pożar, zginęło wiele osób. Była to pierwsza z wielkich rzezi nowej ery. Święty Jerzy nie przybył zgładzić smoka, nie pozostawało więc nic innego, jak ucieczka.

Kierowany doświadczeniem Tom zabrał ich do Stonehenge, którego moc, jak się okazało, chroni przed podobnymi atakami. Tam właśnie, wśród kamiennych monolitów, Church i Ruth zostali wtajemniczeni w sekrety energetycznego krwiobiegu ziemi. Tom wytłumaczył im, że świat się zmienia i owa ziemska krew, błękitny ogień, uaktywnia się powoli po stuleciach uśpienia. Ogień ten miał wielką moc: leczył, odmładzał i stanowił źródło wszelkiej magii. Całą planetę znaczyły wrzące nim linie, czego dowodem były święte dla ludzkości budowle wznoszone przed wiekami w miejscach, w których buchał najsilniej. Znane z legend Bestie byty symbolami a zarazem strażnikami tej cudownej substancji. Niestety, nad latającym jaszczurem, który

chciał zabić wędrowców na autostradzie, zyskały niedawno kontrolę siły ciemności. Church i Ruth dopiero zaczynali rozumieć mechanizmy rządzące ziemską energią, nie podejrzewali jednak, że łączy się z nią także duchowa wspólnota Braci i Sióstr Smoków, do której obydwójce należeli.

Tej nocy dowiedzieli się wiele. Tom uświadomił im, że historia zatoczyła koło i wkrótce mroczne mity ponownie staną się rzeczywistością. Na ziemię powróciła pradawna zła rasa, która w dawnych czasach siała postrach i zniszczenie.

Zasnęli wśród głazów, ale Churcha coś obudziło. W cieniu, poza kręgiem, dostrzegł zjawę Marianny. W jej wyglądzie było coś przerażającego. Mara nie odezwała się ani słowem i szybko wycofała, pozostawiła jednak za sobą tajemniczy podarek: czarną różę, która kazała zwać się z gaelicka *Roisin Dubh*. Mężczyzna postanowił zatrzymać kwiat na pamiątkę, co miało okazać się oplakane w skutkach.

Obawiając się kolejnych ataków, wędrowcy zmienili plany i poprosili poznaną przez Internet kobietę, Laurę DuSantiago, o wyjechanie im naprzeciw i spotkanie w miejscu, w którym sam teraz przebywam. W Salisbury. Tymczasem siły ciemności nie próżnowały. W krużgankach naszej katedry Church stanął oko w oko z demonicznym kruczoczarnym brytanem znanym jako Czarny Kieł, zwiastującym rychłe nadejście legendarnych Dzikich Zastępów. W tym samym czasie spacerująca po mieście Ruth trzykrotnie napotkała tę samą tajemniczą istotę, która za każdym razem objawiała jej się w innym wcieleniu – wpierw staruszki, później kobiety w średnim wieku, a na koniec młodej dziewczyny. Każdy folklorysta rozpoznałby zapewne, że ma do czynienia z trzema pogańskimi archetypami – wiedźmy, matki i dziewicy – ale Ruth nie zdawała sobie sprawy, że dogania ją jej



własne przeznaczenie. Wieczorem wędrowcy poznali w pubie nieszkodliwego z pozoru gawędziarza Callowa i nieroztropnie podzielili się z nim swoją wiedzą. Za tę niedyskrecję jedno z piątki miało później zapłacić własną krwią.

Następnego dnia dołączyła do nich Laura, jak się później okazało, trzecia z piątki. Życie nie obeszło się z nią łaskawie, jej szalona matka, maskująca manię religijną chorobę psychiczną, okaleczyła dziewczynę psychicznie i fizycznie, a później zginęła w tajemniczych okolicznościach. Laura wierzyła, że to ona sama zabiła rodzicielkę. Mimo wszystko pozostała osobą o wielkiej energii życiowej, a doświadczenia dzieciństwa bardzo ją zahartowały.

Laura zaprowadziła swoich nowych znajomych na tereny fabryczne pod miastem, gdzie przeżyła niedawno coś niezwykłego. Było to jedno z płynnych przejść między światami, które otworzyło nastanie nowej ery. Church i Laura przedostali się przez nie do Strażnicy, tajemniczego, wiszącego w pustce labiryntu, Ruth i Tom musieli tymczasem zmierzyć się z atakiem zmiennokształtnych potworów.

Churchowi było dane zobaczyć w Strażnicy sceny z własnej przeszłości i przyszłości, w tym własną śmierć i wizję płonącego miasta. Na koniec spotkał piękną kobietę, która nawiedzała go w snach od wczesnego dzieciństwa. Niewiasta nie zdradziła mu swojego imienia, ale wyjaśniła część zagadek ściśle powiązanych z losem mężczyzny. Była to zadziwiająca opowieść o dwóch potężnych mitycznych rasach, które po raz pierwszy przybyły na ziemię w zamierzchłej przeszłości. Istoty te obdarzone były mocami przeczącymi wszelkim znanym ludzkości zasadom fizyki i logiki. Churchowi to wszystko nie mieściło się w głowie, ale wiemy teraz aż za dobrze, że kobieta nie kłamała – tudzież słono

płacimy za naszą ignorancję.

Obie te rasy znali Celtowie. Pierwszą zwali Tuatha Dé Danann lub Złotym Ludem, drugą Fomorianami, złowrogimi Nocnymi Wędrowcami. Przerażonym ludziom zdawały się równe bogom. Przez lata toczyły ze sobą krwawe boje, by po ostatecznym starciu, w którym pokonano Fomorian, wycofać się wraz z wszystkimi innymi baśniowymi istotami do swojej ojczyzny zwanej przez Celtów Tír na nÓg. Granice między światami zostały ponoć wówczas zamknięte, a od tych, którym mimo wszystko udało się przez nie prześlizgnąć, pochodzą ludzkie podania o wrózkach i czarodziejach. Jakże dalekie od prawdy są te legendy! W rzeczywistości istoty te są tak bardzo od nas odmienne, że nie potrafimy nawet poznać ich prawdziwej postaci, oblekamy je tylko w zrozumiałe nam formy, by od nadmiaru wrażeń nie postradać zmysłów. W ojczyźnie obu ras wszystko nie tyle nie rządzi się naszymi prawami, co żadnym prawom nie podlega. Wszystko jest tam niestale: krajobraz, przedmioty, czas, a nawet, rzekłbym, zasady moralne. Istoty te przewyższają nas tak dalece, że mają nas za prymitywne organizmy w rodzaju bakterii. Czy na tym właśnie polega bycie bogiem? Cóż, wielu roztrząsało tę kwestię, ja sam wolę się tu uciec do dogmatów swej wiary, ponieważ nie potrafię uznać władzy, której obca jest etyka. Wiedza o tym, co jest dobre, a co złe, to podstawa wszystkiego. Nigdy, przenigdy od tego nie odstąpię.

Ale odszedłem od tematu. Church dowiedział się w Strażnicy, że Fomorianie powrócili na ziemię, zerwawszy postanowienia starego paktu. Tuatha Dé Danann, jedyni godni ich przeciwnicy, zostali rozproszeni przez potężne zaklęcie – Urok Życzeń. Ostała się ich tylko garstka – inni byli więzieni lub pod wpływem mocy

Fomorian przeszli na stronę wroga. Do Churcha i pozostałej czwórki należało odnalezienie czterech insygniów Złotego Ludu, by użyć ich do przywołania wszystkich przedstawicieli tej rasy. Dla ludzkich zmysłów przedmioty te były kamieniem, mieczem, włócznią i kotłem. Bracia i Siostry Smoków musieli wywiązać się z zadania przed celtyckim świętem Beltane, obchodzonym pierwszego dnia maja, inaczej Tuatha Dé Danann na zawsze pozostałoby na wygnaniu. Church niechętnie zgodził się dźwigać to brzmie.

Oboje z Laurą powrócili na ziemię. Ruth wymknęła się w międzyczasie Fomorianom, ale Tom zaginął bez wieści. Chcąc nie chcąc, trójka wędrowców wyruszyła w dalszą podróż. Kierowali się wskazówkami kolejnego magicznego artefaktu: Latarni Drogi, w której płonął błękitny ogień. Płomień latarni wskazywał, dokąd powinni się udać, by odnaleźć poszczególne insygnia.

Pierwszym celem podróży okazała się wioska Avebury, słynąca na całą Anglię z imponującego kamiennego kręgu. Spotkali tam niejakiego Strażnika Kości. Ten nieco dziwaczny mężczyzna uważał się za opiekuna pradawnych miejsc kultu przechowującego dla przyszłych pokoleń wiedzę sprzed wieków. Niegdyś jemu podobni nauczali w świętych gajach, ale inwazja Rzymian na Wielką Brytanię zmusiła ich do zejścia do podziemia. Strażnik Kości pokazał trójce przybyszów sekretne wejście do leżących pod kręgiem magicznych grot, gdzie najsilniejszego ze wszystkich źródeł błękitnego ognia strzeże najstarsza z latających Bestii. Laurze udało się wynieść stamtąd pierwsze z insygniów, znane w mitologii celtyckiej jako kamień Fal. Ku wielkiej konsternacji Churcha, kamień krzyknął, gdy mężczyzna go dotknął – według legendy reagował krzykiem na dotknięcie prawowitego władcy tego kraju.

Mniej więcej w tym samym czasie, choć zaślepieni własną arogancją tak bardzo wierzyliśmy w trwałość znanego nam porządku rzeczy, otrzymaliśmy kolejną zapowiedź tego, że dni naszej cywilizacji są policzone – wszelkie elektryczne bądź elektroniczne urządzenia coraz częściej odmawiały posłuszeństwa bez żadnej wyraźnej po temu przyczyny. W otaczającym nas świecie zachodziły wielkie zmiany. Na niczym nie można już było polegać.

I tak, wkrótce po opuszczeniu Avebury, trójce wędrowców zepsuł się ni stąd ni zowąd samochód, nocowali więc pod namiotami gdzieś pod Bristollem. Zbierając chrust, Church natknął się tam na niezwykłą dziewczynkę, która nie tylko miała na imię Marianna, ale i przypominała zmarłą ukochaną wyjątkowo pogodnym i życzliwym usposobieniem. Mała nieznajoma podarowała mu medalion ze zdjęciem księżnej Diany, uwielbianej przez nią za działalność charytatywną.

Ruth także kogoś spotkała, a zdarzenie to odmieniło jej życie. W środku nocy, w głębi ciemnego lasu, ponownie stanęła twarzą w twarz z boginią o trzech wcieleniach, która zwróciła się do niej o pomoc i podarowała jej zaczarowaną sowę, która była czymś więcej niż zwykłym ptakiem.

Church zamierzał następnego dnia oddać dziewczynce medalion, ale okazało się, że Marianna jest umierająca. Od trzech lat żyła ze skrzepem w mózgu, który odkleił się wreszcie i spowodował wylew. Małą czym prędzej odwieziono do Bristolu. Niestety, podczas operacji technologia zawiodła po raz kolejny i budynek szpitala zniemacka pogrążył się w ciemnościach. Była noc, za oknami szalała burza. W szpitalu zapanował kompletny chaos. Church stracił na moment przytomność, a gdy ją odzyskał, jego uwagę przyciągnęły zagadkowe błyski jasnego światła. To

właśnie idąc ich śladem, odnalazł Mariannę. Dziewczynka była martwa, ale tuż przed śmiercią odkryła w sobie cudowną moc i zdołała wyleczyć wszystkich pacjentów chorujących na raka. Był to dowód, że choć dobrodziejstwa cywilizacji powoli odchodziły w przeszłość, w nowym świecie miało się znaleźć i miejsce dla cudów.

Latarnia Drogi nakazała drużynie udać się na południe. Po drodze przeżyli mrozącą krew w żyłach noc w przydrożnym motelu, gdzie dopadł ich niesławny Czarny Kieł. Świt odstraszył bestię, ale jej pojawienie się oznaczało, że przeciwnicy depczą im po piętach. Kolejnym przystankiem w podróży męskiej trójki był pobyt w oddalonej od siedzib ludzkich gospodzie na wrzosowiskach Dartmoor, gdzie wędrowcy zdołali się nieco odprężyć i lepiej poznać. Nie dany był im jednak dłuższy wypoczynek – jeszcze tej nocy zaatakowały ich Dzikie Zastępy pod wodzą Króla Olch. Gdy przed budynkiem trwała rzeź klientów gospody, zdesperowani przyjaciele postanowili się rozłączyć, licząc na to, że jedno z nich odciągnie uwagę napastników, co pozwoli pozostałej dwójce ująć z życiem. Ruth i Laura odjechały samochodem na wschód, zaś Church ruszył przez wrzosowisko na motorze.

Na opustoszałej drodze kobiety napotkały czwartego z wybrańców, młodego, biseksualnego Azjatę o imieniu Shavi. Był to urodziwy mężczyzna, rozważny i mądry, o ujmującym sposobie bycia. Wielu mogłoby stawiać go sobie za wzór. Podobnie jak pozostała czwórka przeżył wielką tragedię – pewnej nocy na londyńskiej ulicy nieznany sprawca zamordował przy nim jego chłopaka. Odkąd świat zaczął się zmieniać, Shavi odkrył w sobie niezwykle zdolności godne prawdziwego szamana.

Ledwie zdążyli się sobie przedstawić, gdy na horyzoncie pojawiły się Dzikie Zastępy i musieli uciekać. Szaleńczą pogoń przerwał dopiero wschód słońca, ponieważ z nieznanых powodów żołnierze Króla Olch unikali światła. Na szczęście blisko już było do Glastonbury, miejsca ważnego jak widać nie tylko dla chrześcijan, ale także dla wyznawców błękitnego ognia – kto wie, może pierwotnie z tego samego powodu. Tu byli bezpieczni. Cudowna moc ziemi nie pozwalała Fomorianom przekroczyć granic miasta.

Zmiennokształtni przekształcili jedną z kopalni pod Dartmoor w podziemną warownię. Wpadłszy do opuszczonego kopalnianego szybu, których na wrzosowiskach tak wiele, Church ocknął się skuty łańcuchami w niewoli u wroga. W celi poznał piątego członka drużyny, Ryana Veitcha, muskularnego chuligana z południowego Londynu, którego życie zmusiło od wczesnego dzieciństwa do łamania prawa. Mężczyznę od lat nawiedzały dziwne wizje, w męczących snach widział wciąż te same miejsca i istoty. Całe ciało miał wytatuowane zapamiętanymi przez siebie obrazami. Ale to nie koszmary dręczyły go najbardziej, a wyrzuty sumienia – kilka lat wcześniej w trakcie napadu na bank przypadkowo zabił niewinnego człowieka. Jak się później okazało, był to stryj Ruth Gallagher, co znacznie ochłodziło stosunki między nią a Veitchem.

Obaj mężczyźni byli torturowani przez sadystycznego mieszkańca Calatina, przywódcę głównego odłamu Fomorian. Plemię to rządziło wszystkimi pozostałymi, odkąd w zamierzonych czasach zginął władca a zarazem stwórca tej rasy, jednooki bóg śmierci zwany przez Celtów Balorem. Był on istnym wcieleniem mroku, ucieleśnieniem zła. Słów brakuje, by opisać potworność tego demona.

Wśród Fomorian trwała walka o władzę. Nie wszyscy uznawali Calatina za swego pana – pewne plemię odłączyło się od reszty pod wodzą czarnoksiężnika Mollehta. W istocie ścigały więc drużynę dwie konkurujące z sobą siły, ponieważ dopadnięcie piątki wybrańców i przechwycenie insygniów było niezbędne do zyskania przewagi nad przeciwnikiem.

Do sąsiedniej celi trafił wkrótce Tom, przetrzymywany przez Fomorian od czasu swojego zniknięcia w Salisbury. Całej trójce udało się zbiec dzięki pomocy kobiety ze Strażnicy.

Tymczasem w Glastonbury Ruth, Laura i Shavi szukali drugiego z insygniów, odkrywając kolejne kawałki łamigłówek. Wtedy to właśnie przecięły się nasze ścieżki. Poznałem się na tej trójce natychmiast i chętnie wyjawilem im tajemnicę przekazywaną sobie od pokoleń przez miejscowych mnichów, a mianowicie to, gdzie schowany jest magiczny kocioł, który znałem pod nazwą świętego Graala. To krótkie spotkanie odmieniło moje życie i pozwoliło się przygotować na nadchodzące ciężkie czasy. Wiedziałem, że ci młodzi ludzie są wyjątkowi, że być może są naszą jedyną nadzieją. Modliłem się o powodzenie ich misji.

Podczas noclegu gdzieś w Kornwalii Churchowi po raz kolejny ukazała się zjawa Marianny, co pozwoliło mężczyźnie uzmysłwić sobie, że jego ukochana wcale nie popełniła samobójstwa, a została zamordowana. Zmieniło to bardzo jego nastawienie do świata. Następnego dnia wraz z Veitchem i Tomem dotarł do Tintagel, jednej z legendarnych siedzib króla Artura. Tom wyznał tam swoim towarzyszom, że Artur tak naprawdę nie był człowiekiem, ale symbolem siły błękitnego ognia – Ducha Pendragona, więzi łączącej Braci i Siostry Smoków. Wszystkie mity i legendy zawierają ziarno prawdy, to

zakodowana historia pierwszych dni ludzkości, zaś klucz do tego szyfru kryje się często w otaczającym nas krajobrazie.

Nieopodal Tintagel udało im się znaleźć trzecie z insygniów, miecz, gdy jednak dostali go w swoje ręce, wróg znów zaatakował. Tym razem był to Mollecht ze swoją świtą. Kontakty z czarną magią zmieniły tę istotę w snop energii, który nie rozpraszał się w czarodziejski sposób tylko dzięki temu, że bezustannie krążyło wokół niego zwarte kłębowisko wron. Trzej mężczyźni zostali odcięci przez napastników na skalistym półwyspie i nie mając innego wyjścia, skoczyli z klifu do morza.

Gdyby nie Tom, niechybnie by zginęli. Tajemniczy włóczęga nadal skrywał przed drużyną wiele swoich sekretów – teraz dzięki jego niezwykłym zdolnościom zmartwychwstali z fal. Po raz pierwszy w nowej erze, lecz nie po raz ostatni, zmarli powrócili do świata żywych. Wydarzenie to z pewnością przyczyniło się do tego, że gdy historia wybrańców zrobiła się powszechnie znana, wielu bez oporów uwierzyło w cudowność całej piątki.

Jak udało się Tomowi uratować siebie i kompanów? Jego towarzysze podróży zdawali sobie sprawę z tego, że wie bardzo wiele, ale nawet nie podejrzewali, że opanował sztukę kontrolowania błękitnego ognia. Gdy lecieli bezwładnie ku wzburzonym falom, zdołał przenieść ich siłami własnego umysłu wzdłuż jednej z linii ziemskiej energii do innego silnego jej skupiska.

Traf chciał, że zmaterializowali się właśnie w Glastonbury, niemalże na oczach Ruth, Laury i Shaviego, szykujących się akurat do zdobycia trzeciego z insygniów. Jakież było zdumienie tych trojga, gdy uświadomili sobie, że choć znajdują się w głębi lądu, mężczyźni duszą się, bo ich płuca wypełnia morska woda.



Tak oto po raz pierwszy spotkali się wszyscy członkowie drużyny. Nie mając ani chwili do stracenia, czym prędzej odprawili skomplikowany rytuał, który otworzył przed nimi wejście do wnętrza wzgórza. To tam, wedle moich słów, krył się Graal. Pagórek okazał się łącznikiem między dwoma światami i wędrowcy znaleźli się w Tír na nÓg – Krainie Wiecznego Lata, ojczyźnie bogów. Magiczne naczynie czekał w głębi świątyni, strzeżone przez niesamowity labirynt luster. W zwierciadłach pojawiały się najgorsze wspomnienia śmiałków, a ich własne odbicia próbowały ich złamać okrutnymi uwagami. Churchowi udało się przewyciężyć słabości i dotrzeć do kotła. Żałuję bardzo, że nie było mnie z nimi, gdy powrócili z Graalem do Glastonbury. Zobaczyłbym ów symbol Bożej miłości i siły, który po wiekach powrócił nareszcie na ziemię. Wiem, że pochodzi z czasów przedchrześcijańskich, co zadaje kłam podaniom z apokryfów, niemniej, moim zdaniem, coś równie cudownego mogło być stworzone wyłącznie przez Boga.

Cóż, piątka wybrańców nie zaprzętała sobie głowy podobnymi rozważaniami – dla nich kocioł był „jedynie” narzędziem niezbędnym do ocalenia naszego świata. Z Glastonbury udali się na południe Walii, by odnaleźć ostatnie z insygniów, włącznie Lughy. Jej drzewce ukryte było w gaju okaleczonych głów na wyspie Caldey nieopodal miejscowości letniskowej Tenby, grot zaś pod zamkiem Manorbier na pobliskim cyplu. Zdawać by się mogło, że po wykonaniu tego zadania misja drużyny dobiegła końca, Formorianie nie podzielali jednak tego zdania.

Tej nocy śmiałkowie musieli stoczyć prawdziwą bitwę z Dzikimi Zastępami. Mimo przewagi straszliwych nadprzyrodzonych mocy, jakich przeciwko nim użyto, walczyli dzielnie. W końcu, w akcie największego poświęcenia, Ruth

wbiła włócznię Lugha w pierś Króla Olch. Tak złączeni oboje przepadli w mroku i pozostali wybrańcy uznali, że kobieta nie wyjdzie z tego cała. Tymczasem przeżyła, a w dodatku stała się świadkiem zadziwiającej przemiany przywódcy Zastępów. Zrzuciwszy skórę potwora, okazał się być jednym z ważniejszych Tuatha Dé Danann, uważanym dawniej przez ludzi za bóstwo związane z przyrodą. Celtowie czcili go jako Cernunnosa, wzorowano na jego postaci także wiele innych mitologicznych istot. Od stuleci był marionetką w rękach Fomorian, teraz włócznia Lugha uwolniła go spod działania ich czaru. W podzięce obiecał Ruth, że ta może zawsze liczyć na jego pomoc i na znak tak zawartego paktu wypalił na dłoni kobiety swój symbol.

Dzika Pogoń odstąpiła od walki i pięć kompanów wydawało się, że będą mogli bez przeszkód kontynuować swoją misję. Mylili się jednak, już nazajutrz rano osamotnioną Laureę zaatakował Callow, człowiek, któremu zwierzyli się ze swoich sekretów w Salisbury. Od czasu ich ostatniego spotkania, dobrowolnie przeszedł na stronę Fomorian, gotowy zdradzić całą swoją rasę. Potwornie okaleczywszy dziewczynę brzytwą, nikczemnik zbiegł z kompletem insygniów.

Ze wszystkich postaci, które odegrały jakąś rolę w opisywanej tu przeze mnie historii, to właśnie Callow najbardziej mnie intryguje. Nieraz zachodzę w głowę, czym się kierował, bratając się z tą jakże obcą nam rasą, tak wszechpotężną, że w każdej chwili mógł zginąć z rąk jej przedstawicieli. Nie przeczę, życie go nie rozpieszczało, ale czy usprawiedliwiało to chęć zyskania korzyści dla samego siebie kosztem dobra wszystkich pozostałych mieszkańców Ziemi? Sądzę, że Callow jest poniekąd zaprzeczeniem tego, czym są Bracia i Siostry Smoków. Tamci w

obliczu niebezpieczeństwa z łatwością wyrzekli się egoizmu, Callow z kolei zaczął myśleć wyłącznie o sobie. Oto najlepszy i najgorszy przykład na to, do czego zdolni są ludzie.

Laura walczyła o życie, ale nie było jej dane trafić na dłużej pod opiekę lekarzy. Jej towarzysze nie mieli wyboru – musieli ruszyć w pogoń za złodziejem. Po przemierzeniu wielu kilometrów, postanowili zacząć się na niego w Krainie Jezior na północy Anglii. To tam właśnie doszło do pierwszej z Wielkich Zdrad. Ku zaskoczeniu wszystkich szpiegiem Fomorian okazał się Tom, choć trzeba przyznać, że nie do końca ponosił odpowiedzialność za swoje haniebne czyny. W niewoli wszczepiono mu w czaszkę zmiennokształtne stworzenie zwane Caraprixem. Te obrzydliwe pasożyty znamy teraz aż za dobrze – wysługują się nimi zarówno Fomorianie, jak i Złoty Lud. Caraprix Toma, wczepiwszy się w jego mózg, przejął kontrolę nad poczynaniami mężczyzny, zmuszając go do wydania swoich towarzyszy Calatinowi. Tylko Ruth wymknęła się z zasadzki. Na szczęście wkrótce napotkała pewną kobietę, która znała magiczne praktyki sprzed wieków. Z jej pomocą odkryła w sobie wielką moc, jaką potrafi dawać wybranym bogini o trzech wcieleniach. Już w kilka godzin później mogła po raz kolejny udowodnić, na co ją stać. Gdy oddziały Calatina zmuszone zostały bronić siebie i swych zdobyczy przed atakiem Mollechta, Ruth udało się uwolnić przyjaciół z niewoli. Cała piątka wraz z odzyskanymi insygniami wyruszyła do Szkocji.

Nie był to jednak koniec kłopotów. Tylko Tom wiedział, jak użyć insygniów do przywołania Złotego Ludu, ale nadal po części pozostawał we władaniu Caraprixa. Na dodatek z Laurą było coraz gorzej. W rezultacie Tom postanowił użyć resztek swojej wolnej woli, aby znaleźć kolejny punkt łączący dwa światy i

przeprowadzić kompanów do Tír na nÓg. Spotkali tam Ogme, strażnika wiedzy, jednego z nielicznych Tuatha Dé Danann, którzy pozostawali na wolności. Uczył się on niegdyś sztuki uzdrawiania u samego boga medycyny, którego Celtowie znali pod imieniem Dian Cechta. Korzystając ze swoich umiejętności, Ogma wyleczył Laurę i usunął Caraprix z głowy Toma.

To u niego w gościnie członkowie drużyny dowiedzieli się, do czego dążą Fomorianie – okrutna rasa chciała wskrzesić swojego stwórcę Balora, co oznaczałoby koniec panowania ludzi na ziemi. Kolejną niespodzianką było poznanie prawdziwej tożsamości Toma. Tak naprawdę nazywał się Thomas Learmont i był tą samą osobą, która przeszła do legendy jako Tomasz Rymopis. Według podań z trzynastego wieku, ten szkocki szlachcic trafił przypadkowo do podziemnej baśniowej krainy, gdzie królowa wróżek obdarzyła go magicznymi zdolnościami. Cóż, rzeczywistość nie wyglądała tak różowo. Tom wprawdzie poznał wiele tajemnic Tuatha Dé Danann, ale i wiele z ich rąk wycierpiał. Potężni i wszechmocni, z trudem zauważali, że komuś tak marnemu jak człowiek byle czym potrafią sprawić ból. Wszystkie te doświadczenia zmieniły Toma fizycznie i psychicznie. Umiał odtąd przepowiadać przyszłość, a ponowne wizyty w innym wymiarze przedłużyły mu znacznie życie.

Pobyty w Tír na nÓg pozwolił piątce wybrańców zregenerować siły, zaś Church i Laura znaleźli wreszcie trochę czasu na to, by wyznać sobie, co do siebie czują. Powróciwszy na ziemię, drużyna udała się do zamku Dunvegan na wyspie Skye, jedyne miejsce, gdzie można było dokonać rytuału wezwania Złotego Ludu. Czas w ojczyźnie bogów biegł inaczej niż w naszym świecie i do końca święta Beltane pozostało wybrańcom jeszcze tylko kilka godzin.

Po drodze natrafili na przerażające znalezisko – przesiąknięte krwią pole pokryte zmasakrowanymi zwłokami brytyjskich żołnierzy, pozostałość po bitwie z Fomorianami, która przerodziła się w średniowieczną rzeź. Zmiennokształtni wybili też wszystkich mieszkańców portowego miasteczka, z którego piątka wędrowców zamierzała przeprowić się na wyspę, ledyny most zastali zniszczony, a promy, jak i całą osadę, w płomieniach. Niezmierzone szeregi Fomorian czekały na wybrzeżu Skye gotowe do walki.

Braciom i Siostram Smoków nie pozostawało nic innego, jak okrążyć wyspę łódką i dobić do jej brzegów od północnego zachodu. Wód cieśniny strzegł wprawdzie straszliwy wąż morski, ale Shaviemu udało się ujarzmić monstrum telepatycznie dzięki szamańskim zdolnościom. Niestety próba ta kosztowała go zbyt wiele i nie był w stanie dojść po niej do siebie.

Pozostawiwszy nieprzytomnego kompana w łodzi, Ruth i Laura podążyły za Tomem do zamku wezwać Tuatha Dé Danann. Church i Veitch mieli tymczasem trzymać straż przy Moście Wrózek, kolejnym przejściu pomiędzy światami, by spróbować opóźnić pochód Fomorian. Żadne z piątki nie zdawało sobie jednak sprawy, jak przebiegli byli ich przeciwnicy. Już dawno zastawili sidła na Churcha. Przy pomocy więzionej i dręczonej przez siebie duszy zmarłej Marianny, starali się manipulować nic nie podejrzewającym mężczyzną. *Roisin Dubh*, róża ofiarowana mu przez ukochaną, była tak naprawdę pułapką zastawioną przez wroga – Pocałunkiem Mrozu, powoli zniewalającym obdarowanego.

Zgodnie z przepowiednią Strażnicy, Church został zabity na moście przez Calatina. W tym nowym, strasznym świecie śmierć nie jest jednak czymś ostatecznym. Gdy Fomorianie zostali

przepędzeni przez przywołanych z powodzeniem Tuatha Dé Danann, do ust zmarłego przystawiono kocioł Dagdy, cudowny Graal. Płynąca z naczynia potężna moc wróciła mężczyźnie życie. Celowo unikam tu słowa „zmartwychwstanie”, choć nie wiem, jak wydarzenie to będzie odczytane przez potomnych. Church powrócił z zaświatów odmieniony – z jednej strony wzmocnił go kontakt z Graalem, z drugiej naznaczyło przywiązanie do zdradliwej róży. Walczyły w nim siły światła i ciemności.

Aż do tej pory członkowie drużyny wierzyli głęboko, że po powrocie Tuatha Dé Danann ludzie będą bezpieczni, jakże więc wielkim szokiem musiała być dla nich reakcja uwolnionych! Złoty Lud odmówił im swojego wsparcia, ujawniając, że ma wobec ziemi inne plany. Rasa bogów wysłuchałaby może nawet Braci i Sióstr Smoków, gdyby Church nie okazał słabości, padając ofiarą podstępny Fomorian. Wybrańcom trudno było uwierzyć, że ci, na których tak liczyli, są równie amoralni i obojętni na ich los co Nocni Wędrowcy. Co gorsza, Tuatha Dé Danann przyznali również, że od dawna w tajemnicy manipulowali losami całej piątki. Aby wskrzesić Duch Pendragona i pomóc uwięzionej rasie, każdy z wybrańców musiał wpierw kogoś zabić bądź przeżyć śmierć kogoś bliskiego, Złoty Lud nasłał więc morderców na matkę Laury, na Mariannę i na chłopaka Shaviego. To za ich zasługą Veitch stracił panowanie nad sobą i zastrzelił stryja Ruth, co wywołało u jej ojca atak serca. Wspomnienia tych tragicznych wydarzeń miały dręczyć piątkę do końca życia, a wszystko to przez kaprys obcej, bezdusznej rasy! Rewelacja ta niemal doprowadziła do rozbicia drużyny. To, że przetrwali, jest świadectwem ich wielkiej siły, a dla mnie źródłem pociechy w tych ciężkich czasach.

Tuatha Dé Danann odeszli wolni, nie skrępowani przez żadne

z ziemskich praw, gotowi dręczyć i zabijać każdego, kto stanąłby na ich drodze. Piątka towarzyszy pogrążyła się w rozpacz, obawiając się, że oto przyczynili się do tego, czemu chcieli zapobiec – do upadku znanej nam cywilizacji.

Ale życie toczy się nadal, a nadzieja nie gaśnie – ani my, ani wybrańcy jeszcze się nie poddali. Ciężkie przeżycia zbliżyły ich do siebie, zahartowały. W swej człowieczej kruchości szukają siły.

Nie zniechęcił ich nawet komunikat radiowy, ogłaszający wprowadzenie stanu wojennego – tak właśnie władze przyznawały się nareszcie, choć nie wprost, do własnej bezsilności. Rzecz jasna, rząd od dawna wiedział, co się święci, a w każdym razie wiedział na tyle dużo, by uznać, że niezbędne jest kontrolowanie mediów. Aż do ostatniej chwili, najgorszej z możliwych, obywateli trzymano w niewiedzy.

Po raz kolejny zbaczam z tematu. Moja opowieść dotyczy wszystkiego tego, co dobre i cenne w ludzkiej naturze, a nie żołnierzy czy polityków. To opowieść o wierze i nadziei, o poszukiwaniu sensu w świecie, w którym rządzą ciemności. Być może wskaże kiedyś komuś właściwą drogę. Ot, nowa legenda na nowe czasy.

Jeszcze nie tak dawno nie było dla nas nic bardziej naturalnego niż rozświetlona żarówka na każde zawołanie! Teraz zbyt dużo piszę przy migoczącym świetle świec i nie da się ukryć, że wzrok mam coraz słabszy. A tyle jeszcze przede mną do opisania – wielkie bitwy i wielkie romanse, cuda i potworności, intrygi i zdrady, zgony i ofiary. Przede wszystkim pragnę opisać, na czym polega istota człowieczeństwa.

*James Watchman, katedra w Salisbury, rok pierwszy Nowej Ery*

*Ciemności*



# PROLOG

## ŻYCIE W CZASACH WOJNY

Drugi maja, godzina ósma rano, nad kanałem La Manche

— Mówię ci, ktoś już tam dobrze wie, o co tak naprawdę chodzi – oświadczył Justin Fallow, bawiąc się nerwowo miniaturowymi buteleczkami po alkoholu. Kątem oka studiował twarze stewardess. To zadziwiające, jak takie drobiazgi potrafią bardziej wyprowadzić człowieka z równowagi niż jakaś wyjątkowo szokująca informacja przekazana wprost. Spojrzenia rzucone pasażerom przez obsługę samolotu utwierdzały Fallowa w przekonaniu, że zmiany, jakie zaszły w jego kraju, są poważniejsze, niż by się to mogło wydawać. Nigdy wcześniej nie widział ponurej stewardessy. Gdzie się podziały te słynne wystudiowane uśmiechy?

— Ja bym tam się nie przejmował. Za kilka dni wszystko wróci do normy. – Colin Irvine wpatrywał się tępo w obłoczki za oknem. W szybie odbijała się jego przedwcześnie postarzała twarz o ostrych rysach i zapadniętych policzkach. Wypad do Paryża okazał się niespodziewanie udany: negocjacje nie trwały długo, dwa dni obijali się, popijając wino, a poprzedniego wieczoru zabawili się w agencji. Od nadmiaru wrażeń nadal kręciło mu się w głowie. Czy fustin nie mógłby się choć na chwilę zamknąć?

— Zazdroszczę ci optymizmu. – Fallow sporo już wypił, mówił za głośno i coraz mniej wyraźnie. Odgarnąwszy spadającą mu na oczy grzywkę, pstryknął w powietrzu palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę stewardessy. – Proszę pani? Jeszcze jedną wódkę poproszę.

Irvine nadal przyglądał się chmurom.

— Nie powiem – powiedział – też lubię sobie wypić, ale doprawdy nie wiem, jak możesz być w stanie wlewać w siebie takie ilości o tej porze.

Fallow poklepał się po brzuchu.

— Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Kiedy postawiono przed nim kolejną miniaturkę, odsunął na bok plastikowy kubek i wypił zawartość buteleczki jednym haustem.

— Może byś się jednak trochę opamiętał? – Irvine zerknął na kolegę ze wstrętem.

— Ale co, jeśli to potrwa dłużej niż kilka dni? – ciągnął Fallow, nerwowo werblując o tacę. – Nie mamy przecież pojęcia, co jest grane, więc skąd możemy mieć pewność? Sam przecież słyszałeś, zawieszają loty na czas nieokreślony. Co jak co, ale taka informacja brzmi naprawdę niepokojąco. To już poważna sprawa.

— Mieliśmy fuksa, że załapaliśmy się na ostatni samolot.

— Pomyśl, jaki chaos zapanuje po tygodniu takiej blokady! Jak gospodarka to wytrzyma? – Po wyrazie twarzy Fallowa widać było, że dopiero teraz to do niego dotarło. – Mniejsza o takich jak my, co jeżdżą w delegacje – są rozmowy konferencyjne, są komunikatory, jakiś czas da się wytrzymać. Ale co z importem i eksportem? Cała gospodarka globalna zależy od...

— Dobrze wiem, od czego zależy, Justin.

— Możesz sobie patrzeć na mnie lekceważąco, proszę bardzo, ale czy chociaż przez chwilę zastanawiałeś się nad tym, jak to będzie wyglądać?

— Ech, przez jakiś czas w sklepach zabraknie bananów i tyle. No i z pocztą międzynarodową mogą być kłopoty. Na szczęście jest internet.

— Coś mi się wydaje, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Takich kroków nie podejmuje się ot tak... Kłopot w tym, że tym draniom z rządu nie można ufać. Wciąż coś przed nami ukrywają, niezależnie od tego, z jakiej są partii. Choćby ta afera z szalonymi krowami. To cud, że nie paradujemy teraz wszyscy z wytrzeszczonymi oczami i śliną ciekącą z ust.

— Chyba nie przeglądałeś się wczoraj w lustrze.

— Ej, to nie jest zabawne. No dobrze, sam mi powiedz, czemu jesteś taki spokojny. Co się takiego według ciebie stało?

— Pomyślmy... – Irvine zaczął odliczać kolejne punkty na palcach. – Może szykuje się międzynarodowy strajk generalny kontrolerów lotu i nic nam o tym nie powiedziano, obawiając się, że wybuchnie panika. Wiesz dobrze, w jakich warunkach pracują ci ludzie, odkąd tak dramatycznie zwiększyła się liczba lotów. Może jakiś wirus komputerowy sparaliżował pracę w wieżach? Albo w tę satelitę od GPS-a trafił meteoryt i wszyscy piloci latają teraz na czuja? Ostatnio często okresowo nie byto prądu. Może jacyś eksperci uznali, że dopóki nie znajdą źródła awarii, utrzymywanie ruchu powietrznego jest zbyt ryzykowne. Albo na przykład odkryli jakiś błąd techniczny, który odpowiadał za te wszystkie katastrofy samolotowe z ostatnich kilku lat. Kto wie.

— Dałbyś sobie spokój z tym krakaniem, Colin.

— Sam zacząłeś.

Justin ścisnął usta niczym nadąsane dziecko i zaczął ustawiać buteleczki w dwóch szeregach, jak żołnierzyki.

— Pewnie te wszystkie lalunie, co roznoszą drinki, boją się, że stracą robotę – zauważył.

Trzask w głośnikach uprzedził pasażerów, że zaraz usłyszą komunikat.

— Mówi kapitan. Zgodnie z planem za dwadzieścia minut powinniśmy wylądować na Gatwick. Możliwe jest nieznaczne opóźnienie ze względu na... – Mężczyzna nagle przerwał. W tle dało się słyszeć stłumione głosy, a potem wszystko umilkło.

— A to co, u licha? – spytał Fallow podejrzliwie, wyciągając szyję ponad rzędami siedzeń.

— Uspokoisz się wreszcie? To, że spodziewasz się najgorszego, nie znaczy, że tak właśnie się stanie.

— A to, że ty się nie boisz, nie znaczy, że nie ma czego. – Fallow wiercił się przez chwilę nerwowo w fotelu, po czym zaczął rozglądać się po wnętrzu samolotu.

To, co zauważył, z początku zupełnie zbiło go z pantałyku. Wyglądało to tak, jakby od dzioba szła ku niemu jakaś niewidzialna fala. Twarze pasażerów wyglądających przez okna po drugiej stronie przejścia zmieniały się jedna po drugiej jak za dotknięciem zaczarowanej różdżki. Z początku każdy podróżny miał obojętną, znudzoną minę osoby, która nie przygląda się niczemu szczególnemu. I nagle następowała raptowna przemiana – opadały szczęki, unosiły się brwi. Zdziwieni, zszokowani, przerażeni? Fallow pomyślał najpierw właśnie o emocjach.

Wszystko to trwało zaledwie ułamek sekundy. Mężczyźnie przyszło do głowy, że i on powinien wyrzeć przez okno od sterburty, ale na ten manewr zabrakło czasu. Samolot wziął

niespodziewanie ostry zakręt, a potem zaczął gwałtownie tracić wysokość. Fallow poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, i przez chwilę miał wrażenie, że lada moment zwymiotuje, szybko jednak sparaliżował go strach. Zdołał tylko zacisnąć dłonie na oparciach siedzenia z taką siłą, że aż pobiełały mu kłykcie. Z ogromnym wysiłkiem oparł głowę o kolana. Powietrze wypełniały krzyki współpasażerów, ale dochodziły z oddali, jakby przebywali pod wodą. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że sam też krzyczy.

Cały kadłub dygotał. Samolot nurkował z olbrzymią prędkością i nagle znów zrobił gwałtowny unik, jakby chciał coś wyminąć. Fallow bał się, że od tak raptownego manewru odpadną oba skrzydła. Nie wiedzieć czemu, maszyna leciała teraz pod ostrym kątem ku górze. Mężczyznę wcisnęło w siedzenie, zaczynał tracić przytomność.

— Zaraz się rozpadnie – wykrztusił ostatkiem sił.

Przygotowywał się już na śmierć, kiedy nagle samolot wypoziomował. Biznesmen wybuchnął histerycznym śmiechem.

— Co to miało być do cholery? – wrzasnął.

Irvinem rzuciło i zwrócił na tył znajdującego się przed nim siedzenia. Próbował podnieść przy tym rękę do ust, ale tylko pogorszyło to sprawę, bo wymiociny odbiły się od jego dłoni i bryzgnęły na bok. Fallow zaklął z obrzydzenia, ale sam dostał dreszczy i nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Jedna ze stewardess wypadła z kabiny pilotów, zostawiając za sobą uchylone drzwi. Przez szparę widać było migające światełkami przyrządy. Kobieta przepchnęła się do okna i krzyknęła na całe gardło: — Matko Boska! Rzeczywiście!

Wszyscy pasażerowie jak jeden mąż wlepili wzrok w okna po lewej. Także Fallow wpatrywał się w połać błękitu za pobladłą

twarzą Irvinga, ale nie widział nic prócz śnieżnobiałych obłoków przypominających przetaczające się po niebie bezy. Nagle kątem oka dostrzegł sunący po bieli cień. Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, było to, że pewnie dopiero co uniknęli kolizji z innym samolotem, ale zaraz zorientował się, że cień jest zbyt długi i cienki, a poza tym jakby się wyginał... Rozległ się dźwięk przypominający startujący odrzutowiec i chmury rozbłysły na moment czerwienią i złotem. Samolot minął wielki kłęb czarnego dymu.

Fallow przyparł sąsiada do oparcia, by przybliżyć nos do szyby. Oczy mężczyzny gorączkowo przeczesywały niebo. Nie zawiódł się. Za samolotem, nieco niżej, unosił się w powietrzu stwór znany wyłącznie z bajek. Po części przypominał węża, a po części ptaka. Łuski stworza pobłyskiwały metalicznie w porannym słońcu – czerwień tańczyła w parze to z zielenią, to ze złotem, niczym u jednego z owych mosiężnych robotów, jakie opisywali wiktoriańscy futurologowie. Cielsko poczwary wydawało się zarazem zwinne i silne. Skrzydła były leniwie – smok z pewnością bez trudu potrafiłby wyprzedzić nawet odrzutowiec. Miejsce brwi zajmowały kościste narośla. Czerwone ślepię pod jednym z nich obróciło się w swym łożysku, by przenieść wzrok na skamieniałego Fallowa. Ułamek sekundy później bestia ryknęła groźnie, otworzyła szeroko paszczę i zionęła ogniem. Najwyraźniej nie był to atak, a jedynie pokaz siły, niczym u rozkładającego ogon samca pawia, lecz mimo to pasażerowie natychmiast odskoczyli od okien. Przecząc swoim rozmiarem, smok zwinnie prześlizgnął się ponad kadłubem samolotu, by zaraz pokazać się po jego drugiej stronie.

Co ciekawe, szok i przerażenie szybko wyparły inne emocje. Krzyki ustały, wszyscy z zapartym tchem przyglądali się

potworowi. Rozejrzawszy się po wnętrzu maszyny, Fallow dostrzegł ze zdziwieniem, że twarze pozostałych podróżnych błyszczą dziwnym blaskiem. Cynicznych mężczyzn i znudzone kobiety zastąpiła gromada podekscytowanych dzieci. Nawet stewardessy nareszcie się uśmiechały.

Ciszę przerwał okrzyk od strony ogona: – Patrzcie! Jeszcze jeden!

Fallow odwrócił głowę i dostrzegł w oddali drugiego smoka. Stwór to wynurzał się, to znikał w chmurach, zdawało się, że płynie wśród morskich fal.

Biznesmen opadł na fotel i spojrzał chłodno na swojego kompana.

— Za kilka dni wszystko wróci do normy? – powtórzył, przedrzeźniając Irvine’a. Takiego tonu głosu nie używał, odkąd skończył dziesięć lat.

### **Drugi maja, godzina jedenasta rano, elektrownia atomowa Dounreay w Szkocji**

— Czego oni od nas oczekują do cholery! – prychnął Dick McShay mocno poirytowany. Ze złości cisnął długopisem w biurko, by zaraz potem zdać sobie sprawę, że zachowuje się jak przedszkolak. Miał czterdzieści jeden lat i dotąd sądził, że w British Nuclear Fuels znalazł ciepłą posadkę, na której spokojnie wytrwa do emerytury. Zatrudnienie przy likwidacji elektrowni było pewne, cały proces miał zająć kilkadziesiąt lat. Praca była lekka, stresowało jedynie ukrywanie różnych faktów przed mediami – a to nadmiernego zanieczyszczania środowiska, a to okazyjnych przecieków czy katastrof, którym zapobiegnięto w ostatnim momencie. Żadnych poważnych kryzysów.

McShay przyjrzał się uważniej swojemu zastępcy. Nelson wyglądał na człowieka, który najchętniej zapadłby się pod ziemię.

— Nie mam zamiaru cię o nic obwiniać, William, przekazujesz mi tylko rozkazy góry, ale powiedz mi, co oni sobie u diabła wyobrażają!

Nelson ssał przez chwilę w zadumie swoją dolną wargę, co tylko jeszcze bardziej rozszerzyło jego szefa.

— Sądzę – zaczął, starannie dobierając słowa – że po prostu nie chcą, żeby większa część Szkocji została w ciągu następnych kilku tygodni szkodliwie napromieniowana. Nie chciałbym wyjść na kogoś, kto trzyma ich stronę, ale naprawdę tak dłużej być nie może. Te kłopoty z prądem...

McShay westchnął i pokręcił głową.

— Żeby chodziło tylko o prąd! Nie ma co się oszukiwać, nasza aparatura też zawodzi. Nie wiem, czym można by te usterki tłumaczyć. Gdybym był przesądny... – Zamilkł na moment. – Nawet gdybym był przesądny, nadal trudno byłoby mi to jakoś usprawiedliwić. Te wszystkie awarie...

Nie musiał dodawać nic więcej. Nelson był w elektrowni za każdym razem, gdy wybuchała panika. Ileż to razy w ciągu ostatnich kilku tygodni myśleli, że lada chwila wylecą w powietrze? Kilkakrotnie wyłączył się system chłodzący, z niewyjaśnionych przyczyn zawodziły mechanizmy, na których do tej pory zawsze można było polegać. W dodatku w ostatniej chwili wszystko zawsze wracało do normy. Mieli pecha czy szczęście? McShay wiedział jedno – od pierwszej awarii postarzał się o dobre dziesięć lat.

— Dlatego najprostszym rozwiązaniem jest zamknięcie elektrowni.



— Oczywiście, ale czy góra nie pojmuje, że tu nie starczy wcisnąć jeden pstryczek? Ten termin wzięli z księżyca. W życiu się nie wyrobimy.

— To z ich strony akt desperacji.

— Nie podoba mi się też to, że patrzą nam na ręce. – McShay zerknął przez szklane ściany swojego biura na otaczających je komandosów. Każdy z żołnierzy przyciskał do piersi karabin maszynowy, a ich twarze przesłaniały przyciemniane przyłbice kewlarowych hełmów. Bezosobowi i znieruchomiali, przypominali jakieś nadludzkie istoty, które ożywić mogły dopiero czary. Przyjechawszy o świcie, szybko zajęli pozycje w najważniejszych punktach elektrowni, tak jakby znali ją jak własną kieszeń. Cóż, dzięki dobremu szkoleniu poniekąd tak właśnie było. Nowoprzybyli oświadczyli, że stanowią „grupę wsparcia” – nie wspomnieli nic o „strzeżeniu obiektu”, czy „dopilnowaniu wykonania rozkazu”.

— Twierdzą, że mają oko na wszystkie kluczowe miejsca. Ta cała operacja jest ponoć ściśle tajna.

— To skąd znasz szczegóły?

Zastępca McShaya tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Nie zwracajmy na nich uwagi – odezwał się po chwili. – Co poradzić, taką mają pracę.

— A co planują zrobić, jeśli nie zdążymy na czas? Rozstrzelają nas? Mina Nelsona wskazywała na to, że nie wyklucza takiej możliwości.

— Nigdy się nie spodziewałem, że będę pracować otoczony przez żołnierzy z automatami. Skoro nam nie ufają, to dlaczego my mamy im ufać?

— Cóż, Dick. Nadeszły ciężkie czasy.

Dyrektor rzucił w kierunku Nelsona podejrzliwe spojrzenie.

— Mam nadzieję, że nie jesteś po ich stronie?

— Czy istnieją w ogóle jakieś strony?

Nagle w pomieszczeniu obok rozbłysła żarówka i dwójkę współpracowników zalało pulsujące czerwone światło. Budynek wypełniło trudne do zniesienia wycie. Komandosi natychmiast zaczęli działać.

— Psia mać! – McShay przymknął na chwilę oczy, żeby się uspokoić. Ten alarm oznaczał akurat, że do jednej ze stref wtargnął ktoś niepowołany. – Co znowu?

Nelson wysłuchiwał już przez telefon raportu strażników. Na jego twarzy pojawił się wyraz niebotycznego zdumienia.

— jakie straty? – spytał dyrektor zmęczonym głosem, gdy jego zastępca odłożył słuchawkę.

Jakiś czas Nelson wpatrywał się w niego tępo, aż wreszcie przemówił.

— Mamy intruza... – Tyle to wiem, do cholery!

— Intruza w komorze reaktora.

Teraz to McShay wpatrywał się tępo w swojego zastępcę.

— Oszalałeś? – burknął i sam sięgnął po słuchawkę telefonu. Po wysłuchaniu raportu wybiegi czym prędzej z gabinetu, a Nelson podążył posłusznie w ślad za nim.



Przy reaktorze stała już spora grupa uzbrojonych po zęby żołnierzy. Było coś groteskowego w tym, że mierzyli z karabinów w drzwi komory, w której nikt nie mógłby przeżyć ani sekundy, upierali się jednak przy tym, że ktoś jest w środku. McShay dopchał się do swojego pracownika stojącego przy ekranach

kontrolnych. Rex Moulding wyglądał na zagubionego.

— Panowie – uspokajał właśnie komandosów – to nie poligon.

— Rex, co to za wygłupy? Przed miesiącem może by ci to jeszcze uszło na sucho.

— Sam na to zerknij, to zobaczysz, że nie żartuję.

McShay przyjrzał się każdemu z monitorów z osobna. Przekazywały obraz z kamer rozmieszczonych w strategicznych punktach komory.

— Nic się nie dzieje.

— Trochę cierpliwości.

Dyrektor westchnął i powrócił do obserwacji monitorów. Chwilę później na jednym z ekranów błysnęła jakaś rozmyta plama.

— Co to u licha?

Migoczącą mgliście plamę widać teraz było na innym ekranie.

— Jakby kamery nie potrafiły tego czegoś uchwycić – zauważył Moulding.

— Co masz na myśli?

Inżynier zamilkł na dłuższą chwilę.

— Sam nie wiem.

— To jakaś usterka?

— Nie, tam naprawdę ktoś jest. Przez ścianę słyhać różne odgłosy, jakie ten stwór wydaje.

McShay zmroził Mouldinga wzrokiem.

— Jaki znowu stwór?

Moulding skrzywił się nieśmiało.

— Bob Pruett twierdzi, że widział to coś, zanim jakimś cudem przeniknęło do reaktora.

— A gdzie teraz jest Pruett? – McShay rozejrzał się wokół. Przez tłum torował już sobie drogę krępy pięćdziesięciolatek o

zażenowanej minie. – Słuchamy – zwrócił się do niego hardym tonem dyrektor elektrowni.

— Widziałem go – oznajmił Pruett z silnym szkockim akcentem. Zerknął niepewnie na Mouldinga, licząc na jakieś wsparcie.

— Mów dalej – zachęcił go inżynier.

— Panie dyrektorze, wiem, że to zabrzmii idiotycznie, ale co mam poradzić. To coś miało rogi. O, tu mu wyrastały. – Robotnik przytknął sobie rozczapierzone dłonie do skroni. McShay patrzył na niego z powątpiewaniem. – Ale to był człowiek. To znaczy, chodził jak człowiek. Wyglądał jak człowiek, no, wie pan, dwie ręce, dwie nogi. Tylko twarzy nie miał ludzkiej, takie czerwone oczy. Cały pokryty był futrem, futrem albo liśćmi.

— To czym w końcu?

— Co czym?

— Czym był pokryty? Futrem czy liśćmi?

— No, tym i tym. Te liście jakby wyrastały mu z futra i tak na przemian. Cały był taki.

McShay przyglądał się uważnie twarzy robotnika, ale nie znalazł w niej żadnych odznak wesołości czy skruchy, co gorsza męczyzna wydawał się być autentycznie wytrącony z równowagi.

Moulding zamarł nagle ze wzrokiem wlepionym w jeden z ekranów.

— Idzie do nas – poinformował cicho pozostałych.

McShay obrócił się bezwiednie w stronę drzwi komory. Słysząc było zza nich coraz wyraźniej dziwaczny odgłos, ni to charkot bestii, ni to szmer liści na wietrze.

— Wzrasta temperatura rdzenia – zawołał Nelson z przeciwległego krańca pomieszczenia. Do pierwszego sygnału

alarmowego dołączył drugi. Od podwójnego ich wycia McShaya zaczęła boleć głowa. – System awaryjny nie zaskoczył – dodał Nelson, sięgając po swój telefon komórkowy. Ciekawe, do kogo dzwoni w takiej chwili, pomyślał dyrektor.

— Jest tuż tuż – powiedział Moulding.

McShay, sparaliżowany własnym zagubieniem, nie był w stanie oderwać wzroku od drzwi. Straszliwy odgłos przybrał na sile, nawet jego pogłos przedostawał się przez ściany komory. Wycelowane w wyjście lufy karabinów komandosów ani drgnęły. Dyrektor podziwiał żołnierzy za to, że niemal oko w oko z nieznanym przeciwnikiem potrafią nadal stać tak spokojnie.

Dowódca grupy zerknął na McShaya i rzucił do swoich podwładnych: — Jeśli wyjdzie, strzelajcie, jak tylko go zobaczycie.

Na cóż się zdadzą kule, pomyślał dyrektor, skoro ktoś chodzi wokół rdzenia i jeszcze żyje. Mężczyznę ogarnęły złe przeczucia.

Za drzwiami rozległ się głuchy łomot i ich powierzchnia zaczęła się wybrzuszać, jakby były zrobione z folii aluminiowej. McShayowi wydało się, że rozpoznaje we wgnieceniu kształt ludzkiej dłoni. Mimo dobrego wyszkolenia część komandosów cofnęła się odruchowo. Nieziemski charkot stwora brzmiał głośniejszy niż oba alarmy.

— Chyba wszyscy macie tę świadomość – odezwał się spiętym głosem Moulding – że jeśli te drzwi się teraz otworzą, żeby nas odkazić, nie wystarczy zwykły prysznic.

Słowa inżyniera wyrwały McShaya z otępienia. Drzwi komory reaktora były tak zaprojektowane, żeby wytrzymać bezpośredni atak nuklearny, i dyrektor miał to tak głęboko zakodowane, że nawet do głowy mu nie przyszło zastanawiać się nad tym, co zrobić, jeśli zostaną wyważone.

— Wycofujemy się! – ryknął. – Trzeba zabezpieczyć...

W tej samej sekundzie drzwi wyrzuciło na zewnątrz. Nim zaterkotały karabiny McShay zdążył jeszcze dostrzec jakiś wielki kształt wysuwający się z komory. A potem wszystkich zalała fala miękkiego białego światła.



Pierwszą osobą, której dane było zobaczyć to, co zostało z elektrowni w Dounreay, był pewien miejscowy chłop, przejeżdżający w okolicy traktorem, niedługo potem. Zaskoczony zatrzymał się na poboczu, żeby upewnić się, czy to nie jakiś miraż. Dobrze mu znane modernistyczne budynki ginęły zupełnie wśród bujnej roślinności: z betonu wyrastały drzewa, ściany i ogrodzenie przesłaniał bluszcz, po murach pięły się dzikie róże i powojniki, a zaparkowane samochody spowijały grube pnącza. Wśród liści roiło się od ptactwa, wiewiórek i królików. A gdyby komuś, nie wiedzieć czemu, przyszło do głowy sprawdzić poziom szkodliwego promieniowania, zobaczyłby, że bezpiecznie jest nawet w samym reaktorze. Ale też nie natrafiłby tam na ani jednego człowieka.

**Drugi maja, godzina dwudziesta, News International, Wapping,  
Londyn**

— Po co my tu właściwie jesteśmy? – jęknęła Lucy Manning. – To nie ma sensu.

Jeszcze raz wcisnęła przycisk przywołujący windę.

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, wpatrywała się w zapalające się po kolei cyferki pięter. Miała dwadzieścia parę lat, pofarbowane na blond włosy i minę zahartowanego w bojach żołnierza.

Stojąca u boku Lucy Kay Bliss wyglądała niemal na jej siostrę bliźniaczkę. Jasne włosy, harda mina, londyński akcent – wszystkie te atrybuty były starannie przemyślane. Obie dziewczyny świetnie wiedziały, jak dawać sobie radę w piekielku redakcji.

— Wal to, Lucy. Ważne, że nam płacą – pocieszyła koleżankę Kay. Przynajmniej nie musimy czatować do rana przed drzwiami jakiegoś bubka, licząc na to, że w końcu zgodzi się na wywiad. – Po jej wymowie można było zgadnąć, że pochodzi z Tyneside, ale w razie potrzeby potrafiła to ukryć.

— I jeszcze ten rządowy urzędas, co się na stale zainstalował w newsroomie! – ciągnęła Lucy. – Każdy nowy numer sprawdza z lupą od deski do deski. Połowa artykułów ląduje w koszu. „Naruszanie bezpieczeństwa narodowego”, też mi coś! Jeszcze trochę i będziemy jak jakaś gazetka parafialna, no wiesz, zdjęcia par po złotych godach i zaproszenia na charytatywną aukcję wycinanek. – Dziewczyna weszła do windy, zanim drzwi zdążyły się jeszcze otworzyć do końca i zaczęła stukać długimi paznokciami w metalowe ściany kabiny. – No wchodź. Co te windy takie wolne, do cholery? Cały budynek naszpikowany elektroniką, spodziewałby się człowiek, że chociaż windy będą chodzić jak należy.

— Ba, przecież nawet nie mamy ich teraz niby używać. Tyle było ostatnio tych awarii...

— Jakbyśmy mieli czas biegać cały dzień po schodach.

Drzwi się zamknęły i Kay wstrzymała oddech. Parę dni

wcześniej spędziła godzinę uwięziona między piętrami z trzema dowcipnymi tragarzami. Nie miała ochoty na powtórkę.

Gdy wysiadały, Lucy kontynuowała monolog: — Wszystko zaczęło się od tego ataku terrorystycznego na M4.

— A tak, wysłali do niego Damona. To to był atak terrorystyczny?

— A masz jakieś inne wytłumaczenie? No i później wprowadzili stan wojenny.

— Słyszałam już wersję, że na autostradę spadł amerykański bombowiec.

Lucy wzdrygnęła się.

— A potem te wszystkie telefony od kretynów twierdzących, że widzieli ziejącego ogniem potwora... – Dziewczyna pchnęła skrzydło drzwi. – Czasami żałuję, że nie pracuję dla „Financial Times”.

O tej porze w newsroomie panowała cisza. Redaktor dyżurny przeglądał na komputerze najnowsze depesze z „Press Association”, przeżuwając leniwie drożdżówkę z serem. Na widok wchodzących jeden z redaktorów sportowych zagwizdał głośno.

— Witaj, skarbie! – Kay pomachała mu wesoło.

— Tym to dobrze – mruknęła pod nosem Lucy. – Nikt im nie ocenzuruje relacji z mistrzostwach świata w chińczyku.

— Nieźle cię musieli dziś wkurzyć.

Lucy odpowiedziała dopiero, gdy odeszły na bok.

— fak nic trafiłabym na pierwszą stronę, ale mnie zdjęli.

— No tak, to wszystko wyjaśnia. Nici ze sławy. O czym był ten artykuł?

— W górach w Szkocji ktoś wyrznął w pień cały oddział marines. Dostałam cynk od swojego człowieka w sztabie



generalnym. Dziewczyna wyduła wargi niczym zagniewane dziecko.

— Fiu, fiu. Nie ma co, temat pierwsza klasa. Żaden tam skandal z gościem z Eastenders.

Lucy pomyślała, że Kate coś za bardzo się cieszy z jej porażki.

— Chyba nie sądziłaś, że coś takiego przepuszczą?

Lucy wzruszyła tylko ramionami. Tymczasem do Kay dotarło wreszcie, co tak właściwie powiedziała koleżanka, i przestała się uśmiechać.

— Wyrżnięci? W Szkocji?

— Kogo my tu mamy? Toż to nasze bliźniaczki Barbie! – Kevin Smith był managerem z działu sprzedaży, ale uparcie zgrywał się na doświadczonego pismaka. Dziennikarze za nim nie przepadali, bo śmierdział wodą kolońską i ubierał się w stylu yuppie z lat osiemdziesiątych.

— Odczep się, Kevin – wycedziła Kay ze słodkim uśmiechem na twarzy.

— Co tak ostro? Jestem niegroźny. – Mężczyzna poklepał zachęcająco oparcia dwóch krzeseł koło siebie, ale dziewczyny zignorowały go i podeszły do dziennikarzy z nocnej zmiany.

— I co tam słyszać? – Lucy przysiadła na brzegu biurka, żeby podrażnić trochę kolegów widokiem skrawka białego uda.

— Lepiej zerknijcie na to. – Redaktor dyżurny popukał palcem stojący przed nim monitor.

Kay znalazła się przy nim pierwsza.

— Co jest, szefie?

— „Press Association” podało, że o dziewiątej premier wygłosi specjalne oświadczenie. Wyrzucają połowę gabinetu i wchodzi w koalicję z innymi partiami. Żeby się zjednoczyć w obliczu klęski, czy coś takiego.

Kevin podszedł bliżej i zerknął na depesze.

— Świetny pomysł, wszyscy krety ni nareszcie razem. Pewnie tyle to przyniesie pożytku, co ten cały stan wojenny, którego nie mogą do końca wprowadzić, bo brakuje im ludzi.

— Ja to wezmę – zadeklarowała się Lucy.

— Obie to weźmiecie. – Redaktor odjechał raptownie krzesłem do tyłu i uderzył kabląkiem oparcia prosto w krocze Kevina. Manager stłumił krzyk bólu, ale z jego twarzy nie zniknął wymuszony uśmiech.

Kay sięgnęła do drukarki po arkusz papieru, żeby mieć na czym robić notatki.

— A niech mnie, dwie przyzwoite historie jednego dnia. To znak. Chyba naprawdę zbliża się koniec świata.

Redaktor dyżurny pochylił się nad monitorem i zaczął cicho przeklinać. Wszyscy obecni w pokoju podnieśli głowy.

— Coś musiało cholernie przerazić tych gości z Downing Street. Sypią szalonymi dekretami jak z rękawa. Najpierw zawiesili loty, a teraz mi tu piszą, że znacznie ograniczają liczbę połączeń kolejowych. Co my tu jeszcze mamy... Nie będzie można dzwonić zagranicę... Możliwe długoterminowe utrudnienia w korzystaniu z sieci telefonicznych... Zezwalają też na strzelanie do szabrowników bez ostrzeżenia! Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Z gabinetu redaktora naczelnego wyłonił się czterdziestolatek w eleganckim, ciemnym garniturze o przeciętnych, trudnych do opisanie rysach twarzy, ruszył niespiesznie w ich kierunku. Miał w sobie pewną sztywność właściwą zawodowym urzędnikom ministerialnym.

— Kiedy, na miłość Boską, zamierzacie powiedzieć nam, co jest grane? – wydarł się redaktor. – To po prostu skandal! Ludzie

mają prawo być poinformowani!

Posiadacz ciemnego garnituru położył na stole kartkę zadrukowanego papieru.

— To artykuł na jutrzejszą pierwszą stronę: „Bitwa o Anglię: premier kontratakuje”.

Zebrani spojrzeli po sobie zaskoczeni.

— Tak nie można! – zawołała podłamana kolejną porażką Lucy.

Przeczytawszy pobieżnie przyniesiony artykuł, redaktor dyżurny walnął pięścią w stół.

— Nie zgodzimy się na wydrukowanie czegoś podobnego! To jakieś sranie w banie! PR-owe mydlenie oczu! Nikt nie ma najmniejszego rozeznania w sytuacji, nie wiedzą nawet, z kim tak naprawdę walczą! Ludzie pomyślą, że to jakiś pucz! Wybuchnie panika!

— Treść artykułu została starannie przedyskutowana. Użyto sformułowań, mających właśnie zapobiec wybuchowi paniki. – Wysłannik rządu zachowywał spokój. – To wewnętrzny problem kraju, ale z pewnością nie przewrót, niech ta informacja zostanie jednak między nami. Rząd musi działać szybko i sprawnie, więc obywatele nie mogą wchodzić mu w paradę.

— To brzmi jak z Orwella! – Twarz redaktora była czerwona od gniewu.

Cenzor nakazał mu gestem, żeby się uciszył, co tylko jeszcze bardziej rozsierdziło dziennikarza.

— Wasz naczelny i tak wyraził już zgodę.

— A wie chociaż, o co w tym wszystkim chodzi?

— Premier osobiście przekazał mu wszystkie najważniejsze informacje, podobnie jak i innym naczelnym w kraju.

— A te ostatnie awarie? – wtrącił się Kevin. – Co z tym mają

wspólnego? Co najmniej połowy nijak nie można wytłumaczyć. I te setki szaleńców, które wydzwanają do redakcji... Jedni twierdzą, że widzieli UFO, drudzy jeszcze coś innego. Jakaś kobieta zarzekała się, że jej wuj nawiedza ją po śmierci, a u jednego rolnika krowy zaczęły dawać ocet zamiast mleka! I w dodatku czemu centrala łączy ich wszystkich akurat ze mną? – Manager lustrował uważnie twarze kolegów, ale wpatrywali się tylko w niego tępo.

— A to ciekawe... – Kay zerknęła w stronę redaktora dyżurnego, ale i ten niczym się nie zdradził.

— Gdy tylko zaistnieje taka potrzeba – oświadczył sucho cenzor wydamy stosowne szczegółowe oświadczenie. Nie mamy zamiaru niczego ukrywać. Wprowadziliśmy stan wyjątkowy, ponieważ były po temu istotne powody, i naszym głównym zadaniem jest obecnie radzenie sobie z zaistniałą sytuacją. Proszę mi wierzyć, zadanie to pochłania wszystkie nasze siły. Informowanie społeczeństwa schodzi tu na drugi plan.

Redaktor dyżurny przeczytał narzucony mu artykuł raz jeszcze, po czym odchylił się mocno do tyłu, zakrywając twarz dłońmi.

— Co ja tu w ogóle robię? Lepiej chodźmy wszyscy do pubu.

— Nie może już pan opuścić budynku – przypomniał mu cenzor.

— Po zachodzie słońca jest godzina policyjna.

— I co, dupku, może sam mnie będziesz próbował zatrzymać?

— Redaktor dyżurny rzucił mu pełne agresji spojrzenie. Kay wychwyciła w jego głosie dziwną nutę. Mimo wszystko chyba zaczynał się bać.

Dziewczyna przeniosła wzrok na urzędnika rządowego. Ten z kolei przypominał jej wyrazem twarzy ciężko doświadczoną

przez życie osobę, stojącą przed pyskatym, naiwnym wyrostkiem. Jeszcze zobaczysz, głupcze, zdawał się myśleć. Spotka cię gorzkie rozczarowanie. Cenzor szybko zmienił minę na obojętną, wzruszył ramionami, jakby w gruncie rzeczy nic go nie obchodziło, i niespiesznym krokiem wrócił do gabinetu redaktora naczelnego.

Kay również wzruszyła ramionami. A co on tam mógł wiedzieć? Był tylko żalonym, nadętym bufonem.

— Chyba będę musiał w końcu zabić drania – oświadczył redaktor dyżurny, gdy za cenzorem zamknęły się już drzwi.

— A ja zaczynam się coraz bardziej niepokoić. – Kevin nie spuszczał wzroku z drzwi do gabinetu. – Sprawy naprawdę nie wyglądają najlepiej.

— Jeśli to wojna, mogę zostać korespondentem wojennym. – Lucy zrobiła samolot z papieru, ale nie doleciał daleko.

— Niczego się nie obawiasz? – spytał Kevin.

Spojrzała na niego pogardliwie.

— A czego tu się bać? Chcecie wyskakiwać na drinka, kiedy grozi nam nie sprzedanie choćby połowy nakładu. To dopiero jest niebezpieczne.

— Czekajcie no. – Redaktor dyżurny znów wpatrywał się w monitor.

— Byle coś optymistycznego – poprosił Kevin.

Widoczne na ekranie depesze agencyjne zdawały się topnieć, litery jedna po drugiej ześlizgiwały się na dół strony. Gdy ekran był już pusty, w górnym lewym rogu pojawiło się jedno słowo: **BACZ.**

— Co to? – spytała Kay. – Oprogramowanie?

Tajemnicze słowo zaczęło się powtarzać, aż w końcu jego rzędy wypełniły całą stronę.

— Może to „bacz” od „baczność” – zasugerował Kevin. – Rodzaj ostrzeżenia.

— Lucy, dzwoni do informatyków. – Redaktor pchnął w jej stronę telefon. – Może i nie piszemy teraz żadnych poważnych artykułów, ale wiedziałem przynajmniej, co piszą agencje.

Lucy podniosła słuchawkę, ale zaraz ją upuściła, bo z telefonu dobywał się czyjś histeryczny śmiech.

— Matko Boska! – Dziewczyna spojrzała na aparat, tak jakby było to coś żywego.

— Pewnie jakieś zakłócenia na linii – stwierdziła Kay nieporuszona. – Weź jakiś inny.

Ale i w drugiej słuchawce ktoś śmiał się przeraźliwie.

Ledwie zdążyli spojrzeć po sobie, gdy zgasły wszystkie światła. Pozbawione okien pomieszczenie pogrążyło się w ciemnościach. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, nie wiedząc, co począć, a potem wszyscy usłyszeli głos Kay: – Łapy przy sobie, Kevin.

### Drugi maja, godzina dwudziesta trzecia, Balsall Heath

— I co powiedział twój ojciec? – spytała Sunita, odgarniając z twarzy kosmyk swoich długich, czarnych włosów. Noc była ciepła, ale w powietrzu dało się czuć nieprzyjemną wilgoć. Z centrum miasta niósł się odór spalin.

Lee podrapał się nerwowym gestem po ogolonej głowie.

— A jak sądzisz?

— Że nie chce, żeby jego syn zadawał się z jakąś pakistańską dziwką.

Słabe światło ulicznej latarni, pod którą stali, sprawiało, że w

delikatnych rysach dziewczyny było coś smutnego. Jej ciemne, lśniące oczy przypominały oczy chorego zwierzęcia.

— To właściwie ojczym, a nie rodzony ojciec – powiedział Lee, jakby miało to w czymś pomóc.

Z pobliskiego pubu wyszło kilku młodzieniaszków, którzy na widok pary pod latarnią zaczęli głośno naśladować odgłosy całowania. Sunita i Lee odruchowo pochyłili głowy. Gdy mężczyźni byli już daleko, chłopak przytulił ukochaną do piersi. Otoczona jego twardymi muskularni wydawała się być taka krucha... Poczuł, że za wszelką cenę musi zawsze ją chronić.

Sunita oparła się policzkiem o jego klatkę piersiową.

— Czemu musi być nam tak ciężko? – zapytała. – Nie mam jeszcze dwudziestu lat! Powinniśmy móc się świetnie bawić, powinniśmy być w siódmym niebie. Czasem czuję się jak stara, zmęczona kobieta.

Wiedział dobrze, co ma na myśli. Odkąd rok temu zaczęli się spotykać, nie opuszczało go poczucie, że robi coś złego. Czasami było to nawet ekscytujące, ale najczęściej czuł się po prostu zażenowany. Niepokoiła go ta reakcja, bo wiedział, że to zasługa ojczyma – chcąc nie chcąc, przesiąkł jego uprzedzeniami. W związku z Sunitą Lee nie widział nic niestosownego, ale mimo to od samego początku musiał ukrywać ją przed rodziną. Od roku wciąż kluczył i kłamał, byleby się nie wydało. Wisiało to nad nimi dwojgiem niczym burzowa chmura, nie pozwalało w pełni rozkoszować się rodzącym się uczuciem. Coś zostało im odebrane i Lee nienawidził ojczyma za tę stratę. Poniekąd ulżyło mu, kiedy prawda wyszła na jaw po tym, jak ojczym przyuważył ich na mieście trzymających się za ręce. Niestety oznaczało to także, że Sunita nie może już czuć się bezpieczna. Ojczym mógł liczyć na wsparcie licznych znajomych – brutalnych mężczyzn

wierzących w siłę pięści i dzielących jego poglądy, którym nieznane były pojęcia miłości sentymentalnej czy przebaczenia.

Dziewczyna, rzecz jasna, zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna zerwać z Lee, ale czy tak naprawdę było to możliwe? Oboje dokonali wyboru, który na zawsze zapisał się w ich duszach – teraz musieli ponieść jego konsekwencje.

— Co teraz zrobimy? Będziemy udawać, że nic się nie stało, tyle że znajdziemy sobie jakieś inne miejsca na randki?

— Wiesz, że to nie ma sensu. Znają twój adres. – Lee wziął głęboki oddech. – Wyniesiemy się z miasta. – Zamilkł na moment, żeby sprawdzić reakcję dziewczyny. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Wiem, że twojej rodzinie to się nie spodoba...

— Ach, ojciec pewnie będzie o krok od załamania nerwowego, a mama... Już słyszę to biadolenie!

— Jesteś pełnoletnia...

— Nie o to chodzi.

Głupio mu było, że potrafi być taki nieczuły, ale miał trudności z wyobrazeniem sobie relacji w zwykłej, kochającej się rodzinie.

— Przepraszam, Sunny. Wiem, że będzie wam ciężko, ale musimy coś z tym zrobić.

— Dokąd byś pojechał?

— Nie wiem dokładnie, byle na południe. Pojedziemy autostradą i się zobaczy. Nie będą nas w stanie namierzyć.

Sunita westchnęła.

— Tu nawet nie chodzi o twojego ojca. Mam dość tego miasta. Czasami mam wrażenie, że wysysa ze mnie całą energię. Tyle tu w ludziach takiej... podłości. To mnie po prostu dobija.

— Wiem, co masz na myśli. – Wsłuchiwał się przez chwilę w odległe odgłosy ruchu ulicznego niosące się z centrum ponad



gruzowiskiem i wśród przeznaczonych do rozbiórki domów. – Zaczniemy wszystko od nowa. Zobaczysz, dobrze na tym wyjdziemy.

— Sądysz, że wszystko się ułoży?

— Jestem o tym przekonany. – Zastanowił się, czy może jej powiedzieć, skąd ta pewność – wyjaśnienie to nawet jemu wydawało się wciąż idiotyczne. Jeszcze nie teraz, pomyślał. – Chodź, przejdziemy się trochę. – Ujął jej dłoń i ruszył w kierunku swojego domu.

Zawahalała się.

— Twój ojciec...

— Jest na jednym z tych swoich zebrań, gdzie marzą o wskrzeszeniu imperium brytyjskiego.

Dzięki Bogu, znajome ulice były zupełnie wyludnione. Mogli wyobrazić sobie, że są jedynymi ludźmi na ziemi – było to cudowne uczucie.

Z dala od gruzowiska powietrze było nieco świeższe. Zostawili za sobą imponujące rozmiarami domy i zaczęli schodzić w dół wzgórza ku rzędowi obskurnych bliźniaków. W jednym z nich Lee mieszkał od urodzenia. Dziwnie mu się zrobiło na myśl, że może po raz ostatni pokonuje tę trasę. Pomyślał sobie, że będzie mu brakowało Kelly i mamy, ale nie Micka – byłby w siódmym niebie, gdyby już nigdy nie musiał słyszeć jego głosu.

— Kiedy chciałbyś wyjechać?

— Jak najszybciej. Dziś wieczór.

— Och.

Nie miał serca powiedzieć Sunicie, że koledzy ojczyma mogą wziąć sprawy w swoje ręce, gdy tylko ich zebranie dobiegnie końca. O tej porze oboje powinni być już w drodze, jak najdalej od Birmingham. Milczał, ale reakcja dziewczyny na ten

niespodziewany termin wyjazdu wskazywała na to, że i tak jest w pełni świadoma tego, co im grozi.

— Zadzwoń do rodziców z trasy. Będą już spać, gdy przyjdę się spakować. Zrozumieją – dodała z przekonaniem. – Choć sam wiesz, że i u nas nie jest różowo. Oboje woleliby dla mnie kogoś, kto znałby na pamięć Koran.

Lee wzruszył tylko ramionami. Tylu ludzi wokół ciągnęło do wtrącania się w nie swoje sprawy.

Sunita wzięła go pod rękę i ścisnęła ją serdecznie.

— Zobaczysz, jak się będziemy kłócić o to, co puścić w aucie. Wezmę płyty Groove Armada i Basement Jaxx, a ty pewnie jak zwykle będziesz się upierał przy tych ramolach z Redskins czy jakimś innym zespole sprzed wieków, o którym już nikt nie pamięta. Skąd ci się to w ogóle wzięło? Większość z nich rozpadła się jeszcze zanim zdążyłeś się urodzić.

— Trzeba doceniać przeszłość, żeby wiedzieć, dokąd się zmierza.

— Znowu się czytało, tak? Ostrzegałam cię, nie przesadzaj z tymi książkami. – Dziewczyna uśmiechnęła się, ale na powrót spochmurniała, uzmysłowivszy sobie, że dotarli już na miejsce. Poczowała się nieswojo, jakby dom Lee był nawiedzony. Tyle się przez ten rok o nim nasłuchiwała, że stał się dla niej symbolem wszelakiego zła. Pod nieobecność pozostałych członków rodziny była wprowadzie kilka razy w środku, ale panowała tam nieprzyjemna atmosfera, spotęgowana zapachem smażenia i tanich papierosów. – Jesteś pewien, że go nie ma?

— Nie opuszcza żadnego zebrania.

Razem obeszli dom. Na jego tyłach znajdował się niewielki ogródek. Panowały tam egipskie ciemności, na sznurze powiewało zapomniane pranie.

— A co z twoją mamą i Kelly?

— Zwykle po bingo wpadają gdzieś na drinka.

— Lee, po co mnie tu przyprowadziłeś?

— Jest tu coś, co chcę ci pokazać. Od razu poprawi ci się humor.

— Poprawi mi się humor?

— Sama zobaczysz. Zacznesz wierzyć, że wszystko się ułoży.

Sunita nie wyglądała na przekonaną, więc wziął ją za rękę i zaciągnął pod stojącą nieopodal płotu szopę. Była zaskakująco duża. Mick zbudował ją z myślą o rozpoczęciu hodowli gołębi pocztowych, ale, jak to miał w zwyczaju, szybko zarzucił ten pomysł.

— Chyba nie chcesz, żebyśmy znowu to tu zrobili? – spytała dziewczyna z wyzywającym uśmiechem.

— Zaraz zobaczysz.

W środku pachniało znajomo terpentyną i olejem silnikowym. Lee znów schwycił Sunitę za rękę i odczekał kilka sekund, a potem nagle powiedział w pustkę: — Wyjdź, proszę. To ja.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie. Czuła, że pocałował mu się dłoń.

— Do kogo mówisz?

Uciszył ją niecierpliwym gestem, nie spuszczając oczu z tylnej ściany szopy. Nic się nie działo. Powtórzył swoją kwestię, tym razem nieco bardziej błagalnym tonem. Dalej nic.

— Proszę – powiedział w końcu. – To właśnie Sunita. Opowiadałem ci o niej. Jest okej, nic ci nie zrobi.

Odczekał chwilę, a potem westchnął.

— Lepiej już chodźmy – stwierdził zrezygnowany.

Gdy znaleźli się pod gołym niebem, cmoknęła go w policzek.

— Masz szczęście, że uwielbiam szaleńców. A teraz wszystko

mi wyjaśnij.

— Tylko się nie śmiej!

— Jasne.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. No, mów.

Zerknął na nią spode łba, jak zawsze, gdy był zakłopotany.

— Zaczęło się kilka tygodni temu. Zawsze, gdy byłem w szopie, słyszałem takie dziwne odgłosy...

— Jakie odgłosy?

— No, właściwie to głosy. Zagadywały mnie. Myślałem, że to może jakieś dzieciaki się nabijają, ale za każdym razem sprawdzałem tył szopy i nikogo tam nie było.

— Brr, jak w horrorze.

— Właśnie, jak w horrorze. Ale w zeszłym tygodniu w końcu ktoś się pojawił.

— Kto? – Sunita przechyliła głowę, starając się sama wpaść na rozwiązanie zagadki.

Lee zawahał się i zaczął drapać po brodzie. Wreszcie zebrał się na odwagę.

— Wierzysz w krasnoludki?

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— Obiecałaś!

— Przepraszam, ale... To jakiś dowcip?

Speszony spojrział gdzieś w bok.

— No dobrze, już dobrze. – Pociągnęła go za rękaw. – I jak wyglądały?

— Jak krasnoludki! Właściwie to widziałem tylko jednego. No wiesz, był mały, miał czerwony kubraczek, brodę... Jak z obrazka w książce dla dzieci, którą kiedyś miałem.

Dopiero po dobrych dziesięciu minutach zaczęła traktować go

na serio.

— Niech ci będzie. – Nadal była rozbawiona. – Ostatnio działa się różne dziwne rzeczy. Dobra, wierzę ci, krasnoludki istnieją. Chowają się w cieniu pod krzaczkami poziomek.

— Ech, mogłem siedzieć cicho – westchnął Lee – śmieję się, ale mnie wysłuchaj. Z początku też myślałem, że zaczynam świrować, ale za każdym razem, gdy wchodziłem do szopy, krasnal tam był. Nie miałem wyboru. Musiałem uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Z czasem zaczęliśmy rozmawiać. – Chłopak zaśmiał się na samą myśl o tak nieprawdopodobnej sytuacji. – Opowiedziałem mu o tobie, o ojcu... po prostu o wszystkim.

— Pewnie się cały trząśł ze śmiechu – stwierdziła gorzko Sunita.

— Wcale nie, był miły. Powiedział, że krasnoludki zawsze opiekowały się zakochanymi. „Głupcami i młodymi kochankami”, tak to ujął. Właściwie to jedno i to samo, prawda? Tak czy siak, zwierzyłem mu się, że planuję wyjechać z miasta i powiedział, żeby się nie martwić, że wszystko się ułoży.

— A teraz gdzie się podział?

Lee zrobił zmartwioną minę.

— Nie wiem. Siedział tam cały tydzień. Może ukazuje się tylko pojedynczym osobom? – Przerwał swoje rozważania, bo zdał sobie sprawę, że brzmi to idiotycznie. – Pewnie przez Micka dostaję bzika.

— Już dawno to zauważyłam. – Odskokczyła, żeby nie mógł jej złapać, ale nie był w nastroju do przekomarzania i zaklął tylko. – Żartowałam – powiedziała natychmiast, chcąc zawrzeć rozejm. – Tyle że, wiesz, jako dziewczynka zawsze się zastanawiałam, czy tym krasnoludkom można tak właściwie ufać?



Mick Jonas obserwował ich przez okno. Wpierw weszli do szopy, jak nic na szybki numer, a potem odeszli w stronę drogi. Szybko wybrał numer z książki adresowej swojej komórki.

— luź sobie poszli. – Mówił z silnym miejscowym akcentem. Siedźcie ich, aż miniecie granice miasta, a potem zmuście do zjechania na pobocze. Co do tej pakistańskiej dziwki, daję wam wolną rękę, a Lee tylko spierzcie porządnie, żeby miał chłopak nauczkę. Przez chwilę słuchał, co ma do powiedzenia jego rozmówca. – Chcecie się nią zabawiać z benzyną? Dobra nasza. Byleby się chłopak nie poparzył. Stara by mnie zabiła.

Rozłączył się, zapalił papierosa i opadł tłustym cielskiem na fotel, na którym nikt inny z rodziny nie miał prawa siadać. Przepęniało go poczucie triumfu. Pieprzony miłośnik czarnuchów, lewacki bękart. Zawsze patrzył na niego z góry, ale teraz miał zobaczyć, kto tu tak naprawdę rządzi. Mick widział, jak młody wynosi z domu po kryjomu walizkę i chowa ją w bagażniku swojego rzęcha. Dobrze wiedział, co szczeniak planuje.

Mężczyzna przymknął powieki, delektując się świadomością, że oto przyczynia się do upadku znienawidzonego przez siebie społeczeństwa wielokulturowego. Ale kiedy chwilę później otworzył oczy, zobaczył coś, co tak go zszokowało, że nie mógł ruszyć się ani o milimetr. Coś przemieszczało się po trawniku, sunęło w jego stronę. Nie potrafił powiedzieć, co to takiego – zdawało się bezustannie zmieniać kształt, aż od patrzenia rozboleły go oczy – dostrzegł jednak, że było wyjątkowo

obrzydliwe. Chciał krzyknąć. Już zaczynały drgać mu struny głosowe, gdy dzieląca go od intruza szyba rozbiła się w drobny mak i Micka zasypały odłamki szkła. A potem to coś rzuciło mu się do gardła.



Maureen i Kelly wróciły z pubu pięć minut później. Do domu weszły na paluszkach – a nuż Mick drzemał na dole po kilku piwach. Dostałoby im się, gdyby go obudziły. Tuż po przekroczeniu progu Maureen pomyślała, że coś jest nie tak. W powietrzu dało się czuć dziwne napięcie, jak na chwilę przed burzą, i wszędzie jakoś tak dziwnie pachniało. Gdy Kelly zamknęła się w łazience, kobieta postanowiła zajrzeć do dużego pokoju.

Wpierw zauważyła rozbite okno i poczuła pod stopami odłamki szkła. Serce zaczęło bić jej szybciej. Czyżby było włamanie? A może to jedni z tych młokosów, którym nie podobała się działalność jej męża?

A potem spojrzała na ulubiony fotel Micka.

Nie była pewna, co tak właściwie widzi. Z czarnej kukły dobywał się jeszcze dym. Rzeźba z węgla drzewnego? Posąg. Posąg mężczyzny.

Poznała go, gdy podeszła bliżej, i pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślała, było to, jakim cudem nie spalił się i fotel. Do jej głowy cisnęły się miliony pytań.

A potem wydarła się na całe gardło.

— Nie mogę uwierzyć, że się na to zdobyliśmy! – Lee aż podskakiwał na siedzeniu z ekscytacji. Wjeżdżali właśnie na

wiodącą na południe autostradę.

— Przecież krasnoludek ci mówił, że się uda – zachichotała Sunita. Ścisnął jej kolano.

— Pomyśl, tylko ty i ja. Nareszcie wolni. Możemy teraz robić, co nam się żywnie podoba. Boże, jak ja cię kocham!

Uśmiechnęła się i posłała mu całusa. Była tak bezgranicznie szczęśliwa, że zwykłe gesty nie potrafiły tego wyrazić.

— Nastaly dziwne czasy, prawda? – spytała rozmarzona wyglądając przez okno. – Ludziom przydarzają się takie dziwne rzeczy. Ty spotkałeś krasnoludka, wuj Mohammed miał prorocze sny...

— Może to znak.

— Czego?

— Nie wiem. Nadziei. Ze będzie lepiej.

Pokręciła głową.

— Ach, ty nieuleczalny romantyku.

Życie było piękne.



# ROZDZIAŁ 1

## I CO TERAZ, KOCHANIE

**O**d ruin Kyle of Lochalsh nadal bit dym – nad wodą unosiły się szare jego kłęby, przesłaniając jaskrawą tarczę księżyca. Tu i ówdzie pobłyskiwały płomienie gasnących pożarów. Zapachy starego świata zastąpił swąd zgliszczy.

Po drugiej stronie cieśniny pomiędzy stałym lądem a Skye, na betonowym falochronie siedzieli Laura DuSantiago i Jack Churchill. Wiał lekki wietrzyk, słychać było szum fal – tylko potworny widok spalonego miasteczka nie pozwalał się zrelaksować. Oboje byli wyczerpani szaleńczą jazdą przez całą długość wyspy opuszczonym samochodem, który znaleźli w Kilmuir. Przed każdym zakrętem bali się, że lada chwila zostaną zaatakowani, a ich strach potęgowała tylko panująca wszędzie cisza. Po drodze nie spotkali ani jednego człowieka – mieszkańców Skye pozbyto się z równą łatwością co kolonii bakterii – ale nigdzie nie widać było trupów. Woleli nie myśleć, co Fomorianie zrobili z ciałami zamordowanych. Dojechawszy do cieśniny, doszli do wniosku, że Nocni Wędrowcy odpuścili sobie dalsze polowanie, co poniekąd było jeszcze gorsze niż życie w ciągłym strachu – uznano ich widać za nieszkodliwe istoty, którymi nie warto sobie zaprzętać głowy.

— Ech, mogło być gorzej. – Laura zmieniła pozycję na wygodniejszą i zatknęła za ucho niesforny kosmyk jasnych

włosów.

Church był blady jak ściana.

— Gorzej? Co ty wygadujesz?

— Sam pomyśl, nie musimy jutro iść do pracy.

Dziewczyna wpatrywała się w dogasające pogorzelisko z niezmiennym wyrazem twarzy, ale Church potrafił już się domyślać, kiedy żartowała. Nadal dziwnie mu się robiło na myśl, że są parą – bo chyba byli parą? Nie był do końca pewny, jak nazwać to, co czuł do Laury. Na pierwszy rzut oka nie mieli ze sobą nic wspólnego, ale najwyraźniej jakimś cudem coś między nimi zaiskrzyło. Po wielomiesięcznej żalobie, która zmroziła jego serce, miło było otworzyć je przed drugim człowiekiem. No i ten seks! Fantastyczny. Church miał tylko nadzieję, że nie jest to byle zauroczenie tak typowe dla czasu zagrożenia, ale nie było sensu łamać sobie teraz nad tym głowy. Prędzej czy później wszystko miało się wyjaśnić, wyklarować, był tego pewien. Z pewnym wahaniem wyciągnął rękę i ujął dłoń dziewczyny. Nigdy nie wiedział, czego się po Laurze spodziewać – obawiał się nieco, że odskoczy i wyzwie go od romantycznych głupców – ale nie. Jej chłodne palce zacisnęły się mocno. Ten gest dodał mu otuchy.

— Myślisz, że pozostali mają do mnie żal, że wszystko popsułem? – spytał dręczony wyrzutami sumienia.

— Nawet im to przez myśl nie przeszło. Może i wyglądają na kretynów, ale dobrze wiedzą, że jesteś przyzwoity – jak na skończonego matoła. Nie ma co się oszukiwać, jesteś tylko człowiekiem. Takim, co ukrywa pewne rzeczy przed przyjaciółmi, ale jednak człowiekiem. Czy można za to kogoś obwiniać?

Mimo tych słów pociechy, Church poczuł się jeszcze gorzej. Tuatha Dé Danann mieli rację tak surowo go oceniając – to przez

słabość jego charakteru ich misja zakończyła się porażką. Gdyby opowiedział innym o nocnych wizytach Marianny, o przyjęciu zatrutej róży, przez którą wzgardził nim Złoty Lud, może udałoby im się ocalić porządek starego świata.

— Znasz piosenkę *Beyond the Seal* — spytał, nie spuszczając wzroku z czarnych fal.

— Kolejny przebój jednego z tych starych białasów, za którymi tak przepadasz? Sinatry czy innego dupka?

— Bobby’ego Darina [(1936–1973) piosenkarz amerykański]. – Nie dał się sprowokować. – Jej tekst to najlepsza metafora śmierci, jaką kiedykolwiek słyszałem. To taka prosta, niepozorna pioseneczka, ale kiedy przyjrzeć się jej pod tym kątem, zyskuje na głębi. – Zaśpiewał kilka taktów: – *Somewhere beyond the sea, somewhere waiting for me, my lover stands on golden sands* [(ang.) „Gdzieś tam za morzem, gdzieś tam, czekając na mnie, ma ukochana stoi na złotych piaskach”]. Smutne, a zarazem optymistyczne. Wiesz, nigdy wcześniej tego nie zauważyłem, nie zwróciłem uwagi na to, że to o śmierci i tym, co cię po niej czeka.

— A może doszukujesz się w prostej, niepozornej piosence drugiego dna? – W głosie Laury nie było jednak słyhać sarkazmu i Church zerknął na nią zdziwiony. Dziewczyna siedziała nieruchomo pogrążona w myślach, a kiedy znów się odezwała, zrobiła to z nietypową dla siebie nieśmiałością. – Co czujesz?

— Względem czego?

— Tak ogólnie. Tyle się działo... – Temat był tak trudny, że nie wiadomo było, od czego zacząć.

— Biorąc pod uwagę, co mi się przytrafiło, czuję się naprawdę nieźle. Jakoś inaczej, ale nie wiem dokładnie dlaczego. Czasem klątwa Fomorian bierze górę i przeszywają mnie takie zimne

dreszcze, a czasem mam wrażenie, jakby w moich żyłach zamiast krwi płynęło złoto. To oczywiście zasługa kotła Złotego Ludu. Poza tym jestem po prostu sobą.

— Pewnie można dostać kręčka od tego, że się zmarło i zmartwychwstało.

— Tak.

Gdy nachodziły go złe myśli, zastanawiał się, czy w takim razie nadal jest człowiekiem. Czy nadal był żywy w ten sam sposób, co inni ludzie? Jak można było umrzeć i powrócić z za grobu? Jakież to blizny ów proces pozostawił na jego duszy, jeśli coś takiego jak dusza w ogóle istniało? I wreszcie, co miał teraz sądzić o innych regułach, którymi rządził się znany mu świat? Walczył z pesymizmem starając się sobie wmówić, że oto dostał szansę zostawić przeszłość za sobą, a wraz z nią wszystkie przejawy słabości. Mógł się stać nowym, silniejszym człowiekiem. Musiał tak myśleć, inaczej zupełnie by się złamał.

— Co się stało, kiedy już wyzionąłeś ducha? Pamiętasz coś? Laura najwyraźniej nie zamierzała odpuścić. Choć jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, coś głęboko w jej oczach mówiło Churchowi, że temat zaświatów jest dla niej bardzo ważny.

Powrócił myślami do chwili, gdy wykrwawiał się w strumieniu.

— Było tak, jakbym zanurzał się w ciepłej wodzie, jakbym bez końca się w niej zapadał.

W zamyśleniu pokiwała głową.

— A potem?

Skrzywił się.

— Nie pamiętam.

— Nic a nic?

Odchrząknął nieco zakłopotany.

— Nic, co by tworzyło jakąś spójną całość. I wszystko szybko blaknie. To jak opisywać sen.

— Więc coś jednak zostało ci w głowie?

— Tylko taka budowla przypominająca ogromny kościół – powiedział rozdrażnionym tonem. Mimo dobrych chęci nie potrafił się opanować. – Taka katedra. Gigantyczna, z iglicą gdzieś ponad chmurami. To wszystko.

— W porządku, nie będę cię dłużej dręczyć. – Zabrała się do wstawiania, ale przytrzymał ją za rękę. Uśmiechnęła się gorzko. – Wraca ci dobry humor? – Nim zdążył odpowiedzieć, zepchnęła go z muru i zeskoczyła w ślad za nim.



— Zastanawiałaś się już nad tym, co zrobili z tymi wszystkim trupami? – Ryan Veitch próbował właśnie wywarzyć tylne drzwi sklepiku spożywczego. Szło mu to nadzwyczaj sprawnie i wkrótce ustąpiły z głuchym trzaskiem.

— Staram się o tym nie myśleć. – Ruth Gallagher rozejrzała się niespokojnie. Zdawała sobie sprawę i z tego, że są jedynymi ludźmi na wyspie i z tego, że prawo niedługo przestanie obowiązywać, ale i tak włamując się czuła się nieswojo.

Veitch nie podzielał jej rozterek. Nie widziała wprawdzie, jaką ma minę, bo twarz przesłaniały mu długie włosy, ale mogłaby przysiąc, że świetnie się bawi. Jej przypuszczenia potwierdziły się, gdy zapalił latarkę – mężczyzna uśmiechał się od ucha do ucha.

— Ech, brakuje mi tej elektryczności – oświadczył.

— Może tym razem znikła na dobre – odparła Ruth ponuro.

Przełamała się i także weszła do środka. Pomieszczenie wypełniały palety z puszkami i kartony pełne opakowań płatków śniadaniowych. Pachniało pieczywem i owocami. – Starczy już tego gadania. Zabierzmy, co trzeba, i wynośmy się stąd.

— Ja tam lubię sobie pogadać. Poza tym nie ma się czego bać, nikt nas tu nie nakryje.

Ruth odepchnęła go na bok, wyjęła worek na śmieci i zaczęła ładować do niego paczki muesli.

— Może powinniśmy zostawić właścicielowi liścik? Wyjaśnić, dlaczego musieliśmy się włamać, obiecać, że zwrócimy pieniądze.

Veitch prychnął.

— Dziewczyno, przejrzyj wreszcie na oczy. Ten facet tu już nie wróci. Żaden z mieszkańców nie wróci. Kiszą się teraz w spiżarni Fomorian.

Ruth rzuciła mu zagniewane spojrzenie, ale szybko wróciła do ładowania worka, byle tylko odgonić natrętne myśli.

Veitch pomagał jej jakiś czas bez specjanego zaangażowania, po czym ni stąd, ni zowąd zapytał: – To jak będzie, pogodzimy się kiedyś?

— Muszę cię tolerować. Jesteśmy w jednej drużynie, nie mam wyboru.

— To za mało.

Zdenerwowała się.

— Jak...

— Nie, posłuchaj mnie – przerwał jej. – Wiem, że mam wiele na sumieniu, ale nie możesz obwiniać mnie bez końca o śmierć swojego ojca.

— Co ty wygadujesz! Zastrzeliłeś mojego stryja! – Obróciła się ku niemu raptownie, zahaczając łokciem o pudło, z którego

wysypały się opakowania płatków Kelloggsa. Nie potrafiła już dłużej ukrywać burzących się w niej emocji. Łzy same napłynęły jej do oczu, starała się usilnie nie wybuchnąć płaczem. – Przepraszam – wykrztusiła wreszcie. – Słyszałam, co powiedział ten Danann.

— No właśnie! To nie była moja wina. Zmusili mnie do tego, wszystkich nas tak załatwili.

Ruth przypomniało się, jak bardzo się przeraziła, usłyszawszy z ust wysłannika Złotego Ludu, że to jego rasa zesłała wszystkie te nieszczęścia, by przygotować wybrańców do stojącego przed nimi zadania.

— Może i jestem skończonym draniem, którego wychowała ulica, ale nigdy wcześniej ani nigdy później nikogo nie zaciukałem! To nie w moim stylu. Żebyś tylko wiedziała, jak mnie wcięło, gdy kapnąłem się, że zabiłem twojego stryjaczka. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Słuchaj, chcę bardzo, zawsze chciałem, zrobić z swoim życiem coś dobrego, służyć jakoś ludziom, czy jak to nazwać. Rozumiesz, co mam na myśli? Ale nawet, jak się staram, nic z tego nie wychodzi. Po prostu chcę wreszcie mieć szansę pokazać, na co mnie stać.

Powiedział to tak błagalnym tonem, że Ruth chcąc nie chcąc poczuła, że mu współczuje.

— Naprawdę ciebie lubię – ciągnął. – Wszystkich was lubię. Myślicie o dobru innych, jesteście tacy odważni, tacy... prawi. Nigdy przedtem nie miałem z takimi ludźmi do czynienia. Nie chcę, żebyście mieli mnie tylko za złodzieja i chuligana.

Ruth przez dłuższą chwilę przyglądała się uczuciom malującym się na jego twarzy, a potem powróciła do pakowania płatków.

— No dobrze – powiedziała. – Przebaczam ci. Ale ot tak z dnia

na dzień o wszystkim nie zapomnę.

— Wiem. Najważniejsze, że dasz mi szansę.

— Daję ci szansę.

Czuła, że jej towarzysz wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę to powiedziała. Wyjął drugi worek i zabrał się ochoczo do pracy. Wyszli ze sklepu, zapakowawszy dość jedzenia na następne kilka dni. Nagle, gdy wyłonili się z rzucanego przez budynek cienia, niebo przeciął ciemny, groźny kształt. Veitch odrzucił natychmiast worek, gotowy się bronić.

— Alarm odwołany – zawołała Ruth. Na jej ramieniu wylądowała wierna sowa. Kobieta zerknęła kątem oka na ostre pazury ptaka i przechyliła głowę, bojąc się, że ten zacznie bić skrzydłami. Po raz pierwszy podleciał tak blisko, że mogła go dotknąć. Mrugając, sowa przyglądała się uszczęśliwionemu Veitchowi.

— Jak go nazwałaś? – Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać przybysza, ale ptak kłapnął ostrzegawczo dziobem, zmuszając go do cofnięcia dłoni.

— A kto mówi, że to samiec?

— No to spróbuję inaczej. Jak ma na imię?

— Nie ma imienia. – Ruth zawahała się. – A przynajmniej ja go nie znam.

— Nie uważasz, że powinien mieć jakieś imię? Powinna. Powinno. Jest członkiem drużyny.

— Może samo mi kiedyś powie. – W oczach kobiety pojawiły się figlarne ogniki.

Veitch przyjrzał jej się uważnie, ale nie potrafił zdecydować, czy się z niego wyśmiewa, czy też mówi na serio. W końcu, wybrawszy tę pierwszą opcję, uśmiechnął się kpiąco.



— Wiedźma.

— Kretyn – odcięła się jak dziecko.

Przez dłuższą chwilę oboje mierzyli się wzrokiem, po czym jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Z workami zarzuconymi na plecy ruszyli w kierunku portu.

— To co potrafisz robić, czarownico?

Ruth wzruszyła ramionami.

— Jeszcze nie wiem. To trochę tak, jakby od urodzenia żyło się w przekonaniu, że jest się mężczyzną, a potem ktoś uświadomił ci, że tak naprawdę jesteś kobietą. Jak się teraz w tym wszystkim połapać? Jak pogodzić się z faktem, że jest się wybrańcem bogów?

— Brzmi fajnie, ja tam bym nie miał nic przeciwko.

— Gdyby dotyczyło to ciebie osobiście, szybko zmieniłbyś zdanie. Ja czarownicą? Kiedy trudno mi pojąć nawet to, że świat się zmienił? Wszystko teraz podlega zupełnie nowym zasadom, nie obowiązują już najbardziej podstawowe prawa. Ta kobieta, którą poznałam w Krainie Jezior...

— Ta wiedźma-amatorka?

— Tak, ta fanka New Age. Od lat praktykowała pewne rytuały i nic z tego nie wynikało, aż tu nagle, kilka miesięcy temu odkryta, że jej zaklęcia działają!

— Jakie zaklęcia?

— Na zmianę pogody, na władanie zwierzętami... – Ruth przypomniał się jej szalony, nocny lot i zaskoczyło ją to, jak bardzo chciała jeszcze raz przeżyć coś podobnego. – Nie sądzę, żeby wiązało się to z posiadaniem jakichś szczególnych mocy. Po prostu można kontrolować pewne siły w przyrodzie, tak jak fizycy kontrolują energię atomową. Trzeba wpierw nauczyć się, jak to robić.

— Próbowalaś już?

— Nie za bardzo. Mam pewne opory.

— Czytałem, że w ramach takich rytuałów często uprawia się seks. – Veitch patrzył gdzieś w bok, ale Ruth wyczuła, że mężczyzna uśmiecha się łobuzersko.

— Nawet o tym nie myśl. Jeszcze jesteś u mnie na próbnym.

— Tak tylko mówię. Gdybyś kiedyś potrzebowała partnera...

— Dzięki, ale prędzej chyba wykołę sobie oczy.

Wiatr zmienił na moment kierunek i wszechobecny smród zgliszczy zastąpiła woń trawy i słonawy zapach morza. Przystanąwszy, oboje nabrali w płuca powietrza.

Tom dorzucił do stosu kolejne połamane krzesło i z ogniska trysnął w niebo snop czerwonych iskier. W okrągłych okularach wędrowca odbijała się luna płomieni. Shavi siedział po turecku przed wejściem do swojego namiotu, ze wzrokiem wbitym w sam środek buchającego gorącym stożka. Znieruchomiały, przypominał piękną azjatycką rzeźbę. Tom cofnął się i, ocierając pot z czoła, zerknął dyskretnie na swojego kompana.

— To straszne doświadczenie, ale z pewnością wiele cię nauczyło – powiedział, poprawiając swój koński ogon.

Shavi zamrugał gwałtownie, jakby dopiero co go zbudzono.

— Jak na razie niewielka to dla mnie pocięcha.

— Za wiedzę zawsze trzeba zapłacić pewną cenę. Jako początkujący szaman uczyniłeś wielki krok naprzód. – Tom usiadł nieopodal, jednak na tyle daleko, by nie naruszać niewidzialnej bariery, jaką jego kompan stworzył wokół siebie.

— Mam wrażenie, że coś głęboko we mnie pękło. Coś w mojej głowie. Nie wiem co, po prostu czuję się inaczej, gorzej.

— Przełałeś swoją świadomość, swoje ja, w obce ciało, na bezrozumną bestię. To niewątpliwie osiągnięcie godne

największej pochwały. Niestety, jego skutki będą ci się dawać jakiś czas we znaki.

— Wolałbym nie drążyć dłużej tego tematu. – Shavi zamilkł, by odezwać się dopiero po kilku minutach: – Wybacz, postępuję samolubnie. To, czego doświadczyłem, to nic w porównaniu z twoimi przeżyciami. Wiele wycierpiałeś przez te wszystkie stulecia.

— Ech, wcale nie spędziłem w Zaświatach kilku stuleci – zachnął się Tom. – Chociaż rzeczywiście czasami każda minuta wydawała mi się godziną.

— Też dowiedziałeś się tam wielu rzeczy, i co, było warto?

Starszy mężczyzna odwrócił głowę i spojrział w mrok.

— Czy potrafisz przewidzieć, co nas czeka, Wierny Tomaszu? Shavi położył się na trawie, by móc obserwować gwiazdy. Niewiele ich było, niebo nadal przesłaniał dym, ale pogrążony w głębokiej depresji chłopak i tak nie mógł w pełni cieszyć się ich widokiem. Serce mu się ścisnęło z żalu, na myśl, że jest emocjonalnym kaleką.

— Czekają nas ciężkie czasy.

— To wie nawet Ryan.

— Nie widzę biegu wydarzeń wyraźnie, jak w filmie. Tylko urywki, migawki, pojedyncze sceny. Wolę nie zdradzać zbyt wiele. Próba interpretacji takich obrazów może wpłynąć negatywnie na czyjeś postępowanie.

— Czy wiesz, kto jak umrze? – spytał Shavi głosem bez wyrazu.

Tom nie odpowiedział.

Chwilę później dobiegły ich uszu wesołe głosy pozostałej czwórki. Zbliżali się od strony portu. – Church obejmował Laureę, Ruth i Veith nieśli worki z prowiantem. Wszyscy śmiali się z jakiegoś dowcipu.

— No, Tom – zawołała Laura. – Uśmiechnij się, człowieku. Nie bój się, nie zrobi ci się od tego więcej zmarszczek.

Zignorował ją.

Shavi rozpogodził się nieco.

— Co mamy na kolację?

Ruth zajrzała do swojego worka.

— Fasolę, sałatkę owocową, muesli i makaron. Razem lub osobno.

— Sięgaj prędko po swój kocioł, dziewczyno – docięła jej Laura.

— Jest też mięso dla tych, którzy je jadają. – Tom wskazał na truchła bażantów leżące na skraju obozu.

— Jak ci się udało je złapać? – spytał zadziwiony Veitch. Chcąc sprawdzić, jak zginęły ptaki, podniósł jednego za łapy.

— Nie zadawaj mu takich pytań – ostrzegł go Church. – Będzie miał pretekst, żeby znów zacząć zachowywać się równie tajemniczo co Yoda.

— Fajnie, uwielbiam dziczyznę. – Veitch odrzucił ptaka. Zniesmaczona Laura zmarszczyła nos.

Gdy Tom oporządzał bażanty, Ruth sięgnęła po przybory kuchenne wyniesione z miejscowego sklepu z artykułami turystycznymi. Z tego samego źródła pochodziły także dodatkowe namioty. Sprawivszy ptaki scyzorykiem, Tom upiekł je sprawnie nad ogniem, a Veitch w tym samym czasie ugotował makaron i podgrzał fasolę.

Po posiłku siedzieli jakiś czas w milczeniu wsłuchani w trzask płomieni. Pierwszy odezwał się Church i z przychylniej reakcji pozostałych wywnioskował, że tego właśnie od niego oczekiwali.

— Uważam – zaczął – że nadszedł czas zastanowić się nad tym, co dalej.

— Rozważmy wszystkie opcje – zaproponowała Ruth z powagą. Skupiona mina prawniczki świadczyła niezbicie o tym, iż jej analityczny umysł podjął się rozwiązania wszystkich piętrzących się przed nimi problemów.

— Jestem za tym, żebyśmy się trochę poszwendali i poobijali. To numer jeden na mojej liście. – Laura zaczęła odliczać na palcach. Możemy też postarać się znaleźć jakąś fajną plażę na odludziu. Przeprowadzić się promem do Francji. Albo naćpać się po same uszy i odlecieć na te kilka dni, które nam jeszcze zostały. Co jeszcze? – Zamyśliła się. – Możemy też schować głowy w piasek.

— Albo – przerwał jej Veitch – zrobić to, co do nas należy.

— Czyli co? – zadrwiła dziewczyna. – Napaść na bank?

Shavi pochylił się do przodu. W jego ciemnych oczach nie odbijały się ciepłe barwy buzujących płomieni.

— Jesteśmy Braćmi i Siostrami Smoków. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie możemy się wypierać naszego dziedzictwa. Równie dobrze moglibyśmy próbować wyprzeć się życia. Może nie poszło nam najlepiej, ale to my jesteśmy wybrancami. Cięży na nas niesłychana odpowiedzialność.

— Mów za siebie – burknęła Laura.

— Na czym polega nasze zadanie? – spytał Church, choć odpowiedź była oczywista.

Shavi oblizął wargi.

— Mamy przeciwstawić się siłom pragnącym upadku ludzkości. Dawać innym nadzieję. Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie nam za to zapłacić.

— A bardziej po ludzku – wtrącił Veitch – przegonić drani albo zginąć z honorem.

— John Wayne dla ubogich – mruknęła Ruth, wywracając oczami. Zapadła grobowa cisza. Dopiero Laura odważyła się

powiedzieć głośno to, co wszystkim ciążyło na sercu: – Spójrzcie tylko na nas. Nie mamy szans.

— Wiem – zaczął Church – że to idiotyczne porównanie, ale mrówka jednak potrafi unieść ciężar wielokrotnie przewyższający jej własny. Dawid pokonał Goliata...

— Świetnie. – Laura uśmiechnęła się krzywo. – A teraz może wrócimy z powrotem na ziemię?

— Na pewno jest jakieś wyjście – oświadczył z przekonaniem w głosie Veitch. – Nie musimy chodzić w glorii jak Siedmiu Wspaniałych. Możemy uprawiać partyzantkę. Możemy...

— ...sięgnąć po magię – dokończył za niego Church. – Zgodnie z duchem nowych czasów. Kto wie, z jakich mocy jesteśmy w stanie korzystać, jakie przedmioty jeszcze znajdziemy.

Nadal czuł się nieswojo, wiedząc, że obdarzone potężną mocą insygnia znajdują się w rękach rasy tak nieprzewidywalnej jak Tuatha Dé Danann.

— Partyzantka? – podchwyciła Ruth. – To mi się podoba. Potraktujmy nasze słabe strony jak zalety. Możemy przemieszczać się szybko, uderzać z zaskoczenia i wycofywać się chyłkiem, zanim jeszcze przejdą do ataku.

— Spadliście z księżyca? – oburzyła się Laura. – Jeśli będą chcieli, pokonają nas jednym palcem.

— Dałabyś spokój. – Ruth zwróciła się teraz do pozostałych. Wszyscy wiemy, co nas czeka, prędzej czy później.

Spuścili głowy.

— Ktoś musi to powiedzieć.

— Wyobraźmy sobie, że ktoś już to powiedział, dobra? – przerwała jej Laura. Starła się, żeby zabrzmiało to jak kolejna sarkastyczna uwaga, ale w jej głosie pobrzmiwała nowa nuta: strach.

Ruth przyjrzała się uważnie każdemu z kompanów.

— Zamierzają wskrzesić Balora. Jeśli ich nie powstrzymamy...

— Dlaczego my? – Laura porzuciła swą buńczuczną pozę.

— Ależ po to właśnie się zesłiśmy – odparł cicho Shavi. – To w tym zadaniu ma wspomóc nas Duch Pendragona, ta tajemnicza więź, której natury żadne z nas do końca nie rozumie. Zostaliśmy naznaczeni, by bronić kraju przed wszechmocnym wrogiem.

Laura wykrzywiła twarz.

— Jeśli w to wszystko wierzysz...

— A ty nie wierzysz? – obruszył się Veitch.

— Wiecie co? Ja tam wcale nie czuję, żeby zaszła we mnie jakaś przemiana. Oszukujecie się tylko, zgrywacie herosów. Jesteśmy normalni aż do bólu. Niektórzy z nas są nawet trochę nienormalni. Powiem więcej, jesteśmy słabi i żałośni. Chyba dojdzie to do was dopiero na sekundę przed nędnym końcem w rynsztoku. – Twarz Laury nie zdradzała żadnych emocji, było widać, że dziewczyna nie da zbyć się byle czym.

Przez dłuższą chwilę słyhać było tylko buzujący ogień. Pierwszy odezwał się Tom: – To żaden wstyd bać się Balora. Nie należy on do rasy Fomorian. Calatin czy Mollecht przerażają, ale przy odrobinie szczęścia można ich pokonać. A Balor jest dla Nocnych Wędrowców tym, czym oni są dla nas. Mają go za boga, ucieleśnienie zła, ciemności, chaosu, śmierci... – pokręcił głową. – Balor to coś więcej niż żywioł, to abstrakcja, która zyskała formę, pojęciem, które reprezentuje, jest zaś zniszczenie. Znacie tego potwora wyłącznie z mojego opisu, ale widzę po waszych twarzach, że rozumiecie mnie aż za dobrze. Pamięć o nim żyje wciąż w najdalszych zakamarkach waszych umysłów. To pierwotny lęk przekazany wam przez pokolenia przodków, jego powrót oznaczać będzie koniec wszystkiego.

Nikt nie zabrał głosu. Siedzieli wsłuchani w wiatr gwizdający wśród wzgórz Skye. Wydawał im się teraz chłodniejszy niż jeszcze chwilę temu, noc z kolei nagle przerażała mrokiem.

— A zatem rzeczywiście nie mamy wyboru – powiedział Church.

Laura odwróciła się od ognia, żeby nie był w stanie zobaczyć wyrazu jej twarzy.

— Jakim sposobem zamierzają go wskrzesić? – spytała wreszcie Ruth.

— Przedstawiciele tych ras nigdy tak do końca nie umierają – wyjaśnił Tom. – Ich cielesna postać rozmywa się, ulatuje. Czasoprzestrzeń nie ma dla nich większego znaczenia. By ktoś powrócił, należy okiełznać i ściągnąć z powrotem jego cząstki. Jak to dokładnie wygląda? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Bardzo możliwe, że korzysta się z owych substancji, na których składy natrafiliśmy w Salisbury i pod Dartmoor.

— No to musimy powstrzymać drani, zanim zaczną odprawiać ten swój rytuał. – Veitch miał w sobie tyle szczerego optymizmu, że wszystkim odrobinę poprawił się humor.

— Tylko gdzie go będą odprawiać? – chciała wiedzieć Ruth. I kiedy?

— Możliwych dat – wyznał Tom – jest w kalendarzu zaledwie kilka. To prastare święta, dni koniunkcji mocy i woli. Najbliższe, Lughnasadh, celtyckie dożynki, przypada pierwszego sierpnia.

— Trzy miesiące... – Church zamyślił się na moment. – Mamy mało czasu. Z drugiej strony, ostatnim razem też tak było i jakoś się nam udało.

— Nie ma chwili do stracenia! – ostrzegł ich Tom. – To zadanie jest o wiele trudniejsze od poprzedniego. Do sierpnia esencja Balora zostanie zebrana, a Fomorianie ukrywać ją będą w



samym sercu swoich najbardziej niedostępnych twierdz. Dla nich to teraz najcenniejsza rzecz pod słońcem. Wyobraźcie sobie, że macie pod opieką duszę swojego jedyne boga – bylibyście gotowi jej bronić do ostatniej kropli krwi.

— W Krainie Jezior – przypomniało się Ruth – widzieliśmy gigantyczny plac budowy. Sądzisz, że to tam będą trzymać esencję?

Tom pokręcił przecząco głową.

— Z pewnością będzie to nowe, zupełnie nieznane nam miejsce. Podziemna forteca, niezwykle starannie chroniona.

Od strony wzgórz Cuillin nadciągnął porywisty wiatr. Smagane podmuchami ognisko sypnęło w niebo snopem iskier i wszyscy mimowolnie powiedli za nimi wzrokiem. Wpatrując się w bezmiar czerni nad swoimi głowami, poczuli nagle, że nic nie znaczą, a ich plany spełzną na niczym.

— To jak znaleźć ten skarb? – spytała Ruth. – Skoro zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby go ukryć, z pewnością nie natrafimy na niego ot tak.

Tom zamyślił się, kiwając potakująco głową.

— Niewątpliwie potrzebujemy wsparcia, jest takie jedno miejsce, mógłbym tam odprawić pewien rytuał...

— W takim razie musimy udać się tam jak najszybciej. – Church powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Wpatrywali się w niego z takim oddaniem, że poczuł się nieswojo. Nie miał ochoty przyjąć roli, jaką mu narzucano.

— A więc podjęliście decyzję? – spytała Laura retorycznie. Nadal skrywała kotłujące się w niej emocje. – Jak na razie mieliśmy szczęście. – Dłoń dziewczyny odruchowo powędrowała do blizn na twarzy. – Jeśli można nazwać szczęściem to, że otarliśmy się o śmierć. Ale prędzej czy później któreś z nas zginie,

a ja nie mam zamiaru być tą osobą.

— Nikt z nas nie... – zaczął Church, ale nie dała mu szansy dokończyć i poderwawszy się z miejsca, odeszła w noc. Mężczyzna machnął tylko ręką i westchnął. – Lepiej kładźmy się spać. Będziemy mogli wyruszyć o świcie.

Veitch i Shavi znikli posłusznie w swoich namiotach, a Tom zapalił skręta i także wyszedł poza granicę obozu. Zapasy haszyszu kurczyły się z dnia na dzień. Ruth usiadła bliżej Churcha i, chcąc mu dodać otuchy, otoczyła go nieśmiało ramieniem.

— Laura się boi – szepnęła.

— Wszyscy się boimy. Żałuję, że nie mam przy sobie nagrań Sinatry, zawsze podnosił mnie na duchu. – Deszcz meteorów nad ich głowami błysnął i zgasił na tle aksamitu nieba. – Pamiętasz, jak po tej całej historii pod mostem Alberta poszliśmy razem do baru? Spytałaś mnie, czy się boję, a ja nie wiedziałem wtedy nawet, jak to jest. Teraz lęk dopada mnie każdego ranka tuż po przebudzeniu: czy dziś znów coś spartaczę, czy zginę, czy mój świat jeszcze istnieje, czy kiedykolwiek będę miał szansę czuć się na powrót bezpieczny? – Zamilkł na moment. – Boję się, że w tym koszmarze nie ma miejsca na ideologię czy wiarę. Jesteśmy tylko zwierzyną dla stojących wyżej w łańcuchu pokarmowym. I boję się, że po śmierci trafimy w takie samo bagno.

— Za dużo główkujesz. – Ruth przytuliła go na sekundę mocniej, po czym cofnęła rękę. – Pamiętam tę rozmowę w barze. Boże, wydaje się, że to było wieki temu, prawda? Nic o tobie wtedy nie wiedziałam.

Church nie potrafił określić po tonie głosu kobiety, co właściwie ma na myśli, podniósł więc głowę, żeby przyjrzał się jej uważniej. Z uśmiechem na twarzy wpatrywała się w

dogasające płomienie ogniska.

— Jeśli brak ci nadziei, spójrz na naszą sytuację pod innym kątem – ciągnęła Ruth. – Na pierwszy rzut oka nic nie ma sensu: cierpimy, umieramy z niepokoju, ale z drugiej strony, moje życie na przykład daje mi teraz więcej satysfakcji niż kiedykolwiek przedtem. Pracowałam w zawodzie, którego nienawidziłam, tylko po to, by spełnić marzenie ojca. Machinalnie wykonywałam wszystkie niezbędne czynności. Nie miałam pojęcia, kim tak naprawdę jestem i czego pragnę. Teraz wszystko przeżywam intensywniej, pełniej. Nawet najmniejszy drobiazg wyzwala we mnie silne emocje. Nie mam w zwyczaju posługiwać się wydumanymi metaforami, ale można by rzec, że wcześniej byłam po prostu martwa. Może o to właśnie w tym wszystkim chodzi.

— Może – mruknął bez przekonania, choć dobrze wiedział, co kobieta ma na myśli.

— Mam też wrażenie, że poznanie was bardzo mnie wzbogaciło wewnątrz. Nawet z tymi członkami drużyny, za którymi nie przepadam, łączy mnie silniejsza więź niż z kimkolwiek z poprzedniego życia. Tyle się nauczyłam... – Uśmiechnęła się do swoich myśli.

— Czego, na przykład?

— Rozumiem już, czym jest przyjaźń. – Przypomniała sobie o czymś widocznie, bo spochmurniała. – Nie wiem, jak to dokładnie wyrazić... Przez tyle jeszcze będziemy musieli przejść razem. Przyjaźń wydaje mi się w takich okolicznościach czymś wyjątkowo ważnym.

Church uśmiechnął się zachęcająco, żeby pomóc Ruth odgonić złe myśli.

— To powiedz, czym jest dla ciebie przyjaźń?

— To bycie gotowym oddać życie za drugą osobę.

— jeśli zachowamy ostrożność, nikt z nas nie będzie musiał stanąć przed podobnym wyborem.

— Proszę cię, Church, nie rób ze mnie idiotki. Dobrze wiesz, że jeśli podejmiemy się tego zadania, kilkoro z nas z pewnością przypłaci to życiem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy zginiemy.

Coś w jej oczach nie pozwalało mu oderwać od niej wzroku.

— Ty też się zmieniłeś – dodała. – Na wiele różnych sposobów. Dojrzałeś. A to wszystko w zaledwie parę tygodni.

— Ech, wiesz, jak to jest. Potrzeba matką wynalazków. Musiałem odnaleźć w sobie to i owo.

— To smutne, że trzeba stracić niewinność.

Z pozoru była to uwaga ogólnej natury, ale Church poczuł, że to o nim mowa.

— Nie sposób zachować niewinności, gdy staje się twarzą w twarz z okrucieństwem, poświęceniem i śmiercią. Dla mnie punkt przełomowy nastąpił, kiedy dowiedziałem się, że to ci dranie stali za zabójstwem Marianny. Żeby wyrobić we mnie charakter! – dodał z gorzką ironią w głosie.

— Nie zamartwiaj się tym niepotrzebnie.

— Nie ma takiej obawy. Pozwoliłem sobie na to po jej śmierci, myśląc, że to ja w jakiś sposób doprowadziłem ją do samobójstwa. Ale to już się nie powtórzy. Zamierzam odnaleźć mordercę Marianny i wziąć na nim odwet, ale nie pozwolę, żeby pragnienie zemsty zdominowało moje życie. Rzeczywiście, zmieniłem się. Nabrałem do wszystkiego dystansu. – Church wyczuł, że Ruth nie podoba się zbyttno takie podejście do sprawy, ale nie dbał o to. – Nie jestem głupi. Czytałem klasyków i nie chcę skończyć jako szalony mściciel. Ale każde z nas

wycierpiało dostatecznie dużo, by domagać się jakiegoś zadośćuczynienia.

Ognisko już dogasało, robiło się coraz chłodniej. Przy takiej temperaturze trudno było uwierzyć, że do lata pozostało ledwie kilka tygodni.

— Ciekawa jestem, co się z nami stanie. – Ruth zrobiła strapioną minę.

Wszyscy znali prawdopodobny scenariusz, ale Church poczuł się w obowiązku coś powiedzieć.

— Damy z siebie wszystko, nie zważając na konsekwencje.

Rano powitała ich piękna pogoda i rześkie powietrze. Pożary na łądzie niemal w zupełności wygasły i tylko gdzieniegdzie błękit nieba szpeciły pojedyncze smużki dymu. Shavi, który wstał pierwszy, natychmiast udał się nad brzeg cieśniny, by przez dłuższą chwilę lustrować wody dzielące Skye od ruin miasteczka. Powróciwszy do obozu, gdzie pozostali szykowali już śniadanie, mężczyzna oznajmił, że wąż morski, który do niedawna strzegł wstępu na wyspę, najwyraźniej oddalił się wraz z Fomorianami. Tylko Ruth dostrzegła malujący się na twarzy Azjaty wyraz ulgi.

Po mało atrakcyjnym posiłku złożonym z muesli i wody, znaną na nabrzeżu łodzią, z Tomem za sterem, przeprawili się na drugi brzeg. Porzucona poprzedniego dnia furgonetka stała tam, gdzie ją zostawili. O dziesiątej pędzili już wyludnioną drogą na północ. Dziesięć mil za Kyle of Lochalsh spostrzegli naprawiającego ogrodzenie rolnika, a dalej kolejne, coraz liczniejsze oznaki życia. Z czasem wspomnienie zgliszczy zaczęło wydawać im się tylko złym snem.

Zatrzymali się w miejscowości Achnesheen, żeby w miejscowym pubie zjeść lunch, ale z budynku wygonił ich sam właściciel, wspomagany przez kilku klientów. Dlaczego ich tak

potraktowano, dowiedzieli się na pobliskiej staromodnej stacji benzynowej. Rumiany pan z obsługi wyjaśnił im, napełniając bak furgonetki, że po okolicy chodzą pogłoski, jakoby stan wojenny wprowadzono ze względu na szerzącą się po kraju zarazę, a cenzura mediów miała za zadanie przeciwdziałać panice. Czego to epidemia, nikt dokładnie nie wiedział. Sam informator nie wierzył w te plotki. Wśród jego znajomych panowało z kolei przekonanie, że to „te kanalie w rządzie i parlamencie” pokazały wreszcie swoją prawdziwą twarz, używając sztucznie wywołanego kryzysu jako zasłony dymnej, aby móc zrezygnować z demokratycznego sprawowania władzy. Według mężczyzny, wszystko zaczęło się od zaostżenia przepisów dotyczących posiadania broni. Tragedia w Dunblane [*miejsowość w Szkocji; w 1996 roku psychopata wtargnął do miejscowej szkoły i zastrzelił szesnaścioro dzieci*] była tylko wymówką, tak naprawdę chodziło o zmniejszenie szans na wybuch zbrojnego powstania. Ale – tu ich rozmówca ściszył znacząco głos – kilku gospodarzy z okolicy nie zwróciło śrutówek i trzymało je w gotowości „na przybycie żołnierzy”. Tu mężczyzna doszedł do wniosku, że zbyt się rozgadał i zapłatę za paliwo przyjął już bez słowa.

Jednakże, im dalej zapuszczali się na północ, tym ludność zdawała się być mniej świadoma zmian, jakie ostatnio zaszły w kraju. Gdy zatrzymali się w pewnym obojętnym, aby zaopatrzyć się w mleko, bekon i jaja, sprzedająca im te produkty kobieta okazała się nie mieć zielonego pojęcia, że wprowadzono stan wojenny.

— Nie mamy telewizora – oświadczyła z silnym szkockim akcentem – a w polu za dużo teraz roboty, żeby słuchać radia.



Ostatnim etapem podróży był przejazd przez rezerwat Beinn Eighe prostą jak strzała szosą obrośniętą z obu stron przez sosnowy bór i kępy kolcolistu. W tej zupełnej dziczy na powrót poczuli się nieswojo. Zdawało się, że za wszystkie popełnione przez siebie zbrodnie ludzkość została przepędzona z tych terenów przez gniewną, okrutną przyrodę. Nowi mieszkańcy, darzący większym szacunkiem prawa, jakimi rządzi się natura, niemiłym okiem spoglądali na podróżnych zapuszczających się w ten ciemny gąszcz. Od czasu do czasu, w cieniu drzew dało się zaobserwować pewne poruszenie albo też ciszę przerywały niepokojące odgłosy, niepodobne do tych wydawanych przez znane wędrowcom zwierzęta.

Nastrój poprawił się nieco, gdy dojechali do Loch Maree. Jego wody były tak czyste i tak spokojne, że miało się wrażenie, jakby na ziemię spadł kawałek nieba. Krajobraz zapierał dech w piersiach. Brzegi jeziora wznosiły się stromo przechodząc w skąpane w słońcu wzgórza o zboczach nakrapianych fioletem rzucanych przez chmury cieni. Co jakiś czas wśród skał połyskiwał spieniony wodospad.

Wkrótce potem dotarli do Gairloch, niewielkiej osady rybackiej położonej nad głęboko wgryzającą się w ląd zatoką. Było późne popołudnie. Po niebie kołowały setki hałaśliwych mew, a zapach dzisiejszego połowu mieszał się ze słonawą wonią wyrzuconych przez morze wodorostów. Choć w porcie znajdowało się sporo wciągniętych na przyczepy łodzi, leniwą atmosferę zakłócał jedynie nieprzerwany szum fal.

Zaparkowawszy nieopodal niepozornego mola, Veitch

wygramolił się z furgonetki i zaczął rozciągać obolałe mięśnie, przyglądając się otaczającym wioskę zalesionym pagórkom.

— Myślałem, że jedziemy do jakiegoś super ważnego miejsca. Kogo niby mamy spotkać w tej dziurze?

— Właśnie – Ruth zwróciła się do Toma. – Może wreszcie przestaniesz trzymać nas w niepewności?

— Ten stary pryk trzyma nas w niepewności do ostatniej chwili, bo dobrze wie, że gdyby od razu zdradził nam wszystkie swoje sekrety, zaraz byśmy go odstawili do najbliższego domu starców. – Laura poprawiła okulary przeciwsłoneczne, z rozmysłem unikając srogiego spojrzenia Wiernego Tomasza.

— Musimy zaczekać z rytuałem, aż nadejdzie odpowiednia pora oświadczyć chłodno mężczyzna. – Gdybyście mieli w sobie choć odrobinę cierpliwości i byli gotowi słuchać, może nawet nauczylibyście się czegoś pożytecznego. Mamy czas do zachodu słońca, ale nie będzie okazji ponarzekać na nudę.

Rozładowawszy i rozdzieliwszy pomiędzy siebie sprzęt turystyczny, ruszyli pieszo w głąb wcinającej się pomiędzy wzgórza doliny. Szli tak dwie godziny, pod koniec słaniając się ze zmęczenia. Cały ten czas rozglądali się także bacznie, obawiając się ataku. Wspiąwszy się ponad linię lasu, rozbili obóz na zalanej słońcem łące, podziwiając rozpościerający się w dole widok. Shavi usadził nad ogniskiem jaja na bekonie, a dla wegetarianki Laury przygotował tosty z fasolą. Zgłodniiali, pochłonęli posiłek w mgnieniu oka.

Tom z właściwą sobie irytującą obcesowością unikał odpowiedzi na zadawane mu pytania. Dopiero gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, poprowadził ich wśród rozsianych po trawie skalnych wypiętrzeń, gdzie jedynie cichy gwizd wiatru zakłócał ciszę. W końcu, pokonawszy kolejne wzniesienie,



zobaczyli przed sobą pozostałości kamiennego kręgu.

Na pierwszy rzut oka trudno było się zorientować, z czym ma się tu do czynienia. Niewtajemniczonym kromlech mógł wydać się dziełem natury, a iluzję tę potęgował fakt, iż część głazów, tkniętych zębem czasu, nie stała już w pionie. Luka wśród drzew pozwalała obserwować znikające za horyzontem słońce. Bracia i Siostry Smoków rozumieli doskonale, czym kierowali się ich przodkowie, wybierając właśnie to miejsce. Samo obcowanie z surowym pięknem natury wprawiało w stan nabożnej zadumy. Gdy tylko dostrzegli krąg, urwały się rozmowy, a wszyscy odruchowo pochyłili z szacunkiem głowy. Na metr przed pierwszym kamieniem Church ukląkł zniecacka i rozpostartą dłońią przejechał po trawie. Między ziemią a czubkami jego palców wnet przeskoczyła błękitna iskra.

— Zgadza się – powiedziała Ruth. – Czy nie czujecie?

Shavi odrzucił głowę do tyłu, przymykając oczy.

— Tak – szepnął z błogim uśmiechem. – To moc ziemi.

Ruth rozejrzała się z ciekawością.

— Jeszcze kilka tygodni temu nic nie czułam w tych starożytnych miejscach kultu. A teraz! W nogach, w rękach czuję takie łagodne łaskotanie. Tak mi się nagle zrobiło...

— ...lżej na sercu – dokończył za nią Tom. – Wasze doświadczenia wzmocniły Duch Pendragona. Jako że pochodzi on z tego samego źródła, co moc ziemi, nic dziwnego, że staliście się wrażliwsi na jej działanie.

— Mówisz, że duch w nas rośnie w siłę? – spytał zafascynowany Shavi. – Ciekawe, co z tego wyniknie...

Tom uśmiechnął się enigmatycznie.

— Tysiące lat temu, gdy błękitny ogień pulsował w żyłach ziemi, wszyscy ludzie doświadczali tego, czego wy teraz. I może

jeszcze kiedyś będzie im to na powrót dane. Jeśli tylko zbudzicie śpiącego króla.

Przeszli do serca kręgu i powiedli wzrokiem dookoła. Poza szumem wiatru ich uszu nie dochodził żaden dźwięk. Nałana szkarłatem kula znikła z wolna za odległym pasmem wzgórz. Niebo, krwistoczerwone nad linią horyzontu, wyżej przechodziło z fioletu w głęboki granat.

— Wokoło nie ma żywej duszy – jęknął Veitch. – Będziemy tak tutaj siedzieć, aż ktoś się łaskawie zjawi?

— Nie – odparł Tom. – Zaraz przyzwiemy Gruagachy i poprosimy je o pomoc.

Zapowiedzi tej nikt z grupy nie przyjął z entuzjazmem. To Church ośmielił się głośno sformułować dręczące ich obawy: – Mam dosyć tego, że jakieś nadprzyrodzone istoty nami manipulują.

— Nie martw się – uspokoił go cierpko Tom. – Tym razem to nasi.

— Co masz na myśli?

Tom wskazał na krąg.

— Miejsce to służy do takich spotkań, odkąd ludzie przybyli na te ziemie. Widzicie tamten głaz? To ciach na Gruagach, jeden z kilkunastu o tej nazwie rozsianych po całej Szkocji. Mało kto o nim wie poza tubylcami. Miejscowi składają w jego wgłębieniu ofiary – głównie z mleka, z prośbą o ochronę bydła. Wierzą, że istoty, do których się zwracają, to skrzaty czy inni daoine-sith. – Tu Tom uśmiechnął się pogardliwie. – Dobrzy sąsiedzi, tak ich nazywają. Cóż za eufemistyczne określenie dla mieszkańców Zaświatów! A i same Zaświaty to Przecież dla nich Elfame lub Kraina Wrózek.

— Ale to nie wróżki?

— Nie. Wskazówką jest sama nazwa. *Gruagach* to po gaelicku „włochaci”, „długowłosi”. – Mężczyzna przez dłuższą chwilę wpatrywał się w gasnące słońce. Ponad wierzchołkami wzgórz widoczny był już tylko wąski jego skrawek. – Najpotężniejsze spośród starych plemion. Ludzie, którzy przejęli wiedzę zdobytą przez budowniczych tego kręgu. Celtowie.

Zapadła cisza. Po dłuższej przerwie pierwszy zabrał głos Veitch: – Masz zamiar rozmawiać z duchami? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

— Przyzwiemy celtyckich zmarłych – potwierdził Tom.

Ruth zmarszczyła czoło.

— A cóż oni takiego wiedzą?

— Z świata duchów łatwiej jest wszystko ogarnąć. W dodatku to nie byle jacy umarli. Mimo przepaści stuleci łączy was nierozzerwalna więź. To pierwsi Bracia i Siostry Smoków.

Wzdrygnęli się jak jeden mąż, słysząc te słowa. W tym samym momencie ostatni promień słoneczny znikł za horyzontem i zbocze pograżyło się w egipskich ciemnościach. Na szczęście, kilka sekund później, zza chmur wyjrzał księżyc, rzucając na krąg snop srebrnego światła. Trawę przecięły wydłużone cienie, a każdy z głązów zaśnił jasno.

— Już czas – oświadczył Tom.

Z lewej kieszeni wyjął plastikowy woreczek zawierający na oko jakieś połamane gałązki tudzież kawałki suszonych warzyw.

— Święte grzyby – rzucił.

— Z ciebie, chłopie, to po prostu chodzący coffee shop. Wiem już, do kogo się zwrócić, kiedy będę się chciała upalić. – Laura starała się mówić z pewnością siebie, ale w jej głosie pobrzmiwała pewna obawa.

Tom puścił te docinki mimo uszu. Wyłowiwszy z woreczka

garść halucynogennych grzybków, podszedł do Churcha i włożył mu kilka do ust. Chcąc nie chcąc, wszyscy przystąpili do tej komunii. Gumiaste krążki były metaliczne w smaku.

Sędziwy wędrowiec sam także przełknął ich kilka, po czym sięgnął po podniszczoną puszkę, w której trzymał haszysz, i zaczął pieczołowicie skręcać dla siebie jointa. Skończywszy, zaciągnął się głęboko i dopiero wtedy podszedł do najważniejszego z głazów. Wpierw wypuścił ustami wielki kłęb dymu – w świetle księżyca szarawa chmura przypominała zjawę – a następnie nadpalił zapalniczką brzeg trzymanego w puszcze bloku, by ukruszyć nieco narkotyku nad wgłębieniem w skale. Po złożeniu ofiary, z pochyloną w geście szacunku głową, zrobił kilka kroków do tyłu i usiadł po turecku, delektując się z namaszczeniem rozchodzącym mu się po płucach wonnym dymem.

Veitch i Laura poczuli się nieswojo i zaczęli nerwowo wiercić, ale pozostałą trójkę ogarnął podniosły nastrój. W niepojęty dla siebie sposób wyczuwali zmiany, zachodzące w ich najbliższym otoczeniu. Jakby pod wpływem wagi czekającego ich spotkania, powietrze zdawało się stopniowo robić coraz cięższe. Przełknąwszy ślinę, Church poczuł w ustach metaliczny smak amalgamatowych plomb. Wzdłuż kręgosłupa, w kierunku głowy, przebiegł go dziwny dreszcz, na co tętno wyraźnie mu przyspieszyło. Ciekaw był, ile z tego to zasługa działania narkotyku.

Mieli wrażenie, że stoją tak już nie wiadomo jak długo. Łagodny wiatr niósł z sobą letni zapach nagranych sosnowych borów, ocierał się delikatnie o ich zamarłe w oczekiwaniu ciała. Nagle, daleko w mroku, dostrzegli jakieś poruszenie. Z początku myśleli, że to światło księżyca piata im figle na usianym skałkami

zboczu, ale zjawisko nie zniknęło, krawędzie cieni z wolna nabierały ostrości, a każdy z nich zdawał się żyć własnym życiem. Gdzie nie spojrzeć, od prawa do lewa, coś się działo. Church rozejrzył się ostrożnie, wyęzając wzrok, a gdy zrozumiał w końcu, co widzi, przeszedł go kolejny dreszcz.

Od ciemnej połaci wzgórza odrywały się kolejne ludzkie sylwetki. Była ich chyba setka, sunęły w stronę kamienia ofiarnego w zupełnej ciszy. Większość przybyszów stanowili mężczyźni. Mieli długie, ciemne włosy i śniadą skórę, ledwie widoczną spod warstwy czegoś, co wyglądało na bioto, a czym wszyscy, jakby dla bojowego kamuflażu, byli wysmarowani. Szli przygarbieni, gwałtownie przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę niczym prymitywni łowcy skradający się na polowaniu. To i uszyte z skór i futer stroje upodobniało ich do stada człekokształtnych bestii.

Zatrzymali się jakieś dziesięć metrów od najważniejszego z głazów. Gdyby nie powiewające na wietrze skrawki futer i kosmyki włosów, znieruchomiali Celtowie zlewaliby się w jedno z tworzącymi krąg kamieniami. Nie sposób było dojrzeć rysów twarzy przybyszów – przerażały zwłaszcza zalegające w głębokich oczodołach cienie. Church zadrżał na myśl, że pod nimi zamiast oczu kryje się pustka.

Wyczuwał też instynktownie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Z pojawieniem się mar, podniosły nastrój prysł, pozostał jedynie niepokój. Istoty wyglądały poniekąd tak, jakby lada chwila miały rozpląnąć się w powietrzu, lecz mimo to Church nie mógł pozbyć się wrażenia, że byle źle dobrane słowo czy źle rozumiany gest z łatwością sprowokowałyby zastępy Celtów do ataku. Kątem oka dostrzegł, że czwórka towarzyszy wpatruje się natarczywie w Toma, pragnąc wymusić na nim jakąkolwiek reakcję.

Czas włókł się niemiłosiernie. W końcu Tom zdecydował się wstać, a uczyniwszy to, wznosił obie ręce w przyjaznym, powitalnym geście.

— Czego chcesz, nauczycielu? – spytał pojedynczy głos.

Churchowi wydało się, że słowa te nie zostały wypowiedziane, tylko znienacka pojawiły się w jego głowie. Nie potrafił przeniknąć mechanizmu tej metody komunikacji. Celtowie posługiwali się, o dziwo, współczesną angielszczyzną, choć zniekształconą dziwnym, obcym akcentem.

Nie wiadomo kiedy, jedna z postaci odłączyła się od reszty – wysunęła przed ich szeregi, w mgnieniu oka pokonując kilka metrów. Żaden atrybut nie wskazywał jednak na to, by był to wódz lub rzecznik przybyszów.

— Nastają ciężkie czasy, przyzywamy was zatem, by zdać się na waszą wielką mądrość, szacowni przodkowie. – Tom skłonił się nieznacznie, by okazać respekt.

— Czarne chmury muszą zbierać się nad waszymi głowami, skoro posunęliście się do tego kroku. – W głosie wysłannika czaił się smutek. Zjawa wskazała brodą piątkę wybrańców, dodając z szacunkiem: – Wyczuwam w twoich kompanach moc błękitnego ognia Matki Ziemi.

— To także Bracia i Siostry Smoków.

Celt powitał ich skinieniem głowy.

— Ogień życia znalazł dla siebie dobry dom.

Church poczuł wzbierające emocje. Zmarli akceptowali ich, a nawet darzyli szacunkiem, leszcze przed chwilą nie wierzył w siebie teraz te obawy zniknęły bez śladu.

Głos zabrał Tom:

— W naszych sercach i duszach składamy wam ofiarę. Czy mnie wysłuchacie?

— Ciebie też znamy, bracie. To twoi pobratymcy oddawali nam cześć w świętych gajach. Dobrze wiedzieć, że tradycja i wiedza przetrwały lata. Wysłuchamy ciebie.

Church spostrzegł, że Tom wyraźnie się rozluźnił.

— Wiecie zapewne, że, podobnie jak przed wiekami, ciemność zalega nad krajem, a wiatr niesie zapach krwi. Oto dlaczego: Fomorianie powrócili na ziemię.

Wiadomość ta wywołała w tłumie zjaw pewne poruszenie. Dzięki wyczulonym mocą kręgu zmysłom, Church poczuł bijącą od przybyszów nienawiść.

— Nocni Wędrowcy – ciągnął z powagą Tom – mają zamiar po raz drugi sprowadzić na ludzkość Wieczną Noc. Pod żadnym pozorem nie można do tego dopuścić. Niestety, nie możemy już liczyć na wsparcie plemienia Danu. Jesteśmy jednak tacy, jak i wy przed wiekami – ręce mamy słabe, lecz naszym sercom nie braknie sił. A żeby ten żar w naszych sercach wykorzystać należycie, zanim ruszymy na wroga, potrzebujemy porady. Wskażcie nam właściwą drogę, korzystając ze swej mądrości.

Zapadła pełna napięcia cisza. Churchowi przemknęło przez głowę, że duchy zignorują ich prośbę. I wtedy rozległ się głos: – Aby rozbudzić w ludziach ich ukrytą moc, musicie wpierw odnaleźć Szczęście Tego Kraju.

— A cóż to takiego?

Wysłannik zjaw milczał, tylko wiatr szumiał wśród skał. Tom zacisnął usta i ponowił próbę: – Z waszej posępnej krainy łatwiej jest wszystko ogarnąć, zdradźcie mi zatem, proszę, szacowni przodkowie, gdzie jest owa forteca, w której Nocni Wędrowcy gromadzą esencję, by wskrzesić Balora.

— Serce Cieni nie powróci na ten świat w miejscu, które można by wskazać, za to później obierze sobie za siedzibę tę

właśnie twierdzę, która skrywa Szczęście Tego Kraju.

Drażliwy z natury Tom musiał toczyć z sobą niemałą walkę, by ze spokojem wysłuchiwać równie niejasnych odpowiedzi, wiedział jednak dobrze, że okazanie zniecierpliwienia nie tylko pozbawiłoby drużyny możliwości zdobycia dalszych wskazówek, ale i mogłoby się skończyć dla całej piątki tragicznie. Church pomyślał, że duchy Celtów były niegdyś bardziej życzliwe, ale tak bardzo zmieniły je stulecia spędzone we wspomnianej w rozmowie „posępnej krainie”, że teraz wołał w żaden sposób im się nie narażać. Na wszelki wypadek zaczął przyglądać się poszczególnym zjawom, mając nadzieję, że zdoła w porę dostrzec ich wzburzenie. Nagle wśród cieni dostrzegł kształt, który przykuł jego uwagę – na ułamek sekundy światło księżyca oświetliło jedną z twarzy. Mężczyzna drgnął. Profil ducha wydawał się być mu znajomy. Chciał go odszukać w tłumie, ale w tym samym momencie głos zabrał Tom.

— Szacowni przodkowie, czy macie dla nas jakiegokolwiek wskazówki, które mogłyby wspomóc nas w naszej trudnej misji? Choć kilka? Za każdą będziemy niezmiernie wdzięczni.

— Mądry nauczycielu, w mych słowach wasze wybawienie. Nie masz jeszcze dosyć? Słuchaj zatem uważnie. Zagrożeń szukaj nie tylko wokół, lecz i w środku, przed starciem z kolei oczyśćcie z ciemności duszę waszego przywódcy. A co do waszej dalszej podróży, udajcie się na południe, do miasta Studni Ognia. I na koniec, nie odwracajcie się od Dzieci Danu. Czeka już pośród nich ktoś, kto wam sprzyja. Odnoście się do niego z szacunkiem, by był gotów nieść wam pomoc. A teraz, z wdzięcznością przyjęliśmy od was ofiarę, lecz zbyt jest mała, by dłużej nas tu zatrzymać. Zapłaćcie życiem jednego z was, jeśli trzeba wam czegoś więcej. Czy taka jest właśnie wasza wola?



Church zauważył ze zgrozą, że Celtowie niemal już ich otaczali w razie ataku, z łatwością odcieliby im jedyną drogę odwrotu. Tłum zjaw zafalował niczym pustynny miraż. Tak jak uprzednio nienawiść, teraz mężczyzna wyczuł głód. Trwało to tylko chwilę, ale i tak zaczął się bać.

— Szacowni przodkowie – przemówił Tom – wasza mądrość nas oświeciła. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że poświęciliście nam swój czas. Możecie odejść. Nie będziemy was dłużej niepokoić. Obyście bez przeszkód powrócili do swej posępnej krainy.

Wysłannik duchów pożegnał się ledwie zauważalnym ukłonem. Gdy Church spojrział na niego po raz ostatni, wydało mu się, że zalegające w oczodołach mary cienie na moment znikły, a to, co pod nimi zobaczył, zmroziło go od stóp do głów i niemal zmusiło do ucieczki.



Po zniknięciu Celtów, przez ponad kwadrans stali jeszcze w milczeniu. Było tak, jakby obudzili się z męczącego koszmaru, w którym objawiły im się zaskakujące prawdy, co tak ich przeraziło, że jeszcze po przebudzeniu nie mogli o nich ani zapomnieć, ani też ich w pełni zrozumieć. Uczucie nierealności pogłębiło się, gdy zdali sobie sprawę, że choć słowa zjawy dźwięczą im jeszcze w uszach, samych przybyszów pamiętają jak przez mgłę.

— Czy to się działo naprawdę, czy mieliśmy halucynacje po grzybach? – Ruth musiała spleść dłonie, by tak bardzo się nie trzęsły.

— I tak, i tak – odpowiedział Tom.

Shavi pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Takie substancje służą za klucze otwierające drzwi percepcji.

Tom uśmiechnął się do swoich wspomnień.

— Było się kiedyś na koncercie The Doors [*nazwa zespołu The Doors pochodzi od tytułu rozprawy Aldousa Huxleya Drzwi percepcji z 1954 roku, opisującego działanie meskaliny*] na Florydzie...

— Większość starych dziadków gędzi o wojnie, a ten tu wspomina swoje hipisowskie wybryki. – Laura pokręciła głową z dezaprobatą. – Wracajmy do ogniska, tyłek można by tu sobie odmrozić.



W obozie Veitch wyciągnął whisky, którą zwędził ze sklepu na Skye, i pili ją z plastikowych kubeczków, siedząc wokół ogniska.

— Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale, o ile dobrze rozumiałam, wspinaliśmy się tyle czasu tylko po to, żeby wysłuchać bezsensownych zagadek jakiegoś trupa? – Laura siedziała tuż przy Churchu, ale przez wzgląd na innych pilnowała się, żeby nie okazywać mu w żaden sposób czułości. Mimo to jej ukochany już wcześniej zauważył u niej pewne zaborcze odruchy – zajęła miejsce u jego boku, gdy tylko dostrzegła, że zamierza tam usiąść Ruth.

Tom pokręcił głową.

— Nie przeczę, nie ułatwili nam sprawy, ale przekazali nam same istotne informacje.

— Tyle że gdy je rozszyfrujemy, będzie już pewnie za późno stwierdził Church. – Co to takiego Szczęście Tego Kraju?

— Nie mam pojęcia. Celtowie wierzyli, że używanie prawdziwej nazwy świętych przedmiotów jest niebezpieczne, stąd te wyrafinowane acz irytujące peryfrazy. – Tom przyssał się na moment do whisky, po czym dodał cierpko: – Na szczęście zrozumiałem to i owo. Miasto ze Studnią Ognia to Edynburg. Jest tam wzgórze, wygasły wulkan, który nazywają Tronem Artura.

— A gdzie Artur, tam i źródło błękitnego ognia? – odgadł Church.

— Tak jest i to w dodatku najsilniejsze w Szkocji. Studnia znajduje się właśnie pod Tronem.

— Czyli wiemy już, dokąd jechać. To nawet nie tak daleko. – Veitch leżał w trawie z rękami założonymi za głowę.

— Naszym sojusznikiem jest, rzecz jasna, Cernunnos. – Ruth przyjrzała się znamieniu, jakie bóg wypalił jej na dłoni. Dobrze pamiętała tę straszną noc w Manorbier, kiedy w strugach deszczu przyglądała się przerażona, jak ciało Króla Olch topi się i zmienia.

— Twoim sojusznikiem – sprostował Veitch. – Jesteście teraz kumplami.

— Tak długo, jak należę do drużyny, tak długo będzie i waszym. Tylko w jaki sposób mamy mu okazywać szacunek?

— Te istoty spodziewają się, że każdy stojący niżej w hierarchii będzie je darzył respektem – zauważył Shavi.

— Proszę bardzo – prychnął Veitch – mogę bić skubańcom pokłony.

— Celtowie wierzyli, że najlepszym miejscem na odprawianie rytuałów są wyspy – odezwał się Tom. – I nie mylili się. Niedaleko stąd, na jeziorze Maree jest wyspa zwana po gaelicku Eilean

Maree. Porastający ją święty gaj poświęcono Tuatha Dé Danann, więc to tam możemy złożyć ofiarę Cernunnosowi.

Laura przyjrzała mu się z powątpiewaniem. – A skąd ty to wszystko wiesz, jeśli można zapytać, mądry nauczycielu?

— Wierny Tomasz posiadał przecież całą wiedzę Celtów. – Shavi posłał Tomowi przenikliwe spojrzenie. – Sam nam mówiłeś, że wyedukowali cię Strażnicy Kości.

— I tak oto od pokoleń pomiędzy ludźmi żyją dziwadła – zadrwiła Laura.

Shavi zignorował niewybredną uwagę.

— Strażnicy z kolei od pokoleń strzegą świętych miejsc. Tak twierdził ten, którego spotkaliście w Avebury.

Church dorzucił do ognia kolejną gałązkę.

— Cóż, wszyscy wiemy, co oznaczał fragment o oczyszczaniu z ciemności duszy przywódcy. Szkoda tylko, że nie powiedziano nam, jak tego dokonać.

— Było jeszcze coś – przypomniało się Ruth. – „Zagrożeń szukaj nie tylko wokół, lecz i w środku”. Co to może znaczyć?

— Jak to co? – powiedziała Laura, nie spuszczając oczu z płomieni. – Ze jedno z nas chce zarobić trzydzieści srebrników.

Wszyscy udali się już do swoich namiotów, tylko para zakochanych grzała się jeszcze przy dogasającym ognisku. Laura siedziała z głową opartą na ramieniu Churcha, a on obejmował ją jedną ręką w tali. Był zadziwiony tym, że mimo panującego na świecie chaosu, potrafi czerpać pociechę z tak z pozoru błahego faktu jak to, że tuli się do niego młoda dziewczyna. Czuł, że są sobie naprawdę bliscy, i było to najwspanialsze uczucie pod słońcem.

— O to właśnie w tym wszystkim chodzi – mruknął pod nosem.

— Hej, znowu mówisz do siebie.

Mimo wszystko, Laura zachowywała pewien dystans, a jej mięśnie nadal były nieco spięte. Church zdawał sobie, że odgrodziła się od ludzi niejednym murem. Wiele z nich udało mu się już pokonać, ale wiedział, że będzie musiało minąć sporo czasu, zanim dziewczyna zdecyduje się w pełni mu zaufać i odsłonić swoją prawdziwą twarz. W rzeczy samej, im więcej o niej wiedział, tym większą zyskiwał pewność, że znana im wszystkim sarkastyczna i pewna siebie Laura jest tak naprawdę tworem całkowicie sztucznym. To, co kryło się pod tą maską, mogłoby go bardzo, ale to bardzo zaskoczyć, pragnął jednak chronić tę cząstkę jej natury. Poniekąd oboje pragnęli chronić w drugim to, co prawdziwe i czyste – być może właśnie owo pragnienie ich do siebie zbliżyło.

Dziewczyna zastanawiała się nad czymś długo.

— Ta cała Marianna musiała być dla ciebie kimś naprawdę ważnym – odezwała się w końcu.

— Byliśmy razem parę ładnych lat, chcieliśmy się pobrać. W moim życiu nie było nikogo ważniejszego.

— To tłumaczy, dlaczego jej śmierć tak bardzo cię dobiła. Sądzisz, że kiedykolwiek otrząsniesz się z tej traumy?

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek po czymś takim w pełni dochodził do siebie. Po prostu trzeba się nauczyć z tym żyć.

Laura ponownie pogрузzyła się w rozmyślaniach.

— Jaka ona była? – spytała po chwili.

— Trudno powiedzieć.

— Spróbuj, jestem ciekawa. Miała dobre serce?

— Chyba tak. Tak właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Na pewno nie życzyła nikomu niczego złego, ale oczywiście miała swoje wady – kto ich nie ma?

— Wiem, że nie ma świętych bez skazy i potworów bez jednego ludzkiego odruchu. Większość z nas plasuje się tak gdzieś w połowie skali. Całe życie tak sobie balansujemy, prawda? Czasem więcej w nas zalet, czasem ciągnie nas w dół, ale mało komu można z czystym sumieniem doczepić taką czy inną etykietę. – Dźgnęła go w bok łokciem. – Jezu Chryste, ale się trzeba namęczyć, żeby coś z ciebie wydusić!

— Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli – wypomniał jej Church. – Była inteligentna. Dużo czytała. Lubiła dyskutować o ideach, o różnych istotnych zagadnieniach. Potrafiła mnie rozbawić. Nabijała się ze mnie, gdy zbyttno zadzierałem nosa. Wysłuchiwała cierpliwie opowieści o jakichś brudnych skorupach, kiedy wracałem z kolejnego nudnego wykopaliska. Była gotowa wyklócać się ze mną o istnienie czegoś takiego jak „biały soul”, kiedy przechodziłem fascynację muzyką gitarową. Oglądała ze mną *Gwiezdne wojny*, ale nie zmuszała do tego, żebym ja oglądał z nią *Jean de Florette*. Przy niej mogłem być słaby.

Przerwał, czując, że wzbierają w nim trudne do opanowania emocje.

— „Dopóki jesteś twardy, życie nie daje ci w kość”. Hm... To się chyba zgadza. Przy ludziach trzeba zawsze się jakoś kontrolować, zachowywać pozory, ale kiedy poznaje się tę jedną jedyną, człowiek się odsłania, pokazuje, co w nim siedzi: żalosna, irracjonalna kreatura, która co jakiś czas musi przejmować nad tobą kontrolę, bo byś inaczej oszalał. Tyle że do tej pory nikt jej nie musiał oglądać. – Wziąwszy głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze przez usta. – I co? Usatysfakcjonowana?

— Jak na razie, starczy.

— Czemu poprosiłaś, żebym ci o niej opowiedział? Chciałaś

sprawdzić, czy jesteście do siebie podobne?

— Nie. Było, minęło. Nie zwracam sobie tym głowy. Ale można się sporo dowiedzieć o człowieku, słuchając, jak opisuje miłość swojego życia.

Zamyślił się nad jej słowami.

— Ciekawy pomysł. I czego się dowiedziałaś?

— Chyba nie przypuszczasz, że ci powiem?

— W takim razie może teraz ty opowiesz mi o swojej największej miłości?

Parsknęła śmiechem.

— Wiem, jestem niemożliwa, ale daruj. Moja przeszłość to zamknięta księga.

Przyciągnął ją do siebie jedną ręką, a drugą rozczochrał jej włosy, niczym starszy brat pragnący dokuczyć siostrze.

— Au! Co, nie możesz pogodzić się z tym, że nie dorównujesz mi inteligencją? – Uszczypnęła go w odwecie tak mocno, że jęknął, i Veitch wydarł się z głębi swojego namiotu, że mają być cicho. Bardzo ich to rozbawiło, ale resztę rozmowy prowadzili już szeptem.

— Jak sądzisz – spytał w końcu Church – jest nam pisany happy end?

Zaskoczyło go to, że nie odpowiedziała od razu. Gdy na nią spojrzął, okazało się, że raptownie spoważniała.

— Nie pleć głupot, Church, nie jesteś małym dzieckiem. Rozejrzyj się, chłopie. Nie będzie żadnego happy endu.

— Czemu wszyscy musicie być takimi pesymistami? Ruth też powiedziała coś podobnego.

— Wiedziałam, że z tobą rozmawiała. Hm... Może to kwestia płci? Wy, chłopcy, nie macie za grosz intuicji. Wierz mi, nie będzie żadnego happy endu. Musimy się po prostu cieszyć

życiem, póki trwa. – Z głosu Laury zniknął sarkazm, pozostał sam smutek. Wzdrygnęła się i posłała Churchowi wymuszony uśmiech. – Chodź powiedziała wesoło, ciągnąc go w stronę namiotu. – Chcę zapomnieć o kłopotach, a ty mi w tym pomożesz.



## ROZDZIAŁ 2

### PORA RELAKSU

— Pięknie tu.

Ruth z nosem przyciśniętym do samochodowej szyby podziwiała malownicze Loch Maree. W wodach jeziora, równie przejrzystych jak dzień wcześniej, odbijało się zachmurzone, cętkowane błękitem niebo i tworzące zapierający dech w piersiach mur, strome wzgórza, całe w brązach, fioletach i zieleniach. Pośrodku zbiornika leżała tajemnicza Eilean Maree, święta wyspa pokryta roślami drzewami.

Droga z Gairloch, gdzie zjedli obfite śniadanie składające się z smażonych na bekonie wiejskich jaj, zabrała im zaledwie dwadzieścia pięć minut. Piątce kompanów spieszno było do Edynburga i cywilizacji, ale Tom przekonał ich, że złożenie ofiary Cernunnosowi nie zabierze wiele czasu, a prędzej czy później z pewnością im się opłaci.

— Mam pewne opory – przyznał Church, wysiadając z furgonetki.

— Taki rytuał będzie oznaczał, że traktujemy Tuatha Dé Danann jak bogów, a są przecież tylko potężniejszymi od nas żywymi istotami. Nie mam najmniejszego zamiaru się przed nimi płaszczyć.

— Nawet jeśli może ci to uratować życie? – spytał Tom.

Church był w buńczucznym nastroju.

— Nawet. Równie dobrze mógłbym sobie napisać na czole, że

jestem gotowy zostać ich niewolnikiem. Mam swój honor. Nie będę...

— W takim razie potraktuj to jak łapówkę – przerwał mu Tom, po czym, nie wdając się w dyskusję, pomaszerował rażno w stronę wyciągniętej na brzeg łódki.

Przy wiosłach zasiadł Veitch. W pierwszej kolejności przewiózł dziewczyny i Toma, a potem wrócił po osamotnionych towarzyszy. Brzeg wysepki był skalisty, ale jej serce porastał gęsty las o wyjątkowo bujnym poszyciu. Pod baldachimem liści panował delikatny półmrok. Z duszami na ramieniu weszli w cienisty gąszcz.

Rozluźnili się szybko, bo okolica tchnęła spokojem. Shavi przypominał sobie, że czuł się podobnie zwiedzając opactwo w Glastonbury. Jednakże, mimo pozornej idylli, wokół panowała grobowa cisza – nie śpiewał ani jeden ptak.

Tom poprowadził ich na przeciwległy kraniec wyspy. Tam, w świętym gaju, niewidoczny od strony szosy, znajdował się prymitywny ołtarz zrobiony z szerokiego pnia. Świętość tego miejsca zdawała się być niemal namacalna. Na ołtarzu, koło kubka mleka, leżał już bukiet dzikich kwiatów i pozostałości bochna chleba.

— Ktoś tu był przed nami – zauważył Church.

— Kult Cernunnosa nie zginął z odejściem starych bogów – wyjaśnił Tom. – Z dala od miast czci się go od pokoleń. Niektórzy ludzie nadal żyją blisko natury. Niektórzy za nic nie chcą zapomnieć.

— Wariatów nie brakuje – mruknął Veitch.

— Ani aroganckich mieszczuchów. – Przewodnik drużyny poprawił nerwowym gestem okulary. Church wiedział już, że to oznaka irytacji. – A miałem nadzieję, że zdążyłeś się już nauczyć,

że nie powinno się niczego sądzić po pozorach. Gdy stado waleńi sunie w morskiej głębinie, na powierzchni wody nie powstaje ani jedna zmarszczka.

— Waleńi? – powtórzył zdezorientowany Veitch. – Co do tego mają, do cholery, jakieś walenie?

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, zamyśleni. Pierwszą ciszę przerwała Ruth: — Też chcę coś złożyć w ofierze – szepnęła.

Church spojrzał na nią zaskoczony, ale Tom odparł tylko: — Wolny wybór. Postępuj zgodnie z tym, co czujesz.

lakby w odpowiedzi, zahuczała sowa. Church wypatrzył wysoko wśród gałęzi pomocnicę Ruth. Patrzyła na nich z góry.

— Twoja towarzyszka chce cię chyba zachęcić – oświadczył, ale zerknąwszy na właścicielkę ptaka, nagle poczuł się nieswojo. Nie wiedzieć czemu, do głowy przyszła mu myśl, że dziewczyna traci stopniowo kontrolę nad sobą.

— Co się nada? – spytał Shavi. – Nie jestem pewien.

— Coś, co jest dla nas ważne – poinstruował go Tom.

Shavi wyjął z kieszeni resztkę halucynogennych grzybków, które stosował w szamańskich praktykach. Obserwując go składającego ofiarę, Churchowi przyszło na myśl, że odkłada je na ołtarz z wyraźną wdzięcznością.

Laury nie interesowały pogańskie rytuały i ani odrobinę nie dawała im wiary, więc korzystając z nieuwagi towarzyszy, odłączyła się od nich i poszła przejść się po lesie. Czasem ogarniała ją przemożna potrzeba poprzebywania sam na sam ze swoimi myślami, a odkąd dołączyła do drużyny, rzadko miała po temu okazję.

Nie odeszła daleko. Oparta o przypadkowy pień zaczęła się przyglądać przeblyskującym zza drzew wodom jeziora. Na wyspie czuła się nadzwyczaj dobrze, poniekąd lepiej niż

kiedykolwiek. W świętym gaju było tak uroczo i spokojnie, że z chęcią zgodziłaby się rozbić w nim obóz i zabawić tam kilka dni, a nawet dłużej.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od wczesnego dzieciństwa towarzyszył jej ciągły niepokój – cały czas była spięta, gotowa do ataku, jakby drażniło ją niesłyszalne dla innych, nieprzyjemne, uporczywe brzęczenie. Teraz czuła się coraz bardziej zrelaksowana, coraz głębiej zapadała się w puch uspokoionych myśli. Nie zwracała już uwagi na dyskusje przy ołtarzu. Głosy pozostałych zlały się ze szmerem liści. Trwało to jakiś czas. Nagle z błogostanu wyrwał ją komunikat jej własnych zmysłów. Coś się zmieniło. Kilka sekund trwało, zanim zorientowała się, o co chodzi. Ta cisza... Dziewczynę ogarnęły pewne podejrzenia. Czyżby jej towarzysze przerwali rozmowę, zauważywszy, że ich pyskata Laura się rozmarzyła? Odwróciła głowę w ich kierunku, przygotowawszy wpierw zjadliwą ripostę.

Co jest grane, pomyślała, przecierając oczy. Cała piątka stała nieruchomo, w milczeniu, ale ani się nie modlili, ani w nic nie wsłuchiwali. Świadczyły o tym ich dziwaczne pozy: dłonie zastygłe w połowie drogi, półotwarte usta, szykujące się do zadania pytania. Jak na kadrze z filmu. Jakby czas się zatrzymał – tylko tam, na polanie przed ołtarzem.

Dziewczynę przeszedł zimny dreszcz. Uświadomiła sobie, że i panujący w gaju nastrój uległ zmianie. Oczekiwanie, to właśnie wyczuwała.

Coś się zbliża...

Nie wiedziała, skąd ta pewność.

Rozejrzała się uważnie. Wyspa była niewielka, niespodziewany atak nie wchodził w rachubę – nowoprzybyły musiałby zdradzić jakimś hałasem swoją obecność. Ledwie to

pomyślała, a do jej uszu dobiegł cichy trzask. Łamiąc gałązki i szurając w liściach, coś przedzierało się przez gąszcz. Laura obróciła się szybko. Serce biło jej jak oszalałe.

Kątem oka dostrzegła zmianę w grze światła i cieni. Mogło to być tylko wywołane mruganiem złudzenie, ale zyskała pewność, słysząc kolejny szmer: coś dużego sunęło wśród drzew. Z pozoru poruszało się z pewnym mozołem, ale gdy tylko skupiała wzrok na jakimś podejrzanym krzaku, kolejny trzask dobiegał z zupełnie innego miejsca.

W pewnym momencie wydawało jej się, że widzi jakiś konkretniejszy kształt, jednak niemal natychmiast rozplynął się w powietrzu.

Wróciła biegiem na polanę, gdzie stali wciąż jej towarzysze. Pociągnęła Churcha za rękę, mając nadzieję, że wybudzi go w ten sposób z letargu, ale jego skóra okazała się być zimna jak kamień. Strach chwycił ją za gardło. Postanowiła wrócić do łodzi. Skuliła się tak, żeby nie byto jej widać wśród zarośli, i niemalże na czworakach ruszyła przez las. Planowała wypłynąć na środek jeziora, by z pewnej odległości ocenić sytuację, albo opłynąć wyspę, przeczesując wzrokiem gąszcz w poszukiwaniu owego tajemniczego stwora. Mogła także, i brała to pod uwagę, wsiąść w furgonetkę i uciec gdzie pieprz rośnie.

Dostać się do łodzi nie było jednak tak łatwo. Teraz i ona sama szeleściła liśćmi, co utrudniało nasłuchiwanie, przybysz zaczął z kolei przemieszczać się z większą prędkością, brutalnie traktując mijane krzewy. Laura poczuła, że ogarnia ją narastająca panika, ale nie poddawała się i nie zwalniała tempa. Nagle jej stopa zahaczyła o gałąź, której, mogłaby przysiąc, przed chwilą jeszcze w tym miejscu nie było. Dziewczyna padła płasko na twarz. Leżała tak przez kilka sekund, nie mogąc złapać tchu, jak osoba,

którą uderzono pięścią w brzuch. Gdy zaczęła niezdarnie podnosić się z ziemi, nagle słońce przesłonił ciemny, złowrogi kształt. Podniosła wzrok. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z czymś tak obcym i niezrozumiałym. Jej umysł nie potrafił sobie poradzić z zalewem szokujących detali. Jedno spojrzenie prosto w twarz potwora wystarczyło, by Laura straciła przytomność.



Kiedy doszła do siebie, klęczał nad nią Church. Pozostali przyglądali jej się poruszeni.

— Co się gagicie? – syknęła.

— Co się stało?

— Coś tu było, przedzierało się przez las. – Laura próbowała opanować gonitwę myśli. Nagle zdała sobie sprawę, że piecze ją wierzch prawej dłoni. Ostrożnie ją podniosła. Dziewczyna poczuła na sobie wzrok Ruth. Jej towarzyszka była w głębokim szoku. Tym samym znamieniem po starciu w Walii naznaczył ją wyzwolony spod klątwy Cernunnos.

— Weź się w garść. To nie znaczy, że jesteśmy teraz siostrami. Laura potarła dłoń, jakby chcąc pozbyć się ozdoby.

— Najwyraźniej wszechpotężny bóg przyrody postanowił uhonorować kolejnego członka naszej drużyny. – Shavi zamyślił się nad tym, jakie będą tego konsekwencje.

— Mówił mi, że będzie nas dwoje – wyznała Ruth, przyglądając się Laurze podejrzliwie.

— Co jest? Zrzęda ci mina, bo już nie jesteś taka wyjątkowa? Laura pozwoliła Churchowi pomóc sobie wstać, po czym natychmiast wsunęła prawą dłoń do kieszeni spodni. – To co,

teraz i ja jestem jakąś pierdolniętą wiedźmą?

— Niekoniecznie – odezwał się Tom. – Cernunnos po prostu ma wobec ciebie jakieś plany.

— Co za ulga – stwierdziła Laura cierpko. – A już myślałam, że to zły znak.

Na stały ląd przeprawili się w milczeniu. Laura, bardziej skryta niż kiedykolwiek, ignorowała wszelkie próby namówienia jej do zwierzeń, widać było jednak jak na dłoni, że zainteresowanie Cernunnosa jej osobą bardzo jej ciąży. Church, który ze wszystkich rozumiał ją chyba najlepiej – choć, mimo tego, nadal niezbyt dobrze – dostrzegł w jej oczach coś, co sprawiało, że pragnął ją z miejsca mocno przycisnąć do serca. Jeśli się nie mylił, dziewczyna marzyła o tym, by móc uciec przed czymś, z czym nie dawała już sobie rady.

Gdy Veitch odpłynął z powrotem na wyspę, pogrążeni w myślach przysiedli nad brzegiem wody. Wkrótce drużyna była w komplecie.

To Shavi pierwszy zerknął na furgonetkę i zobaczył, że coś jest nie tak. Zaalarmowani przez kompana, wszyscy rzucili się w stronę pojazdu. Church, z łatwością wyprzedziwszy pozostałych, stanął przed maską, wpatrując się w nią w osłupieniu. Nie wierzył własnym oczom. Na kryjącej silnik klapie leżał martwy, wybebeszony królik. Jama brzuszna zwierzaka była szeroko otwarta, krew skapywała po kratce chłodnicy, a wokół truchelka zrobiono wystawkę z jego starannie rozłożonych wnętrzności.

— Co to ma być, do cholery? – spytał Veitch z obrzydzeniem w głosie.

Shavi zbliżył się do maski i przyglądał królikowi przez chwilę, niczego jednak nie dotykając.

— To znak pozostawiony specjalnie dla nas – oświadczył. – Te

nacięcia wyglądają na bardzo precyzyjne. Nikt go nie rozszarpał na łapu-capu.

— Czy to ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się na wyspie? spytała Ruth.

— Nie sądzę. – Tom pokręcił przecząco głową.

— Czekaście! – Shavi pochylił się jeszcze niżej, aby móc lepiej przyjrzeć się jamie brzusznej gryzonia. – Tu coś jest.

— Tylko niczego nie dotykaj – poprosiła Ruth.

Church zerknął na nią kątem oka, zdziwiony jęklwym tonem jej głosu. Nigdy nie robiła wrażenia osoby bojaźliwej, takie zachowanie nie było do niej podobne. Czyżby intuicyjnie coś wyczuwała? Postanowił jej zaufać.

— Tylko ostrożnie – rzucił.

Shavi znalazł w trawie dwa krótkie patyki i, posługując się nimi jak chińskimi pałeczkami, wyciągnął z wnętrza królika coś różowego. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na kawałek umazanej we krwi parówki.

— Co za obrzydlistwo! – Laura wykrzywiła twarz, ale nie mogła oderwać wzroku od znaleziska.

Było to nic innego jak ludzki palec.

Shavi odłożył strzępek na maskę, a wszyscy otoczyli przód auta, jakby obawiając się, że palec ożyje i umknie.

— Do kogo mógł należeć? – Shavi nie wiedział, co o tym myśleć. – I po co go tutaj dla nas zostawiono?

Veitch powiódł spojrzeniem po okolicznych wzgórzach, które nagle wydały mu się niegościnne i ponure.

— Wynośmy się stąd jak najszybciej – warknął podenerwowany.





Zgodnie z planem ruszyli w kierunku Edynburga, ale potworne znalezisko na dobre popsuło im humor. W samochodzie panowała grobowa cisza. Siedzieli tak, każde zatopione we własnych myślach, próbując znaleźć rozwiązanie mrożącej krew w żyłach zagadki. Za tajemniczym rytuałem kryła się jakaś mroczna siła. Nie chodziło tu tylko o to, by ich zastraszyć. Tylko o co? Nic nie układało się w logiczną całość, przez co czuli się jeszcze bardziej zagrożeni.

Wjechawszy na autostradę w pobliżu Inverness, odbili na południe. Droga wiodła przez posępne góry Cairngorm. Niestety, nie obyło się bez komplikacji: furgonetka dwukrotnie gasła na długo bez żadnej widocznej przyczyny, natrafili na objazd, czasu było coraz <sup>m</sup>niej i szybko stało się jasne, że nie zdążą dojechać do Edynburga Przed wybiciem godziny policyjnej. Wydawało się, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie nocleg gdzieś po drodze. W stolicy zamierzali pojawić się z samego rana, odświeżeni i wypoczęci. Późnym popołudniem, głodni i znudzeni, zajechali do Callander, niewielkiego miasteczka położonego na skraju szkockiego pogórza.

Kamienne domy mościły się tu wśród gęsto zalesionych pagórków, zza których, gdzie nie spojrzeć, wyglądały wyższe wzniesienia, dzięki czemu wędrowcy, otoczeni przez przyrodę, z miejsca poczuli się dziwnie pewniej. Mieli już powyżej uszu ciągnących się po horyzont pustkowi. Na uliczkach unosił się zapach sosnowej żywicy, frytek oraz smażonej ryby, co także działało na przybyszy kojąco. Od dawna nie widzieli też tylu

ludzi, w dodatku nikt nie wydawał się być przestraszony. Dawało to nadzieję, że większe miejscowości nie odczuły jeszcze skutków powrotu pradawnych ras.

Wszyscy stęsknili się już za miękkim łóżkiem, postanowili więc zatrzymać się w hotelu. Ich wybór padł na Excelsiora przy końcu głównej ulicy – pseudogotycki budynek zwieńczony czterema wieżyczkami, które nadawały mu wygląd średniowiecznej fortecy. Niemal pod sam jego tył podchodził ciemny las, ale i tak sprawiał wrażenie miejsca, gdzie mogli czuć się bezpieczni.

Gdy pozostali brali prysznic bądź odpoczywali w swoich pokojach, Church i Veitch zeszli do hotelowego baru. Można tam było, uciekwszy przed palącym słońcem, rozkoszować się przyjemnym chłodem, a przytulne staromodne sprzęty zdawały się od zawsze tkwić w tym samym miejscu. Mile odróżniało się to wnętrze od znanych im stołecznych lokali, gdzie często za wystrój odpowiadała nie tradycja a specjaliści od marketingu. Veitch zamówił stellę, a Church guinnessa. Usiedli we wnęce wykuszowego okna, skąd mieli dobry widok na główną ulicę miasteczka.

— Właśnie takich drobiazgów będzie mi brakować – stwierdził Veitch, wpatrując się ze smutkiem w swoje piwo.

— To znaczy jakich?

— Na przykład tego. – Uniósł kufel tak, żeby złocistość napoju podkreślił snop jaskrawszego światła. – Jeśli rzeczywiście z dnia na dzień będzie coraz gorzej, nie sądzę, żeby na rynku zostały podobne rarytasy. Nikt nie będzie miał głowy do takich błahostek. Rządzący będą się starali, żeby nikt nie chodził głodny i żeby zamieszki nie wybuchały za często, i tyle.

Church zaśmiał się cicho.

— To o to właśnie walczysz? Jesteś gotowy oddać życie za ukochane piwo?

— To nie tak. – Veitch niemalże się obraził. – Po prostu dopiero kiedy pomyślę sobie o tych wszystkich głupstwach z osobna, dociera do mnie to, co tak właściwie nam grozi. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, prawda, ale w każdej chwili wszystko może szlag trafić. Jak myślisz, ile jeszcze?

Church wzruszył ramionami.

— Zależy, kiedy Tuatha Dé Danann i Fomorianie postanowią urządzić mały pokaz siły. Wtedy jak nic dadzą nam popalić. Chociaż, kto wie, może zostawią nas w spokoju i będziemy mogli wieść w miarę normalne życie? – Nawet on nie wierzył w tak optymistyczną wizję.

Przez jakiś czas popijali piwo w milczeniu.

— Pamiętasz, co powiedziały zjawy? – odezwał się w końcu Veitch. – Jeden z nas ma okazać się zdrajcą. – Spojrzał na Churcha nieco zawstydzony. – Wiem, że do tej pory nie byłem aniołem i wszyscy w drużynie mają mnie na oku, ale sam zobaczysz, to nie będę ja.

— Mają cię na oku? Co ty wygadujesz, Ryan?

— Nie zrozum mnie źle, nie mam im tego za złe. Znają mój życiorys – to naturalne, że mi nie ufają. Ale chcę, żeby jedno było jasne. To nie ja. Koniec, kropka. – Spojrzał gdzieś w bok. – Wierzysz mi? To dla mnie bardzo ważne. Tamci to... – Nie dokończył zdania.

Church zamyślił się na moment.

— Wierzę ci – oświadczył.

Veitch przyjął tę deklarację z wyraźną ulgą: rozluźnił się i mimowolnie nieśmiało uśmiechnął. Dokończywszy piwo jednym długim haustem, odstawił kufel na bok i spytał: – To kto to jest?

Jak myślisz?

— Trudno mi uwierzyć, że którekolwiek z nas mogłoby być zdolne do czegoś takiego. Miałem siebie zawsze za osobę, która zna się na ludziach, a na razie nic a nic nie wzbudziło moich podejrzeń.

— Ten stary hipis nas kiedyś zakapował.

— Ale nie odpowiadał wtedy za swoje czyny. Tak czy siak, to już zamknięty rozdział. Odkąd usunięto z jego głowy tego pasożyta, zachowuje się bez zastrzeżeń.

Veitch rozparł się wygodnie w wyściełanym krześle, jedną stopę opierając o podnózek.

— Sądzisz, że Celtowie to wszystko zmyślili?

— Może nie do końca zmyślili... Wydaje mi się, że wszelkie informacje, jakie otrzymujemy z różnych nadprzyrodzonych źródeł, nie powinny być odczytywane zbyt dosłownie. Oni mówią jedno, my słyszymy drugie. Sądzę, że robią tak celowo. Żeby pokazać, kto tu jest górą – dodał zniechęcony.

— Teraz to ja będę miał innych na oku.

— Tego się właśnie obawiam, Ryan. Paranoi. Nie chcę, żeby naszą grupę drażniły od środka takie negatywne emocje. Dość już mamy zagrożeń z zewnątrz.

Do baru wszedł starszy, przygarbiony mężczyzna o obwisłych policzkach i twarzy tak wychudzonej, że została na niej niemal sama skóra i kości. Rzuciwszy w stronę obcych zaciekawione spojrzenie, poczłapał do kontuaru kupić coś do picia. Mimo upału, miał na sobie długi, brązowy płaszcz i staromodną płaską czapkę z niewielkim daszkiem. Odebrawszy od barmana piwo, ruszył w stronę zacienionego kąta, ale po drodze najwyraźniej zmienił zdanie i usiadł przy stoliku tuż obok Churcha i Veitcha.

— Można tak blisko? – spytał z śpiewnym akcentem szkockich

górali. Mówił wciąż wyraźnie, mimo zaawansowanego wieku. – Panowie nie z tych stron? – dodał po chwili przyjaznym tonem, chociaż w jego oczach kryła się jakaś przebiegłość.

— Jedziemy do Edynburga – odparł wymijająco Church.

— Na urlop pewnie?

— Coś w tym rodzaju.

Mężczyzna zamyślił się, popijając piwo.

— Pewnie nie wiecie panowie, o co chodzi w tym wszystkim, co to się teraz w tym kraju wyrabia?

— A co się takiego dzieje?

— Jak to co? W gazetach same bzdety, w radio i telewizji w kółko durne rządowe komunikaty, żadnych wiadomości, co by ich było warto wysłuchać. Widzi mi się, musiało się stać coś poważnego, skoro już nawet telewizja normalnie nic nadaje. Zawsze tędy mnóstwo miastowych przejeżdża, a teraz jakby ich wszystkich wymiotło. Widzieli coś może panowie po drodze?

Church zawahał się, nie wiedząc od czego zacząć i czy w ogóle powinien cokolwiek wyjaśniać. Wyprzedził go Veitch: – Ja tam uważam, że nie ma czym się przejmować.

— Tak, tutaj też tak powtarzają. Nie powiem, trochę się paniki zrobiło, kiedy ogłosili ten cały stan wojenny, ale przyjechała policja ludzi uspokajać, miejscowi zobaczyli, że to nie koniec świata i jakoś się rozeszło po kościach. Żyjemy jak gdyby nigdy nic, bo i co poradzić.

— A ma pan jakąś teorię, co jest grane? – spytał Church.

— Żeby to ja wiedział! – Starszy mężczyzna podrapał się po brodzie. – Jak na razie nie jest tak źle. Co prawda, tego i owego już się w sklepie nie dostanie, ale kartki na benzynę dopiero przed nami. Tak mówią.

— Na benzynę? – Church zerknął zaniepokojony na Veitcha.

Obaj dobrze wiedzieli, jak utrudniłoby im to wykonanie zadania.

— A tak. Może jej zacząć brakować. A i telefon częściej głuchy niż działa. Ledwie tu wiemy, co słyhać w sąsiedniej wsi, a co dopiero gdzieś w większych miastach. – Szkot uśmiechnął się gorzko do swoich rozmówców. – Ech, wojna mi się przypomina.

Church wyjrzał przez okno na główną ulicę miasteczka. Akurat jakiś chłopiec przejeżdżał na rowerze.

— Pewnie przynajmniej połowę dochodów czerpią tu państwo z turystyki. Co będzie, jeśli miastowi się nie pojawią?

— Ludzie znajdą dla siebie jakąś robotę. – Mężczyzna wyjął fajkę, która wyglądała na jego równolatkę, i zaczął ją nabijać tytoniem przechowywanym w skórzanym kapciuchu. – Wezmą się w garść i poradzą sobie. Coś się wymyśli. Jak w czasie wojny.



O szóstej spotkali się na obiedzie. Nie dostali nic wyszukanego, ale posiłek był sycący, a przede wszystkim nie ugotowali go sami na rachitycznym kocherze w środku pola. Po kilku nerwowych dniach w głuszy mogli się też nareszcie odprężyć i nawet Laurze udzieliła się panująca w hotelu atmosfera – owszem, narzekała, ale jakoś bez przekonania.

Zamówiwszy drinki, zaczęli rozmawiać o swojej sytuacji i planach na przyszłość. Całą drużynę finansowali teraz Ruth i Shavi, bo reszcie skończyły się już fundusze, oboje mieli jednak dostatecznie duże oszczędności, aby problem pieniędzy jeszcze jakiś czas nie spędzał im snu z powiek. Przedyskutowali również ewentualne wprowadzenie kartek na benzynę i ustalili, że nie tylko z samego rana napełnią bak, ale i postarają się zaopatrzyć

w jak najbardziej pojemne kanistry, które można by wozić ze sobą w furgonetce. Nikt nie ośmielił się zapytać, czy ich działania mają w ogóle jakiś sens, ani razu nie Padło także imię Balora, choć wspomnienie jego rychłego powrotu wisiało nad nimi niczym klątwa.

Najwięcej czasu zeszło im na wymianie hipotez dotyczących odrąbanego palca. Cały dzień wracali do niego myślami, a niejasna symbolika zbezczeszczonego kawałka ludzkiego ciała wydobywała z ich podświadomości skojarzenia i obrazy, których sensu także nie mogli się doszukać. Czuli się bezradni i osaczeni.

— Takie podchody nie są w stylu Fomorian – stwierdził Tom. Gdyby byli w pobliżu, po prostu by nas zaatakowali. Poza tym, odkąd nie stanowimy już dla nich zagrożenia, przestali się nami interesować. Ich zdaniem nasza pierwsza misja zakończyła się porażką.

— Bydlaki – warknął Veitch poirytowany. – No, ale skoro nas nie obserwują, być może uda nam się łatwo ich podejść.

Churcha podnosiły na duchu podobne komentarze. Towarzyszący im od zawsze fatalizm zdawał się stopniowo ustępować nadziei. Nikt z drużyny nie wątpił teraz, że potrafią jednak coś zdziałać, choćby nawet nie byt to żaden wielki wyczyn. Biorąc pod uwagę oszałamiającą przewagę przeciwników, zmiana nastawienia była już sama w sobie sporym osiągnięciem.

— Ten znak pozostawił ktoś, kto działa w pojedynkę – zasugerował Shavi. – Światem rządzą nowe prawa. Kto wie, może nieopatrznie złamaliśmy jakieś zasady i w ten sposób komuś lub czemuś się naraziliśmy? Może wtargnęliśmy na cudzy teren?

— Tylko do kogo należał ten palec? – spytała Ruth.

— Biedny człowiek – szepnął Church.

— Miejmy nadzieję, że chciano nas tylko stamtąd przepędzić – powiedział Shavi – i że nikt nas teraz nie śledzi, żeby się na nas zemścić.



Akurat tego wieczoru odbywała się w ich hotelu cotygodniowa zabawa z muzyką ludową. Nim wybiło wpół do ósmej, do sali tanecznej koło baru zaczęli napływać starzy bywalcy. Na niewielkiej scenie rozkładał się już zespół. To właśnie żywiołowa rozgrzewka skrzypka zwabiła do sali Toma i piątkę wybrańców. Powitano ich nadzwyczaj ciepło, toteż przenieśli się tu z baru z swoimi napojami. Popisom muzyka przysłuchiwał się między innymi sędziwy Szkot spotkany wcześniej przez Churcha i Veitcha. Stary mrugnął do nich porozumiewawczo, kiedy z beczulek na stole pod ścianą dolewali sobie piwa.

Zabawa zaczęła się o ósmej. Ledwie zabrzmiały pierwsze takty reela, parkiet wypełnił się po same brzegi. Tańczyli ludzie w każdym wieku, wirowały spódnice, stukały obcasy, z twarzy nie znikwały uśmiechy. Siedemnastoletnia na oko dziewczyna bezceremonialnie wciągnęła w tłum Shaviego, który wydawał się nie mieć nic przeciwko.

Veitch wolai nie ryzykować i schował się w kącie.

— Takie hołubce to nie dla mnie – mruknął pod nosem.

Pito z równym entuzjazmem co tańczono. Piwo płynęło strumieniami, z obowiązkową popitką z whisky po każdym kuflu. Bawiono się przednio, aż po upojenie, i pełnymi garściami czerpano z uroków życia. W takiej atmosferze trudno było



pozostawać obojętnym. Nie minęło dużo czasu, a i przybysze zapomnieli o stresie i trapiących ich rozlicznych kłopotach.

Minęły dwie godziny. Członkowie drużyny krążyli po całej sali, spędzając czas na rozmowach i zawieraniu nowych znajomości. Ulubieńcem dziewcząt był bezapelacyjnie Shavi, zaś serca miejscowych młodzieńców podbiła Ruth. Zaskoczyło ją to, że coś równie błahego jak powodzenie u mężczyzn pozwala jej odepchnąć od siebie ponure wspomnienie tragicznych wydarzeń ostatnich tygodni.

Złana potem po energicznym tańcu przeszła do baru, gdzie zastała osamotnioną Laurę. Dziewczyna stała oparta o ścianę, sącząc z kieliszka czystą wódkę.

— Witamy królową parkietu – burknęła na jej widok.

Ruth nauczyła się już ignorować te zaczepki, ale tym razem była podchmielona i nie panowała nad sobą tak dobrze jak zwykle.

— Zazdrościsz mi popularności – stwierdziła – ale to zrozumiale.

— Ja ci czegoś zazdroszczę? Nie ma czego. Spójrz w lustro, chodząca lodówko.

— Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Laura miała rację i to jeszcze bardziej zirytowało Ruth.

— Jeśli przypuszczasz, że obchodzi mnie to, co jest między tobą a Churchem...

— Każdy głupi wie, że od samego początku miałaś na niego chrapkę. Niestety, tyle macie z sobą wspólnego, co on i Shavi. Pogódź się z faktami, lepsza wygrała. – Na twarzy dziewczyny pojawił się cierpki uśmiech, ale jej oczy pozostały zimne.

Ruth poczuła, że wzbiera w niej gniew i to ją jeszcze bardziej

zdenerwowało. Nie lubiła tracić nad sobą kontroli, ale Laura była mistrzynią w wyzwalaniu w innych agresji. Zawsze wiedziała jak komuś dogryźć.

— To ciekawe – odpyskowała – bo słyszę niepokój w twoim głosie. Czyżbyś się bała, że teraz możesz go stracić?

Laura zamyśliła się.

— Pasujemy do siebie.

— Chyba raczej on do ciebie. Wreszcie znalazłaś kogoś dość silnego psychicznie, by mógł ci pomóc dźwigać twój ogromny bagaż emocjonalny. – Ruth zdążyła się pohamować, zanim palnęła coś jeszcze bardziej zjadliwego.

— A co ty wiesz o emocjach, księżniczko z krainy lodu? – Laura próbowała zachować spokój, ale i tak dopiła wódkę jednym haustem.

— Wcale mnie nie znasz.

— Mniejsza o to. Wara ci od Churcha! Widziałam, jak przedwczoraj się do niego przysiadłaś, starając zwrócić na siebie uwagę.

— Nawet mi przez myśl... – zaczęła Ruth, ale przerwała. Dlaczego niby miałyby się usprawiedliwiać? Muzycy zaczęli grać głośniej, musiała więc ich przekrzyczeć. – A co, jeśli o to mi właśnie chodzi?

Laura przez dłuższą chwilę patrzyła jej prosto w oczy. Trudno było powiedzieć, o czym myśli. A potem odwróciła się na pięcie i znikła w tłumie.



Veitch i Shavi zasiedli do pijackiego pojedynku: dopingowani

przez rozochoconych widzów wychylali jeden kieliszek za drugim. Zabawę przerwano jednak, gdy Tom, wszedłszy na prowizoryczną scenę, szepnął skrzypkowi coś na ucho, po czym dostał do ręki jego instrument. Pierwsze nuty melodii zaskoczyły wszystkich. Nieliczni pogrążeni jeszcze w rozmowie goście zamilkli zaraz i odwrócili głowy. Był to jakiś średniowieczny utwór przesycony bólem samotności. Jeśli napisano do niego kiedyś słowa, musiały mówić o tęsknocie, niespełnieniu i miłości, której nie było dane komuś zakosztować. Church poczuł, że jego serce ściska żal, ale sam grajek pozostawał niewzruszony. Nagle Tom, jak gdyby dopiero co zdał sobie sprawę, że melancholijna melodia nie pasuje do nastroju zabawy, przyspieszył nieco, a potem jeszcze bardziej i jeszcze odrobinę, aż rzewny utwór płynnie przeszedł w skoczny jiga. Jakaś para z przodu zaczęła klaskać do rytmu, w jej ślady poszli inni goście, a w końcu nie było na sali ani jednej osoby, która nie starałaby się w ten sposób odgonić resztek zadumy. Po kilku minutach parkiet na powrót ożył, zaś Tom wyglądał na najszcześliwszego człowieka pod słońcem.

Oszołomiony alkoholem Church popijał właśnie kolejną whisky, myśląc, że już od lat tak dobrze się nie bawił, kiedy poczuł nagle, że przechodzą go ciarki, tak, jakby ktoś się w niego wpatrywał. Odkąd po raz pierwszy zetknął się z czymś nadprzyrodzonym owego potwornego poranka pod mostem Alberta, nauczył się ufać intuicji. Szybko się odwrócił. Wprawdzie nikt za nim nie stał, ale drzwi na korytarz były otwarte. Korytarz ten prowadził do głównego wejścia hotelu. Pospiesznie rozważywszy wszystkie za i przeciw, mężczyzna ruszył w jego stronę. Również tam nie zastał nikogo.

Miał już uznać, że to wyobraźnia płata mu figle i zawrócić,

kiedy drzwi frontowe uchyliły się nieco, jakby od silnego poddmuchu wiatru. Wydało mu się, że ktoś go zza nich wola ledwie słyszalnym, melodyjnym głosem.

Serce zaczęło bić mu szybciej, ale mimo że wiele już przeszedł, nie potrafił zachować większej ostrożności. Powietrze przesycone było czymś takim... Silnym uczuciem? Czymś bardzo pozytywnym. Ta dziwna siła była właśnie od drzwi. Najpierw przyszło mu na myśl, że to Marianna znów go wzywa, ale nie, wtedy czuł się inaczej. Dopił whisky, odstawił szklankę byle gdzie i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.

Chociaż nie minęła jeszcze dziesiąta, główna ulica miasteczka wyglądała na wymarłą. Latarnie rzucały snopy jaskrawego światła, nie na tyle jednak intensywnego, by przesłonić rozsiane po czystym niebie iskierki gwiazd. Noc była rozkosznie ciepłą obietnicą lata. Church spojrział w lewo, potem w prawo. Ani żywej duszy. I wtedy wreszcie coś przykuło jego uwagę.

Po drugiej stronie ulicy, na zboczu schodzącym w stronę rzeki, znajdował się obwiedziony murem park. Za dnia dochodziły stamtąd piski hulającej na placu zabaw dzieciarni i sarkastyczne uwagi grupek nastolatków wystających pod drewnianą budą z napojami. Teraz, rzecz jasna, nikogo tam nie było, a bijąca spośród drzew cisza odebrałaby spokój każdemu mieszczuchowi. Przeszedłszy przez jezdnię, Church zajrzał ponad ogrodzeniem do środka, próbując wypatrzeć w mroku coś intrygującego. Jasne ścieżki wiły się wśród wysokich traw. Nagle dalej coś mignęło. Rozsądek podpowiadał mężczyźnie, że nie powinno się zapuszczać do parku o tej porze, ale instynktownie czuł, że nic mu nie grozi. Wziął się w garść i otworzył furtkę.

Z dala od ulicznych latarni każdy krzak przypominał potwora, a za każdym drzewem zdawał się kryć przyczajony napastnik.

Natura była tu górą. Dobrze, że chociaż szmer rzeki zakłócał w głębi parku działającą na nerwy ciszę. Owo tajemnicze coś, które nakazało Churchowi wyjść z hotelu, teraz wskazywało mu drogę wśród bujnej roślinności. Co kilka minut w pewnym oddaleniu zauważał jakieś poruszenie, dzięki czemu wiedział, w którą stronę się udać. Dotarł tak do rzeki, a potem szedł wzdłuż niej z powrotem w kierunku centrum miasteczka, aż minąwszy ceglany most, natrafił na pewne ciekawe miejsce. Był to stary cmentarz o oryginalnym, trójkątnym kształcie. Pokryte seledynowymi porostami przygarbione pomniki przywodziły na myśl kamienie tworzące krąg koło Gairloch. Przestrzeń pomiędzy mogiłami porastała gęsta trawa, a wzdłuż muru ciągnął się szereg sędziwych drzew, tak dziwacznie powykręcanych przez działanie wiatru, że wyglądały niczym grożące intruzowi stado trolli. Cisza i mrok tylko potęgowały to nieprzyjemne wrażenie. Church miał już ochotę zawrócić, by nie narażać się sękatym strażnikom, ale w tym samym momencie w głębi cmentarza coś przemknęło. Zielona, żelazna furтка w murze była uchylona. Mężczyzna wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Przesuwał się ostrożnie wśród kamiennych nagrobków, przeklinając w myślach swą wyjątkową głupotę, ale w głębi serca czuł nadal, że nie ma się czego bać. Wkrótce stał już twarzą w twarz z ową tajemniczą istotą, która zapragnęła się z nim spotkać tego właśnie wieczoru.

Okazał się nią być nie kto inny, jak kobieta ze Strażnicy – ta sama, która w dzieciństwie nawiedzała go w snach, a później wyzwoliła z niewoli u Fomorian, twierdząc, że jest jego patronką. Jak wszyscy przedstawiciele plemienia Danu była oszałamiająco piękna. W jej oczach pobłyskiwały złote drobiny, lśniące włosy

opadały bujnie za ramiona, a skóra zdawała się emitować łagodne złote światło. Miała na sobie tę samą ciemnozieloną suknię, którą pamiętał dobrze z poprzednich spotkań. Trudno było ocenić, z jakiej tkaniny szata została wykonana, ale materiał lepił się do ciała, czyniąc boginię jeszcze bardziej powabną.

Kobieta uśmiechała się uwodzicielsko, oczy jej błyszcząły. Z początku Church poczuł jedynie zachwyt i oszołomienie, podobnie jak wtedy, kiedy spotkali się między światami, ale uczucia te po krótkim czasie przesłoniła mieszanina innych: podejrzliwości, smutku i gniewu.

— Oszukałaś mnie – powiedział hardym tonem. – Ty i twoi pobratymcy. To wy staliście za morderstwem Marianny. Dzięki temu, że byłem w żałobie, mogliście zrobić ze mnie swojego niewolnika, który wyzwolił wasz lud, kiedy stało się to dla was niezbędne. Okrutnicy! Mordujecie ot tak. – Pstryknął palcami.

Bogini nie wydawała się oburzona tym wybuchem.

— Nie potrafię powiedzieć prawie nic, co mogłoby pomóc zabić rany w twym sercu – przemówiła łagodnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Poniekąd egzystencja wszystkich Kruchych Istot naznaczona jest piętnem tragedii. Zdarza się także, że żyjąc wiecznie, poza czasem, my, Tuatha Dé Danann, zapominamy, jak wiele bólu potrafi sprawić ludzkiej duszy jeden zgon. – Church miał wrażenie, że przez chwilę dostrzega w oczach kobiety autentyczną tkliwość, co mile go zaskoczyło. – Całe życie stałam przy twoim boku. Widziałam, jak przyszedłeś na świat, obserwowałam, jak dorastałeś. Gdy byłeś już dostatecznie duży, ukazałam ci się we śnie, aby sprawdzić, czy pasujesz do wiecznego wzorca, czy drzemie w tobie bohater o duszy przesyconej cudowną esencją tej ziemi. Dojrzałam wówczas w tobie... – Zamilkła, jakby pragnąc zastanowić się, jak

to lepiej wyrazić. – Dojrzałam wówczas w tobie szlachetność i pasję przerastające to, co zwykle Kruchym Istotom jest dane. Bardowie będą pewnego dnia śpiewać pieśni o wielkim Jacku Churchillu.

— To nie...

Uniosła rękę, nakazując mu milczenie.

— Mój udział w tragedii twego życia był niewielki. Kierowałam wprawdzie przeznaczeniem Braci i Sióstr Smoków, lecz nie ja podjęłam decyzję, by uformować was w tyglu śmierci. Uwierz mi, Jack, moją intencją nigdy nie było cię skrzywdzić.

Coś nakazywało mu myśleć, że za jej słowami kryje się drugie dno. Było coś takiego w tonie jej głosu, w malujących się na jej twarzy emocjach, w tym, jak przechylała kształtną głowę... Oczy kobiety posiadały hipnotyzującą moc, czuł, że się w nich zapada, odpływa w ich głąb. Nie potrafił dłużej być na nią zły.

— Może ty sama nie jesteś za to odpowiedzialna, ale w takim razie kto inny jest winowajcą. Zapłaci za to, co zrobił mnie i pozostałym. Nie potrafię zapomnieć i nie potrafię wybaczyć.

— Co jest najzupełniej zrozumiałe.

— Więc kto decydował? I kto wykonał rozkaz? Kto zabił Mariannę, matkę Laury, chłopaka Shaviego?

— Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie możesz, czy nie chcesz? – starał się zachować spokój, aby nie obrazić swojej rozmówczynie, zdając sobie sprawę, że mimo łagodnego uśmiechu w istocie jest równie wszechmocna co nieprzewidywalna.

Kobieta złożyła dłonie, niemal jakby miała się modlić.

— W waszych oczach jawimy się potężni i wolni, nie krępują nas żadne ze znanych wam więzów. To tylko pozory. Mamy swoje zasady, ograniczają nas tak jak i was wasze. Górami,

morzem czy wiatrem też rządzą ich prawa. Nikt i nic nie jest do końca wolne. Nie mogę wyjawić ci tego, na czym tak ci zależy.

— Sam się dowiem.

Skinęła głową w milczeniu.

Dopiero wyrzuciwszy z siebie to, co leżało mu na sercu, Church zaczął zastanawiać się, co tak właściwie tu robi.

— Dlaczego przyszedłeś?

— Aby odnowić naszą znajomość, pokazać ci, że nie mam zamiaru cię porzucać, choć mój lud osiągnął to, do czego dążył.

Church nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Intuicja podpowiadała mu, że może zaufać kobiecie ze Strażnicy, nie sposób jednak było powiedzieć, czy to nie rezultat długich lat manipulacji.

— Czy dobrze zrozumiałem? Chcesz być naszym sojusznikiem?

— Tak, a nawet kimś więcej.

— Czyli kim? Przyjacielem?

Nie odpowiedziała, za to nadal uśmiechała się uwodzicielsko. Church drgnął, ale zaraz się opanował.

— Cóż, jeśli mamy być przyjaciółmi, powinnaś wyjawić mi w końcu swoje imię.

— Mam wiele imion, tak jak wszyscy moi bracia.

Czekał cierpliwie, nie dając wciągnąć się w jej gierki. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Zwano mnie niegdyś Królową Jałowej Ziemi.

Tytuł ten wydał się mężczyźnie znajomy, nie potrafił sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy się z nim zetknął.

— Różnie na mnie wołano przez te wszystkie lata, które spędziłam na ziemi, ale przedstawiciele twojej rasy najczęściej nazywali mnie Niamh.



— Niamh – powtórzył czule. Poczł się dziwnie rozmarzony. Zerknął w bok. Kontury drzew i mogił zaczęły się zamazywać, a wszystko wokół migotało niczym obsypane brokatem. Czy to się działo naprawdę, czy też może śnił? – A więc pochodzisz z królewskiego rodu?

— W hierarchii Złotego Ludu należę do arystokracji.

Bogini wyciągnęła ku niemu rękę. Churchowi przemknęło przez głowę, że nawet gdyby chciał, nie zdołałby się jej oprzeć.

Ich dłonie splotły się. Palce kobiety były długie i chłodne. Zaciśnęła je mocniej i przyciągnęła go do siebie. Pachniała cudownie świeżo, miętą i cytrusami. Na chwilę zastygli w bezruchu, patrząc sobie prosto w oczy. Mężczyzna poczuł, że zapada się w szmaragdowej toni, coraz głębiej i głębiej – gdzieś tam, w sercu ciemności, kryła się kraina cudów... A potem Niamh przysunęła się bliżej. Twarz Churcha owionął wietrzyk jej oddechu. Zadrżał z podniecenia. Kiedy ich usta się zetknęły, zakręciło mu się w głowie, oszołomił go gwałtowny przypływ energii. Wargi kobiety, delikatne niczym skórka brzoskwiń, miały niespotykany, owocowy smak. Zaczęła pieścić jego język koniuszkiem własnego. Zapomniał o bożym świecie. Owładnęła nim żądza, czyste szaleństwo. Całował ją coraz namiętniej, objął obiema dłońmi w talii, przycisnął brutalnie do swojej piersi. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego, przerastał go nadmiar bodźców. Stracił przytomność.



Otaczał go nieprzenikniony mrok. Miał wrażenie, że ktoś go wzywa. To tylko sen, pomyślał, ale w tym samym momencie

dotarło do niego, że jednak nie śni. Czerń, nic tylko czerń, nic prócz... sowy. Tak, to pomocnica Ruth krążyła mu nad głową. Czyżby polowała? Nie doszedł jeszcze zupełnie do siebie. Nagle zdał sobie sprawę, że ruchy ptaka są zbyt gwałtowne – wydawał się być przerażony, zaskoczony jakimś niewidzialnym atakiem.

— Czy coś się stało? – zawołał. Jego głos zadudnił głucho, jakby mężczyzna leżał na dnie głębokiej studni.

Ptak obniżył lot. Ptak? Tyle że to nie był już ptak... Co zatem? Tego już Church nie wiedział. Stwór miał ludzkie ciało, ale z twarzy nadal przypominał sowę. Wyrastające mu z pleców błoniaste skrzydła biły z wielką siłą. Było w tej istocie coś tak potwornego, że nie potrafił zmusić się do spojrzenia jej w oczy.

— Musisz do niej iść!

Przykry dźwięk, niczym metal trący o cement.

— Jest w ogromnym niebezpieczeństwie! Ja jej nie pomogę.

— O kim mówisz?

— Krew! – Zabrzmiało to niemal jak groźba. – Wszędzie krew!



Church ocknął się na ziemi i z nadmiaru adrenaliny momentalnie zerwał się na równe nogi. Był śmiertelnie przerażony. Z początku nie wiedział, co się z nim dzieje, ale gdy rozejrzał się po cmentarzu, załata go fala wspomnień.

Niamh... Znikła.

A potem przypomniał sobie dziwny sen o sowie i nagle zrozumiał, czemu się boi.

— Ruth – szepnął i ruszył biegiem do hotelu.



Nie miał pojęcia, ile czasu go nie było, ale zabawa się już skończyła, a tancerze zdążyli rozejść się do domów. Tylko Shavi, Veitch i Tom siedzieli przy jednym z stolików. Gdy wzburzony Church wtargnął do środka, powitali go zdziwionymi minami.

— Gdzie Ruth?

— Poszła na górę – wybełkotał Veitch. – Wieki temu. Nie mogła...

Ale Church wypadł już na korytarz i rzucił się ku schodom. Zamarł u ich stóp. Stała na nich Laura. Oparta o balustradę, wpatrywała się w oszołomieniu w swoje blade dłonie. Były umazane krwią.

— Boże Święty! – zawołał, jego głos dobiegał gdzieś z daleka. Przerażony spoglądał to na dziewczynę, to na plamy. – Co się jej stało?

Laura pokręciła tylko głową z tępym wyrazem twarzy. Próbowwała coś powiedzieć, ale była w zbyt wielkim szoku. Church nie mógł czekać dłużej. Odsunął ją na bok i sadząc po dwa stopnie, dopadł pierwszego piętra. Drzwi do pokoju Ruth były złowieszczo uchylone. Pchnął je brutalnie i wtargnął do środka.

W grubą wykładzinę wsiąkała już niewielka szkarłatna kałuża, ściągniętą częściowo na ziemię kołdrę szpeciły czerwone kleksy, a na jasnej ścianie bryzgi krwi utworzyły coś na kształt abstrakcji Pollocka. Church zlustrował zniszczone wnętrze. Nic, żadnego ciała.

Miał już wychodzić, kiedy jego uwagę przykuł stolik pod oknem. A raczej to, co leżało na nim. Sparaliżował go ten widok.

Tymczasem na progu stanęła odmieniona Laura, nadal półprzytomna. Starczyło jednak jedno spojrzenie w kierunku feralnego stolika, by dziewczyna odzyskała mowę.

— Jezu Chryste!

Mimowolnie podniosła dłoń do ust.

Na zakrwawionym stoliku leżał kolejny ludzki palec, a sądząc po jego delikatnym kształcie, należał do Ruth.



Kilkanaście sekund później w pokoju zjawili się pozostali. Musieli mieć trudności z wejściem po schodach, ale sam widok ich dwojga towarzyszy pozwolił im wytrzeźwieć w mgnieniu oka. Na twarzy pobladłego Churcha malowała się rozpacz i przerażenie. Laura szlochała.

Nim nowo przybyli zdążyli zabrać głos, Church otrząsnął się z szoku i wyszedł na korytarz. Dopiero teraz spostrzegł na podłodze ciemne plamki krwi prowadzące spod drzwi pokoju Ruth ku schodom. Bez namysłu ruszył ich śladem. Niestety, trop urywał się przed budynkiem hotelu. Mężczyzna miotał się jakiś czas po wymarłej ulicy, nasłuchując uważnie i wypatrując jakiegokolwiek wskazówki.

Kiedy wrócił na piętro, nie musiał nic mówić. Starczyło na niego spojrzeć, by odgadnąć, że nic nie wskórał.

Veitch musiał dopiero teraz zauważyć zakrwawione ubranie Laury, bo wydarł się na nią znienacka: – Co jej zrobiłaś?

W jego tonie było tyle agresji, że Churcha przeszedł zimny dreszcz.

Dziewczyna pokręciła głową.

— Nie wiem – odparła słabym głosem.

Veitch dopadł jej, zanim inni zdążyli zareagować.

— Lepiej nam powiedz, suko! – ryknął dziko, chwyciwszy ją za ramiona. – To twoja robota! Krew cię zdradziła!

— Ryan! – Natychmiast go odciągnęli. Twarz mężczyzny wykrzywiona była niehumanym gniewem.

— Cała jest w jej krwi! – Veitch splunął oskarżycielsko w stronę Laury. Ta znów spojrzała na swoje zbryzgane dłonie.

— To nie tak... – jęknęła.

— No to co tu się stało? – Ryan przestał się im wreszcie wrywać.

— Spałam u siebie – zaczęła dziewczyna niepewnie – ale coś mnie obudziło, jakiś hałas. Nie widziałam za dobrze, wiecie, za dużo wypiałam. – Rozejrzała się niewidzącym wzrokiem. – Postanowiłam sprawdzić, co to. Myślałam, że może to Church wraca. Na korytarzu znów coś usłyszałam. Drzwi pokoju Ruth były otwarte, więc...

— Kto to był, Lauro? – spytał spokojnie Shavi.

Jej oczy na powrót wypełniły się łzami. Wpatrywała się w jakiś punkt w zacienionym kącie pokoju.

— Nie wiem... Nie pamiętam!

— Kłamiesz! – warknął Veitch, mierząc ją lodowatym spojrzeniem. Laura wyciągnęła przed siebie ręce w błagalnym geście.

— Nic nie pamiętasz? – spytał Church.

W oczach dziewczyny pojawił się ból.

— Ty też mi nie wierzysz?

Zaczęła wycofywać się w róg pokoju.

— Spokojnie, Lauro – powiedział Shavi. Jego ciepły głos działał jak balsam. – Próbujemy tylko ustalić, co się stało z Ruth.

— Nie ma czasu na takie ceregiele! – krzyknął Veitch. Zachowaniem przypominał Churchowi osaczone zwierzę. Zaskakujące było to, że przeżywał zniknięcie kobiety bardziej niż inni, ale w końcu to Ruth go nienawidziła. On wobec niej mógł żywić zupełnie inne uczucie. Pragnąc uspokoić kompana, Church położył mu dłoń na ramieniu. Spodziewał się, że ją strąci, ale Veitch znów go zaskoczył, jakby przypomniał sobie, kto jest przywódcą drużyny i komu winien się podporządkować.

Laura opadła na krzesło i skryła twarz w dłoniach, lecz wnet podskoczyła jak oparzona, uświadomiwszy sobie z obrzydzeniem, że krew z poplamionych dłoni zostaje na jej twarzy. Wściekła znikła w łazience, zatraskując za sobą drzwi.

jej wyjście rozwiązało mężczyznom języki.

— Jak mogliśmy być tak nieostrożni? Nic nas nie nauczyły poprzednie wpadki. – Church walczył z kotłującymi się w jego wnętrzu emocjami.

Veitch powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy.

— Myślicie, że to ona? – szepnął, wskazując głową łazienkę. – Tyle tej krwi...

Church zaczął obgryzać paznokcie. Pozostała dwójka patrzyła gdzieś w bok, nie wiedząc, co powiedzieć.

Veitch podrapał się po policzku, po czym podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

— Gdzie ona może być? Sądzicie, że nie żyje?

Wściekłość minęła, pozostał strach.

— Zostawiliby wtedy ciało, prawda? – odparł Church.

— Chyba, że potrzebowali go do jakiegoś rytuału – zauważył Tom. Church rzucił mu karcące spojrzenie. Trochę taktu!

Veitch zdobył się w końcu na przyjrzenie się z bliska leżącemu na stoliku palcowi.

— Trzeba być zboczonym bydlakiem, żeby zrobić coś takiego. Boże, biedna Ruth... – Głos mu się załamał.

Shavi przykląkł nad wsiąkającą w wykładzinę kałużą.

— Sądząc po ilości krwi, prócz utraty palca nie odniosła większych...

— Nie ruszaj! – wrzasnął Tom, widząc, że Veitch ma zamiar dotknąć palec. Londyńczyk cofnął rękę, jakby się oparzył. Cała się trzęsła.

Tom podszedł do niego szybko i pochylił się nad blatem stolika.

— Myślę, że to znak – oświadczył, zdejmując z nosa sfatygowane okulary. – Jaki kierunek według was wskazuje paznokieć?

Shavi wyjrzał przez okno.

— Słońce zaszło o tam – pokazał ręką – więc, tak na oko, to południowy wschód.

Tom włożył z powrotem okulary i wyprostował się.

— Też tak uważam. Południowy wschód. Czyli, innymi słowy, Edynburg.

Po tym komentarzu zapadła długa cisza. Pierwszy odezwał się Church: – Co to oznacza?

— Ktokolwiek za tym stoi, wskazuje nam drogę. Zależy mu na tym, żebyśmy posłuchali jego wskazówek. – Oczy Toma powędrowały ku spowitym czernią wzgórzom, poza zasięgiem nikłych świateł miasteczka. – Ten ktoś lubuje się w rytuałach, we wszystkim, co potworne. Próbuje wykorzystać do własnych celów owe nieczyste siły, które pojawiły się na świecie z niedawnym nastaniem nowej ery.

— Calatin? – zasugerował Church. – A może Mollecht? Czy jacyś inni Fomorianie?

Tom pokręcił przecząco głową.

— To nie w ich stylu. Mamy nowego przeciwnika. To pierwszy etap wymyślonej przez niego gry.



## ROZDZIAŁ 3

### NOWE SŁOWA DO STAREJ PIEŚNI

**N**oc zdawała się ciągnąć bez końca. Siedzieli w pokoju Ruth niemal sparaliżowani, obawiając się najgorszego. Bali się głębiej drążyć ten bolesny temat, nie byli też w stanie dyskutować o tym, co dalej. Krew skrzepla, nieszczęsny fragment ciała porwanej nadal spoczywał na stoliku. Od czasu do czasu zerkali mimowolnie w jego stronę, jakby ktoś wskazywał ich tym palcem oskarżycielsko, uznając za współwinnych.

Laura siedziała z dala od mężczyzny i tępym wzrokiem wpatrywała się w okno. Church nie potrafił odgadnąć, co się dzieje w jej wnętrzu. Czy wybuch Veitcha głęboko ją zranił? Czy czuła się zdradzona przez towarzyszy? A może... Tego jednak nie chciał nawet brać pod uwagę, choć mimo to podejrzenie to nie opuszczało jego podświadomości. Brzydził się siebie, za to, że jest zdolny do snucia podobnych przypuszczeń, ale kiedy zobaczył miny kompanów, zrozumiał, że i oni myślą podobnie. Stało się faktem to, czego tak bardzo się obawiał: ich drużynę zaczynał toczyć rak nieufności.

Z trudem radził sobie z burzą uczuć, jaka szalała w jego sercu. Kiedy z rzadka pozwalał sobie przyjrzeć się tym emocjom z bliska, okazywały się niepokojąco podobne do tych, które targały

nim po śmierci Marianny. To go zaskoczyło. Czyżby w tak krótkim czasie Ruth zdołała stać się dla niego kimś równie ważnym? Tyle się zmieniło przez te kilka ostatnich tygodni. Należał do Braci i Sióstr Smoków – nic dziwnego, że jako takich łączyła ich silna duchowa więź. Byli też sobie bliscy, bo wiele razem przeszli. Do tej pory tyle się wokół działo, że nie miał jeszcze czasu tego wszystkiego przetrwać.

Co jakiś czas wymieniali między sobą z oporami po kilka zdań i kiedy dachy domów po drugiej stronie ulicy liznęły pierwsze promienie słońca, było już jasne, że pozostali życzą sobie, aby to Church podjął ostateczną decyzję co do dalszego przebiegu ich wyprawy. Jeszcze parę dni temu, przed świętem Bekane, odparłby zapewne, że nie nadaje się na przywódcę, że nie jest dość wytrwały i wytrzymały, jednak pierwszego maja zawiódł ich tak bardzo, że przyzwoitość nakazywała mu teraz wziąć na siebie odpowiedzialność. Zdawał sobie sprawę, że stoi przed niezmiernie trudnym wyborem i nie wszystko, co postanowi, będzie zgodne z tym, co czuje, ale, pomyślał, o to w tym wszystkim właśnie chodzi. Musiał poświęcić część swoich zasad dla wyższych celów. Miał tylko nadzieję, że pod koniec coś z nich zostanie.

— Musimy jak najszybciej dostać się do Edynburga – zadyrygował.

— Żeby odnaleźć Ruth, prawda? – spytał Veitch.

— Oczywiście.

Londyńczyk przyjrzał mu się podejrzliwie.

— A co byś zrobił, gdyby wywieźli ją w przeciwnym kierunku? Church zbyt kompana milczeniem.



Żadne z nich nie wiedziało, co począć z odrąbanym palcem. W końcu owinęli go w chusteczkę higieniczną, a Church ukrył go w czeluściach swojej torby. Spakowawszy się pośpiesznie, wymeldowali się z hotelu, nie zwracając uwagi na wyraźne zakłopotanie jego kierownika, który nie mógł pojąć, czemu wyruszają w drogę tak wcześnie i na czczo, a także bez jednej osoby.

Ledwie minęli ostatnie zabudowania miasteczka, gdy dogonił ich radiowóz na sygnale. Migając wszystkimi światłami, auto wyprzedziło ich i zmusiło do zjechania na pobocze. Policjant okazał się wzburzonym, siwiejącym czterdziestolatkiem. Sądząc po jego fryzurze, dopiero co wyciągnięto go z łóżka.

Siedzący za kierownicą furgonetki Veitch spuścił szybę po swojej stronie, by móc porozmawiać ze zbliżającym się funkcjonariuszem.

— Proszę zawrócić i pojechać za mną na komisariat. — Policjant spojrzał srogo na Ryana, ale ten nawet nie mrugnął.

— Nie ma mowy. Mamy pilną sprawę do załatwienia.

— Nie każ mi powtarzać, chłopcze. Odkąd wprowadzili stan wojenny, mam tyle na głowie, że szybko tracę cierpliwość. Tu na wieś nie przysłano posiłków, musimy dawać sobie radę sami, więc mnie nie prowokuj, kolego, bo odpłacę pięknym za nadobne, jeśli tylko utatwi mi to robotę.

Veitch najeżył się, więc Church postanowił szybko przejąć pałeczkę: — W czym problem, panie władzo? Przecież nie jechaliśmy za szybko.

— Wy już dobrze wiecie, w czym problem — warknął policjant

mocno poirytowany. – Chodzi o pewne plamy na pewnej wykładzinie.

— Ach, to. Wygłupialiśmy się tylko i trochę nas poniosło. Jeśli kierownik żąda odszkodowania za straty...

— Wysiadać mi z samochodu! Natychmiast! – Oficer był wyraźnie spięty.

Shavi schwycił Churcha za kołnierz i przyciągnął do siebie.

— Facet myśli, że zabiliśmy Ruth – szepnął mu na ucho. Coś w jego głosie powiedziało Churchowi, że szaman czerpie te wnioski nie tylko z obserwacji.

Przez chwilę wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Kątem oka Church dostrzegł, że Veitch zaciska zęby, mruży oczy i napina mięśnie przedramion, a potem błyskawicznie przekręca kluczyk w stacyjce, dociskając jednocześnie pedał sprzęgła. Silnik furgonetki zawył dziko i w mgnieniu oka złorzeczący policjant został daleko w tyle. Londyńczyk prowadził jak wariat. Kiedy już stracili radiowóz z oczu, wyhamował raptownie i skręcił w las, w gruntową drogę wijącą się wśród roślących sosen, a używaną zapewne jedyne przez leśników. Tam, upewniwszy się, że są już niewidoczni z szosy, zgasił silnik.

— Co za kretyn – rzuciła z tyłu samochodu Laura. – Teraz będziemy na listach gończych w całym kraju. I jak pan sobie wyobraża podróż w takich warunkach, panie macho?

Veitch spojrzał na nią spode łba.

— Nie masz prawa zabierać głosu. Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie...

— Stul dziób! – rozkazał Church.

Veitch zasepił się.

— Jak tylko ten gość zajrzy w moje akta, narobi takiego rabanu, że nie będziemy w stanie ruszyć się stąd przez tydzień.

Nie stać nas na to.

Church odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

— Nie martw się, Ryan, dobrze postąpiłeś. Jeśli stare rasy wyjdą na dobre z ukrycia, jeśli naprawdę zapanuje chaos, policja będzie miała ważniejsze rzeczy na głowie niż ściganie takich płotek jak my. Ta historia z wykładziną utrudni nam nieco życie, ale poradzimy sobie. Byle tylko nie mieli kiedy uruchomić całej procedury.

— Obyś miał rację – powiedziała ponuro Laura.

Churchowi przypomniała się uwaga Shaviego.

— Potrafisz teraz czytać w myślach? Wtedy z policjantem...

— Domyślałem się tylko. – Szaman wzruszył ramionami.

— Przecież sam nam zademonstrowałeś, że jesteś w stanie przeniknąć do czyjegoś umysłu.

Shavi spojrział tylko gdzieś w bok.

— Do czego zmierzasz? – spytała Churcha Laura.

— Uważam, że Shavi powinien spróbować pomóc ci spenetrować zakamarki swojej pamięci, żebyśmy mogli się dowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się zeszłej nocy.

Nawet mimo okularów przeciwsłonecznych widać było, że dziewczynę zmroziło.

— Po moim trupie.

— Masz coś do ukrycia? – spytał Veitch oschle.

Laura nie zareagowała.

— Ruth i ja poddaliśmy się podobnemu eksperymentowi zaraz po tym morderstwie pod mostem Alberta – wyjawiał Church, chcąc rozproszyć obawy zarówno swojej ukochanej, jak i szamana. – Poszło całkiem nieźle. Nic takiego się nam nie stało, a uwolnione wspomnienia pozwoliły wyjaśnić wiele spraw.

Laura przechyliła nieznacznie głowę i Church zgadł, że pod

osłoną ciemnych okularów dziewczyna zerka na Veitcha, podejmując decyzję. Tamten nie krył, że ją podejrzewa. Musiała się zgodzić, choćby po to, by dowieść swojej niewinności.

— Niech ci będzie, czarnoksiężniku – powiedziała obojętnym tonem. – Zapuścisz się w rejony nieznane ludzkości.

Church położył Shaviemu rękę na ramieniu.

— Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Tamten uśmiechnął się blado.



Zamknąwszy furgonetkę, zagłębili się w las. Tom dał Shaviemu nieco haszyszu, który miał mu pomóc wpaść w odpowiedni nastrój. Wkrótce natrafili na miejsce, gdzie przez przesmyk w baldachimie igieł słońce rzucało na runo jaskrawy krąg światła. Laura i Shavi usiedli w nim po turecku, pozostali oparli się zaś plecami o pnie pobliskich drzew. Przyglądali się w milczeniu, jak szaman szepcze dziewczynie coś do ucha. Po kilku jego zdaniach zaczęła wyglądać na senną i rozmarzoną.

Kiedy pochyliwszy się, ujął obie jej dłonie, w otoczeniu uciekinierów zaszła nagła i wyraźna zmiana. W tym samym momencie w lesie ucichły wszelkie odgłosy: ptaki przestały śpiewać, a liście szeleścić na wietrze. Zdawało się, że odcięci są od czasu i świata.

— Lauro – powiedział głośno Shavi – cofnijmy się teraz do wydarzeń ubiegłej nocy, do tego, co się działo w hotelu po zabawie. Ty i Ruth wymknęłyście się na górę stosunkowo wcześnie, prawda?

— Miałam już dość, panna sztywniaczka zalaża mi za skórę.

No i za dużo ludzi gapiło się na moje blizny.

— Obie poszłyście do swoich pokoi. Zdążyłaś zasnąć?

— Położyłam się na łóżku w ubraniu, byłam wykończona – wymamrotała ociężała Laura. – Film mi się urywał. Nie wiem, jak długo spałam. Chyba dość krótko. A potem obudził mnie hałas.

— Co to było?

— Nie pamiętam.

— Spróbuj sobie przypomnieć. Zastanawiała się przez chwilę.

— To była Ruth, krzyk Ruth.

— Co wtedy zrobiłaś? Opowiedz mi wszystko po kolei.

— Wstałam z łóżka. Trochę się zataczałam. Czułam się tak, jakby ktoś obił mi głowę kijem baseballowym. Pomyślałam sobie: „Dzięki Bogu, że mnie Church nie widzi. Spaliłabym się ze wstydu”. Podeszłam do drzwi. Znów coś usłyszałam, huk, jakby coś dużego spadło ze stołu, lampa czy coś. Wydawało mi się, że za ścianą słyszę głosy. Wyszłam na korytarz... – Przerwała spłoszona.

— Co takiego zobaczyłaś?

Łzy trysnęły z oczu dziewczyny i spłynęły po policzkach.

— Nie! – jęknęła, kręcąc głową i zaciskając kurczowo powieki, jakby miało jej to pomóc w odgonieniu potwornej wizji.

— Proszę, Lauro. – Shavi zniżył głos, tak że ledwo słyszeli, co mówi. – Skup się na osobie porywacza.

— Wyszłam, a tam stał... – Wzdrygnęła się. – Nie, nie! Widzę ogromnego wilka. Sięga łbem sufitu, ponad sufit. Rośnie. Jest już tak wielki jak cały hotel. Ma takie wstrętne żółte ślepia i zaraz na mnie spojrzy. Uśmiecha się... Uśmiecha się jak człowiek.

Dziewczyna zaczęła chorobliwie szybko oddychać. Shavi wypuścił jej dłonie i przyciągnął ją do siebie. Oparłszy głowę o jego pierś, stopniowo dochodziła do siebie.

— Olbrzymi wilk? – syknął Veitch. – Wciska nam kity.

Przycupnęli przy siedzącej parze, czekając, aż Laura otworzy oczy. Oprzytomniawszy, unikała ich wzroku.

— Mam nadzieję, że nie spodziewaliście się niczego lepszego. Uprzedzałam was, że do niedawna ostro ćpałam.

— Jak myślicie, kto to mógł być? jakiś zmiennokształtny? – Udany eksperyment pomógł chyba Shaviemu odzyskać wiarę w siebie.

Powrócił delikatny, enigmatyczny uśmiech, który Church zapamiętał z początków ich znajomości.

— Nie sądzę. – Tom miał zatroskaną minę. – To wcale nie musiał być prawdziwy wilk. Umysł Laury, broniąc się przed czymś nie do ogarnięcia, mógł zastąpić to, co widziała, zwierzęcym symbolem.

Churchowi przypomniało się, że kiedy poddał się hipnozie z Ruth, terapeuta także tłumaczył im pojęcie wspomnienia-zasłony: w ten sposób umysł miał chronić się przed szaleństwem. Naukowiec przypuszczał, że tak właśnie było w ich przypadku. Oboje nie pamiętali, co się wydarzyło pod mostem, tuż przed tym jak jednocześnie stracili przytomność, a w czasie seansu przypomnieli sobie, że widzieli wówczas czerwonookiego demona. Tyle, że, jak się później okazało, terapeuta się mylił – potwór istniał naprawdę.

— Zaraz dostanę kręćka – stwierdził Veitch. – To już nie można wierzyć niczemu, co się myśli czy widzi!

— Zawsze tak było – mruknął Tom.

— To jak teraz przebić się przez tę całą symbolikę, żeby wydobyć to, co Laura widziała naprawdę? – spytał Church.

Shavi podrapał się w zakłopotaniu po brodzie.

— Spróbuję zrobić, co w mojej mocy, ale wolałbym wpierw



trochę odczekać. Laura... oboje musimy trochę odpocząć. Umysł to delikatna rzecz.

— I nie mam drugiego w zapasie – dodała dziewczyna. Z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy potarła dłoń o dłoń, jakby chciała w ten sposób zatrzeć swoje potworne wspomnienie.

— Przynajmniej wiemy, że Laura coś widziała. Kogoś widziała poprawił się Shavi.

— I co, wierzysz mi teraz, palancie? – Laura znów miała na nosie ciemne okulary, więc Church nie wiedział, czy zwraca się do niego, czy do londyńskiego zawadiaki.

— Nadal uważam, że mogła to wszystko zmyślić – stwierdził Veitch. – Żaden z nas nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, do czego zdolny jest jej umysł, w co wierzyć, a w co nie. Może robi nas w konia, może panuje nad sobą w hipnozie. Sam nie wiem... Nie wyjaśniłaś nam jeszcze, dlaczego byłaś zakrwawiona – rzucił w stronę dziewczyny.

— Pamiętam teraz i to. Byłam w takim szoku, że nie wiedziałam za bardzo, co robię. Poszłam do pokoju Ruth jak jakiś zombie i po prostu... hm... dotknęłam tej kałuży, bo nie mogłam uwierzyć, że jest prawdziwa.

— Świetna wymówka – zadrwił Veitch.

Widząc, że Laura szykuje ripostę, Church postanowił interweniować.

— Nie możemy tu dłużej siedzieć. Ten gliniarz przeczesuje teraz okolicę. – Zerknął w bok. – Poza tym, kto wie, co się czai w tych lasach? Musimy ruszać w drogę.

— Wierzysz, że dojedziemy do Edynburga? – spytała Laura. Zejdź na ziemię. Na pewno przekazał już dalej nasze numery rejestracyjne i markę wozu.

— No to znajdziemy jakiś inny środek transportu. – Church nie dał zbić się z tropu. – Trochę więcej inicjatywy!



Przed powrotem do samochodu zakopali jeszcze palec Ruth. Czuli się podle, zostawiając go w tak przypadkowym miejscu, ale nie mieli większego wyboru. Bez przeszkód wyjechali na główną drogę i ruszyli na południowy wschód. W Stirling, najbliższej większej miejscowości, znaleźli dealera samochodowego, który bez zbędnych ceregieli kupił od nich furgonetkę za dwieście funtów. Objuczeni torbami, sprzętem turystycznym i zapasami z trudem doczłapali się do miejscowego dworca, ale za to nie musieli długo czekać na pociąg. Liczył on sobie zaledwie dwa wagony – w tym, który wybrali, w przeciwległym krańcu siedziały jeszcze trzy osoby.

Kiedy wsiadali, Church powiedział do konduktora: — Myślałem, że już nic nie jeździ.

— Radzę nasycić się tym widokiem na zapas – odparł kolejarz nieco gburowato. – Od dziś wieczora wszystkie kursy będą zawieszane. Aż do odwołania. – Wzruszył ramionami. – I tak mało kto teraz podróżuje. Przynajmniej płacą mi jeszcze pełną pensję.

Rytmiczne kołysanie pociągu i panująca w wagonie wysoka temperatura sprawiły, że nieprzespana noc zaczęła zbierać swoje żniwo: nim wyjechali poza obszar stacji, powieki same im się zamknęły. Teoretycznie mieli przed sobą prawie godzinę jazdy na odrobienie nocnych zaległości, okazało się jednak, że spokojna drzemka nie jest im pisana. Już po kilku minutach

wyrwały ich ze snu podniesione głosy dwójki pasażerów. Kłócący się wyglądali na ojca i córkę. Starszy pan miał fryzurę z przedziałkiem w stylu lat czterdziestych i staromodny acz rażący nowością garnitur. Pod pachą trzymał porysowaną aktówkę. Córka nie grzeszyła urodą i na oko dopiero co przekroczyła trzydziestkę. Ubrana była elegancko, choć zupełnie bez gustu, ale jej cera wskazywała na to, że większość życia spędziła na dworze.

Budząc się z każdym głośniejszym ich krzykiem, Church podsłuchał, chcąc nie chcąc, że para ma gospodarstwo rolne pod Stirling i spore kłopoty finansowe. Jechali właśnie do Edynburga, żeby postarać się o jakąś zapomogę. Ale dręczyło ich coś jeszcze, coś, o czym nie mówili wprost. To właśnie w tej sprawie nie mogli się dogadać.

Veitch kilka razy zmienił nerwowo pozycję, a w końcu wsadził sobie pod głowę zwiniętą kurtkę.

— Boże, ludzie, zamknijcie się – mruknął pod nosem, kiedy zagniewane głosy znowu go obudziły.

Przez następne dziesięć minut panowała względna cisza, ale nagle, niczym wylany na głowę kubel zimnej wody, ocucił ich wrzask zadłużonego rolnika: — Cholera jasna, nie ma żadnych krasnali! Ani chochlików, ani innego tałatajstwa! Boga też nie ma! To nie kwestia szczęścia! Wszystko zależy od tych bydlaków w rządzie i w Unii!

Church zerknął dyskretnie w stronę starszego pana. Jego córka, czerwona jak piwonia z zakłopotania, próbowała go właśnie uciszyć, szepcząc coś i gestykulując gwałtownie. Z tego, co mówił do niej ojciec, wynikało, że nie tyle się go wstydzi, co się o niego boi.

— Co ty wygadujesz, dziewczyno? Komu ja się niby narażam?

Kto mnie tu słyszy? – Rozgniewał się na dobre. – Skup się na tym, co najważniejsze! Gospodarstwo bankrutuje i jeśli nic nie wymyślimy do końca lata, skończymy w barakach opieki społecznej!

Widocznie zbyt długo kumulował w sobie napięcie i teraz wreszcie wybuchnął. Mógłby pewnie krzyknąć tak kwadrans, ale jego córka poderwała się znienacka i szybkim krokiem przeszła do toalety.

W wagonie zapadła cisza. Church znów odpłynął i w półśnie zobaczył przed sobą Ruth. Kobieta błagała, żeby przyszedł jej z pomocą, co niepokojąco przypominało ową nocną scenę, kiedy to duch ukochanej Marianny prosił go o pomszczenie jej śmierci. Uczucie odprężenia prysło, wrócił ciężar odpowiedzialności. Z jednej straceńczej misji zrobiły się dwie, a w obu to do niego miał należeć decydujący głos. Bał się, że nie sprosta cudzym oczekiwaniom. A potem spojrzał tej Ruth ze snu prosto w oczy i na powierzchnię wypłynęły wszystkie emocje, które w sobie tłamsił. Wmawiał sobie do tej pory, że kobieta żyje, że nie cierpi, ale...

Rozmyślenia przerwał mrozący krew w żyłach krzyk. Jak jeden mąż zerwali się w piątkę na równe nogi, nie wiedząc, czy się bronić, czy może uciekać. Niemal natychmiast dostrzegli córkę rolnika. Zdążyła już wrócić z toalety i stała teraz przed swoim ojcem, przesłaniając sobie usta obiema dłońmi. Była w głębokim szoku.

Pierwszy dobiegł do niej Shavi. Odruchowo przytulił kobietę od tyłu, żeby choć odrobinę ją uspokoić. Nie zwróciła na niego uwagi kręciła głową jak automat, nie spuszczając oczu z ojca. Shavi podążył za jej spojrzeniem. Garnitur i aktówka znajdowały się na swoim miejscu, ale ciało starszego pana znikło. Ubranie

wypychane było szczelnie słomą: wystawała z rękawów, wypełniała buty, uformowana w kulę imitowała ludzką głowę. Wyglądało to jak kukła, którą pali się na demonstracjach.

— Tato! – wykrztusiła z siebie ochryple kobieta.

Veitch wysunął się do przodu i z ciekawości dźgnął lekko palcem połą garnitur. Słomiana głowa opadła na bok, a tułów zgiął się wpół. Córka rolnika zaczęła histerycznie krzyczeć.

— Jak to się stało? – spytała Laura z chorobliwą fascynacją w głosie.

Shavi zaprowadził kobietę na ich miejsca, by pomóc jej tam dojść do siebie, tymczasem Tom przykucnął przy szczątkach.

— Sami słyszeliście, co takiego powiedział.

— Nie łapię – powiedziała Laura. – Siedzi sobie taki przyk jak ty...

— W dawnych czasach – przerwał jej Tom – ludzie, którzy pracowali na roli, żyli w ciągłym strachu, że mogą urazić chochliki i inne tego rodzaju istoty, wszystkie ściśle związane z przyrodą. Chłopi starali się nawet używać eufemizmów, takich jak „ludek leśny” czy „duszki domowe”, bojąc się, że zwyczajowe określenia nie przypadły tamtym do gustu.

— A teraz tamci wrócili... – Veitch nie dokończył zdania.

— Zawsze byli dumną rasą – zauważył Tom. – Jeśli kogoś uznawali za gorszego od siebie, domagali się od niego oznak szacunku.

— Ale dziadek powiedział tylko, że... – Laura zreflektowała się w porę i nie powtórzyła słów, które padły z ust rolnika. Zerknęła na jego szlochającą córkę. – Biedna brzydula. Ale przynajmniej ma stracha na wróble gratis.

— Dałabyś spokój! – fuknął Church. Twarz płaczącej wykrzywiona była bólem. Głęboko jej współczuł. Dobrze

wiedział, z czym przyjdzie zmagać się kobiecie przez resztę życia.

— Po czymś takim widać, jak bardzo nami gardzą – stwierdził Tom. – Mamy znać swoje miejsce w szyku.

Veitchowi coś się przypomniało. Rozejrzał się po wagonie.

— Czy tu nie siedział jeszcze jeden facet? ·

— Zgadza się. Poza nami było trzech pasażerów. – Church przyjrzał się miejscu, w którym siedział zaginiony. – Nie przypominam sobie, żeby wysiadał.

— To mógł być jeden z nich. – Tom zajrzał do sąsiedniego wagonu. Był pusty. – Teraz, kiedy wrócili na ziemię, pewnie kręcą się wśród ludzi, chcą zobaczyć, co się zmieniło.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, coś zastukało im nad głowami. Wydało im się, że słyszą czyjś chichot, a potem ktoś przebiegł po dachu na drugi koniec wagonu. Veitch rzucił się w tym samym kierunku. Przytknął nos do szyby, ale zobaczył tylko, że od cienia rzucanego przez pociąg na skarpe odrywa się jakiś mniejszy, o dziwnym kształcie. Uniósłszy się w powietrze, stwór znikł bez śladu.



Niedługo potem, minąwszy wypielęgnowane trawniki i wielobarwne klomby ogrodów przy Princess Street, pociąg wtoczył się na edynburski dworzec. Tuż za ogrodami, na potężnym, stromym wypiętrzeniu wznosił się imponujący, kamienny zamek.

Córka rolnika była na skraju załamania nerwowego. Shavi przekazał ją pod opiekę spotkanemu na peronie strażnikowi, który czym prędzej odprowadził kobietę do punktu pomocy

medycznej.

Przestronna hala dworca świeciła pustkami, dzięki czemu rzucały się w oczy liczne policyjne patrole. Przy końcu każdego z peronów kręciły się grupki uzbrojonych żołnierzy.

— Jak na Bliskim Wschodzie – skomentowała Laura. – Aż ciarki przebiegają człowiekowi po plecach.

Kiedy jeden z funkcjonariuszy zaczął im się przyglądać, poczuli się nieswojo i pospiesznie zebrali bagaże.

— Sądzicie, że ten dziad z Callander rozesłał nasze rysopisy? szepnął Veitch.

Z odpowiedzią pospieszył Church: — Cóż, to tylko kolejny problem na naszej liście.



Jeszcze na dworcu zaczęli spierać się o pieniądze. Church z Shavim uważali, że należy je oszczędzać, ale dali się w końcu przekonać, że skoro dni banków są policzone, mogą pozwolić sobie na odrobinę luksusu, zaciągając pożyczki na karty kredytowe. To Laura ich przekonała: — Musimy nacieszyć się urokami cywilizacji. Druga taka szansa może się nie powtórzyć – powiedziała.

I tak, zamiast schroniska młodzieżowego, wybrali czterogwiazdkowy hotel Balmoral, górujące nad dworcem edwardiańskie gmaszysko przy wschodnim krańcu ruchliwej Princes Street. Na widok wyłożonego marmurem holu Veitch rozdziawił usta jak małe dziecko, co bardzo rozbawiło pozostałych. Opanowawszy się, trzymając się nieco z tyłu, zezował podejrzliwie na eleganckich portierów, jakby lada

chwila mieli go wyprosić, ale rozluźnił się szybko i zaczął w pełni rozkoszować luksusem, gdy tylko zobaczył swój komfortowy pokój z oknami wychodzącymi na zamkową skałę.

Mimo wydarzeń ostatnich tygodni, na pierwszy rzut oka życie w Edynburgu toczyło się bez większych zmian: ulice w centrum były zakorkowane, na ławkach w parkach siedziało sporo ludzi, a okoliczne sklepy i bary wydawały się nie narzekać na brak klientów.

Wystarczyło jednak przejść kawałek dalej, by zagłębiwszy się w uliczki Starego Miasta, dostrzec w zachowaniu mieszkańców wyraźną różnicę. Niewielu z nich zapuszczało się w te cieniste zaułki. Czyżby nabrali awersji do średniowiecznej atmosfery? Nagle zauważyli, jak ponure są edynburskie kamieniczki? Napotkani przechodnie ukradkiem rozglądali się, uparcie trzymali nasłonecznionej strony ulicy i przygarbieni ogromem trosk, kryli głowy w ramionach. Puby, restauracje i sklepy były na szczęście otwarte.

Piątka kompanów wspięła się na esplanadę pod zamkiem. Za chaotyczną mozaiką dachów Starówki rozpościerało się osiemnastowieczne Nowe Miasto zaprojektowane z linijką w rękę. Centrum Edynburga podzielone było na dwie części: jasną i ciemną, dzień i noc, Hyde'a i Jekylla. To Shavi pierwszy zwrócił uwagę na ten rażący kontrast.

— Oto kolejny dowód, że w tej erze metafory i symbolizmu, która niedawno nastąpiła, świat przenika dualność – powiedział, rozglądając się po okolicy. Wiatr rozwiewał jego długie włosy.

Laura poprawiła swoje ciemne okulary.

— Przynajmniej wiemy, w której z tych dwóch dzielnic będziemy pić dziś wieczorem.

Tom pokręcił przecząco głową.



— Spójrzcie tylko na Nowe Miasto, nic tam się jeszcze nie dzieje. To tu znajduje się epicentrum zmian, jeśli chcemy się czegokolwiek dowiedzieć, musimy zacząć nasze poszukiwania na Starówce.

Laura rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Ty to zawsze wiesz, jak człowiekowi popsuć humor.



W szykownej jadalni swojego hotelu usiedli z dala od nielicznych zajętych stolików, jedzenie było wyborne, ale nie dopisywał im apetyt – odkąd porwano Ruth, z każdą mijającą godziną ogarniało ich coraz większe poczucie beznadziei.

Ktoś musiał poruszyć temat, którego do tej pory starali się unikać.

— Co dalej? – spytał w końcu Veitch. – Szukamy Ruth, czy próbujemy się dowiedzieć, czemu zjawy kazały nam przyjechać do Edynburga?

Oczy wszystkich skierowały się ku Churchowi, ale mężczyzna nie odrywał wzroku od resztek swojej sarniny.

— Nie mamy czasu na Ruth. – Zabrzmiało to ostrzej niż zamierzał, ale jakoś nie umiał zmienić tonu swojego głosu. – Nie wiemy, czy jeszcze żyje. A jeśli nawet żyje, nie mamy przecież pewności, czy naprawdę gdzieś tu jest. Zgadywaliśmy tylko, że palec cokolwiek wskazuje.

— Oszalałeś? To co, mamy tak po prostu o niej zapomnieć?

— Veitch spojrzał na niego z obrzydzeniem.

— Nie mam najmniejszego zamiaru o niej zapominać, ale na pokrzyżowanie szyków Fomorianom pozostało nam zaledwie

kilka tygodni. Wierz mi, ani się obejrzymy, a będzie połowa lipca, a na razie nie mamy zielonego pojęcia, od czego zacząć, jeśli wskrzeszą Balora, poniekąd będzie to nasza wina. Tak to widzę. Nasze szanse są może małe, ale jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mogą się w ogóle podjąć tego zadania. Skupimy się na czymś innym, to cały ten świat szlag trafi. Chcesz się do tego przyczynić?

— Wiesz, co ci powiem? Teraz akurat nic to mnie nie obchodzi. Przez sekundę Veitch wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

— Wiem, że brzmi to okrutnie, ale w ciężkich czasach człowiek zmuszony jest właśnie do podejmowania podobnych wyborów.

Church usilnie starał się zachować kamienną twarz, wiedział bowiem, że jeśli pozwoliliby sobie choćby odrobinę stracić kontrolę nad własnymi emocjami, nie byłby w stanie grać roli zdecydowanego przywódcy, tak jak tego po nim oczekiwano. Bił się z myślami, odkąd zobaczył, że w zakrwawionym pokoju brakuje ciała Ruth, ale cały ten czas wiedział też, co tak naprawdę jest jego obowiązkiem niezależnie od tego, co czuje, i niezależnie od tego, jak bardzo pozostali mają go za to znienawidzić.

— Więc to koniec tematu? Po sprawie? Nie ma jej i tyle? – Veitch przemknął wzrokiem po twarzach kompanów, szukając wsparcia. Milczeli, chociaż widać było, że nie jest im łatwo. Londyńczyk pokręcił głową z niedowierzaniem. – Sukinsyny...

— Ryan... – zaczął Church.

— Co znowu? Masz ją gdzieś, o czym tu gadać?

— Nie mam jej gdzieś. I nie wierzę, że to koniec tej historii. – Veitch aż drgnął na dźwięk autorytatywnego tonu jego głosu. Sądzę, że porywacz Ruth nie ma zamiaru zostawić nas w

spokoju. A kiedy go wreszcie spotkamy, zanim wyrwiemy mu flaki, zaręczam ci, dowiemy się, co się z nią stało.

Wszystkich zszokowała ta nieskrywana agresja. Tom zaczął wybijać łyżką jakiś rytm, a Laura nerwowo gmerać widelcem w surówce. Pochyliwszy się nad stołem, Shavi dyplomatycznie przerwał ciszę: — Jaki będzie nasz następny krok?

Odpowiedzi udzielił mu Tom: — We wskazówkach, jakie otrzymaliśmy, wspomniano Studnię Ognia. Chodzi o źródło niebieskiego ognia. Legenda mówi, że na terenie Szkocji nie ma drugiego równie potężnego czy obfitego. Niektórzy powiadają, że jest bezpośrednio połączone z właściwym źródłem energii ziemskiej, czymkolwiek ono jest i gdziekolwiek się ono znajduje. Tak czy siak, studnia od wielu lat pozostaje w uśpieniu, ponieważ więź między ziemią a ludźmi osłabła.

Church pokiwał głową ze zrozumieniem.

— A my mamy, zależnie od metafory, obudzić śpiącego króla albo wzruszyć zranioną ziemię. Wszystko pasuje, tylko jak się do tego zabrać?

Tom wzruszył ramionami.

— Wejście leży gdzieś na Tronie Artura, tym skalistym wzgórzu w środku parku Holyrood przy końcu ulicy Royal Mile.

— Ale w przewodniku przeczytałem, że w odróżnieniu od innych źródeł błękitnego ognia, tego miejsca nie łączy żadna legenda z królem Arturem. Według historyków pierwotna nazwa skały brzmiała Tron Łucznika.

— Co tylko udowadnia, jak mało wiedzą – skwitował Tom, polerując okulary skrawkiem obrusa.

— A więc Tron Artura. – Church zerknął przez okno na chowające się z wolna za dachami słońce. – Jutro – zdecydował. – A dziś wieczorem...

— Dziś wieczorem Starówka – dokończył Tom.



Ciepły wieczór pachniał nowoczesnością: spalinami samochodowymi, egzotycznymi restauracjami, żelazem i smarem wżynających się w miasto torowisk. Wonie te w dziwny sposób dodawały otuchy. Tuż pod zamkiem, przed Szkocką Akademią Królewską przy ulicy Mound skąpo odziane dziewczęta i młodzi chłopcy w džinsach korzystali z ostatnich promieni słońca. Piękna wiosenna pogoda dodawała optymizmu – trudno było uwierzyć, że nastały ciężkie czasy.

Wspinając się Ramsay Lane, piątka wędrowców przeszła do Starego Miasta, ale tam nastrój szybko się zmienił, cienie wydłużyły, a powietrze ochłodziło. Rejon wokół Royal Mile stanowił najstarszą część Edynburga. W średniowieczu ograniczały go mury miejskie, co zmuszało do stawiania coraz wyższych domów – tłoczyły się jeden przy drugim, przesłaniały niebo. Drużynie udzielała się stopniowo ta klaustrofobiczna atmosfera. Tom, który najwyraźniej znał dobrze stolicę Szkocji, poprowadził ich pewnie wzdłuż odcinka Royal Mile o nazwie Lawnmarket, a potem skręcił w jeden z całej masy zaułków, jakie odchodziły od tej ulicy. Na jego końcu znajdował się osiemnastowieczny podwórzec, a na nim pub o nazwie Wesoły Sędzia. Orzekli, że to dobre miejsce, aby zastanowić się nad tym, czego właściwie na Starówce szukają.

Lokal był niewielki, strop wisiał tu nisko, a z zewnątrz docierało niewiele światła. Belkowany sufit pomalowano w owoce i kwiaty. W kominku wesoło trzaskał ogień. Przytulny

wystrój i gwar rozmów licznych gości z miejsca poprawiał nowoprzybyłym humor. Kiedy kupili sobie coś do picia, Veitch poczuł jednak wyrzuty sumienia: — Głupio tak siedzieć nad piwkiem po tym, co się wydarzyło.

— Jak chcesz, możemy pobawić się w turystów–debili i powłóczyć po ulicach. – Laura dorwała się do swojej wódki, jakby od tygodni nie miała w ustach alkoholu.

— Pub to dobry pomysł – przyznał jej rację Tom, prowadząc ich do jedyne wolnego stolika. – Takie przybytki odgrywają ważną rolę. To miejsca spotkań, wymiany myśli i pogłosek, tak dziś, jak i za moich czasów. Prędzej czy później przewijają się przez nie wszelkie nowiny. Musimy tylko mieć oczy szeroko otwarte.

Church przypominał sobie właśnie wszystkie puby, które odwiedził z Ruth.

— Dobrze się składa – stwierdził – że powinniśmy być czujni, bo jakoś nie mam ochoty pić.



Szybko zmienił zdanie. Było w tym ich picciu coś desperackiego, jakby chcieli zapomnieć o swoich kłopotach lub udawać przed sobą, że powrót pradawnych ras nie miał miejsca. Kolejki następowały szybko jedna po drugiej. Zgodnie z przewidywaniami Toma, dzięki strzępkom zasłyszanych rozmów coraz lepiej orientowali się w tym, co dzieje się w mieście, a Laurze i Shaviemu udało się dodatkowo zagadać kilka osób w drodze do baru czy toalety.

Podobnie jak w miejscowościach, które mijali w drodze ze

Skye, wprowadzenie stanu wojennego wywołało początkowo panikę, ale ponieważ nic takiego się później nie wydarzyło, ludzie prędko wrócili do swoich starych przyzwyczajzeń. Cynicznie oskarżano rząd o jedną wielką mistyfikację lub wymyślano różnorodne szalone hipotezy. Policja i wojsko i tak zdawały się mieć na głowie ważniejsze sprawy niż zmuszanie mieszkańców do przestrzegania nowych przepisów, więc wszyscy ochoczo je ignorowali. Church ucieszył się, że ludzie nie dają się tak łatwo podporządkować, ale i zastanawiał się, jak też sobie poradzą, kiedy prawda o sytuacji w kraju w końcu wyjdzie na jaw.

Wszyscy klienci pubu wydawali się być świadomi faktu, że w obrębie Starówki zaszła jakaś zmiana, ale za każdym razem, gdy Church próbował poruszyć ten temat, pospiesznie skierowywano rozmowę na inne tory bądź też po prostu odwracano wzrok. Wiadomo było tylko tyle, że w okolicy zrobiło się niebezpiecznie, więc po zamknięciu pubu karnie wracano do domów. Czym groził nocny spacer, tego nikt nie zdradził. Church wyczytał z min niektórych swoich rozmówców, że przeżyli coś, z czego woleli się nie zwierzać.

Okolo wpół do jedenastej wysiadł nagle prąd, ale pijący byli już przyzwyczajeni do podobnych awarii. Niczym w Sylwestra, ciemność powitano wesołym okrzykiem, a ktoś zawołał, że w takim razie można teraz zakradać się za bar i po kryjomu dolewać sobie samemu piwa. Światło rzucane przez płonący w kominku ogień było zresztą dostatecznie silne, by obsługa zdołała znaleźć pochowane w różnych kątach świeczki, i wkrótce na każdym stoliku oraz na barze stanęły prowizoryczne lichtarze z pustych butelek po winie.

— Przytulniej tu teraz.

Church odwrócił głowę. W miejscu, które jeszcze przed chwilą było puste, siedział zażywny trzydziestolatek z kuflem piwa w dłoni i uśmiechał się porozumiewawczo. Mimo drogiego garnituru, mężczyzna był bez krawata, włosy sięgały mu do kołnierzyka koszuli, a broda domagała się lepszego podstrzyżenia. Być może chciał wyglądać nieco zawadiacko, ale przeszkadzał mu w tym zbyt szeroki podbródek. Z pewnością nie był też stąd, bo nie mówił z szkockim akcentem.

— Dość – odparł Church. Nie miał ochoty wdawać się z tym człowiekiem w pogawędki.

— I jak tam, podoba wam się ten nowy świat? Trochę zamieszania, prawda? – Nieznajomy uśmiechnął się chytrze.

Church przyjrzał mu się podejrzliwie. To nie był zwykły bywalec Wesołego Sędziego.

— Kim pan jest?

— To glina – mruknął Veitch, zaciskając pięści.

— Dobry Boże. Ja policjantem? – zdziwił się nieszczerze mężczyzna. – To mi uwłacza.

Church wziął pod uwagę krój jego garnituru i arogancką postawę.

— Urząd Ochrony Państwa – zgadł.

Nieznajomy wsadził język w policzek i przechylił głowę.

— Do niedawna – przyznał. – Teraz pracuję na własny rachunek. W dzisiejszych czasach nie ma sensu być na etacie.

Upił z kufła spory łyk i oblizał usta.

— Co pan tu robi? – Church zaniepokoił się, że mężczyzna działa w porozumieniu z policją w Callander. Był gotowy opuścić pub, jeśli tylko sytuacja by tego wymagała, i próbował przekazać to pozostałym członkom drużyny, ale ich uwagę absorbowali byli funkcjonariusz służb.

— Cóż... Chciałem się z wami spotkać. – Zaśmiał się, widząc ich spłoszone miny. – No, nie myślcie, że jesteście na podsłuchu. Przyuważyłem was po prostu na mieście i postanowiłem sprawdzić, jak wam się wiedzie. – Patrząc na jego zadowoloną minę, czuli się nieswojo.

— Czyżby służby specjalne wiedziały o naszym istnieniu? – spytał zaciekawiony Shavi, pochyliwszy się nad stołem.

— Oczywiście. Tam wiedzą o wszystkim, o czym wiedzieć warto. To ich zadanie, nieprawdaż? – Powiódł wzrokiem po ich twarzach, nadal sztucznie się uśmiechając. – Coś mi się wydaje, że tak naprawdę nie macie pojęcia o tym, co jest grane.

— Wiemy wystarczająco dużo – odparł Church.

— Akurat. Tylko tak się wam wydaje. – Bawił się ich kosztem. Znowu podniósł kufel do ust i zmrużył oczy, udając, że próbuje coś sobie przypomnieć. – Co ja to chciałem... Trudno uwierzyć, że minęły zaledwie trzy miesiące, mniej więcej trzy – tyle ton raportów, tyle godzin dyskusji. O, mam. Marzec, droga M4. Straszliwy karambol: samochody osobowe, autobusy, ciężarówki, wszystko razem. Usuwanie szkód po pożarze zablokowało ruch na kilka ładnych dni. Pamiętacie to zdarzenie, prawda?

Church nie dał po sobie niczego poznać.

— I co było powodem tej tragicznej serii wypadków?

Church zerknął na pozostałych – nikt się nie odezwał.

Mężczyzna znowu się zaśmiał.

— Rozumiem wasz opór, naprawdę. O tych sprawach się nie rozmawia. Cóż, sam odpowiem sobie na to pytanie. Uważacie, że karambol spowodował jakiś latający potwór ziejący ogniem, maskara rodem z bajek dla dzieci.

— A pan twierdzi, że było inaczej? – Church próbował zajrzeć za lukrowaną maskę rozmówcy, ale nie potrafił.



— Zabawna rzecz ta percepcja – powiedział tamten. Niepokój kompanów stopniowo ustępował miejsca irytacji. Protekcyjny ton męczyzny zaczynał działać im na nerwy. – Zmysły malują w naszych umysłach pewien obraz świata – ciągnął były funkcjonariusz. – Taką jego wizję, która naszym zdaniem trzyma się kupy. Ale pytanie brzmi, czy możemy tak do końca ufać zmysłom? Wszystkim agencjom bezpieczeństwa na świecie wiadomo jedno: nie ma prawd absolutnych. Ludzkim wzrokiem, słuchem, węchem, smakiem czy dotykiem można tak zmanipulować, że obraz świata, jaki nam przekażą, wyda nam się prawdziwy.

— Do czego pan zmierza? – najeżył się Church. – Ze nic nie widzieliśmy, że mieliśmy omamy?

— Bądźmy rozsądni. Wierzy pan w smoki? – Męczyzna spojrział na niego z powątpiewaniem i przekrzywił głowę. – Wszystko zależy od punkt widzenia. Z nieba spadł ogień, tak? Były liczne ofiary? Nie przeczę, mogła to być jakaś mityczna bestia, ale przecież są państwo światłymi ludźmi, jakie jest więc najbardziej racjonalne rozwiązanie?

Ziejąca ogniem maskara? Czy też rakietę wystrzeloną z samolotu bądź z helikoptera?

Zaskoczył ich. Przypomniało im się niedowierzanie i zagubienie, jakie odczuwali jeszcze kilka miesięcy temu.

— Ależ widzie...

Funkcjonariusz uciszył Churcha gestem wyrażającym zniecierpliwienie.

— Nie, nie, nie. To nie wystarczy, przecież mówiłem. Zmysłom nie można ufać. A co z tą hipnozą, której poddałeś się ty i twoja koleżanka? Chcieliście się dowiedzieć, co zaszło pod mostem, i co zobaczyliście w przywołanych wspomnieniach?

— Skąd pan o tym wie? – spytał Church ostrym tonem, oburzeniem maskując niepokój. Jak długo, u licha, jesteście śledzeni, pomyślał.

— Dotarliśmy do waszego terapeuty, rzecz jasna. Opisał nam wasze wspomnienia–zasłony. Obrazy podsunięte przez wyobraźnię poszkodowanego, by jego psychika mogła poradzić sobie z niemożliwą do zniesienia prawdą. Albo też obrazy podsunięte przez kogoś z zewnątrz, komu na ukryciu prawdy bardzo zależy.

— Słuchając pana, można by uwierzyć, że to równie proste, co włączenie światła – wtrąciła Laura.

— Bo tak jest, moja droga. Środki psychotropowe, programowanie podprogowe, techniki kontrolowania umysłu, ukierunkowane promieniowanie mikrofal, sygnały posthipnotyczne... Mózg to organ niezwykle podatny na wpływy.

Veitch prychnął.

— Bzdury. Może być pan Bóg wie kim, ale od rzeczy pan gada. Nie można ufać temu, co się widzi czy słyszy? Albo myśli?

— Właśnie. – Mężczyzna rozparł się wygodnie na krześle bardzo pewny siebie.

— Mówi pan o tym tak, jakby było to coś nowego. – Tom z twarzą pokerzysty zmierzył ich rozmówcę wzrokiem. Tamten spojrział gdzieś w bok. – Taki już jest porządek świata. Teraz ma się tylko więcej sposobów manipulacji do wyboru.

Church pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Wszystko, czego doświadczyliśmy, wszystkie te nadprzyrodzone wydarzenia, miałyby być efektem działań jakichś służb? Jednym wielkim kłamstwem wymyślonym przez gromadę znudzonych facetów? Nie dam się nabić w butelkę. Nie ze mną takie numery.

— Wierzcie w co chcecie, macie do tego prawo, ale znacie to powiedzenie, że to wielkie oszustwa sprawdzają się najlepiej? I nie macie do czynienia z byle gromadą znudzonych facetów. To... – Szukał właściwego przykładu. – Brzytwa Ockhama. Prawdziwa przyczyna to najbardziej prawdopodobna przyczyna. Smoki czy helikoptery? Zmiennokształtne demony czy wyszkoleni zawodowi zabójcy? Czarodzieje rzucający zaklęcia czy wybitni naukowcy? Oprawcy z podziemnych twierdz czy kilku osiłków, którzy nie mając już nic do roboty w Ulsterze, zaszyli się w pilnie strzeżonej bazie w opuszczonej kopalni? Powtarzam: środki psychotropowe, programowanie podprogowe, wspomnienia-zaslony. Kłamstwo goni kłamstwo.

— Mów pan za siebie. – Church sięgnął po swoje piwo, żeby zyskać trochę czasu do namysłu. Czy nie takich właśnie insynuacji obawiał się po morderstwie pod mostem Alberta? Miał ochotę rzucić kuflem o ścianę i przewrócić stół. Tyle wycierpieli, a nadal nie wiedzieli dokładnie dlaczego.

— Powiedzcie mi – ciągnął były wywiadowca. – Kiedy patrzycie na jednego z tych zmiennokształtnych demonów, czy nie macie poczucia, że coś tu nie gra? Czy wasze umysły nie próbują wam przekazać, że to nie może dziać się naprawdę? Czy kiedy stoicie oko w oko z tymi niby-bogami, nie wydaje wam się czasem, że ich twarze to tylko maski? Postawię sprawę jasno. Czy chcecie żyć zaślepieni kłamstwem, bo tak jest wam łatwiej? Przeżywać przygody, nazywać się wybrańcami, robić to, o czym marzyliście w dzieciństwie? Czy może wolicie przyjąć do wiadomości, że prawdziwe życie wygląda zupełnie inaczej? Nie ma żadnej magii, jest tylko grupa dysponujących wielkimi środkami cyników, którzy dla własnych korzyści zrobili z was marionetki.

— Trudny wybór – powiedziała Laura zgryźliwym tonem. – Ale nie ten, który masz na myśli.

— Zbyt wiele faktów przeczy...

— Nie kłóć się z nim, Shavi – przerwał mu Church. – Facetowi sprawia przyjemność robienie nam wody z mózgu.

— Przyznaję, że zadbano o każdy szczegół – odezwał się ich rozmówca. – Nawet ktoś szkolony w tej dziedzinie mógłby dać się nabrać.

Shavi miał najwyraźniej ochotę na małą debatę.

— Jeśli ma pan rację, to po co ktoś zadaje sobie tyle trudu? Co ta grupa chce osiągnąć?

— Rzecz jasna, pragnie zdobyć władzę. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Nigdy nie powinno się wynosić na najwyższe urzędy, czy to w demokratycznych wyborach czy to poprzez awans, ludzi, którzy owe najwyższe urzędy naprawdę chcą piastować. Takie ambicje świadczą o człowieku jak najgorzej. – Przerwał na chwilę, żeby dopić piwo. Mamy teraz stan wojenny, demokrację odwiesiliśmy na kołek. Na jak długo? Aż kryzys zostanie zażegnany. Ach, tak... Powiem wam, co o tym myślę: był zamach stanu. Ci wszyscy sędziwi arystokraci nie mogli pogodzić się z możliwością likwidacji Izby Lordów [*przedstawiciele arystokracji brytyjskiej dziedziczą prawo do zasiadania w Izbie Lordów, odpowiedniku polskiego senatu*]. Mają znajomości w armii, w policji, w służbach specjalnych, w sądownictwie...

Church potrząsnął głową, jakby odganiał kuszącego go szatana. Zdawał sobie sprawę, że wygląda przy tym jak uparte dziecko.

— Zastanówcie się przez chwilę. Czy to się nie układa w jakąś logiczną całość? Czy na wszystko, co wam się przytrafiło, nie da się spojrzeć z innej perspektywy? Przeanalizujcie starannie

każdą waszą przygodę z osobna...

— Ciekawe – stwierdził Shavi z ekscytacją w głosie, według swoich kompanów zupełnie nieuzasadnioną. – Z tego by wynikało, że nasza piątka została przez tę grupę wyselekcjonowana. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego właśnie my? Niczym się chyba nie wyróżniamy.

— Być może ci, co pociągają za sznurki, rzeczywiście uważają, że jesteście wyjątkowi, ale nie sądzę. Więcej osób zostało omamionych. Ktoś musi się bać, żeby tamci mogli sprawować nad społeczeństwem kontrolę. Mówię wam, im większa skala oszustwa, tym lepszy efekt, a to jest największe oszustwo w historii.

Church widział po minach przyjaciół, że słowa nieznajomego zasiały w ich sercach ziarno zwątpienia, zachwiały nierealnymi w końcu w swej naturze fundamentami świata, w którego istnienie dopiero powoli zaczynali wierzyć. Musiał przyznać, że i sam nie czuł się już zbyt pewny swoich racji. Jedynie Tom pozostawał niewzruszony.

— Chcę poznać jeden powód, dla którego powinniśmy cię posłuchać – oświadczył.

— Nie powinniście i to też wynika z mojego rozumowania. Nie wierzcie nikomu, niczemu, w nic. Ba, nie ufajcie nawet sobie samym. Oto jak pojmuję rzeczywistość. Każdy ma swoją. Możecie się ze mną zgodzić, ale nie musicie.

— Jest pan ofiarą swojej własnej teorii – zauważył Church. – Nie ma sensu pana o nic wypytywać. Albo okłamuje pan nas, albo siebie samego.

Mężczyzna zastukał kuflem o stołu, jakby spodziewał się, że postawią mu kolejkę.

— Wiecie, że człowiek potrafi umrzeć ze smutku? Natrafiamy

na takich w całym kraju: siedzą sobie przygarbieni z tępym wyrazem twarzy, żadnych widocznych przyczyn zgonu. Ci ludzie przestali wierzyć w rzeczywistość. Wyłączyli się, odłączyli się od niej.

Dla Veitcha naturalną reakcją na zagubienie była agresja. Bila od niego, kiedy pochylił się nad stołem. Były funkcjonariusz aż drgnął zaskoczony.

— Kit nam wciskasz. Mącisz nam w głowie, żeby nas zniechęcić. Przyznaj się, pracujesz dla tych drani?

— Wierzcie w co chce...

— Stul pysk. – Veitch dźgnął go palcem w policzek. – Wynoś się stąd, zanim ci kark przetracę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i podniósł się z miejsca. Nadal uśmiechał się przyjaźnie, ale zrobił się nieco spięty, miał się na bacności. Zerknął jeszcze raz na Veitcha, niemal z ulgą, że może zejść mu z drogi.

— Przemyślcie to sobie raz jeszcze.

— Wynoś się – warknął Ryan.

Nieznajomy z pewnym oporem zrobił kilka kroków, ale gdy tylko znalazł się w bezpiecznej odległości, odwrócił się, prezentując swój arogancki uśmiech.

— Do zobaczenia! – zawołał na pożegnanie, po czym wmieszał się w tłum spieszących do baru gości.



Przez chwilę w milczeniu manipulowali przy swoich kieliszkach i kuflach.

— Co o tym wszystkim myślicie? – odezwał się w końcu Shavi.

— Co ja myślę, to chyba wiecie – powiedział Veitch. – Kłamał. Jak można by było uwierzyć w takie bzdury?

— Ale chyba pamiętasz, jak to jest z tymi wszystkimi bogami, magicznymi przedmiotami czy trudnymi wspomnieniami. Każde z nas może widzieć co innego. – Laura podrapała się po jednej z blizn na twarzy, co ostatnio miała w zwyczaju robić, gdy czuła się nieswojo. – Szare komórki nie radzą sobie z prawdziwą naturą pewnych rzeczy – dodała, poklepując się po skroni.

Tom poprawił swoje druciane okulary.

— Niejeden raz miałem okazję paść ofiarą manipulacji, więc nie twierdzę uparcie, że wszystko, co widzę i myślę, musi być prawdą. Pod tym względem akurat ten tam miał rację – każdy ma swoją rzeczywistość, a żadna z nich nie jest tą jedyną. Osobiście trudno mi uwierzyć, że wszystkie moje wspomnienia zostały sfabrykowane, ale z pewnością taka możliwość istnieje. Kto wie, może jestem stolarzem z Wigan albo sprzedawcą używanych aut z Weymouth, któremu się tylko wydaje, że jest legendarnym Tomaszem? Jedno jest pewne – możecie do końca życia łamać sobie głowę nad tym, co jest prawdą, a co nie, albo po prostu robić to, co, jak uważacie, jest słuszne. Bierność albo działanie. Czy to ważne, kto naprawdę wami manipuluje: wszechmocne rasy czy źli ludzie? Wszystko jedno. Macie ich pokonać.

— Mi nie jest wszystko jedno – powiedziała Laura. – Muszę mieć kogoś na celowniku, żeby nacisnąć spust.

Church poczuł, że musi zadbać o dyscyplinę, żeby zapobiec bierności.

— Tom ma rację. Nadmierne filozofowanie nie ma sensu. Nigdy nie należeliśmy do doinformowanych, więc i teraz nie powinno nam to robić różnicy. – Spojrzał na Laurę, choć jego słowa skierowane były do wszystkich. – Jeśli chcecie wierzyć

przypadkowemu facetowi spotkanemu w pubie, droga wolna, macie do tego prawo. Ale dopóki nie zgromadzicie potwierdzających jego tezę dowodów, proszę nie wychylać się z swoimi poglądami. Sądzę, że nie musimy dłużej ciągnąć tego tematu. Co wy na to?

Laura wzruszyła ramionami.

— Ty jesteś szefem, szefie.

Pozostali pokiwali głowami na znak zgody.



Zbliżała się północ i pub pustoszał. Church obserwował kręcących się przy drzwiach ludzi, wyraźnie nieskorych do wyjścia w noc, żartujących, że zaraz pogonią ich do domu chochliki.

— Każdy z osobna coś tam widział i wie, ale nie przyzna się ani przed innymi, ani przed sobą samym – zauważył głośno.

— To zupełnie zrozumiałe – powiedział Shavi. – Kto chciałby przyjąć coś takiego do wiadomości?

Dopiewszy drinka, Laura huknęła kieliszkiem o stół w teatralnym geście.

— Nadal wierzycie, że przyszliśmy tu dziś wieczorem w innym celu niż po to, żeby się upić?

Tom zmroził ją spojrzeniem.

— Wolisz walczyć na ślepo? Twoje picie to dla nas rekonesans. Już zdążyliśmy się dowiedzieć wielu rzeczy. Nowe Miasto wydaje się być nietknięte, ale na Starówce dzieje się coś niedobrego. Wnoszę z tego, że to właśnie tu rozpanoszyli się Fomorianie. Są w Edynburgu, tak jak przypuszczaliśmy.



— Mam nadzieję, że nie zamierzasz zabrać nas na nocny spacer po Starym Mieście. – Ton głosu Laury był buńczuczny jak zwykle, ale Church wyczuł, że jest spięta.

— Nie sądzę, żeby włóczenie się tymi ulicami po północy było rozsądne – przyznał Church.

— Jak do tej pory – powiedział Shavi – Nocni Wędrowcy trzymali się miejsc zapuszczonych i zapomnianych, pustkowi. Skąd ta zmiana? Co ich tu sprowadza?

— Studnia Ognia, rzecz jasna – odpowiedział Tom. – Dzięki niej to jedno z najważniejszych miejsc w kraju. Przed wiekami Fomorianie nie byliby w stanie nawet zbliżyć się do Edynburga, ale teraz krew ziemi pozostaje w uśpieniu. Podejrzewam, że możliwość zasiedlenia okolic źródła siły, którą mają w takiej pogardzie, w pewien sposób ich ekscytuje.

— Ciemność zwycięża światło – podsumował Shavi.



Dopiwszy drinki i piwa, wyszli z pubu. Kręciło im się w głowach od nadmiaru alkoholu i rewelacji byłego wywiadowcy. Na dworze uderzył ich nietypowy dla tej pory roku chłód. Laura wzdrygnęła się.

— Boże, jak w zimie.

Royal Mile wyglądała jak porzucone dekoracje filmowe. Church był kiedyś z Marianną na Festiwalu Edynburskim i wiedział, że Starówka zwykła tętnić życiem, tymczasem w żadnym oknie nie paliło się światło, a wszystkie lokale były zamknięte. Upiorną atmosferę potęgowała panująca wokół cisza. Nawet latarnie uliczne zdawały się rzucać przytłumione światło.

Nieponaglani, przyspieszyli kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się w hotelu. Zamierzali wrócić tą samą drogą, którą przyszedli, skierowali się więc w stronę podświetlonego zamku. W pewnym momencie temperatura obniżyła się gwałtownie do tego stopnia, że ich ciepłe oddechy zaczęły znaczyć powietrze białą mgiełką. Zauważyli, że przed nimi, z niewidocznej zza zakrętu Ramsay Lane, sączy się anemiczne niebieskawe światło. W pierwszej chwili pomyśleli, że to może złudzenie, odbłask iluminacji zamkowej skały, ale podszedłszy bliżej, nabrali pewności, że tak nie jest. Nad czymś przy uliczce, którą szli zaledwie kilka godzin wcześniej, teraz unosiła się szafirowa poświata, a przecinające ich ścieżkę długie cienie drgały delikatnie, jakby drgało i to dziwne światło.

— Policja? – zasugerował Shavi.

— Nie sądzę – mruknął Tom.

Jezdnia na rogu Ramsay Lane pobieliała szadzą, okna zalśniły iskrzącymi się malunkami mrozu. Stanęli oszołomieni tą manifestacją zimy w środku maja. Nagle zza zakrętu wysunął się cień. Cofnęli się odruchowo. Veitch wysunął się przed pozostałych i zamarł w pozie przyczajonego drapieźnika, gotowy do kontrataku. Z uliczki wyłonił się ludzki kształt. Nieznajomy szedł z trudem, powłóczęgając nogami i podpierając się o ściany domów. Poznali, że to kudłaty brodacz, którego widzieli w pubie – tyle że jego czarne włosy i zarost pokrywał szron, a skóra połyskiwała błękitnawo w świetle latarni. Mężczyzna osunął się na kolana, a dostrzegłszy Churcha i jego kompanów, wyciągnął ku nim rękę w błagalnym geście. Zacharczał cicho, zapewne starając się wydobyć z gardła jakiś dźwięk. Gdy do niego dobiegli, leżał już nieruchomo na brzuchu.

Laura chciała go odwrócić, ale zaraz cofnęła dłoń.

— Au! Jest tak zimny, że aż parzy.

Pomny jej słów, Shavi pochuchał sobie na palce, nim przycisnął je na sekundę do szyi leżącego.

— Zero pulsu.

— Co o tym sądzisz, Tom? – spytał Church.

Odpowiedziała mu cisza. Dopiero teraz zauważyli, że pobiegł jeszcze dalej i stał teraz u wylotu przecznicy, przyglądając się źródłu niebieskawego światła. Miał bardzo zatroskaną minę.

Dołączywszy do niego, nie mogli uwierzyć własnym oczom: całą Ramsay Lane pokrywała warstwa lodu, jakby na jakiś czas przeniesiono ją na Antarktydę. Poświata biła gdzieś z dołu wytyczonej na zboczu uliczki, a w sercu błękitu wspinała się ku nim jakaś istota. Z każdym jej krokiem warstwa lodu na okolicznych budynkach robiła się grubsza.

— Co to? – szepnął Church zadziwiony.

Tom musiał być bardzo poruszony, bo odpowiedział tak cicho, że ledwie go usłyszeli: – Cailleach Bheur.

— A po angielsku? – warknęła Laura.

Spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczami.

— Niebieskolica wiedźma, ucieleśnienie zimy. Za mną, prędko! – popędził. Nakazał im trzymać się środka jezdni. Biegiem cofnęli się do punktu wyjścia, a potem pospieszyli High Street. Tom uspokoił się nieco, kiedy skręcili w przelotową North Bridge, ale przystopował dopiero za dworcem. Oparłszy się o ścianę, przesłonił usta dłonią.

— Co to było? – Church domagał się więcej szczegółów.

Tom nie odpowiedział od razu.

— Jedna z najbardziej potężnych istot na tej ziemi.

Church zerknął mimowolnie w stronę ciemnej Starówki.

— Nocny Wędrowca?

— Nie, i nie Tuatha Dé Danann. Podobnie jak latające bestie, niebieskolica wiedźma wraz ze swymi siostrami obdarzona jest wielką mocą i niemal nie sposób zdobyć nad nią kontroli. A mimo to Fomorianie jakoś ją okiełznali, tak jak i tego smoka, który zniszczył autostradę. To na rozkaz Nocnych Wędrowców wiedźma patroluje Stare Miasto niczym szkolony wilczur, by mogli w spokoju zająć się swoimi sprawami.

— Czyli jest naszym wrogiem? – upewnił się Veitch.

Tom rzucił mu chłodne spojrzenie.

— A czy najsroźsza, najmroczniejsza zima jest wrogiem człowieka? Cailleach Bheur jest siłą natury. Z jej dotykiem zamiera życie.

— Niebieskolica wiedźma... – powtórzyła Laura. – Nie brzmi to tak strasznie. Kojarzy mi się z taką starą babą, co ma białą trwałą z błękitną plukanką, używa niebieskich cieni do powiek i...

Zamilkła, widząc oburzoną minę Toma.

— Cailleach Bheur potrafi zesłać *fimbulwinter* [w mitologii skandynawskiej zima poprzedzająca koniec świata]. Jeśli tego zapragnie, cała planeta zamarznie i na Ziemi przestanie istnieć życie.

— I Fomorianie nie boją się zadawać z kimś takim? – zdziwił się Church.

— Świadczy to o ich wielkiej pewności siebie. Albo o arogancji. – Tom odchylił głowę i wziął głęboki wdech. Stopniowo wracały mu siły. – Aby móc przejąć nad wiedźmą kontrolę, musieli odprawić jeden z najpotworniejszych rytuałów, o jakich słyszałem, a i tak wyzwolona w nim moc szybko się wyczerpie. Tym razem naprawdę igrają z ogniem.

— Gdzie tu ogień? – burknęła Laura, zabawiając się kopaniem kamienia. – Mówisz, że to coś ma siostry?

— Pożerającą dzieci Czarną Annis z wzgórz Dane w hrabstwie Leicester i Dobrotliwą Annis, panią burz.

— Chyba wolę tę drugą – stwierdziła dziewczyna.

— W tym imieniu kryje się ironia – wyjaśnił Tom. – Nazywaną ją tak, żeby ją udobruchać. Wierz mi, nie chciałabyś dać się złapać jednej z jej burz.

Churchowi przypomniało się, że uczył się o Czarnej Annis na studiach.

— Ale przecież uczeni uważają, że mit Czarnej Annis wziął się z celtyckiego kultu Danu czy też Anu, antenatki Tuatha Dé Danann.

— Ta sama proveniencja – mruknął Tom – ale to dwie różne siły. W obrębie Nowego Miasta noc była ciepła, niemal letnia, ale co jakiś czas podmuch lodowatego wiatru przypominał wędrowcom o tym, co czai się w pobliżu.

— Z tego wynika, że żeby dowiedzieć się, co knują na Starówce Fomorianie, musimy minąć stojącą na straży Niebieskolica wiedźmę – podsumował Church.

Tom skinął głową i dodał grobowym tonem: – A w dawnych czasach imię Cailleach Bheur było synonimem śmierci.

# ROZDZIAŁ 4

## NIEBEZPIECZNY MOST

W świetle dnia Stare Miasto nie wyglądało już tak upiornie, ale nadal coś wisiało w powietrzu, coś, co nakazywało im przyspieszyć kroku. Veitch był ciekaw, czy władze Edynburga zdają sobie sprawę z tego, co tak naprawdę dzieje się wśród wiekowych kamieniczek. Musiano coś jednak podejrzewać, bo choć wstęp do dzielnicy nie podlegał żadnym restrykcjom, zamknięto biuro informacji turystycznej. Przechodniów było jeszcze mniej niż poprzedniego popołudnia. Ciało zamarznętego brodacza usunięto.

Przystanęli na Royal Mile, żeby przyjrzeć się celowi swojego spaceru. Na tle wulkanicznego wzniesienia zwanego Tronem Artura odcinały cię złowrogie w swej ciemnej barwie Salisbury Crag, saliburskie skały.

— Od ostatniej erupcji minęło przynajmniej trzysta pięćdziesiąt milionów lat – poinformowała kompanów Laura, zerknąwszy do swojego nowego przewodnika, który zwędziła wcześniej w mijanej księgarni. Gdy Church go zobaczył, wrócił i za niego zapłacił. – Ale przy naszym szczęściu... – dodała, nie kończąc zdania.

— Ten krajobraz nie zmienił się od bardzo dawna – powiedział Tom. – Ludzie polowali tu już dziewięć tysięcy lat temu.

— Kurczę, to już nawet ty tego nie możesz pamiętać – zauważyła złośliwie dziewczyna.

Mruknął coś gniewnie. Zwykle świetnie się kontrolował, ale jej jakoś nie umiał do końca ignorować. Intrygowało to pozostałych członków drużyny.

— Także Celtowie poznali się na tym miejscu. – Ustawwszy się tyłem do dziewczyny, hipis podjął przerwana opowieść. – Na skale zamkowej plemię Gododdinów postawiło twierdzę zwaną Dunedin, „fortem na wzgórzu”. Tak usytuowanej warowni łatwiej było rzecz jasna bronić, ale jej budowniczymi kierowało coś więcej. To było decydującym powodem. – Tom wskazał Tron Artura. – Studnia Ognia. Święte źródło mocy.

Sprawdziwszy w przewodniku Laury, postanowili nie wspinać się na wzgórze jednym ze stromych szlaków, tylko wynajętym samochodem objechali je wzdłuż krętej Queen’s Drive. Krajobraz robił się coraz bardziej dziki. Po drodze minęli malownicze St. Margaret’s Loch, nad którym wznosiły się ruiny kaplicy świętego Antoniego, a zaparkowali nad innym jeziorem, Dunsapie. Poprowadzona łagodnym stokiem ścieżka zawiodła ich na sam szczyt. Z wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów rozpościerał się wspaniały widok na samo miasto oraz regiony Lothian i Fife przedzielone głęboko wrzynającą się w ląd morską zatoką. Tom znieruchomiał na widok tak wielkiej połaci ojczyzny, którą opuścił niegdyś na setki lat, i szybko odłączył się od grupy, by pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Veitch i Shavi postanowili wziąć się do roboty, poszli więc przeszukać inną część wzniesienia. Church i Laura zostali sami.

— Niesamowite! Jesteśmy przecież w środku miasta! – Churcha zaskoczył szczery entuzjazm w głosie dziewczyny.

— Nie przypuszczałem, że należysz do tych osób, które zachwycają się lirycznymi widoczkami.

Zerknęła na niego sponad swoich ciemnych okularów.

— Co wskazuje na to, jak niewiele o mnie wiesz. Przyroda to jedyna rzecz, o jaką warto walczyć na tym padole.

Przysiadła na jakimś większym kamieniu z typową dla siebie miną kogoś, kogo nic tak naprawdę nie obchodzi, ale Church wiedział, że ucieszyłaby się, gdyby do niej dołączył. Tak też zrobił. Przytuliła się do niego.

— Teraz rozumiem. Pamiętasz, spytałem cię na samym początku, skąd ta oryginalna tapeta w drzewa na ekranie twojego laptopa. Nie chciałaś mi powiedzieć, zdenerwowałaś się bardzo. A chodziło o twoje zainteresowanie przyrodą.

— Aleś ty bystry. Tak, ta tapeta była projektu Ziemi Przodem.

— Co to takiego?

— Radykalna organizacja ekologiczna. Jestem jej członkiem. Uważamy, że czasem trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, na przykład, gdy firma budowlana wycina starodrzew albo jakiś rolnik chce się szybko dorobić na żywności modyfikowanej genetycznie.

Zaskoczyła go.

— Muszę przyznać, że w tajemniczości nie masz sobie równych. Nie sądziłem, że wyznajesz jakieś ideały.

— Każdy coś ma. Ja ekologię. – Poprawiła okulary, a potem jej palce mimowolnie powędrowały ku bliznom na twarzy. – Powiedz mi, nadal wierzysz, że mam coś wspólnego ze zniknięciem tej sztyw... to znaczy, Ruth?

— Nigdy nie twierdziłem niczego podobnego.

— Rzeczywiście. W ogóle rzadko kiedy poruszasz naprawdę ważne tematy – powiedziała z wyrzutem w głosie.

— Zrozum, byłaś cała we krwi. Wiedziałem, że nie przepadacie za sobą...

— Więc zupełnie naturalnym odruchem z mojej strony było



poderżnięcie jej gardła i wyrzucenie trupa na śmietnik? Wiesz co, może jesteś przywódcą naszej żalosnej gromadki, ale straszny z ciebie głupek. – Laura westchnęła ciężko. – Zaufaj mi choć trochę. Czy to takie trudne? Wiem, że nie staję na głowie, żeby przypodobać się ludziom jak jakaś słodko uśmiechnięta panienka z promocji w supermarkecie, ale taka już jestem. Myślałam, że wiesz.

— Przepraszam.

— Niech się inni zachowują jak głupki, ale o tobie miałam lepsze zdanie.

Był w tych słowach ogromny ładunek emocjonalny, nieproporcjonalny do treści, jakie z sobą niosły, zdawały się kryć poważne wyznanie. Church nie wiedział, jak zareagować. Dziewczyna niewątpliwie go pociągała, przejąłby się bardzo, gdyby coś jej się stało, ale poza tym trudno mu było określić, kim tak właściwie dla niego jest, co do niej czuje. Życie w ciągłym napięciu spowodowało, że stracił kontakt z własnym sercem.

Zachodził w głowę, jak też ją pocieszyć. W końcu, z braku lepszych pomysłów, objął Laurę i przycisnął mocniej do siebie. Ten prosty gest najwyraźniej ją zadowolił, co wpędziło Churcha w jeszcze większe wyrzuty sumienia.



Veitch wspiał się na wynurzające się z trawy skałki. Kogoś o mniej wyćwiczonych mięśniach pewnie strąciłby z nich porywisty wiatr. Ani wysokość, ani gwałtowne podmuchy nie zdawały się robić na mężczyźnie najmniejszego wrażenia.

— Jak sądzisz, jakie mamy szanse? No wiesz. Ze znajdziemy ją

żywą.

— Widzę, że bardzo ci na niej zależy. – Shavi uśmiechnął się figlarnie. Dobrze wiedział, że prowokuje kolegę do zwierzeń i że ten nie radzi sobie z mówieniem o uczuciach.

— To równa babka. – Veitch wpatrywał się w daleki horyzont.

— Tak mówisz o osobie, która żywi do ciebie urazę?

— Ma prawo. Przecież naprawdę zabiłem jej stryja. Odpowiesz mi na moje pytanie czy nie, do cholery?

Shavi przykucnął, by móc przyjrzeć się pęknięciom w skale.

— Cóż, nie tracę nadziei.

— Zabiję tego drania, który ją okaleczył.

— Mszcząc się, nie naprawisz przeszłości, Ryan.

— Ale poprawię sobie humor. Podejrzewasz naszą blondyneczkę? – Zerknął w stronę Laury i Churcha.

— Nie mam pewności. Intuicja podpowiada mi, że raczej jest niewinna.

— Tak bardzo chciałbym móc coś zrobić. To ciągłe siedzenie na tyłku doprowadza mnie do szału. – Żeby rozładować gniew, cisnął kamykiem, a potem śledził, jak ten spada na ziemię. – Jak już ją znajdziemy... Jeśli ją znajdziemy... Jak myślisz, miałbym u niej szansę? Wiem, że jesteśmy jak ogień i woda, ale nigdy nic nie wiadomo, prawda?

— Zgadza się. Nigdy nic nie wiadomo. – Shavi uśmiechnął się ciepło. Veitch miał w sobie wprawdzie spore pokłady agresji i często bywał zbyt popędliwy, ale w gruncie rzeczy kierował się iście rycerskim kodeksem, a pod jego muskulaturą kryło się dobre serce.

Pokręcił głową.

— Nie wiem, po co opowiadam takie rzeczy pedziowi...

Po raz pierwszy wymówił przy Shavim to słowo tonem nie

pogardliwym, ale wręcz serdecznym.

— Nie jestem... – zaczął szaman.

— Tak, tak. Wiem, co powiesz. Mężczyzna czy kobieta, dla ciebie jeden pies.

— Uczucia też są takie same, niezależnie od tego, kogo się nimi obdarza.

Veitch przyjrzał mu się w zamyśleniu, ale nic nie powiedział. Shavi wdrapał się na górę i usiadł koło niego.

— W wielu kulturach wierzy się, że to człowiek sam stwarza się siłą woli.

— To znaczy?

— Środowisko czy wychowanie nie ma na nas takiego wpływu. Jeśli ktoś chce być bohaterem czy wspaniałym kochankiem, jeśli pragnie tego dostatecznie mocno, to w końcu zmieni się w osobę z swoich marzeń.

Veitch zastanowił się nad tym.

— Czyli, jeśli ktoś powtarza sobie w kółko, że jest kompletnym zerem, idiotą i kryminalistą, to tak właśnie skończy?

— Tak jest.

— Dlaczego mi o tym powiedziałaś?

Shavi wzruszył ramionami.

— Chciałem pomóc.

Veitch chciał go o coś zapytać, ale w tym samym momencie pojawił się Tom. Szedł ku nim wydeptaną wśród traw błotnistą ścieżką. Obserwujący go mężczyźni nawet nie próbowali zgadnąć po jego minie, czy coś znalazł – życie wewnętrzne ich przewodnika było dla nich taką samą zagadką, co życie wewnętrzne Tuatha Dé Danann.

— I jak tam? – zawołał Veitch.

— Ani śladu bramy do studni. – Tom przystanął pod ich skałką.

— W Kornwalii nie miałeś z tym takich problemów.

— Tutaj moc pozostaje w uśpieniu od bardzo długiego czasu, nie ma też tu żadnego dolmenu, kręgu czy głazu, przy którym mogłaby się skupić. Istnieje też możliwość, że źródło wygasło.

— Czyli, co? Marnujemy tylko czas? Przecież zjawy nie wspomniałyby studni, gdyby wyschła na dobre.

— Czy wiecie, że w ziemską energię wierzą też Aborygeni? wtrącił Shavi, odgarniając włosy z twarzy. – Poniekąd to jedno z najbardziej rozpowszechnionych wierzeń na świecie. Aborygeni nazywają ją *djang*, mocą stwórczą, z której uformował się świat. W ich mitologii istoty będące ucieleśnieniem *djang* zmieniły się w elementy krajobrazu: skały, zbiorniki wodne, zarośla, drzewa... Są wszędzie wokół, więc z energii w każdej chwili można skorzystać. W Europie mamy linie geomantyczne [*linie łączące rzekomo niektóre budowle megalityczne, wzgórza, średniowieczne kościoły itp.*], a tam wszystkie te święte miejsca łączą „szlaki snu” i „linie pieśni”. Ale *djang* można także przywołać odpowiednimi rytuałami albo tańcem.

Tom zamyślił się.

— Pokazałeś nam już, do czego jesteś zdolny. Jak sądzisz, czy potrafiłbyś znaleźć taki szlak, który zaprowadziłby nas do źródła energii?

— Jeśli posiadam takie zdolności, nic mi o nich nie wiadomo. Przynajmniej na razie.

Veitch zauważył jednak, że Shavi uśmiecha się delikatnie, więc dał mu sójkę w bok.

— Mógłbyś się nauczyć.

— Pewnie tak. Gdybym miał dostatecznie dużo czasu...

Tom pokręcił głową.

— Nie stać nas na takie zbytki. Ale jest inna metoda, stara jak

świat. Co robi prawdziwy szaman, kiedy potrzebuje rady?

Shavi nie wiedział.

— Zwraca się o pomoc do przodków.



Opuścili wzgórze wczesnym popołudniem. Zachmurzyło się i najwyraźniej zbierało na burzę – na wschodzie niebo już pociemniało. Przyjemnie było wrócić do miasta, do nowoczesności. Na jednej z ulic odchodzących od Princes Street znaleźli sympatyczną kafejkę i to tam nad kawą postanowili przedyskutować pomysł Toma.

— Dlaczego Shavi ma to zrobić? – spytał Church. – Według mnie świetnie sobie poradziłeś z tymi Celtami w Gairloch.

— Zmarli zapamiętują osobę, która często się z nimi kontaktuje. Potem już nigdy nie zostawiają jej spokoju. – Sądząc po tonie głosu Toma, takie zainteresowanie nie było czymś wartym pozazdroszczenia.

— Sam wolisz się nie narażać, a wciągasz w to bagno Shaviego? wytknęła mu Laura. – Przypominasz mi jednego z tych generałów z czasów pierwszej wojny światowej, którzy posyłali chłopców na pewną śmierć.

— Może i jestem wyjątkowo utalentowany – odparł Tom oschle – ale spośród nas tylko Shavi jest szamanem w pełnym tego słowa znaczeniu. Jeśli duchy zaczną go nękać, lepiej ode mnie sobie z nimi poradzi.

Laura chciała zaprotestować, ale Shavi uciszył ją stanowczym gestem.

— Tom ma rację. Jestem w pełni świadom swoich powinności.

Taka już rola tych najbardziej obdarowanych przez los, żeby w imię Sprawy dawali z siebie wszystko niezależnie od konsekwencji.

— Jesteś pewien? – spytał z troską Veitch. – Nikt nie powinien być do niczego zmuszany.

— Nie będę się wypierał, że na myśl o tym eksperymencie nie cierpnie mi skóra, ale w dzisiejszych czasach wszystko jest przerażające. Nie ma już nic pewnego. – Shavi uśmiechnął się sam do siebie. – Cóż, może zawsze tak było. Mniejsza o to. Muszę przyznać, że dużą trudność sprawiło mi nauczanie się, jak właściwie korzystać z moich talentów. – Spochmurniał. – Kiedy, płynąc na Skye, przejąłem kontrolę nad Wężem morskim, poczułem się tak, jakby przekłuto mi czaszkę i wszystkie moje myśli zaczęły wyciekać poza ciało. Traciłem władzę nad samym sobą, za to spoglądałem na świat z wnętrza obcej mi istoty. Porzuciłem swoje ciało i nie wiadomo było, czy kiedykolwiek do niego wrócę. Miałem wrażenie, że oto ocknąłem się po pogrzebie w trumnie, że umarłem i obudziłem się w innym świecie... – Zamilkł na moment, a potem na jego twarz powrócił uśmiech. – Ale jednak zmartwychwstałem.

Laura prychnęła drwiąco.

— I twierdzisz, że po takim doświadczeniu nie dostaniesz kręćka? Już to widzę.

— Dostałbym, gdybym na to pozwolił. Nadal czai się we mnie ten cień, różnorodne lęki. Ale bierność wywołana lękiem jest jeszcze gorsza.

Dziewczyna zrobiła taką minę, że było jasne, że nie zrozumiała ani słowa. Zrezygnowana, przeniosła wzrok na swoje cappuccino.

— Dobra, niech Shavi skontaktuje się z duchami – powiedział

Church. – Czy musi się do tego udać w jakieś specjalne miejsce?

— Tam, gdzie zmarli często się pojawiają – wyjaśnił Tom.

Laura pchnęła w stronę Shaviego leżący na blacie przewodnik.

— Na pewno znajdziesz tu coś dla siebie – mruknęła dziwnym głosem. – Niech Bóg ma cię w swojej opiece.



Hotelowy pokój skąpany był w słońcu. W powietrzu wirowały leniwie drobiny kurzu. Przez otwarte okno wlewały się do środka odgłosy miasta: warczenie silników, klaksony, śpiew ptaków, nawoływania wszystko to tak energiczne, tak cudownie zwyczajne. Od razu robiło się lżej na duszy. Church i Laura, spleceni w zmiętej pościeli, wsłuchani w coraz spokojniejsze bicie swoich serc, w milczeniu, w bezruchu, rozmyślali o świecie, który przeszedł już do historii.

Nawet w takiej chwili Church odczuwał niepokój. Od tamtego wieczoru na nabrzeżu na Skye gnębiło go pytanie, co tak naprawdę czuje – pytanie, na które z każdym dniem było mu coraz trudniej odpowiedzieć. Najpierw to niepowtarzalne, elektryzujące przeżycie, jakim był pocałunek Niamh, niemal zupełnie wyparty z pamięci przez zamieszanie wywołane zniknięciem Ruth, a potem kolejne dowody na to, że w życiu Laury był kimś naprawdę ważnym. I jego własne niezdecydowanie – nie tyle rozdarcie, co brak rozeznania. Od wielu tygodni nie miał już kontroli nad tym, co robi, wszystko podporządkowane było kolejnemu, niespodziewanemu etapowi misji – teraz i jego życie uczuciowe zaczynało wymykać mu się z rąk. Przez dwa lata wszystko było proste: towarzyszyły mu

wyłącznie smutek i wyrzuty sumienia. Może odzwyczaił się od analizowania bardziej złożonych emocji? Wiedział, że Niamh go pociąga, ale nie miał pewności, czy było to przyciąganie stricte fizyczne, fascynacja drugą osobą, czy też może zwykła ludzka ciekawość. Podobnie rzecz się miała z Laurą. Dlaczego nie potrafił określić, co do niej czuje? Wątpliwości ulatniały się jedynie wtedy, kiedy, uprawiając seks, zatracił się do tego stopnia, że na wierzch mogło wypłynąć to, co spychał w zakamarki nieświadomości.

— O czym myślisz?

Wykręciła szyję, by móc spojrzeć mu prosto w oczy.

— O życiu, śmierci i tym wszystkim, co pomiędzy nimi.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

Zsunął się niżej, zakrywając oczy przedramieniem – ciemność działała na niego pogrzipiająco.

— A myślałaś, że o czym myślałem?

— Miło by było, gdybyś powiedział, że o mnie.

— Przepraszam.

Zabrzmiało to jakoś tak oschle, chyba ze zdenerwowania. Zrobiło mu się głupio.

Poczuł, że Laura cała się spina, a zaraz potem podniosła się, podpierając głowę na ugiętej w łokciu ręce, i spojrzała na niego zaczepnie.

— Co cię gryzie?

— To chyba oczywiste. Mało mamy problemów? Jest misja, cała ta wielka odpowiedzialność. Ten facet wczoraj tyle nam nagadał. Nie mogę o nim zapomnieć, chociaż wiem, że powinienem. I jeszcze męczy mnie to przemożne pragnienie pomszczenia Marianny i twojej mamy. – Coś sobie uzmysłowił. – Nigdy nie opowiadałaś mi o tym, jak się z tym czujesz.



— Bo i nic nie czuję. Nawet otępienia. Nie zrozum mnie źle, cieszę się, że to nie ja ją zabiłam, przynajmniej mogę patrzeć sobie w twarz, przeglądając się w lustrze, ale nie wyrywam sobie włosów z głowy dlatego, że ją zamordowano. Nie po tym wszystkim, co mi zrobiła. – Dziewczyna przewróciła się na plecy, żeby ukryć pokrywające je blizny.

Jej słowa sprawiły, że poczuł się nieswojo.

— To brzmi odrobinę...

— Jak? Przerażająco? Zimna ze mnie suka? Psychiczna jestem? Nie waż się mnie krytykować. Nic nie wiesz o moim życiu.

— Staram się tylko...

— Ale nie dość.

Zezłościło go, że trzeba wokół niej chodzić na paluszkach. Miał już wystarczająco dużo rzeczy na głowie. Wiedział, że wiele przeżyła oszpecił ją Callow, naznaczył Cernunnos, do końca nie wiadomo z jakiego powodu – ale każde z nich miało za sobą traumatyczne doświadczenia, a tylko Laura zachowywała się jak rozpieszczony bachor.

Przez dobre pięć minut siedzieli w milczeniu, przyglądając się tańczącym w słońcu drobinkom kurzu. To ona odezwała się pierwsza. Zdążyła się uspokoić.

— Zastanawiasz się nad czymś jeszcze?

Nie odpowiedział od razu, ale w końcu postanowił przyznać, że owszem, jest coś, co nie daje mu spokoju – sam sobie musiał to głośno powiedzieć: – Mam wyrzuty sumienia, że nie nakazałem szukać Ruth, tylko...

— Tylko co? Postanowiłeś uratować resztę ludzkości? Rzeczywiście, poważny dylemat.

Kolejna ostra riposta z jej strony tylko zwiększyła jego irytację.

— Jestem po twojej stronie, Lauro. Dlaczego zawsze musisz mi

tak docinać?

— Bo mi cały świat docina.

— Przestań myśleć tylko o sobie – odparował. – Mnie też jest ciężko. Nie mogę dojść do ładu z tym, kim ja właściwie teraz jestem. Przez ten magiczny płyn, którego napiłem się z kotła Złotego Ludu, czasami wydaje mi się, że słyszę tu w środku jakieś chóralne szepty. Wprawdzie nic nie rozumiem, ale to wszystko mnie przeraża. A innym razem coś się przestawia i do głosu dochodzi pokłosie szkodliwego działania *Roisin Dubh*. Nawet nie wiem, co Fomorianie chcieli zdziałać za jej pomocą.

— Ach, bo się rozpłaczę.

Church stracił nad sobą panowanie i walnął pięścią w materac.

— Cholera jasna, co ja tu robię?

— Właśnie, co tu robisz, człowieku? – Laura pchnęła go z całej siły, aż niemal spadł na podłogę. Kiedy odwrócił się, stała już koło łóżka i zaczynała się ubierać. Chciał już krzyknąć, że to z jej winy nie mają szans na udany związek, ale akurat wtedy przez ułamek sekundy dziewczyna nie zdołała utrzymać swej maski i pod warstwą chłodnej wyniosłości dostrzegł delikatną, zranioną istotę, jeszcze nigdy nie widział, żeby jej twarz wyrażała tyle emocji.

Zszokowany tym odkryciem natychmiast się uspokoił.

— Słuchaj, przepraszam. Żyjemy w takim stresie...

Nie zatrzymując się, mruknęła coś pod nosem. Odwróciła się dopiero pod drzwiami.

— Pieprz się – powiedziała i zatrzęsnęła je za sobą.



Wychodząc z hotelu, była na siebie wściekła, że w oczach ma Izy. Od lat pielęgnowała twarz pokerzysty, nawet najbliżsi nie wiedzieli, co kiedy czuje, ale niedawno najwyraźniej coś w niej pękło i nie potrafiła wrócić do dawnej formy. Church wydawał się mieć szczególnie talent do wywoływania u niej emocjonalnej reakcji. Najbardziej bolało chyba to, że czasem nie zdawał sobie z tego sprawy.

Próbowała wmówić sobie, że jej na nim nie zależy, ale na próżno. Gorzej, zdawała sobie sprawę, że jeszcze nigdy wobec nikogo nie czuła czegoś tak bliskiego cikliwej, dziecinnej definicji miłości. Z początku miała nadzieję, że w ich związku chodzi tylko o seks – taki układ przerabiała już wiele razy. Potem tłumaczyła sobie, że zbliżyła ich do siebie nietypowość sytuacji, w jakiej się znaleźli, czy poczucie zagrożenia. Za każdym razem wiedziała, że się oszukuje. Tyle już wycierpiała z rąk rodziców, a teraz to. I kłócili się, tak jak się tego obawiała.

Postanowiła iść na Princes Street i zaszaleć w jednym z tamtejszych modnych barów, które, mimo powrotu bogów, zdawały się zbijać kokosy. Po drodze spotkała Shaviego i Toma, którzy wybrali się wcześniej na miasto w poszukiwaniu narkotyków potrzebnych im do planowanych rytuałów. Mężczyźni pomachali jej przyjaźnie, ale udała, że ich nie widzi.

Wybrawszy najgłośniejszy i najbardziej zatłoczony lokal, dopchała się do baru i kupiła sobie jamajskie piwo Red Stripe. Chociaż jak zwykle nie zabiegała o niczyje względy, inni klienci szybko się nią zainteresowali. Spławiła ostrą odzywką kilku pierwszych natrętów, ale alkohol stopniowo robił swoje i po pewnym czasie uznała, że otacza ją wielu miłych ludzi.

Następne dwie godziny spędziła w wesołym towarzystwie

mężczyzn i kobiet, których jedynym pomysłem na życie było najwyraźniej imprezowanie. Toczyli oni nieustające pojedynki na błyskotliwe komentarze, śmiali się głośno i zawzięcie flirtowali. Z pewnością nikomu tu nawet przez myśl by nie przeszło, żeby zacząć rozmawiać o swoich rozterkach czy śmierci. Uwaga Laury skupiła się wkrótce na dwóch nieformalnych liderach tej paczki. Zwalisty Andy, żywiołowy i rozgadany, miał kręcone włosy i rzadką kozią bródkę. Nadzwyczaj pewny siebie Will, zaprawiony w bojach podrywacz o kpiarskich, niebieskich oczach, zachowywał się z kolei jak leniwy kocur.

Upewniwszy się po kilkunastu szybkich wymianach zdań, że oto ma przed sobą starą klubową wygę, Will zerknął porozumiewawczo na Andy'ego, a potem spytał dziewczyny: – Słuchaj, masz ochotę zmienić dekoracje?

— Jakiś ty subtelny. Te nowe to pewnie twoje przepocone łóżeczko, tak? – Laura popijała piwo, świetnie się tym przekomarzaniem bawiąc.

— Skąd i takie kudłate myśli? Za kogo mnie masz? – Łobuzerski uśmiech chłopaka podpowiadał jednak, że nie jest taki święty. – Wybieramy się do pewnego klubu. Bombowe miejsce. Co tydzień gdzie indziej. DJ-e pierwsza klasa. Bawią się tam sami fajowi ludzie. Spodoba ci się.

— Czyja wiem... Robię się trochę za stara na kluby. W porze, kiedy imprezy dopiero się rozkręcają, zwykle jestem już w piżamie i popijam kakao.

— Nie możesz się teraz wykręcać. Jeśli z nami nie pójdziesz, będziemy zmuszeni wyzwać cię od wielkiej bristolskiej ciepłej kluchy zagroził jej w żartach Andy.

— Zaczekaj – powiedział Will. – Mam lepszy pomysł, jak ją

przekonać. Chodź z nami do ubikacji.

— Boże, ileż razy już to słyszałam.

Will wziął dziewczynę za rękę i zaprowadzili ją do toalet na tyłach baru. Zanim zapędzili ją pospiesznie do kabiny, zdążyła gwizdnąć na stojących przy pisuarach mężczyzn. Zamknąwszy drzwi na zasuwkę, chłopak sięgnął do kieszeni dżinsów i wyjął z niej niewielką plastikową torebkę. W środku znajdowało się pięć czy sześć żółtych kapsułek.

— Ex? – spytała Laura.

— Mówię ci, takiej jeszcze nie próbowałaś. Na najlepszej amfetaminie plus coś ekstra. Ta sama moc, ale barwniejsze jazdy. Prosto ze Stanów. – Pomachał jej przed nosem woreczkiem. – W prezencie, żebyś wiedziała, jak bardzo nam zależy na twoim towarzystwie.

Laura poczuła się nagle nieswojo. Spędziła wiele miesięcy kursując pomiędzy Bristolem i Salisbury, nieprzerwanie balując i biorąc wszystko, co wpadło jej w ręce. Świadomie staczała się na samo dno, za nic mając własne zdrowie fizyczne i psychiczne. Wyszła z tego z trudem. Widok ekstazy przywołał nieprzyjemne wspomnienia. Nie chciała wracać ani do nich, ani do takiego stylu życia. Narkotyki ewidentnie jej nie służyły. Z drugiej jednak strony miała dość strachu i niepewności. Chciała się rozerwać, zabawić na całego, zapomnieć o Churchu i ich przebrzydłej misji, zapomnieć o tym, kim jest i jakie ma obowiązki. Chciała po prostu zaznać wreszcie trochę spokoju.

Wetknęła rękę do woreczka i walcząc z wyrzutami sumienia, szybko wsadziła jedną z kapsułek do ust.

— Na dobry humor – powiedziała z szerokim uśmiechem.



Ponure cienie, które zalegały na Starówce za dnia, zlały się w jedno z dusznym mrokiem zapadającej nocy. Shavi szedł Royal Mile, rozglądając się ostrożnie na boki. Starał się grać silnego przez wzgląd na pozostałych, ale nowe zadanie w głębi serca napawało go przerażeniem. Odkąd odkrył swoje szamańskie zdolności, każda kolejna próba ich spożytkowania zdawała się odsuwać go coraz dalej od światła ludzkości, a spychać w ciemność, z której być może miał w końcu nie powrócić. Jedyłą bronią, jaką dysponował, była wytrzymałość urodzonego outsidera. Jako młody człowiek został odrzucony przez swoją społeczność i to doświadczenie go zahartowało. Pozostawało mieć nadzieję, że tak nabyta odporność wystarczy i w tym przypadku.

Gdzieś trzasnęły drzwi. Shavi drgnął nerwowo. Wyludnioną ulicą przetoczyło się echo. Kilkadziesiąt metrów dalej ktoś wynurzył się z pubu, rozejrzył się niespokojnie, jakby zaskoczony późną porą, a potem ruszył biegiem ku jaskrawym światłom North Bridge.

Chcąc się uspokoić, Shavi wziął głęboki wdech. Miał wprawdzie za sobą kilkakrotną lekturę odpowiedniego fragmentu przewodnika, ale potworna historia miejsca, do którego zmierzał, nie pomagała z pewnością w ukojeniu skołatanych nerwów, podobnie jak garść halucynogennych grzybków zażytych dla wzmocnienia wizji.

Szedł dalej. Na Parliament Square przystanął i zgodnie z tradycją splunął na chodnik, by odgonić duchy straconych przed wiekami w pobliskim więzieniu Tolbooth. Nie wiedział, czy

przyniesie to jakiś efekt – w nowych czasach nie było nic pewnego – ale wolał zachować wszelkie środki ostrożności, byle tylko oszczędzić sobie widoku zmasakrowanych głów, które niegdyś miano w zwyczaju wystawiać tu na widok publiczny, a które teraz w każdej chwili mogły się zmaterializować.

Po drugiej stronie ulicy wznosiła się gregoriańska fasada budynku Rady Miejskiej – symbolu elegancji w architekturze, wykwitu stuleci kulturowego rozwoju. Jak większość dorobku współczesności, wyrósł on na cudzej krzywdzie. W jego trzewiach kryła się na wieki pogrążona w mroku siedemnastowieczna uliczka Mary King's Close. Według przewodnika w całej Szkocji nie było częściej nawiedzanego przez duchy miejsca, czemu po zaznajomieniu się z jego historią trudno się było dziwić. Budynek Rady został wzniesiony po to, by pomóc mieszkańcom Edynburga zapomnieć o pewnym bolesnym wydarzeniu, o cierpieniu jego ofiar i wstydzie tych, którzy się do owego cierpienia przyczynili. Jak wszystkie wielkie tragedie i ta jednak nie dała zepchnąć się w niepamięć.

W roku 1645 w stolicy Szkocji szalała epidemia dżumy. Wiele uliczek obecnego Starego Miasta zamieszkiwała biedota, domy były przepełnione, bruk wiecznie brudny. Po wybuchu epidemii na ulicach pojawiły się trupy, umierający i śmieci, a w Mary King's Close sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej niż gdzie indziej. Wpływowi, bogaci obywatele, ludzie prawi i wykształceni, w których oczach plebs był niemal równy zwierzętom, zarządzili, by w uliczce przeprowadzić kwarantannę. O jej makabrycznym przebiegu nie zapomniano przez wieki. Aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się zarazy, wszelkie wyjścia z zaułku po prostu zamurowano, pozostawiając chorych na pastwę losu bez jedzenia i picia. Ale to

jeszcze nie wszystko. Gdy ustały jęki nieszczęsnych, jakby nie spotkał ich wystarczająco potworny koniec, wpuszczono do środka dwóch rzeźników z zadaniem poćwiartowania ciał.

Shavi wzdrygnął się na myśl o tak wyrachowanym okrucieństwie. Nic dziwnego, że dusze osób zmarłych w zaułku nie potrafiły opuścić miejsca kaźni. Już od ponad trzystu lat w zamurowanej pod ziemią uliczce widywano wyjątkowo odrażające zjawy: wyjące z bólu, ciskające oskarżenia, straszące śmiazków wizjami ich przyszłych cierpień. Ukazywała się tam też czasem dziewczynka o twarzyczce porcelanowej lalki – taki smutek bił od tego biednego dziecka, że każdemu na jej widok krajało się serce. Panowała tam tak paraliżująca rozpaczą atmosfera, że nawet sceptycy opuszczali zaułek poruszeni i odmienieni.

Zlustrowawszy dokładnie elegancką fasadę gmachu, zrezygnowany Shavi wbił wzrok w ziemię. Jeśli przeżycia normalnych, racjonalnie myślących ludzi, którzy zapuścili się w Mary King's Close, były tak silne, czegoż doświadczyć miał on sam swoimi uwrażliwionymi zmysłami? Niepokój ścisnął go w piersi żelazną obręczą. Nie miał wyboru. Ruszył w stronę budynku.



Wejście do ukrytego przed światem zaułka kryły nierzucające się w oczy, liche, drewniane drzwi. Otworzywszy je, Shavi natychmiast włączył latarkę. Echo, zbudzone stukiem desek o mur, słabło stopniowo, rozchodząc się w niewidocznej głębinie. Droga wiodła stromo w górę ku kolejnemu wejściu. Po lewej,



mniej więcej w połowie tego odcinka, ginęły w mroku drugie, równie sędziwe drzwi. Wszystko pokrywała gruba warstwa pajęczyn, piachu i kurzu, każdy krok podnosił z ziemi dławiące tumany. Mężczyzna zmuszony był co chwilę tłumić nowy atak kaszlu. Chrząkał przy tym dziwacznie, co wzmocnione i zniekształcone pogłosem, brzmiało niczym charkot śledzącej go bestii.

Walcząc z ogarniającą go w mroku klaustrofobią, przemierzał powoli labirynt pustych pokoi, gdzie w szparach drewnianych belek stropowych czaił się przytłaczający strach. Shavi starał się nie myśleć o tym, że jest tu zupełnie sam i że nikt z ulicy nie usłyszałby go, gdyby wzywał pomocy – starał się, owszem, ale nie na wiele się to zdawało.

Pod działaniem halucynogennych grzybów echo jego kroków zdawało się odbijać od ścian dzikim werblem, którego rwany rytm to zwalniał zniemacka, to przyspieszał. Nie dość, że niepokój wzbudzała sama nienaturalność tych odgłosów, to jeszcze, gdy czasem na krótko cichły, Shavi odnosił nieodparte wrażenie, że słyszy coś jeszcze, coś stłumionego, nie miał jednak czasu zatrzymać się na dłużej, by zbadać dogłębniej to dziwne zjawisko. Marsz przerwał tylko raz kiedy chciał się upewnić, że pamięta drogę powrotną. Tego tylko brakowało, żeby zgubił się w tej ciemnicy!

Robiło się coraz bardziej wilgotno. Wędrowiec mijał kolejne sypialnie i kuchnie, gdzie przed wiekami wielodzietne rodziny żyły w tłoku i niewyobrażalnym ubóstwie, jakby nie dość rzeczy wyprowadzało go już z równowagi, zauważył w pewnym momencie, że poza snopem światła rzucanego przez latarkę pojawiają się od czasu do czasu wirujące niczym świetliki iskielki. Uznał, że to jedynie złudzenie, ale nowe podejrzenia

wracały z natrętnością muchy. Nie spodziewał się, że miejsce to zrobi na nim aż tak wielkie wrażenie. Powietrze było tu ciężkie od nadmiaru krzywd, od nagromadzonego przez wieki zgorzknienia, co w każdej chwili groziło emocjonalnym wybuchem ze strony żądnych odwetu duchów.

Shavi starał się za wszelką cenę zachować spokój. Coraz lepiej rozumiejąc świat niewidzialnych istot, domyślał się, że gardzą one oznakami słabości do tego stopnia, że jeden nerwowy gest mógł kosztować go życie.

Powiódł latarką wkoło siebie. Okazało się, że stoi przy kominku, a pokój, w którym się znajduje, jest stosunkowo niewielki. Tynk na ścianach pękał i łuszczył się. Ot, kolejne zapuszczone pomieszczenie. Nagle snop światła zahaczył o coś nietypowego i mężczyzna skierował go w bok, żeby lepiej się temu czemuś przyjrzeć. Cały róg wypełnia osobliwa kolekcja: banknoty dolarowe, lalki, zdjęcia, misie, tamagotchi – wszystko to złożone w ofierze przez innych śmiałków. Niby nic takiego, ale atmosfera panująca przy ołtarzu, jeszcze bardziej upiorna i niesamowita niż gdzie indziej, powoli zaczynała dawać się Shaviemu we znaki. Oddychał coraz płycej. Ogarnęło go przemożne pragnienie ucieczki z podziemi, więc, żeby je zwalczyć, mocno ścisnął latarkę. Spróbował, koncentrując się na trzymanym w ręce narzędziu, oczyścić umysł z wszelkich myśli, ale jego wysiłki spełzły na niczym, mimo że przecież medytował od lat. Jego tętno stało się szybsze, od pulsowania w czole rozboleła głowa. W końcu jednak odnalazł w sobie to, czego szukał – zapas silnej woli. Wyłączył latarkę.

Pochłonęła go ciemność.

Poczuł, że nie może oddychać. Po minucie zupełnej ciszy zakręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że lada chwila

eksplodują mu płuca. Nareszcie! Ale długo wyczekiwany wdech zaskoczył go swoją chrapliwością – miał teraz ochotę wydrzeć sobie z gardła powietrze, byle tylko nie zdradził go aż tak głośny dźwięk. Przykucnąwszy ostrożnie, usiadł po turecku na podłodze. Ogromnym wysiłkiem woli udało mu się uspokoić na tyle, żeby pozostać w labiryncie.

Ze wszystkich stron otaczała go aksamitna czerń, równie dobrze mógłby unosić się w przestrzeni kosmicznej. Straciły znaczenie podstawowe pojęcia – nie było góry i dołu, tu i tam, tylko nieprzenikniona nicość i on w samym sercu tej mrocznej pustki. Stopniowo jednak, by zadośćuczynić czasowej utracie wzroku, inne zmysły wędrowca wyostrzyły się na tyle, aby mógł wychwycić to, co wcześniej mu umykało. Posadzka pod jego palcami była lodowata i zakurzona, a w powietrzu, poza nużącym zapachem wilgoci, unosiły się zwiewne, intrygujące wonie tytoniu, perfum i wyprawionej skóry – ulotne pamiątki po innych śmiałkach, jak stwierdził Shavi, nie pozwalając sobie na zwątpienie. Nasłuchiwał. Od ścian odbijały się w oddali ledwie słyszalne echa, których pochodzenie było mu niepokojąco trudno ustalić. Wytłumaczył sobie pospiesznie, że podobne odgłosy wydają w wyniku wahań temperatury mury każdego budynku.

Starał się uspokajać racjonalnymi wyjaśnieniami, ale dobrze wiedział, z czym tak naprawdę ma do czynienia, co poznaje przez słuch, węch i dotyk – na wpół uśpione ucieleśnienie ducha tego miejsca, coś więcej niż banalne połączenie cegieł i zaprawy. Była to rozumna istota o kościach z bólu, wnętrznościach z rozpacz i krwi z cierpienia, w której sercu wrzało jedno jedyne uczucie – nienawiść. Shavi był także świadomy czegoś jeszcze. Wystawiony był tu na jej łaskę i niełaskę.



Niemal pół godziny siedział w ciemnościach wsłuchany we własny oddech. Zaczynał już się zastanawiać, czy nie czeka na próżno, czy zjawy nie przyglądają się jego wewnętrznej walce z pogardą, nie mając najmniejszego zamiaru się objawić, gdy nagle na karku i opuszkach palców poczuł mrowienie. Wyczulone zmysły doniosły mu, że oto coś drgnęło, choć trudno było uchwycić tę subtelną zmianę. Z pewnością temperatura spadła o jeden lub dwa stopnie, a Shavi poczuł zniecenacka pod językiem smak kawy z mlekiem.

Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy wokoło, ale chwilę później szaman stwierdził, że coś za nim stoi. Rozsądek nakazał mu zerwać się i bronić – cudem tylko opanował ten odruch i siedział dalej nieruchomo. Był pewien, że to nie omamy: wyczuwał czyjąś obecność. Po chwili odniósł wrażenie, że tajemnicza istota wzniosła się nad ziemię, a potem zawisała nad nim, gotowa się na niego rzucić. Biła od niej jakaś przerażająca siła. Kimkolwiek, czymkolwiek była, milczała uparcie; Shavi czuł tylko na włosach muśnięcia odpychanego powietrza. Niczego tak nie pragnął jak obrócić się i poznać przeciwnika, ale, choć był bliski szaleństwa, nie dał się sprowokować. Wiedział, skądś wiedział, że w tej samej sekundzie, w której by skapitulował, straciłby życie.

Mimo wszechobecnego mroku, zamknął oczy i spróbował się skupić. Wiszący nad jego głową stwór czekał na najdrobniejszy pretekst do ataku. Szaman wyczuwał jego emocje dyktowane pierwotnym instynktem, ale nadal nie miał pojęcia, co bądź kto mu zagraża.

Myślał już, że nie wyjdzie z tej przygody cało, że nie zapanuje

nad sobą, poruszy się i zginie, kiedy obcy wycofał się płynnie niczym cień przegnany świtem. Wkrótce Shavi zyskał pewność, że jest na powrót sam. Z piersi wyrwało mu się westchnienie ulgi, zdawał sobie jednak sprawę, że to jeszcze nie koniec.

Tym razem jego cierpliwość nie została wystawiona na próbę w jednym z rogów pokoju załśniły w powietrzu białe drobiny. Z początku mężczyzna sądził, że to tylko wielobarwne iskierki, jakimi mamia oczy, gdy zbyt mocno ścisnie się powieki, ale po chwili wiedział już, że jest świadkiem niecodziennego zjawiska. Chmura błysków wirowała niczym kurz unoszony prądami w słońcu, choć bez jego bezładu, jakby była obdarzona własnym życiem. Powoli, niemal niezauważalnie, przybierała ludzki kształt. Serce Shaviego zaczęło bić jak szalone.

Kiedy kontury zjawy wypełniły się przejrzystym ciałem, szaman zorientował się, że stoi przed nim znana z legend dziewczynka. Miała dwa jasne warkoczyki i prostą w kroju sukienkę, rączki trzymała grzecznie założone za plecami, jej skóra emanowała wewnętrznym światłem, przez co okrągła blada twarzyczka przypominała księżyc w pełni. Shavi nigdy przedtem nie widział tak ciemnych i przejrzystych oczu. Rzecz jasna czuł się nieswojo patrząc na zmarłe dziecko, ale od jego widoku po stokroć gorsze było to, co z sobą przyniosło: rozpacz, duszącą swoją namacalnością rozpacz. Mężczyzna nie posmutniał tak po prostu – poczuł się tak, jakby ktoś ścisnął to uczucie w pięść, a potem nią go pobił.

— Witaj – powiedział tak spokojnie, jak tylko go był na to stać.

Dziewczynka nawet nie drgnęła. Im dłużej patrzył jej w oczy, tak nienaturalnie czarne, tym głębiej był przekonany, że mała nie ma nic wspólnego z człowiekiem – stał raczej twarzą w twarz z mrocznym demonem.

— Mam nadzieję, że mi pomożesz – odezwał się ponownie.

— Nie powinieneś waść się tu zapuszczać.

Słowa były niczym cios zadany lodowym odpryskiem. Nie zabrzmiało to przyjaźnie. Groźbę powtórzyło echo.

Wiedząc, jak ważna jest jego misja, Shavi starannie dobierał słowa: – Rozumiem twój ból, wiem, że uczyniono ci ogromną krzywdę, ale przyszedłem tu z prośbą o wsparcie, bez złych zamiarów. Tak jak niegdyś tobie, tak mnie teraz potrzebna jest pomocna dłoń. Czy odwrócisz się plecami od bliźniego, który cierpi?

Zapadła złowroga cisza. Błyszczące oczy zjawy wpatrywały się w niego zimno. Szamanowi się zdawało, że nawet serce w nim zamarło, czekając na odpowiedź. Nie wiedział, czy duch go ocenia, czy może ignoruje.

W końcu przemówił. Znów rozległo się echo.

— Waść jesteś zlepkiem chrząstek i kości. Ni grama mięsa na waszmości nie ma.

Ciarki przebiegały Shaviemu po plecach. Dziewczynka spojrzała gdzieś w bok, w ciemność.

— Słyszę matulę, jak nawołuje, a zawsze tak samo: „Wstań, wstań ptaszyno! Marie! Marie!”. – Szaman wzdrygnął się, bo głos zjawy przeszedł od szeptu do krzyku. – Lecz od wielu dni już nie jadłam i biedny mój brzusek boli! Noc coraz ciemniejsza, a matula znów woła! – Twarz ducha wykrzywiła furia. – A teraz nadchodzą rzeźnicy, każdy z tasakiem w dłoni, w uszach dźwięczy im kwik świń, twarze przewiązali brudnymi gałganami! – Dziewczynka spojrzała zniechęcona Shaviemu prosto w oczy, aż odruchowo cofnął się o krok. – Pewien jesteś waść, że pragniesz przed nami otworzyć swe serce?

W jej pytaniu kryła się aluzja, której nie potrafił zrozumieć,

nie mógł się jednak teraz w żaden sposób wycofać.

— Jestem pewny.

Znów zapadła trudna do ścierpienia cisza. Nagle dziewczynka przechyliła głowę, jakby jej uwagę przykuł jakiś dźwięk. Po kilku sekundach i Shavi coś usłyszał – brzmiało to jak szcęk łańcuchów. Hałasowi towarzyszył przeraźliwy odór krwi, od którego człowieka ogarniały mdłości.

Zjawa zerknęła na szamana.

— Są coraz bliżej. Bierz waść nogi za pas. Bierz waść nogi za pas! Zrobiła krok do tyłu, niespiesznie: jeden, drugi. Wkrótce żarzącą się postać wessał mrok.

Powietrze jeszcze bardziej nabrzmiało bólem i groźbą. Shavi zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech, a każdy mięsień jego ciała jest nienaturalnie napięty. Był sam, ale zaledwie ułamek sekundy później wyczuwał już ponownie czyjąś obecność. Nie wiedział, z kim ma do czynienia, twarze przybyłych kryła ciemność, ale intuicja podpowiadała mu, że gdyby jednak mógł spojrzeć im w oczy, zaraz niechybnie postradałby zmysły. Przełknął ślinę. Po chwili przerwy znów ryzykował życiem.

— Witajcie – powiedział.

— Śmierć depcze waści po piętach, a mrok peleryną spowija. W grobowym głosie istoty nie było ani grama ciepła czy człowieczeństwa. Shavi wzdrygnął się mimowolnie.

— Żywimy nienawiść wobec wszelkich przejawów życia – odezwał się drugi z przybyszów jeszcze bardziej nieprzyjaznym tonem.

— Jesteśmy tu uwięzieni w wiecznej nocy, opuszczeni wśród cieni, zapomniani przez niemal wszystkich. Prócz zemsty, nie mamy w co wierzyć na tym padole. Czekamy zatem. Pamiętliwi. Kipiący gniewem.

Shavi spróbował się skupić, zebrać się w sobie.

— Wasza historia jest mi znana. Byliście niewinnymi ofiarami.

— Gdzieś w oddali zaczęto coś rąbać. Złowieszczy dźwięk narastał stopniowo, a potem umilkł raptownie, pod koniec dziwnie zdeformowany. Wśród ścian labiryntu żyły nadal gorzkie wspomnienia.

— Moje słowa nie są w stanie ulżyć waszemu cierpieniu, ale znajdziecie u mnie szczere, gorące współczucie.

— I sądzisz waść, że to wystarczy?

Szaman znów nerwowo przełknął ślinę – z emocji zaschło mu w gardle.

— To wszystko, co mogę wam zaoferować. Modłę się też za was, aby jak najszybciej było wam dane opuścić ten czyściec i zaznać spokoju, na który tak zasługujecie.

Powietrze rozdarły mroźące krew w żyłach wrzaski. Serce podskoczyło Shaviemu do gardła, miał ochotę przycisnąć do uszu dłonie, byle tylko nie słyszeć tego przeraźliwego skowytu. Nie trwało to długo, po chwili zapadła niemal zupełna cisza, tylko nieistniejące łańcuchy pobrzękiwały w ciemnościach. Szaman miał wielką nadzieję, że ich właściciele podjęli już korzystną dla niego decyzję.

— Słyszysz nas waść. Waści zmysły nadzwyczaj czułe. Większość tych, co się tu kręcą, jeno dreszcz przechodzi, gdy się im objawić.

— Po co waść tu przyszedłeś? – warknęła druga zjawa.

— Po wiedzę. Trochę wiem, trochę przeczuwam, ale nie za dużo. Wy z mroku stuleci widzicie wszystko. Macie wielką moc. Kłaniam się więc przed wami nisko i błagam o pomoc.

Zapachniało palonym drewnem, a potem znów odrażająco krwią.



— Mów – rozkazało widmo.

— Dla ludzkości nadchodzą złe czasy...

— A cóż to nas obchodzi?

— Nie wszyscy jesteśmy tacy jak wasi oprawcy. Gdzieś w tym kraju żyją też jeszcze potomkowie waszych krewnych i przyjaciół. Nie zapominajcie, że...

— Nie praw nam kazań! – przerwano mu ostrym tonem.

Wyczuwalna w powietrzu wrogość przybrała na sile. Shavi wiedział, że jego rozmówcy tracą cierpliwość.

— W takim razie nie będę wysuwał nowych argumentów. Powiem tylko, że was potrzebujemy. Świat was potrzebuje. – Zjawy nie odpowiadały, postanowił więc mówić dalej, licząc na to, że może chociaż dźwięk jego głosu odsunie atak w czasie. – Powrócili starzy bogowie, już się ją zniszczenie, ale część z nich ma ambitniejsze plany. Planują sprowadzić na ziemię ucieleśnienie zła, Balora. – Duchy zaczęły coś szeptać między sobą. – Wszystko to jest już wam wiadome, prawda?

— Tak.

— Jeśli Balor powróci, oznaczać to będzie koniec tego świata. Przyjdzie za nim ciemność, która pochłonie całą ziemię. Musimy w jakiś sposób powstrzymać Fomorian, a ci swoją misję rozpoczęli właśnie tu, w tym mieście. Ale gdzie? I jak można popsuć im szyki? Są tacy potężni, a my tacy słabi. Musi jednak istnieć jakiś sposób. Póki żyjemy, nie zamierzamy się poddać. – Shavi przerwał, żeby uporządkować myśli. Cisnęły mu się do głowy setki pytań, ale wiedział dobrze, że nie może zadać ich wszystkich. Nawet jeśli zmarli mieli zechcieć przemówić, z pewnością rozzłościłoby ich nadużywanie ich życzliwości. W końcu wybrał tylko jedną sprawę, za to tę najważniejszą. – Zwracam się do was z jeszcze jedną prośbą. Straciliśmy

niedawno członka naszej drużyny, Ruth Gallagher, uczciwą kobietę o dobrym sercu. Zaginęła, być może już nie żyje, choć łudzimy się wciąż nadzieją. Byłbym niezmiernie wdzięczny za wszelkie informacje o jej losie.

Gdy kolejne jego słowa ginęły w mroku, wyczuł, że obaj przybysze podeszli bliżej. Zmysły podpowiadały mu, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby... Aby co? Wolał nie myśleć.

— Jest cena, którą trzeba zapłacić za wszystkie wieści zza grobu.

— Zapłacę.

— Nie chcesz waść wiedzieć wpierw, co to za cena? – Głos przepełniał poczucie dzikiego triumfu, a zarazem pogardy dla jego lekkomyślności. Shavi był świadomy grożącego niebezpieczeństwa, ale było już za późno, żeby się wycofać.

— Cena nie gra roli. Moim obowiązkiem jest zdobyć te informacje niezależnie od tego, czego za nie ode mnie zażądacie.

— Skoro tak...

Szamana przeszedł zimny dreszcz. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że podpisał pakt z diabłem, zgodził się na coś, czego miał jeszcze gorzko żałować, nie oszukiwał jednak zjawy, zgrywając się na bohatera – naprawdę nie miał innego wyboru. Wiedział, że czeka go być może wielka próba i że będzie musiał znaleźć w sobie dość sił, by wyjść z niej cało.

— Kobieta, o którą pytasz, żyje, lecz ledwo dycha. – Ten głos Shavi słyszał po raz pierwszy. Był dźwięczniejszy, zdawał się należeć do kogoś młodszego, inteligentniejszego od tamtych dwóch zjaw. – Jej przyszłość jest mroczna – ciągnął wróżbita – szanse na powrót do świata znikome.

Szaman nie wiedział, czy się smucić, czy cieszyć.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją uratować –

oświadczył. W ciemnościach rozległy się echa dziwnych, stłumionych odgłosów, jakby ktoś śmiał się drwiąco, przesłaniając usta dłonią.

Tym razem odezwała się kobieta.

— fešli pragniesz wać odnaleźć ścieżkę, co wiedzie pod tronem, szukaj kamienia z miejsca, które niosło ulgę ofiarom plagi.

Trudno było zrozumieć, co kryją słowa zagadki, ale też Shavi nie spodziewał się niczego innego. Dusze umarłych pomagały, jednocześnie dręcząc.

— Sama Studnia Ognia wam nie pomoże – dodała zjawa. Gniazdo robactwa leży głęboko w ziemi, a Cailleach Bheur mocą przewyższa nawet błękitny ogień.

— Więc co robić? – spytał.

Gdzieś na krańcach jego zdolności postrzegania zmarli naigrywali się z niego szeptem. Kiedy kobieta przemówiła ponownie, wydawała się być rozbawiona, ale w tonie jej głosu było też coś okrutnego: – Jak to co? Zwróćcie się do Dobrego Syna, spryciarze. Jenó on może wam teraz dopomóc.

Shavi miał nadzieję, że postać ta będzie znana Tomowi.

— Z całego serca dziękuję za wszystkie wskazówki. Nie powiedzieliście jeszcze tylko...

— Gdzie gniazdo – dokończył za niego młodzieniec. – Robactwo zaszyło się głęboko pod zamkową skalą. Znajdziesz wać tam i dziewczynę.

Szaman ucieszył się wprawdzie, że usłyszał odpowiedzi na wszystkie zadane pytania, ale nadal był spięty, nie mając pewności, czy zmarli nie bawią się tylko jego kosztem. Zdradziwszy mu swoje sekrety, w każdej chwili mogli odebrać mu życie.

— Byliście bardzo dla mnie łaskawi – zaczął niepewnie. Wziął głęboki wdech i wykrztusił to z siebie. – lestem gotowy zapłacić wyznaczoną cenę.

— Dług nam już spłacasz. Dość tego gadania. Wynoś się waść, nim życie ci z piersi wydrzemy.

Shavi uktonił się i odszedł w kierunku wyjścia tak szybko, jak to było możliwe, bez puszczenia się biegiem. Przez kilka minut zdawało mu się, że zawistne zjawy, nie potrafiąc dłużej nad sobą panować, ruszyły w ślad za nim, bo tuż za plecami czuł ich namacalną nienawiść. W końcu zdesperowany włączył latarkę i najwyraźniej to było powodem, dla którego duchy odstąpiły od pogoni – nie śmiały widocznie przekroczyć granicy ciemności. Mężczyzna uspokoił się jednak dopiero po wyjściu na opustoszałą ulicę, gdzie z ulgą odetchnął kojącym nocnym powietrzem. Zimny pot zalewał go od stóp do głów. Chociaż wiele przeżył w ciągu ostatnich kilku tygodni, nic nie wstrząsnęło nim tak bardzo, jak to, czego doświadczył pod ziemią. Nawet nie przypuszczał, że można się tak bać.

Cóż, jakby nie było, wyszedł z próby zwycięsko. Myśl o tym osiągnięciu dodawała Shaviemu sił. Na dłuższe rozważania nie miał teraz czasu – rozsądek nakazywał nie przebywać w obrębie Starówki dłużej niż to było naprawdę konieczne. Poza tym w hotelu czekali zniecierpliwieni przyjaciele, którym chciał jak najszybciej powtórzyć wskazówki zmarłych, a przede wszystkim przekazać, że zaginiona Ruth żyje.

Ruszając żwawym krokiem w stronę świateł Nowego Miasta, nie zauważył ciemnego kształtu, który oderwał się od zalegających zaułek cieni. Siedząca go istota zdawała się być zbudowana z lśniącej mgły. Gdyby Shavi zdecydował się wówczas zerknąć za siebie – być może kierowany ciekawością,

co też za cenę wyznaczyły duchy w okamgnieniu rozpoznały ich wysłannika. Był to nikt inny, jak jego przyjaciel i kochanek, którego dwa lata wcześniej zamordowano na jego oczach w Londynie.



Poszczególne piosenki zlały się w uszach Laury w jedno, wyczuwała tylko ich wyraźny transowy rytm, który przenikał jej mózg, mieszając się z zażytą ecstazy. Rzeczywistość oddaliła się niesiona falami dźwięku. Dziewczynę otoczyły pulsujące światła – zdawało jej się, że słyszy ich melodię, że widzi wszechobecny hałas. Tańczyła zlaną potem w tłumie sobie podobnych, już nie jako jednostka, lecz jedna z komórek drgającej bestii.

Will i Andy zaprowadzili ją do starego magazynu na wschodnim skraju Starego Miasta. Z zewnątrz budynek wyglądał na nieużywany od lat, ale w środku krył setki wymyślnych reflektorów i kolumny głośników wysokie na dwa piętra. Specjalne maszyny wytwarzały dym oraz, od czasu do czasu, widowiskową pianę. Naraz mogło się tu bawić pewnie i z tysiąc osób.

Dwaj Szkoci także zażyli po kapsułce i wchodząc do dyskoteki coraz silniej odczuwali działanie narkotyku. Will szepnął Laurze na ucho: – Po tym towarze zawsze robię się napalony. Co powiesz na mały numer w toalecie?

Nie kłamał. I ona czuła się już dziwnie rozgrzana, a całe jej ciało przechodziły rozkosznie łaskoczące dreszcze. Na myśl o propozycji chłopaka szybko zwilgotniała. Nie byłby to jej pierwszy raz, nigdy nie prowadziła się zbyt dobrze. Seks w

przypadkowych miejscach, na haju, z nieznanym, traktowała jako element klubowej zabawy. Tak jak narkotyki, miał za zadanie sprawić jej przyjemność, nic więcej, a przynajmniej tak to sobie zawsze tłumaczyła. Była już gotowa przystać na propozycję Willa, kiedy coś głęboko w niej samej stawilo bierny opór. Chociaż głosik w tyle głowy szeptał, że powinna ukarać w ten sposób Churcha, nie potrafiła się do tego zmusić. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Im dłużej zastanawiała się nad źródłami swojej postawy, tym bardziej czuła się nieswojo.

Efekt tego był taki, że chwyciła Willa za prawą rękę i podniosła ją na wysokość jego oczu.

— Chyba raczej to z tego dziś skorzystasz, kolego – powiedziała. Uśmiechnęła się jeszcze nieszczercze i odeszła szybko, chcąc napić się wody.



Nie dotarła do baru. Po drodze dała się wciągnąć w tłum na parkiecie i niemal natychmiast zatraciła się bez reszty w muzyce. Dobrze było choć na moment uciec w zupełną pustkę. Niestety działanie ecstasy nie było równomierne i gdy na chwilę nieco osłabło, do przytłumionej świadomości dziewczyny przebiło się kilka myśli. Zirykowało ją to bardzo, zwłaszcza, że większość z nich dotyczyła Churcha. Nie miała zamiaru tak prędko dać sprowadzić się na ziemię. Zezłoszczona, rozejrzała się, żeby skupić uwagę na czymś innym, ale tylko wyrwało ją to z rytmu. Postanowiła zrobić sobie przerwę. Zszedłszy z parkietu, oparła się o filar, czekając z hardo założonymi rękami na nową falę upojenia. Próbował ją zagadnąć jakiś przystojniak o denerwująco

zrelaksowanej twarzy, ale przez hałas nie przebiło się ani jedno jego słowo. Laura odgoniła go gniewnym gestem. Wszystko działało jej teraz na nerwy.

Uspokoila się dopiero po kilku minutach, kiedy działanie narkotyku weszło w nową, intensywniejszą fazę. Pierwsze jej symptomy przyjęła z prawdziwą ulgą. Uśmiechnęła się zaskoczona tym, że tak nagle wrócił jej dobry humor. Także bliskość innych klubowiczów dodawała jej teraz otuchy – wszyscy, tak jak ona, doskonale się bawili. Przyglądała się ciepło podrygującym wkoło głowom, a potem jej uwagę przykuły migające światła. Jeszcze niedawno raziło ją to bezładne pulsowanie, teraz zdawało się jednak idealnie współgrać z muzyką. Czerwień i zieleń, błękit i fiolet. Biel. Znowu czerwień. I stroboskopy. Sens życia zaklęty w sekwencji kolorów. Laura wzniosła oczy ku górze, pogrążając się w błogostanie. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach i niewątpliwie pasowało do cudownego nastroju: strop hali iskrzył się tysiącami lampek niczym pogodne, letnie, rozgwieżdżone niebo. Gdy jakiś błysk wystrzelił w strop, wirując po spirali, dziewczyna nie potrafiła powstrzymać westchnienia zachwytu.

— Zadziwiające – wymamrotała z nabożeństwem.

Poczuła przemożną chęć, by opowiedzieć o tym swoim nowym znajomym, teraz, zaraz. Gdzież oni się podziali? Na myśl, że nie zdoła odnaleźć ich w tłumie, ogarnęła ją panika. Zaczęła rozpychać się łokciami, wyciągając szyję ponad morzem głów. Po kilku minutach gorączkowych poszukiwań, nieopodal wyjścia wypatrzyła Andy'ego. Przed chłopakiem na blacie stała szklanka wody, a między jego palcami dogasał papieros.

— Musisz to zobaczyć! – zawołała podekscytowana. Nie zareagował, nawet nie spojrział w jej stronę. Pewnie mnie nie

słyszcy w tym hałasie, pomyślała Laura, i zamiast krzyczeć, wesoło do niego pomachała. Bez powodzenia.

Narkotyk dał o sobie znać kolejną falą oszołomienia. Rozproszona, chciała już odejść na parkiet, do muzyki i świateł, ale w ostatniej chwili coś w młodym Szkocie przykuło jej uwagę. Siedział w ciemnym kącie, ale kiedy już padał na niego jakiś zbłąkany promień, jego loki i bródka iskrzyły się w ten sam sposób co bajkowo rozgwieżdżony sufit magazynu.

— Zadziwiające – powtórzyła Laura rozanielonym szeptem.

Coś jednak nie dawało jej spokoju, niczym myśl o pozostawionym w domu włączonym żelazku, która jeszcze nie przebiła się do świadomości. Na razie dziewczyna wiedziała tylko, że coś tu się nie zgadza. Kiedy Andy zdążył nałożyć sobie ten brokat na włosy? A może wydawało jej się tylko, że tak nieziemsko błyszczą? Przyjrzała się chłopakowi uważniej, żeby odróżnić majaki od rzeczywistości. Jego skóra także delikatnie połyskiwała. Owszem, sporo dziewcząt stosowało różne środki, które w migających światłach dyskoteki miały dawać ciekawy efekt, ale to tu nie wyglądało na żaden znany Laurze rodzaj makijażu, była też przekonana, że to nie halucynacje. A może jednak? Zirytował ją ten brak kontroli nad własnymi zmysłami. Narkotyk natychmiast podchwycił ten nowy nastrój i poczuła, że robi się coraz bardziej agresywna.

Ostrożnie, przemknęło jej przez głowę, nie chcesz chyba dostać ataku furii na haju.

Spróbowała się skupić. Intensywny wysiłek umysłowy nieco ją ocucił.

Jego szklanka.

To było to. Wskazówka do odkrycia prawdy, która dobijała się już nachalnie do drzwi.



W szklance była woda, pełno wody, tak dużo, że płyn... wystawał ponad jej krawędź. Nie wylewał się, jakby czas się zatrzymał.

I już wiedziała. Strach chwycił Laurę za gardło. Gdyby tylko pila i nie brała narkotyków! Zorientowałyby się wcześniej. Ba, wcale by tu nie przyszła. Na Starówkę. Pamiętałyby, czym to grozi.

Woda w szklance Szkota zamieniła się w lód.



Dziewczyna cofnęła się o krok, próbując nie wpadać w panikę. Serce waliło jej jak młot. Miała trudności z zaczerpnięciem powietrza.

Andy wpatrywał się tępo w tańczących. Nie rozglądał się, nie mrugał, nie oblizywał warg. Żadna część jego ciała nie poruszała się ani o milimetr.

Zamarzł, uświadomiła sobie Laura.

Ściana za trupem także połyskiwała. Iskrząca się powłoka zdawała się rozpełzać wokół wyjścia. Podstępnie, niezauważalnie pokrywała wszystkie sprzęty.

Biedny Andy, pomyślała dziewczyna, znów nieco oszołomiona. Ale zaraz potem działanie narkotyku zelżało i przeraziła się nie na żarty. Boże! On nie żyje!

Dopiero teraz dotarło do niej, że w hali się ochłodziło. Temperatura powietrza zdawała się spadać na łeb na szyję.

Jest coraz bliżej! Laura wiedziała, że nie ma chwili do stracenia. Rzuciła się w kierunku wyjścia, ale bijący stamtąd chłód był nie do wytrzymania, parzył dotkliwie skórę. W

porównaniu z nim europejska zima a nawet arktyczne mrozy były niczym. Dziewczynie przyszło na myśl, że tak właśnie musi być w przestrzeni kosmicznej. Tymczasem drzwi do klubu pokryła gruba warstwa szronu, a deski podłogi zaczęły trzeszczeć i pojawiły się w nich pierwsze szpary. Trzęsąc się jak osika, Laura wycofywała się na wpół sparaliżowana strachem. Szpary połączyły się i posadzka przy wyjściu zapadła się z głuchym łoskotem.

Na progu, obramowana framugą drzwi, stanęła Cailleach Bheur we własnej osobie. Dyskotekowe światła zalały jej postać czerwienią, zielenią, fioletem, a potem błękitem. Wyglądało to jak wyreżyserowana scena z szalonego teledysku. Laure zamurowało. Z początku nie była pewna, co właściwie widzi – ciemny kształt przybierał różnorakie formy, intensywnie przy tym migocząc, tak że trudno było na nim skupić wzrok. W końcu umysł dziewczyny podjął ostateczną decyzję i jej oczom ukazała się przygarbiona starucha w łachmanach, z burzą włosów dziką niczym serce tundry. Podmuchy wiatru targające jej spódnicą i grzywą zdawały brać się znikąd i tylko otaczać jej postać. Kobieta wspierała się na wyższym od siebie sękatym kosturze. Biła od niej dziwna, niebieskawa poświata, widoczna wyraźnie mimo klubowych stroboskopów, a w jej obrębie wirowały setki płatków śniegu, które nigdy nie opadały na posadzkę.

Wiedźma poruszała się płynnie niczym zjawa, jakby jej stopy nie dotykały ziemi. Powoli powiodła wzrokiem po wszystkich zgromadzonych w hali. W jej oczach Laura nie dopatrzyła się niczego ludzkiego, była w nich jedynie zakłeta pustka pól lodowych i głębin mórz zmrożonych aż po samo dno. Widok ten, wzmocniony działaniem narkotyku, wzbudził w dziewczynie tak pierwotny, zwierzęcy strach, że uczucie to wymiotło z jej umysłu

wszelkie napotkane myśli. Odwróciła się i rzuciła przed siebie na oślep, torując sobie drogę brutalnymi kuksańcami, przewracając bezpardonowo mijanych ludzi, głucha na przekleństwa i okrzyki protestu.

Kiedy doszła nieco do siebie, okazało się, że siedzi skulona pod stołem na zalanej piwem podłodze w drugim końcu klubu. Co jakiś czas panika znów dawała znać o sobie, tym razem jednak Laura nie Poddawała jej się tak łatwo. Postanowiła nie zapominać, że ecstazy wzmacnia jej odczucia i że może tak się dziać jeszcze parę godzin. Pluła sobie w brodę, że tak lekkomyślnie się naćpała, ale teraz nie pozostawało jej nic innego, jak czekać, aż jazda się skończy.

Mimo że światła nadal pulsowały, a muzyka zagłuszała inne dźwięki, dziewczyna wyczuła, że podłoga drga jakoś inaczej, i wystawiła głowę ponad blat stołu. Tak, tańczący nie podskakiwali już rytmicznie. Zorientowawszy się, że grozi im niebezpieczeństwo, zaczęli w panice szukać wyjścia. Ludzie przepychali się, deptali leżących. Ich krzyki zlewały się z dźwiękami techno, tworząc przerażający remix z piekła rodem. Laura przewróciła stół, żeby mieć przed sobą namiastkę barykady i rozpaczliwie próbowała się skoncentrować. Jak się stąd wydostać? Jak się stąd wydostać? Wyjście awaryjne. Musiało tu gdzieś być. A przynajmniej musiałyby być, jeśli klub działałby legalnie. Co, jeśli jedynymi drzwiami były te za plecami Cailleach Bheur?

Na samą myśl o tym ogarnęła ją przemożna potrzeba rzucenia się do ucieczki, brała jednak narkotyki dostatecznie długo, żeby wiedzieć, jak się wyciszyć. Oddychając głęboko, skupiła wzrok na jednym z reflektorów. Podziałało. Nieco uspokojona, po raz drugi wyjrzała zza stołu, chcąc wytyczyć możliwą drogę odwrotu.

To, co zobaczyła, napawało grozą. Ściany, podłogę i sufit magazynu pokrywał lśniący lód, w którym odbijały się cudownie dyskotekowe światła. Wyglądało to jak wyrefinowany pokaz w lodowym pałacu, a wrażenia potęgowała zażyta ekstazy. Można by było bez końca zachwycać się tym bajkowym spektaklem, gdyby nie zaścielające parkiet zamarznięte ciała. Twarze ofiar zastygły w grymasie strachu, palce zakrzywiły się jak szpony, nogi znieruchomiały tak szybko, że nadal były ugięte. Laurze przypomniały się potworne zdjęcia z pól bitewnych pierwszej wojny światowej, które pokazywano kiedyś w szkole na lekcji historii.

Wśród stosów zwłok sunęła miękko ciemnolica Cailleach Bheur. Chłód bił od niej potężnymi falami, których krańce materializowały się w postaci chwytnych macek. Niczym węszące bestie, lodowate odnóża szukały wytrwale miejsc nietkniętych jeszcze mrozem. W pewnym momencie w głośnikach coś zabzyczało, w paru miejscach z kabli posypały się iskry i ogłuszająca muzyka umilkła jak nożem uciął, jeszcze tylko kilka sekund rozlegał się pisk sprzężenia. Dopiero teraz można było usłyszeć przeraźliwe krzyki pozostałych przy życiu klubowiczów stłoczonych w jednym rogu hali. Dziewczyna zakryła uszy, ale na nic się to nie zdało.

Jedna z macek więdźmy, wijąc się jak wąż, podpełzta do stóp jednego z tańczących. Laura nie potrafiła zmusić się do oderwania od niej wzroku. Miody mężczyzna nie miał dokąd uciec, więc usiłował bezradnie kopnąć odnóże. To, co stało się później, było odrażające i fascynujące zarazem. Wyglądało to tak, jakby nogę chłopaka spowiała aż po udo iskrząca się mgielka, która następnie przywarła do jego ciała i zaczęła powoli rozprzestrzeniać się ku górze. Mężczyzna zawył. Chciał zedrzeć z

siebie lodowy pancerz, ale gdy tylko go dotknął, palce jego dłoni zrobiły się błękitne, a potem pokryły szronem. Kilka sekund później nieszczęśnik padł z łoskotem na ziemię, mieniając się w świetle niczym makabryczna lodowa rzeźba.

Laura była przekonana, że ze strachu powoli traci rozum. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z opresji. W irracjonalnym odruchu wyskoczyła zza stołu i rzuciła się biegiem w stronę męskiej toalety. Cailleach Bheur wypuściła za nią jeden ze swych lodowych jęzorów, ale dziewczyna była szybsza i jęzor trafił w zamykające się za nią drzwi. Biczowane mrozem drewno zaskrzypiało znajomo, jednak deski nie pękły. Laura odetchnęła z ulgą. Najprawdopodobniej stwór zrezygnował z pogoni, skupiając całą swoją uwagę na ludziach w rogu sali.

Przez chwilę miotała się po niewielkim pomieszczeniu, gorączkowo wyważając kopniakiem drzwi każdej z kabin. W jednej z nich wysoko w murze ciemniało okienko, małe, ale dostatecznie duże, by się przez nie przecisnąć. Otwierała je tak podeksycytowana, że nawet nie poczuła bólu, kiedy w pośpiechu skaleczyła się w rękę i pokazała się krew.

Za szybą były kraty. Na ich widok dziewczyna wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Ty kretynko! – wydarła się przez łyzy. – Popatrz, w co się wpakowałaś! Debilka! Zawsze wszystko spartolisz!

Zza ściany dochodziły przytłumione wrzaski, od których ciarki przebiegały po plecach. Słabły stopniowo, aż w końcu zapadła cisza, po stokroć od owych krzyków gorsza. Laura osunęła się bezwolnie na podłogę w kącie koło kabiny i oplótłszy kolana rękami, zaczęła się rytmicznie kołysać. Pojękiwała przy tym cicho, niczym skrzywdzone dziecko. Wiedziała, że brzmi to żałośnie, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Cisza nie trwała długo. Uszu dziewczyny dobiegi złowrogi odgłos pękającego od mrozu parkietu i skrzypienie formującego się lodu. Hałas narastał, Cailleach Bheur zbliżała się do drzwi. Laura z całych sił przycisnęła plecy do muru, jakby liczyła na to, że ten wysłucha jej modlitw i albo ją pochłonie albo po prostu zniknie. Policzki paliły ją od łez, mokry podkoszulek lepił się do ciała. W desperacji zaczęła przyrzekać Bogu najróżniejsze rzeczy: że przestanie ćpać, że odtąd już zawsze będzie rozsądna – byle tylko jakoś uratował jej życie, jakimś cudem odwrócił uwagę więdźmy. I wtedy zauważyła coś tak szokującego, że zdołało przebić się przez jej histerię. Kapiąca wciąż z jej palca krew miała dziwny kolor... Zielony. Zielona była też plama na jej spodniach. Była pewna, że to nie halucynacje, a toaletę oświetlała najzwyczajniejsza biała żarówka. Pozostawał jeszcze jeden test. Koniuszkiem języka ostrożnie polizowała ranę, ale szmaragdowy płyn także smak miał nie taki jak powinien. Odniosła wrażenie, jakby dopiero co przeżuła sałatę.

— Jezu Chryste, co tu jest grane? – krzyknęła. Czyżby już zupełnie postradała zmysły? Tymczasem drzwi ubikacji zaczęły trzeszczeć. Oddech dziewczyny zrobił się widoczny, a temperatura powietrza gwałtownie spadała.

W tym samym momencie działanie ekstazy znów osłabło i Laura na powrót była w stanie podejmować błyskawiczne decyzje. Pierwszą z nich było to, że nie chce umrzeć na podłodze kibla jak narkomanka z kroniki policyjnej. Wskoczywszy na muszlę w kabinie z oknem, chwyciła mocno za kraty, z nadzieją, że może tylko wyglądają na solidne i dadzą się wyważyć, jej ciałem targały dreszcze. Drzwi trzeszczały coraz głośniejsze. Zgasło światło.

— No, puszczaj! – syknęła, ale pręty stawiały opór. Nagle

zaskoczyło ją kolejne dziwne zjawisko. Tam, gdzie zielona krew skapnęła na żelazo, coś się działo. W mroku nie widziała szczegółów. Zdawało jej się, że coś tam się rusza, coś żywego. Ważniejsze było to, że kraty jęknęły, a kilka sekund później odpadły od muru.

Nie było czasu zastanawiać się nad tym, jak to się stało. Drzwi toalety ustąpiły wreszcie pod naporem macek. Powiało chłodem. Laura podciągnęła się z wysiłkiem i wypadła w ciemność. Znalazła się w zaśmieconym zaułku, śmierdziało tu moczem. Ramię, którym uderzyła o ziemię, bardzo bolało. Mniejsza o to, trzeba uciekać, pomyślała. Podniosła się niezdarnie i ruszyła pędem przed siebie. Zdążyła przebiec zaledwie kilka metrów, gdy w ślad za nią z okienka wystrzelił kłęb śniegu.

Ale była już bezpieczna.

Poczuła tak wielką ulgę, że znowu się rozplakała. Kręciło jej się w głowie. Wkrótce dotarła do ruchliwej ulicy. Wiedziała, że musi poczekać, aż narkotyk przestanie działać, żeby móc choćby spróbować przeanalizować to, co się jej przydarzyło, pozwoliła sobie jednak zerknąć na zielone plamy na swoich dłoniach. Wzdrygnęła się, lecz tym razem nie z zimna.

## ROZDZIAŁ 5

### OSTRZEŻENIE PRZED BURZĄ

Nawet nie przypuszczała, że potrafi znieść tyle bólu. Był tylko on i mrok. Ból i ciemność. Ile to już trwało? Tydzień? Miesiąc? Nie potrafiła się skupić, odpływała w niebyt. Każdy centymetr jej ciała cierpiał. Przynajmniej ten potworny ból w dłoni wreszcie zelżał. Trochę. Nie śmiała myśleć o tym, jak też w takich warunkach ma się zagoić tak głęboka rana. W celi panował brud nie do opisania.

Odkąd porwano ją z hotelu w Callander, Ruth spędziła tyle godzin płacząc z bólu i bezsilności, że chyba zużyła już cały zapas łez. Przy życiu trzymała ją wyłącznie nadzieja: że uda jej się uciec, że inni ją odnajdą. Nie dbała o to, co podpowiadał jej rozsądek, tępiła wszelkie natrętne myśli. Bądź silna, powtarzała sobie. Zobaczysz, że wytrzymasz.

Być może jeszcze lepiej znosiłaby ból, gdyby wiedziała, dlaczego jest przetrzymywana, na przykład, gdyby ją przesłuchiwno. Tymczasem Fomorianie zdawali się więzić ją tylko po to, aby testować na niej wyposażenie swojej izby tortur. Z pewnością nie dążyli do tego, by ją poważnie okaleczyć – zawsze przerywali, kiedy traciła przytomność – bała się jednak, że prędzej czy później znudzi im się ta zabawa.

Ostrożnie zmieniała pozycję. Czuła się jak stara kobieta – poraniona, musiała uważać na każdy swój ruch. Brudna słoma



drapała boleśnie jej odsłonięte nogi. Wykutą w skale celę znała już na pamięć. Jej skromne rozmiary nie pozwalały Ruth choćby położyć się na wznak. Było tu bardzo duszno, pachniało stęchlą wilgocią, a nieheblowane drzwi, mimo wielu prób, nie dawały się wyważyć.

„Nie trać nadziei”, powtarzała to jak mantrę. Tymi słowami odganiała rozpacz.

Nie pamiętała nic ze swego porwania ani kto to zrobił, ani jak mu się to udało. Nie wiedziała, gdzie ją potem przewieziono. Pierwszym wspomnieniem z niewoli byto odkrycie, że ucięto jej palec. Ruth podejrzewała, że to w wyniku szoku zapomniała o wszystkim, co przytrafiło jej się wcześniej.

Gdzieś w oddali rozległo się posępne bicie dzwonu. Wkrótce mieli znowu po nią przyjść. Na myśl o tym Izy napłynęły jej do oczu, ale szybko wytarła je wierzchem dłoni. Nie miała zamiaru dać się złamać. Wiedziała, że jest silna i że wyjdzie z tego cało.

Nie trać nadziei, pomyślała, nie trać nadziei.



Już po wszystkim. Ból był jeszcze świeży w jej głowie i kończynach, ale tu, w celi, mogła przynajmniej rozkoszować się chłodem mroku. Ciemność spowijała ją miękko ze wszystkich stron, pozwalała niepodzielnie królować myślom. Mogłaby tak spędzić resztę życia. Syciła się ciszą, wiedząc, że nie potrwa długo. Miała rację – i tym razem przerwał ją znajomy już głos. Przypominał jej odgłos, jaki mogłaby wydawać ząbkowana piła przeciągana po okiennej szybie.

— Czy światełko nadal płonie?

— Płonie – odpowiedziała. – Słabo, ale ważne, że jest. Jesteś dobrym nauczycielem. – Zawahała się. – Nazwałam cię nauczycielem, ale nadal nie wiem, jak określić to, kim dla mnie jesteś. Nauczycielem? Doradcą? Powiernikiem?

Chciała dodać „mistrzem”, ale się powstrzymała. Coś w głębi jej serca bało się tego słowa.

— Wszystkim tym – odparł jej rozmówca – a i kimś więcej. Powierzono cię mojej opiece.

Ton jego głosu kazał jej się domyślać, że niewidoczny uśmiecha się właśnie tajemniczo – jeśli rzecz jasna mógł się uśmiechać, bo nie wiedziała przecież, czym jest. Ale chociaż pomagał jej i wspierał ją, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gardzi jej bezsilnością.

— Kim jesteś? – spytała po raz setny.

— Tym, kim chcesz, żebym był – odpowiedział, jak to miał w zwyczaju. Była to już tradycja, że tak się przekomarzali.

Co nie zmieniało faktu, że nadal nie znała odpowiedzi na to pytanie. Napawało ją to niepokojem. We wszystkich tekstach, jakie kiedykolwiek czytała na ten temat, twierdzono, że pomocnicy czarownic przybierający kształt ptaków bądź kotów to demony lub chochliki na usługach diabła. Była teraz świadoma, że to wynik chrześcijańskiej propagandy, ale i tak nie potrafiła odgonić irracjonalnego lęku. Zdecydowała, że nie może mu do końca zaufać, bez względu na to, czym tak naprawdę jest.

— Chyba wolałam cię jako sowę – powiedziała nauczycielowi. Kiedy w ciemnym lesie pod Bristolem ofiarowano jej ptaka–opiekuna, nie zdawała sobie sprawy, co to za sobą pociąga ani jakież to plany ma wobec niej bogini o trzech wcieleniach. Przyzwyczaiała się jednak do myśli, że została wybrana, choć nie

podchodziła do tego z entuzjazmem. Zalety bycia czarownicą poznała dopiero dzięki spotkaniu z kobietą z Krainy jezior. Czy istniała też druga strona medalu? Bała się. O tylu jeszcze rzeczach nie miała pojęcia, tylu reperkusji swojej przemiany nie zaczęła nawet zauważać. Przerazało ją, że przyszłość może skrywać jakąś potworną tajemnicę, a kiedy cała prawda wyjdzie na jaw, będzie już za późno na odwrót.

— O czym będzie dzisiejsza lekcja? – spytała z wahaniem.

Głos odkrywał przed nią mroczne sekrety, opowiadał, jakie reguły rządzą tym nowym światem, wprowadzał w tajniki wykorzystywania bogactw natury. Poznając te fakty Ruth czuła się nieswojo, ponieważ odnosiła wrażenie, że przekazywana jej wiedza to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Nic nie było pewne, na każdym kroku czaiły się tajemnice. Ale i ona sama wiedziała coraz więcej. W ciemnościach celi uczyła się, jak zażywać lulek czarny, aby móc komunikować się z duchami i łatwiej przepowiadać przyszłość, jak z białych lilii wodnych i bielunia sporządzić maść do duchowej lewitacji, jak stać się niewidzialną dzięki działaniu ciemiernika, czy też jak uwarzyć napar miłosny na barwinku. Głos przybliżał jej gatunki roślin pomocne w medycynie i takie, którymi można się było bronić. Dowiedziała się także, że u podstaw całej magii leży wyzwalenie energii seksualnej, co jest ściśle powiązane z energią błękitnego ognia jednoczącego ducha całego świata. Niezwykle było to, że pojmowała to wszystko w lot, a każde słowo sowy zapadało jej głęboko w pamięć.



Mijały godziny. Tym razem słuchała o wywoływaniu burz i porozumiewaniu się ze zwierzętami. Wykład był krótki, ale rozbudził apetyt na więcej. Tyle było jeszcze przed nią nauki!

— I to wszystko, o czym mówisz, sprawdza się w praktyce? spytała.

— jeśli powtórzyć wszystko starannie i z dostatecznie dużą pewnością siebie.

— Tyle twojej pracy pójdzie na marne, jeśli stąd nie wyjdę...

Niewidzialny doradca puścił tę uwagę mimo uszu.

— Tajemna wiedza, którą ci przekazuję, służy do tego, by ją stosować. Nie przyda się na nic jedynie wtedy, jeśli do niej nie sięgniesz. Czy rozumiesz kryjące się w mojej nauce przesłanie?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Nie, nie rozumiem.

— Posłuchaj więc uważnie. Rzeczywistość nie istnieje. Wszystko wokół ma taki kształt, jaki ty wyznacysz. Twoja wola ma nieograniczoną moc. Jeśli nauczysz się z tego korzystać...

— Ależ ja nic nie umiem – przerwała mu jękliwie, ale zaraz opanowała się i zamyśliła. – Jeśli mam ci wierzyć... Cóż, zawsze jest nadzieja. W każdym razie, wszystko zależy ode mnie. To właśnie pragniesz mi przekazać.

Z mroku przyznał jej rację: — Zawsze jest nadzieja.



Ostatnie trzy godziny Church spędził krążąc nerwowo po hotelowym pokoju, zatrzymując się tylko co jakiś czas przy oknie. Stanął tam i teraz. Na wschodzie pierwsze promienie słońca barwiły już niebo na różowo.

— Martwisz się o nią – stwierdził Shavi.

— Umie o siebie zadbać. – Nie zabrzmiało to tak, jak chciał. Wiedział, że Laura jest dość silna i sprytna, by poradzić sobie niemal w każdej sytuacji, ale obawiał się jej skłonności do autodestrukcji, tego mrocznego demona, którego nosiła w sercu. Bał się, że po ich kłótni to właśnie ta strona jej natury weźmie górę i nakaze ukarać dziewczynie zarówno jego, jak i ją samą.

Przeniósł wzrok na Shaviego. Szaman nadal był blady, choć wyszedł z Mary King's Close niemal godzinę temu. Przed chwilą przekazał kompanom wszystkie zdobyte w podziemiach informacje, ale nie zdradził szczegółów, uznając, że mrożące krew w żyłach opowieści tylko nadmiernie obciążąby psychikę towarzyszy. Wiele przeszedł, czekała go jeszcze tajemnicza spleta długu, ale nikt inny nie musiał o tym wiedzieć. Church podejrzewał, że Shavi zataił przed nimi część swoich przeżyć i szczerze podziwiał go za hart ducha i dyskrecję. Cieszył się, że przyszło mu mieć w drużynie takich ludzi. Wszystko się waliło, ale na nich mógł liczyć. Mijając szamana, poczuł przemożną potrzebę poklepania go po ramieniu. Sam siebie zaskoczył tym ciepłym gestem.

— Mniejsza o te wszystkie zagadki umarłaków – powiedział Veitch, uśmiechając się szeroko. – Ruth żyje, jest niedaleko, i to jest najważniejsze. Zgodzicie się chyba, że to wspaniała nowina? – Rozejrzał się po pokoju i, widząc grobowe miny kolegów, wykrzyknął poirytowany: – Co z wami, do cholery?

— Zjawy nie kryiy, że jej sytuacja jest tragiczna – odezwał się Shavi. – Nie powinniśmy łudzić się nadzieją.

— A czemu mamy im wierzyć? – przerwał mu Veitch. – Stoją tacy w cieniu i bredzą od rzeczy.

— To Fomorianie ją więżą, Ryan – przypomniał mu Church.

Obydwaj chyba dobrze wiemy, jak jest w ich lochach.

Osilek spochmurniał.

Shavi przeczesał palcami swoje długie włosy.

— Czego mogą od niej chcieć? Odniosłem wrażenie, że odkąd nie przekonaliśmy do siebie Tuatha Dé Danann, mają nas za śmiecie.

Tom machnął ręką.

— Mamy na głowie ważniejsze rzeczy.

Veitch chciał już się na niego rzucić, ale w porę powstrzymał go Church. Oczy mężczyzny ciskały błyskawice. Zawsze łatwo go było rozeźlić.

— Ty draniu! – wrzasnął. – Tu chodzi o jedną z nas!

— Ale w naszej misji nie chodzi tylko o nasze dobro – odparł sucho Tom. – Żadne z nas nie jest kimś nie do zastąpienia. – Bił od niego taki emocjonalny chłód, że człowieka przechodził dreszcz. Ciekawe, pomyślał Church, jak bardzo tak naprawdę jest z nami związany, skoro aż do tego stopnia nic go nie wzrusza.

— Myślałem, że jesteś legendarnym bohaterem – zadrwił Veitch. Dziewczyna gnije w celi, a ty nawet nie mrugniesz! I to ma być bohaterska postawa? Ty padalcu.

Tom zwrócił się do Churcha: — Ty mnie rozumiesz. Wytłumacz mu.

Rozumiał, owszem, ale uzasadnienie takiego postępowania klóciło się z tym, co czuł, a przez to z trudem przechodziło mu przez gardło. Czym były ich nadzieje, smutki i obawy wobec losów całego świata? Church poczuł się tak, jakby w ramach kompromisu wyrzekał się stopniowo swojego człowieczeństwa. Nawet gdyby zwyciężyli, czy byłby w stanie cieszyć się triumfem, skoro powoli miał się zmieniać w nieczuły głąz?

Nie zdążył nawet otworzyć ust – Veitch wyczytał wszystko

wcześniej z jego twarzy. Kręcąc z niedowierzaniem głową, przeszedł na drugi koniec pokoju i stanął odwrócony plecami do pozostałych.

— Skoro ten temat mamy już za sobą... – zaczął Tom takim tonem, jakby miał do czynienia z kapryśnymi dziećmi.

— Na litość boską, miejże trochę taktu! – przerwał mu Church. To, że masz rację, nie oznacza jeszcze, że możesz zupełnie nie liczyć się z cudzymi uczuciami!

Tom nie stracił rezonu.

— Pamiętaj, najważniejszy jest spokój – ostrzegł przywódcę drużyny.

— Podyskutujmy może o wskazówkach zjaw – wtrącił Shavi, uśmiechając się zachęcająco. – Zobaczymy, czy zrozumiemy dość, by móc zacząć działać.

Church westchnął.

— Za każdym razem, gdy prosimy o poradę jakąś nadprzyrodzoną siłę, odpowiedź jest tak zawoalowana, że nigdy nie mamy pewności, czy prawidłowo odczytaliśmy zawarte w niej aluzje.

— Postępują tak celowo – wyjaśnił Tom. – Mają nadzieję, że popełnimy w naszym rozumowaniu jakiś błąd, w wyniku którego popadniemy w niemałe tarapaty lub w ogóle nie zdołamy zakończyć naszej misji. To ich bawi. Chcą czuć, że jesteśmy zdani na ich łaskę i niełaskę. Ale zdradzili nam dostatecznie dużo. – Zerknąwszy na szamana, skinął głową. – Dobra robota. – W ustach Toma był to największy komplement.

Zawstydzony Shavi wbił wzrok w podłogę.

— „Szukaj kamienia z miejsca, które niosło ulgę ofiarom plagi”. Domyślcie się, o co w tym chodzi?

— Nie znamy historii epidemii tak dobrze jak duchy z Mary

King's Close. Żeby rozwikłać tę zagadkę, musimy trochę poszperać w bibliotece.

— Tak znajdziemy drogę do Studni Ognia – powiedział Church. A jeśli uda nam się jakimś cudem przywrócić ją do życia, będziemy mogli przynajmniej spróbować zniszczyć twierdzę Fomorian, która, jak nam teraz wiadomo, znajduje się gdzieś pod zamkiem.

— A jej zniszczenie – dodał Tom – zapobiegnie odrodzeniu się Balora. Sądzę, że to właśnie tam planują przeprowadzić swój rytuał, inaczej nie chroniliby tego miejsca, wysługując się samą Cailleach Bheur.

Odkąd przyjechali do Edynburga, czuli na plecach dziwny ciężar, jakby jakaś mroczna, tajemnicza siła lada chwila miała zaatakować ich z powietrza. Było to coś więcej niż zwykłe przecucie czy strach. Zdawać by się mogło, że to Balor we własnej osobie wyciąga już ku nim swe potworne macki z owego nieznanego miejsca, w którym przebywało jego rozproszone jestestwo. Czyżby był już świadomy istnienia drużyny? Tym bardziej byli zdesperowani wygrać ten pojedynek, ale i drżeli na myśl, co czeka ich po przegranej.

— A potem odbijemy Ruth – oświadczył Veitch stanowczo, nie przerywając badania zawartości mini-baru. Z głębi lodówki wyciągnął butelkę piwa.

— Ale to jeszcze nie koniec – przypomniał sobie Shavi. – Duchy powiedziały, że błękitny ogień nie wystarczy. Podpowiedziały jednak, że mamy zwrócić się o pomoc do kogoś zwanego Dobrym Synem. Czy to imię z czymś ci się kojarzy, Tom?

Church dostrzegł kątem oka, że po twarzy zapytanego przemknął cień.

— Kto to taki?



— Ach. – Tom spojrział gdzieś w bok. – Jest taka legenda... Słyszałem ją raz, dawno temu.

— No to opowiadaj – popędził go Veitch. – Sam nam zawsze powtarzasz, że w tych wszystkich mitach jest ziarnko prawdy.

Tom podszedł do okna i spojrział na lunę na wschodzie. Nie wiedzieć czemu, z pewną nieufnością.

— Dobry Syn to imię nadane w dawnych wiekach najważniejszemu z plemienia Danu. Celtowie nazywali go Maponusem lub Mabonem, co znaczy po prostu „syn”. Zнали go także jako Oengusa, czyli Angusa. Według ich podań był on synem Wielkiej Matki oraz Dagdy, ojca wszystkich ludzi. Synem Światła. Kiedy większość ziem należących do Celtów podbili Rzymianie, zaczęto utożsamiać Mabona z Apollem. Z kolei chrześcijanie widzieli w nim, rzecz jasna, Chrystusa. Łączono go ze słońcem, które też jest dawcą życia. W języku angielskim pojawia się nawet gra słów, bo słońce, sun, i syn, son, to homofony.

— Twierdzisz, że Jezus był wymyśloną postacią? – spytał Church.

— Niczego takiego nie twierdzę – odparł Tom nieco zniecierpliwiony. – Tłumaczę tylko, że Maponus to archetyp. Losy tej istoty posłużyły wielu kulturom za podstawę, na której rozbudowały własne mity.

— Proste jak drut – mruknął Veitch z sarkazmem.

— Czcilo go wiele ludów – podjął przerwana opowieść Tom. Oddawano mu cześć przy świętych źródłach. Był Cudownym Młodzieńcem, który miał poprowadzić świat z powrotem ku światłu, utalentowanym muzykiem biegłym w graniu na lirze, ucieleśnieniem sit stworzenia, patronem sztuk i wytrawnym kochankiem obdarzonym urodą, dowcipem i wdziękiem. To

jednak tylko te dobre z jego licznych wcieleń. – Zamilkł na moment. – W Irlandii nazywano go Panem Miłości i Śmierci.

Przez szyby okienne wtargnęły do pokoju pierwsze silniejsze promienie słońca, rzucając na ścianę zniekształcone cienie. Churchowi przemknęło przez głowę, że to jakiś potwór ku nim pełźnie.

— Co się z nim później stało? – spytał Toma cicho.

— Nie mam pojęcia. Po zawarciu Przymierza, kiedy bogowie starego porządku opuścili ziemię, niektórzy z nich, ci najmocniej związani z naszym światem, powrócili. Maponus był jednym z nich. Chyba nikomu innemu tak na tym nie zależało. Stąd nic dziwnego, że mając do wyboru wszystkich z plemienia Danu, to w nim śmiertelnicy widzieli swojego zbawcę. A potem ni stąd ni zowąd słuch o nim zaginął.

Tom przerwał. Jego słuchacze byli zaintrygowani.

— Znikł? – zdziwił się Church. – Ktoś go porwał?

— Nic nie wiemy o jego dalszych losach. Złoty Lud milczy uparcie. – Nie wiedział, czy ma mówić dalej. – Kiedy przebywałem w Zaświatach, tylko tego jednego pytania bałem się zadać. – Skrzywił się nagle. – Nie, to nie tak było. Raz je zadałem. Ale nigdy więcej. Church rozpoznał w jego oczach to samo przerażenie, które pojawiło się, gdy Tom po raz pierwszy opowiadał im o cierpieniach, jakie zadawali mu bogowie, bawiąc się swoim niewolnikiem. – Tuatha Dé Danann lubili moje towarzystwo. Dostarczałem im rozrywki, byłem dla nich ciekawostką, ale nie kimś, kogo mieli za równego sobie. Gardzili mną do tego stopnia, że nigdy nie rozmawiali ze mną o sprawach naprawdę dla siebie istotnych. A zaginięcie Maponusa z pewnością do takich należało.

— Skoro zapadł się pod ziemię, jak u licha mamy go znaleźć? –

spytał Veitch.

— Kiedy, powróciwszy do tego świata, zostałem wprowadzony w arkana wiedzy o ziemi przez wysłanników Kultury... – Tom zerknął podejrzliwie na swoich słuchaczy, jakby chciał sprawdzić, czy się zorientowali, że właśnie niechcący zdradził im jakiś sekret. – ...Kiedy pobierałem nauki u pobratymców Strażnika Kości, poznałem pewne podanie, które być może przyda się w poszukiwaniach. Otóż Kultura zdołała uwięzić jednego z największych bogów starego porządku w pewnym miejscu niedaleko stąd, na południe od Edynburga. Miał tam po wieki przebywać pod ziemią.

— Nic z tego nie kapuję, do cholery. – Veitch znowu się zirytował.

— Skoro tak kochali tego faceta, to czemu go gdzieś zamknęli? Mężczyzna wlepił w Toma gniewne spojrzenie, jakby stary hippis celowo mącił mu w głowie.

— Nigdy się nie dowiedziałem, czemu tak postąpili. Wiedzieli o tym tylko najbardziej wtajemniczeni. Nie przebywałem wśród nich dostatecznie długo, żeby awansować do tego kręgu wybrańców.

— Ta cała Kultura... – zauważył Church – kompani Strażnika Kości... wydają się być bardzo potężni. Wpływowi.

Tom pokiwał głową.

— Podbiwszy Wielką Brytanię, Rzymianie sądzili, że ich wytrzebili, tamci tymczasem tylko zeszli do podziemia, na długie stulecia. Owego boga uwięzili, kiedy byli u szczytu potęgi: odprawiali rytuały w świętych gajach, służyli ludziom w potrzebie, w dzień przesilenia letniego zwracali się twarzami w stronę słońca, dumni, nareszcie wolni.

Veitch dopił piwo i cisnął butelkę do kosza na śmieci. Rozbiła

się na dnie.

— Znowu nic nie rozumiem. Jak im się udało? Widziałem tych złotych Danonów w akcji. Nie wystarczy ich zaskoczyć i ot tak parę razy zamachnąć się mieczem.

— W owych czasach strażnicy pradawnej wiedzy posiadali większą kontrolę nad ziemską energią niż kiedykolwiek w historii. Do obezwładnienia boga użyli właśnie błękitnego ognia.

— I cały czas spoczywa tam pod ziemią, czekając aż ktoś go uwolni? – chciał się upewnić Shavi.

Zamiast odpowiedzieć Tom spojrział tylko w kierunku wschodzącego słońca i zmrużył oczy, kiedy promienie przesunęły się po jego twarzy.

— Nie za bardzo mi się to podoba – przyznał Veitch. – Jesteś pewien, że będzie chciał nam pomóc po tylu latach pod ziemią?

— Sądziłem – oświadczył Tom cierpko – że jesteś gotowy na każde poświęcenie, byle tylko uwolnić panią swego serca.

— Czy jesteśmy w stanie nad nim zapanować? – spytał Church.

— Skąd wiemy, że zmarli nie kłamali? Może tylko nami manipulują, żebyśmy wpadli w jeszcze większe tarapaty? Rozwścieczony bóg, dyszący z żądzы zemsty po latach więzienia – czegoż chcieć więcej?

— Przyznaję, nic nie jest pewne. – Tom westchnął. – Tyle że to wszystko zdaje się układać w pewną logiczną całość. Jeśli Fomorianie przygotowują się pod skałą zamkową do rytuału wskrzeszenia Balora, nie ma wątpliwości, że zrobili wszystko, co w ich mocy, by ich edynburska siedziba była nie do zdobycia. Nie mogą ryzykować. Jeśli nie sprowadzą Balora, ich życie straci sens. Stąd obecność Cailleach Bheur... – Musiał przełknąć ślinę. Nagle zaschło mu w gardle. – Niebieskolica Wiedźma to siła natury. Jest potężniejsza od większości istot, które spotkaliście

dotąd na swej drodze. Spośród wszystkich bogów chyba tylko właśnie Maponus byłby w stanie zyskać nad nią kontrolę na tyle, by nie użyta zaklęcia wiecznej zimy. Gdyby jednocześnie udało nam się obudzić Studnię Ognia, siły ciemności zostałyby zmuszone do odwrotu.

— A alternatywa jest taka, że ani się obejrzemy, wszystko szlag trafi – zauważył zgryźliwie Church.

Tom wzruszył ramionami.

— Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

— Nie, więc nie opowiadaj o tym tak, jakby wystarczyło splunąć.

Church wiedział, że to do niego będzie należała ostateczna decyzja i nie czuł się gotowy na wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności. Marzył o tym, żeby znów móc wieść nudne, żalosne życie.

— Czy wiesz, gdzie jest uwięziony Maponus? – spytał Shavi Toma.

— Nie co do centymetra, ale wiem, jaki budynek został wzniesiony w tym miejscu. – Mężczyzna zdjął okulary i przetarł dłonią znużone oczy. – Kaplica Rosslyn.

— Słyszałem o niej – powiedział Shavi. – Jest z nią związanych wiele tajemnic. Ale przecież nie zbudowano jej w czasach świetności druidów.

— Informacje o miejscu spoczynku boga przekazywano z pokolenia na pokolenie. W końcu wzniesiono tam tę budowlę.

— Coś mi świta. – Szaman upił łyk wody z butelki podanej przez Veitcha. – Ta kaplica słynie z tego, że w jej bryle i wystroju pojawiają się nie tylko elementy chrześcijańskie, ale także masońskie i celtyckie. Niby to kaplica, a roi się tam od symboli pogańskich, a wizerunków Zielonego Człowieka jest tam więcej

niż gdziekolwiek indziej w kraju.

Church podrapał się po głowie.

— Zielony Człowiek to inne imię Cernunnosa, prawda?

— Cernunnos odegrał ważną rolę w rytuale uwięzienia Maponusa. Można by rzec, że stanowi jego lustrzane odbicie. Pierwszy to gęste, cieniste lasy, drugi – zalane słońcem równiny. Są jak noc i dzień. Zima i lato.

— Cernunnos jest jakby bratem bliźniakiem Maponusa?

— Jeśli ten termin cokolwiek oznacza dla bogów.

— Jestem pod wrażeniem, że pamięć o Dobrym Synu przetrwała tyle wieków – powiedział Shavi. – Była na tyle żywa, by ludzie ufundowali tak okazałą kaplicę, o tak bogatej i przemyślanej ornamentyce.

Tom pokiwał w zamyśleniu głową.

— Tak, tak. Kosztowało to nieco zachodu. Widzicie, spośród tych, którzy posiadli wiedzę stuleci, wyodrębniła się wyznaczona tylko do tego zadania grupa. Jej członków nazywano Stróżami. Nie tylko przekazywali oni kolejnym pokoleniom swoich pobratymców sekrety bożego więzienia, ale przygotowywali ich także na ewentualność najazdu z Zaświatów. Z początku byli to wyłącznie kapłani druidów. Potem nastąpiło chrześcijaństwo, więc naturalną kolejną rzeczą poczęto ich wybierać z grona duchownych nowego kościoła, a z czasem dołączyli do nich przedstawiciele innych wyznań, jakie na dobre zadomowiły się w tym kraju. Doszło do tego, że każdy kościół miał swoją grupę Stróżów, nie do końca świadomą istnienia pozostałych, łączyła ich jednak nadal wspólna misja i wiedza, jaką pielęgowali.

— To właśnie jeden ze Stróżów pomógł nam w Glastonbury. Shavi napił się wody, bo i jemu zaschło w gardle. Church spostrzegł z ulgą, że szamanowi wracają powoli kolory. – Czy to

jedna z tych grup zbudowała kaplicę Rosslyn?

Tom skinął głową.

— Przewodził jej sir William St Clair, książę Orkadów. Ale w ciągu ostatnich stu lat wielu ludzi odwróciło się od Boga. Stróżów ubywało. Nie wiem, czy w Rosslyn ktoś się jeszcze ostał.

Ktoś zapukał do drzwi. Mężczyźni zamarli, jakby usłyszeli odgłos odbezpieczanej broni. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Veitch podszedł bezszelestnie do drzwi i ustawił się tak, by móc w razie czego obezwładnić gościa. Zerknął na Churcha po wskazówki. Ten odczekał chwilę, po czym zawołał: — Kto tam?

— Laura – odpowiedziała słabym głosem.

Veitch otworzył szybko drzwi. Dziewczyna niemal wpadła do środka. Church zdążył ją złapać w porę. Spojrzawszy mu prosto w oczy, uśmiechnęła się delikatnie.

— Wiesz co, właśnie tak to sobie wyobrażałam.



Zanim doszła do siebie, minęło kilka godzin. Siedziała teraz na łóżku owinięta kocem, a na jej białą jak śnieg skórę padały promienie majowego słońca. Żrenice miała ciągle tak rozszerzone, że oczy wydawały się czarne niczym noc. Było jej trochę głupio, że ubiegłego wieczoru postąpiła tak lekkomyślnie, ale nie miała zamiaru dać tego po sobie poznać. Próbowwała za to opowiedzieć o lodowej rzezi, której była świadkiem, choć nadal nie miała pewności, ile z tego, czego doświadczyła, było wywołaną narkotykiem halucynacją, a ile zdarzyło się naprawdę.

— Może ten facet w pubie miał rację – stwierdziła, po raz

kolejny wątpiąc w to, co mówi. – Może te wszystkie wizje i odczucia powstają tylko w naszych głowach? Kto wie, co jest obiektywną rzeczywistością?

— Właśnie! – podchwycił Shavi. – Wystarczy przecież użyć płynnego azotu...

— Zwariowałaś? – wybuchł Veitch, zrywając się z fotela. – Spójrz tylko na siebie! Naćpałaś się, a teraz wygadujesz jakieś bzdury. To nie wakacje! Nie można teraz balować!

Church położył mu rękę na ramieniu.

— Spokojnie, Ryan.

Londyńczyk rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Przecież dobrze wiesz, że to ja mam rację. Bronisz jej, bo sypiacie ze sobą, co?

— To nie tak. Wszyscy wiemy, że Laura zachowała się nieodpowiedzialnie, ale nie czas teraz na kłótnie.

Veitch skrzywił się.

— Trwa wojna. Powinniśmy przestrzegać jakichś ścisłych reguł, bo jeśli jedno z nas się pośliźnie, może pociągnąć resztę za sobą.

— Zgadzam się – stwierdził Tom. – W drużynie musi panować dyscyplina.

— I to jej mnie brakuje, tak? – spytała dziewczyna ostrym tonem. – Boże, ale z was banda żołnierzyków.

Mimo krążącej w jej żyłach zielonej krwi, Laura nie czuła się w żaden sposób odmieniona, ale ciążyło jej to odkrycie. Bala się, że złapała jakiegoś pochodzącego z zaświatów wirusa. Może przez jakiś czas krył się w jej ciele uśpiony, a teraz zaczynał powoli siać spustoszenie w jej organizmie? W tym nowym świecie nawet najdziwniejsze teorie brzmiały prawdopodobnie. Tak bardzo chciała zwierzyć się komuś z swoich lęków, opowiedzieć o



tajemniczej przemianie, jaka zaszła w jej ciele, a tymczasem wszyscy najwyraźniej woleli ją krytykować niż jej słuchać. Odpowiedzialność, misja, sprawa, dyscyplina – jak jej skromna osoba mogła konkurować z takimi pojęciami? Laura postanowiła zachować swoje rewelacje dla siebie.



Veitch oparł się o jedną z marmurowych kolumn w hotelowym holu z obojętną miną człowieka światowego, choć w głębi duszy był święcie przekonany, że obsługa naśmiewa się z niego po kątach, a ochroniarze tylko wyglądają pretekstu, żeby go wyrzucić. Gdyby nie misja nie wystalby tu ani sekundy. Och, jak bardzo drażnili go ci gardzący nim ludzie... Ale najbardziej ze wszystkich drażnił go ten zdrajca Church, który podjął decyzję, że los Ruth nie jest dla drużyny najważniejszy. Veitch rozumiał, że spoczywa na nich ogromna odpowiedzialność, ale w jego kodeksie moralnym lojalność wobec przyjaciół była zawsze na pierwszym miejscu. Wobec przyjaciół, a co dopiero wobec ukochanej.

Nagle zauważył idącego w jego kierunku eleganckiego starszego pana. Nieznajomy musiał mieć ponad siedemdziesiąt lat, ale poruszał się z leniwą gracją. Wszystko wskazywało na to, że jest rasowym dżentelmenem: doskonale skrojony drogi garnitur, laska o posrebrzanej główce, świetnie przycięte śnieżnobiałe włosy zaczesane starannie do tyłu, staromodny wąs, swobodny chód, opanowane gesty.

Ten to na pewno zażąda, żeby mnie usunięto z holu, pomyślał Veitch.

Mylił się jednak, bo mężczyzna uśmiechnął się na jego widok przyjaźnie.

— Z twarzy wyczytam wszystko – oświadczył, podszedłszy bliżej. – I zgaduję po pańskiej, że podobnie jak ja, został pan naznaczony znamieniem magii. – Mówił z silnym akcentem szkockiego arystokraty.

Przedstawivszy się w ten niecodzienny sposób, nieznamy ujął obiema rękami lewą dłoń Veitcha. Londyńczyk był tak zaskoczony, że nawet jej nie wyrwał.

— Widzę też w tej twarzy nadciągające kłopoty – ciągnął dżentelmen. – Nie wiem, czy doda to panu otuchy, ale proszę posłuchać rady starego człowieka, którego wiele nauczyły długie lata życia: wiara jest wszystkim.

Mężczyzna poklepał Veitcha po przedramieniu, po czym grzecznie skinął głową na pożegnanie i oddalił się niespiesznie.

Church obserwował tę scenkę z pewnej odległości, idąc od strony schodów. Teraz dołączył do kolegi.

— Czego od ciebie chciał ten elegant?

Zaintrygowany Veitch wpatrywał się w odchodzącego Szkota.

— Nie mam pojęcia. Staruszek chyba za długo siedział na słońcu. Umówili się w holu, żeby wyskoczyć na miasto i przynieść dla wszystkich lunch. Postanowili, że kupią gotowe kanapki. Słońce było tak silne, że Veitch włożył okulary przeciwsłoneczne, które kupił pierwszego dnia w jednym z domów towarowych na Princes Street. Poczuli, że w końcu musi wyrzucić z siebie to, co leży mu na sercu: — Nie wiem, jak możesz tak traktować sprawę Ruth.

Church nawet ucieszył się, że mogą porozmawiać na ten temat.

— Wierz mi, Ryan, świetnie cię rozumiem. Lepiej, niż

przypuszczasz. Sam w podobnej sytuacji dałem się wplątać w tę aferę z różą, przez którą niemal nie doszło do zdobycia i przekazania insygniów. Na własnych błędach nauczyłem się, że należy odsunąć własne sprawy na drugi plan. Musimy pamiętać, jakie jest nasze zadanie.

Veitch pokręcił głową. Ciemne szklą maskowały jego uczucia.

— Tak cię słucham, ale nadal mi się to nie podoba. Tak nie można. – Tym razem starał się panować nad własnym gniewem, ale w jego głosie słychać było, jak bardzo to wszystko przeżywa. – Ruth jest członkiem drużyny. Jest nasza. To tak, jakby porwano ci dziecko.

— Nie wiem, może jest jakieś rozwiązanie. Może można wykonać powierzone nam zadanie, jednocześnie ratując Ruth. Nie patrzyłem jeszcze na to w ten sposób.

— Najwyższy czas. To twój obowiązek.

— Dlaczego akurat mój? – zdenerwował się Church. – Dlaczego na mnie padło? Czyżbym przegapił wybory na dowódcę tej żalosnej ekipy?

Veitch zrobił tak zdziwioną minę, jakby Church zadał najgłupsze pytanie z możliwych.

— To chyba oczywiste. Kto inny jak nie ty?

— Shavi.

— Shavi jest szamanem, a nie przywódcą. Musi być bardziej skupiony na sobie. Sam popatrz, w kółko główkujesz, snujesz plany. Taki jesteś. Odsuwasz własne sprawy na drugi plan.

Church odchrząknął, odwrócił wzrok.

— Nie chcę być szefem.

— Pogódź się z tym. Jesteś w tym dobry.

— Niech ci będzie – powiedział Church. – W takim razie, sam też się nie migaj. Duch Pendragona, czymkolwiek jest, uwydatnia

nasze mocne strony – twoje także. Widać je jak na dłoni. Jesteś nie tylko rycerzem, wojownikiem, ale i strategiem. Kiedy czujesz, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo, a liczy się każda sekunda, zawsze podejmujesz właściwą decyzję, sam widziałem. Masz wrodzony talent do wychodzenia cało z opresji. A więc to raczej zadanie dla ciebie. Ty wymyśl, jak uratować Ruth, nie zbaczając przy tym z wytyczonego przez misję szlaku.

Veitch wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego niż przedtem, ale zamyślił się na moment i odparł z powagą: — Dobrze, zastanowię się nad tym. Ale potem będziesz musiał wysłuchać cierpliwie, co mam do powiedzenia.

— Umowa stoi.

Veitch wyraźnie się rozchmurzył. Kiedy przechodzili przez Princes Street, spytał ni stąd ni zowąd: — Jak tam się układa między tobą a naszą pyską blondyneczką? Church wzruszył ramionami.

— Jakoś się dogadujemy. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

— Nie ufam jej.

— Wiem. Ale ja tak. Usatysfakcjonowany?

— Aha. – Przystanęli pod sklepem z kanapkami. – Ta mała szaleje na twoim punkcie.

— Co ja widzę? Od kiedy to jesteś ekspertem w sprawach uczuciowych, Ryan?

— Mam oczy. A ty co, też zakochany po uszy?

Church zmieszał się i chciał już wejść do sklepu, ale zobaczył, że Veitch ani drgnął.

— Wszystko się sypie – burknął poirytowany. – Nie mam już siły myśleć, działam po prostu jak automat.

Ruth. Tylko przed nią potrafił się otworzyć. Słuchała uważnie, to i owo sugerowała delikatnie. Od razu lżej się robiło na duszy.

Tęsknił za nią o wiele bardziej niż to okazywał, ale wolał nie zwierzać z tego Veitchowi – kompan mógłby się go wtedy uczepić, licząc na to, że jego przywódca jednak zmieni zdanie.

— Czy to już koniec przesłuchania? – spytał zniecierpliwiony.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Nie daje mi spokoju. Ta twoja zmarła dziewczyna – jak tam sobie z tym teraz radzisz?

Ta bezceremonialność nieco odrzuciła Churcha. Skrzywił się.

— Nie ma co, urodzony z ciebie strateg. Sprawdzasz mnie, prawda?

— Nie, skąd.

— Sprawdzasz, sprawdzasz. Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy. Śmierć Marianny już mnie nie nęka. Ona sama też nie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Odkąd Fomorianie przestali się nami interesować, nie dręczą mnie już, nasyłając po nocy jej ducha. Co nie oznacza, że zapomniałem, kto go więzi. – Przytknął do piersi zaciśniętą pięść. – To siedzi głęboko we mnie, wrze i czeka. Pewnego dnia uwolnię jej duszę i zemszczę się na jej oprawcach.

Veitch chyba zadowolila ta odpowiedź.

— Chciałem się tylko upewnić – przyznał i wszedł do sklepu.

Church powiódł za nim wzrokiem. Musiał przyznać, że darzył swojego kompana coraz większym szacunkiem. Na ich oczach z chuligana zmieniał się w wojownika, jakby uaktywniały się w nim jakieś przekazane przez przodków geny. Duch Pendragona trafnie dobrał członków drużyny. Każde z nich z wolna dorastało do swojej roli. Ich talenty i cechy wzajemnie się uzupełniały, a zarazem były niezbędne, by sprostać stojącemu przed nimi wyzwaniu. Być może jednak była jakaś nadzieja.



Wracając do hotelu, zauważyli zbiegowisko przy budynku Galerii Narodowej. Wjazd w uliczkę Mound blokowały dwa radiowozy z włączonymi kogutami, a w najbliższej okolicy dało się zauważyć dyskretnie rozmieszczonych żołnierzy pod bronią. Ludzie w tłumie wydawali się być poirytowani i zaskoczeni akcją władz.

— Węszę kłopoty – stwierdził Veitch. – Lepiej trzymajmy się z daleka.

— Niech się tylko dowiem, co jest grane – poprosił Church i spytał się najbliżej stojącego człowieka, czy coś wie.

— Ewakuowano Starówkę. To teraz strefa zakazana aż do odwołania. – Widać było, że mężczyźnie nie mieści się to w głowie. – Ponoć to dla naszego dobra. Ha! Jeśli na Starym Mieście nie jest już bezpiecznie, to gdzie jest?

— Słyszałam plotki, że w którejś z kamieniczek mieściło się supertajne laboratorium rządowe i jakiś eksperyment wymknął im się spod kontroli – szepnęła stojąca nieopodal kobieta w średnim wieku.

— Słyszał kto coś podobnego! – oburzyła się jej sąsiadka. – Eksperymenty to w szczerym polu robić, a nie tam, gdzie tylu ludzi mieszka i turyści chodzą!

— Nie, to na psychopatę polują – sprostował młody człowiek z kolczykiem w nosie. – Mój kumpel poszedł wczoraj do klubu tu niedaleko i jeszcze nie wrócił. Ponoć nie on jeden. Była jakaś masakra.

Church przysłuchiwałby się dalej domysłom, ale Veitch odciągnął go na bok.

— Jeden z gliniarzy sięgnął po radio, kiedy nas zauważył – wyjaśnił. – Wygląda na to, że nadal jesteście ścigani listem gończym.



Nie minęło jednak dużo czasu, a Church znowu wyszedł na miasto, tym razem w towarzystwie Laury. Przedyskutowawszy w piątkę wszystkie opcje, doszli do wniosku, że muszą spróbować dostać się do leżącej w sercu Starówki Biblioteki Głównej, jedyne miejsce w okolicy o dość bogatych zbiorach, by zawierały pozycje o zarazie z 1645 roku. Był to ryzykowny manewr – wprawdzie za dnia siły nadprzyrodzone pozostawały zwykle w uspieniu, ale łatwiej można było wpaść w ręce policji.

— Ach, dlaczego nie mogli wprowadzić tej blokady dopiero jutro? – jęknął Church, przyglądając się najbliższej barykadzie.

Laura zauważyła właśnie, że jakaś kobieta gapi się na jej blizny, i posłała jej lodowate spojrzenie sponad ciemnych okularów. Nieznajoma natychmiast odwróciła wzrok, przyspieszając kroku.

— Nie wyżywaj się na miejscowych – upomniał ją Church. – Nie mają twoich zdolności.

— Z moich talentów zawsze korzystam z umiarem – odparła Laura, rozglądając się dyskretnie na boki.

Posterunek u podnóża stromej Cockburn Street obsługiwał zaledwie jeden młody funkcjonariusz, który zerkał co chwilę niepewnie za siebie, jakby lada chwila z góry miało coś przypełznąć.

— Po kiego licha akurat ciebie musiałem wziąć ze sobą. Te

jasne włosy tak rzucają się w oczy. To nie najlepsza fryzura dla szpiega.

— To ja cię wybrałam, matole, a nie na odwrót. A spojrzenia przechodniów, jakbyś nie wiedział, przyciąga moja zapierająca dech w piersiach uroda. Mniejsza o to. Potrzeba nam czegoś, co odciągnie jego uwagę.

Dziewczyna szybko oceniła sytuację i jednym ruchem podniosła z ziemi pustą butelkę po piwie. Zanim Church zdążył zaprotestować, cisnęła nią wysoko ponad głowę policjanta, który właśnie rozglądał się nerwowo. Rzut był celny – butelka rozbiła wystawę sklepową w głębi staromiejskiej uliczki. Młodzian w mundurze podskoczył, jakby to on został trafiony. Przez kilka sekund stał oszołomiony, po czym rzucił się ocenić szkody. Najwyraźniej nie wiedział za bardzo, co się stało.

— Gazu! – Laura rzuciła się biegiem w stronę najbliższej zacienionej przecznicy.

— Przyznaj się, lubisz ryzyko? – spytał zdyszany Church, kiedy już przystanęli poza zasięgiem wzroku policjanta. Zaulek przechodził tu w kamienne schodki. Zaczęli się wspinać.

— Inaczej życie byłoby nudne – przyznała dziewczyna. Byli już na Royal Mile. Na gwarnej zazwyczaj ulicy panowała grobowa cisza. Upiornie tutaj dzisiaj.

— Fomorianie rosną w siłę. Żeby zabezpieczyć swoją fortecę, poszerzają strefę wpływów o podzamcze. Stąd ta rzeź w klubie zeszłej nocy. – Church zerknął nagle na cienie zalegające u stóp schodów.

— Co jest?

— Nie wiem... Coś mi jakby mignęło. To pewnie nerwy.

— Gdyby ten policjant nas gonił, już by tu był. – Laura wyszła na środek jezdni. – To co, już mi wybaczyłeś?



— Nie było czego.

— Poza moją głupotą? – Nie ważyła się spojrzeć mu w oczy.

— Przestań, każdy z nas mógł się zapomnieć. Trudno się przyzwyczaić do myśli, że wszędzie czai się niebezpieczeństwo.

— Veitch nie podziela twojego zdania. Wolałby, żebym gryzła ziemię.

— Przesadzasz. To nasz strateg i wojownik. Musi być ostrożny, to należy do jego obowiązków.

— Strateg i wojownik? – powtórzyła z drwiną w głosie. – Co za eufemistyczne określenie na kretyna.

Na ulicy George IV Bridge Church nie wytrzymał i znów spojrzał za siebie. Niepokój, który czuł, odkąd weszli na teren Starego Miasta, wzmógł się raptownie.

— Uspokój się, człowieku – powiedziała Laura. – Nikt nas nie śledzi. Church zorientował się, że, niczym talizman, ściska w garści medalion, który podarowała mu tuż przed śmiercią imienniczka jego zmarłej dziewczyny. Od wisiora małej Marianny było dziwne ciepło, jakby i on odbierał jakieś sygnały, których nie potrafiły wyłapać ludzkie zmysły. Chociaż medalion był tandetną błyskotką, a ukryte w nim zdjęcie księżnej Diany zostało krzywo wycięte dziecięcą rączką, Church czuł się lepiej, nosząc go na sercu. Patrząc na niego, przypominał sobie zawsze, że z nastaniem nowych porządków Marianna zyskała moc uzdrawiania, co stanowiło wspaniały przykład na to, że nie wszystko po powrocie bogów zmieniło się na gorsze. Doświadczył z kompanami wiele zła, ale był też świadkiem cudu. Wyczuwał także, że jego amulet jest czymś więcej niż zwykłą pamiątką.

Szybkim krokiem doszli do budynku Biblioteki Głównej. Tego ranka, po odkryciu rzezi w klubie, musiano w wielkim pośpiechu

ewakuować jej pracowników, ponieważ głównego wejścia nie zamknięto na klucz. Wślizgnąwszy się do środka, Church i Laura przepełzli po nieczynnych elektronicznych bramkach i zaszyli wśród wysokich półek. Znalezienie działu poświęconego historii Edynburga nie zabrało im wiele czasu.

— Mogłoby się здаwać, że nowoczesne technologie nigdy się nie pojawiły – stwierdziła dziewczyna z niesmakiem w głosie, spoglądając na rzędy książek.

Jej towarzysz puścił tę uwagę mimo uszu, wiedząc dobrze, że Laura lubuje się w wygłaszaniu kontrowersyjnych sądów tylko po to, żeby sprowokować gwałtowną reakcję. Wybrał kilkanaście przeglądowych tomów i przeniósł je na ugiętych kolanach na pobliski stół. Następne parę godzin spędzili zapoznając się z wszelkimi wzmiankami o morderstwach, intrygach i w ogóle o ludzkim cierpieniu – dzieje Edynburga zdawały się składać niemal wyłącznie z podobnych historii. Nie ograniczali się w swoich poszukiwaniach do owej jednej siedemnastowiecznej epidemii, obawiając się, że zjawy mogły nie być im aż tak przychylnie.

Church pogrążył się w cichej lekturze, za to Laura postanowiła widocznie doprowadzić go do szalu, bo uparcie ignorując jego gniewne mruknięcia, czytała mu na głos każdy ciekawszy fragment.

— Posłuchaj tego – przerwała mu po raz setny. – To było kiedyś najgęściej zaludnione miasto w Europie. Teraz na Starówce mieszka sześć tysięcy ludzi, a wtedy, uwierzysz, sześćdziesiąt tysięcy! Jak w Bombaju czy coś. Nic dziwnego, że zarazy rozprzestrzeniały się tak szybko. Zamiast rozwijać przedmieścia, tłoczyli się w obrębie murów miejskich, budowali tylko coraz wyższe domy. Na siedem, osiem, nawet dziewięć

pięter. Czasami stawiali po prostu szałas na dachach. Bez przerwy coś się waliło albo paliło, ginęły...

— Fascynujące.

— O, to jest jeszcze ciekawsze!

— Doprawdy?

— Tak. Piszą tu, że osoby o nazwisku Churchill to straszliwe gaduły.

Minęła sekunda czy dwie, zanim dotarła do niego jej ironia, ale nie zdążył się nawet odszczeknąć, bo przyciągnęła go do siebie nad blatem i pocałowała w same usta.

— Wyjmij sobie ten pogrzebacz z tyłka, dobrze, zrędo? To, że świat się kończy, nie oznacza, że nie możemy się dobrze bawić. W tonie jej głosu pobrzmiwała niemalże desperacja. Rozejrzała się po sali i uśmiechnęła szeroko. – Fajne miejsce na mały numerek. W końcu ilu ludzi może się pochwalić, że uprawiali seks na stole w bibliotecznej czytelni?

— Mówisz tak tylko po to, żeby już dłużej nie czytać.

— Założysz się?

Pocałował ją namiętnie, ale kiedy się cofał, żeby usiąść z powrotem na krześle, jego wzrok padł na leżącą między nimi otwartą książkę. – To jest to!

— Nareszcie. To właśnie chciałam usłyszeć.

— Nie, nie. Posłuchaj. W miejscu ogrodów przy Princes Street było kiedyś jezioro, Nor' Loch, główne źródło wody pitnej dla miasta. Tam też spływały wszystkie miejskie ścieki.

— Mniam mniam.

— W rezultacie wszyscy mieli obniżoną odporność organizmu, zwłaszcza ci mieszkający w pobliżu zbiornika, do których zaliczali się także mieszkańcy Mary King's Close. To dlatego tak łatwo zabijała ich dżuma. – Church przesunął palec wzdłuż

drobnego druku wersu. – W tamtej okolicy była też wioska Restalrig, którą oczywiście już dawno wchłonęło miasto. Kolo miejscowego kościoła było źródło i to z niego czerpano wodę w czasie zarazy, wiedząc, że jest nieskażona.

— I przypuszczasz, że to właśnie ono „niosło ulgę ofiarom plagi”?

— Na to wygląda. Jest tu też napisane, że miejsce, z którego tryskała woda, obudowano kamieniami. Kiedy w 1860 roku zdecydowano zbudować w tym miejscu lokomotywnię, przeniesiono je nad inne źródło. U podnóża Tronu Artura.

— Pamiętam, mijaliśmy je! – wykrzyknęła Laura. – Przy drodze na szczyt były takie sztachety i kamienny mur wkopany w zbocze.

Church ucieszył się na tę wiadomość.

— To tamtędy można wejść do środka. Źródła często otaczano kultem, więc to pewnie też. Być może dlatego, że biła z niego nie tylko woda, ale i ziemska...

Przerwał, bo zaniepokoił go jakiś dźwięk. Laura rozejrzała się ze strachem w oczach.

— Co to było?

Church uciszył ją gestem dłoni. W zasięgu jego wzroku nic się nie poruszało, także ulica za oknem była wyludniona. Wstawszy powoli z miejsca, pokazał Laurze na migi, żeby przeszukała rzędy półek po lewej. Sam poszedł na prawo i wkrótce stracił ją z oczu. Nadal wyczuwał instynktownie, że nie są na sali sami, ale nic a nic na to nie wskazywało.

Doszedł już do końca regału z pozycjami o religioznawstwie, kiedy usłyszał kobiecy krzyk. Dopadł Laurę w mgnieniu oka. Znalazł ją skuloną pod ścianą. Miała nieprzytomne spojrzenie osoby, która doznała ogromnego szoku.

— Czarny wilk – wymamrotała, jakby była pod wpływem narkotyków. – Spojrzał na mnie. Miał takie żółte oczy.

Upewniwszy się, że nie odniosła żadnych fizycznych obrażeń, Church na powrót zaczął się bacznie rozglądać. Sala wydawała się być pusta, ale napięcie narastało. Nie miał wątpliwości, że ktoś tam się jednak czai.

— Nic się nie martw – rzucił szeptem, nadal przeszukując wzrokiem pomieszczenie. – Zaraz wrócimy do hotelu.

— Nie mamy szans – powiedziała Laura z przekonaniem. – To czarny wilk. – Przerażona dziewczyna skryła twarz w dłoniach.

Church wszedł w korytarz regałów. Gęsto upchane książki przesłaniały kolejne rzędy. Przeciwnik mógł kryć się tuż za rogiem.

Uwagę mężczyzny przykuły uchylone drzwi daleko po prawej. Wydało mu się, że poruszają się delikatnie, ale mógł to być po prostu przeciąg. Mimowolnie wstrzymując oddech, podszedł bliżej. Ruch ustal. Church zacisnął zęby i sięgnął do klamki.

Raptownie otwarte drzwi trafiły go prosto w twarz. Jęknął z bólu. Nim zdążył otrząsnąć się z szoku, czyjeś kościste palce zacisnęły się wokół jego nadgarstka, wciągając rękę do szpary w drzwiach. Zamroczony Church zdążył tylko zauważyć, że śnieżnobiałą skórę napastnika szpecą dziwaczne czarne linie żył. Zaraz potem musiał obrócić głowę, żeby tym razem uderzyć w kant zamykanych drzwi policzkiem a nie nosem. Ręka, aż po pachę, została po drugiej stronie. Ktoś trzymał ją mocno, nie potrafił jej wyszarpnąć. Nie był też w stanie odepchnąć drzwi. Zaklął szpetnie.

— Jeden w imię skomasowanej mocy mego gniewu. Drugi w imię zemsty. – Churcha przebiegły ciarki. Głos jego kata był nieludzki, przypominał raczej bulgotanie wrzącej smoły. – Pięć

jest liczbą mojej rozpacz, każda zaś cyfra katechizmem w rytuale zbawienia. Symboliczną śmiercią poprzedzającą prawdziwy zgon.

Uwięzioną rękę przeszył potworny ból. Mężczyzna z przerażeniem zdał sobie sprawę, że skórę jego środkowego palca nacina zimne ostrze. Poczuł na dłoni ciepło pierwszych kropli krwi.

Ten potwór odcina mi palec! Church uświadomił sobie, że oto stoi niemal oko w oko z oprawcą i porywaczem Ruth.

Spróbował wyrwać rękę z żelaznego uścisku ze zdwojoną siłą, ale na nic się to zdało. Ostrze zanurzyło się głębiej tysiącem rozżarzonych igieł. Czoło paliła gorączka. Świat zawirował. Poczuł, że zaraz straci przytomność.

Nie poddawaj się, rozkazał sam sobie.

Niewidzialne ostrze dotarło już chyba do kości. Church zobaczył przed oczami tęczowe kręgi i zaczął osuwać się na ziemię.

Jakimś cudem zdołał zebrać resztki energii i szarpnął jeszcze raz, ostatni raz. Bez rezultatu. Gdy już powoli odpływał w ciemność, poczuł, że ktoś obejmuje go pod pachami i próbuje odciągnąć. To Laura przyszła mu z pomocą, zapierając się w nogach. Nadzieja dodała mu sił. Walczyli przez chwilę razem. Miał wrażenie, że lada chwila złamie nadgarstek, a zakleszczona ręka wyskoczy mu ze stawu.

Nagle napastnik go puścił. Church wystrzelił do tyłu jak z procy, stracił równowagę i runął na ziemię, przygniatając swoją towarzyszkę.

— Złaż ze mnie, słoni! – stęknęła.

Posłusznie odczołgał się na bok i przytknął do rany wyjętą z kieszeni chusteczkę. W mgnieniu oka nasiąkła szkarłatem, ale w

końcu krwawienie zelżało na tyle, że Church mógł zawiązać na opatrunku ciasny supeł.

Laura zerknęła z niepokojem na zatrzaśnięte drzwi.

— Chyba już sobie poszli. Co to było, na Boga?

— Nie mam pojęcia. – Church wzdrygnął się na samo wspomnienie upiornego głosu. Ostatni raz słyszał coś podobnego oglądając film *Egzorcysta*. Ignorując z trudem fale bólu przeszywające rękę, podszedł ostrożnie do feralnych drzwi i otworzył je jednym szybkim ruchem. Nikogo za nimi nie było. Krople jego własnej krwi, które ochlapały bestię, znaczyły czerwonymi plamkami drogę jej odwrotu. Wszystko wskazywało na to, że opuściła budynek.

— Czymkolwiek to jest, nie spocznie, dopóki nie dopadnie nas wszystkich – stwierdził ponuro.

— Palce są mi potrzebne – zaprotestowała Laura. – Zwłaszcza, gdy akurat nie mam chłopaka. – Próbowwała rozładować atmosferę, ale nawet sama siebie nie potrafiła rozbawić tym żartem. – Chodźmy już, trzeba ci założyć szwy.



Chociaż udało im się rozszyfrować wskazówkę zjaw, przez co nareszcie mogli zacząć działać, zamiast ulgi odczuwali większy niepokój niż przedtem. Atak odebrał im resztki pewności siebie, strach niemal nie pozwolił przejść na drugą stronę Royal Mile, nad którą górowała posępna bryła zamku. Wzięli się jednak w garść i weszli na jezdnię. W połowie drogi Laura pociągnęła Churcha za rękaw.

— Patrz – szepnęła, wskazując głową warownię na skale.

Nad zamkiem pojawiły się ciemne chmury. Wisiały nienaturalnie nisko, zdawało się, że wydobywają się spomiędzy cegieł budowli. Szara czapa rozszerzała się szybko nad Starówką i wkrótce przesłoniła gorące letnie słońce. Temperatura powietrza opadła gwałtownie. Zerwał się mroźny wiatr.

Drżąc na całym ciele, stali tak nieruchomo, przypatrując się temu potwornemu zjawisku.



# ROZDZIAŁ 6

## TYLKO SEN

Świt zakwitł nad wzgórzem Calton odcieniami złota i miedzi. Przy wtórze świergotu budzących się ptaków, ciepło lata przepędziło prędko nocny chłód, niosąc z sobą zapach dzikiego kwiecia. Wśród wierzchołków drzew porastających część zbocza od południowego zachodu, w prądach rozgrzanego powietrza tańczyły maleńkie istoty, których przezroczyste skrzydełka iskrzyły w pierwszych promieniach słońca.

Dla Veitcha był to prawdziwie mistyczny moment. Przyglądając się igraszkom czarodziejskich istot, uświadomił sobie, jak pusty był świat przed przemianą. Stwardniałe rysy jego twarzy złagodniały, z mięśni odeszło napięcie. Rozmarzony uśmiech przeobraził go na chwilę w człowieka, którym mógłby być, gdyby urodzony w innym czasie i miejscu nie stał się zakładnikiem przeznaczenia, ukaranym przez rzeczywistość tylko za to, że żył.

Shavi zerknął na Veitcha i też się uśmiechnął, pozostali spojrzeli zaś na szamana. Jak zawsze, bez względu na okoliczności, biła od niego serdeczność i wiara w lepsze jutro. To on właśnie podsunął im pomysł na uczczenie kolejnego etapu misji pradawnym rytuałem powitania słońca, aby to piękne wspomnienie mogło im towarzyszyć w trudnych chwilach. Tom opisał im ten obrzęd ze szczegółami. Niegdyś odprawiano go w kamiennych kręgach – drużyna wybrała na ten cel wzgórze

Calton, ponieważ to tu co roku mieszkańcy Edynburga obchodzili celtyckie święto Beltane.

Po wszystkim poczuli się dziwnie wzmocnieni. Stać ich było teraz na to, by przenieść wzrok z uśpionych jeszcze, wytyczonych pod linijkę ulic Nowego Miasta ku płataninie ponurych zaułków Starówki. Nad podzamczem wciąż kotłowały się ciemne, zimowe chmury.

— Ten poranek na zawsze pozostanie w naszej pamięci. – Shavi mówił niemal szeptem, ale jego kompanów przeszedł dreszcz, tak silny ładunek emocjonalny niosły jego słowa. – Choć nastąpiła nowa era, nie jest to tylko wiek chaosu i ciemności. Dzięki nowym porządkom możliwe stały się cuda. Nigdy o tym nie zapominajcie. Jest świąteczko w mroku.

— W ciężkich czasach łatwiej doceniać to, co dobre – zauważył Church.

— Łatwiej o przygodny seks – wtrąciła siedząca obok Laura.

— Dosyć tego! – zaśmiał się Shavi. – To uroczysta chwila, a w tobie nie ma za grosz powagi.

— Za to ty tak się nakręcasz pompatycznym liryzmem, że gdybyśmy ci pozwolili, uleciałbyś jak balon! – Dziewczyna wyciągnęła się w trawie, zanosząc się śmiechem.

Na krótką chwilę Church porzucił swoją melancholijną naturę. Wschodzące słońce prześwitujące zza dwunastu doryckich kolumn National Monument [*pomnik na wzgórzu Calton*] przywodziło mu na myśl Ateny, w których był raz z Marianną. Wyobrażał sobie, że jest teraz na tamtych wakacjach – nareszcie potrafił cieszyć się tymi wspomnieniami.

Nawet Tom był w szampańskim humorze, w oczach błyszcząły mu wesołe ogniki. Rzeźbione rozpaczą głębokie bruzdy w sędziwej twarzy przeobraziły się pod wpływem uśmiechu w

zmarszczki pogodnego starszego pana. Zdążył wypalić już kilka skrętów i wyglądał wreszcie jak weteran z Woodstock.

— Shavi ma rację. Nacieszcie się tą chwilą. – Nawet ton jego głosu się zmienił. Tom nie był już taki ponury i mówił z wyraźniejszym, szkockim akcentem.

— Dobra nasza – podchwycił Church. – Porozmawiajmy o czymś przyjemnym, o muzyce na przykład. Niech każdy wymieni swoją ulubioną piosenkę. Ja zaczynam! *Fly...*

— *Me to the Moon* – dokończyła za niego Laura. – Oczywiście, Sinatra. Coś dawno nie wspominałeś swojego idola, myślałam, że już wyrosłeś z tych głupot.

— Nie mamy raczej czasu na takie rzeczy, jakbyś nie zauważyła.

— *Scooby Snacks Fun Lovin Criminals* – oświadczył Veitch zniechęcony, nie spuszczać oczu z tańczących w powietrzu duszków. Jego rozmarzony głos zaskoczył wszystkich.

— *Strange Brew Cream* – wyznał Tom, szczerząc zęby w uśmiechu. Laura zrobiła zszokowaną minę.

— Jesteś pewien, że nie Beethoven? – spytała z sarkazmem.

— Przestań nam dogryzać – powiedział Church – tylko dorzuć coś od siebie, żebyśmy i mogli się z ciebie pośmiać.

Zmarszczyła nos.

— Boże, czy ja wiem. *Hey Boy Hey Girl* Chemical Brothers. Albo coś Celine Dion – dodała zjadliwym tonem. – A co ty nam powiesz, Shavi-davi? – Uniosła okulary przeciwsłoneczne, żeby móc lepiej przyjrzeć się jego minie. – Jakieś peruwiańskie rzępolenie na fletnię Pana? Techno z Kaszmiru? Tybetańskie zawodzenia? Solówki na aborygeńskiej tubie didgeridoo?

— *Move On Lip* Curtisa Mayfielda, jeśli już musisz wiedzieć. – Naigrywał się z niej odrobinę. – Za pozytywne przesłanie.

— Jezu Chryste, nie mogłeś po prostu powiedzieć, że melodia ci się spodobała? – Dziewczyna cisnęła w niego swoim wojskowym butem, ale szaman uchylił się w porę i schował za Tomem. Nie wiedzieć czemu, hipis wyglądał na mocno zaniepokojonego.

Church nie chciał psuć atmosfery beztroski, ale ktoś, prędzej czy później, musiał to zrobić.

— Słuchajcie, musimy podzielić się zadaniami – zaczął. Nikt nawet nie spojrzał w jego stronę. Czyżby tylko w myślach sformułował to zdanie? Nie, wyczuwał, że coś się zmieniło. Było tak, jakby czas się nagle zatrzymał. Z wstrzymanymi oddechami czekali na wyrok. Sądzę, że to ja powinienem wejść do Tronu Artura...

— I mówisz to z taką poważną miną, Churchill. – Głos Laury nagle zrobił się znużony. – Zawsze powtarzam, że Bozia nie dała ci poczucia humoru.

— ...a Tom pojechać do kaplicy Rosslyn.

— Nie ma mowy – powiedział Tom stanowczym tonem.

— Przecież to chyba oczywisty wybór – zaprotestował Church. Tylko ty znasz dobrze historię tego miejsca, to ty pobierałeś nauki u ludzi, którzy uwięzili boga.

— Nie ma mowy – powtórzył Tom.

Laura przyjrzała mu się uważnie.

— On się boi.

Tom rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Boję się, boję i przyznaję się do tego bez bicia, jak każdy człowiek, który ma odrobinę oleju w głowie. Ale nie o to chodzi. Każde z nas ma przypisaną rolę, a moją jest rola przewodnika, który odkrywa przed wami prawdy o nowych porządkach, o krwiobiegu ziemi. Muszę towarzyszyć Jackowi, wspierać go,

służyć radą. Być mu nauczycielem. Może nie jestem ucieleśnieniem Ducha Pendragona, tak jak wy, ale jestem z nim po wieczność silnie związany. Oświećła moją drogę, a ja w zamian zrobię wszystko, żeby mu pomóc.

— Czyli strach nie ma tu nic do rzeczy? – spytała Laura z fałszywie słodkim uśmiechem. Tom odwrócił wzrok.

— Ja mogę pojechać do Rosslyn – zaoferował się Shavi. – Z Veitchem i Laurą.

Tym razem to Veitch miał obiekcje.

— Zostaję tutaj. – Z jego twarzy znikły resztki łagodności.

— Po co? – Church poczuł, że parzą go świeże szwy na palcu.

— Ktoś musi odbić Ruth. Mogę to być i ja.

— Na własną rękę?! – wybuchł Church. – Prawda, prosiłem cię, żebyś coś wymyślił, ale liczyłem na to, że będziesz zastanawiał się dłużej niż pięć minut!

— Wiem, co robię.

— Świetnie. Pewnie planujesz dostać się do twierdzy Fomorian wyważając wytrychem jakieś drzwi na zapleczu, w cudowny sposób wyminąć wszystkie straże i wynieść Ruth na rękach sekundę przed wielką eksplozją, która posłuży wam za malownicze tło?

— Coś w tym stylu.

— No cóż, na eksplozję to akurat możesz liczyć, bo w tym samym momencie będę budził Studnię Ognia, właśnie po to, żeby rozbiła w pył fortecę, po której będziesz się kręcić.

Veitch wzruszył tylko ramionami. Widać było, że nie zniechęcił się tak łatwo.

— Pan mięśniak się zakochał – zaszczebotała drwiąco Laura. Veitch zgromił ją wzrokiem, ale nic nie powiedział.

— Ryan... – zaczął Church.

— Zamierzam tam jakoś wejść i uwolnić dziewczynę. Po prostu, bo tak trzeba. Tak jak wy ratujecie świat, bo tak trzeba. Jeśli uda mi się przeniknąć do twierdzy, zanim to całe gówno trafi w wentylator, może...

— Skąd będziesz wiedział, kiedy nadejdzie odpowiedni moment?

— Już moja w tym głowa. Czuję takie rzeczy. Sam mi mówiłeś, mam talent do wychodzenia cało z opresji. Nie wiem skąd to się bierze, ale jestem w tym coraz lepszy. Zmieniłem się. Jestem teraz lepszym człowiekiem. I nie mam zamiaru zmarnować moich zdolności.

Londyńczyk patrzył w dal. Widać było, że sam nie do końca rozumie swoją przemianę. Church przyglądał się mu badawczo jakiś czas, po czym pokiwał głową.

— W takim razie wszystko postanowione, ja i Tom idziemy do Studni. Laura i Shavi jadą na południe do kaplicy. A Veitch...

— Bawi się w bohatera *Mission Impossible*. Wiem, Ryan, że jesteś twardym kolesiem wychowanym przez ulicę, ale kiepsko to widzę. Churcha zaskoczyło to, że Laura wydawała się być autentycznie zmartwiona. – Człowieku, to ich największa twierdza. Trzymają tam to, co dla nich najważniejsze. Tego skarbu bronią ich najlepsi wojownicy, najpotężniejsze zaklęcia. A po drugiej stronie: ty. Dziewczyna zamilkła na moment. – Może już zdjąć z ciebie miarę na trumnę?

— Muszę zaryzykować. Spójrzmy prawdzie w oczy, spośród nas tylko ja się nadaję do tej roboty. A jeśli mnie zaciukają, trudno, przynajmniej zginę w słusznej sprawie. O to przecież w tym wszystkich chodzi, czy nie tak? – Veitch zwrócił się do Churcha. – W kółko to nam powtarzasz: obowiązek, szlachetność, misja. To właśnie mój obowiązek. – Zawstydział się, spostrzegłszy

w oczach kompanów nieklamany podziw.

Laura otworzyła usta, żeby sarkastycznie skomentować sytuację, jak to miała w zwyczaju, ale po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Spochmurniała i przygryzła wargi. Church pomyślał, że chciałby zobaczyć, co kryją teraz jej ciemne okulary.

— Gdzie zarządzasz zbiórkę? – spytał Veitch z optymizmem w głosie.

— Po wszystkim spotkajmy się na cmentarzu franciszkańskim.

Church spędził poprzedni wieczór nad planem miasta z przewodnikiem w ręku, walcząc z mdłościami, które wywoływał przeszywający ból palca.

— Dlaczego właśnie tam?

— A bo zawsze chciałem zobaczyć pomnik Bobby'ego. To taki piesek, co ileś tam lat siedział na grobie swojego pana. Mówię wam, wielka atrakcja turystyczna. Naprawdę warto. – Przywódca grupy próbował żartować, choć nie mógł przestać myśleć o tym, że Veitch najprawdopodobniej już do nich nie dołączy. – Sądzę, że łatwo stamtąd wyjechać z miasta. No i będzie widać jak na dłoni, czy całe gówno trafia w wentylator.

Wszyscy popadli w zamyślenie.

Nikt nie miał ochoty odejść pierwszy. W końcu wziął to na siebie Shavi. Przykucnął przy Veitchu i ścisnął serdecznie jego ramię, po czym, nie odwracając się, zaczął schodzić po zboczu. W jego ślady poszedł zaraz Tom i przechodząc koło Veitcha, pogłaskał go przelotnie po głowie. Biorąc pod uwagę, jak bardzo skrywał zwykle swoje uczucia, był to z jego strony wyjątkowo wzruszający gest. Laura też zatrzymała się za siedzącym w milczeniu mężczyzną, ale nie znalazła w sobie dość odwagi, żeby się otworzyć, i speszona odeszła pospiesznie za Shavim.

Dopiero teraz Church uświadomił sobie, jak silne były łączące ich więzi: przyjaźń, wzajemny szacunek, wiara, zaufanie. A nawet miłość. Potrafili okazać to sobie bez słów. Tym trudniej było uwierzyć duchom Celtów, utrzymującym, że jeden z członków drużyny jest zdrajcą.

— Mam cię tak zostawić samego? – spytał Veitcha. – Poradzisz sobie?

Londyńczyk uśmiechnął się z udawaną pewnością siebie.

— Pewnie nie, ale mam to gdzieś. – Zdjął koszulę, żeby poczuć na skórze ciepło słonecznych promieni. Tatuaze na jego torsie załśniły. – Widzisz ten tu? – Wskazał pentagram wyróżniający się na tle przeplatających się z sobą celtyckich ornamentów. – Zawsze się zastanawiałem, co to u licha jest. A to my, prawda? Pięć wierzchołków. Niby osobo, ale razem, a przez to silniejsi.

Church poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Jesteś byстрыm facetem, Ryan. Nie powinienes się z tym kryć.

— Tak, jestem bystry jak rzeka gówna. – Mężczyzna uściskał niezdarnie rękę Churcha ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Wiesz co, nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego mi się przytrafi, że będę taki... Mniejsza o to. – Machnął ręką zawstydzony. – Idź już lepiej. Czas goni.

Church zaczął schodzić w dół. W połowie drogi, gdy już wszedł między drzewa, spojrzął za siebie i żal ścisnął mu serce. Pomiedzy kolumnami pomnika, na tle rozświetlonego świtem nieba, majaczyła ciemna sylwetka osamotnionego towarzysza.





Kiedy wyruszyli w dwójkę do kaplicy Rosslyn, było już wczesne popołudnie. Prażące słońce przesłoniła wilgotna morską mgła zwana na wschodnim wybrzeżu Szkocji *haar*. Nadpłynęła z zatoki, przesłaniając Tron Artura i zamek, otulając dachy domów, wypełniając kleiście ulice. Laura i Shavi zastanawiali się, czy nie wynająć samochodu, ale Church przypomniał, że mogą w ten sposób zwrócić na siebie uwagę policji. W końcu szaman namówił dziewczynę na pokonanie tych kilkunastu kilometrów pieszo, odmówiła jednak dźwigania sprzętu biwakowego, musiał więc upchać wszystko we własnym plecaku. Z Princes Street skręcili w prowadzącą na południe Lothian Road, nad którą górowała posępnie zamkowa skała. Za ledwie parę metrów dalej zaczynało się Stare Miasto i Laura czuła się nieco nieswojo. Dałaby sobie głowę uciąć, że od zabarykadowanych uliczek po lewej bije nienaturalny chłód. Oboje woleli się iść chodnikiem po drugiej stronie jezdni, bliżej nowoczesnych siedzib banków i towarzystw ubezpieczeniowych. Wszystko, co związane ze współczesnością, w dziwny sposób pokrzepiało. Z ulgą zostawili kamieniczki za sobą. Na horyzoncie różowiły się wzgórza Pentland, wśród których leżał cel ich wyprawy.

Nie padało, ale *haar* przyniosła z sobą tyle wilgoci, że wkrótce przemokły im cienkie, letnie ubrania, a włosy Laury, zwykle sterczące zawadiacko, zwisały żałośnie, klejąc się jej do czoła.

— Chyba nie są ci już potrzebne te ciemne okulary – zauważył Shavi.

— Zdejmę je, słowo, jak tylko zrobisz się mniej pompatyczny. Popatrzyła na jezdnię. – Mały ruch jak na stołeczne miasto.

— Ludzie wolą nie ruszać się z domu bez wyraźnej potrzeby. Wyczuwają podświadomie niebezpieczeństwo.

— A jeszcze nie jest tak źle.

Ulica wiła się wśród wzgórz. Piechurzy mijali eleganckie sklepy, których wystawom przyglądało się kilku nielicznych śmiałków. Kiedy doszli do wiaduktu nad obwodnicą, Laura oparła się o barierkę, żeby sprawdzić, czy i tam w dole ruch samochodowy jest równie niewielki.

— Skoro wstrzymano wszystkie loty, pewnie zamknięto lotnisko – przypomniał jej Shavi. – No i wiele zmian przyniosła ewakuacja Starówki. W tamtejszych sklepach i lokalach pracowało masę ludzi, mieściły się tam też redakcje większości dzienników. Nawet szkocki parlament nie ma gdzie teraz obradować.

— Czy ludzie nie zdają sobie sprawy, że już nic nie będzie tak jak dawniej?

— Chyba to wyczuwają, ale cóż, taka już jest natura ludzka. Choćby trwała wojna, próbujemy zachować pozory normalności.

Miasto z wolna przechodziło w wieś. Po kilkunastu minutach marszu Laura zaczęła narzekać na ból w stopach. Nie było innej rady – odtąd musieli się często zatrzymywać, aby dziewczyna mogła opatrzyć kolejne otarcia.

— Nigdy w życiu nie szłam tak długo – wyjęczała na kolejnym postoju.

— Och, a ja kiedyś spędziłem kilka tygodni wędrując po Kaszmirze...

— Dałbyś spokój. – Odeszła kuśtykając, nieskora przysłuchiwać się jego wspomnieniom. – Boże, zaraz oszaleję z bólu!

Późnym popołudniem znaleźli się pod drogowskazem, według którego należało teraz zejść z głównej drogi. Szli jakiś czas wśród namokłych pól, aż dotarli do wsi o nazwie Roślin. Niebo tymczasem zrobiło się stalowe.

— Czy wiesz, że niedaleko stąd znajduje się Roślin Institute, w którym sklonowano owieczkę Doiły? Cały czas zdarzają się tu cuda.

— Hip hip hurra – burknęła Laura.

Tuż przed pierwszymi zabudowaniami wioski, kolejny drogowskaz nakazał im skręcić w prawo. Wąska alejka prowadziła do parkingu przy kaplicy. Czuli, że tajemniczy budynek jest już niedaleko w okolicy panował przygnębiający nastrój, jakby dawały o sobie znać kryjące się pod ziemią siły. Kaplicę okazały się skutecznie przesłaniać drzewa, wysoki mur i budynek administracyjny. Brama w ogrodzeniu była już zamknięta, podobnie jak sklep z pamiątkami i punkt informacji turystycznej. Z pewnością o tej porze nie było łatwo dostać się do środka.

Shavi wpadł chyba na jakiś pomysł, ale Laura nie pozwoliła dojść mu do głosu.

— Nawet o tym nie myśl. Dzisiaj tam nie wejdem. Zasedzimy się, zajdzie słońce i co? Nie ma mowy.

Szaman uśmiechnął się.

— W takim razie rozbijmy gdzieś namiot.

Ruszyli przed siebie, chcąc znaleźć miejsce, w którym nikt by ich nie niepokoił, a i oni nikomu by nie przeszkadzali. Woleli nikogo nie drażnić, żeby uniknąć kontaktu z policją. Stroma ścieżka zawiodła ich na schludnie utrzymany cmentarz, gdzie zmurszałe nagrobki mieszały się z nowymi. Szlak omijał to miejsce i zniknął wśród drzew. Nie było tu słyhać żadnych odgłosów życia – ani śpiewu ptaków, ani warkotu samochodów – tylko ściekające z liści krople wody w równych odstępach czasu uderzały o ziemię.

Laura zerknęła w stronę zielonej gęstwiny.

— Może to tylko ta pogoda, ale w powietrzu wisi tu jakaś... rozpacz.

Shavi tylko pokiwał głową.

Kiedy minęli cmentarz, gałęzie utworzyły nad ich głowami coś na kształt stropu tunelu. Zrobiło się ciemniej. Spod ich stóp wyskoczył spłoszony królik i znikł zaraz w zaroślach po lewej. Skądś dobiegał szum niewidocznego strumienia. Wyszli z lasu. Widok, który ukazał się ich oczom, zaparł obojgu wędrowcom dech w piersiach. Poniżej rozpościerała się wąska dolina znaczone gdzieniegdzie kępami drzew, których czubków czepiały się białe resztki mgły. Wokół panowała idealna cisza.

— Pięknie tutaj – powiedziała Laura – ale jest w tym miejscu coś nienaturalnego. Wiem, że gadam bzdury. Nienaturalne wiejskie krajobrazy, też mi coś!

Szlak wiódł dalej w kierunku kamiennego mostku wiszącego wysoko nad dnem doliny. Po jej przeciwnej stronie czepiały się stromego zbocza bajkowe ruiny kamiennego zamku. Zza zapadniętych wieżyczek i dziurawych murów prześwitywały rozświetlone okienka – ocalała część budynku była widać nadal zamieszkiwana. Piechurzy skręcili przed mostkiem w ledwie widoczną ścieżkę schodzącą ostro w dół. Wkrótce na powrót znaleźli się wśród drzew. Rosły tu dęby, jesiony i wiązy, a sądząc po ich rozmiarach, las był bardzo stary. Także poszycie zachwycało bogactwem gatunków – wprawne oko rozpoznałoby kosmatkę, skalnicę, szczawik zajęczy i szczyr trwały.

Laura nadal czuła dziwny niepokój. Zerknęła na Shaviego. Widać było, że i jego coś gryzie. Miał niepewną minę, a niezmiernie rzadko zdarzało mu się okazywać negatywne emocje. Coś wisiało w powietrzu, biło od drzew i skał. Szli wzdłuż spienionej rzeki, aż natrafili na polanę. Gdyby zdecydowali się tu

rozpalić ognisko, nikt z zamku nie byłby w stanie go dostrzec.

— Jesteś pewien, że nie chcesz wrócić i rozejrzeć się za jakąś kwaterą? – Laura przestraszyła się nie na żarty, widząc, że Shavi na serio rozważa jej propozycję.

Rozbili namiot tyłem do gęstych zarośli, żeby zyskać pewność, że choć od tej strony nikt się nie podkradnie. Nie miało to poniekąd większego sensu, bo pobliska rzeka huczała z taką siłą, że i tak nie usłyszeliby z daleka niczyich kroków. Z pewnością nie poprawiło to Laurze humoru.

— Gdybyśmy byli postaciami z filmu, powiedziałabym teraz: „Wiesz, mam takie nieodparte wrażenie, że ktoś nas obserwuje”. – Shavi pokiwał głową ze zrozumieniem. – A ty byś odpowiedział: „Nie bądź głupia. To tylko cienie”.

— Myślę, że zbytnio nie ryzykując, możemy rozpalić ognisko. Spojrzał na strzępki mgły bielące się w koronach drzew. – Zrobi się tu ciemniej o wiele szybciej, niż gdybyśmy byli na płaskim terenie.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz zrobić latarnię, którą zobaczą stąd w Holandii.

Przez następne pół godziny Shavi zbierał zapas opału na całą noc, a spochmurniała Laura czekała na niego siedząc u wejścia do namiotu i uspokoiła się nieco dopiero na widok żarzącego się chrustu. Ugotowali na kolację trochę ryżu, a Shavi upiekł nad ogniskiem wegetariańskie szaszłyki z papryki, cebuli i pomidorów. Jedli w milczeniu, wsłuchani w odgłosy natury: trzask płomieni, szum rzeki, szmer listowia.

Szaman miał rację, co do zapadania zmroku w głębokiej dolinie. Ciemność niepokojąco szybko przegoniła resztki słonecznego światła i rozsiadła się wokół tuż za kręgiem ogniska. Zdawało się, że to nie drzewa szeleszczą, tylko mrok oddycha.

Laura nawet nie zauważyła, kiedy oparła głowę o ramię swojego towarzysza, odruchowo szukając w jego ciepłe pocięchy. Objął ją ramieniem, ale po przyjacielsku, bez żadnego podtekstu – to, co zaszło między nimi w Glastonbury, nie miało się powtórzyć. Kojąca obecność mężczyzny cieszyła ją z niezliczonych powodów.

— Wyglądasz na zadowoloną z życia.

— A ty wyglądasz na dupka, ale ci tego nie wypominam.

Uśmiechnął się i oboje zamilkli na chwilę.

— Cóż – stwierdził – miłość musi spotykać na swojej drodze trudności.

— Jak my wszyscy.

Znów zapadła cisza.

— Dlaczego musi?

— Wartość wszystkiego wyznaczają trudności, jakie trzeba pokonać. A miłość to najcenniejsza rzecz na świecie.

— Mów za siebie. Ja tam wolę zmrożoną butelkę wódki Stolichnaya, uncję libańskiego haszyszu i trochę ciszy i spokoju.

— Jackowi jest teraz wyjątkowo ciężko. Bardzo przeżył tę historię z czarną różą.

— Każdego coś boli.

— W dodatku spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność. Uważa, że sobie nie poradzi. Jest rozdarty pomiędzy tym, czego naprawdę pragnie, tym, co podpowiada mu serce, a tym, czego się od niego wymaga.

— Za dużo myśli o tym, ile to się trzeba poświęcać, jak przystało na wielkiego bohatera.

— To prawda. – Shavi pogłaskał dziewczynę po ramieniu. – Ale to dobry człowiek. Lepszy od każdego z nas.

— Wiem o tym.

— Wszyscy o tym wiedzą. Z wyjątkiem Jacka.

— I pewnie zaraz mi powiesz, że powinnam dać sobie z nim spokój?

— Nie. Zamiast tego wyjaśniam ci dlaczego.

— Uważasz, że źle postąpiłam, pozwalając sobie na ten związek, prawda?

Spojrzała na niego, ale nie spuszczała wzroku z drzew.

— Sądzę, że w innych okolicznościach wasz związek miałby większe szanse na przetrwanie. Teraz, oprócz tego, co się dzieje z wami, musicie radzić sobie z tą całą zawieruchą wokół.

Odwróciła głowę, żeby nie widział wyrazu jej twarzy.

— Ale znasz swoje serce lepiej niż ja – dokończył Shavi. Zerknął na nią, licząc, że jednak spojrzy w jego kierunku, ale nie chciała zdradzać mu, tego, co czuje. – A jeśli te wszystkie bolesne doświadczenia mają nas czegoś nauczyć, to właśnie tego, że o pewne rzeczy warto walczyć, walczyć do ostatniej krwi. I że zdarzają się cuda.

— Z kim według ciebie powinien związać się Church?

— Myślę, że... – Próbował tak dobrać słowa, żeby jej nie urazić. Moje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia.

— Dla mnie ma. – rCiedy nie zareagował, dodała ledwie słyszalnym szeptem: – On jest dla mnie ostatnią deską ratunku.

— Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał zaciekawiony.

— Nic.

Shavi zamyślił się nad jej słowami.

— Jesteś dobrym człowiekiem – oświadczył stanowczo.

— Bzdura. Niegrzeczna ze mnie dziewczynka. I skończę już niedługo tak, jak na niegrzeczną dziewczynkę przystało.

— Nie...

— Nie wciskaj mi tu kitów o zbawieniu i przebaczeniu! –

Twarz dziewczyny wykrzywiły skrywane od dawna emocje. – Nawet nie zaczynaj! Wszystko będzie dobrze, tak? Nie tak wygląda prawdziwe życie!

— W moim świecie tak jest.

Zerknęła na niego z niedowierzaniem, zszokowana tym niezachwianym optymizmem, ale zaraz odwróciła wzrok. Na jej twarzy malowała się taka rozpacz, takie zagubienie, że Shavi zapragnął przytulić ją jak zapłakane dziecko.

Zanim jednak to zrobił, coś odwróciło jego uwagę. Kątem oka dostrzegł, że wśród drzew coś się poruszyło. Mógł to być tylko cień rzucany przez rozkołysaną gałąź albo zafascynowane ogniskiem zwierzę, ale intuicja podpowiadała mężczyźnie, że ma powody do niepokoju.

Laura wyczula, że zeszywniał podenerwowany.

— Co jest grane? – spytała.

— Nie wiem.

Shavi podniósł się z miejsca i podszedł do ogniska.

— Nigdy nie widziałeś horroru? Tylko nigdzie nie odchodź, idioto!

— Stąd lepiej widać, czy... – Słowa uwięzły mu w gardle w tak oczywisty sposób, że Laura nie musiała nawet na niego patrzeć, żeby zyskać pewność, że dojrzał w zaroślach coś okropnego.

— Co to jest, do cholery? – szepnęła przerażona, zrywając się na równe nogi.

Strach zbił się w twardą kulę w jej piersi, ale prawdziwą jego siłę poczuła dopiero wtedy, kiedy Shavi ruszył nagle przed siebie i znikł w ciemnościach. Pod Laurą ugięły się kolana.

— Wracaj! – Odpowiedziało jej echo. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jak ktoś mógłby postąpić aż tak nierozważnie?



Usiadła zrezygnowana. Była zupełnie sama, tak maleńka i bezbronna w porównaniu ze wszystkimi nadprzyrodzonymi siłami nowej ery. Lęk obezwładnił ją do tego stopnia, że nie mogła nawet ruszyć małym palcem. Zewsząd ku ognisku cisnął się gęsty jak smoła mrok. Wyteżyła słuch, chcąc wyłapać odgłos kroków wracającego kolegi, jakikolwiek dźwięk, który świadczyłby o tym, że szaman jeszcze żyje. Nic. Nic prócz szumu rzeki, szelestu liści, poskrzypywania gałęzi w podmuchach ciepłego wiatru. Liryczne odgłosy natury doprowadzały ją na skraj szaleństwa. Było tak głośno, a jednocześnie tak upiornie cicho.

— Shavi – szepnęła, nie licząc raczej na to, że mężczyzna ją usłyszy – bardziej, by dodać sobie otuchy brzmieniem ludzkiego głosu. Miała ochotę krzyknąć: „Proszę, nie rób mi tego! Nie jestem dość silna, by poradzić sobie sama!”.

Zdawało się jej, że minęły całe wieki. Postarzała się w ciągu tego czasu, zmarniała, zapadła w sobie. Bolały ją napięte do granic możliwości mięśnie, ściśnięty żołądek prowokował wymioty. Bała się, że ze stresu lada chwila straci przytomność. Zachodziła w głowę, co też takiego mogło się stać. Czy coś Shaviego rozszarpało? Połknęło naraz? Czy nieznany potwór pożywia się teraz w pobliżu jego szczątkami, a gdy skończy posiłek, zajmie się i nią samą?

Wszystkie te przemyślenia złożyły się na przejmujący krzyk, którym przywitała szamana, gdy ten wreszcie wyłonił się z zarośli.

— Spokojnie – powiedział zachrypniętym głosem.

— Ty kretynie! Ty draniu! – Czuła ogromną ulgę, ale i zawstydziło ją to, że dała po sobie poznać, jak bardzo się bała.

Strach zresztą zaraz powrócił. Kiedy Shavi usiadł u jej boku,

zauważyła z przerażeniem, że jego śniada twarz dziwnie poszarzała. Mężczyzna postarzał się w lesie o dobre piętnaście lat. Wyglądał na kogoś, kto dźwiga ogromny emocjonalny ciężar.

— Co tam było?

Zdało jej się, że szamanowi brakuje słów, by opisać swoje doświadczenie.

— Nic – wykrztusił w końcu.

Zdenerwował ją tym żalonym kłamstwem. Pchnęła go brutalnie.

— Nie traktuj mnie jak idiotkę. Chronisz mnie przed szokiem, jak jakąś małą dziewczynkę. To najgorsze, co możesz zrobić.

Przełknęła głośno ślinę. Czekwała na jego odpowiedź, zerkając co rusz lękliwie ku ciemnej ścianie lasu.

— To nic takiego. Nic, czym powinnaś się martwić.

— Ale co to jest?

W jego oczach zobaczyła coś, co wstrząsnęło nią do głębi. Po raz pierwszy wdziała go w takim stanie. Do tej pory Shavi jawił jej się jako wyciszony mędrzec, któremu obce były lęki czy rozterki zwykłych ludzi. W chwilach kryzysu mogła zawsze liczyć na jego kojącą pogodę ducha, pocieszyć się myślą, że i ona może kiedyś osiągnie wewnętrzny spokój. Teraz tajemnica lasu odebrała jej to wszystko.

— Co to jest, Shavi? – Pogłaskała go nieśmiało po policzku. – Co tam zobaczyłeś?

— Co zobaczyłem? – powtórzył zdławionym głosem. – Zobaczyłem Lee. Mojego chłopaka. Chłopaka, który nie żyje od dwóch lat. Od dwóch lat! Na moich oczach zabito go na ulicy jak psa. Powiedział... Boże, co on mi powiedział... – Zamilkł, a twarz jeszcze bardziej mu pobladła.

Laura pamiętała, jak szaman opowiadał im o tym tragicznym

wydarzeniu, nie wiedząc jeszcze, że zostało ono zaaranżowane przez Tuatha Dé Danann. Z rozkazu Złotego Ludu każde z nich zetknęło się ze śmiercią, co miało ich przygotować do roli wybrańców.

— To naprawdę był on?

Uświadomiła sobie nagle, że skoro Shavi natknął się w lesie na Lee, ona sama również może w każdej chwili spotkać swoją zmarłą matkę. Nie, tego by nie przeżyła. Nowy lęk zepchnął zaniepokojenie stanem kompana na drugi plan.

Mężczyzna odgadł widocznie jej myśli, bo rozpogodził się nieco.

— To moje brzemię. Cena, którą musiałem zapłacić za wskazówki duchów z Mary King's Close.

— Ależ to okropne! To nie cena tylko wyrok! To nie *fair*!

— Nie przejmuj się. To moja sprawa. Poradzę sobie.

Widać było wyraźnie, że szaman nie czuje się na siłach dłużej o tym rozmawiać. Laurę korciło, żeby zapytać co powiedział mu Lee, ale zdawała sobie sprawę, że Shavi i tak nic jej nie wyjawia. Sądząc po jego minie, było to coś wstrząsającego. Jak długo jeszcze miał mu towarzyszyć ów gość z zaświatów? Czyżby do końca jego dni? Na samą myśl o tym ogarnęła dziewczynę fala tak gorącego współczucia, że niewiele myśląc, obiema rękami przycisnęła mężczyznę mocno do siebie. Siedzieli tak jakiś czas, on z głową na jej piersi. Kołysząc się delikatnie, głaskała go po włosach. Choć nie skarżył się na swój los, tak bardzo, bardzo chciała mu jakoś pomóc. Ale później, gdy spojrzała mu prosto w oczy, zrozumiała, że nie ma dla niego lekarstwa.



Obudziła się w środku nocy, zaskoczona, że w ogóle zdołała zasnąć. Usiadła. Przed oczami miała wciąż poszarzałą twarz towarzysza. Niegdyś dużo rozmyślała o śmierci i tym, co ją po niej czeka – teraz wszystko, czego obawiała się najbardziej, stawało się faktem.

Zjawa w lesie, pobyt na pustkowiu, smutne oczy Shaviego, matka, Church...

Nagle Laura uświadomiła sobie, że nie ocknęła się bez przyczyny. Z początku, oszołomiona snem, nie pamiętała, co ją zbudziło. Koszmar? Jakiś szmer? Jej kompan spał smacznie tuż obok. Na zewnątrz wiatr pojękiwał w gałęziach drzew, wzdychały liście, gniewnie fukała rzeka – ot, letnia noc w dziczy. Nie było w tym nic niepokojącego.

Starczyło jednak na powrót przyłożyć głowę do poduszki, za którą służyła dziewczynie kupka zwiniętych ubrań, by usłyszeć... Czy raczej wyczuć szóstym zmysłem? Dziwny odgłos był ledwie uchwytny, zdawać by się mogło, że to tylko halucynacja. Najpierw drganiem dał o sobie znać opuszkom jej palców, a gdy przytknęła ucho do cienkiej podłogi namiotu, zagościł także w jej uszach. Bum–bum, bum–bum. W równym rytmie. Z głębi ziemi. Tak delikatne, a jednak dalekie, a więc jakże w istocie silne! Niesłabnące uderzenia.

Laura próbowała sobie wmówić, że pewnie jeszcze śni, że to jakaś pompa albo pogłos rzeczno-nurtu niosący się w glebie.

Bum–bum, bum–bum.

Zdawało się ją przyzywać i odstraszać zarazem. A potem pojęła, w co się wsłuchuje. W bicie serca, które nigdy nie miało poznać śmierci, serca zagrzebanego pod prastarą górską doliną. Dziewczynę przeraziła ta wizja. Zacisnęła mocno powieki,

zatkała uszy, ale natrętny odgłos siedział już w jej głowie, nie potrafiła się go stamtąd pozbyć. Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka. Bum–bum, bum–bum. Nieustający rytm szaleństwa i śmierci.



Kiedy Laura i Shavi zostawiali za sobą centrum Edynburga, Church z Tomem obchodzili właśnie północno–wschodni fragment Starego Miasta. Biegającą wzdłuż blokad ulicznych drogą u stóp wzgórza Calton doszli do zielonych trawników wielkiego parku Holyrood otaczającego byłą siedzibę królów Szkocji. Pałac wylaniał się posepnie zza wilgotnej mgły, której białawe kłęby przesłoniły także cały masyw Tronu Artura z wyjątkiem pierwszych kilku metrów zbocza. Ukochane niegdyś przez biegaczy i psiarzy ścieżki byty zupełnie puste. Panowała tu trudna do zniesienia, melancholijna atmosfera.

Po drodze obaj mężczyźni nie zamienili z sobą ani słowa. Teraz, stojąc przy kamiennej obudowie źródła, czuli bijący zewsząd nienaturalny chłód.

— No to jesteśmy – powiedział Church, jakby nie było to oczywiste.

Było to dziwne miejsce: porośnięta niekoszoną trawą, znaczone skalistymi połączeniami dzicz wznosząca się nad centrum gwarne do niedawna miasta – dowód na to, że człowiek nie jest w stanie do końca zawładnąć naturą. A w sercu tej dziczy ujarzmiony zdroj. Po obu stronach wznoszącego się w zbocze podestu, a także nad nim, biegt rząd żelaznych sztachet. Za kolejną kratą, z dala od rąk wandalii, tryskało źródło. Woda

sączyła się do niewielkiego kamiennego zbiornika spod ciemnej kamiennej płyty pokrytej nawarstwionym przez wieki nalotem. Pachniało tu lochem i zimnym żelazem. Nad płytą umieszczono tabliczkę informacyjną:

*STUDNIA ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY*

*Unikalna obudowa źródła pochodzi z końca XV wieku i została pierwotnie wzniesiona w Restalrig, nieopodal kościoła, którego nawy bocznej jest miniaturą.*

*Przeniesiono ją w roku 1860 ze względu na rozbudowę kolei, i zrekonstruowano nad tutejszym naturalnym źródłem.*

Przeczytawszy uważnie ten napis, Church spytał Toma: – Czy, kiedy ją przeniesiono, ten ktoś, kto nadzorował tą akcją, wiedział, że to tu właśnie znajduje się wejście na ścieżkę pod Tronem Artura?

— Na pewno to nie przypadek.

Tom lustrował płytę, jakby spodziewał się, że znajdzie w niej zamek.

— Więc ktoś był wtajemniczony?

— Być może. W ustnych przekazach przetrwało wiele tajemnic. Istnieje sporo tajnych stowarzyszeń, których członkowie pielęgnują swoją wersję prawdy. Wiedza jest przekazywana z matki na córkę, z ojca na syna. Możliwe też, że ludzie, którzy przenosili głazy, nie byli świadomi tego, że są przez kogoś manipulowani.

leszcze kilka tygodni temu, Church prychnąłby, słysząc te rewelacje, ale od tego czasu zdążył się już nauczyć, że rzeczywistość kształtuje nie tylko to, co widzialne.

— Jak dostaniemy się do środka? Widzisz coś, tak jak w Tintagel?

— Owszem, widzę, ale moją rolą jest sprawić, abyś sam to zobaczył.

— Ależ ja nic nie widzę!

— To dlatego, że nie patrzysz tak, jak należy – stwierdził Tom nieco zniecierpliwiony.

Church zaczął zezować i mrużyć oczy na różne sposoby, licząc na to, że łatwiej mu będzie tak dostrzec jakiś umykający mu szczegół. Rozeźliło to tylko jego przewodnika.

— Czy niczego się jeszcze nie nauczyłeś?

— Tak, jednego – odszczeknął Church. – Że działasz mi na nerwy.

— Ludzie w kotko popełniają ten sam błąd. Po pierwsze, używają swoich pięciu zmysłów z osobna. Po drugie, uważają, że to wszystkie narzędzia, jakie mają do dyspozycji. Czy nie mówiłem ci, że masz zaufać swojej intuicji? Wyczuj linie krwiobiegu ziemi, jej pulsujące energią żyły i tętnice. Wejście kryje się tam, gdzie puls bije najsilniej.

O swoim odkryciu powiadom po kolei wszystkie zmysły, aż zaczną z sobą płynnie współpracować. To wejście pachnie, woła ciebie, w powietrzu unosi się jego smak.

Church spróbował postępować według instrukcji hipisa.

— Nie wychodzi mi. – Machnął ręką. Nagle coś nim szarpnęło, aż musiał odwrócić się na pięcie. To Tom złapał go za ramię.

— Nie starasz się dość mocno. Skoncentruj się. Zaangażuj rozum i serce. Uwierz w to, co ci powiedziałem, do licha, inaczej nic z tego nie wyjdzie!

— Dlaczego niby mam umieć to robić?

— Dlaczego? Bo jestem kimś wyjątkowym, choć Bóg jeden wie, czemu akurat na ciebie padło. Jesteś ucieleśnieniem Ducha Pendragona. Krąży w tobie jego moc. Ja sam nie jestem równie

silnie związany z ziemią czy jej energią. Gdyby świat był idealny, to ty byś mnie uczył!

Z ciężkim westchnieniem Church na powrót stanął przodem do źródła.

— Trudno uwierzyć w jednoczenie zmysłów i takie tam.

— Dość tego jęczenia. Do roboty.

Mężczyzna skupił się. Po chwili, zrezygnowawszy z wypatrywania wyrytych w kamieniu detali, zamknął oczy. Chyba pomogło. Wyobraził sobie, że z mroku zaciśniętych powiek wyłaniają się błękitnie kreskowane ścieżki, podobne do śladów, jakie na ciemnym niebie pozostawiają wystrzelone race. A potem uświadomił sobie, że to nie wyobraźnia. Im mocniej się koncentrował, tym wyraźniej te linie widział: tworzyły delikatnie zarysowaną sieć. Wysilił się jeszcze bardziej, co uwrażliwiło jego zmysły. Uszu Churcha dobiegło miarowe brzęczenie, jakby stał pod linią wysokiego napięcia. Zapachniało rozgrzanym żelazem, poczuł w ustach jego smak.

Otworzył oczy, lecz wizja się nie rozviała. Ścieżki energii żarzyły się błękitem tuż pod powierzchnią skal i gleby.

— Widzę – szepnął.

Rozejrzał się ostrożnie. Sieć rozchodziła się poza obręb obudowy źródła. Część arterii pięła się ku górze, ku wierzchołkowi Tronu Artura, część znikła po drodze we wnętrzu wzgórza, inne zdążyły na zachód, ku centrum miasta.

— Płynie we wszystkim. Wszędzie.

Zauważył, że niektóre odcinki krwiobiegu emitują bledsze światło lub kończą się raptownie, jakby obumarły. Był to dowód na to, że Church stopniowo porzuca intuicyjne postrzeganie świata, przestawiając się mimowolnie na rozumowanie w sposób bardziej świadomy. Zakłóciło to zespolenie zmysłów mężczyzny,



przez co zaczął tracić kontrolę nad spójnością wizji. Widząc, że linie zamazują się, przestraszył się nie na żarty i czym prędzej rzucił ku płycie nad źródłem, by przytknąć dłoń do punktu, w którym arterie zdawały się zbiegać. Wpierw poczuł silne mrowienie w opuszkach palców, a potem posypały się błękitne iskry. Zadudniło i płyta rozwarła się z niskim chrobotem. Gdy z wnętrza wypłynął już nadmiar wody, okazało się, że ponad ujściem źródła, za powstałą szparą, ciągnie się obszerny, ciemny tunel.

Tom chwycił mężczyznę za łokieć i wepchnął go do środka. Gdy tylko obaj znaleźli się w tunelu, kamienne wrota za nimi na powrót zwały się w jedno. Church spodziewał się, że otoczą ich egipskie ciemności, ale śliska skała, w której wyrąbano chodnik, fluoryzowała nikłym światłem, podobnym do tego, jakie o zmierzchu daje gasnące słońce. Starczało, by nie iść po omacku, i Tom ruszył już przed siebie różnym marszem.

Church dogonił go szybko. W powietrzu czuć było wilgoć, a od jaskiniowego chłodu przebiegały ciarki. Odgłos kroków niósł się echem w głąb korytarza.

— To było niesamowite. – Atmosfera tego miejsca zmusiła mężczyznę do mówienia szeptem. – Czy tak właśnie postrzegasz świat wokół siebie?

— Czasami. Kiedy sobie na to pozwolę.

— Boże... – Szukał odpowiedniego słowa, którym mógłby określić to, co poczuł na widok błękitnego krwiobiegu. Wszystkie przymiotniki brzmiały zbyt banalnie. – Zachwycające zjawisko – oświadczył w końcu. – Rozumiem teraz, czemu w przeszłości ludzie otaczali tę sieć kultem. Dzięki niej widać, że wszystko jest ze sobą połączone. Ten ogień płynie w skalach, w glebie... nawet w nas samych. – Przyjrzał się swojej dłoni.

— Tak właśnie myślano w neolicie. Wtedy wszyscy widzieli arterie ziemskiej energii.

— Co się takiego stało, że straciliśmy ten dar?

Tom wzruszył ramionami.

— Rozwijając w sobie racjonalność, straciliśmy kontakt z intuicją. Zapomnieliśmy po prostu, że potrafimy scalać zmysły w jedno, odbierać rzeczywistość całościowo. Oto jeden z przejawów arogancji współczesnego człowieka, jesteśmy święcie przekonani, że rozwój cywilizacyjny to ciągły postęp, że opieranie się wyłącznie na rozsądku i nauce to najlepsze podejście z możliwych. Ale co sądziłbyś o kimś, kto obciął sobie lewą rękę, żeby usprawnić prawą? Zdolność do holistycznego postrzegania, do wczuwania się w świat, to najbardziej niezwykła umiejętność pod słońcem. To zabawne, że choć utraciliśmy ją wieki temu, uważamy dziś siebie za supermanów, za najwspanialszy twór ewolucji. Co za ironia! Tak gorzka, że nie potrafię się śmiać.

Church zamyślił się na słowami nauczyciela.

W pewnym momencie chodnik zaczął łagodnie opadać. Wydawało się już, że cel ich wyprawy leży głęboko pod ziemią, gdy tunel odbił stromo do góry, by po chwili znów poprowadzić w dół. Nie minęło dużo czasu, a mężczyzna zupełnie stracił orientację.

— Mam pytanie – odezwał się.

— Proszę, śmiało.

— W wielu bajkach wróżki, koboldy i inne tego typu istoty boją się żelaza, chociaż z tego, co zauważyłem, Fomorianie i Tuatha Dé Danann mają do niego stosunek obojętny.

— Zgadza się.

— Ale żelazem pachnie i smakuje energia ziemi... Przerwał

zaskoczony, bo Tom uśmiechnął się szeroko.

— Punkt dla ciebie! Odkryłeś źródło legendy. Lękiem napawa ich właśnie błękitny ogień i wszystko to, co reprezentuje. Wiedzą, że to siła, za pomocą której można ich uwięzić. A przy użyciu wyjątkowo potężnej wiązki nawet zgładzić.

Churcha zdziwiło to, jakie uczucia wzbudziła w nim ta informacja. Gdyby stał teraz przed źródłem ognia, padłby na kolana.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że krwiobieg ma taką moc. Zatem jeśli zyskamy nad nim kontrolę...

— Widzisz teraz, że Bracia i Siostry Smoków są jednak w stanie obronić ziemię.

— Musimy go obudzić – oświadczy Church z mocą. Właściwie mówił tylko do siebie.

— Takie jest wasze przeznaczenie – przypomniał Tom.

Przed nimi tunel znów schodził w dół, w ciemność. Church sięgnął odruchowo po medalion od małej Marianny. Nie wiedział jak, ale wisiołek podnosił go na duchu.

— Co nas czeka tam dalej? – spytał zaniepokojony.

Tom pokręcił głową.

— To nie będzie łatwa przeprawa. Tak blisko potężnego źródła energii czas i przestrzeń ulegają zakłóceniu. Będziemy musieli być bardzo czujni.

— A kiedy już dotrzemy do celu, w jaki sposób zbudzimy błękitny ogień?

— Czy ja wyglądam na chodzącą encyklopedię? – zirytował się Tom. – Dojdziemy, to coś się wymyśli. Przynajmniej taką mam nadzieję.

To powiedziawszy, przyspieszył kroku.

Odkąd pozostali wyszli, hotel wydawał się Veitchowi dziwnie

opustoszały. Obiad zjadł stosunkowo wcześnie. Zamówił stek z ziemniakami i dobre czerwone wino, ale luksusy, na które do tej pory nie mógł sobie pozwolić, nie poprawiły mu wcale nastroju. Tyle się wokół działo, tyle decyzji musiał podjąć, tyle ryzykował, taka spoczywała na nim odpowiedzialność, że nie miał czasu tego wszystkiego przetrwać. Czuł w dodatku, że gwałtowne zmiany zachodzą nie tylko w świecie, ale i w nim samym. To była jego życiowa szansa. Mógł zostawić za sobą Ryana Veitcha, którym zawsze pogardzał, i stać się wreszcie człowiekiem swoich marzeń: dobrym, przyzwoitym, gotowym do poświęceń. Przed nastaniem nowych porządków wmawiał sobie zawsze, że jest jaki jest i nic nie da się na to poradzić – teraz nie miał najmniejszego zamiaru zmarnować okazji.

Wczesnym wieczorem przeniósł się ze swoimi myślami do hotelowego baru. Lokal świecił pustkami. Mężczyzna wiedział, że niemądrze jest mieszać alkohole, ale nie mógł się powstrzymać i zamówił duże piwo. Z przyzwyczajenia wybrał dla siebie taki stolik, żeby móc widzieć drzwi.

W połowie opróżniania kufła zauważył owego eleganckiego starszego pana, który poprzedniego dnia zagadnął go tajemniczo w holu. Siedział nieopodal z dłońmi założonymi na rączce laski i uśmiechał się do Veitcha przyjaźnie. Znow miał starannie zaczesane włosy, a na sobie idealnie skrojony garnitur.

— Wie pan – odezwał się dżentelmen – o tej porze roku zazwyczaj nie można się tu dopchać do baru.

Veitch z grzeczności odwzajemnił uśmiech, ale nic nie powiedział. Nie miał talentu do takich pogaduszek, zwłaszcza z kimś spoza swojego środowiska. Niezależnie od tego, jakie sam miał o sobie mniemanie, przy ludziach z klasy średniej czy wyższej czuł, że jest nikim – niewykształconą miernotą, chamem

bez obycia. Mimo wszystko, jego sąsiad zrobił na nim dobre wrażenie: uśmiechał się szczerze i najwyraźniej nie miał zamiaru Veitcha osądzać.

— Pozwoli pan, że się dosiądę? – spytał nieznajomy. Widząc w oczach mężczyzny wahanie, znowu się uśmiechnął. – Proszę się nie obawiać. Nie jestem czatującym na pana cnotę gejem. Szukam po prostu kogoś, kto dotrzymałby mi towarzystwa, a może i przy okazji wysłuchał moich przemyśleń. – To mówiąc, zmienił wyraz twarzy, ale Veitch nie zrozumiał, co nim powodowało.

— Dobra. – I on czuł się nieco samotny. – Napijmy się razem. – Wziął piwo i usiadł naprzeciwko mężczyzny. Z bliska dostrzegł, że oczy starszego dżentelmena iskrzą się nieprzystającą do jego wieku energią. Pachniał tytoniem fajkowym i drogą wodą po goleniu.

— Gordon Reynolds – powiedział nieznajomy, wyciągając wypielegnowaną dłoń. Veitch uścisnął ją i też się przedstawił.

Przez godzinę rozmawiali o wszystkim i niczym: o tym, czy Veitchowi podoba się w Edynburgu, o pogodzie, o najciekawszych atrakcjach turystycznych, o gatunkach szkockiej whisky, których warto spróbować i tym podobnych dyrdymałach. W pewnym momencie Reynolds przerwał, żeby pociągnąć łyk ze swojej szklaneczki, a kiedy ją odstawił, w jego oku pojawił się dziwny błysk.

— Wyglądasz na bystrego młodego człowieka – oświadczył. Rzecz jasna, zdajesz sobie sprawę, że w tym kraju dzieje się coś podejrzanego.

— Widziało się to i owo – przyznał Veitch znad kufla.

— Wczoraj zamknęli Stare Miasto.

Veitch pokiwał głową.

— Jesteś bardzo skryty. – Reynolds uśmiechnął się. – Przymuszam, że wiesz na ten temat o wiele więcej.

— Może odrobinę. Nie lubię o tym mówić.

— A więc źle się dzieje. Nie próbuj mnie przekonać, że jest inaczej. Mam przyjaciół w Wiek, byliśmy w kontakcie, dopóki działały telefony. Byli zapalonymi piechurami, dużo chodzili po górach. Ja tam nie z tych, wolę pić whisky przy kominku. Pewnego dnia, nie tak dawno temu, wybrali dość odludny szlak. To, co tam zobaczyli... przechodzi ludzkie pojęcie. Coś potwornego, doprawdy potwornego. Teraz nigdy nie wypuszczają się poza obręb miasteczka. Jak wszyscy zresztą. Nikt już nie chodzi po wrzosowiskach. – Straszny pan przyglądał się uważnie twarzy swojego towarzysza, nie uszło jego uwadze najmniejsze drgnięcie mięśni. – Ale przecież, jak widzę, wszystko to jest ci wiadome. Wiesz więc także, że nie chodzi tylko o okolice Wiek. Tu, w stolicy, moglibyśmy się pewnie i wyśmiewać z naszych przesądnych znajomych ze wsi, nieprawdaż? Tyle że dopiero co zamknięto nam Starówkę.

— Będzie jeszcze gorzej, zanim będzie lepiej.

— Tak, tak. Jestem o tym przekonany. I jeszcze ten rząd i jego stan wojenny. Te szeptki po kątach, niedopowiedzenia. „Sytuacja kryzysowa, informacje utajone dla państwa dobra”. Chcą, żebyśmy myśleli, że to Irakijczycy, Rosjanie czy inni terroryści z księżycy, a tymczasem sami zachodzą w głowę, kto też za tym wszystkim stoi. Nie dowiedzą się nigdy. Wierz mi chłopcze, establishmentowi nie wolno ufać. To banda arogantów. Sądzą, że jesteśmy zbyt głupi, by można nam było powiedzieć prawdę.

— Zatem nasze zdrowie. – Veitch opróżnił kufel, zerkając w stronę baru. Miał nadzieję, że Reynolds zakończy zaraz monolog i pozwoli mu na moment odejść. Miał ochotę na następne piwo.

— O ironio, większość szarych obywateli orientuje się już w sytuacji lepiej niż ci tam na górze. Establishment jest zawsze mało elastyczny, a w czasach, które nastąpiły, trzeba ludzi gotowych na ostre parcie do przodu. Rządzący zostaną niedługo daleko w tyle. Przetrwają jedynie osoby o prawdziwie rzutkich umysłach. Co sądzisz o tym wszystkim?

— Sądzę... – Veitch podniósł kufel – ...że przejdę się po dolewkę.

Reynolds skinął na barmana i już po chwili przyniesiono im następną kolejkę.

— Jak ty to robisz? – spytał londyńczyk. – Tu nie obsługują przy stoliku.

— Ach, przychodzę tu już od tylu lat, mój chłopcze. Mam fory ze względu na podeszły wiek i... gruby portfel.

Veitch zaśmiał się.

— Równy z ciebie facet, Gordon.

— Dziękuję za dobre słowo. Za to ciebie coś trapi, nieprawdaż? Widywałem cię w hotelu nieraz i zawsze miałeś to wypisane na twarzy. Nie krępuj się, podziel się ze mną swoimi problemami. Być może, podkreślam, być może będę w stanie ci pomóc.

Veitch westchnął i wbił wzrok w blat stołu.

— Nie, lepiej nie – bąknął. Ale potem spojrzał starszemu mężczyźnie prosto w oczy. Chyba naprawdę się o niego martwił. – Ach, pieprzyć to wszystko – zdecydował. – Co mi tam, powiem ci.

Nie był pewien, czy dobrze czyni, ale przez następną godzinę opowiedział Reynoldsowi o wszystkim, co mu się przydarzyło, odkąd to poznał Churcha w niewoli u Fomorian. Często jego wywodowi brakowało spójności – sam jeszcze nie kojarzył wielu niuansów – ale Szkot potakiwał zachęcająco i bezustannie się

uśmiechał.

— Tak to właśnie wygląda, Gordon – powiedział ze smutkiem, objaśniewszy na koniec czekające go wyzwanie. – Czasami zastanawiam się, jaki to ma, kurwa, sens. – Zreflektował się i zawstydził. Wybacz, zły nawyk.

Jego towarzysz skwitował przeprosiny machnięciem ręki.

— Myślisz, że nie macie szans? Jest was tylko pięcioro czy sześcioro... Garstka szaraczków kontra hordy z piekieł. A na domiar złego dziewczyna, którą kochasz, jest więziona przez okrutników i pewnie nie wyjdzie z tego cało.

— Którą kocham? – oburzył się Veitch. – Nic takiego nie mówiłem. Reynolds znów zbył go machnięciem ręki.

— Kochasz, kochasz. Przecież to oczywiste!

Londyńczyk spałowiał. Pokręcił głową.

— Nie twierdzą, że nie mamy szans. Przecież zamierzam ją wydobyć z tej twierdzy. Stanę na głowie, żeby ją uratować.

— Ale nie wierzysz, że ci się uda.

— Ech... Kto to tam wie?

Oparłszy się plecami o krzesło, starszy pan zamyślił się głęboko. Siedział w milczeniu, popijając whisky. Veitch zaczął się już powoli niecierpliwić.

— Masz ochotę na wysłuchanie pewnej historii, chłopcze? – odezwał się w końcu Reynolds, skubiąc biały wąs.

— Historii?

— Tak. Historii z życia wziętej, jak z jakiegoś czasopisma dla kobiet. Jej bohaterem jest pewien młody człowiek, wygadany fircyk, taki, co to go ciągnie do kobiet, a nie do książek. – Zaśmiał się. – Nie będę cię oszukiwał, o mnie tu chodzi. To historia z mojej młodości. Mam kontynuować?

Veitch pokiwał głową. Polubił dżentelmena. Dawne



uprzedzenia puścił w niepamięć.

— W takim razie posłuchaj. Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata. Pochodziłem z bardzo dobrej rodziny, rodzice nie skąpili mi grosza, i byłem bardzo, ale to bardzo pewny siebie. To wszystko to zaiste niebezpieczna kombinacja. Matka z ojcem pragnęli, bym studiował prawo, w końcu Edynburg to miasto prawników. Ale, jak już wspomniałem, nie rwałem się do nauki. – Pokręcił głową. – Nie, nie. Chciałem wieść barwniejsze życie. Po cóż miałem zamykać się w więzieniu zakurzonych tomów, skoro mogłem uciec na morze, by walczyć w jakimś egzotycznym kraju? Tak też zrobiłem. Wyruszyłem pieszo do portu w Leith z głową pełną fabuł Roberta Louisa Stevensona, marząc o tym, że zatrudnię się na płynącym do Azji frachtowcu.

— To nie był taki zły pomysł – wtrącił Veitch. – Lepsze to, niż dać się zjeść rutynie.

— Właśnie! Ale po drodze przydarzyło mi się coś nieoczekiwanego. Szedłem sobie wczesnym rankiem do Leith, kiedy nagle napotkałem tak piękną dziewczynę, że zupełnie zapomniałem o swoich ambitnych planach. Nie była piękna jak gwiazda filmowa, ale dla mnie nie było drugiej takiej na świecie, rozumiesz? – Veitch przytaknął. – Do dziś dnia nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może to moja radość się do tego przyczyniła, radość, jaką człowiek jest w stanie odczuwać tylko wtedy, kiedy ma zamiar spróbować czegoś nowego? Może stała za tym piękna, słoneczna pogoda albo orzeźwiający morski wiatr? A może wszystko to naraz w niepowtarzalnej koniunkcji? Była to tak wyjątkowa chwila, że moja skóra zdawała się śpiewać ze szczęścia.

Mężczyzna zamilkł i przez kilka dobrych minut głaskał tylko bogato zdobioną główkę laski, tak zamyślony, że można było

przypuszczać, iż zapomniał zupełnie o swoim rozmówcy. Kiedy podjął przerwana opowieść, w jego głosie pobrzmiwała radość tamtego poranka. Veitchowi zrobiło się jakoś lżej na duszy.

— Moja Maureen miała piękne rude loki, a skóra tak bladą, że jej oczy zdawały się być nienaturalnie ciemne. Szła w stronę Edynburga, po drugiej stronie ulicy. Co zrobiłem na jej widok? Z miejsca porzuciłem swoje plany i przebiegłem jezdnię, żeby zagadnąć to zjawisko.

— Romantyk z ciebie, Gordon.

— Co prawda to prawda – zaśmiał się. – Pomyślałem sobie z początku, że mogę wybrać się do portu popołudniu, następnego dnia albo w następnym tygodniu, ale im dłużej rozmawialiśmy, im dłużej patrzyliśmy sobie w oczy, im dłużej trzymaliśmy się za ręce, tym większą zyskiwałem pewność, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Wiedziałem już, że nigdy nie zaciągnę się na statek. Trzeba kogoś bardzo, bardzo wyjątkowego, żeby w jednej chwili porzucić dla tej osoby wszystkie swoje marzenia. Ale to mnie właśnie spotkało. Miłość od pierwszego wejrzenia, jak mawiają poeci. Wierzysz w jej istnienie?

Rozparłszy się na krześle, Veitch wyjrzał przez okno na pociemniałe nocą niebo.

— Czy ja wiem... Chciałbym, nie powiem, ale jak się mieszka w Greenwich, nie ma się zbyt wiele okazji na myślenie o takich sprawach.

— Myślę, że nie jesteś ze sobą do końca szczery – oświadczył Reynolds z porozumiewawczym uśmieszkiem. – Wkrótce Maureen i ja byliśmy nierozłączni. Z pozoru niewiele mieliśmy wspólnego. Pochodziła z dobrego, szanowanego domu, ale jej rodzice nie mieli pieniędzy ani też żadnego majątku. W wieku trzynastu lat musiała porzucić szkołę, aby pomagać rodzinie

finansowo. Jak się kocha, takie rzeczy nie mają znaczenia, nieprawdaż?

— Chyba nie. — Starszy pan przyłożył zaciśniętą pięść do serca.  
— To tu powstają prawdziwe więzi, nie tu. — Poklepał się po skroni. — Ale jedno nas różniło i nie potrafiliśmy się z tym uporać.  
— Przerwał na moment, a mięśnie wokół jego ust napiął płonący w nim od wielu lat gniew. — Byłem protestantem, a Maureen katoliczką. Widzę, że dla ciebie nic to nie znaczy i dobrze. Jesteś przedstawicielem innego pokolenia, nie obciążonego wiekami głupoty. Ten konflikt dwu religii kojarzy się z Irlandią, ale był żywy i w Szkocji, jest nawet po dziś dzień. Mówiłeś, że poznałeś historię Mary King's Close, w którym zamurowano ludzi, by nie rozprzestrzeniać zarazy.

Veitch wzdrygnął się na wspomnienie tych okropieństw i skinął głową.

— Otóż mieszkańcy tego zaułka byli właśnie katolikami. Demonizowano ich, podobnie jak w innych krajach żydów. Traktowano tak, jakby byli na wpół zwierzętami. Edynburskie matki straszyły w owych czasach dzieci, mówiąc im, że jeśli nie będą grzeczne, zabiorą je ci okropni ludzie z Mary King's Close. Czy potraktowano by ich w ten sam sposób, gdyby wyznawali tę samą wiarę, co większość mieszkańców stolicy? Nie sądzę.

— Ale mogłoby się przydarzyć to protestantom w mieście ze znaczącą przewagą katolików.

— Oczywiście, dlatego obie te grupy darzę jednakową pogardą.

Veitchowi nasunęło się pewne pytanie, ale spróbował wpierv znaleźć na nie odpowiedź w twarzy rozmówcy. Widać było, że Reynolds w swoim czasie wiele przeżył, silne emocje pozostawiły swój ślad. Tylko jakie emocje? Dżentelmen nadal się uśmiechał, a jego oczy młodzieńczo błyszcząły.

— Co się z nią stało? – spytał w końcu londyńczyk.

— Ach, chyba już się domyślasz. Spotykaliśmy się w tajemnicy przed rodziną i znajomymi tak długo jak to było możliwe, wiedzieliśmy jednak, że prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. W Edynburgu wszyscy bacznie cię obserwują i bez oporów rozsiewają na twój temat najokrutniejsze plotki. O nas także. Nie mogę powiedzieć, żeby wybuchł jakiś straszny skandal. Większość ludzi nasz związek nic nie obchodził i to się im chwali – mimo wszystko to miasto nie jest takie najgorsze. Za to w moich kręgach... – Szkot westchnął.

— Rodzice dali ci popalić. – Veitch potrafił to sobie dobrze wyobrazić.

— Ojciec niemalże dostał apopleksji, matka kilkanaście dni nie opuszczała łóżka. Reszta rodziny traktowała mnie tak, jakbym cierpiał na jakąś ciężką chorobę umysłową. Najbliżsi znajomi, wywodzący się z tej samej warstwy społecznej, nie szczędzili mi złośliwych komentarzy, ale to Maureen stała się głównym celem ich nienawistnych ataków. Było dla nich oczywiste, że niecie mnie uwiodła.

— I postanowili dać jej nauczkę. – Londyńczyk sięgnął po piwo. Domyślał się, jak mogła zakończyć się ta historia i wolał choć trochę odwlec ten moment.

Na ułamek sekundy z twarzy Reynoldsa znikł uśmiech. Zaraz się opanował, ale to, co Veitch zobaczył w jego oczach przez tę krótką chwilę, zmroziło mu krew w żyłach.

— I postanowili ją zabić. Znaleziono ją na skraju parku Holyrood z głową rozbitą żelaznym drągiem. Wcześniej została zgwałcona, ponoć wielokrotnie. Nie tylko odebrano jej życie, jeszcze ją upokorzono. Dla przykładu. Starą, sprawdzoną metodą. – Treść słów Szkota była potworna, ale tonu jego głosu nie

zmienił się: pozostawał łagodny i opanowany.

— Dobry Boże! – Veitch poszedł po dolewkę piwa, ale w drodze powrotnej musiał odstawić kufel, tak bardzo wstrząsnęła nim opowieść. Jakże okrutnie los potraktował tego starszego człowieka, który zdawał się być o niebo lepszy od większości ludzi! Zapomniawszy w nagłym przypiływie gniewu, że od zbrodni minęło już kilkadziesiąt lat, Veitch zapragnął wybiec z hotelu i wymierzyć sprawiedliwość, zemścić się na bandytach w najbardziej brutalny sposób. – Kto to zrobił? Kto to, kurwa, zrobił? – zawołał, podchodząc do stolika.

— Och, nikogo nie aresztowano. Co zresztą nie dziwi – bogatych zawsze chroni prawo. W mieście podniósł się raban, ale, jak to bywa, wszystko ucichło, gdy tylko na horyzoncie pojawił się nowy skandal. Kto za tym stal? – Reynolds rozłożył ręce. – Jeden z moich znajomych, ich część, może wszyscy. Moi krewni. To chyba główni podejrzani. Bez względu na szczegóły, wszyscy mieli ją na sumieniu.

— Nie próbowałeś się dowiedzieć? Nie chciałeś ich dopaść? – Veitch poczuł, że twarz zalewa mu fala gorąca.

Dżentelmen pokręcił przecząco głową.

— Nie, skąd. Widzisz, to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Jak i cała reszta. Ze śmiercią Maureen moje życie się skończyło.

Zaskoczył swojego rozmówcę tym szczerym wyznaniem.

— Kochałem ją. Kochałem ją tak jak w sentymentalnych powieściach – bardziej niż samo życie, bardziej niż siebie samego. Sądzę, że w dzisiejszych czasach ludziom trudno zrozumieć, jak bardzo byliśmy sobie oddani. Noc poprzedzającą jej śmierć spędziliśmy razem. Przez sześć godzin rozmawialiśmy o tym, ile dla siebie znaczymy, snuliśmy śmiało marzenia o

wspólnej przyszłości. Czułem, że nie ma na świecie droższej mi osoby. A kilka godzin później poznałem smak absolutnej samotności.

Zapadła cisza. Przez długi czas Veitch nie ośmielił się jej zakłócić, w końcu jednak, targany silnymi emocjami, nie wytrzymał.

— Jak żyć z czymś takim? – szepnął. – Jak dałeś sobie radę? Boże, nie wiem, co ja bym zrobił... – Brakowało mu słów.

— Cóż, zająłem się po prostu zwykłymi, przyziemnymi rzeczami. Wiedziałem, że Maureen nie życzyłaby sobie odwetu czy nadmiernej rozpaczy. Ale, jak się można było spodziewać, nigdy już nie byłem taki sam. Zostałem prawnikiem, co bardzo uszczęśliwiło moją rodzinę. Nigdy też się nie ożeniłem, co już nie tak bardzo im odpowiadało, choć z pewnością w ich oczach było lepszym rozwiązaniem niż ślub z katoliczką. Tak... Od tamtego czasu nie pocałowałem żadnej innej kobiety. Nie wdychałem zapachu perfum w kobiecych włosach. Nie dotykałem kobiecej skóry.

Veitch poczuł, że coś ściska go w gardle. Przemknęło mu przez głowę, że powinien wyjść do toalety, zanim się zupełnie rozklei, ale w tym samym momencie Reynolds zmienił temat: – Chodźmy do mojego pokoju na ostatniego drinka – zaproponował. – Mam na górze butelkę niebiańskiej whisky. Ostatnio wcześniej kładę się spać. Po zmroku czuję się samotny.

Wyszli z baru. W holu oprócz obsługi nie zastali żywego ducha. Obu mężczyznom ciężko było na sercu.

— Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie – stwierdził Veitch, gdy stanęli przed windami.

— To nieprawda – odparł Szkot z przekonaniem. – Życie pozbawione nadziei, takie jak moje, to życie zmarnowane. A z

tego, co mi powiedziałeś, wnoszę, że ty jej jeszcze nie straciłeś, a przynajmniej, że łatwo się w tobie odrodzi. Być może potrafię ci pomóc. – Wszedłszy do windy, nacisnął właściwy przycisk. – Od śmierci Maureen w nic już nie wierzyłem. Bo i w co miałem wierzyć? W rodzinę? Przyjaciół? Religię? Cóż to za Bóg, co pozwala, by działy się takie rzeczy? Jakiemuż to Bogu oddawali cześć moi najbliżsi?

Gruba wykładzina tłumiała ich kroki. Jaskrawe barwy korytarza poprawiały humor.

— W szufladzie szafki nocnej trzymam rewolwer – oznajmił ni stąd ni zowąd starszy pan. Do czego on zmierza, pomyślał zaniepokojony Veitch. Zerknął na swojego towarzysza, ale ten z niezmienną pogodną miną wpatrywał się w dal. – Stary, wojskowy rewolwer. – ciągnął Reynolds. – Pamiątka rodzinna. Pasuje. – Zaśmiał się. – Wszystko starannie przemyślałem i zaplanowałem, i kilka wieczorów temu bytem już gotowy popełnić samobójstwo. – Mówił o tym tak, jakby przymierzał się do zorganizowania pikniku. – Miałem dość powtarzalności dni. Pustki myśli. Chłodu życia. Wydawało mi się, że oto nadszedł czas zakończyć je raz na zawsze. Zgrabnie. Schludnie. Samodzielnie.

— Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Szkot rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

— Nie powiem, bezceremonialny z ciebie miody człowiek. To mi się podoba. W moich kręgach tak się nie postępuje, o nie. Jak gdyby nigdy nic, podaliby brandy i może ktoś uznałby za stosowne poruszyć ten temat kilka dni później. Dlaczego się nie zabiłem? Dlaczego nie? – powtórzył, jakby dopiero teraz się nad tym zastanawiał. Przez wzgląd na moją ostatnią rozmowę z Maureen.

Otworzył drzwi kluczem i weszli do jego apartamentu. Był przestronny i gustownie urządzony, ale mimo wszystko nie miał w sobie ciepła prawdziwego domu. Żaden szczegół nie wskazywał na to, że już od wielu lat mieszkała tu ta sama osoba – jej życie musiało być puste, pozbawione celu.

— Ładnie tu – bąknął speszony Veitch.

Reynolds nalał dwudziestoletniej szkockiej do dwóch szerokich szklanek, wręczył jedną swojemu gościowi.

— Ot, mam gdzie spać.

Veitch przysiadł na skraju biurka.

— To jak, opowiesz mi, jak to było, czy jeszcze mnie trochę podręczysz?

Dżentelmen zaśmiał się serdecznie.

— Chciałem, żebyś poznał moją historię, zanim przejdę do sedna sprawy. Takie historie są ważne. Łatwiej przełknąć morał, kiedy jest w ciekawym opakowaniu.

Z szuflady wyciągnął rewolwer, o którym wspominał, i podał go Veitchowi.

— A niech mnie. Nadaje się do muzeum. Takim to można sobie odstrzelić nie tylko głowę, ale i dłoń, zupełnie niechcący.

Znów rozśmieszył Reynoldsa.

— Wspomnienie tego ostatniego spotkania z Maureen jest zawsze ze mną. – Usiadłszy ostrożnie w fotelu, mężczyzna oparł głowę podgłówek i zamknął oczy. – Tyle lat minęło, a ja nadal pamiętam zapach jej włosów, pamiętam jak jej dłoń układała się w mojej dłoni.

nie zapomniałem ani jednego słowa. Jestem pewien, że większość z nich w uszach kogoś, kto nie znał naszej sytuacji, brzmiałaby przesadnie ckliwie, ale dla nas ta rozmowa była bardzo istotna. Omówiliśmy wtenczas wszystko, doprawdy



wszystko... – Zamilkł. Veitch pomyślał, że starszy pan może zasnął, ale wkrótce podjął wątek donośniej niż dotąd głosem. – Zdawaliśmy sobie sprawę z naszego położenia, z tego, że wszystko może się zdarzyć, więc na koniec przedyskutowaliśmy jeszcze, jak postępować w przypadku, gdyby jedno z nas zmarło. Umówiliśmy się, że te, które odejdzie pierwsze, da drugiemu jakiś znak z zaświatów, dowód na to, że miłość przetrwa wszystko, że jest nadzieja, szansa na to, że kiedyś znów będziemy razem. Wierzyliśmy, że miłość przekracza wszelkie granice – tak silne było nasze uczucie, tak silne. Musisz mieć nas za parę skończonych głupców.

— W żadnym... – zaprotestował Veitch, ale Szkot uciszył go gestem.

— Po śmierci Maureen każdego dnia wypatrywałem tego znaku. Mijały tygodnie, miesiące. Oczywiście nic się nie działo. Dwoje zakochanych ludzi tworzy na swoje potrzeby wyimaginowany świat, w którym wszystko jest możliwe, a który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Bo tak naprawdę nie ma nadziei. Miłość nie przekracza granicy zaświatów.

Veitch posmutniał raptownie i osowiały wpatrywał się w złoty płyn na dnie swojej szklanki. Stopniowo zaczął sobie uświadamiać sobie, że Reynolds na niego patrzy, a kiedy podniósł wzrok, okazało się, że starszy pan uśmiecha się promiennie.

— Tak zawsze myślałem – powiedział. – Aż do przedwczoraj. Bo kiedy przedwczoraj obudziłem się z popołudniowej drzemki, we wgłębieniu na mojej poduszce znalazłem tó. – Wyjął coś z kieszeni kamizelki i podniósł swój skarb wysoko w górę. W nikłym świetle lampy niewiele było widać.

— Co to? – spytał Veitch, mrużąc oczy.

Szkot nakazał mu podejść bliżej. W dwóch palcach trzymał długi, rudy, kręcony włos. Przybliżywszy go do swoich nozdrzy, przymknął powieki i nabrał głęboko powietrza.

— Jej zapach przenosi mnie w czasie. – Kiedy otworzył oczy, były pełne łez. – Cała poduszka była nim przesycona. Dziś rano także.

— Jesteś pewien... – zaczął Veitch, ale wyczytał odpowiedź z twarzy swojego towarzysza.

Reynolds starł jedną z łez z policzka opuszką palca.

— Zmarnowałem życie, nie wierząc w nic, kiedy mogłem wierzyć we wszystko. Zmarnowałem życie, pozwalając na to, by w moim sercu zgasł płomyk nadziei. Nie popełnij tego samego błędu, chłopcze. Nie czekaj, aż będziesz stary i pomarszczony, żeby cieszyć się tym, co oferuje nam życie. Nie czekaj na zbawienie, aż będziesz niemal na łożu śmierci. Ten świat kryje przed nami wielką tajemnicę. Może i nie potrafimy domyślić się, co to jest. Może i będzie kłócić się z naszymi wcześniejszymi koncepcjami. Ale świadomość, że jednak istnieje, zmienia sposób, w jaki postrzegamy rzeczywistość, w jaki odnosimy się do innych, w jaki stawiamy czoło problemom. Zmienia wszystko.

Uśmiechnął się, a kolejna łza spłynęła mu w dół twarzy. Veitch pociągnął spory tyk whisky, czując, że znów ogarnia go wzruszenie.

— W ciągu kilku ostatnich tygodni nic tak naprawdę się nie zmieniło – dodał Szkot cicho – poza naszym sposobem widzenia świata. Wróciliśmy do starych porządków. Zapomnieliśmy o nich dawno, dawno temu, wybierając ścieżkę, która wydawała nam się lepsza, a która w istocie była o niebo gorsza. Nie przeczę, wraz z tą wielką przemianą uaktywniły się siły ciemności, ale wierz mi, zło zawsze idzie w parze z dobrem. Podstawą

wszystkiego jest dwoistość: strachowi towarzyszyć będzie nadzieja, okrucieństwu cuda. Tak, doświadczymy wielu cudów. Sądzę, że mimo ogromu cierpienia, ten nowy świat ma szansę być lepszy niż stary. Owszem, technologia ułatwiała nam życie, ale zabrakło w nim cudów, zabrakło magii. A tego właśnie ludziom trzeba, chłopcze: nadziei, wiary, tajemnicy. Poczucia, że szkiełko i oko to nie wszystko. A nie analiz DNA, nowych jednorazowych przedmiotów, szybszych łącz, szybszych samochodów. Tego nam trzeba.

— Zastanawiałem się nad tym – przyznał Veitch, z trudem dobierając słowa. – Może rzeczywiście nie będzie tak źle, jak się zdaje. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Chyba wyjdzie mi to na dobre.

— Ruszaj zatem wykonać swoje zadanie z sercem pełnym otuchy – zachęcił go Reynolds – ale, dla dobra nas wszystkich, nie staraj się doprowadzić do tego, by świat stał się taki jak przedtem.

Veitch podniósł szklankę do ust. Myślał o Ruth i o czekających go okropnościach.

— Coś, w co można wierzyć – powiedział cicho, niemal sam do siebie. – Tego nam trzeba.

# ROZDZIAŁ 7

## DOBRY SYN

W chwilach próby, tych najgorszych, najmroczniejszych, Ruth przeszukiwała zakamarki swojego serca w poszukiwaniu rezerw siły, o których istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Każda godzina zdawała się torturą, odkąd świat skurczył się do brudnej celi, w której królował mrok, chłód przenikał kości po szpik, a jedyne urozmaicenie stanowił odór, bijący od czasu do czasu spod drzwi. Więźniarka wiedziała, że część jej oporu brała się stąd, że była w stanie postrzegać swoją mękę jako szansę na ponowne narodziny. Koniec z kobietą o słabej woli, której życie podporządkowane było pragnieniom innych. Zamierzała zapamiętać jak najwięcej z wykładów niewidocznego nauczyciela, aby opuścić loch mądrzejszą, silniejszą, bardziej pewną siebie. Jeśli, rzecz jasna, miało być jej dane kiedykolwiek go opuścić.

Kikut poboлеwał bezustannie, czasem zdarzało się Ruth także czuć obcięty palec, jakby nigdy go nie straciła. Z dnia na dzień na jej ciele przybywało też innych ran, które wkrótce miały zmienić się w mozaikę blizn – trwałą pamiątkę po pobycie w celi. Regularnie zadawane przez Fomorian tortury robiły na Ruth coraz mniejsze wrażenie. Poniekąd było w tej rutynie coś kojącego: oto znów zbliżały się kroki oprawców, narastały chrząkania i mrozące krew w żyłach ryki, a z otwarciem drzwi pojawiały się mdłości, bo smród i widok bestii był nadal

niemalże nie do zniesienia. Potem wlekli ją do odległej izby tortur, ciemnej i dusznej, z paleniskiem w rogu.

Ale nie tym razem. Zamiast szeregowego strażnika, w drzwiach stanął sam mieszaniec Calatin, kapłan o urodzie diabła z twarzą wykrzywioną wzdargą i okrucieństwem. Miał na sobie prostą, poplamioną, białą koszulę i skórzane bryczesy. W jego długich, tłustych włosach roilo się od wszy. Wyglądał jak parodia wyrafinowanego arystokraty.

— Serith Urkolim – wycharczał na powitanie w swoim ojczystym języku. – Nie sądziłem, że zobaczę jeszcze kogoś z waszej piątki. Nigdy nie byliście godnym nas przeciwnikiem, a wasza wielka porażka na Skye tylko potwierdziła, jacy jesteście żałośni. Swoimi działaniami znieważacie Ducha Pendragona. Och, jakże musiano was przeklinać w waszym świecie, jakaż musiała między ludźmi zapanować żałoba. W godzinie próby okazaliście się równie marni, co cała reszta waszej rasy. Szkoda było na was naszego czasu. Jednakże, skoro już nam ciebie podrzucono i to w przełomowym dla nas momencie, wpadł mi do głowy pewien diabelski pomysł. Cenię ironię. – Calatin przekrzywił głowę, uśmiechając się potwornie. – Czemuż by nie zabawić się słabościami praw natury? Czemuż by nie stworzyć monstrualnej karykatury, by okazać pełnię pogardy, jaką żywimy wobec życia?

— Miejmy to już z głowy – warknęła Ruth.



Tym razem zaciągnęli ją do innego pomieszczenia. Nie dostrzegła ani paleniska, ani narzędzi tortur – jak na standardy

Fomorian urządzone było niemal luksusowo. Na tle gołej skały i surowego drewna wyróżniał się gobelin w sceny rodzajowe, którym Ruth nie miała odwagi przyjrzeć się bliżej. Pośrodku komnaty stała dziwnie wygięta ława, wyrzeźbiona najprawdopodobniej ze szlifowanego obsydianu. Ściany czerwieniło słabe światło pochodni.

Ruth była tak słaba, że z trudem utrzymywała się na nogach. Strażnicy przywiązali ją do ławy szorstkimi skórzanymi pasami, które boleśnie wpijały się w ciało. Z wycieńczenia kobieta miała silne zawroty głowy i ledwie pojmowała, co się z nią dzieje. Zamiast zastanawiać się nad zamiarami oprawców, skupiła się na czerpaniu radości z faktu, że nie trafiła jednak do izby tortur.

Załamionymi oczami obserwowała Calatina, który w międzyczasie spoważniał bez wyraźnej przyczyny, a teraz przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem po sali. Skontrolowawszy więzy i ławę, pogłaskał Ruth po policzku długim szczupłym palcem, po czym uśmiechnął się okrutnie.

— Pokazałaś nam, że jesteś gotowa – oświadczył.

Usunął się na bok, dając znak kryjącym się w cieniu pachółkom. Dwóch Fomorian wyniosło na środek bogato zdobioną drewnianą skrzynię, którą umieścili poniżej stóp kobiety. Zza grubych kamiennych murów doszedł jej uszu niski rytmiczny odgłos, jakby walono w rytualne bębny. Co kilka uderzeń odzywał się dzwon – jego ponury dźwięk był już jej dobrze znany. Ta dziwna kombinacja zaczęła napawać ją niewytłumaczalnym lękiem.

— Co zamierzacie zrobić? – wybełkotała.

Calatin tylko się uśmiechnął i skinął na dwójkę przy skrzyni. Uklękawszy, wyjęli z namaszczeniem poduszkę z fioletowego aksamitu, na której spoczywała ogromna czarna perła wielkości

sporej mandarynki. Na jej widok Ruth zaparło dech w piersiach z przerażenia. Nie będąc w stanie dłużej kontrolować swoich emocji, próbowała sturlać się na podłogę, ale więzy trzymały mocno.

Pachołkowie zajęli pozycje po obu stronach ławy, by móc przytrzymać głowę kobiety.

— Nie... – wykrztusiła.

Włożono jej w usta jakieś narzędzie i poczęto wpychać je brutalnie między zęby. Gdy już znalazło się w szparze, metalowe łopatki rozwarły się gwałtownie, zmuszając więźniarkę do otwarcia zaciśniętych szczęk. Ostry ból przeszył ścięgna pod jej uszami.

Do ławy zbliżył się kolejny Fomorianin. Ostrożnie, jakby miał do czynienia z czymś niewyobrażalnie cennym, podniósł perłę z aksamitnej poduszki i zbliżył się z nią do Ruth.

Kobieta zorientowała się nagle, co ją czeka. Zdjęta śmiertelnym strachem, otworzyła szeroko oczy, ale wewnętrzny paraliż nie pozwolił jej ani się poruszyć, ani też krzyknąć. Jedynym dźwiękiem, jaki wydobył się jej z gardła, był cichy, błagalny jęk.

— Jeśli nie przejdzie, złamcie jej szczękę – rozkazał sucho Calatin. Ruth wpatrywała się w czarną perłę jak zahipnotyzowana. Klejnot był tak wielki, że z pewnością miała się nim momentalnie udławić. Zaczęła rzucać się na boki, ale Fomorianie nie zwalniali uścisku. Gdy kula znalazła się nad jej oczami, kobieta odniosła wrażenie, że głęboka czerń przytłacza wszystkie jej zmysły. Jej warg dotknęła gładka powierzchnia – zimna jak lód, nie miała żadnego smaku.

Pachołek wcisnął perłę nieco głębiej, zazgrzytała na zębach torturowanej. Jej masa stłumiła pojękiwania kobiety. Ruth

przestała myśleć racjonalnie, owładnęła nią panika. Nie czuła już nic prócz narastającego nacisku czarnej kuli. Jej wargi rozchyłano siłą coraz szerzej, coraz boleśniej. Bała się, że perła nigdy nie przejdzie i o stokroć bardziej, że jednak się zmieści.

Po pewnym czasie jakimś cudem klejnot wsunął się poza jej zęby. Spodziewała się, że oprawcy dadzą jej teraz spokój, ale gorzko się myliła – parli jeszcze mocniej. Dążyli do tego, by połknęła kulę.

Krztusiła się. Jej płuca domagały się większej ilości tlenu. A kaci nadal wpychali, wciskali, wmuszali.

Nagle do Ruth dotarło, że w głębi jej ciała dzieje się coś dziwnego. Z bólu i strachu traciła już powoli zmysły, ale była pewna, że to nie halucynacje. Ścianki jej gardła zmiękły, najpierw zmieniły się jakby w watę, a później z waty rozwiały się w pajęczynę.

Czarna perła zaczęła schodzić niżej.

Ostatnią rzeczą, jaką Ruth poczuła przed utratą przytomności, było eksplodujące w jej szyi przeraźliwe zimno i niemożliwy do zniesienia nacisk olbrzymiego klejnotu. A potem nad nieszczęsną pochylił się Calatin i nie widziała już nic prócz jego triumfalnego uśmiechu.



Shavi i Laura zbudzili się z pierwszym brzaskiem, spleceni ciasno niczym para tragicznych kochanków bojąca się zmierzyć ze światem. Nie zamieniając ani słowa, wypelzli z namiotu w świat zielonego gąszczu i resztek białej mgły. Na dworze było zadziwiająco chłodno, a złowrogą ciszę przerywały jedynie



rytmiczne uderzenia kropel rosy o liście, tudzież, z rzadka, ponure zawodzenia drapieżnych ptaków. Jak i poprzedniego dnia w odludnej dolinie panowała atmosfera przesycona rozpaczą i poczuciem samotności.

Na śniadanie zjedli chleb i podgrzaną fasolę z puszki. Przeżuwali kolejne kęsy w milczeniu do wtóru bezlitosnego rzeczego szumu, który ich uszy zaczynały już powoli ignorować. Laura przyglądała się dyskretnie swojemu towarzyszowi. Twarz miał nadal bladą i spiętą i choć uśmiechał się serdecznie za każdym razem, gdy czuł na sobie jej spojrzenie, wyczuwała, że nie tylko nie otrząsnął się z szoku po wczorajszym wieczorze, ale i zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec.

Po śniadaniu starannie umyli garnek w rzece i pieczołowicie złożyli namiot – było widać jak na dłoni, że oboje grają na zwłokę. W końcu nie pozostawało nic innego, jak wyruszyć w dalszą drogę. Zawrócili i wkrótce wspinali się już stromą ścieżką ku kamiennemu mostkowi wiszącemu nad doliną.

Dziesięć minut później dotarli do zabudowań koło kaplicy. Próbowali dojrzeć zza wysokiego muru choćby fragment interesującego ich budynku, ale nie byli w stanie przebić wzrokiem gęstych koron drzew – tak to już zostało pomyślane przez obecnych kustoszy tego miejsca. W dodatku, ponieważ wokół gęstniała mgła, poza obrębem kamienistego parkingu nic już właściwie nie było widać. Posiadała ona ciekawą zdolność do zniekształcania dźwięków. Dwójka wędrowców odniosła kilkakrotnie wrażenie, że ktoś się zbliża, ale gdy w końcu coś słyszeli, tajemniczy szelest dochodził z zupełnie innej strony, niż się spodziewali. Spędziwszy kilka dobrych minut na nerwowym nasłuchiowaniu, musieli pogodzić się z tym, że w najbliższej okolicy nikogo jednak nie ma.

— To co, przechodzimy przez mur? – spytała Laura bez entuzjazmu. Shavi pokiwał głową, drapiąc się w zadumie po brodzie.

— Ale co potem? Od czego zaczniemy... – Zerknęła przez ramię, jakby podejrzewając, że ktoś się za nią czai. – Od czego zaczniemy poszukiwania? I czego tak właściwie będziemy szukać?

— Większość źródeł opisuje kaplicę jako jedną wielką zagadkę, tajemną księgę zaklętą w kamieniu. Pokrywające jej ściany ornamenty to szyfr, który zwiedzający winni w pocie czoła rozkodować. Te rebusy mogą kryć porady dotyczące życia duchowego, różnorodne przypowieści albo...

— Albo wskazówki, jak trafić do uwięzionego boga – dokończyła Laura, owijając się rękoma. – W porządku. Jest tylko jeden problem. Nie zrozum mnie źle, Shavi-davi, nie wątpię, że bystry z ciebie chłopak, ale ludzie głowią się nad tym kodem od wieków. Czemu jesteś taki pewny, że tobie uda się go złamać w kwadrans?

— Nie, nie, nie – zaprotestował z uśmiechem Shavi, machając jej palcem przed nosem. – Nigdy nie twierdziłem, że zajmie mi to parę minut. Ale dwie rzeczy sprawiają, że mamy przewagę nad naszymi poprzednikami.

— Tak? Co takiego?

— Po pierwsze, wiemy dokładnie, czego szukać. A po drugie... – Tu poklepał się z jednej strony po nosie – będziemy kierować się intuicją.

— Mów za siebie, szamanie. Planujesz jakieś nowe czary-mary?

Spojrzał w stronę ukrytej za drzewami kaplicy, uśmiechając się enigmatycznie.

— Mam zamiar pozwolić temu budynkowi, by przemówił do mnie.

— Cóż, pozdrów go ode mnie. – Dziewczyna odwróciła się i podeszła do ogrodzenia kompleksu. – Narwaniec – dodała, ni to do siebie, ale dostatecznie głośno, by to usłyszał.

Pomogła mu wspiąć się na mur, a potem on podciągnął ją na górę. Zeskoczyli na mokrą trawę. Kaplica stała zaledwie kilka metrów dalej. Ponure gotyckie gmaszysko robiło wrażenie mimo szpecących srebrnych rusztowań. Wyglądało niczym atrapa wzniesiona na potrzeby jakiegoś ekspresjonistycznego filmu z lat trzydziestych.

Budynek wytwarzał wokół siebie trudną do określenia, przygnębiającą aurę wrogości i nieprzystępności, która wręcz namacalnie zmuszała do pochylenia głowy. Dobry humor pryskał tu niczym mydlana bańka. Laura doszła do wniosku, że kaplica ją przeraża i jednocześnie odstrasza.

— Znasz to dziwne uczucie, które ogrania człowieka we wszystkich świętych miejscach, bez względu na religię? Tu nic mnie nie bierze. – Dziewczyna zdążyła zauważyć, że z jej kompanem rzecz się ma podobnie.

Podeszli bliżej bardzo ostrożnie, jakby się spodziewali, że kaplica jest żywą istotą, która śpi tylko, a lada chwila ocknie się i zaatakuje. Mimo rosnącego niepokoju, Shavi był w stanie zachwycać się jej wyrafinowaną architekturą. Bryłę budynku otaczały z trzech stron rzędy strzelistych kolumn przypominające wartowników lub gotowe do odpalenia rakiety – czyżby stanowiły ostatnią linię obrony przed jakąś nieznaną potęgą? Od zachodu, dziwnie niepasująca do całości zwalista ściana oddzielała baptysterium od reszty kaplicy, niczym tarcza mająca za zadanie odstraszyć najeźdźców z głębi kraju. Widać

było, że oba krańce i ściany, obserwowane z lotu ptaka, mają kształt krzyża.

— Trochę chyba przesadzili, co nie? – stwierdziła Laura. – Wiem, że te wszystkie świątynie budowano ku chwale Pana i takie tam, ale ta tu ma więcej bajerów niż katedra w Yorku [*największa katedra gotycka w Wielkiej Brytanii*]! A to tylko zapomniana kapliczka na zapadłej wsi.

— Jest wyjątkowa – przyznał Shavi. – Ale pamiętaj, że te ornamenty to coś więcej. To wiadomość sprzed wieków, może wiele różnych wiadomości. Każdy kamień wmurowano tu w odpowiedni sposób, każde nacięcie zostało starannie przemyślane.

— I jak tam? Już do ciebie przemawia? Bo nie mam zamiaru być tu choćby minutę dłużej niż to naprawdę konieczne.

— Co tu robicie? – zapytał zniecierpliwiony głos.

Oboje aż podskoczyli zaskoczeni. Za ich plecami, przy wejściu do punktu informacji turystycznej stał mężczyzna o bladej, pomarszczonej twarzy i rzadkich, siwych włosach. Nieznajomy sześćdziesięciolatek miał na sobie wiatrówkę w wyjątkowo szpetnym odcieniu fioletu, spod której wystawała czyściutka koloratka.

— Cholera, usłyszał nas – syknęła Laura. – Ty gadaj, Shavi. Tacy jak on mają mnie za wcielenie szatana.

Szaman zrobił kilka kroków do przodu i wyciągnął w stronę księdza dłoń, chcąc się przywitać. Tamten przyglądał mu się podejrzliwie.

— Przepraszamy za nielegalne wtargnięcie na państwa teren, ale liczy się każda minuta.

— Kaplicę otwiera się dla zwiedzających o dziesiątej – powiedział mężczyzna z charakterystycznym dla południowej

Szkocji akcentem.

— Tymczasem proszę odejść. Możecie wejść z innymi za kilka godzin. Macie szczęście, że nie wezwałem policji.

— Nie jesteśmy turystami – wyjaśnił Shavi. – Przybyliśmy tu z niezwykle ważną dla świata misją.

— Wierzcie mi, przyjeżdża tu sporo dziwaków – przerwał mu ksiądz – i każdy z nich twierdzi, że jest wybranym z misją. Legendy związane z tym miejscem przyciągają najróżniejszych nieciekawych typków. Szczerze mówiąc, według mnie połowa z nich wymaga leczenia.

Mimo tego oświadczenia nieznajomy nie próbował ich przegonić – przyglądał się tylko szamanowi z zaciekawieniem, najwyraźniej chcąc wysłuchać, co Shavi ma do powiedzenia.

— Pragniemy spotkać się miejscowym Stróżem.

Laura odgadła, że jej kolega zamierza użyć kilku poznanych ostatnio określeń, licząc na to, że ich znajomością przekona do siebie kustosa kaplicy.

— Co wam wiadomo o Stróżach? – zapytał ksiądz.

— Wiemy, że strzegą w sekrecie takich miejsc jak to. Spotkaliśmy jednego w Glastonbury. Wsparł naszą misję. – Shavi zawahał się. Czy jest pan Stróżem?

— Może i jestem. Czego chcecie się od niego dowiedzieć?

— Zdaje pan sobie sprawę, że w świecie zaszła wielka zmiana?

— Kustosz pokiwał głową. – Wasze podania mówią o piątce ludzi, która stanie do walki, aby uratować ludzkość. Przynajmniej tak nam powiedział Stróż z Glastonbury. Oboje jesteśmy członkami tej pięcioosobowej drużyny.

Mężczyzna zerknął na Laurę.

— Po paniencie to bym się nie domyślił.

Dziewczyna miała już zamiar mu odpyskować, ale Shavi

powstrzymał ją gestem dłoni.

— Niemniej jesteśmy Braćmi i Siostrami Smoków i przybyliśmy tutaj, ponieważ grozi nam wszystkim śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Bracia i Siostry Smoków, co ty nie powiesz? – Ksiądz uśmiechnął się z niedowierzaniem, choć widzieli, że nazwa ta zrobiła na nim spore wrażenie. Przez dziesięć minut Shavi opowiadał o losach drużyny, usiłując przekonać swojego rozmówcę, że są tymi, za których się podają. Pod koniec kustosz wyglądał na zdezorientowanego, a wreszcie wyraźnie spochmurniał.

— Ach, może to i prawda. Co w takim razie sprowadza was do Rosslyn?

— Wie pan, dlaczego wzniesiono ten budynek? Co kryje ta ziemia? – Szaman odwrócił głowę w stronę kaplicy.

— Coś tam wiem. Są legendy, są podania. Czasem trudno oddzielić prawdę od mitu. A każda przypowieść ma inne znaczenie, zależnie od tego, kto ją opowiada. – Duchowny podszedł bliżej i spojrzał Shaviemu prosto w oczy. – Hm... – Zamyślił się na moment, po czym dodał z powagą. – Chyba rzeczywiście jesteście tymi wybrańcami. – To odkrycie poruszyło nim do głębi. – Zatem to ważny czas. Muszę przyznać, że wątpiłem. Nie spodziewałem się, że ta chwila nadejdzie za mojego życia. – Zauważył, że teraz to szaman bacznie mu się przygląda. – Nie spodziewałem się, że ta chwila kiedykolwiek nadejdzie. Kiedy jest się tak starym jak ja i nigdy nie widziało się żadnych dowodów, że to, czego cię uczono, jest prawdą, zaczyna się tracić... – Machnął kilkakrotnie ręką, żeby gestem zastąpić trudne do wypowiedzenia słowo. – Ale skąd znalazłbyście podania Stróżów, gdyby przekazane mi informacje nie miały żadnego

sensu?

Widać było, że w szybkim tempie nasuwają mu się trudne pytania, z których zalewem nie potrafi sobie poradzić. Wyczuwszy narastający niepokój księdza, szaman ponownie wyciągnął ku niemu rękę, aby oderwać jego uwagę od tej lawiny bolesnych przemyśleń.

— Mam na imię Shavi, a to moja towarzyszka Laura. Będziemy wdzięczni za każdą wskazówkę.

Tym razem duchowny ścisnął jego dłoń.

— Seaton Marshall. Zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Co spodziewacie się osiągnąć w Rosslyn?

— Przyjechaliśmy z Edynburga. Mamy tam poważne kłopoty. Dwoimy się i troimy, ale nasz wróg jest potężniejszy. Powiedziano nam, że w Rosslyn kryje się pewna siła, która może przyjść nam w sukurs, jeśli tylko uda się ją zbudzić.

— Siła? – zdziwił się Marshall. – Naprawdę? Cóż, zawsze byłem ciekaw... Odkąd trzydzieści lat temu zostałem Stróżem, przychodzę tutaj o tej porze na obchód dzień w dzień i nigdy nie zastałem pod kaplicą żywego ducha. Zaskoczył mnie wasz widok, doprawdy zaskoczył. – Był teraz wyraźnie podekscytowany tym raptownym odejściem od rutyny. – Więc mówicie, że te wszystkie historie to święta prawda? Niesamowite... Niesamowite... Chodźcie. – Wziąwszy Shaviego pod ramię, poprowadził go w kierunku północnego wejścia. – Pokażę wam jedną z najbardziej niezwykłych i tajemniczych budowli pod słońcem.



Pachniało wilgocią, świecami i kamieniem. Niewielkie

rozmiary budynku nasilały przygnębiającą atmosferę – we wszystkich zakamarkach, niczym nietoperze, zbierała się ponura czerń. Wnętrze kaplicy oświetlone było z umiarem i najwyraźniej wyłącznie przez wzgląd na turystów. Musiało minąć kilka sekund, zanim wzrok przyzwyczał się do panującego tu półmroku. Wyłaniające się stopniowo kształty zapierały dech w piersiach. Gdzie nie spojrzeć, ściany ozdobione były misternymi płaskorzeźbami: dostojnymi aniołami, twarzami diabłów wykrzywionymi w uśmiechu, wizerunkami Zielonego Człowieka zerkającego zza liści, stokrotkami, liliami, różami, gwiazdami... Nie dawało się tego wszystkiego ogarnąć. Przyglądając się z uwagą bogatym ornamentom, Shavi odniósł wrażenie, że stopniowo coraz lepiej rozumie zakodowane w nich treści. Księgi ginęły, pergamin żółkł i kruszał, ale kamień mógł przechowywać przesłanie przez wieki, jakże ważna musiała być to wiadomość, skoro w jej przekazanie włożono aż tyle wysiłku.

Szamanowi trudno było ustalić, czy czuje podniecenie czy raczej niepokój, uświadamiając sobie, jak wiele z płaskorzeźb zdaje się dotyczyć ich własnych przeżyć. Spoglądający na niego zewsząd Zielony Człowiek symbolizował Cernunnosa i jego napawający strachem patronat, anioły i diabły były z kolei zaskakująco podobne do Tuatha Dé Danann i Fomorian. W pewnym momencie coś go jeszcze bardziej poraziło. Zatrzymał się. Takich motywów zdobniczych nie spotykało się zwykle w kościołach. U stóp filara wił się w kamieniu smok, jakby jego twórca pragnął podkreślić, że błękitny ogień stanowi podstawę wszystkiego.

— Zdziwiałące – szepnął szaman.

Było tu wszystko: historie i legendy, cenne wskazówki i ostrzeżenia. Budynek wzniesli chrześcijanie, ale jego ornamenty



opowiadały o wydarzeniach, które miały miejsce na długo przed narodzeniem Jezusa. Jakież to wszystko miało znaczenie, nie tylko dla chrześcijan, ale i dla innych religii, które powstały w tamtym czasie?

— Możecie mnie pytać o wszystko – odezwał się Marshall. – Historię tego miejsca znam na wyrywki. Nieraz łamałem sobie głowę nad każdym detalem z osobna, próbując pojąć, co kierowało Sir Williamem St Clair. Czasem wydaje mi się, że rozumiem jego intencje. Widzę, jak przez jego dzieło przemawia wszechmogący Bóg, ale...

— Ale diabeł tkwi w szczegółach – dokończyła chłodno Laura. Swoim zachowaniem zaskoczyła Shaviego. Zazwyczaj, mając do czynienia z autorytetem w sprawach religijnych w najlepszym razie siedziała cicho, a w najgorszym rzucała otwarcie jadowite uwagi.

Marshall chrząknął speszony.

— Cóż, nie to miałem na myśli, ale to prawda. Przy niektórych ornamentach rzeczywiście wyczuwam jakieś nieczyste intencje.

— Tego z kolei ja nie miałam na myśli – powiedziała Laura, nie wdając się jednak w dalsze dyskusje, bo jej uwagę przykuło w międzyczasie kilka oryginalnych płaskorzeźb.

— Dlaczego Sir William postanowił zbudować kaplicę? – spytał Shavi. – Na pewno zachowały się jakieś dokumenty.

— Wiele z nich zaginęło po roku 1700, kiedy to pewien duchowny wykorzystał je do spisania dziejów rodu St Clair. Ot, kolejna zagadka związana z tym miejscem.

— Być może odkrył coś, co inni pragnęli zachować w tajemnicy.

— Być może. Ale przyczyną mogło być także to, że rodzina St Clair nie przeszła w okresie reformacji na protestantyzm. W

Szkocji ten podział zawsze odgrywał dużą rolę i wielu katolików prześladowano przez stulecia. Przypuszczalnie w tak burzliwych czasach lepiej było ze względów bezpieczeństwa zataić pewne fakty. – Oczy księdza lśniły młodzieńczą pasją. Liczył widocznie na rozwiązanie przynajmniej części zagadek i to ta nadzieja tak go odmieniła. – Z drugiej strony, ród St Clair miał też silne powiązania z masonami, a ci zazdrośnie strzegą swoich sekretów. Mówi się też o templariuszach i różokrzyżowcach. Ktoś kiedyś powiedział, że prawdziwa historia świata to historia takich właśnie tajnych stowarzyszeń. Jeśli to prawda, Rosslyn to idealne miejsce na zaznajomienie się z nią.

— Będziesz mówił jaśniej, czy dalej masz zamiar rzucać uczonymi terminami? – spytała Laura cierpko. – Bo jeśli to drugie, to idę znaleźć sobie jakąś płaskorzeźbę do kopania.

— W średniowieczu – wyjaśnił jej cierpliwie Shavi – krążyło wiele opowieści o działaniach i strefach wpływów tak zwanych różokrzyżowców, grupy ludzi „oświeconych”. Tożsamość ich przywódców znało jedynie wąskie grono adeptów, a także miejscowi władcy, którzy zapewniali im ochronę. Członkowie tego bractwa wywodzili się ponoć z zakonu templariuszy i byli niezwykle uzdolnionymi alchemikami.

Laura westchnęła ze znużeniem i gestem dłoni nakazała swojemu kompanowi mówić dalej, ale to Marshall zabrał głos: – Templariusze to zakon rycerski powstały w średniowieczu po to, by bronić pielgrzymów zmierzających do Ziemi Świętej. Mnisi ci byli świetnie wyszkolonymi wojownikami, ale i ludźmi doskonale wyedukowanymi. Oprócz rycerzy czy płatnerzy należeli do ich grona także kartografowie, nawigatorzy, medycy i teologowie. Kościół zaczął im jednak zazdrościć rosnącej potęgi i w roku 1307 zwrócił się przeciwko zakonowi. Oskarżono

templariuszy o braniu udziału w bezbożnych rytuałach...

— Brzmi interesująco – wtrąciła Laura, uśmiechając się figlarnie, ale Stróż puścił jej uwagę mimo uszu.

— Karą za udzielanie im pomocy była ekskomunika. To tylko jeden z przykładów, ile wysiłku włożył Kościół w ich rozbitcie. Co do losu samych zakonników, przypuszcza się, że sporo zbiegło do Szkocji. Jest tu niedaleko wioska Tempie, która zawdzięcza swoją nazwę ich obecności na tym terenie.

— Ale ta historia ma drugie dno, czyż nie tak? – spytał Shavi.

Marshall pokiwał głową.

— Podejrzewano, że templariusze posiadli w Ziemi Świętej tajemną wiedzę, co przeraziło Kościół, bo zagrażało upadkiem całej religii chrześcijańskiej. Ponoć budowniczy kaplicy w Rosslyn ukryli w niej właśnie te zdobyte na Bliskim Wschodzie informacje. – Zamilkł na chwilę. – Niektórzy twierdzą nawet, że zakonnicy przywieźli tu ze sobą cudownie zakonserwowaną głowę samego Jezusa Chrystusa.

— Fuj! – skrzywiła się Laura.

— A templariuszy łączono zarówno z różokrzyżowcami, jak i z masonami – przypomniał Shavi.

— Tyle że to wszystko plotki, pogłoski – podkreślił ksiądz. – Nie ma przekonujących dowodów. To żądni rozgłosu pisarze na siłę starali się łączyć różne fakty.

— Nauczyliśmy się w trakcie naszej misji, że każda legenda kryje w sobie ziarno prawdy – powiedział szaman. – Intuicja podpowiada mi, że trafiliśmy w dobre miejsce.

— W takim razie, jak mogę wam pomóc?

— Może byś tak przyniósł nam po kawie? – zasugerowała Laura, wskazując głową prowadzące na zewnątrz drzwi.

Marshall zmarszczył czoło, ale nawet jeśli wyczuł

nieprzychylność dziewczyny, postanowił nie odpłacać pięknym za nadobne. Pokiwał tylko głową i wyszedł z kaplicy.

— Nie powinnaś traktować ludzi w ten sposób – zwrócił jej uwagę Shavi. – Ten mężczyzna nie zrobił ci nic złego.

— Według mnie każdy, kto staje po stronie Kościoła, to drań i hipokryta, więc mam prawo takim dogryzać.

Odeszła zwiedzać kaplicę, nie mając ochoty na dalsze dyskusje. Kiedy się z nią w końcu zrównała, stała wpatrzona w witraże nad ołtarzem przedstawiające sceny ze Zmartwychwstania. W oknie po lewej trzy kobiety dochodziły do grobowca, zaś po prawej siedziały dwa anioły, z których jeden trzymał zwój z napisem: *NIE MA GO TUTAJ; ZMARTWYCHWSTAŁ*. Dziewczyna wzdrygnęła się.

— Ten facet ma rację z tymi tajnymi stowarzyszeniami. Nie chodzi mi nawet o te, które wymieniliście, są przecież jeszcze sami Stróże i koledzy tego dziwadła, Strażnika Kości, cała ta banda działających za kulisami ludzi. Nic już dziś nie jest w stu procentach pewne. Kiedy uczono mnie w szkole historii, byłam święcie przekonana, że poznaję wszystkie podstawowe fakty z dziejów świata, a tymczasem okazuje się, że równolegle działa się masę innych rzeczy, o których moi nauczyciele nie mieli bladego pojęcia. – Laura pokręciła głową z dezaprobatą. Robiła się rozdrażniona, jakby dopiero teraz to wszystko do niej docierało. – Nie można już nawet ufać własnym oczom! Wiesz przecież, że każdy z nas, patrząc na tych bogów, widział co innego. Tak samo było z tymi magicznymi insygniami. Czyli co, nic nie jest do końca prawdziwe? To w co tu wierzyć? – Dziewczyna odwróciła się twarzą do Shaviego. – fak tu żyć ze świadomością, że wszystko wokół to tylko pozory? Kiedy się nie wie, co istnieje naprawdę, a co nie? Albo co jest ważne, a co nie?

Szaman wzruszył ramionami. – Wiara jest ważna.

— Wiara w co?

— Oto jest pytanie.

Objął ją ramieniem i przytuliła się do niego na chwilę. Pojawił się Marshall z dwoma parującymi kubkami.

— Przy punkcie informacji turystycznej jest mała kawiarenka oświadczył. – Niestety, akurat zabrakło świeżego mleka.

Laura podziękowała mu za kawę, nieco opryskliwym tonem, ale tylko odrobinę.

— Czy możesz nam pokazać najciekawsze z detali? – poprosił go Shavi.

— Oczywiście. – Przeszli pod drzwi na ścianie południowej. – Widzicie? Lew i zwierzę przypominające jednoroźca. Lew jest często łączony ze zmartwychwstaniem, z kolei jednorożec symbolizuje Chrystusa. Tyle że tu te stworzenia walczą ze sobą. Jak sądzicie, skąd ten pomysł?

— Nie mam pojęcia – odparł Shavi w zamyśleniu.

— Może to ostrzeżenie – stwierdziła Laura. – Wiecie, walka to nic dobrego. Jezus sprzeciwia się zmartwychwstaniu.

— To nie ma sensu – powiedział Marshall.

Następnie ksiądz zaprowadził ich do północnej nawy bocznej i wskazał nagrobek Williama St Clair, na którym tuż kolo insygniów templariuszy wyryto zarys Świętego Graala. Laura zerknęła na Shaviego, ale ten najwyraźniej nie uważał, że to coś istotnego. Stróż pokazał im jeszcze dwa kolejne smoki i następnego anioła ze zwojem.

— Roi się tu od wyrzeźbionych w kamieniu otwartych ksiąg wyjaśnił. – Niektórzy sądzą, że to odniesienie do cytatu z Objawienia świętego Jana. Jest taki fragment w opisie Sądu Ostatecznego: „I ujrzałem umarłych, wielkich i małych, stojących

przed tronem, a otwarto księgi”.

— Hm... Więc mamy tu do czynienia z licznymi nawiązaniem do Apokalipsy i widzieliśmy też symbol, który można łączyć z Zmartwychwstaniem.

— Chrześcijanie mieli wówczas obsesję na punkcie tych dwóch zagadnień – przyznał Stróż.

— Nadal mają – prychnęła Laura.

— Spójrzcie tam. – Shavi zwrócił ich uwagę na płaskorzeźbę przedstawiającą anioły zajęte odsuwaniem kamienia z grobowca Jezusa. Na filarze po prawej trzech gapiów, w tym jeden bez głowy, przyglądało się scenie ukrzyżowania.

— Nikt nie wie, co to za jedni – powiedział Marshall. – A tam jest relief, który zawsze podobał mi się najbardziej. – Po żebrowanym luku tańczyło szesnaście postaci, każdej towarzyszył jak cień kościotrup. – To *danse macabre*, taniec ze śmiercią. Miał przypominać wiernym o tym, że śmierć zawsze ma przewagę nad człowiekiem.

— Piękne dzięki. – Laura zostawiła panów samych sobie. Posuwała się wolnym krokiem wzdłuż ścian kaplicy, marząc o tym, by móc być teraz z Churchem – najlepiej na jakiejś egzotycznej plaży tysiące kilometrów od wszystkiego i wszystkich. Nagle po plecach przebiegły jej ciarki. Zatrzymała się. Odniosła wrażenie, że wyczuła podświadomie coś, co przegapiły jej zmysły, coś ekscytującego, przerażającego i ważnego. Rozejrzała się dookoła, ale nie zauważyła nic szczególnego. A potem wpadła na pomysł, żeby spojrzeć w górę... Tak, tego z pewnością nie mogła dostrzec wcześniej kątem oka.

Ze sklepienia kaplicy spoglądał na nią największy Zielony Człowiek, jakiego tu do tej pory widziała. Z ust, niczym słoniowe kły, wystawały mu gałęzie, których gęste liście przesłaniały czoło.

Uśmiechał się groźnie. Zamiast oczu miał czarne szparki pod opadającymi brwiami. Laura nie wiedziała, czy chciano, by wyglądał diabolicznie, zawadiacko czy też odstraszająco.

Te oczy, pomyślała. Zdawało się, że patrzą na nią przytomnie, jakby pragnęły jej coś powiedzieć.

— Wiecie co, może to wcale nie był taki dobry pomysł – zawołała dziewczyna do swoich kompanów, ale nie odpowiedzieli, zbyt pochłonięci badaniem dwóch nietypowych kolumn. Laura poczuła się niepewnie. Wszystkie te płaskorzeźby symbolizowały w jej odczuciu coś niedobrego, ostrzegały, by nie zakłócać spokoju drzemiącej gdzieś tu sile. Jej wyzwolenie skończyłoby się apokalipsą czy nie tak właśnie brzmiało zakodowane przesianie? Dlaczego Shavi i Marshall jeszcze na to nie wpadli? Jej wydawało się to takie oczywiste. Ale mogła się mylić. W końcu obaj mężczyźni byli bardziej spostrzegawczy od niej. Zerknęła ponownie na twarz Zielonego Człowieka i tak jak za pierwszym razem przeszył ją zimny dreszcz.



— Wyjaśnij mi, jak to jest z tymi kolumnami – prosił akurat Shavi, gdy podeszła do mężczyzn.

Ta po lewej była stosunkowo prosta – kolejne piętra finezyjnych zdobień oddzielały poziome linie. Kolumnę po prawej zaprojektowano z większym wyrafinowaniem. Tu płaskorzeźby nie biegły wzdłuż równoległych pierścieni, ale wiły się spiralami wokół trzonu słupa. Tak skomplikowany wzór musiał wyjść spod dłuta prawdziwego mistrza. Marshall wyjaśnił jednak, że legenda głosi co innego.

— To tę po lewej nazywają Filarem Majstra, a tę po prawej Filarem Ucznia. Ponoć terminator zaczął pracę nad swoim filarem pod nieobecność kamieniarza i stworzył to oto arcydzieło. Wróciwszy do pracowni, majster, zamiast cieszyć się sukcesem wychowanka, poczuł tak ogromną zazdrość, że wpadł w straszliwy gniew i zabił chłopaka jednym ciosem drewnianego młotka. Rzecz jasna surowo go ukarano za ten niecny postępek.

— Poświęcenie czegoś dobrego? Akt zdrady przypieczętowany krwią? – zastanawiał się głośno Shavi, próbując znaleźć w podaniu drugie dno.

Uwagę Laury przykuła tymczasem podstawa Filaru Ucznia, na której wyrzeźbiono otoczone gałęziami winorośli smoki. Widok symboli ziemskiej energii przeplatających się z symbolami Cernunnosa wzbudził w dziewczynie jeszcze większe obawy niż Zielony Człowiek ze sklepienia.

— To w tym miejscu kryje się rozwiązanie zagadki – oświadczył Shavi, wskazując Filar Ucznia.

— Jesteś pewien? – spytał Marshall. – Od setek lat ludzie łamią sobie głowy nad przesłaniem tych ornamentów. Nie zrozum mnie źle, ale dość szybko podjąłeś decyzję.

— Być może. Po prostu staram się postępować w sposób instynktowny. Ale mam też argument: ta kolumna jednoznacznie się wyróżnia. Wszystkie pozostałe są znacznie prostsze. Ponadto jest z nią związana opowiedziana nam przez ciebie legenda, według której kolumna powstała w nietypowych okolicznościach, a nauczyciel naszej drużyny bezustannie nam powtarza, że mity i legendy składają się na sekretną historię tych ziem.

— Co więc proponujesz? Mamy zacząć tu kopać? – Widać było, że Stróża przeraża ta barbarzyńska wizja. Nie tylko niszczyliby



zabytek, ale i bezczęścili świątynię.

Shavi pokiwał głową.

Laura i ksiądz skrzywili się jednocześnie, choć z dwóch różnych powodów.

— To kamienna posadzka. A ta kolumna... Wielki Boże! Cały strop może się zawalić! Jakbyśmy nie mieli dość problemów z konserwowaniem kaplicy!

— Rozumiem, ale to nasza jedyna nadzieja. Musi być jakiś sposób.

— W dodatku nie jestem tutaj nikim ważnym – ciągnął spanikowany Marshall. – Toleruje się tu moją obecność, ot i wszystko. Ktoś spróbuje was powstrzymać, wezwie policję...

Laura zerknęła na zegarek.

— Otwieracie o dziesiątej, prawda? No to mamy jeszcze parę godzin.

Shavi zauważył za kolumną wiodące w dół schody. Niższe ich stopnie ginęły w mroku.

— Dokąd one prowadzą?

— Do zakrystii. Sądzi się, że jest starsza od reszty kaplicy.

— A więc budynek wzniesiono nad nią... – Bardzo to szamana zaintrygowało.

— Nie ma tam nic ciekawego, to znaczy, żadnych płaskorzeźb czy innych zdobień. Tylko prosta kamienna sala długości około dwunastu metrów. Według źródeł historycznych jest tam pochowanych trzech książąt Orkadów i dziewięciu baronów Rosslyn.

Shavi podszedł do szczytu schodów i spojrzał w dół, wytyżając wzrok.

— Gdzie dokładnie są pochowani?

— Tego to już nikt nie wie. – Marshall machnął ręką. Uważał

najwidoczniej, że marnują czas dyskutując o grobach jakichś arystokratów.

Szaman przytknął policzek do chłodnego kamienia framugi, ustalając w myślach położenie oraz wymiary podziemnej komnaty. Namysliwszy się, zerknął w kierunku Filaru Ucznia i uśmiechnął się delikatnie.

— Czy komora grobowa mogłaby być odchodzącą od zakrystii zamurowaną alkową?

— Chyba tak.

— Więc jeśli dobudowano by ją do tylnej ściany tej podziemnej sali, znajdowałyby się mniej więcej pod Filarem Ucznia?

Marshall zamyślił się na chwilę, po czym pokiwał głową z entuzjastyczną miną.

— Prawdopodobnie tak. W takim wypadku byłoby też oczywiście odrobinę łatwiej dotrzeć do niej od strony zakrystii.

— Cóż – wtrąciła z sarkazmem Laura – szkoda, że nie będziemy mogli zostać dłużej i usłyszeć, jak tłumaczysz się, skąd wzięła się ta kupa gruzu i dziura w ścianie.

— Mamy nawet pod ręką narzędzia – ciągnął niewzruszony Stróż. – Koło cmentarza stoi baraczek robotników, którzy konserwują mury kaplicy od zewnątrz.

Wyszedł po nie z Shavim. Wrócili z dwoma kilofami i łopatą.

Zeszli razem ostrożnie po zdradliwie wyslizganych stopniach ku wilgotnej komnacie o gołych ścianach. Laura trzymała się z tyłu, czując narastający niepokój.

— Jesteś pewien, że dobrze robimy? – szepnęła na ucho Shaviemu, kiedy ksiądz był na tyle daleko, że nie mógł jej usłyszeć.

— Niczego nie jestem pewien, wiem tylko, że nie mamy innego wyjścia. Nie jesteśmy w stanie wygrać z Fomorianami w

bezpośrednim starciu, już nie wspominając o Niebieskoliciej Wiedźmie.

— Tak, chyba masz rację. Po prostu dręczy mnie przeczucie, że wpadniemy z deszczu pod rynnę.

Shavi przyjrzał się jej uważnie. Zaskoczył ją tym, że nie miał zamiaru ignorować jej obaw.

— Chcesz odstąpić od tej próby? – spytał ją z powagą.

Ta propozycja zdziwiła ją jeszcze bardziej.

— Zobaczmy, jak nam pójdzie. Jeśli robi się strasznie, zawsze można się będzie wycofać.

Na tylnej ścianie zakrystii znaleźli miejsce, od którego, według Shaviego, miała odchodzić komora grobowa. Wmurowane przed wiekami kamienie nie wyglądały na przeszkodę łatwą do pokonania, ale łącząca je zaprawa zdążyła z czasem skruszeć. Przez dłuższą chwilę stali tak w trójkę w milczeniu, próbując oswoić się z myślą, że oto zaraz zaczną dewastować zabytek, a być może i wyzwolą jakieś potężne siły. W końcu szaman zamachnął się i uderzył kilofem o ścianę.

Głuchy odgłos rozszedł się po całej kaplicy przeciągłym echem przypominającym przepelniony rozpaczą nieludzki jęk. Usiłowali sobie wmówić, każde z osobna, że to po prostu wpływ dziwnej akustyki budowli, ale mimo tych racjonalnych wyjaśnień przerazili się nie na żarty. Shavi i Marshall spojrzeli po sobie bez słowa. Laura odsunęła się na kilka metrów od ściany i owinęła się rękoma.

Szaman ponowił uderzenie. Tym razem przeraźliwy jęk, niesiony wiatrem, zdawał się dochodzić z zewnątrz, ze wszystkich stron naraz. Do tej pory w zakrystii panował ponury półmrok – teraz zrobiło się jeszcze ciemniej.

— Zbiera się na burzę – zauważył Stróż, co jednak nie

podniosło pozostałej dwójki na duchu. Niemal w tym samym momencie wicher przybrał na sile i zaczął smagać mury kaplicy gwałtownymi podmuchami.

Ściana komnaty okazała się mniej solidna, niż się tego spodziewali. Od kamieni odrywały się spore kawałki, a zaprawa w całości opadła w okruchach na ziemię. Ileszcze tylko kilka uderzeń dzieliło ich od usunięcia pierwszego bloku, a później już wszystko miało pójść jak z płatka.

Shavi uniósł oskard po raz trzeci.

Nagle nad ich głowami coś potężnie gruchnęło. Uświadomili sobie jednocześnie, że to drzwi kaplicy walnęły z impetem o ścianę otworzone przez kogoś zagniewanego. Porzuciwszy kilof, szaman rzucił się do schodów. Jego towarzysze pobiegli za nim.

Na progu stał mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku – Shavi przypuszczał, że nieznajomy może mieć sześćdziesiąt parę lat. Jego wychudłą, ogorzałą twarz otaczały sięgające ramion, tłuste, siwiejące kudły. Był szczupły, ale nabity, z pewnością silniejszy od większości swoich równolatków. Gotowy do odparcia ewentualnego ataku, trzymał oburącz niemal dwumetrowej długości sękaty kij. Szamanowi przemknęło przez głowę, że właściciela takiej broni lepiej nie prowokować. Na pierwszy rzut oka intruz wyglądał na włóczęgę – miał brudną koszulę z cienkiej bawełny, podniszczone sandały i workowate, brązowawe spodnie, które już dawno straciły swój oryginalny kolor. Były to jednak tylko pozory. Od mężczyzny biła tajemnicza moc, a jego ciemne oczy rzucały odstrasające błyski. Dobrze wiedział, co się działo w kaplicy i przybył położyć temu kres.

— Natychmiast przestańcie robić to, co robicie! – Mówił z silnym, acz trudnym do scharakteryzowania regionalnym akcentem. – Nie wiecie, z czym macie do czynienia, głupcy!

Zaręczam was, nie dożyjecie skutków swojego pochopnego czynu!

Laura pociągnęła Shaviego za rękaw.

— Mam radę dla ciebie. Nie zbliżaj się do tego faceta na odległość mniejszą niż długość jego kija.

— Znasz go?

— Spotkaliśmy się w Avebury, zanim dołączyłeś do drużyny.

— Strażnik Kości! – odgadł szaman. Uśmiechnął się ciepło i wyciągnął rękę na powitanie.

Przybysz nie spuszczał z niego wzroku.

— Co to za jeden? – spytał Marshall.

— Opiekun najstarszych zabytków w tym kraju – odparł Shavi kamiennych kręgów, kurhanów, ziemnych wałów obronnych. Ostatni z tajnego bractwa, którego członkowie od wieków przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie sekrety przyrody. – Szaman wyczuwał, że mężczyzna stanowi dla nich zagrożenie, choć nie wiedział jeszcze, na czym miałyby ono polegać.

— Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co robicie? – spytał intruz.

— Próbujemy ocalić świat – odpowiedziała zza pleców towarzyszy Laura. – Też mógłbyś czasem się w to pobawić.

— Kiedy poczułem to w ziemi, niczym przebiegający przez glebę dreszcz, nie wierzyłem własnym zmysłom. – Strażnik Kości mówił niskim głosem, rozedrganym od skrywanych emocji. – Przybyłem tu jednak tak szybko, jak to było możliwe, aby was powstrzymać. Bezmyślni ignoranci! Ponowię moje pytanie: czy wiecie, co robicie?

— Polecono nam uwolnić uwięzioną w tym miejscu siłę...

— Uwięzioną siłę! – prychnął mężczyzna. – Zatem nie macie pojęcia, co skrywa tu wewnątrz ziemi. Ani po co wzniesiono nad tym czymś tę budowlę.

Shavi nie tracił rezonu.

— Skoro tak uważasz, to oświeć nas, proszę.

Strażnik Kości zaśmiał się pogardliwie.

— To siła, której mocy nie jesteście w stanie ogarnąć, chłopcze. Nie potraficie sobie nawet wyobrazić czegoś równie mrocznego, groźnego i potężnego, bo gdyby tak było, nie śmielibyście zbliżyć się do tego miejsca choćby na piętnaście kilometrów. Piątka żalosnych głupców! Pchacie się, gdzie nie wasze miejsce, wywołując zamęt. Od razu wiedziałem, że nie podołacie powierzonym wam zadaniom.

— Poradzimy sobie – oświadczyła z mocą Laura. – A ten drąg to se możesz...

Shavi uciszył ją pospiesznie, po czym zwrócił się do intruza: – Nie odstąpię, zbyt wiele zależy od powodzenia tej misji. Mam zamiar znaleźć rzecz, której tu szukam, i zabrać ją ze sobą. Inaczej wszystko stracone.

Twarz Strażnika Kości stężała.

— A ja z kolei mam zamiar was powstrzymać. Mogę zacząć wyjaśniać wam cierpliwie, że jesteście o krok od popełnienia błędu, za który przyjdzie wam zapłacić życiem, ale mogę także użyć siły. Tak czy owak, wybiję wam z głowy uwalnianie uwiecznionych sił. I wiem, która metoda będzie skuteczniejsza. No, który pierwszy? Może ty.

— W głosie mężczyzny pobrzmiwała arogancja. Był przyzwyczajony do tego, że ma przewagę nad przeciwnikiem. Chwycił drąg nieco inaczej, uginając jednocześnie kolana i przenosząc ciężar ciała na palce stóp. Starannością płynnych ruchów przypominał mistrza karate – widać było, że ma za sobą lata treningów. Shavi podejrzewał, że Strażnik Kości nieprzypadkowo włada takim właśnie typem broni – podobnymi

kijami walczyli przed wiekami Celtowie lub jeszcze starsi mieszkańcy Wielkiej Brytanii. – Jak zamierzasz się bronić, chłopcze? – spytał go intruz.

Szaman zdał sobie sprawę, że w pojedynku z przybyszem nie miałby szans, postanowił więc pójść inną drogą. Nie czuł napięcia ani strachu. Opuściwszy ręce luźno wzdłuż ciała, po kolei rozluźniał wszystkie mięśnie. Głowa przekrzywiła mu się nieco, zamknął oczy.

— Udajesz, że mnie tu nie ma? – zakpił mężczyzna. – Świetny pomysł.

Shavi nigdy przedtem nie próbował czegoś podobnego, nie był to też może najlepszy moment na podobne eksperymenty, wiedział jednak, że jego zdolności rosną z dnia na dzień, przez co coraz bardziej wierzył w siebie. Wyczuwał instynktownie, że w takiej sytuacji potrafi sobie poradzić. Musiał po prostu sprawdzić, czy się nie myli.

Z początku nic się nie działo, ale już po chwili, gdy Strażnik Kości zadrwił sobie z niego, jego głos dotarł do uszu szamana dziwnie stłumiony, jakby obu mężczyzn dzielił długi tunel. Po słuchu Shaviego przyszła kolej na jego wzrok. Widoczne zawsze pod powiekami, migoczące, wielobarwne drobinki zawirowały niczym szkiełka w kalejdoskopie, a prześwitujące z świata zewnętrznego cienie wykrzywiły się, rozciągnęły, zmieniły kąt nachylenia. Po tej zmianie czas wydawał się płynąć wolniej. Zmysły szamana zrobiły się wrażliwsze – znikąd pojawiło się więcej dźwięków, w tym niezrozumiałe szepty niewidzialnych istot. A potem nagle odniósł wrażenie, że widzi wszystko przez zaciśnięte powieki, przez kamienne ściany kaplicy, przez budynki i wzgórza, na wiele kilometrów. Pograżony w półśnie opuścił swoje ciało i Rosslyn. Podczas wcześniejszych prób

miewał podobne wizje, ale brakowało im zawsze rozmachu i ostrości. Nadszedł odpowiedni moment, by wezwać posiłki. Szaman przywołał pomocników głosem, który nie był głosem.

— Shavi! Nie czas na narkotyczne drzemki! – Laura potrząsnęła go za ramię, ale najwyraźniej nic nie czuła.

— O co w ogóle chodzi? – odezwał się wreszcie Marshall. – Dlaczego zachowuje się pan tak agresywnie wobec tych młodych ludzi?

Strażnik Kości uśmiechnął się szeroko, nadal celując kosturem w gardło szamana.

— Zamilcz, kościelna żmijo. Tobie podobnym zawsze się zdaje, że pozjadali wszystkie rozumy, a są jak dzieci we mgle. Nie wciskaj nosa w nie swoje sprawy.

— Znajdujecie się w Domu Pana! – zagrzemiał ksiądz. – Nie pozwolę na żadne bijatyki pod ołtarzem!

— Ale nie masz nic przeciwko dewastacji zakrystii? Jesteś takim samym hipokrytą jak wszyscy inni duchowni. Zawsze tacy byliście.

Uwagę Laury odwrócił od tej kłótni jakiś ruch na zewnątrz. Po przystrzyżonej trawie, w zamglonym powietrzu przemknął nisko cień – jeden, potem drugi – zbyt szybko, by rozpoznać kształty. Coś tam było, czegoś tam było dużo. Zakradali się do wejścia.

— Shavi? – szepnęła.

— Udawanie, że straciłeś przytomność, nic ci nie pomoże – zadrwił Strażnik Kości. – Zaraz dostaniecie nauczki za swoje głupie pomysły.

— I czego się niby nauczymy? – spytała Laura, zezując w stronę drzwi. Znów coś przemknęło po trawniku. Jeszcze bliżej. – Ze prędzej czy później każdy zmienia się w zrzędliviego ramola?

Intruz skrzywił się. Już miał dać dziewczynie ripostę, kiedy



nagle coś wpadło do kaplicy i go zaatakowało. Mężczyzna zawył z bólu. Przez kilka sekund Laura nie wiedziała, co się dzieje – migał jej tylko przed oczami rdzawy kłęb, od którego opędzał się Strażnik. Okazało się, że to rozwścieczony lis wczepił się zębami w jego lewe przedramię. Po brązowych spodniach spływały stróżki krwi. Mężczyzna próbował zdzielić zwierzę kijem, ale nic sobie nie robiło z jego szamotaniny, za to ranny miał kłopot z utrzymaniem równowagi. Zanim zdołał odrzucić kostur, by móc chwycić lisa za kark, rzucili się na niego dwaj nowi przeciwnicy: duży kundel i wlokący za sobą smycz dog niemiecki. Psy obskakiwały Strażnika, kłapiąc zębiskami, ale Laura zauważyła, że nie chcą zrobić mu krzywdy. Zmuszały go tylko do ciągłego podrygiwania tudzież porządnie podrapały, tak że skórę miał śliską od śliny i krwi. Trawnik przed budynkiem zaroił się od nowych przybyszów. Dziewczyna dostrzegła kolejnego lisa, borsuka i, co ciekawe, kilkanaście królików. Wszystkie te zwierzęta zmierzały ku Strażnikowi. Wkrótce jego nogi znikły w kłębowisku futer. Wnętrze kaplicy rozbrzmiewało echem szczeków, charknięć i pisków. Sama liczba atakujących mężczyznę zwierząt była tak wielka, że nie miał innej możliwości, jak wycofać się na próg. Węsząc okazję, Laura szybko podniosła z ziemi jego kij i pchnęła nim Strażnika Kości tak, że zatoczył się na trawę.

— Prędko! – wymamrotał Shavi, z wolna dochodząc do siebie. Drzwi! – Rzucił się do przodu, ale oczy uciekły mu w głąb czaszki i musiał przysiąść.

Laura i Marshall zatrasnęli wspólnymi siłami wrota kaplicy, po czym zataszczyli pod nie kilka długich kościelnych ławek. Trzeba by było buldożera, by wyważyć tak zatarasowane drzwi.

Przeraźliwy chór zwierzęcych odgłosów ucichł raptownie, gdy

tylko wypuścili z rąk ostatnią ławkę. Słysząc było teraz jedynie łapy szybko oddalających się napastników, uderzające rytmicznie o mokrą trawę. Strażnik Kości jęknął raz czy dwa, czując już w pełni płynący z ran ból.

Laura obróciła się tyłem do drzwi. Shavi, blady i osłabiony, nadal klęczał.

— To twoja sprawka! – oświadczyła z niedowierzaniem.

Pokiwał głową z wymuszonym uśmiechem.

— Nie spodziewałem się, że mam takie zdolności.

— Dobry Boże! – wymamrotał oszołomiony ksiądz.

Laura i Shavi zabrali się do ustawiania barykad z ławek pod drzwiami w ścianie zachodniej i południowej.

— Jak tylko oprzytomnieje, zrobi wszystko, żeby dostać się do środka – zauważyła dziewczyna.

— A więc do roboty.



Zostawili zszokowanego Marshalla na górze, siedzącego na ławce, ze wzrokiem wbitym tępo w podłogę. Zakrystia powitała ich chłodem. Laura znów poczuła się nieswojo. Nie miała najmniejszej ochoty na dalsze kucie. Shavi, przeciwnie, wydawał się zupełnie nieświadomy gęstniejącej wokół, dusznej atmosfery grozy. Zamachnąwszy się energicznie kilofem, uderzył w ścianę po raz trzeci. Huk rozszedł się wibracją w murze aż po fundamenty. Strażnik Kości zaczął dobijać się do jednych z zatarasowanych drzwi. Walił i wrzeszczał, agresywny jak dawniej, ale głos coraz częściej mu się łamał – to dawał znać o sobie strach. Od jego krzyków Laurze cierpła skóra. Zakryła uszy,

ale nie pomogło.

— Co tam może być, Shavi? – spytała swojego kompana, ale był tak skupiony, że chyba jej nie usłyszał. Twarz miał napiętą, oczy utkwione w jednym punkcie.

Pracował jak maszyna. Oskard to wznosił się, to opadał. Kamienne łuski odpryskiwały niczym odłamki bomb, a w powietrzu unosiły się tumany pyłu. Szaman krztusił się i kasłał. Gdy ścierał sobie pot z czoła, na skórze zostawały brudne smugi.

— Jeszcze trochę – powiedział po kilku uderzeniach.

Laura chciała poprosić go, żeby przestał, ale w tym samym momencie część kamiennych bloków zwała się z łoskotem w głąb odsłoniętego otworu. Dziewczyna odskoczyła wystraszona, nie wiedząc, czego się spodziewać. Shavi opuścił kilof. Pył z wolna opadał na posadzkę.

Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do panujących za wyrwą ciemności, zobaczyli, że szaman miał rację – za ścianą kryła się komora grobowa. Obszerne pomieszczenie wypełniały zakurzone kamienne sarkofagi. Na kilku z nich dostrzegli znak miecza, który według Marshalla symbolizował templariuszy. Uderzył ich smród zgnilizny. Odór był tak silny, że Laura musiała przesłonić usta dłonią i zatkać nos. Ale nie tylko brzydki zapach ją odrzucił. To właśnie z grobowca biły wyczuwalne w kaplicy negatywne emocje, teraz silniejsze niż kiedykolwiek. Dziewczyna nie potrafiła zmusić się, by zostać w zakrystii choćby minutę dłużej. Ruszyła w kierunku schodów. Shavi nawet nie zauważył jej pospiesznego odwrotu. Wpatrywał się jak zaczarowany w misternie zdobioną kolumnę pokrytą czaszkami, smokami i wizerunkami Zielonego Człowieka. Sądząc po jej położeniu, stanowiła przedłużenie Filaru Ucznia. Pewien fragment kolumny w połowie jej wysokości był zupełnie gładki. Shavi dotknął go

delikatnie. Chłodny kamień wydawał się wibrować pod jego palcami.

— Tu cię mamy – szepnął podekscytowany szaman.



Marshall nadal siedział na ławce z twarzą skrytą w dłoniach i nawet nie podniósł głowy, kiedy Laura przeszła tuż obok. Dziewczyna odczuwała przemożną potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, ale Strażnik Kości nie zamierzał dać za wygraną. Walił w drzwi z jeszcze większą zajadłością niż na początku, choć ochrypl w międzyczasie od długich minut nawoływania.

— Dałbyś spokój! – zawołała zdenerwowana Laura. – Przecież to świątynia, miejsce skupienia i wyciszenia. Robisz taki raban, że nie słyszymy tu w środku własnych myśli.

Mężczyzna ucichł. Stało się to tak nagle, że dziewczyna zaczęła podejrzewać jakąś niecną intrygę, tym bardziej zaskoczył ją ton głosu Strażnika, kiedy ten się w końcu odezwał. Było słychać wyraźnie, że jest zdesperowany i coraz bardziej przerażony.

— Pod żadnym pozorem nie wolno wam podejmować żadnych prób! Błagam, przestańcie natychmiast! Błagam!

— Gdybyś nie był taki agresywny i pewny siebie, tylko wytłumaczył nam, co dokładnie nam grozi, może byśmy cię posłuchali – powiedziała dziewczyna. Sama jednak czuła niepokój, więc dodała: No to co tam siedzi?

— Nie co, tylko kto. – Drewno drzwi zniekształcało głos Strażnika. – Dobry Syn... Ha! Cóż za ironia. Ten nadany mu przez ludzi przydomek miał za zadanie go udobruchać, uspokoić,

powstrzymać jego wrogie zapędy.

— Mówiono nam, że to miły gość.

— Powinniście już byli przejrzeć na oczy – stwierdził Strażnik z lekką pogardą. – Bogowie starego porządku nie znają pojęcia dobra i zła. Są ponad to.

— Wiesz, o co mi chodzi – odparła Laura kwaśno.

— Owszem, jeśli można zaufać któremuś z Tuatha Dé Danann, to tym kimś jest Maponus. Na ziemi szczerze go kochano. Niemniej, tak jak już mówiłem, byłoby błędem przypisywanie tym bogom ludzkich emocji. Są nam obcy. Ich umysłów nie daje się przeniknąć, ich rozumowania nie daje się rozgryźć.

— A co według ciebie stało się z Maponusem?

— Był znienawidzony przez Fomorian...

— Pewnie zazdrościli mu urody i powodzenia u kobiet – wtrąciła Laura oschłym tonem.

— Poniósłszy sromotną porażkę w drugiej bitwie na równinie Magh Tuireadh, wściekli postanowili resztką sił zadać plemieniu Danu ostatni cios. Wybór padł na uwielbianego przez wszystkich Maponusa, którego utrata byłaby dotkliwą stratą zarówno dla ludzi, jak i dla Złotego Ludu. Fomorianie zaatakowali boga, kiedy opuszczał Zaświaty, aby spotkać się ze swoimi czcicielami na ziemi.

— W jaki sposób go zaatakowano?

— Wiadomo tylko, że dopadli go w pustce na granicy dwóch światów.

— Skoro nie żyje... – przerwała Strażnikowi Laura.

— Nie, nie zabili go. Zresztą ci bogowie nie umierają tak naprawdę. Fomorianie zaplanowali dla Maponusa coś znacznie gorszego. Nie wiem, jak dokładnie tego dokonali, ale kiedy na powrót pojawił się na ziemi, był szalony. Zupełnie postradał

zmysły. Oto najokrutniejsza kara z możliwych: skazanie kogoś na wieczne cierpienie. W amoku zaczął siać terror. Pierwsi padli jego ofiarą mieszkańcy wioski na południu Szkocji. Zmasakrował ich wszystkich. Nie dało się ani zidentyfikować ofiar, ani ocenić ich liczby – nie wiadano nawet, kto dokonał tej zbrodni. Na co dzień włóczył się po odludnych pustkowiach. Ludzie powiadali, że nocami słyhać było jego rozpaczliwe ryki niosące się echem wśród wzgórz. Każdy przypisywany mu atrybut zastąpiło jego przeciwieństwo. Nie niósł już ludziom światła, tylko ciemność i śmierć. Nie edukował, tylko zabijał. W jego oczach zamiast miłości płonęła zwierzęca furia. Nie sposób ustalić, ilu straciło życie, gdy nieszczęsny grasował po kraju. Przekazywane z pokolenia na pokolenie podania głoszą, że nieraz całe pola spływały krwią. Maponus, niegdyś uwielbiany i szanowany, w swoich dawnych wyznawcach budził teraz paniczną trwogę.

— Jak trafił do Rosslyn? – Głos Laury zyskał dziwny pogłos, jakby kaplica zmieniała swe wymiary tak, że nawet niezbyt głośne dźwięki wywoływały echo.

— Nie można było dłużej tolerować takiego stanu rzeczy – odparł Strażnik srogim tonem. – Dobry Syn może i odgrywał wcześniej rolę zbawcy ludzkości, ale po tragicznej przemianie siał jedynie zniszczenie. By przetrwać, musiano go zgładzić. Albo przynajmniej unieszkodliwić.

— Niestali jesteście w uczuciach, niestali – odezwał się Marshall zbolalym głosem. Laura dopiero teraz zdała sobie sprawę, że do niej podszedł. – Kiedy zbawienie nie nadchodzi w takiej formie, jakiej się spodziewamy, kąsamy wyciągniętą ku nam dłoń.

— Moi pobratymcy – ciągnął Strażnik Kości – zebrali się dwukrotnie: raz na Anglesey [*duża wyspa tworząca północno-*

*zachodni kraniec Walii]* i raz w Glastonbury. Widzicie, byli wówczas u szczytu swojej potęgi. Po tylu wiekach ciemności, odejście boskich ras pozwoliło im rosnąć w siłę i z nadzieją patrzeć w przyszłość. Ponieważ centralnym elementem ich kosmologii było słońce, jasna strona Maponusa, potrafili uwolnić się od wpływów nocy i księżyca, dążąc do umocnienia roli ludzkości w tajemnicach istnienia. Nie mieli zamiaru pozwolić na zniszczenie swojego odrodzonego świata, szczególnie bogu, którego czas już minął – bez względu na to, jak niegdyś był im bliski. Siedem dni szykowali się do odprawienia odpowiedniego rytuału. W końcu zgromadzili dostatecznie duże zapasy mocy, by złapać Maponusa. Legendy mówią jednak, że osiągnięcie to kosztowało życie dwustu uczciwych ludzi, których rozwścieczony bóg rozerwał na strzępy. Mimo tej wielkiej ofiary, pozostali wytrwali. Rytuał się powiódł – Maponusa uwięziono.

Laura zerknęła przez ramię na wiodące ku zakrystii schody. Kilof Shaviego raz po raz uderzał z ogłuszającym łoskotem o mur.

— Jezu Chryste...

Poczuła się mała i bezbronna.

— Na miłość boską, musisz go powstrzymać! – Marshall chwycił ją za ramię. – Zanim będzie za późno!

— Przecież nie mamy wyboru – powtórzyła dziewczyna niczym mantrę. Była zupełnie zdezorientowana. – Jeśli go nie zbudzimy, wszystko szlag trafi. – Ale nagle coś w niej drgnęło i rzuciła się ku schodom. – Shavi! Shavi! – krzyczała ile tchu.



Szaman nie słyszał nic, nawet tego, jak zaciekle atakuje powierzchnię kolumny. Całą uwagę skupił na kamieniu, nie istniało dla niego nic poza tym. Kaszłał w kolejnych wzbijanych przez siebie chmurach pyłu, brudną ręką ocierał pot z czoła, i machał, machał bez chwili wytchnienia. A potem rozległ się huk, niemalże ludzki ryk. Tak przeraźliwy, jakby po ostatnim uderzeniu kilofa pękła nie kolumna, a fundamenty całej kaplicy. Shavi zachwiał się i upadł. Wreszcie pył osiadł na ziemi, a oczom mężczyzny ukazało się to, co od wieków kryła komora.



— Odcięto mu głowę! – krzyknął za Laurą Strażnik Kości. – Odcięto mu ją na żywca i zamurowano w kolumnie! A odcięta nadal żyła! Ciskała przekleństwa! Jego ciało pochowano w pobliżu...



Gdy budynek kaplicy zadrżał po raz pierwszy, Laura dobiegała właśnie do schodów, nadal wołając imię Shaviego. Gęsty deszcz oderwanych od sufitu drobin spadł na kamienną posadzkę, w której pokazała się głęboka rysa. Wstrząs rzucił dziewczyną gdzieś na bok, uderzyła ciężko o podłogę. Nie od razu była w stanie się podnieść.

Wyprzedził ją Marshall. Jego przeżarte artretyzmem stawy strzykały z wysiłku – chciał jak najszybciej dotrzeć do zakrystii.



Laura zdążyła jeszcze zauważyć, że jest bardzo wzburzony. Mężczyzna był już w połowie schodów, gdy kaplica zadrgała po raz drugi. Straciwszy równowagę, poleciał bezwładnie przed siebie, a upadając, uderzył z impetem głową o stopień. Krew trysnęła na kamień z głębokiej rany. Ciało księdza zatrzymało się u wejścia do zakrystii.

Wstrząsy powtarzały się teraz coraz częściej, a każdy kolejny był coraz silniejszy. Laura spróbowała wstać. Przed oczami stał jej widok ścian świątyni pękających niczym lód, spadających na nią, przygniatając tonami gruzu wszystko, co poniżej.



Shaviemu kręciło się w głowie. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że dopiero co obudził się z głębokiego snu, ale zaraz potem raptownie doszedł do siebie. Komorę wypełniał tak gęsty pył, że niemal się nim zakrztusił, a od silnych wibracji podłogi robiło mu się niedobrze. Najgorzej działał na niego dźwięk dobywający się z głębi kolumny. Z początku było to ledwie słyszalne niskie buczenie, które przeszło szybko w trudny do zniesienia wysoki jęk. Szaman poczuł, że ogrania go bezzasadna rozpacz, a zawartość żołądka podchodzi do gardła.

A potem kłęby kurzu przerzedziły się na tyle, by mógł dojrzeć źródło tego przeraźliwego zawodzenia. W miejscu, od którego odpadła gładka płyta, wewnątrz kolumny było puste. Zakurzona niszę wypełniała odcięta głowa. Trudno było wpierw dostrzec wyraźnie przez pył rysy twarzy Maponusa, ale w końcu się wyłoniły: prosty nos, pełne usta, duże oczy, wysokie kości policzkowe. Bóg mógłby zostać uznany za ideał męskiej urody,

gdyby nie bijące od jego oblicza, budzące obrzydzenie zepsucie. Jego skóra zdawała się jarzyć złoto wewnętrznym światłem, ale przy szyi miły dla oka miodowy kolor przechodził w odrzucającą zieleń zgnilizny. Piękne dawniej, ciemne oczy nabrzmiały w gniewie czerwienią i fioletem, zaś rozczochrane włosy pokrywał białą warstwą pyłu. Tyl głowy aż po uszy nadal tkwił w kamieniu, odnosiło się więc groteskowe wrażenie, że jej właściciel wygląda dla żartu przez rozcięcie w jakiejś zasłonie.

Shavi nie potrafił oderwać wzroku od pełnych warg uwięzionego boga. Poruszały się bezustannie, modulując ów przykry jęk, który przenikał boleśnie ciało umęczonego szamana – wbijał mu się w mózg, wibrował w zębach, pulsował w żołądku. Na nic zdało się zaciskanie uszu brudnymi dłońmi.

Chociaż widok głowy hipnotyzował go swoją obrzydliwością, Shavi zdał sobie sprawę, że nie powinien pozostawać w komorze ani chwili dłużej. Chciał się już wycofać, ale w tym samym momencie kaplica zatrzęsała się z niespotykaną wcześniej mocą, w posadzce komory pojawiło się szerokie pęknięcie. Z sufitu posypał się grad kamiennych odłamków. Szaman przesłonił twarz, by się jakoś ochronić. Gdy po chwili odważył się opuścić rękę, zobaczył, że od szpary bije złota poświata, coraz silniejsza, jakby jej źródło zbliżało się powoli do krawędzi. Niepokój mężczyzny wzrastał się. Musiał zobaczyć, co to takiego.

Pierwsza w otworze pojawiła się męska dłoń, potem szukająca na ślepo oparcia ręka, a wreszcie na zewnątrz wyczołgał się cały bezgłowy bóg. Przez chwilę krążył wokół rysy, zataczając się niczym uczące się chodzić dziecko, po czym skierował swoje coraz pewniejsze kroki ku roztrzaskanej kolumnie, by ścisnąć ją oburącz na wysokości głowy. Otaczający ją kamień rozpadł się na tysiąc kawałków. Łypała dziko oczami, bez cienia świadomości.

Bóg sięgnął po nią niezdarnie smukłymi palcami i po kilku próbach udało mu się ją schwycić. Pewnym ruchem umieścił ją sobie na kikucie szyi. Kiedy przyrastała w magiczny sposób, szew pomiędzy nią a tułowiem zapłonął bladawym światłem. Maponus wyprostował się dumnie po raz pierwszy od stuleci. Był równie urodziwy, co przerażający.

Shavi pomyślał, że lada moment postrada zmysły od tylu dziwów naraz.

— Błagam, wysłuchaj mnie, panie – szepnął onieśmielony.

Zatrzymawszy na nim wzrok, Maponus zrobił krok w jego kierunku. Spojrzenie miał zimne jak stal – w oczach boga szaman nie dostrzegł nic ludzkiego.

— W Edynburgu czekają Fomorianie – podjął swoją litanie skulony mężczyzna. Głos miał ochrypły. – Prosimy cię, abys pomógł nam pokonać Cailleach Bheur. Pokonać Fomorian.

Złoty bóg wysłuchał go w skupieniu i uśmiechnął się drapieżnie.

Shavi westchnął z ulgą, widząc, że jego słowa zostały zrozumiałe, ale gdy na powrót podniósł wzrok, zobaczył, że zbudzona istota idzie ku niemu niczym w transie z twarzą wykrzywioną agresją. Ręce trzymał wyprostowane przed sobą, pomiędzy dłońmi strzelały iskry. Szaman poczuł w nozdrzach ostry zapach ozonu. Zdał sobie sprawę, że od boga bije skwar nie do wytrzymania. W głowie mu huczało, wiedział, że powinien uciekać, ale magnetyczne spojrzenie Maponusa paraliżowało niczym wzrok kobry.

— Nie! jego zostaw! Jeśli już musisz, weź mnie! – To Marshall dowlókl się na czworakach spod schodów, by zagrozić zniecka drogę krwiożerczemu bóstwu. Twarz miał całą we krwi, oczy pełne strachu, wytrzeszczone. Grając w farsie,

wyglądałby być może komicznie, ale tu, w złotej łunie bijącej od ciała wskrzeszonego, przypominał raczej jedną z potępionych dusz na jakimś obrazie Boscha. Przełamując lęk, wstrząsany drgawkami, podniósł się ostrożnie, aż wreszcie stanął z Maponusem twarzą w twarz.

— Weź mnie – powtórzył łagodnie. Rozłożył szeroko ręce, nie by błagać, ale by podkreślić, że jest gotowy na śmierć.

Maponus zacisnął szczupłe dłonie na głowie księdza. W powietrzu zapachniało gotowanym ludzkim mięsem. Marshall zawył, czując, że krew zawrzała mu w żyłach. Po jego rozedrganym ciele skakały złote iskry. Kata i jego ofiarę otoczył szary dym.

Ten mrozący krew w żyłach widok podziałał na Shaviego jak kubek zimnej wody. Potykając się, rzucił się w kierunku wyjścia, na schodach brał po dwa stopnie naraz. Na górze czekała na niego oszołomiona Laura z oczami pełnymi łez.

— Ten smród – wykrztusiła.

Pociągnął ją za sobą w kierunku zastawionych drzwi, gdzie w pośpiechu zabrali się do likwidowania barykady. Kaplica zaczęła dygotać niczym przy potężnym trzęsieniu ziemi. O posadzkę co rusz roztrzaskiwały się nowe fragmenty sklepienia. W ścianach i podłodze pojawiły się szpary.

Laura zerknęła przez ramię w stronę zakrystii. Z głębi schodów biło coraz silniejsze światło.

— Zbliża się! – jęknęła.

Ostatnią ławkę odsunęli w samą porę. Wybiegli w chłodne poranne powietrze. Strażnik Kości czekał na nich pod murem, śmiertelnie przerażony. W jego twarzy zobaczyli to, co sami czuli w sercu. Kaplica waliła się z ogłuszającym hukiem. Wszędzie wokół czuć było silne wibracje.

Shavi przystanął przy bramie, by po raz ostatni spojrzeć na gruzy. Wbrew rozsądkowi tliła się w nim jeszcze nadzieja, że siłę, którą uwolnił, pogrzebały na nowo walące się ściany.

Daleko na polu przez mgłę prześwitywał świecący złotawo kształt. Poruszał się szybko, ledwo go już było widać. Szaman poczuł się gorzej niż kiedykolwiek.

# ROZDZIAŁ 8

## GLEBOKIE CIENIE

Po dwudziestu minutach marszu w tunelu pojawił się pierwszy symptom zmian, zapowiadanych przez Toma. Church poczuł ze zdziwieniem, że zapach stęchlizny ustępuje przyjemnej mieszance cynamonu i mięty. Powietrze zdawało się niemalże śpiewać. Z pozoru niesłyszalne echo harmonijnych melodii odbijało się to tu, to tam od jarzących się ścian.

— Zaczyna się?

— *This is the best part of the trip [(ang.) „To najlepsza część wycieczki” (bądź narkotykowego odlotu); cytat z piosenki The Soft Parade The Doors]* — wyrecytował za jego plecami Tom.

— Co proszę?

— Nic, nic. Przypomniały mi się lata sześćdziesiąte.

— Nie pora na wspomnianie hipisowskich balang – zwrócił mu uwagę Church. Zaczynał się niepokoić.

— Wierz mi, gdybyś trochę wtedy zaszalał, podchodziłbyś do życia na większym luzie.

— Bardzo mi przykro, ale urodziłem się nieco za późno, żeby mieć szansę przywdziać kaftan i koraliki.

W ścianach coś westchnęło, a zaraz potem gdzieś w oddali rozległ się niski, stłumiony dźwięk. Cała ta sekwencja zaczęła się rytmicznie powtarzać – efekt był taki, jakby w głębi ziemi biło olbrzymie serce.

— Przegapiłeś wspaniałą epokę. Ten zapach... Przypomina mi kalifornijskie noce. Chodziłem wtedy często na przyjęcia do Keseya. To było już po tym, jak założył sklep z Merry Pranksters po powrocie z objazdu Stanów Magicznym Autobusem [*pisarz Ken Kesey, bożyszcze hipisów, wraz ze swoją komuną Merry Pranksters jeździł po Stanach Zjednoczonych pomalowanym w psychodeliczne wzory autobusem*]. Za oprawę muzyczną odpowiadał Jerry Garcia [*lider zespołu The Grateful Dead*]. Serwowali dwa rodzaje ponczu: zwykły i z prądem. A potem pojawili się Hell's Angels i wszystko szlag trafił.

— Co ty wygadujesz? – spytał Church rozdrażniony. – Nie ma co, za dużo w życiu ćpałeś.

Przyłożył dłoń do skały, w której wydrążono tunel. Wibrowała tajemniczo pod opuszkami jego palców.

— Kesey, Leary, wszyscy ci psychonauci mieli w sobie naprawdę dużo energii. Gdyby nie protesty establishmentu, mogliby zmienić świat! Wierzyli, że psychotropy mogą pomóc im zobaczyć Boga. Wiedziałaś o tym? Postępując w ten sposób, szli w ślady tych wszystkich, którzy tysiące lat wcześniej, w miejscach o najsilniejszym potencjale ziemskiej energii, stawiali na całym świecie monolityczne budowle. Nim rozpanoszyła się nasza nędzna kultura nowożytna, to właśnie narkotyki napędzały cywilizację.

— Twierdzisz, że ta cała banda z Woodstock miała rację? – spytał Church nieco rozkojarzony. Nie wiedział, czy skupić się na wynurzeniach kompana, czy raczej na tym, co dzieje się z tunelem.

— Wszyscy musimy stać się neohipisami, Jack, jeśli chcemy poradzić sobie z nowym porządkiem świata.

Oznajmił to tak ciepłym tonem, że Church obrócił się

zaskoczony, ciekawy wyrazu twarzy swojego nauczyciela. Zdębiał. Zdawała się dzielić ich półprzeźroczysta tafla, deformująca sylwetkę hipisa niczym krzywe zwierciadło.

— Tom? – Church wyciągnął ku mężczyźnie rękę, ale tamten zaczął się cofać, najwyraźniej wsysany w głąb tunelu. W końcu leciał bezwładnie, coraz jaśniej świecąc.

— Wszystko będzie dobrze, fuck! – rozległo się pogłosem, najpierw głośno, a zaraz potem bardzo cicho, jakby głos dobiegał z dwóch różnych głośników. Church mrugnął i Tom znikł.

Ogarnęła go panika, nie potrafił pojąć, co się dzieje. Jeszcze przed chwilą szli sobie w dwójkę, jak gdyby nigdy nic, a teraz był sam. To nie miało sensu.

Zdesperowany zamknął oczy, skupiając się na wskazówce Toma, który dopiero co poradził mu, żeby się rozluźnić. Przypomniała mu się także inna uwaga przewodnika – że tak blisko potężnego źródła energii czas i przestrzeń ulegają zakłóceniu. Odetchnął głęboko i postanowił wziąć się w garść. Nie miał innego wyboru, jak pogodzić się z tym, że jest sam. Z takim nastawieniem ruszył w dalszą drogę.

Tunel to wznosił się, to opadał, a pobrzmiwające w powietrzu melodie ukoily rozedrgane serce wędrowca. Po jakichś piętnastu minutach ścieżka skręciła raptownie i Church znalazł się na progu ogromnej jaskini. Oszacował jej rozmiary na imponujące po tym, jak inaczej rozchodził się w tym wnętrzu dźwięk jego kroków. Sklepienie pieczary ginęło w cieniu wysoko nad jego głową. W takim miejscu z pewnością łatwo było się zgubić. Church mógł rzecz jasna obejść jaskinię wzdłuż fosforyzującej skalnej ściany, ale czuł instynktownie, że właściwa ścieżka wiedzie przez sam jej środek, gdzie w ciemnościach kryły się być może zdradliwe szczeliny, kominy i szyby. Jego podejrzenia



potwierdziły się wkrótce, bo dostrzegł u swych stóp starannie wyrzeźbionego w skale smoka, którego ogon niczym strzałka wskazywał serce pieczary. Church zawahał się, ale tylko na moment, po czym odszedł w mrok.



Miał wrażenie, że idzie już od kilku godzin, chociaż tak naprawdę nie mogło minąć więcej niż piętnaście minut. O dziarskim marszu nie było w ciemnościach mowy. Posuwał się w iście ślimaczym tempie, macając najpierw stopą kolejny odcinek ścieżki. Czasem, z braku bodźców wzrokowych, zaczynał wpadać w coś na kształt transu walczył wówczas z zawrotami głowy, od których tracił równowagę. Nie był już pewien, co jest majakiem, a co rzeczywistością.

Nie mogąc już wypatrywać niebezpieczeństwa, starał się wyręczać słuchem. Zamierzał jak najszybciej wyłapać wszelkie nowe odgłosy. I wreszcie doczekał się. Z głębi jaskini dobiegło jego uszu delikatne jeszcze rytmiczne pobrzękiwanie metalu.

Zatrzymawszy się, wstrzymał oddech i nasłuchiwał w skupieniu. Dźwięk stawał się silniejszy, a po chwili dołączył do niego drugi – ciężkie kroki rosnącego mężczyzny. W ciemnościach rozbłysnął zbliżający się kształt. Z początku Church myślał, że to jego oczy reagują tak na brak światła, ale plama nie znikła ani się nie rozmazała. Wszystko wskazywało na to, że prosto na niego idzie jakaś zarząca się od wewnątrz istota. Wyglądało to nierzeczywiście, niczym tani trik filmowy. Obraz wyostrzył się nagle i Churcha przeszedł zimny dreszcz. Uderzył go znajomy mdlący odór. Potężnego wzrostu Fomorianin był zakuty w

lśniącą, czarną zbroję, spod której wystawała połyskliwa kolczuga to jej dzwonięcie zaalarmowało wędrowca. Płyty zbroi nie były gładkie, lecz pełne dziwacznych uwypukleń i narośli, przez co przypominała zwierzęcy pancerz, a cały wojownik potwornego gada. Stwór miał na głowie hełm, zakrywający większą część jego obrzydliwej twarzy – od metalu na skroniach odchodziły dwa wygięte rogi, a pod każdym sterczato po sześć mniejszych. W każdej ręce Fomorianin dzierżył nietypowe acz zapewne skuteczne narzędzie walki: z jednej strony na trzonku osadzone były żelazne kolce o różnej długości, z drugiej zakrwawiony topór o karbowanym ostrzu. Właściciel wyrafinowanego oręża charczał niczym odpalany czołg, a z każdym jego oddechem Church czuł w sercu coraz większy ciężar. Domyślał się, że jeszcze nigdy nie miał do czynienia z przedstawicielem tej rasy, który dorównywałby temu tutaj siłą czy okrucieństwem. Sam jego widok mógł doprowadzić ofiarę na skraj obłędu.

Początkowy szok ustąpił i Church odzyskał władzę w kończynach. Najpierw zrobił kilka niezdarnych kroków do tyłu, po czym odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Nie uszedł daleko – potknąwszy się o wystającą skałkę, runął jak długi. Zerknął szybko przez ramię, by zobaczyć, ile dzieli go od przeciwnika. Jakież było jego zdumienie, gdy w zupełnej ciszy Fomorianin rozpadł się nagle na tysiące kawałków. Chmara światełek zamigotała w mroku i rozproszyła się w ciągu sekundy.

Church obrócił się na plecy, ciężko dysząc. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Był święcie przekonany, że przed chwilą naprawdę stał twarzą w twarz z wojownikiem, ale stwór najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Czy miał

po prostu halucynacje, czy też był to efekt panującej w pieczarze dziwnej atmosfery?

Pytania te zeszły jednak na drugi plan, kiedy, poniosłszy się z ziemi, uświadomił sobie, że stało się to, czego tak bardzo się obawiał uciekając na oślep, stracił zupełnie orientację w terenie. Nie miał zielonego pojęcia, w którą stronę szedł przed napotkaniem zjawy. Nie było co płakać nad rozlanym mlekiem. Church wybrał kierunek na chybił trafił i z ciężkim sercem ruszył przed siebie.

Wszechobecna ciemność mąciła mu w głowie: najpierw zdawało mu się, że leci, potem, że spada. Coś śpiewało w oddali, raz ciszej, raz głośniejsze. Czasem pieśń pobrzmiwała gniewem, a czasem rozpaczą. W pewnym momencie tuż obok rozległ się głos Marianny, jego Marianny. Spytała: „To prawdziwy Dale jest nadal w Czarnej Chacie?”. *[Chodzi o agenta FBI Dale'a Coopera, głównego bohatera serialu Davida Lyncha Twin Peaks. Przebywając w Czarnej Chacie, znajdował się w podobnej sytuacji, co Church w grocie]*. Church potarł sobie uszy i poszedł dalej.

Po prawej dostrzegł bladawą złotą poświatę pulsującą w rytmie równym z tętnicą w jego skroni. Kiedy skrzył w jej kierunku, żarząca się mgła rozszczepiła się na kilka części, a każda z nich przekształciła w piękną, smukłą istotę. Rozpoznał w nich tych z plemienia Danu, którzy przyszli mu z pomocą na wyspie Skye przy Moście Wrózek. Był tam Lugh, wysoki i dumny, z słynną włócznią u boku, a za nim Dagda o płynnie zmieniających się rysach twarzy – raz groźnych, raz ojcowskich, a za każdym razem nowych, ginących po kilku sekundach w snopach iskier. Jedno z jego wcieleń wyglądało nawet jak ojciec Churcha. Towarzysze dwóch bogów, nieznani wędrowcowi z imienia, wydawali się łagodni i niebezpieczni zarazem. Widok

niektórych z nich był tak porażający w swej niezwykłości, że obserwatora przechodziły ciarki. Rozmawiali ze sobą głosami o tak wysokich rejestrach, że nawet gdyby mówili po angielsku, nie sposób by ich było zrozumieć. Ich język mógłby być językiem aniołów.

Church wszedł niemal pomiędzy nich, ale nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Powodowany dziecinnym rozdrażnieniem zrodzonym z bezsilności, miał ochotę coś krzyknąć albo któregoś z nich uderzyć, ale wiedział, że na nic się to nie zda i zdołał się opanować. Nie mógł też zaprzeczyć, że mimo wszystko trochę się ich bał.

Czy znów dręczyły go halucynacje? A może owo niezwykle silne źródło ziemskiej energii stawiało na jego drodze sceny wydarte z biegu czasu? Jakby w odpowiedzi na to pytanie, Lugh wskazał ręką kolejną scenkę, która zmaterializowała się w pustce nieopodal. Wnętrze banku i jego klienci migotali przeźroczyście. Veitch, łatwy do rozpoznania mimo maski na twarzy, ścisnął w rękę śrutówkę, starając się grać chojraka, choć widać było jak na dłoni, że jest bardzo zdenerwowany. Church zrozumiał, że zaraz wydarzy się coś, co odmieni życie biednego chłopaka.

Jeden z nieznanym mu bliżej Tuatha Dé Danann, wysunąwszy się do przodu, powiedział coś w swoim anielskim języku. Jak na komendę Veitch obrócił się na pięcie i strzelił do stojącego za nim starszego pana. Nieszczęśnika odrzuciło, jakby uderzył go samochód. W powietrze wystrysnęła fontanna krwi.

Stryj Ruth, pomyślał Church. Na wieść o zabójstwie brata jej ojciec dostał śmiertelnego ataku serca. Dwa życia zniszczone przez arogancję potężnych sił.

Niemalże z nadzieją zerknął na twarze przedstawicieli Złotego Ludu, spodziewając się, że maluje się na nich pogarda lub

okrucieństwo, ale nie doszukał się w nich żadnych emocji. Dla tej rasy ludzie byli równi insektom, nic więc dziwnego, że zachowywali się jak człowiek po zabiciu wszy. Nawet przez myśl im nie przeszło zawracać sobie tym głowę.

Zgorszony Church uznał, że czas na niego.

Już po kilku krokach coś go uderzyło. Gdy zobaczył Tuatha Dé Danann, doszedł do wniosku, że rządząca jaskinią siła każe mu być świadkiem przypadkowych scenek. Jak w takim razie tłumaczyć zmaterializowanie się strzelaniny w banku, wydarzenia przełomowego dla dwóch członków jego drużyny? Czy nie był to za duży zbieg okoliczności? To chyba jego własna podświadomość lub też inna część jego „ja” podsyłała mu takie a nie inne obrazy.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. A może jakoś wykorzystać te majaki do wykonania zadania? Może halucynacje układają się w logiczną całość? Ale co w takim wypadku miało oznaczać pojawienie się Fomorianina w zbroi?

W skupieniu zaczął wydobywać z zakamarków pamięci kolejne wspomnienia, niektóre tak bolesne, że do oczu napłynęły mu łzy. Przypomniawszy sobie, jak Tom użył błękitnego ognia, by nagiąć przestrzeń i w okamgnieniu przenieść ich wzdłuż arterii energii z klifu nad wzburzonym morzem w Tintagel na szczyt wzgórza w dalekim Glastonbury.

Zrób dla mnie teraz to samo, poprosił niewidzialną siłę. Czuł się niczym dziecko mamroczące życzenia nad zapalonym tortem, ale nie dbał o to.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem poczuł nagle, że spada. Kiedy doszedł do siebie, zorientował się, że znajduje się w swoim mieszkaniu. Nie wyglądało jednak tak, jak wtedy, kiedy widział je po raz ostatni, jak śmierdząca zaniedbanie

kawalerska gawra wypełniona stosami płyt i starych czasopism, gdzie na meblach zalegała gruba warstwa kurzu. Nie, to tu było jego mieszkaniem sprzed paru lat. Z czasów, kiedy jeszcze dzielił je z Marianną.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Załata go fala sprzecznych uczuć. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i poczuł jej zapach! Szybko starł łzę, która pociekła mu po policzku.

Skup się, rozkazał sobie. To tu możesz odkryć prawdę. Jeśli tylko zniesiesz to, co zobaczysz. Jeśli tylko przeżyjesz wyrwanie serca z piersi i wyliżesz się z zadanych twojej psychice ran.

Żałował, że nie potrafi zostawić tego za sobą, ale śmierć Marianny zniszczyła jego życie. Nawet święty nie byłby w stanie po czymś takim nadstawić drugiego policzka. Jeśli w coś wierzył, to z pewnością w zemstę. Krwawą i wyrachowaną.

Na pierwszy rzut oka mieszkanie wydawało się puste. Ktoś nastawił należący do jego dziewczyny album acid-jazzowy. Ale potem usłyszał ją samą, jak się krząta, nuci, zadowolona z dzielonego z nim życia.

Nie płacz, Jack, tylko nie płacz.

Wiedział dobrze, jaki to dzień i która godzina. Był wtedy w pubie, ledwie dwie przecznice dalej. Pil ze swoim starym kumplem, świetnie się bawił, razem śpiewali piosenki The Pogues. Zastanawiali się nad tym, jak to jest, gdy człowiek jest żonaty.

Nie płacz, Jack, tylko nie płacz.

Znajomy pokój, ale inne życie. Jakże niewinne. Church otarł łzy wierzchem dłoni. Musiał wziąć się w garść. Zostało niewiele czasu. Skoncentrował się. Zaczął nasłuchiwać.

Marianna przeszła z nucenia do śpiewania pełnym głosem. Nie fałszowała ani odrobinę. Wyszła z kuchni, gdzie myła

naczynia. Przeszła do łazienki. Chciał już iść ją zobaczyć, ale stchórzył w ostatniej chwili. Sekundę później gorzko tego pożałował.

Otwierała szafkę nad umywalką. Coś wyjmowała. Olejek do kąpieli? Nie odkręciła jeszcze kranu. No tak, kiedy ją znalazł, w wannie nie było wody.

Klik.

Ktoś uchylił frontowe drzwi. Church pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

— Church? To ty? – Ten słodki głos. To było nie do zniesienia.

Boże, zabierzcie mnie stąd, przemknęło mu przez głowę. Płakał, z trudem coś widział przez łzy.

Zrobił krok do przodu. W kierunku łazienki puścił się korytarzem jakiś ciemny kształt. Church poczuł, że wzruszenie i ból wypiera z jego serca zimna nienawiść. Zaskoczyła go siła tego uczucia, ale było mu z nim lepiej. Mógł zacząć działać.

Rzucił się w ślad za napastnikiem. Nareszcie miał się dowiedzieć, kim był ten bydlak, który zniszczył mu życie, odebrał marzenia. Nieważne, że jego poczynaniami kierowali bezduszni bogowie – i tak miał zapłacić za swoją zbrodnię.

Tylko nie krzycz, powtarzał sobie w duchu.

Krzyknęła za to Marianna. Przyspieszył. Biegi i biegł bez końca, ale korytarz ciągnął się w nieskończoność. Poczuł, że jeśli dobiegnie do łazienki, to, czego pragnął najbardziej na świecie, wstrząśnie nim tak, że już nigdy się z tego nie podniesie. Wszystko, co widzimy, zostaje z nami na zawsze – to, co spodziewał się zobaczyć, miało na zawsze go odmienić.

Muszę go zobaczyć, muszę go zobaczyć. Wiedział, że przekonuje sam siebie. I nadal biegł, nadal nie mógł się przełamać. Nagle łazienka, całe mieszkanie, wszystko, na czym

kiedykolwiek mu zależało, zostało gdzieś daleko w dole. Odpłynął. Unosił się w pustce, wierzgając i złorzeczając niczym byle pijaczyna, nie mogąc pohamować targających nim emocji.

A potem znów stał w ciemnościach na dnie pieczary.



Wędrował tak długie godziny, jeśli nie stracił poczucia czasu, jaskinia musiała być doprawdy ogromna, czuł jednak, i myśl ta nie dodawała mu otuchy, że nie przebywa już pod wzgórzem w Edynburgu. Tunel zaprowadził go o wiele dalej. Nie śmiał nawet zgadywać, co to za miejsce. Próbował też zapomnieć o swym najgorszym lęku że zgubił się po prostu i chodzi w kółko.

Czasami miał wrażenie, że lada chwila będzie świadkiem kolejnej scenki, w oddali pojawiały się bowiem mgliste, żarzące się lekko postacie, nie było mu jednak dane się do nich zbliżyć. Nadal nękały go pojawiające się znikąd strzępki wypowiedzi i dziwne dźwięki, jakby ktoś szalony robił porządki w radiowym studiu nagrań, manipulując jednocześnie przy gałce głośności. Podobne omamy miałyby pewnie po zażyciu narkotyków. W pewnym momencie usłyszał nawet Ruth wzywającą pomocy, ale zamilkła, gdy tylko rozpoznał jej głos.

Szedł dalej.

Kolejny dźwięk, straszny. Mijało go coś wielkiego, okrężało go. Włosy stanęły mu dęba. Usłyszał dyszenie wielkiego zwierzęcia, a kiedy odwrócił się, zobaczył wielkiego wilka. Intuicja podpowiadała mu, że to ta sama bestia, która zaatakowała go w bibliotece i porwała Ruth. Wiedział także, choć nie miał pojęcia skąd, że tak naprawdę nie jest to ani wilk, ani żaden baśniowy



potwór. Pod tą maską krył się ktoś śmiertelny, ktoś, kogo znał.

Zółte ślepię bestii łypnęło dziko. Church wystraszył się tak bardzo, że przestał panować nad sobą. Rzucił się biegiem w przeciwnym kierunku i zatrzymał dopiero mając pewność, że zostawił stwora daleko w tyle.

— Jack!

Drgnął. Od spotkania z wilkiem nie-wilkiem nic nie widział ani nie słyszał. W odróżnieniu od innych głosów, ten brzmiał czysto i naturalnie. Church obrócił się i zobaczył Niamh. Wyciągała ku niemu ręce, miała stroskaną twarz. Przestraszył się, bo nigdy nie widział jej zaniepokojonej.

— To labirynt – powiedziała bogini. – Musisz odnaleźć właściwą drogę. Musisz.

A więc była świadoma jego obecności. Church domyślił się, że przybyła tu specjalnie, aby go odnaleźć i pomóc mu znaleźć wyjście z pułapki.

— To twoje własne myśli cię więżą – wyjaśniła.

— Jak się stąd wydostać?

Nie zdążyła udzielić mu odpowiedzi. Przestraszyła się czegoś i rozwiała jak dym. Nawet ona nie miała władzy nad tym miejscem.



Po rozmowie z Niamh Church doszedł do wniosku, że dłuższe błędzenie nie ma najmniejszego sensu. Był jak listek w wodnym wirze – tajemnicza siła robiła z nim, co chciała. Idąc po omacku, z pewnością nie rozgryzał reguł rządzących labiryntem. Może należało z niego wyjść, nie używając nóg? Usiadł w kucki na

zimnej skale. Nikt nowy się nie pojawił, nie ukazały mu się zmienacka drzwi, ale gdy tak siedział i rozmyślał o właściwościach błękitnego ognia, do głowy przyszło mu pewne rozwiązanie.

Choć w ciemnościach wydawało się to zbyt trudne, odruchowo zamknął oczy i zaczął się koncentrować. Postanowił postępować tak, jak to nakazał mu Tom przy źródle. Nie wiedział, czy jego działania mają jakiś sens, ale skoro energia ziemi kryła się ponoć we wszystkim, może była i tutaj, jedna z błękitnych arterii mogła zaprowadzić do wyjścia.

Wiedział, że nie będzie łatwo i nie mylił się. Zabrało mu to o wiele więcej czasu niż na górze przy źródle, najprawdopodobniej dlatego, że bardzo się denerwował. W końcu jednak doczekał się znajomego widoku błękitnych smug. Z początku były to jedynie przebłyski, słabiutkie race wystrzelone w mroku, ale stopniowo zwiększał swoją koncentrację i wkrótce cała sieć objawiła mu się w pełnej krasie. Arterie ziemskiej energii okazały się być tu równie liczne, co na powierzchni.

Trafnie przyrównał panujące w jaskini warunki do wodnego wiru. Niebieskie ścieżyny zakrzywiały się i zagęszczały dziwacznie w różnorodnych skłębieniach, kreśląc na czarnym tle skomplikowane wzory. Przypominały mu fraktale z graficznych przedstawień zbioru Mandelbrota. I tu z pozornie chaotycznej plątaniny linii wyłaniał się ku zaskoczeniu obserwatora jakiś przewodni motyw. To, co widział, mógłby nazwać szumnie niebieską światłokopią Stworzenia, krwiobiegem wszechrzeczy. Był to urzekający spektakl. Church dobrze rozumiał, dlaczego w zamierzchłych czasach budził w ludziach nabożny lęk.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że mimo całego swojego majestatu sieć nie tętniła tu tak żywotnie jak w Stonehenge, gdzie

dzięki Tomowi po raz pierwszy oglądał błękitny ogień. Na niektórych odcinkach nie świeciły spore fragmenty, a część odgałęzień urywała się niespodziewanie. Czy to właśnie miało miejsce w całym kraju i na całym globie? Czyżby esencja świata, ta fundamentalna dla jego istnienia substancja, powoli wysychała, ponieważ ludzie coraz częściej wyrzekali się duchowości?

Nowe odkrycie przerwało te smutne rozmyślenia. Uwagę Churcha przykuło pewne zgrupowanie mniejszych zawirowań tworzące coś na kształt gwiazdnej mgławicy. Bijące od nich błękitne światło było znacznie jaskrawsze niż gdzie indziej. Mężczyzna podszedł szybko do tego miejsca i ucieszył się, widząc, że w rozchodzących się dalej arteriach coś nie tylko świeci, ale i płynie, choć niestety nie był to potok a tylko leniwa strużka. Postanowił sprawdzić, dokąd go zaprowadzi.

Przyspieszył, nie wiedząc, jak długo jeszcze będzie mu dane postrzegać rzeczywistość zjednoczonymi zmysłami. Od czasu do czasu, kiedy jego koncentracja słabła, błękitna ścieżka rozszczepiała się na tysiące mniejszych i musiał nieźle się napocić, żeby znów scalała się w jedno, ale najważniejsze było to, że mimo wszystko posuwał się naprzód. Podnosiło go to na duchu.

Od dłuższego czasu nie gnębiły go żadne halucynacje, zdziwił się więc bardzo, gdy usłyszał nagle czyjeś niesione echem wołanie. Sekundę później przeżył jeszcze większy szok, bo rozpoznał ów głos to on sam krzyczał w ciemnościach. Poruszony odwrócił się w stronę źródła hałasu i błękitna ścieżka zgasła, zobaczył za to zbliżającego się do siebie drugiego Churcha. Był to on sam z przyszłości: z dłuższymi włosami, kozią bródką i bladą twarzą człowieka, który wiele wycierpiał. Widział go już w wizji

w Strażnicy, jak przyglądał się płonącemu miastu.

— Dobrze trafiłem? Nie spóźniłem się? – spytał go roztrzęsiony przybysz. Church z teraźniejszości nie umiał określić, czy w głosie tamtego pobrzmiwał gniew, strach czy też obie te emocje naraz.

— Musisz mnie wysłuchać! To bardzo ważne! – Mężczyzna rozejrzał się ze zdezorientowaną miną, jakby chciał sprawdzić, gdzie się znajduje. – Na pewno dobrze trafiłem? Czy już może po wszystkim?

— Mów, co masz do powiedzenia – popędził go Church.

Przybysz wzdrygnął się.

— Ostrzegam cię! Kiedy będziesz w Zaświatach i zawołają, nie zwlekaj ani minuty! Sprowadzą go! Będzie...

— Uspokój się! – krzyknął Church. – Gadasz od rzeczy! Co zawołają? Kogo? Kto kogo sprowadzi?

Mężczyznę z bródką coś wystraszyło, zerknął przez ramię.

— Za późno! – wrzasnął.

I zaraz zniknął.



Spotkanie z wysłannikiem z przyszłości wstrząsnęło Churchem do głębi. Czuł, że zmarnował szansę na poznanie jakichś niezwykle istotnych faktów, które mogły nawet uratować życie jemu lub komuś innemu. Tymczasem przekazana wiadomość była niekompletna, prawie nieczytelna. Mimo to przyrzekł sobie solennie, że o niej nie zapomni. Istniało prawdopodobieństwo, że w sprzyjających okolicznościach skojarzy jej treść z ostatnimi wydarzeniami i będzie mógł

odpowiednio się zachować.

„Kiedy zawołają, nie zwlekaj ani minuty”.

Przynajmniej pamiętał, w którą stronę biegła błękitna ścieżka! Ruszył we wskazywanym przez nią kierunku i po krótkiej chwili dostrzegł żarzące się znajomo ściany jaskini. Nareszcie dotarł do wyjścia! Na dodatek w skalnej ścianie widniał spory nieregularny otwór – wylot kolejnego korytarza. Zaś na gładzie przy wejściu do tunelu siedział nie kto inny jak Tom. Hipis ssał koniec skręta, przyglądając się wędrowcowi w milczeniu.

— Skąd się tu wziąłeś, do cholery? – spytał Church z niedowierzaniem w głosie.

— Przyszedłem tu sobie spacerkiem.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi!

Tom wzruszył ramionami, nie dając nic po sobie poznać. Nie mógł się jednak powstrzymać i po chwili, uśmiechając się blado, dodał: – To ty miałeś się namęczyć, nie ja. Poddano cię próbie.

— To była taka naturalna przeszkoda, prawda? Skumulowana energia ziemi wywołała u mnie halucynacje?

— Zgadza się, ale wciągnięto cię w jej wir nie bez powodu. Mówię przecież, że poddano cię próbie.

— Dlaczego akurat mnie?

— Jakbyś nie wiedział... – prychnął Tom. Church zamyślił się nad tym, co usłyszał.

— Boże, czego ja tam nie widziałem! Najpierw...

— Wiem, wiem. Doświadczyłem już kiedyś czegoś podobnego. A teraz ruszajmy w drogę. Pozwolono nam iść dalej.

— Poddano, pozwolono... – powtórzył Church z sarkazmem. Mówisz tak, jakby błękitny ogień był rozumną istotą.

— Bo nią jest. W pewnym sensie. Zresztą, wszystko myśli, wszystko czuje, wszystko może ci świadomie dokuczyć.

— Hipisowskie bzdury! – burknął z wyższością Church, ale jednocześnie zaczął się zastanawiać. Po kilku minutach marszu spytał nieśmiało: – Czy ten ogień jest Bogiem?

— Nazywaj tę siłę jak chcesz. – Tom znów wzruszył ramionami. Jeśli chcesz, proszę bardzo, możesz postrzegać coś tak potężnego i skomplikowanego na swój żaloszny, dziecinny sposób.

Rozzłoszczony Church machnął ręką i zaklął brzydko pod nosem. Czym prędzej wyprzedził przewodnika, żeby nie musieć dłużej znosić jego towarzystwa.

Za najbliższym zakrętem spotkała go niespodzianka. Tunel przegradzał po sam strop stos potężnych kamieni.

— Czy to właśnie ta barykada blokuje przepływ energii w Studni Ognia?

— Nie bądź durniem – odparł Tom. – Myślisz, że to mogłoby być takie proste?

Zza głazów dochodziło warczenie przypominające pracujący silnik. Church uświadomił sobie nagle, że to oddycha ciężko jakiś stwór.

— Nie bagatelizuj roli zamian – ciągnął Tom. – Trzeba wyciągać rzeczy na światło dzienne, bez względu na konsekwencje.

Church próbował odgadnąć, o co chodzi nauczycielowi, przyglądając mu się badawczo, ale zdawał sobie sprawę, że i tak nic to nie da.

— Nie brzmi to zachęcająco – przyznał.

Ruth mało zapamiętała z drogi powrotnej, tak bardzo była obolała i zszokowana. Kontury zacierały się, na niczym nie mogła się skupić. Tylko jedna jedyna rzecz utkwiała jej w pamięci – w pewnym momencie minęli obwieszane kłódkami drzwi, zza

których dochodził niecodzienny odgłos: trzepot skrzydeł. Wrażenie było takie, jakby w niewielkim pomieszczeniu kotłowało się w powietrzu mnóstwo oszalałych ptaków.

Dopiero po kilku minutach do więźniarki dotarło, że umieszczono ją w innej celi – równie ciemnej i brudnej co poprzednia, ale o wiele większej, o czym powiedziało kobiecie echo kroków wnoszących ją strażników, odbijające się od dalekich kamiennych ścian. Spędziła tyle godzin w ciasnocie, że powinna się była cieszyć, ale potrafiła myśleć jedynie o tym, co spotkało ją w komnacie z ławą. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że nadal żyje. Gdy wciskano jej do ust potworny czarny klejnot, przekonana, że to już koniec, pożegnała się z życiem. Teraz czuła się zdezorientowana. To, że przetrwała tak wyuzdaną operację, napawało ją smutkiem.

Wiedziała dokładnie, w którym miejscu znajduje się perła, ciążyła jej na żołądku, a bijący od niej nienaturalny chłód przenikał kobietę aż do szpiku kości. Na myśl o tym, co stało się z jej ciałem, wezbrało w Ruth obrzydzenie, a i sama czarna kula uciskała ją od środka. Podparłszy się na ręce, zwymiotowała na podłogę, nadal jednak było jej niedobrze. Co to wszystko miało znaczyć? Wkrótce mieli przyjść po nią znowu, a nie miała pewności, ile jeszcze zniesie.

Nie chcąc czuć smrodu wymiocin, podpełzła do przeciwległej ściany, ale odór zdawał się już wypełniać całą celę. Znów ją zemdliło, odsunęła się kawałek dalej. Dygocząc, przyłożyła policzek do chłodnej posadzki z nadzieją, że sen na chwilę uwolni ją od tego koszmaru.



Pragnąc jak najlepiej wykorzystać swoje nowe zdolności, Veitch cały ranek wsłuchiwał się w siebie i późnym popołudniem był już przekonany, że powinien wyruszyć o zachodzie słońca. Ledwie podjął decyzję, gdy usłyszał za oknem jakiś hałas. Powtarzające się dźwięki, przypominające odległe strzały, dochodziły od strony niewidocznego z jego pokoju Starego Miasta. Wyrzwał na ulicę. Większość przechodniów przystanąła i patrzyła teraz w górę, gdzieś ponad dachy szarych budynków stojących wzdłuż krawędzi zamkowej skały. Kierowany ciekawością szybko do nich dołączył.

Całe miasto było skąpane w czerwieniach zachodzącego słońca, z wyjątkiem Starówki, nad którą nadal wisiały ciemne, burzowe chmury. Bliżej parku Holyrood te granatowe masy pary wodnej zdawały się wpadać w dziwnie powolny wir, jakby ubijano je w niewidzialnej maselnicy. Raz po raz przeszywały je smugi jaskrawego światła, ale nie błyskawice. To właśnie każdemu takiemu błyskowi towarzyszyła nowa salwa.

Wśród tłumu na ulicy panował grobowy nastrój. Odkąd z niewyjaśnionych przyczyn ewakuowano Stare Miasto, mieszkańcy Edynburga próbowali wytłumaczyć sobie, co też się tam dzieje. Teraz wszystko wskazywało na to, że miały się spełnić ich najczarniejsze przeczucia.

— Co to ma być? – spytał głośno jakiś wzburzony mężczyzna. Stojący najbliżej spojrzeli na niego ze strachem w oczach i nic nie mówiąc, przenieśli wzrok z powrotem na ciemne niebo. Veitch też się mu przyglądał przez parę minut, aż doszedł nagle do wniosku, że oto nadarza się wyśmienita okazja, by niezauważenie przedostać się do odciętej dzielnicy. Właśnie na coś takiego czekał. Podejrzewał, że może to nawet zasługa



któregoś z członków drużyny. Tak czy owak, nie miał chwili do stracenia. Nie namyślając się wiele, odłączył się od tłumu i pobiegł w stronę Starego Miasta.



Wspinając się po stromych stopniach uliczki zwanej Advocate's Close, szybko przekonał się, jak wielka zaszła w tej okolicy zmiana. Na odcinku kilku metrów temperatura spadła na łeb na szyję, miejsce wczesnego lata zajęła sroga zima. Stopnie załśniły szronem. Veitch zaczął widzieć swój oddech. Jeszcze większa niespodzianka czekała na śmiałka na Royal Mile: jezdnię pokrywała gruba warstwa świeżego białego puchu, którego nie brukały ani ślady ludzkich stóp, ani wyżłobione przez auta koleiny. Wyższe partie domów spowijała upiorna mgła.

Mężczyzna trząśł się z zimna. Pospiesznie zapiął skórzaną kurtkę po samą szyję, po czym ruszył dziarsko, brodząc po kostki w śniegu. Skrzypiał mu pod butami. Musiało być kilkanaście stopni poniżej zera.

Nagle błysnęło i rozległa się kolejna salwa. Veitch drgnął nerwowo. Podejrzewał już wcześniej, że na wschodnim skraju Royal Mile toczy się bitwa – widać trwała nadal. Przez mgłę nic jednak nie było widać. Instynkt nakazywał mu jak najszybciej udać się do zamku, ale wiedział, że musi wpierw upewnić się, czy Cailleach Bheur jest dość zajęta, by nie zawracać sobie nim głowy. Wyszedł na środek ulicy, gdzie śnieg nie był taki głęboki, i skierował się w stronę parku Holyrood.

Mniej więcej w połowie drogi mgła przerzedziła się na tyle, że mógł dojrzeć, co się dzieje. Niebieskolica Wiedźma stała do niego

tyłem, trzymając przed sobą w pionie swój sękaty kostur. Wokół niej pojawiały się znikąd bańki błękitnej energii – szybko zwiększały swoje rozmiary i ulatywały zbitymi chmurami. Gdy pękały, rozlegał się znajomy hałas. Veitch znajdował się na tyle blisko, że dźwięk wystrzałów ranił mu uszy, a bijący od Wiedźmy chłód stawał się nie do zniesienia. Mężczyzna dygotał na całym ciele.

Obiektem napaści pani zimy był piękny, młody mężczyzna, unoszący się w powietrzu dobrych kilka metrów nad ziemią. Jego długimi włosami targały podmuchy ciskanej przez Wiedźmę energii. Nieznajomy wydawał się jarzyć wewnętrznym złotym światłem, ale jakaś trudna do uchwycenia cecha jego twarzy robiła tak przykre wrażenie, że Veitch nie potrafił przyglądać mu się obojętnie. To właśnie ciało młodzieńca wytwarzało widzialne z Nowego Miasta błyski. Rozmywały się w powietrzu niczym światła samochodowe we mgle. Przybysz był bez wątpienia godnym przeciwnikiem Cailleach Bheur – co jakiś czas mroźną ulicą przetaczała się fala ciepła. Co ciekawe, choć dwie potężne istoty z pewnością walczyły, a nie bawiły się z sobą, nie okazywały przy tym żadnych emocji, nawet gniewu.

Veitch domyślił się, że ma przed sobą boga, którego mieli uwolnić Laura i Shavi. Ucieszyło go to, że tak szybko rozwiązali zagadkę kaplicy. Skoro jakimś cudem zdobył narzędzie do walki z Fomorianami, to może sytuacja drużyny nie wyglądała jednak tak beznadziejnie. Pokrzepiony sukcesem kompanów, mężczyzna zostawił pojedynkujących się. Obrócił się i zaczął wspinać tą samą drogą, którą przyszedł.



Edynburski zamek wznosił się na najdalszym krańcu Royal Mile, na stromym wulkanicznym wzniesieniu powstałym trzysta czterdzieści milionów lat wcześniej. Dostępny był tylko od wschodu, z trzech stron zbocze opadało niemal pionowo. Nocni Wędrowcy nie mogli wybrać lepszego miejsca na najważniejszą z swoich twierdz, zwłaszcza, jeśli jakimś cudem naprawdę udało im się ją umieścić nie na powierzchni a w skale – w takim wypadku była praktycznie nie do zdobycia. Veitcha pocieszała świadomość, że nie musi pokonać wroga za to byli odpowiedzialni pozostali członkowie drużyny. Miał wyłącznie uwolnić Ruth.

Odkąd został w hotelu sam, starannie przygotowywał się do swojej misji. Czytał o historii zamku i studiował jego szczegółowe plany, a obmyśliwszy już strategię, nauczył się poszczególnych kroków na pamięć. Jedynym sposobem na dostanie się do fortecy był podstęp. Według źródeł historycznych właśnie tak postępowali Szkoci, kiedy budowla przechodziła w ręce Anglików. Raz wdrapali się po skałach i zdobyli zamek z zaskoczenia, a innym razem przeniknęli do środka w przebraniu kupców, po czym swoimi towarami zastawili wrota bramy, tak że nie dało się ich zamknąć i szkockie oddziały mogły po prostu wmaszerować. Oszustwo nie leżało w naturze Veitcha, wolał zmierzyć się z przeciwnikiem w bezpośrednim starciu, ale dla sprawy gotowy był porzucić stare przyzwyczajenia.

Przed wejściem do zamku rozciągał się rozległy plac, na którym co roku organizowano capstrzyk. W normalnych warunkach pogodowych Veitch nie byłby w stanie podejść pod mury niezauważony, ale gęsta mgła stanowiła wystarczającą osłonę. Wślizgnął się do wąskiego pasażu nieopodal Camera

Obscura, aby przeczekać tam kilka minut, aż słońce zupełnie schowa się za horyzontem, przez co sam stanie się jeszcze mniej widoczny.

Zamek wyglądał jak dekoracje do filmowej baśni, lukrowany roziskrzonym śniegiem tort stworzony, by przyciągać turystów. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Strzępki ciężkiej mgły przypominające bitewny kurz tłumiły wszelkie dźwięki dochodzące z położonego w dole Nowego Miasta i skutecznie przesłaniały jego nowoczesną zabudowę. Veitch poczuł się tak, jakby cofnął się w czasie o kilkaset lat.

Wrota zamku stały otworem – Fomorianie najwyraźniej nie obawiali się szturmu. Veitch skulił się, by być niższym od kamiennego muru, i przekradł na palcach pod ciemnym łukiem bramy. W jego żyłach krążyła pobudzająca adrenalina – poczuł przypływ nowych sił, był gotowy na wszystko. Zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy przechytrył właśnie jakieś straże, i przez okno wartowni dostrzegł umundurowanego człowieka o tępym spojrzeniu, siedzącego za pustym stołem. Z początku nie mógł zrozumieć, co robią tu jeszcze zwykli żołnierze, ale zaraz zauważył, że twarz mężczyzny zdaje się być zrobioną z wosku maską. W strażnika wcielił się z pewnością jeden z zmiennokształtnych. Veitch odgadł, że to w ten sposób Nocni Wędrowcy zdołali niepostrzeżenie zająć zamek, gdy Stare Miasto wciąż tętniło życiem. Gdzieś w budynku musiał kryć się upiorny pokój wypełniony zwłokami podstępnie wymienionych żołnierzy.

Trzymając się cienia, zaczął wspinać się po schodach wiodących na kolejny poziom umocnień. Dokładał wszelkich starań, aby stąpać jak najciszej. Gdyby pozwolił sobie na chwilę refleksji, musiałby przyznać, że jest przerażony. Tymczasem

skupiał się całym sobą na tym, co tu i teraz: wąchał wiatr, chcąc wyczuć z daleka znajomy odór Fomorian, przeczesywał wzrokiem ciemności, wypatrując najdrobniejszego poruszenia, nasłuchiwał, by nie przegapić żadnego szelestu. Nie miał pojęcia, czy nie przekroczył czasem jakiejś magicznej bariery, której naruszenie zawiadomiło wroga o jego wtargnięciu. Liczył na to, że wystarczy szybko się przemieszczać, dlatego w żadnym miejscu nie przestawał zbyt długo.

Skręciwszy za róg, najadł się strachu – patrol przemierzał dziedziniec marszem. Veitch cofnął się szybko za mur, mając nadzieję, że nikt go nie zauważył. Wiedział już, że żołnierze tylko wydają się być ludźmi, podpowiadały mu to także wyczulone zmysły.

Wstrzymał oddech, wtapiając się w zacienioną ścianę. Dokuczało mu przenikliwe zimno, nie czuł już grzęznących w śniegu stóp. Obserwując bacznie blanki, wieże i zabudowania zamku, zdał sobie sprawę, że Fomorianie czają się wszędzie. Musiałby mieć ogromne szczęście i w pełni wykorzystać wszystkie swoje zdolności, aby przeniknąć do wnętrza fortecy. Gdyby odkryto jego obecność, nie pożyłby ani sekundy.

Jego zadaniem było teraz ustalić, gdzie mieści się wejście do właściwej twierdzy, tej podziemnej, wykutej niedawno w skale. Co do metod działania, nie miał zbyt dużego wyboru: mógł błędzić albo trafić tam w ślad za jednym z potworów. Domyślał się jedynie, że wchodzi się tam przez zamkowe lochy, które stykały się bezpośrednio ze skałą. Jak miał jednak iść dalej, skoro dostępu bronił mu patrol, maszerujący w tę i z powrotem po opustoszałym dziedzińcu? Na szczęście z pomocą przyszły mu godziny przygotowań. Wiedział teraz sporo o tutejszych zakamarkach. Przypomniało mu się, że niedaleko stąd znajdują

się średniowieczne Długie Schody, wycofał się więc ostrożnie i wkrótce stał już u ich stóp. Siedemdziesiąt stopni ginęło we mgle. Gdyby schodził po nich akurat jakiś Fomorianin, Veitch nie miałby szans na zauważenie go w porę. Mimo to zaczął się wspinać.

Kiedy zlany zimnym potem dotarł na wyższy poziom, gdzieś przed sobą usłyszał skrzypiące w śniegu kroki. Sadząc ciche susy, minął stojący wzdłuż blanków rząd dział i dopadł kolejnego miejsca zdatnego na tymczasową kryjówkę, daleko od tras, po których, jak sądził, przemieszały się patrole. Przykucnął, żeby złapać oddech.

Zastanawiał się, co na jego miejscu zrobiłby Church. Napięcie było niemal nie do wytrzymania, jakaś cząstka Veitcha z pewnością rwała się do odwrotu, ale wieczorna rozmowa z Reynoldsem rozbudziła w nim tak wielkie nadzieje, że szczerze wierzył w powodzenie misji. Nie dość, że odnajdę Ruth, powtarzał sobie, to jeszcze ją stąd wyciągnę. A wtedy może nareszcie pozna się na mnie.

Było zbyt zimno, żeby przesiadywać długo bez ruchu. Postanowił iść na Plac Korony, którego gęsto zbite, wielopiętrowe zabudowania stanowiły najlepszą możliwą osłonę dla śmiałka usiłującego dostać się do zamkowych podziemi. Przy wschodnim wejściu Veitch zatrzymał się, żeby ocenić sytuację. Wewnątrz panowała cisza. Dachy przesłaniała mgła. Warstwa śniegu zaścielająca dziedziniec wydawała się być nietknięta. Po prawej wznosiła się ciemna posępna bryła mauzoleum szkockich bohaterów poległych za ojczyznę. Trudno było przypuszczać, by jacyś Fomorianie siedzieli tam wśród pomników i tablic pamiątkowych. Pozostałe budynki przy placu lepiej nadawały się do tego celu, ale w ich oknach nie świeciło się żadne światło.

Wejście do lochów znajdowało się dokładnie naprzeciwko, niby rzut kamieniem, a jednak tak daleko. Z jak największą ostrożnością Veitch zaczął posuwać się do przodu. Śnieg niepokojąco głośno trzeszczał pod jego stopami. Mężczyzna był już w połowie drogi, kiedy sączące się z wyższych partii zamku światła zaczęły nagle rzucać na ścianę przed nim wielki rozmazany cień. Ktoś się zbliżał. Włosy śmiałka stanęły dęba, rzucił się do ucieczki. Miał tylko jedno wyjście – schować się w Sali Paradnej po lewej. Drzwi na szczęście były otwarte.

Zdażył w samą porę, bo dziwne cienie pokrywały teraz prawie cały plac. Modlił się, żeby go nie zauważono, ale wpadając do środka kopnął niechcący drzwi, które zamknęły się za nim z trzaskiem. Nie uszło to uwadze tego, kto zbliżał się do dziedzińca. Uszu Veitcha doszły odrażające szczeki i piski składające się na fomoriańską mowę. Wbiegł do głównej sali i zaczął rozglądać się za jakąś kryjówką. Gdyby zdołał się schować, strażnik mógłby stwierdzić, że to wiatr zatrzęsął drzwi.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, nie było ani jasne, ani przyjazne. Ściany pokrywała przypominająca drzwi gdańskiej szafy boazeria, wyżej zaś pomalowano je na kolor ciemnoczerwony. Sklepiony sufit przecinały ciężkie, grube belki, a okienne witraże przepuszczały niewiele światła. Sala służyła wspólnie za muzeum rycerskiego uzbrojenia – gdzie nie spojrzeć wystawiono tu miecze, włócznie, piki, tarcze, napierśniki i różnorodne hełmy. Przed ogromnym kamiennym kominkiem stały dwa masywne krzesła. Zanurkowawszy pomiędzy nie, Veitch zaszył się we wnętrzu paleniska.

Ledwie przykucnął, kiedy o ściany odbiło się echo narastających kroków. pomiędzy nogami krzesła zobaczył Fomorianina przebranego w historyczny mundur dragona z

szkockiego regimentu królewskiego. Zmiennokształtny wyszedł powoli na środek sali i zaczął przeczesywać wzrokiem muzealne eksponaty. Veitch wstrzymał oddech, napiął wszystkie mięśnie. Każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność. W końcu stwór odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

Mężczyzna chciał już odetchnąć z ulgą, ale strażnik stanął na progu, po raz ostatni rozejrzał się dookoła i widocznie zmienił zdanie, ponieważ sięgnął po wiszącą u pasa krótkofalówkę. Jak nic chciał ostrzec zwierzchników przed potencjalnym intruzem lub przynajmniej zalecić wzmożoną czujność – tak czy owak, nie rokowało to dla śmiałka najlepiej.

Poddając się instyktowi, Veitch wypełził zza krzesła i nim Fomorianin podniósł radio do ust, trzymał już w ręku zgrabny krótki miecz wyciągnięty ze stojącej najbliżej gabloty. Za wszelką cenę musiał uniknąć starcia z większą liczbą przeciwników, zamierzał więc zaatakować strażnika z zaskoczenia i wbić mu ostrze w podstawę czaszki, żeby uniemożliwić podniesienie alarmu.

Przemknął chyłkiem przez salę, był już tuż tuż, ale nie zdążył się zamachnąć. Krótkofalówka Fomorianina pisnęła znienacka przeraźliwie, po czym, niczym wylana rtęć, w ułamek sekundy zmieniła kształt. Czerń plastiku zastąpił połyskliwy srebrny pancerz, z którego wyrosło kilka par pajęczych odnóży. Drobnymi owadzimi kroczkami stworzenie przemieściło się na ramię strażnika, gdzie zaczęło się drzeć, jakby obdzierano je ze skóry.

Veitch zorientował się, że ma do czynienia z Caraprixem, zmiennokształtnym pasożytem wykorzystywanym zarówno przez Nocnych Wędrowców, jak i Tuatha Dé Danann. Po przemianie radia w jego ślady poszedł sam strażnik. Zadygotał, a



jego ludzka twarz zapadła się w siebie, stopiła niczym wosk. Oblicze, które ją zastąpiło, było tak ohydne, że Veitch poczuł wzbierające w jego przełyku wymioty. Starając się nie patrzeć na swoją ofiarę, ponownie się zamachnął, ale gdy miecz dosięgnął szyi przeciwnika, monstrum miało już inne gabaryty i ostrze, rozdierając żołnierską koszulę, otarło się jedynie o dziwaczne wypiętrzające się wybrzuszenie, które być może było łopatką stwora.

Fomorianin miał się czym bronić, bo jego ręka zmieniła się w międzyczasie w coś na kształt skorpionowego ogona. Niewiele myśląc, zdzielił nią z całej siły Veitcha po głowie. Mężczyzna poleciał w bok, gruchnął ciężko o podłogę. Przed oczami zatańczyły mu wszystkie gwiazdy.

Przewrócił się na plecy. Stwór ruszył ku niemu gadzim krokiem, ciągle obrzydliwie się przeobrażając. Śmierdział surowym mięsem. Veitch działał odruchowo, w pełni zawierając swoim talentom wojownika. Miał wrażenie, że stopniowo przypomina sobie coraz więcej sztuczek. Rzucił się pomiędzy nogi Fomorianina, a kiedy monstrum straciło równowagę i runęło do przodu, uniósł miecz pionowo w górze, odczołgując się szybko na bok. Przeciwnik z impetem nadział się na nadstawione ostrze. Trafiło w szyję i doszło aż do czaszki. Powalona gadzina wierzgała jeszcze chwilę, wyjąc dziko. Odór jej posoki wywoływał mdłości.

Caraprix nadal hałasował, ile wlezie. Oderwawszy się od leżącego strażnika, rzucił się do ucieczki. I tu Veitch zareagował błyskawicznie. Skoczył ku stworzeniu i przydepnął je podkutym buciorem. Kiedy bryzgnęła szarawa ropa, zawodzenie urwało się raptownie.

Mężczyzna wyprostował się, dysząc ciężko. Nie mógł uwierzyć,

że dopiero co udało mu się zabić jednego z Fomorian, wiedział jednak, że większej grupie nie podoła. Mimo to nie wypadło się nie uzbroić. Z ściennej gabloty wybrał dla siebie w pośpiechu kuszę z kołczanem bełtów, kolejny krótki miecz i sztylet, który schował w wewnętrznej kieszeni kurtki. Obwieszony orężem pospieszył do drzwi sprawdzić, czy ryki umierającego kogoś nie zaalarmowały.

Plac był równie pusty, co wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Ślady w śniegu należały wyłącznie do niego i strażnika. Słyszał wprawdzie widziany wcześniej patrol, ale nic nie stało na przeszkodzie, by dostał się do lochów.

Podbiegłszy do zachodniego wejścia na dziedziniec, trzymając się ścian, dotarł do celu. W podziemiach było ciemno i wilgotno, pachniało chłodnymi kamieniami i ziemią. Echo niosło daleko każdy krok. Krople wody odbijały się rytmicznie od podłogi. Zaraz za drzwiami ciągnął się długi korytarz o łukowatym stropie, z którego wchodziło się do dwóch pokoi. Kto przebywał wpierw długo na zamkowych podwórcach i placach, mógł się tutaj szybko nabawić klaustrofobii.

Z dalszego z pomieszczeń dochodziły chrapliwe dźwięki mowy Nocnych Jeźdźców. Veitchowi serce podeszło do gardła. Najciszej jak potrafił, podkradł się pod próg i zajrzał do środka. Dwóch zajętych rozmową dragonów stało koło olbrzymiego piętnastowiecznego działa, które, jak wiedział z lektury, nazywało się Mons Meg i służyło żołnierzom w czasie oblężenia. Za armatą ział w kamiennej posadzce spory otwór o nierównych brzegach. Bił od niego strumień chłodnego powietrza. Veitch miał rację, to tu znajdowało się wejście do fomoriańskich podziemi. Tylko jak minąć zagadanych wartowników?

W głębi pokoju zauważył drzwi, łączące oba pomieszczenia.

Podsunęły mu pewien pomysł. Wrócił do pierwszej sali. Urządzono tam ekspozycję dla turystów poświęconą historii zamkowych podziemi mieściło się w nich dawniej więzienie, koszary i piekarnia. Veitch wziął głęboki oddech i rękojeścią miecza rozbił szybę w wiszącej najbliższej tablicy, po czym w te pędy wybiegł na korytarz zająć z powrotem stanowisko pod drzwiami pokoju obok. Tak jak się spodziewał, zaniepokojeni strażnicy wybrali krótszą drogę, by zbadać, co się dzieje. Mogli się domyśleć, że za zamieszaniami stoi jakiś intruz, ale nie miał wyboru. Tylko dzięki temu ryzykownemu wybiegowi mógł nie niepokojony przez nikogo dopaść dziury w podłodze. Grubo ciosane stopnie ginęły w mroku.

Nie miał czasu do namysłu. Zwalczając wahanie, zaczął schodzić po schodkach i, chwilę później znajdował się już w ciemnym tunelu. Było tu zimno jak w psiarni, a mrok z rzadka rozświetlało słabe światło pochodni. Od głównego korytarza odchodziły liczne odgałęzienia. Przeciąg niósł mdlącą woń – najwyraźniej gdzieś gotowano zepsute mięso. Z oddali dochodziły mrozące krew w żyłach odgłosy, których pochodzenia Veitch nie potrafił ustalić. Tunele układały się w skomplikowany labirynt. Szanse na odnalezienie Ruth były minimalne na wydostanie się z twierdzy jeszcze mniejsze.

# ROZDZIAŁ 9

## STUONIA

**S**haviemu i Laurze udało się wrócić do Edynburga dopiero po zmroku. Podwiozła ich ciężarówka z materiałami budowlanymi, zmierzająca do Leith. Strażnik Kości zostawił ich samych dużo wcześniej. Zaraz po zawaleniu się kaplicy ruszył do stolicy przez pola, rzuciwszy im na pożegnanie pełne pogardy spojrzenie, tak by nie mieli żadnych wątpliwości, co do tego, co o nich myśli. Przerazało go zarówno to, co zrobili, jak i to, co zrobić mógł teraz Maponus.

Już kilka kilometrów od centrum miasta widać było, że na Starówce dzieje się coś strasznego. Nad kamieniczkami kotłowały się burzowe chmury, wirując w nienaturalny sposób wokół jednego punktu. Co jakiś czas granat nieba przecinał dziwny błysk, któremu towarzyszyła niezmiennie seria wystrzałów.

— Co teraz? – spytała Laura, gdy kierowca wysadził ich nieopodal zamkowej skaty. Po tonie jej głosu Shavi domyślił się, że dziewczyna obawia się najgorszego.

— Proponuję podejść bliżej i sprawdzić, co jest grane.

— Idziemy na Stare Miasto? – Nie czekała na odpowiedź. – Jak sądzisz, czy nikomu z naszych nic się nie stało?

— Nie wiem.

— To on, prawda? Ten świr z krypty?

Shavi milczał. Czuł się odpowiedzialny za śmierć księdza i inne okropne rzeczy, które miały się wydarzyć. Gdyby posłuchał

w kaplicy pełnej obaw Laury, gdyby nie był zaślepiony poczuciem misji, szalony bóg nadal pozostawałby uwięziony. Być może Maponus, wyczuwszy jego intencje, manipulował subtelnie jego poczynaniami, ale szaman nie uważał takich wyjaśnień za wystarczające usprawiedliwienie. Miał dość silnej woli, by móc się oprzeć cudzym wpływom.

— Chodźmy. – Skręcił z Lothian Road w prowadzącą w głąb Starówki Bread Street. Trzęsąc się z zimna, szli jakiś czas ciemnymi, krętymi uliczkami i już po kilkuset metrach natknęli się na wielkie rumowisko. Można było pomyśleć, że w budynek trafiła bomba. Shavi podbiegł do kupy gruzów pierwszy, rozejrzał się uważnie i zorientowawszy się, co widzi, szybko przywołał Laurę.

— Chyba ktoś nas uprzedził – stwierdził, wskazując coś palcem.

Odwróciwszy głowę, dziewczyna zobaczyła kolejną zawaaloną kamieniczkę, a za nią, w prostej linii, kolejne. Makabryczny szlak zdawał się prowadzić aż po przedmieścia. Zerknęła szybko w przeciwnym kierunku. Zgodnie z jej przewidywaniami, pasmo gruzowisk ciągnęło się ku sercu Starego Miasta.

Spojrzeli po sobie, nie wiedząc, jakimi słowami wyrazić dręczące ich myśli. W końcu żadne nie zabrało głosu. Przez chwilę stali w milczeniu, wpatrzeni w ruiny, po czym ruszyli w stronę Royal Mile, brodząc w morzu ceglanych odłamków.

Ulicę dalej znaleźli zwłoki starszego mężczyzny, który najwyraźniej sprzeciwił się rozkazom policji i mimo ewakuacji pozostał w domu. Jeśli nawet zginął w wyniku zaważenia się budynku, w którym mieszkał, ktoś wydobył jego ciało z gruzowiska, a następnie starannie rozczłonkował. Brakowało wprawdzie głowy, ale czerwone plamy na nieskalanym śniegu

podpowiadały, w którą stronę udał się jej nowy właściciel. Wędrowcy wzdrygnęli się.

— Będziemy się za to smażyć w piekle – powiedziała Laura.

Dzięki wyburzonemu traktowi zauważyli trwający pojedynek na długo, zanim wspięli się na Royal Mile. Przeciwnicy reprezentowali dwa diametralnie różne żywioły – lato walczyło z zimą, światło z mrokiem ale dla postronnych każda z istot była równie odrażająca. Ich zaciekłość porażała. Laura i Shavi najchętniej odwróciliby głowy. Piękną twarz Maponusa wykrzywiała taka dawka agresji, że od samego patrzenia cierpła skóra. Z każdą falą niewidzialnej siły, którą ciskał w Wiedźmę, oczy młodzieńca łypały dziko na boki, a długie palce zaciskały się kurczowo w pięść. Czasem, tracąc na krótko zainteresowanie panią zimy, celował nie w nią a w jeden z pobliskich domów, jakby kipiąca w nim nienawiść skierowana była przeciwko wszystkiemu na świecie. Cailleach Bheur przywoływała go wówczas szybko do porządku, posyłając w kierunku boga kolejną porcją błękitnej energii. Nie robiła tego z wyrachowaniem, działała po prostu jak automat, bez żadnych emocji.

Wyglądała teraz bardziej nieludzko niż kiedykolwiek. Twarz Wiedźmy zastąpiła głęboka czerń pustki, poczerniałe kończyny zeszywniały, zmieniając się w osmolone pożogą konary. Jej moc powaliłaby każdego na kolana – to od niej wszakże bił mróz ścinający całe Stare Miasto. Przyglądając się iskrzącej błękitnej łunie, Laura przypomniała sobie spektakl, którego była świadkiem w klubie, kiedy to migające dyskotekowe światła najpierw załamywały się na lodzie, by wkrótce zostać zupełnie przez niego przesłonięte. Po raz pierwszy dziewczyna w pełni zdała sobie sprawę z tego, że otarła się wówczas o śmierć, jakże

żałośni byli ludzie w porównaniu z taką potęgą! Otarta zbłąkaną łzę, zanim zauważył ją Shavi. Schowali się za ścianą zawalonego budynku.

— Co, jeśli ją pokona? – spytała.

— Wydają się być godnymi siebie przeciwnikami.

— Ale to tylko kwestia czasu.

— To już nie nasze zmartwienie. Ufajmy, że misja Churcha się powiedzie i błękitny ogień załatwi sprawę. – Laura po raz pierwszy usłyszała w głosie Shaviego nieszczera nutę.

— A co z Veitchem?

Oboje spojrzeli na kurtyny gęstych mgieł przesłaniające zamek.

— Chodźmy już lepiej na ten franciszkański cmentarz, gdzie się umówiliśmy. A nuż ktoś się pojawi.

Laura prychnęła pogardliwie.

— Wydaje mi się tylko, czy ktoś tu chowa głowę w piasek? Mam nadzieję, że jedno z nas przygotowało plan B, bo w przeciwnym razie może się okazać, że znów wszystko schrzaniliśmy. Poniekąd to już u nas tradycja. – Nie oglądając się na nią, Shavi ruszył w kierunku miejsca zbiórki. – Stój, draniu! Jeśli ten stwór, którego uwolniliśmy, opuści Starówkę, cały kraj spłynie krwią!

Odwrócił się. Oczy miał pełne łez.

— Wiem – odpowiedział cicho i odszedł w mrok. Nie pozostało jej nic innego, jak pójść za nim.



W tunelach panował taki ziąb, że Veitch nie potrafił

powstrzymać wstrząsających nim dreszczy. Pochodnie na ścianach wisiały w zbyt dużych odstępach, by podnosić temperaturę, jedyną pociechą byto to, że nie wpadł jeszcze na żadnego strażnika – pociechą złudną, bo mężczyznę zżerało oczekiwanie. Prędzej czy później musiał przecież stanąć oko w oko z jakimś Fomorianinem. W twierdzy z pewnością przebywały ich setki. Czyżby wszyscy się ukryli, żeby zwabić go jak najgłębiej? Śmiałek przegonił pospiesznie tę myśl.

Podziemna forteca przypominała labirynt. Wszystkie korytarze wyglądały tak samo, wszystkie wypełniał ten sam odór gotowanego zgniłego mięsa. Od czasu do czasu Veitch mijał zbite naprędce drewniane drzwi. Z duszą na ramieniu próbował otworzyć kilka z nich, ale za każdym razem okazywało się, że są zamknięte na klucz. W końcu, zdesperowany, postanowił szeptać w szpary framugi imię Ruth, ale na próżno. Nikt mu nie odpowiadał, nawet zaskoczony dźwiękiem ludzkiego głosu Fomorianin.

Pragnął w irracjonalny sposób, żeby wreszcie coś zaczęło się dziać. Wszystko wydawało się lepsze od udręki wiecznego nasłuchiwania zbliżających się kroków czy niewyobrażalnego napięcia przed każdym zakrętem.

Kolejny boczny korytarz zaszokował go swoją odmiennością. Wejście do tunelu zdobiły misterne płaskorzeźby przedstawiające jakieś wijące się, powyginane kształty. Ornamenty te zwieńczała kamienna głowa o tak koszmarnych rysach, że Veitch musiał odwrócić wzrok. Na skórze czuł prąd chłodnego powietrza, co sugerowało, że tunel przechodzi dalej w przestronną komorę. Zdecydował, że zbada to odgałęzienie. Posuwał się ostrożnie, wspierając się jedną ręką o ścianę. Po kilkunastu krokach wychwycił dziwny basowy łoskot, jakby po



niewidocznej jeszcze pieczarze jeździł walec. Wzdrygnął się, ale szedł dalej. Słyszał coraz wyraźniejsze głosy, głosy dziesiątków, może setek Fomorian. Nie był to jednak chaotyczny harmider świetlicy czy stołówki, a rytmiczne skandowanie na dwie różne nuty. Załoga twierdzy śpiewała.

Czegoś takiego się nie spodziewał. Poniekąd było to gorsze od wszystkiego, czego się spodziewał. Miał ochotę uciec przed tym potwornym rykiem, uciec ku światłom Nowego Miasta. Opanował się z trudem. Gdy po kilku minutach marszu wynurzył się z tunelu, dygotał na całym ciele zlany zimnym potem. Stał u szczytu kamiennych schodów biegnących w dół ku dnu wielkiej komory. Salę wypełniali Nocni Wędrowcy. Nie mylił się – były ich tu setki. W masie robili jeszcze bardziej przykre wrażenie. Nie mogąc się powstrzymać, Veitch wycofał się pospiesznie i zwymiotował pod ścianą. Kiedy znów zajrzał do pieczary, zauważył, że nie potrafi skupić na żołnierzach wzroku – ich ciała zdawały się bezustannie przeobrażać. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że to nie tłum ogląda, a jedną ogromną istotę, plugawą i czarną, ucieleśnienie wszelkiego zła i obrzydliwości.

Zdegustowany przeniósł spojrzenie poza falujące morze głów i jego uwagę przykuło znajdujące się w głębi sali podwyższenie. Po obu stronach podium płonęły wielkie znicze, zaś na jego środku stał Calatin z rękoma wzniesionymi w rytualnym geście. Ich opuszczeniem dał znak do zakończenia pieśni – jeszcze tylko przez chwilę przeciągano ostatnią nutę. Gdy zapadła cisza, mieszaniec przemówił. Veitch poczuł, że nie ścierpi fomoriańskiego charkotu ani minuty dłużej. Miał już zawrócić, kiedy dostrzegł coś jeszcze. Za gestykującym Calatinem, w głębokim cieniu krył się olbrzymi Nocny Wędrowiec. Zakuty w czarną bitewną zbroję przypominał mrożącego krew w żyłach

owada.

Veitch wrócił do głównego korytarza, walcząc po drodze z mdłościami i zawrotami głowy. Nie potrafił odgadnąć, czy widział właśnie przegląd wojsk czy też raczej grupowe modły, dłuższe zastanawianie się nad tym nie miało jednak sensu. Jedno było pewne – rytuał wywarł na śmiałku ogromne wrażenie. Powrócił do wykonywania swojego zadania ze zdwojoną energią, mającą swoje źródło w nieopisanym strachu.



W zamyśleniu niemal wpadł na czuwającego za rogiem wartownika. Cofnął się w ostatniej sekundzie, licząc na to, że nie został zauważony. Strażnik stał przy końcu tunelu, do którego schodziło się po kilku stopniach. Tak właściwie Veitcha nie zaalarmował sam widok potwora, ale jakieś dziwnie buczenie w głowie, połączone z kolejnym skurczem żołądka. Rzecz jasna mógł to być po prostu instynkt, ale to Fomorianin zdawał się wysyłać te drażniące zmysły sygnały, jakby emitował wyczuwane podświadomie fale dźwiękowe, jakby bił od niego smród silniejszy od tego panującego w korytarzu. A może to nie zmysły ostrzegały, ale serce lub dusza? Diabelskie stwory samym swoim istnieniem urągały wszystkiemu, co szlachetne.

Ostrożnie wyjrzał zza węgła, wyciągając wzrok, by dostrzec kształt, ledwie rysujący się w mroku. Stwór przewyższał wzrostem strażnika napotkanego w sali muzealnej i niewątpliwie nie wyglądał na łatwego przeciwnika. Ujawnienie się byłoby równe samobójstwu. Veitch nie wiedział, co robić. Zapewne udałoby mu się przemknąć obok otworu odgałęzienia, by

kontynuować badanie głównego tunelu, ale obecność strażnika sugerowała, że po raz pierwszy od zejścia do podziemi mija coś naprawdę ważnego. Ze zdenerwowania zaczął obgryzać paznokcie. Czas gonił. Musiał się na coś zdecydować – on, londyński chuligan, który nigdy w życiu nie podjął trafnej decyzji.



Church i Tom spróbowali wyszarpnąć bądź wypchnąć ze sterty jeden z głazów. Połamali przy tym paznokcie i pozdzierali sobie skórę na dłoniach do krwi, ale w końcu udało im się zrobić w barykadzie otwór na tyle duży, by móc przeczołgać się przezeń na drugą stronę. Było tam cieplej, a powietrze pachniało żelazem i cytryną. Oddech niewidzialnego monstrum stał się głośny nie do wytrzymania. Church zwolnił tempo onieśmielony. Na ziemi wałało się sporo kamiennych odłamków, a ściany korytarza szpeciły liczne rysy i szpary. W szerszych pęknięciach mężczyzna mógłby z łatwością zanurzyć rękę.

— Musimy być teraz w samym sercu Tronu Artura – stwierdził. Skalny kolos nad jego głową zaczął go nagle przytłaczać.

— No chyba – odparł Tom.

— Masz wyjątkowy dar do komentowania moich wypowiedzi, tak że z pozoru wydajesz się ze mną zgadzać, ale zarazem zasiewasz we mnie ziarno wątpliwości.

— To nie dar, to umiejętność. Trenuję od kilku stuleci.

Church zauważył, że w jednej z bruzd na ścianie skała w dziwny sposób zmienia swoją fakturę. Podeszedł bliżej, mrużąc

oczy, dostrzegł w tym miejscu rysującą się w kamieniu delikatną siatkę rombów, zbyt regularną jak na zwykłe przebarwienie.

— Ciekawe... – Nieśmiało przesunął po jej powierzchni opuszkami palców. W dotyku była chłodna i chropowata. – Matko Boska! krzyknął, cofając rękę.

W okamgnieniu Tom znalazł się u jego boku.

— Co się stało?

— Poruszyło się! To znaczy nie cała skała, tylko coś tuż pod jej powierzchnią. Coś jak... Jak gdyby... – Wzdrygnął się.

— Jak co? – spytał z naciskiem Tom.

Kręcąc głową, Church pochylił się i zajrzał do wnętrza rozpadliny.

— Jak co? – powtórzył nauczyciel. Uczeń zaczynał mu działać na nerwy.

— Jak... jak mięśnie poruszające się pod skórą. – Mężczyzna przełknął głośno ślinę. Przystanął przy kolejnej szparze, schylił się, wytężył wzrok, a potem wsadził do środka rękę, nie do końca pewny, czy znajdzie w sobie dość odwagi. Nie spuszczał z oka swoich palców.

— Boże święty! – Tym razem aż odskoczył, wywijając dłonią z obrzydzeniem. Tajemniczy ruch był wyraźniejszy, coś przesunęło się ku górze. W wąskim otworze błysnęło czerwienią.

Church podkradł się bliżej.

— Jezu... – szepnął.

Czerwień świeciła teraz jaśniej, jej źródło nieco się przesunęło.

— Co to? – spytał Tom ściszym głosem.

— Oko. – Church skrzywił się z obrzydzenia. – Dotknąłem powieki, to się otworzyło.

Nagle usłyszeli ogłuszający łoskot, a cały tunel zatrzęsł się tak potężnie, że obu wędrowców zważyło z nóg. Z góry posypał się

deszcz pyłu, oślepiając ich i dławiąc. Ściana, za którą zarzyło się czerwone oko, pękła, a wreszcie runęła.

— Uważaj! – Church przykrył Toma własnym ciałem. Na szczęście, dostał w plecy tylko kilkoma niewielkimi kawałkami. Strop okazał się wytrzymały na wstrząsy. Kiedy, kaszląc i spluwając, mężczyzna ośmielił się podnieść głowę, zobaczył wreszcie źródło słyszanego od barykady hałasu. Za nieistniejącą już ścianą spała smacznie gigantyczna poczwara. Trudno było uwierzyć, że nie obudził jej huk walącej się ściany. Leżała spokojnie, ale była tak wielka, że nawet najlżejsze jej drgnienie powodowało wibracje otaczającej ją skały. Smok oddychał miarowo, cielsko zwierzęcia to wznosiło się, to opadało. Z każdym ruchem mięśni jego pokryta łuskami skóra połyskiwała urokliwie brązem, złotem oraz śniedzią.

Church przyglądał mu się z zachwytem. Nie potrafił dokładnie ocenić rozmiarów bestii, ponieważ sporą jej część kryło gruzowisko. Oszołomiony bliskością poczwary, mimowolnie zrobił krok do przodu.

— Czujesz? – spytał go zaintrygowany Tom.

— Co takiego?

— Więź. Krew płynie w was może inna, ale jesteście z jednej gliny. Rzeczywiście czuł więź, czuł ją całym sobą. Swędziały go palce i skronie, po plecach przebiegały mu ciarki, w głowie coś dźwięczało. Był niczym kamerton drgający w harmonii z uśpionym zwierzęciem.

— Jestem Bratem Smoków – szepnął w zamyśleniu.

— Twoje dziedzictwo. – Stanąwszy tuż za nim, Tom położył mu rękę na ramieniu. – Uczysz się, dojrzewasz. To powolny proces, ale robisz coraz większe postępy.

— Dlaczego się nie obudził?

— Śpi od bardzo, bardzo dawna. Jest spokrewniony z tym, którego widziałeś w Avebury, tylko niewiele młodszy. To miejsce było dawniej niemal tak potężnym źródłem błękitnego ognia, co Avebury, ale z jakichś przyczyn, gdy ludzie zapomnieli o duchu ziemi, energia wyschła tu szybciej niż tam, na południu.

— A bestia przeszła w stan hibernacji?

— Hibernacji? Cóż, można nazwać to i tak. Jest po prostu obojętna na to, co dzieje się wokół.

Church przykucnął, by spojrzeć na bok stwora pod innym kątem.

— Jest wspaniały... piękny...

— I niebezpieczny. Nie zapominaj o tym. Smoki to nie zwierzątka domowe. Są dzikie i nieokiełznane, jak Cailleach Bheur.

Mężczyzna podniósł się, wzdychając.

— Skąd się wzięły na ziemi? Nie pasują do teorii ewolucji i takich tam.

— Może i kłócą się z porządkami współczesnego świata, ale pasują do tych właściwych, do tych, które obowiązywały przed wiekami.

— Co teraz? – Church zerknął na ginący w mroku tunel. Korytarz opadał w tym miejscu ostro w dół. – Nie mam zielonego pojęcia, jak wprowadzić na powrót w ruch tę całą ziemską energię. Szczerze mówiąc, nawet gdyby mi się ta sztuczka udała, i tak nie rozumiem, jak błękitny ogień może nam pomóc.

Tom zdążył już odejść spory kawałek i jego głos zabrzmiał, jak z dna studni: — Nie mamy pewności, czy nam się do czegoś przysłuży. Ale być może uzdrowienie wyschniętej ziemi to zadanie ważniejsze niż pokonanie Fomorian.

Church przyspieszył kroku, żeby dogonić nauczyciela.

— Jeśli Balor powróci, nie będzie czego uzdrawiać – zauważył z sarkazmem.



Ochłodziło się, a w powietrzu pojawiło się więcej pyłu. Zejście było tak strome, że obaj mężczyźni musieli przytrzymywać się ścian, żeby się nie poślizgnąć. Od czasu do czasu ich twarze smagały silne podmuchy przeciągu czy wiatru, ale nie umieli powiedzieć, skąd się one biorą, im niżej schodzili, tym większy odczuwali niepokój, jakby to od celu ich wyprawy były negatywne emocje. Już przedtem niewiele rozmawiali – teraz zamilkli zupełnie. Jedynym dźwiękiem dochodzącym uszu wędrowców były ich własne kroki.

Wiatr wzrastał się stopniowo, by w końcu dąć z taką na siłą, że z trudem utrzymywali równowagę. Zdawać by się mogło, że zmierzają w stronę skraju klifu. Churchowi przyszło na myśl podziemne morze z filmu *Podróż do wnętrza Ziemi*. A potem korytarz się skończył i wreszcie poznali źródło powietrznych biczów.

Tunel wychodził na pustkę, skały rozmywały się w mroku – i strop, i ściany przepaści, i okalający ją wąski występ. Ziejąca przed nimi dziura była tak wielka, że nie widzieli jej przeciwległego brzegu, a dno zdawało się w ogóle nie istnieć. Church musiał zamknąć oczy, by opanować zawroty głowy. W powietrzu pobrzmiwały dziwaczne echa.

— Jesteśmy na miejscu – oświadczył Tom. – To właśnie Studnia Ognia.



Church dopiero po chwili odważył się podpełznąć do krawędzi przepaści, by z wielkimi oporami spojrzeć w dół. Bijący z czeluści strumień powietrza targał mu włosy i chłostał policzki. Musiał sobie usilnie tłumaczyć, że otchłań nie próbuje go wessać.

— Cały kraj, wszystkie kontynenty usiane są takimi studniami. – Głos Toma rozchodził się dziwacznie w przestrzeni. – Choć muszę przyznać, że niewiele z nich jest tak silnych, jak ta tutaj, a z jeszcze mniejszej liczby cieknie choćby strużka ognia.

Church podniósł się z klęczek i oparł plecami o ścianę, byle tylko znajdować się jak najdalej od krawędzi. Nie potrafił się pozbyć wrażenia, że nicość lada chwila go połknie.

— Co ja tu robię, u licha? – jęknął. – Jak mam zmienić tę brudną dziurę w ósmy cud świata? To beznadziejne.

— Beznadziejne? – najeżył się Tom. – Niczego się jeszcze nie nauczyłeś?

— Jesteś mistrzem w udzielaniu enigmatycznych wskazówek. Może byś mi tak coś doradził sensownie dla odmiany? Powiedz mi, co mam robić.

— Sam się domyśl – warknął hipis. – Masz się uczyć, a nie wykonywać rozkazy.

Zakławszy pod nosem, Church znów podpełzł do rantu, jakby samo wpatrywanie się w czerń mogło go oświecić. Z początku nic nie przychodziło mu do głowy i psychicznie czuł się coraz gorzej. Czyżby znów miał zawieść pokładane w nim nadzieje? Leżał tak już jakiś czas, gdy nagle coś się ruszyło. Jedna myśl zaczęła gonić drugą. Patrzył na źródło błękitnego ognia, prawda? Ale to nie była zwykła dziura w ziemi. Tak naprawdę nie znajdowali się



nawet pod Tronem Artura, tylko gdzieś między światami, poza rzeczywistością, w miejscu podobnym do Zaświatów. Może w samych Zaświatach? W to akurat wątpił, choć nie wiedział, dlaczego. Studnia służyła najprawdopodobniej jako coś w rodzaju kanału wiodącego ku właściwemu źródłu ognia, czymkolwiek by ono było. Mężczyzna zerknął na Toma. Jego nauczyciel stał nieopodal z dłońmi splecionymi za sobą, jakby przerwał na chwilę spokojną przechadzkę po parku.

— Co tam jest na samym dole? – spytał Church, wskazując brodą przepaść.

Hipis uśmiechnął się, widząc, że jego uczeń robi postępy.

— A jak sądzisz?

Jego kompan znów zaklął i odpędził go tylko machnięciem ręki. Odpowiadanie pytaniem na pytanie należało do ulubionych zabaw Toma i mimo kilku miesięcy wspólnych wędrówek, nadal strasznie Churcha irytowało.

Wrócił do przerwane go toku rozumowania. Wszystko stawało się coraz bardziej jasne. Czym w ogóle był błękitny ogień? Jeśli wierzyć Tomowi, esencją ducha, esencją wiary w przyrodę. A tutejsza studnia wyschła, podobnie jak i inne w całym kraju, ponieważ ludzie odrzucili duchowość, przestali wierzyć...

— Czy możemy obudzić... ożywić strumień błękitnego ognia... robiąc coś, co by... – Wiedział, o co mu chodzi, ale brakowało mu słów. – Musimy zrobić coś, co pokazałoby, że naprawdę gorąco wierzymy, prawda?

Tom pokiwał w zamyśleniu głową.

— Być może. Nastaly nowe czasy. Akt wiary chyba może działać dziś tyle, co niegdyś skomplikowany eksperyment naukowy. Chyba. Może jeśli będziesz chciał tego dostatecznie mocno.

Churcha zaczął powoli przytłaczać ogrom spoczywającej na nim odpowiedzialności. Chciał ją z siebie strząsnąć, wrócić do życia, które kiedyś wiódł, ale zdawał sobie sprawę, że to już nigdy nie będzie możliwe. Zamknął oczy, porządkując swoje myśli i emocje, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął talizman podarowany mu przez małą Mariannę.

— Ocalił mi życie. – Podniósł łańcuszek wysoko do góry. Medalion obracał się powoli. – Tandetny wisiorek, do którego wsadzono wycięte z gazety zdjęcie księżnej Diany. Niby nic takiego. A potem nagle okazuje się, że posiada cudowną moc. Dlaczego? Ponieważ pewna dziewczynka tak bardzo w niego wierzyła? Brzmi to jak jakaś wyjątkowo naiwna bajka dla dzieci.

— Żyjemy teraz w czasach bajek – odezwał się cicho Tom. – Archetypy ożyły, przemówiły do nas, a ich moc potrafi odmieniać rzeczywistość. Myśli i marzenia przestały być jedynie abstraktem, jeśli ktoś wierzy z całego serca, że jakiś przedmiot ma szczególne znaczenie, tak właśnie się stanie. Zawsze tak było, ale magiczne właściwości amuletów nie mogły się w pełni objawić. Mity od zawsze kształtowały zachowanie i oczekiwania ludzi, dobrze o tym wiesz. Weźmy taką Dianę. Lata cierpień, tragiczny koniec, żałoba, która niemal przeszła w kult. W jej historii za dużo jest zbiegów okoliczności. Czy Diana to nie imię bogini księżyca, bogini polowań, lasów i płodności, czczonej przez kobiety? O której Dianie tu mowa? – Rozłożył ręce. – Naszym życiem zawsze ktoś kierował, manipulował z ukrycia. Różnie nazywamy te tajemnicze siły, próbujemy pojąć ich charakter, choć nigdy nam się to nie uda. Jedynym sposobem na zachowanie wewnętrznej równowagi jest pogodzenie się z faktem, że żyjemy w świecie magii, w świecie sekretów, a prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, nie poznamy jej za naszego

życia, a może nawet i po śmierci. Ciesz się chwilą, płyn z nurtem...

— Czyli hipisi mieli rację? – Church pokręcił głową. – Sądzę, że powinienem złożyć ten medalion w ofierze, z nadzieją, że jakaś tajemna siła zrozumie ten gest i zadziała w moim imieniu. Rozmawiałem z tą dziewczynką jeden jedyny raz, ale to spotkanie zmieniło moje życie. Była tylko dzieckiem, ale ja przy niej czułem się nikim. Z jaką odwagą czekała na śmierć, z jaką wiarą, z jakim optymizmem. Od samego patrzenia robiło się lżej na duszy.

— I nosiła to samo imię, co twoja zmarła dziewczyna – podkreślił Tom.

Church przytaknął.

— Tak, poniekąd zlaty się w mojej pamięci w jedno. Nie wiem już, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna. Nie wiem, czy dobrze robię. Dusza starszej Marianny jest nadal więziona, a ten medalion w pewien sposób ją symbolizuje. Może to za jego pomocą mam ją uwolnić?

Zerknął na Toma, szukając potwierdzenia, ale twarz jego nauczyciela pozostawała nieprzenikniona.

— Wiem, co sobie myślisz – ciągnął Church. – Ze nie udało mi się poprzednim razem, bo za bardzo pochłaniała mnie sprawa jej zabójstwa. Cóż, obiecałem sobie nie myśleć o niej tyle, ale rany najwyraźniej są zbyt głębokie. – Przeniósł wzrok na wisiołek. Metalowe puzderko połyskiwało niczym zbłąkana gwiazdka. – Tak bardzo chciałbym to zmienić.

Nagle w głębi tunelu rozległo się echo ledwie słyszalnego szelestu, które akustyka olbrzymiej groty zmieniała w głuchy grzmot. Obaj mężczyźni z miejsca zapomnieli o wszystkim innym. Przestawszy mrugać, wstrzymawszy oddech, czekali na

kolejny dźwięk. Przez chwilę nic się nie działo. A potem ktoś rozgniół stopą grudkę zbrylonego pyłu. Nie wiedząc, że studnia potęguje każdy jego krok, intruz skradał się najciszej jak umiał. Nie było wątpliwości, że ma nieczne zamiary.

— Ktoś się zbliża – szepnął Chuch, jakby nie było to oczywiste. Kto to u diabła może być?

— Wróg – odparł lakonicznie Tom.

Chuch rozejrzył się pospiesznie. Nie mieli dokąd uciec.

— To nie najlepsze miejsce na takie spotkanie. Szkoda, że nie ma z nami Veitcha.

Hipis przyjrzał się badawczo ginącemu w mroku skalnemu występowi.

— Możemy spróbować tej drogi. Kroczek po kroczeniu okrążyć jamę. – Zniżył głos jeszcze bardziej, by ich nieznanemu przeciwnikowi nie mógł poznać ich planów.

Chuch po raz kolejny spojrzął w przepaść i rzecz jasna znów poczuł zawroty głowy.

— A może to nic takiego? Po prostu poczekajmy. Może to ktoś...

— Zamilkł, zorientowawszy się, że wygaduje głupoty. W takim miejscu i o takiej porze, nie można było mieć nadziei. Ktokolwiek nadchodził, stanowił zagrożenie. Wzdrygnął się na samą myśl o spacerze po skalnej półce. – Nie wiem, czy się odważę.

— A jakie masz inne wyjście? – spytał z irytacją Tom. Złapał Churcha za ramię i spróbował pociągnąć w kierunku występu, ale mężczyzna mu się wyrwał i z rozpędu obaj niemal nie wpadli do czeluści.

— Jezu Chryste! – syknął Church. – Daj mi spokój, wariacie! Zabijesz nas obu!

— To ty skazujesz nas na niechybną śmierć, opóźniając ucieczkę.

— Tom szybko się opanował. – Idź obrócony twarzą do ściany. Stąpaj pewnie i nie patrz w dół.

— Łatwo ci mówić!

Ale hipis zaczął się już posuwać wzdłuż występu, nie zwracając dłużej na niego uwagi. Jego pięty wystawały odrobinę poza półkę. Churcha oblał zimny pot. Nie potrafił się przełamać.

Jakby chcąc się upewnić, zerknął jeszcze w głąb tunelu i zamarł. Włosy stanęły mu dęba. Coś błysnęło żółto, znikło, znów się pojawiło – niby nic, ale wiedział intuicyjnie, z czym ma do czynienia. Spotkali się już w jaskini. Była to owa bestia, ukrywająca się pod postacią wilka: potwór, który marzył o odcięciu im wszystkich palców. To on okaleczył Ruth i podrzucił ją Fomorianom. Zobaczywszy go po raz pierwszy, Church myślał, że to kolejna halucynacja, wizja z przeszłości przywołana panującymi w pieczarze prawami, ale mylił się cały ten czas byli śledzeni przez tego stwora. A teraz znalazł ich wreszcie i szedł prosto na nich.

Mimo tego odkrycia, mężczyzna ciągle się wahat, sparaliżowany strachem. Każdy kolejny szelest w korytarzu dźgał go nożem w samo serce, każde spojrzenie w czeluść usuwało ziemię spod nóg. Ale dobijający się do świadomości roztrzęsionego śmiałka rozsądek podpowiadał mu, co powinien i co musi zrobić.

Z uczuciem, że oto żegna się z życiem, Church postawił stopę na półce.



Posuwał się niezmiernie powoli, z duszą na ramieniu. Jego

serce wydawało się bić tak głośno, że miał wrażenie, że zaraz ogłuchnie. To przemykał oczy, to patrzył na zimną, ciemną skałę. Nieraz po prostu przejeżdżał po niej czubkiem nosa. Zmysły męczyzny stały się tak wyczulone, że każdy bodziec był prawie nie do zniesienia. Zbierało mu się na wymioty. Co kilka sekund przemykała przez głowę myśl, że zaraz zginie – był święcie przekonany, że się poślizgnie, że to tylko kwestia czasu.

Wilk przestał się kryć – słysząc już było wyraźnie jego ciężki oddech, echa kroków monstrum przybrały na sile. Church niczego tak bardzo nie pragnął, jak zerknąć w stronę wyjścia z tunelu, nie potrafił się jednak na to zdobyć. Z wrażenia i tak by pewnie spadł. Pozostawało mu tylko nasłuchiwać i dręczyć się lękami. Bał się, że nie przesuwają się dostatecznie szybko, że stworzy pójdzie w ich ślady, że znajdą się w sytuacji bez wyjścia.

Nagle trącił lewym ramieniem coś ciepłego. Był to tylko Tom, który zatrzymał się zniemacka, ale pogrążony w rozmyślaniach Church zapomniał zupełnie o takiej możliwości. Zaskoczony wydał z siebie zduszony jęk. Wybite z rytmu mięśnie drgnęły o jeden raz za dużo i ciało męczyzny zaczęło przechylać się do tyłu. Naprężył się nie pomogło. Nie miał się też czego się chwycić. Nieubłaganie tracił równowagę.

Ręka Toma wystrzeliła znikąd, trafiła Churcha między łopatki. Uderzony wyprostował się, zarył nosem o skałę. Znów jęknął cicho, trochę ze strachu, a trochę z ulgą.

— Szsz... – Gdyby nie kontekst, można by było pomyśleć, że Tom jedynie odetchnął nieco głośniej.

— Dlaczego stanąłeś? – spytał Church równie cicho.

— Gdybyś zdołał oderwać wzrok od tego kawałka ściany przed sobą, zobaczyłbyś, że nie widać już wejścia do tunelu. A skoro my go nie widzimy, to nasz przeciwnik nie widzi nas. Zdążyłeś rzucić

na niego okiem?

Church przełknął ślinę, spróbował wziął się w garść. Nie patrz w dół, nie patrz w dół, powtarzał w myślach jak mantrę. Jak u licha miał prowadzić względnie normalną rozmowę, stojąc na skraju przepaści na półce skalnej węższej od długości męskiego buta? To nie mogło dziać się naprawdę. Chciał się obudzić z tego koszmaru.

— Błysnęły mi jego oczy. Żółte. – Miał sucho w gardle. Jeszcze raz uzbierał w ustach nieco śliny. – To ten sam potwór, który porwał Ruth, ten, który ukazał się Laurze pod postacią wielkiego wilka. Tyle że to wcale nie wilk. Też go widziałem, w tej pieczarze z wizjami. Nie wiem dlaczego, ale mam pewność, że to... że to człowiek.

— Czasem tak bywa, gdy bogowie przy kimś, jakby to określić... majstrowali. Trudno dostrzec prawdziwe oblicze takich nieszczęśników. Podejrzewam, że w ich wnętrzu zachodzi tak wielka przemiana, że umysł ludzki zaczyna po prostu postrzegać ich inaczej. Odbiera mnóstwo sprzecznych sygnałów, z których z trudem wyłania jakąś całość, często niezgodną z prawdą, ale jedyną możliwą do przyjęcia. To reakcja obronna, inaczej obserwator postradałby zmysły.

— Więc jak ten ktoś w rzeczywistości wygląda? – Church wzdrygnął się, gdy jego nauczyciel wspomniał o majstrowaniu. Przypomniały mu się opowieści kompana o tym, ile wycierpiał z rąk królowej plemienia Danu. Dla rozrywki rozebrała go na kawałki i złożyła z powrotem. Kruche Istoty, tak Złoty Lud nazywał ludzi. Tak, kruchych łatwo złamać. A potem już nigdy nie potrafią się pozbierać.

Zamilkli. Na chwilę zamienili się w słuch. Rzeczywiście, odgłosy wydawane przez ich prześladowcę, tylko z pozoru były

zwierzęce z natury. Skupiwszy się, wychwycili pomiędzy cichymi charknięciami coś przypominającego gardłowe mamrotanie. Stwór mówił sam do siebie, zapewne trudno mu było podjąć właściwą decyzję. Mieli nadzieję, że zawróci zniechęcony, ale nagle ich uszu doszły dźwięki, których najbardziej się obawiali – powolne szuranie, a potem pazury stukające o kamień. Wilk zaczął mozolną wędrówkę po skalnej półce. Z sekundy na sekundę był coraz bliżej.

Church odważył się wreszcie zerknąć w bok, ale w lewo, na Toma. Oczy miał szeroko otwarte ze strachu, gardło ściśnięte na szerokość ołówka. Hipis ruszył dalej, szybko i zwinnie. Nie bał się, że spadnie, bo doświadczył już w życiu rzeczy gorszych niż śmierć. Jego uczeń próbował dotrzymać mu tempa, ale tak bardzo starał się nie odpaść od ściany, że bolał go już każdy, nawet najbardziej zapomniany mięsień. Z nowym wyzwaniem dla zmysłu równowagi powróciły też zawroty głowy. Z nerwów brakowało tchu. A z prawej nadciągał wróg. Churchowi przemknęło przez głowę, że może uda im się okrążyć studnię, wrócić tunelem do pieczary i tam zgubić prześladowcę.

Poślizgnął się, wprawdzie niegroźnie, ale musiał wczepić się w ścianę z taką siłą, że z pewnością zza paznokci poleciała krew. Poruszał się zbyt szybko, popełniając głupie błędy, ale nie miał innego wyjścia – wilk także był szybki.

A czeluść przyzywała do siebie, kusila, wsysała w głąb. Tak bardzo pragnęła, by spadł. Bał się, że w końcu jej ustąpi.

Zastanawiał się, ile jeszcze. Nie miał pojęcia, jaki odcinek już przeszli.

Z prawej doleciało sapnięcie, jakie mógłby wydać z siebie człowiek, który dopiero co naprawił auto lub przekopał ogródek. Sapnięcie kogoś zadowolonego z efektów swojego wysiłku.



Church wiedział, co to oznacza. Zerknął w prawo i, tak jak się spodziewał, zobaczył parę błyszczących w ciemnościach żółtych ślepi.

Ich moc była porażająca. Mężczyzna usiłował przyspieszyć, ale w nerwach znów się poślizgnął. Tym razem aż przyklęknął, przez co stracił równowagę. Rozpaczliwie szukając na ścianie jakiegoś oparcia, parł na nią jednocześnie całym swoim ciężarem, walczył dziko o życie. Na próżno. Feralne kolano zaczęło ześlizgiwać się z półki, czarna otchłań wciągała niczym wir.

Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Podniósłszy głowę, Church zobaczył przerażoną minę Toma. W tym samym momencie uświadomił sobie jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, krzyczał coś bełkotliwie. Po drugie, punkt ciężkości jego ciała nie leżał już nad półką. Mężczyzna zerknął w dół. Ciemność. Przyzywała go. Spadał.

Ześlizgnął się niezdarnie, tak że na kilka sekund zdołał oprzeć się jeszcze o występ brzuchem i przedramionami. Dalej napierał na ścianę, choć już nie miał nadziei. Jego ścięgna trzeszczały, łokcie krwawiły. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu przepona. Przebierał nogami w pustce, ale nie znajdował żadnej podpory.

— Tom – wychrypiał. – Idź. Mnie już nie pomożesz.

Hipis spojrział najpierw na niego, a potem w żółte ślepie. Ciężki oddech bestii był tak głośny, że może i stała już nad Churchem. W oczach starego przewodnika kryło się coś więcej niż rozpacz, coś więcej niż łzy – to wypłynęły na powierzchnię wszystkie skrywane przez niego uczucia. Nie posłuchał ucznia, czekał.

Church wiedział, że to już koniec, bo nawet jeśli nie spadnie, dopadnie go wilk. Pomyślał o swojej Mariannie i małej

Mariannie, o Laurze, Ruth i Niamh, o kolegach z drużyny, przyjaciółach z Londynu, o swojej rodzinie... nie mając już nic do stracenia, sięgnął do kieszeni po medalion. Jakimś cudem wyjął go, nie odpadłszy. Paradoksalnie, podniosło go to odrobinę na duchu.

— Chciałbym... chciałbym... – szepnął, ale w gardle miał kamień. Po policzkach ciekły mu łzy. Wypuścił wisiorek z dłoni. Medalion błysnął w mroku niczym spadająca gwiazda.

A potem i jego właściciel do niego dołączył. Żołądek podszedł mu do gardła, mózg zdawał się przebijać czaszkę, wokół szumiało, w górze krzyczał Tom...



Ruth starała się nie płakać podczas tortur i udawało jej się powstrzymać aż do tej pory, ale nagle przypomniała sobie wizytę w restauracji Wódka, dokąd poszli z Churchem, zanim się to wszystko na dobre zaczęło. Nie wiedzieć czemu, na to wspomnienie coś w kobiecie pękło i szlochała, dygocząc przez dobre piętnaście minut.

Później wymacała w głębi celi zbitą naprędce pryczę i padła na siennik, nie zważając na gnieźdzące się w jego wnętrzu insekty. Po chłodzie kamiennej podłogi wydawał jej się puchowym piernatem. Zaniepokoiło ją jednak bardzo takie specjalne traktowanie – skąd u Fomorian takie ludzkie odruchy? Z pewnością za darowaniem jej łóżka kryły się nieczne pobudki. Czyżby pragnęli, by nabrała sił przed kolejnym potwornym rytuałem? Na tę myśl znowu wybuchła płaczem. Połknięcie czarnej perły nieomal przypłaciła życiem. Cóż jeszcze mogli dla

niej szykować? Czy i tę próbę przetrzyma? Powoli zaczynała dochodzić do wniosku, że nie miała innego wyjścia, jak popełnić samobójstwo.

Jakby w odpowiedzi na jej pytania, ciszę przerwał ryk Nocnego Wędrowcy. Dochodził zza drzwi jej celi, niewidocznych w ciemnościach. Fomorianin musiał być wyjątkowo wzburzony – jeszcze nigdy nie słyszała, by jeden ze stworów wydawał tak przeraźliwe dźwięki. Zakryła uszy. Potwór pieklił się jakiś czas, po czym zamilkł zniecacka, niczym rażony gromem. Ruth pomyślała, że pewnie znowu po nią przyszedli.

— Błagam! – zawołała z wysiłkiem. – Zostawcie mnie! Już nie mam sił.

Kręciło jej się w głowie od tych mrozących krew w żyłach hałasów. Otarła łzy. Przygotowała się na powitanie oprawców. Odczekała jedną minutę, drugą. Ktoś włókł coś korytarzem, metal kolejnego narzędzia tortur odbijał się od kamieni posadzki. Co tym razem? Przypalanie? Ostrza? Może śruby? Ból obejmujący ciało niczym żywy ogień?

Stanęli pod drzwiami celi.

— Błagam! – jęknęła cicho.

Klucz obrócił się w zamku. Poczowała się jak skazaniec. Drzwi uchyliły się wolno, światło z korytarza na moment oślepiło. Czekwała, biorąc emocje w karby, wypędzając z głowy wszelkie myśli.

Na progu pojawiła się czyjaś sylwetka, czarny cień na tle migoczących pochodni. Coś się nie zgadzało. Ruth drgnęła, serce zabiło jej mocniej. Nie wierzyła własnym oczom, broniła się przed nadzieją.

Mężczyzna zaczął schodzić po schodkach u wejścia do celi. Światło zalało jego tors, a później wzruszoną twarz. On też nie

dowierzał, ale w końcu pozwolił sobie na uśmiech.

— I tłum na stadionie oszalał – powiedział.

Ruth nie płakała już z rozpaczy, a ze szczęścia.



— Boże święty! – Uśmiech znikł z twarzy Veitcha tak szybko jak się pojawił, gdy tylko jego oczy przyzwyczyły się do panującego w celi półmroku. Ruth siedziała skulona na pryczy w przeciwległym krańcu pomieszczenia. Jej włosy były tłuste i potargane, policzki szare z brudu, a okaleczoną dłoń owinięto poplamioną szmatą. Na twarzy kobiety malowało się tyle przeżytego cierpienia, tyle rozpaczy, tyle czarnych myśli, że patrzenie na nią sprawiało fizyczny ból. A jednak, mimo wszystko, od więźniarki biła ta sama siła, ta sama wytrwałość, które Veitch znał u dawnej Ruth. Musiała być skrajnie wyczerpana, ale wiedział, że jej nie złamali.

— Dziękuję – wymamrotała delirycznie.

Mężczyzna zeskoczył z ostatniego stopnia i podszedł szybkim krokiem do pryczy, próbując zetrzeć z skóry dłoni grudki czarnej ropy. Parzyła niczym pokrzywa.

— Co to? – spytała Ruth słabym głosem, przyglądając się jego poczynaniom. Wydawała się być półprzytomna.

— Wypłynęło cholerstwo z tego gada, co pilnował drzwi. Pewnie krew. Piecze jak cholera. – Ukucnął przy niej i schwycił ją za ramiona. – Słuchaj, wiem, że przeszłaś przez piekło, ale musisz jeszcze wykrzesać z siebie dość sił na drogę powrotną. Udało mi się tu dostać, ale nie ręczę za to, że uda mi się nas stąd wyciągnąć. Niedługo ktoś się zorientuje i cała załoga twierdzy

rzuci się za nami w pogoń.

— Przyszedłeś po mnie? – Nie wszystko chyba do niej docierało.

— To chyba oczywiste, że trzeba cię było uwolnić.

Wyglądała na zdezorientowaną i wzruszoną zarazem. Zobaczywszy jej minę, Veitch poczuł, że w jego wnętrzu wzbierają emocje o nieznanej mu do tej pory intensywności. Ich nagły przyływ sprawił mu niemal fizyczny ból, ale i zrobiło mu się dziwnie lżej na sercu, jakby go ktoś przytulił. Uzmysłowił sobie, że całe życie tęsknił za taką chwilą. Nie mógł pozwolić na to, by już nigdy się nie powtórzyła.

— No, wstań – powiedział ciepło. – Czas na nas. Ty i ja przeciwko światu ciemności.

Obawiał się, że Ruth nie jest w stanie utrzymać się sama na nogach i że będzie zmuszony ją nieść, ale niepotrzebnie. Pomógł jej wstać, a potem złapać równowagę, i wkrótce chodziła już w tę i z powrotem po celi bez niczyjej pomocy. Kiedy wyszli na korytarz, skrzywiła się, widząc makabryczne szczątki rogatego strażnika. Najwyraźniej posiekano go na kawałki. Podłoga spływała czarną i zieloną wydzieliną, tu i ówdzie leżały trudne do zidentyfikowania strzępy ciała, a z jednego z nich sterczały trzy bełty. Usunąwszy je zwinnym ruchem, Veitch opalił je w ogniu pochodni, by oczyścić je z ropy.

— To twoje dzieło? – spytała Ruth, rozglądając się.

Nie wiedział, czy zadziwił ją, czy przeraził.

— Trzeba dać z siebie wszystko, inaczej to oni cię rozerwą. – Zamilkł, ale dodał zaraz niemal przeproszającym tonem: – Musiałem oszołomić go najpierw strzałami. Działalem z zaskoczenia. Inaczej nie miałbym szans. Wolałbym się z takim nie spotkać w uczciwej walce. – Zorientował się, że tracą

niepotrzebnie czas. – Ruszajmy.

Spróbował poprowadzić ich tą samą drogą, którą przyszedł, ale nie potrafił już określić, który korytarz jest który. Każde odgałęzienie wyglądało jednakowo. Bał się nie na żarty, że idą dokładnie w przeciwnym kierunku.

— Mijałem taką wielką salę, w której wszyscy się modlili czy coś. Gdybym ją znalazł, wiedziałbym, jak trafić do wyjścia.

— Więc się zgubiliśmy?

— To forteca–labirynt, a nie promenada nad morzem!

— W porządku. Nie chciałam ci dopiec. – Miała zmęczony głos. Kiedy na nią zerknął, krzywiła się akurat z bólu.

Z miejsca poczuł silne wyrzuty sumienia.

— Zaraz będzie dobrze, muszę tylko znaleźć jakiś punkt odniesienia.

Po kilku minutach doszli do obwieszonych kłódkami drzwi, zza których dochodził głośny trzepot setek skrzydeł, jakby więziono tam całe stado wyjątkowo ruchliwych ptaków.

— Mijałam niedawno to miejsce – przyznała Ruth.

— Chcesz sprawdzić, co jest w środku?

— Nie, lepiej nie.

Stojąc pod tajemniczymi drzwiami, odczuwali, nie wiedzieć czemu, jeszcze większy niepokój niż dotąd. Nie zdążyli jednak zastanowić się nad tym, co może oznaczać złowrogi trzepot, bo nagle podziemną twierdzę wypełnił dźwięk dzwonu. Nie bił z miarową powagą, jak wtedy, gdy Ruth słyszała go po raz pierwszy – teraz ktoś uderzał w niego w iście szaleńczym tempie, na trwogę. Ściany tunelu zawibrowały. Nie było dokąd uciec przed straszliwym odgłosem.

— Kapnęli się, gnoje. – Veitch przypomniał sobie, że tym samym sposobem zaalarmowano wszystkich o ich ucieczce z celi,

kiedy więziono ich pod Dartmoor. – W nogi! – Złapał Ruth za rękę. – Zaraz tu będą!

Popędzili korytarzem. Ruth z trudem dotrzymywała mu kroku. Niestety już po kilkunastu metrach usłyszeli przed sobą coraz głośniejsze pochrząkiwania zbliżającego się oddziału Fomorian. Veitch zaklął szpetnie pod nosem. Czym prędzej zawrócili i skręcili w pierwszą napotkaną odnogę. Pięła się delikatnie ku górze, co napawało nadzieją, ale za najbliższym rogiem, na końcu długiej prostej, uciekinierzy dostrzegli kolejną liczną grupę. Bestie wylewały się z bocznych tuneli niczym rycząca lawina. Był to porażający widok.

Veitch obrócił się na pięcie i pchnął w odpowiednim kierunku nieco zagubioną Ruth.

— Cholerne mrowisko!

Ruszyli w głąb kolejnego odgałęzienia. Mężczyzna usiłował zdusić rosnący w nim lęk, żeby jego towarzyszka nic nie zauważyła, ale było oczywiste, że lada chwila znajdą się w potrzasku. Sądząc po odgłosach, prześladowcy powoli ich doganiali. Tunel, którym oboje biegli, wprowadzie także się wznosił, u wyjścia z twierdzy czekało jednak przynajmniej dwóch strażników, nie wspominając o tym, że później należało opuścić teren zamku.

Nagle Ruth schwyciła Veitcha za rękę, zmuszając go, żeby się zatrzymał.

— Nie mamy czasu! – warknął.

Pokazała mu, że dopiero co minęli klapę w murze, metr z kawałkiem nad ziemią. Była wielkości średniego piekarnika. Nie zrażona narastającym hałasem pogoni, kobieta zawróciła i otworzyła drzwiczki. Owionęło ją chłodne powietrze.

— Spróbujmy schować się tutaj – powiedziała z wysiłkiem. –

Nie możemy dłużej szamotać się jak szczury.

Odczytał z jej twarzy, że jest w pełni świadoma wszystkiego, co starał się przed nią ukryć, nie wyglądała jednak na przerażoną, tylko na zdeterminowaną. Pokiwał głową.

— Ale ja wejdę pierwszy, dobrze? Tak na wszelki wypadek.

Wczołgał się do środka, a Ruth wpełzła tuż za nim, zatraskując za nimi klapę i tym samym odcinając dopływ światła. Było tu jeszcze zimniej niż w całej warowni. Veitchowi zaczęła dawać się we znaki klaustrofobia. Skała napierała na niego ze wszystkich stron. Musiał się nieźle natrudzić, żeby zmienić ułożenie rąk.

Leżeli rozdygotani, starając się nie zwracać na siebie uwagi żadnym dźwiękiem. Oddział dzieliło od klapy jeszcze tylko kilka metrów, ryki i zawodzenia Fomorian przybierały na sile. Zdawać by się mogło, że to wygłodzone demony opuszczają piekło z zamiarem polowania na dusze. Uciekinierzy zamarli. Wsłuchany w potworne okrzyki Veitch z całej siły zacisnął powieki, spodziewając się, że w każdej chwili może zalać go światło, bo żołnierze wywęszą ich i otworzą właz. A potem? Wywloką z kryjówki, rozszarpią na strzępy. Zacznie się krwawa orgia, leszcze tylko kilka sekund.

Tymczasem rozwrzeszczana hałastrą dobiegła do klapy, ale minęła ją i popędziła dalej. Wkrótce z głębi korytarza dobiegały tylko pojedyncze echa podekscytowanych charkotów.

— Za kilka minut zorientują się, co się stało, i zawrócą – oświadczył Veitch. – Musimy się stąd wynosić.

— Wręcz przeciwnie. – Ruth mówiła jak w transie. – Przeszukają każdy korytarz. Tam na zewnątrz nie mamy szans. Sprawdź lepiej, dokąd prowadzi ten tunel.

Veitch wzdrygnął się na samą myśl o takim przedsięwzięciu,



ale posłusznie przesunął się na próbę o kilka centymetrów. Ramionami boleśnie pocierał o ściany.

— Zaklinuję się tutaj! – zaprotestował.

— Jeśli stąd wyjdiesz, zjedzą cię żywcem.

— Chyba wolę zastać, pożarty niż umierać tydzień w tej ciemnicy. – Wyobraził sobie, jak by to było. Czołgałby się, a potem poczułby nagle, że nie może się ruszyć ani w jedną, ani w drugą stronę. Ogarnęłaby go panika. Szamotałby się jakiś czas, a potem pogodził z losem i popadając zwolna w obłąd, czekałby na wyrok. Veitch nie potrafił sobie wyobrazić gorszej śmierci. – Tak czy owak, nie sądzę, żeby ten tunel dokądś prowadził. Jest taki wąski.

— Co ty znowu za bzdury wygadujesz! – W Ruth odezwały się belferskie zapędy. – To po co wylot zakryto starannie klapą? Po co go w ogóle wykuto? Myślisz, że co to jest – tunel–zagadka, jak z egipskich piramid?

Trudno było kłócić się z jej logiką, choć Veitch miał na to wielką ochotę. Przyznał też w duchu, że rzeczywiście opuszczenie kryjówki oznaczałoby pewną śmierć.

— Obyś się nie myliła.

— Przestań jęczeć i rusz dupę.

— Oj, co ja słyszę? Wstydzilibyś się, jedną nogą w grobie...

— Byś się zamknął. – Uderzyła go po kumplowsku w łydkę. Ten drobny gest podniósł Veitcha na duchu. Przyszło mu na myśl, że jeśli wyjdą z tego cało, chyba zostaną przyjaciółmi. Wizja ta zmotywowała go na tyle, że czym prędzej zabrał się do roboty.

Podciągał się z wysiłkiem, naśladowując do pewnego stopnia ruchy dżdżownicy. Szybko rozbolały go mięśnie pleców i ramion. Nic nie wskazywało na to, by tunel prowadził do jakiegoś

oświetlonego miejsca. Veitch zaczął się zastanawiać, ile też może liczyć sobie metrów. Im dłużej się czołgał, tym bardziej go przerażało to, że tkwi gdzieś głęboko w skale, w przewodzie szerokości trumny. Ledwie było tu czym oddychać. Coś ścisnęło go w gardle – podejrzewał, że to pierwszy objaw zbliżającego się ataku paniki.

— Jak sobie radzisz? – zawołał do Ruth, żeby skupić uwagę na czymś innym. Nie odpowiedziała, z dołu dochodziło tylko stękanie godne rodzącej. Zapewne miała jeszcze większe trudności z przemieszczaniem się niż jej towarzysz.

Tylko nie panikuj, upomniał siebie Veitch. Stąd nie można uciec wymachując dziko rękami. Albo zachowasz spokój, albo zwariujesz.

O ironio, kiedy już myślał, że dłużej tego nie zniesie, zrobiło się jeszcze trudniej. To szerokość tunelu stanowiła dla niego największą przeszkodę, ale do tej pory mógł przynajmniej ugiąć nieco nogi w kolanach, a ręce w łokciach. A teraz strop obniżał się gwałtownie. Z początku mężczyzna miał nadzieję, że to tylko wytwór jego wyobraźni, że to strach mąci mu w głowie, ale wkrótce o dalszym czołganiu się nie mogło być mowy.

Veitch wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Chciał mieć pewność, że Ruth nie odgadnie, co się dzieje w jego wnętrzu – wstydził się przed nią przyznać, jaki jest słaby.

— Houston, mamy problem.

— Co jest? – szepnęła, wyczerpana.

— Tunel się zwęża. Myślę, że jego ściany się w końcu zbiegają. To ślepa uliczka. Musimy się wycofać.

— Ależ to nie ma sensu!

Veitch usłyszał, że Ruth płacze. Gonila resztkami sił. Pewność,

że ponieśli porażkę, mogła ją dobić. Musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby tego uniknąć.

— Spokojnie, tylko mi się wydaje, że te ściany się zbiegają. Podpełzną jeszcze kawałek i zobaczymy. – Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Trzęsąc się ze strachu, wyprostował ręce i nogi, i zaczął pełznąć powoli, niczym wąż. Odetchnął z ulgą, kiedy po kilkunastu centymetrach strop oddalił się nieco, ale zaraz potem uderzył w niego ciemieniem. Dalszy odcinek tunelu miał wysokość może dwudziestu centymetrów. Zeby nie przerywać mozolnej wędrówki, Veitch musiał przechylić głowę. Stres cisnął w piersiach żelazną obręczą. Mężczyzna wiedział, że jeśli pozwoli sobie choćby jęknąć, zacznie histerycznie krzyczeć, a potem wierzgać i kopać, ryć w skale, aż obedrze sobie dłonie do krwi, a w końcu rzadkie już teraz powietrze skończy się wreszcie i pozostanie mu tylko krztusić się w konwulsjach.

Chcąc dodać mu otuchy, Ruth znów poklepała go po łydce. Nieomal się rozplakał. – Zobaczysz, uda ci się – szepnęła, jakby czytając w jego myślach. W jej głosie pobrzmiwało tyle wiary w jego siły, że jakimś cudem zdołała go wyrwać ze szponów paniki. Skoncentrował się, a potem przycisnął mocno policzek do skały i manipulując stopami przesunął o kilka centymetrów. Ponowił próbę, ale tym razem otarł się boleśnie o ścianę, więc postanowił zmienić odrobinę pozycję. I wtedy zrozumiał, że się zaklinował. Nie mógł cofnąć głowy – szorstka skała tarła o skórę, naciskała na kości. Stało się to, czego się obawiał od samego początku.

— Tylko spokojnie – powiedziała Ruth. – Na pewno ci się uda.

Zdenerwował się na nią. Czy nie rozumiała, że nie było dla niego ratunku? Ileszcze raz spróbował wyszarpnąć głowę z kleszczy, w jakiś sposób ją przekręcić, ale z każdym ruchem czuł

tylko, że ma coraz mniejsze pole manewru. W dodatku brakowało mu tchu – choć pracował pełną piersią, do płuc docierało bardzo mało powietrza. Skała zdawała się napierać na niego ze wszystkich stron coraz mocniej, przed oczami zaczęły mu tańczyć jasne iskierki. Powoli tracił przytomność, konał...

Nie wiedział, czy zareagował instynktownie, czy też jego ciało przeszedł po prostu agonálny skurcz, ale nagle jego stopy zaparły się o skałę i pchnęły go do przodu ostatnim zrywem. Przesunął się dzięki temu o jakieś trzy centymetry. Nadal był oszołomiony myślą, że umiera, dotarło jednak do niego, że może teraz odrobinę ruszać głową. Zachęcony tym odkryciem, znów użył palców stóp i choć przez chwilę bał się, że tym razem zaklinują mu się ramiona, w końcu się prześlizgnął. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście – dalej było już szeroko.

— Wszystko w porządku! – zawołał, z trudem maskując, jak wielką odczuwa ulgę. – Tunel się rozszerza!

Ruszywszy energicznie do przodu, wkrótce był już w stanie ponownie zgiąć ręce i nogi. Żałował, że nie może się obrócić, by pomóc jakoś towarzysze, ale gdy pokonywała najgorszy odcinek, dopingował ją gorąco, tak jak ona wcześniej jego.

Prąd powietrza przybrał na sile, a ciemności stopniowo się rozrzedzały.

— Skąd ten mróz? – spytała Ruth.

— Nie uwierzysz, cała Starówka zamieniła się w Antarktydę. Tu zima, a wszędzie indziej lato – świat stanął na głowie. Ale o tym to my akurat wiemy.

Veitch czołgał się najszybciej, jak umiał – wylot był już widoczny. Słońce jeszcze nie wzeszło. Z oddali dochodziły pojedyncze dźwięki.

— Widzę wylot.

— I co, dokąd trafiliśmy?

Ostrożnie wysunął głowę. Dookoła piał się mur. W dole połyskiwało czarno lustro wody. Z wysiłkiem spojrzął w górę. Nad okrągłą cembrowiną unosiła się biała mgła. Światła zamku nadawały jej pomarańczowy odcień.

— To studnia – zakomunikował, cofając się w głąb tunelu. – Pomyślmy... – Był tak wyczerpany, że z trudem przypominał sobie przeczytane informacje. – Na zamku są dwie studnie, ale jedna jest o wiele mniejsza, więc to musi być ta druga, Studnia Przednia. Kilkaset lat temu to z niej głównie czerpano wodę, ale już dawno przestano jej używać, więc pewnie nie jest tu głęboko. To tak na marginesie, w razie, gdybyśmy mieli się poślizgnąć. Teraz, jak tu się wspiąć...

— Skąd znasz takie szczegóły?

— A jak myślisz? Przygotowałem się, a jakże. Nie mogłem chyba działać po omacku, prawda?

— Hm, jestem pod wrażeniem.

Wzruszył ramionami, choć tak naprawdę bardzo go ucieszył ten komplement.

— Studnia znajduje się w najwyższej części zamku. Kiedy szukałem wejścia do podziemi, nie zauważyłem w tym rejonie żadnych patroli, więc może nie będzie tak źle. Tylko jak podnieść to cholerstwo?

— Co takiego?

— Kratę. Otwór studni okratowano, żeby jakiś turysta czasem do niej nie wleciał.

— A niech to. – Kobieta spochmurniała.

— Co jest? Nie zniechęcaj się. Zaszliśmy cholernie daleko. Poczekaj chwilkę, jeszcze nie zacząłem przy niej majstrować.

Nie mając innego wyjścia, Veitch ześlizgnął się na dno studni.

Wiedział, że jeśli jest tam tak płytko, jak podejrzewa, ryzykuje złamaniem karku, ale na szczęście się mylił. Z rozpędu aż zanurkował. Woda była rzecz jasna lodowata. Pomyślał, że cudem uniknął ataku serca. Odbił się od podłoża i wynurzył prychnając. Wstrząsały nim dreszcze.

— Nic ci nie jest? – spytała Ruth z troską w głosie. W ciemnym wylocie tunelu pojawiła się jej blada twarz.

— Żyję, ale woda jest koszmarnie zimna. – Wierzął jak oszalały, żeby nie pociągnął go w dół ciężar miecza i kuszy.

— Wyłaż stamtąd szybko, bo nabawisz się hipotermii.

— Dzięki za wskazówkę. W życiu sam bym na to nie wpadł.

Studnia była na tyle wąska, że napierając plecami na mur, z łatwością sięgał podkurczonymi nieco nogami przeciwległej ściany. Wcisnął sztywniejące palce w szpary między cegłami i z ogromnym wysiłkiem podciągnął się nieco do góry, raz, potem drugi. Dwukrotnie spadał do wody z głośnym pluskiem, ale hałas nie zaalarmował najwyraźniej żadnego wartownika. Nie podejrzewał wcześniej, że ma w sobie tyle samozaparć i siły. Każdy pokonany centymetr mobilizował go do dalszej walki. W końcu znalazł się tuż pod kratownicą. Schwycił ją lewą ręką, a prawą sięgnął po miecz. Trudno było wyważyć zamek, znajdując się w tak dziwacznej pozycji, mógł też okazać się zbyt solidny, miecz mógł wypaść Veitchowi z rąk, ale po kilku próbach metal się poddał. Mężczyzna odepchnął kratę na bok i wyczołgał się na dziedziniec.

Nie miał bynajmniej zamiaru odpoczywać po tym nadludzkim wysiłku. Upewniwszy się, że okolicy nie patrolują żadne straże, popędził do Sali Paradnej, gdzie, jak pamiętał, w jednej z gablot wystawiono sieć. Nikt jeszcze nie odkrył zwłok wartownika.

Tak zdobytą sieć spuścił do studni, a Ruth oplotła sobie jej oka

wokół nóg i rąk. Zapierając się z całych sił, wyciągnął ją na zewnątrz. Osłabiona oparła się o blanki, rozglądając niespokojnie.

— Jesteś pewien, że nic nam nie grozi?

— Tylko na razie.

Przetarła oczy. Wszystkie jej gesty były bardzo powolne. Veitch wzdrygnął się na widok dłoni bez jednego palca.

— I tak jestem wdzięczna losowi – powiedziała. – Myślałam, że już nigdy stamtąd nie wyjdę. Myślałam, że zaczynam wariować. Nie wiem, jakim cudem nie wpadłam w histerię. – Zaczerpnęła ustami świeżego powietrza. – Ech, gadam, co mi ślina na język przyniesie.

— Nic nie szkodzi.

Objął ją ramieniem. Nie odepchnęła go.

Kiedy spojrzała mu w twarz, jej oczy się zaiskrzyły. Veitch miał nieśmiałą nadzieję, że to kolejny przejaw łączącej ich teraz więzi. Po całym ciele mężczyzny rozlało się dziwne ciepło.

— Byłeś wspaniały – oświadczyła. – Byłeś jak skała. Bez ciebie w życiu nie dałabym rady.

Komplement zrobił na Veitchu duże wrażenie. Po raz pierwszy odkąd się poznali, Ruth uważała, że jest jednak czegoś wart, że jest użyteczny i przyzwoity. Tyle że przecież to dzięki jej opanowaniu wyszli z tunelu i w ogóle do niego weszli. Zawstydził się, poczuł jak oszust. Taki już mój los, pomyślał. Tak bardzo czekał na chwilę, kiedy kobieta zmieni o nim zdanie, a kiedy wreszcie nadeszła, nie dane mu było się nią cieszyć. Poczucie winy i niechęć do siebie samego zawsze brały górę.

— To jeszcze nie koniec – przypomniał. – Teraz zaczną się prawdziwe schody.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo coś odwróciło jej uwagę.

Zapatrzyła się w niebo nad wschodnim krańcem Royal Mile. Mgła zaczęła się w tym miejscu rozrzedzać, odsłaniając rozgwieżdżone czarne niebo.

— Co jest? – spytał Veitch.

— Nie wiem. Coś mignęło w powietrzu. – Wytężyła wzrok. – O, tam jest! – Wskazała palcem. Czerń rozświetliła na chwilę błękitna poświata. Zdawało się, że kotłują się w niej jakieś ciemne kształty. – Domyślasz się, co to może być?

— Nie – odparł Veitch, ale tknięty niejasnym przeczuciem dodał zaraz: – Musimy jak najszybciej dostać się na miejsce zbiórki.



Opadał z tak zawrotną szybkością, że z trudem łapał powietrze. Jego żołądek próbował wydostać się na zewnątrz. Potężne dawki adrenaliny wypłukały z jego organizmu nie tylko strach i szok, ale i większość myśli. Po prostu leciał.

Ze wszystkich stron otaczała go ciemność, tak nieprzenikniona, że mógłby znajdować się w przestrzeni kosmicznej. Resztkami świadomości przeczesywał odruchowo mrok, by dostrzec w porę dno i przygotować się na nieuchronne uderzenie. W pewnej chwili zauważył w dole płomyczek błękitnego światła. W rzeczywistości musiał być dużo, dużo większy, tylko odległość robiła swoje. Wyglądało to tak, jak gdyby w czarnym jedwabiu pojawiło się niewielkie rozdarcie, a potem zaczęło się stopniowo wydłużać, bo materiał łatwo się pruć.

Zafascynowany Church nie potrafił oderwać od światełka wzroku. Zapomniał o niebezpieczeństwie, o dzikim pędzie, jego



uspokojony umysł na nowo zapełniał się myślami. To błękitny ogień, przemknęło mu przez głowę. Czyżby widział dno?

Doszedł do wniosku, że nie-mrok wydawał się sięgać głębiej. Niebieska strużka rosła za to coraz szybciej. Nagle mężczyzna uświadomił sobie, że tajemnicze rozdarcie powstało na skutek zetknięcia się jakiejś materii z jego medalionem! Energia ziemi próbowała się teraz wydostać na powierzchnię.

W tym samym momencie błękitny ogień nagle wystrzelił w górę niczym gejzer. Church miał tylko ułamek sekundy na podziwianie tego wspaniałego zjawiska. Zaraz potem strumień uderzył go z taką siłą, że na chwilę go zamroczyło, a kiedy doszedł do siebie, pędził już pchany falą w górę studni jeszcze szybciej niż wcześniej przy spadaniu. Taranowane powietrze wciskało mu się w twarz, rozwarło wargi, odsłaniając zęby. Mężczyzna pomyślał, że pewnie znów straci przytomność, bo pęd wydierał mu brutalnie oddech. Zaskoczyło go to, że skrzące się języki energii nie parzyły – to tego właśnie zdążył się przestraszyć, zanim go sięgnęły. Tymczasem okazało się, że przyjemnie chłodzą, a ich moc wprawia w zadziwiająco dobry nastrój.

Być może były to tylko halucynacje spowodowane szokiem, ale w strumieniu ognia wydawały się więc płynnie ciemne sylwetki. Church słyszał w głowie szeptane myśli tych istot, wyczuwał, że zachłystują się wolnością, że nie posiadają się z radości.

Mignęła mu zdumiona twarz porywanego przez prąd Toma, a zaraz potem gejzer sięgnął stropu pieczary, obmył go kolistym ruchem. Otuleni błękitem mężczyźni nawet nie tknęli skał. Church próbował nabrać do płuc powietrza, ale udało mu się zassać tylko odrobinę. Chwilę później mknął już tunelem. Przed sobą w oddali zauważył odkrytego wcześniej smoka. Bestia

obudziła się i porykując wesoło, pluta ogniem. Fala porwała ją tuż po tym, jak rozpostarła skrzydła. Razem przemknęli w strumieniu energii przez pieczarę, w której Churcha dręczyły wizje, a która oświetlona nie imponowała już rozmiarami. A potem zaczął się drugi tunel i mężczyzna odpłynął w niebyt.

Ocknął się jeszcze w powietrzu, ale zaraz gruchnął o ziemię. Trawa była mokra od mgły, noc mroźna, a jego ciało obolałe. Przynajmniej nareszcie mógł odetchnąć pełną piersią. Kręciło mu się w głowie. Skulony wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, czekając, aż nieco ochłonie i będzie na powrót w stanie racjonalnie myśleć.

Nabrawszy sił, przewrócił się na brzuch i szybko wstał. Tom leżał bezwładnie nieopodal. Church podbiegł do nauczyciela sprawdzić, czy nic mu się nie stało, ale stary hipis poruszył się i otrząsnął, mamrocząc coś gniewnie pod nosem. Skóra obu kopciła się delikatnie, jakby zostali przysmażeni na ogniu, nie czuli jednak bólu ani nie odnieśli żadnych wyraźnych obrażeń. Rozejrzawszy się, drapiąc się w oszołomieniu po głowie, Church zdał sobie sprawę, że trafili do punktu wyjścia, znajdowali się bowiem u stóp Tronu Artura, a od źródła dzieliło ich raptem kilkanaście metrów.

Tom dźwignął się z ziemi i zamarł.

— Patrz! – zawołał głosem pełnym uniesienia.

Church podążył wzrokiem za spojrzeniem swojego towarzysza. Z początku nie zauważył nic szczególnego. Dopiero gdy przypomniał sobie o jednoczeniu intuicji i zmysłów, jego oczom ukazał się zachwycający spektakl. Bijące z wnętrza wzgórza niezliczone strumienie błękitnego ognia łączyły się stopniowo w jedną potężną falę, która kierowała się w stronę zamkowej skały. Od tej przecinającej Starówkę migoczącej rzeki

odłączały się z kolei odnogi spływające w mrok ku reszcie miasta, ku przedmieściom, ku polom i lasom południowej Szkocji. Gdzie nie spojrzeć, ziemię przecinała błękitna siatka – jak przed wiekami. Studnia ożyła.

Na niebie pojawiła się obudzona poczwara, nurkowała wśród powietrznych prądów równoległych do linii energii. Kiedy wypłuła z gardzieli olbrzymi kłęb ognia, który opadł deszczem iskier na dachy kamieniczek, Church zobaczył w czerwonej łunie, że gad ma towarzystwo – trzy mniejsze smoki. Bestie wykonywały w locie skomplikowane ewolucje, najwyraźniej świętując swoje uwolnienie. Tak jak i błękitna rzeka, zmierzały na zamek.

# ROZDZIAŁ 10

## ŹRÓDŁO NASZEJ NADZIEI

**K**to przeżył tę noc ognia, nie miał zapomnieć jej już nigdy. Pojawienie się mitycznych gadzin było niczym złowieszcze bicie dzwonu oznajmiającego nadejście nowej a zarazem pradawnej ery. W całym Edynburgu ludzie otwierali szeroko okna lub zjeżdżali autami na pobocza, by na własne oczy zobaczyć koniec świata.

Pierwszy zaatakował najstarszy ze smoków. Kula ognia przecięła niebo niczym rakietę balistyczną i trafiła w sam środek pałacu królewskiego w parku Holyrood. Rozbłysły bajkowe fajerwerki. Eksplozję słyszano w promieniu trzydziestu kilometrów, a fragmenty zabytkowej budowli doleciały aż do Nowego Miasta, dziurawiąc dachy i uszkadzając samochody. Ogień rozprzestrzenił się po ruinach płynną kaskadą, doganiając z łatwością tych, którzy próbowali uciec.

Bestie frunęły niespiesznie ponad Royal Mile, to kręcąc w powietrzu młynki, to robiąc inne wymyślne figury – zdawało się, że w ten sposób się z sobą komunikują. Przerywały swój taniec tylko po to, by zniszczyć kolejny zabytek na Starówce. Jako jeden z pierwszych los pałacu podzielił pobliski kościół, a potem kryjący Mary King's Close budynek Rady Miejskiej. Słynne witraże gotyckiej katedry świętego Gilesa stopiły się szybciej, niż zawaliły się jej mury. Ogień pochłaniał z jednakowym apetytem

luksusowe sklepy i siedemnastowieczne domy. Najbardziej reprezentacyjna ulica Edynburga przestała istnieć. Miejsce mgły zajął czarny gryzący dym.

Tylko kilka niezmiernie uprzywilejowanych osób miało możliwość przyglądać się z bliska błękitnej rzece płynącej wzdłuż Royal Mile ku zamkowej skale, jakby wiedząc dokładnie, gdzie czai się wróg. Czoło fali rozpraszało cienie, jakie od przybycia Fomorian wisiały nad Starym Miastem. Obserwatorzy z zapartym tchem czekali na to, co się stanie, gdy lśniaca masa dotrze wreszcie do zamku.

Church i Tom przyglądali się apokalipsie spod wzgórza. Cieszyli się, że misja się powiodła, ale ogrom zniszczeń napawał niepokojem.

— Teraz wszystko zależy od tego, jak poszło pozostałym. – Church rozkasła się, zakrztusiwszy się przyniesioną przez wiatr sadzą. – Miejmy nadzieję, że Veitch wy dostał się w porę.

— Jeśli mu się udało, prawdziwy z niego szczęściarz. Jeśli nie, nic już nie możemy dla niego zrobić. Ani dla niego, ani dla dziewczyny.

Church nic już nie powiedział, przygryzł tylko wargę. Przytknąwszy sobie do twarzy chusteczkę, ruszył w kierunku cmentarza, modląc się, żeby prócz ich dwóch ktoś jeszcze stawił się na zbiórce.



Kiedy zaczął się nalot, Shavi i Laura szli na południe ulicą South Bridge, nadal zachodząc w głowę, czy dobrze postąpili, uwalniając Maponusa. Dziewczyna martwiła się o swojego

towarzysza, który wydawał się być bardzo podłamany. Nie dość, że czuł się odpowiedzialny za śmierć księdza i liczne zniszczenia, to jeszcze zaledwie dzień wcześniej natknął się na ducha swojego zmarłego chłopaka. Widać było, że nie potrafi się otrząsnąć po tym spotkaniu – zerkał w mijane bramy i zacienione zaułki, jakby spodziewał się kogoś tam zobaczyć. Ale potem pałac wyleciał z nienacka w powietrze i oboje z miejsca zapomnieli o swoich strapieniach. Grzęznąąc w śniegu, rzucili się sprawdzić, co się stało. Po chwili parząca fala uderzeniowa kolejnego wybuchu powaliła ich na ziemię.

— To zbyt niebezpieczne – stwierdził Shavi. – Lepiej się stąd wynośmy.

— Udało mu się! – zawołała radośnie Laura. – Wiedziałam, że drań sobie poradzi! – Spojrzała na smoki i na wzgórze, znad którego nadleciały. – Church bohaterem, hip hip hurra! – Szczercząc zęby w uśmiechu, odgarnęła włosy z czoła. – Przynamniej jedno z nas nie jest kompletnym zerem.

Nie cieszyła się długo, bo ich uszu dobiegło przeciągłe makabryczne wycie. Ktoś potwornie cierpiał. Musieli zatkać uszy.

— A to co, do cholery? – spytała, gdy na moment zrobiło się cicho. Shavi biegł już w kierunku Royal Mile, skąd ów jęk dochodził.

Laura zrównała się z nim przy punkcie obserwacyjnym, z którego wcześniej przyglądali się pojedynekowi gigantów. Dwa smoki kołowały nad miejscem, w którym stała Cailleach Bheur. Znajdował się tam teraz ogromny dymiący krater, tak gorący, że skała podłoża zmieniała się w lawę. Niebieskolica Wiedźmę odrzuciło na bok. Trudno ją było rozpoznać, bo bezustannie się przeobrażała, starając się powrócić do swej dawnej postaci. To

ona wyła – z przerwami, niczym syrena na korbę. Świeciła jaskrawym niebieskim światłem, a wokół niej, na ograniczonej przestrzeni, szalała śnieżycą.

Maponusa nigdzie nie było widać, ale kiedy opadły dymy, okazało się, że wije się nieopodal na ziemi. Był to doprawdy potworny widok. Ciało pięknego boga także stało się półpłynne, ale czy to przez jego szaleństwo, czy pod wpływem niezmiernie wysokich temperatur, posiadał teraz kilkanaście kończyn i trzy wykrzywione bólem twarze. Ich usta otwierały się i zamykały bezgłośnie, niemy krzyk przerażał bardziej niż wycie Wiedźmy. Laura nie mogła zrozumieć, dlaczego młodzieniec tak się szamocze, dopóki dym nie odsłonił ściany budynku, w którą częściowo był wtopiony.

— Spadł! Spadł! – zawołał Shavi z triumfem w głosie.

W tej samej chwili powietrze wypełnił intensywny zapach smażonej cebuli, a skóra Maponusa, jak zwykle żarząca się złotawo, zaczęła wpierw emitować coraz jaskrawsze światło, a potem zanikać, odsłaniając mięśnie i kości oraz dziwacznie uformowane narządy. Po skórze przyszła kolej i na nie – całe ciało boga rozpuszczało się w białej poświacie. Jego miejsce zajęła w końcu bezkształtna światłość, która, skurczywszy się konwulsyjnie, zdołała oderwać się od ściany, po czym ruszyła gruzowiskiem ku przedmieściom.

Jeden ze smoków znowu splunął ogniem, co oślepiło na moment dwójkę świadków dymem i pyłem. Kiedy tumany opadły, zobaczyli Strażnika Kości, sadzącego zwierzęcymi susami za odmienionym Maponusem.

— Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – spytał poruszony Shavi. Jego nie można zniszczyć. Nawet smoki tego nie potrafią. – Krew odpłynęła mu z twarzy.

Laura schwyciła szamana za ramię, żeby zmusić go do odwrotu. Powietrze było tu tak nagrzane, że przypalało włosy niczym zepsuta lokówka.

— Co mamy niby zrobić? Przecież go nie złapiemy. – Wyrywał się, więc potrząsnęła nim brutalnie. – Poza tym nasz kolega z kosturem jest na jego tropie. Niech on przez jakiś czas się nim zajmie.

— Jesteśmy odpowiedzialni...

— A za co nie jesteśmy teraz odpowiedzialni? No już, uspokój się, bo walnę cię czymś twardym. Zapaliłeś się do walki, jakbyś urwał się z *Czasu Apokalipsy*. Pamiętaj, jeśli zaczniesz mówić jak Marlon, będę zmuszona użyć siły!

Shavi zamilkł, ale minę miał dalej zatroskaną.

— To jeszcze nie koniec – przypomniała mu Laura. – Potraktuj to jako chwilę przerwy, dobra?

— To jeszcze nie koniec – powtórzył. Z tym akurat się zgadzała.



Veitch i Ruth uszli ledwie kilkanaście metrów, gdy Starówką wstrząsnęła pierwsza eksplozja.

— Te cholerne bestie wysadzą całe miasto w powietrze! – Veitch owinął się rękami, żeby przestać dygotać. Studzienna woda, którą namokły jego włosy i ubranie, zamarzła, nadając mu wygląd groteskowego bałwana.

Ruth przyglądała się przez chwilę poczynaniom smoków, po czym orzekła: – Kierują się w naszą stronę.

Veitch złapał ją za rękę i pociągnął ku Długim Schodom. Brał naraz po trzy stopnie, nie zważając na to, że są oblodzone. Na



dole zatrzymał się na chwilę, żeby przeczesać wzrokiem dziedziniec. Fomorianie z patrolu stali nieopodal wozowni wpatrzeni w nadlatujące poczwary. Przypominali figury woskowe – ich twarze nie zdradzały żadnych uczuć, nawet strachu. Uznali widocznie, że w obliczu niebezpieczeństwa nie muszą już udawać szkockich żołnierzy, ponieważ, chrząkając i charcząc w swoim rodzimym języku, wszyscy jak na komendę zaczęli przeobrażać się w rogate, opancerzone potwory. Mniej więcej w połowie metamorfozy rozpierzchli się jak mrówki.

Na widok pierwszych objawów tej przemiany uciekinierów zemdliło, więc odeszli czym prędzej, nie czekając na dalsze. Gdy oddział poszedł w rozsypkę, byli już na najniższym dziedzińcu.

— Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – powiedziała Ruth słabym głosem.

Przed bramą zwolnili.

— Może się prześlizgniemy... – zaczął Veitch, ale słowa uwięzły mu w gardle, bo w drzwiach wartowni stanął strażnik.

— *Arith Urkolim!* – warknął, zauważywszy intruzów.

Mężczyzna zeszywniał, nie wiedząc, czy sięgnąć po miecz, czy po kuszę. I tak w bezpośrednim starciu nie miałby szans.

Fomorianin ruszył szybkim krokiem w ich stronę.

Nagle iskrzącą się między nimi połąć śniegu przesłonił cień. Nad sobą usłyszeli odgłos, jaki wydają rozwijane raptownie żagle.

Ruth w ostatnim momencie odciągnęła Veitcha do tyłu. W górze błysnęło łuskowate cielsko najstarszego ze smoków, a ułamek sekundy później żołnierz i wartownia stanęli w ogniu. Uciekinierów zasypał grad odłamków, krztusili się skuleni. Łopot skrzydeł przybrał na sile. Kiedy Ruth odważyła się otworzyć oczy, dostrzegła, że nad zamkiem kołują już wszystkie cztery

bestie.

— Chodźmy – powiedziała ochryple.

Podnieśli się z ziemi, osłaniając twarze przed bijącym od pożaru skwarem.

— Musimy po prostu schować głowy w ramionach i biec – stwierdził Veitch.

Na sekundę otoczyły ich płomienie, a żar wgryzał się w płuca, ale zaraz później znaleźli się na pustej esplanadzie. Ślizgając się w śniegu, zaczęli schodzić ku ulicy Lawnmarket, stanowiącej najbardziej wysuniętą na zachód część Royal Mile.

Za sobą usłyszeli potworne odgłosy Fomorian podnoszących alarm. Zerknąwszy przez ramię, Ruth zobaczyła stojącego na blankach Calatina. Wrzeszczał na niewidocznych podwładnych, wskazując palcem latające poczwary.

— Mam nadzieję, że te potwory nie zrobią smokom krzywdy.

Jej lęk był bezpodstawny. Kilka sekund później niebo nad zamkiem spłynęło ogniem. Twierdza błyskawicznie stanęła w płomieniach. Liczące sobie wiele setek lat mury od gorąca zmieniły się w lawę bądź wyleciały w powietrze.

Ruth i Veitch przyspieszyli, przewidując, co teraz się stanie. Stacjonujący wcześniej w edynburskiej twierdzy prawdziwi żołnierze musieli gdzieś przechowywać amunicję i proch do armat. Nie mylili się. Eksplozja magazynu ogłuszyła ich, a fala uderzeniowa powaliła na ziemię. Zdawało się, że całe miasto zmieniło się w gruzy. W upiornej ciszy dźwignęli się na łokciach i spojrzeli za siebie. W miejscu zamku bil teraz wysoko w niebo słup ognia, połyskujący czerwienią, okrążany przez smoki.

Zamkową skałę też penetrowały płomienie, choć o dziwo błękitne. Sięgały zapewne najgłębszych podziemnych korytarzy.

— Już po wszystkim. – Po policzkach Ruth pociekły łzy

szczęścia. Starła je, ale zaraz pojawiły się nowe. Płakała uśmiechnięta. – Już po wszystkim – powtórzyła, nie zważając na to, że Veitch i tak jej jeszcze nie słyszy.

W ciągu kilku minut na Starówkę powróciło lato. Temperatura wzrosła gwałtownie o dwadzieścia parę stopni. Śnieg stopniał w okamgnieniu, rynsztoki i rynny wezbrały wodą. Uciekinierom wrócił słuch. Zewsząd dochodził szum i trzask pożarów – płonął zamek, płonąła dalsza część Royal Mile. W powietrzu unosiły się drobiny sadzy, gęsty dym przesłaniał rozgwieżdżone niebo.

Biegli ulicą George IV Bridge, odchodzącą na południe, gdy ze świadomością zwycięstwa przyszedł spadek poziomu adrenaliny i nagle uświadomili sobie, jak bardzo są wyczerpani, zwłaszcza Ruth. Z początku wspierała się tylko na ramieniu Veitcha, ale ten w końcu ją niósł. Tak dotarli na cmentarz mieszczący się koło kościoła franciszkanów.

Church wybrał intuicyjnie najlepsze miejsce z możliwych. Otaczające cmentarz wysokie kamienne domy i sędziwe drzewa przesłaniały łunę pożarów i zatrzymywały gryzący dym. W powietrzu unosiła się za to słodka woń róż z rosarium. Za ogrodem rozciągało się pole gęsto pokryte nagrobkami i grobowcami, błyszczącymi w mroku dziwnie biało, niczym polerowane kości.

Uciekinierzy z zamku byli pierwsi. Nieludzko zmachani, przysiedli na pierwszym z brzegu pomniku. Veitch objął swoją towarzyszkę, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

— Wierz mi, wiem, przez co przesłaś. Spędziłem trochę czasu w ich lochach pod Dartmoor. Te codzienne tortury... – Wzdrygnął się. – Dzielna z ciebie dziewczyna.

— Nie czuję się dzielna. Po prostu czekałam. W zawieszeniu. Rozumiesz?

— Już niedługo o wszystkim zapomnisz.

— Doprawdy?

Nie chciał jej łudzić.

— Nie. Niestety nie.

Zebrało jej się na wymioty. Schowała głowę między kolanami.

— Dobrze się czujesz?

— Fatalnie.

Pomógł jej się położyć na nagrobku, po czym przykrył ją swoją kurtką. Skórę na twarzy miała niemal tak bladą jak marmur, którego dotykała policzkiem. Skuliła się w pozycji płodowej i wkrótce zasnęła.

Veitch wziął na siebie rolę wartownika. Lustrował wzrokiem ciemność, a od czasu do czasu zerkał na kruchą istotę oddychającą miarowo u jego boku. Nie czuł się zbyt pewnie i miał nadzieję, że wkrótce dołączą do nich pozostali. Mimo że twierdza Fomorian przestała istnieć, nie wierzył w koniec tej rasy. Cmentarz mógł w każdej chwili zostać zaatakowany, wróg byłby w stanie z łatwością podkraść się tu niezauważony. Veitch miał zresztą wrażenie, że ktoś już czai się w mroku, choć może mamili go tylko gałęzie poruszane wiatrem. Im dłużej tak siedział, tym więcej słyszał podejrzanych odgłosów.

Znów coś zaszleściło, wyraźniej. Z całą pewnością się nie przesłyszał. Mógł to być kot lub wiewiórka, ale nauczył się spodziewać najgorszego.

Rozejrzył się uważnie. Nic. Cisza. A potem coś przemknęło między drzewami. Albo raczej ktoś. Znów gdzieś mignął. A po prawej następny. Było ich coraz więcej. Ciemne pochylone kształty to pojawiały się, to znikwały za wyższymi nagrobkami. Wydawały się przybliżać. Veitch zaczął je liczyć, ale zaraz zrezygnował. Nic nie wskazywało na to, że to Fomorianie, mieli

jednak innych wrogów, więc w razie czego zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

— Nieczyści!

Obelga złała się z szelestem liści. Veitch obrócił się. W miejscu, skąd dochodził głos, nikogo już nie było.

— Kto tam?

Odpowiedziała mu cisza. Po plecach przebiegły mu ciarki, czuł się obserwowany. Znow ktoś przemknął w ciemnościach. To nie mogło być złudzenie – za nagrobkami i drzewami kryło się przynajmniej kilkanaście tajemniczych istot.

— Pokażcie się! – rozkazał Veitch.

— Co się dzieje?

Aż podskoczył. To Church zadał to pytanie. Uśmiechając się szeroko, wchodził właśnie przez bramę, jego ramienia uczepiła się rozpromieniona Laura, po raz pierwszy odkąd ją poznali autentycznie szczęśliwa. Towarzyszył im Tom, z twarzą nieprzeniknioną jak zwykle, i Shavi, zasepiony jak nigdy wcześniej.

— Widziałeś? – zawołał Church. – Widziałeś, czego dokonaliśmy? Tyle potknięć, tyle ciosów od losu, ale w końcu się udało!

Nagle dostrzegł, że obok Veitcha leży nakryta kurtką Ruth, i zepchnąwszy z ramienia rękę Laury, rzucił się ku zaginionej przyjaciółce. Bardzo to zirytowało porzuconą dziewczynę, ale szybko zdołała się opanować.

— Nic jej nie jest? – Church ujął szczupły nadgarstek śpiącej.

— Nacierpiała się, nie ma co – odparł Veitch, zezując w stronę drzew. Czające się tam istoty nie dawały teraz znaku życia. – Torturowali ją, dranie, ale wytrzymała. Wylize się.

Church się uśmiechnął.

— No to świętujemy! Wszystko poszło zgodnie z planem. Nie mogę w to uwierzyć!

— Nieczyści!

Tym razem zabrzmiało to głośno i wyraźnie. Church rozejrzał się zbity z tropu.

— Co to było, u licha?

— Ktoś tam siedzi – powiedział Veitch, wyciągając miecz. – To raczej nie Fomorianie, ale mam złe przeczucia.

Shavi zmarszczył czoło.

— Tak, wyczuwam czyjąś obecność.

— Ślepi jesteście? – warknął Tom. – Tam są, między drzewami.

Miał rację, widzieli je teraz wszyscy. Szare cienie oderwały się od pni. Istoty zbliżały się powoli, niektóre wznosiły ręce ku niebu, jak gdyby strasznie nad czymś rozpaczały. Z szelestu liści wyodrębniły się ich szepty, coraz głośniejsze, coraz bardziej wyraźne. Przybysze protestowali przeciwko czemuś, coś ich oburzało, czegoś się bali.

— Co to za jedni? – spytał Church.

— Zjawy – wyjaśnił Tom. – Zmarli z tego cmentarza.

— Osiemdziesiąt tysięcy – dobiegło zza grobowca. Oczom zebranych ukazał się mężczyzna o zapadłych policzkach i oczach, od których wejrzenia przechodziły zimne dreszcze. Jego skóra była szara jak kamień. Sądząc po stroju, zmarł pod koniec dziewiętnastego wieku. – Tylu nas jest tu pochowanych. Osiemdziesiąt tysięcy.

Przed inne zjawy wybiegł duch kobiety, zawodząc tak przeraźliwie, że strach i smutek ścisnęły serce. Nieszczęsna miała już dopaść członków drużyny, ale zawróciła niespodziewanie i znikła wśród mogił.

— Co z nimi? – spytała cicho Laura ze strachem w głosie.

Zmarli stanęli przed nimi w półkołu. Jedni wyrywali sobie włosy z głowy, inni załamywali ręce lub bili się w pierś.

— Wynoście się stąd! – rozkazał mężczyzna stojący koło grobowca. Celował w nich oskarżycielsko palcem. – Jesteście przekłęci!

— Idą po was! Nie odstępili! – krzyknęła jedna z kobiet. Jej rozczochrane włosy przypominały gniazdo węży. – Nie dadzą wam spokoju!

— Jak śmieliście tu przyjść, skażeni?! – zagrzemiał duch spod grobowca. – Nieczyści! Nocni Wędrowcy pójdą waszym śladem, wytropią was. Sprowadzicie ich tu za sobą!

— O co wam chodzi? – zawołał zdenerwowany Veitch. – Przecież dopiero co nam się coś udało!

Wołanie mężczyzny zagłuszyły jęki zjaw.

— Lepiej już stąd chodźmy – zdecydował Church. Potrząsnął delikatnie Ruth, która ocknęła się i wstała niezdarnie. Głowę zwiesiła na piersi, powieki same jej się zamykały.

Krąg zmarłych nie odstępował ich ani na krok, kiedy cofali się do bramy. Duchy zawodziły coraz głośniej, od ich wrzasków włosy stawały dęba. Z jakiegoś powodu cierpiały straszliwe katusze.

— Nieczyści! – wydarł się znieczeka duch o zapadłych policzkach. Laurze serce podskoczyło do gardła. – Bezczęście poświęconą ziemię! Wasze czarne ślady kalają nasz dom!

Tłum zjaw zaczął napierać agresywnie na członków drużyny. Wydawały się bezcielesne, jednak ich zakrzywione palce chwytaly wycofujących się za ubranie, ciągnęły za włosy. Church i jego towarzysze rzucili się do ucieczki. Część duchów goniła ich, unosząc się w powietrzu, inne, zanurzwszy się po pas w ziemi. Ich półprzeźroczyste ciała połyskiwały niczym światło odbite od

mgły.

Krzyki ustały dopiero wtedy, kiedy wszyscy zdezorientowani intruzi znaleźli się poza bramą na prowadzącym na cmentarz moście. Większość zmarłych znikła, tylko kilka roztrzęsionych zjaw kołowało jeszcze wokół budynku kościoła.

— Napędzili mi stracha – przyznała Laura. – Mówili, że Fomorianie będą na nas polować – zwróciła się do Churcha, licząc na to, że ją pocieszy.

Poruszony, puścił jej uwagę mimo uszu.

— Dlaczego tak na nas zareagowali? – spytał Toma.

— Nie przejmujcie się nimi – powiedział Veitch. – Najważniejsze, że udało nam się zapobiec powrotowi Balora.

Twarze wszystkich zwróciły się ku wybawicielowi Ruth.

— W fortecy pod zamkiem odprawiano akurat jakiś rytuał...

— Rytuał? – Oczy Churcha rozbłysły.

Veitch pokiwał głową z satysfakcją.

— Wyglądało to naprawdę poważnie. Sądzę, że to było to. Przerwaliśmy draniom w samą porę.

Pozostali odetchnęli z ulgą. Nie mogli uwierzyć własnemu szczęściu. Church spojrział na Toma, szukając w jego twarzy potwierdzenia.

— Sam widziałeś. – Hipis prawie się uśmiechał. – Z zamku został jeden wielki krater.

— Powstrzymaliśmy ich – powiedział Church cicho, jakby przekonywał sam siebie, że to jednak prawda. Bo i była to prawda. Po tygodniach niepowodzeń nareszcie dopięli swego. – Zniszczyliśmy ich najważniejszą twierdzę. Nie będą teraz w stanie wskrzesić Balora.

Przykląkł, przesłaniając twarz dłonią. Jeszcze to do niego nie dochodziło. Przez jakiś czas stali wokół niego w milczeniu, aż



wreszcie Laura przykucnęła obok i objęła go ramieniem. Ten prosty gest wyzwolił skrywane uczucia. Nagle wszyscy zaczęli się ściskać, poklepywać po plecach, wzajemnie sobie gratulować. Stopniowo schodziło z nich napięcie. Veitch wydał dziki okrzyk triumfu, który odbił się echem wśród okolicznych domów.

— Ale ci nieboszczycy... – Laura nie dokończyła zdania, bo Church porwał ją na ręce i przycisnął mocno do piersi. Próbowwała zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie wytrzymała i obdarowała mężczyznę uśmiechem.

— Nie pozbyliśmy się wszystkich Fomorian – wyjaśnił, okręcając się wesoło. – Widziałas ich gniazdo w Krainie Jezior. Te gadziny wszędzie się rozpleniły. Ale teraz to my jesteśmy górą, to wszystko. To wszystko! – zawołał radośnie. – Daliśmy im tak popalić, że minie trochę czasu, zanim dojdą do siebie. Po tym numerze to my, my jesteśmy górą! Starczy teraz tylko przekonać do siebie Żłoty Lud, a razem przepędzimy Nocnych Wędrowców na dobre.

— Trzask, prask i po krzyku – stwierdziła Laura z sarkazmem.

— Ach, dałabyś spokój, zrzędo. – Pocałował ją serdecznie, co zaskoczyło ich oboje.

— Zasłużyliśmy sobie na noc ostrego imprezowania – oświadczył Veitch, nie wypuszczając Ruth z objęć. Kobieta uśmiechała się blado, wyczerpana i oszołomiona.

Pozostali uznali, że to dobry pomysł. W znakomitych humorach ruszyli na południe.



Po przejściu kilkuset metrów stało się jasne, że nie obędzie się

bez środka transportu. Ruth nie miała dość sił, by iść samodzielnie, a trudno by było nieść ją całą drogę.

Zatrzymali się na najbliższym rogu, a Veitch i Laura poszli rozejrzeć się po okolicy. Trzy kwadranse później wrócili lśniącym formem transitem.

— A gdzie właściciel? – spytała Ruth. – Chyba nie zastrzeliliście go z kuszy?

— Boże, ta to nawet z jedną nogą w grobie zgrywa się na Matkę Przełożoną. – Laura z przesadną manierą wzniosła oczy ku niebu.

Pomogli Ruth ułożyć się wygodnie z tyłu. Veitch prowadził, Laura i Church usiedli koło kierowcy.

— Jak za starych, dobrych czasów – westchnęła Laura bez żadnych złośliwych podtekstów.

Za Starówką rozciągała się dzielnica bogatych rezydencji ukrytych w głębi zadbanych ogrodów, która wkrótce ustąpiła miejsca zwykłym brytyjskim przedmieściom pełnym jednakowych bliźniaków i szeregówek. Miejską obwodnicę minęli piętnaście po drugiej. Jadąc, delektowali się rozkosznym ciepłem letniej nocy. Była to miła odmiana po przebywaniu w pobliżu Cailleach Bheur.

W odróżnieniu od większości dużych miast, w Edynburgu teren zabudowany kończył się zaskakująco szybko. Ni stąd, ni zowąd otoczyły ich łagodne pagórki zielonych pól, tu i ówdzie znaczone ciemniejszymi plamami zagajników. Od wschodu horyzont przesłaniała nadal mgła, ale nad szosą atramentowe niebo zachwycało mnogością gwiazd.

Przy drogowskazie na Roślin Laura zerknęła przez ramię na Shaviego. Przybity szaman zwiesił ciężko głowę na piersi. Zawsze podziwiali go za pogodę ducha i niezmacony optymizm, teraz żal

było patrzeć, jak cierpi w milczeniu. Dziewczyna miała wielką ochotę przepelznąć na tylną kanapę i mocno uściskać swojego niedawnego partnera, ale wstydziła się przy świadkach równie otwarcie demonstrować swoje uczucia.

Przez dłuższą chwilę droga wiodła przez las, a potem wjechali w odludną przestronną dolinę, gdzie na pożółkłych pastwiskach pasły się niemrawe owce. W oddali wznosiło się stromo pasmo wysokich wzgórz, zaś bliżej pola przecinała linia kolejowa. Veitch i Church zamierzali zrobić postój dopiero o świcie, ale odmienną decyzję wymusiła na nich kolejna niewytłumaczalna awaria. Gdy furgonetka zaczęła odmawiać posłuszeństwa i w końcu zgasła na poboczu, nie mieli innego wyjścia, jak zanoćować w okolicy. By nie rzucać się w oczy, zapchali auto boczną aleją za pobliski zagajnik – może i odnieśli duży sukces, ale trzeba było zachować ostrożność. Ubrania na zmianę, sprzęt turystyczny i zapasy zostawili w hotelu albo w zrujnowanej kaplicy, ułożyli się więc do snu we wnętrzu samochodu. Tom martwił się o Ruth, ale ta spała smacznie. Wymęczeni, w mgnieniu oka do niej dołączyli.



Kiedy się obudzili, słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie, a w furgonetce zaczynało robić się nieprzyjemnie duszno. Ruth była nadal osłabiona, ale za to o wiele pogodniejsza. Wygramoliwszy się z pomocą przyjaciół z auta, usiadła w trawie oparta o oponę i już po chwili wesoło się ze wszystkimi przekomarzała. Z pozoru od czasu podobnych postojów na północy nic się nie zmieniło, ale tak naprawdę znikły wszelkie

objawy wzajemnej niechęci, którą zastąpiła serdeczność i skrywana tkliwość.

Dopiero teraz, wypoczęci, zdawali relacje z swoich przygód. Veitch dość lakonicznie opisał sposób, w jaki uwolnił Ruth, a gdy kobieta pochwaliła go za odwagę, zrobił się czerwony jak burak. Wysłuchawszy Shaviego, starali się, rzecz jasna, podnieść go na duchu, niemniej ciarki ich przechodziły na myśl o tym, że ktoś taki jak Maponus jest na wolności.

— Nie wiem, czy jest sens zawracać nim sobie głowę – stwierdził Tom. – Nie jesteśmy go w stanie nijak poskromić. Jedyna zdolna do tego osoba to Strażnik Kości, którego wiedza znacznie przewyższa naszą. To w końcu jego pobratymcy pojмали niegdyś Dobrego Syna.

— Zamyślił się. – Tyle że nie ma już nikogo do pomocy...

— Ale Maponusa nie można zabić. Widzieliśmy to na własne oczy.

— Shavi nie potrafił się uspokoić. – Żadna z tych nadprzyrodzonych istot tego nie potrafi.

— Zgadza się – przyznał Tom. – Nie da się ich zabić tak jak ludzi. Śmiertelni są jedynie najniżsi rangą Fomorianie, szeregowi żołnierze, o czym Veitch przekonał się na zamku.

— Jak mamy z nimi walczyć, skoro nie możemy zabić tych najważniejszych? – oburzyła się Laura. – Co najwyżej odrobinę ich irytujemy.

— W tym to akurat jesteś dobra – mruknął pod nosem londyńczyk.

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – ciągnęła dziewczyna.

— Odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Może by tak kto inny zajął teraz nasze miejsce? Chyba zasłużyliśmy sobie na mały

urlop, prawda?

Nikt nie miał jednak ochoty rozpocząć dyskusji na ten temat i rozmowa zeszła szybko na tajemnice wnętrza Tronu Artura.

— W życiu nie przeżyłem jeszcze czegoś takiego – powiedział Church. – Ta studnia to tak potężne źródło energii, że czas i przestrzeń, cała rzeczywistość zdawała się stawać płynna w jego pobliżu.

— Może zawsze tak jest – zastanowiła się Ruth. – Dobrze wiecie, że już nieraz znajdowaliśmy się w sytuacji, w której nie powinniśmy byli wierzyć własnym zmysłom. To przerażające. Jesteśmy więźniami własnych ciał, zdanymi na łaskę i niełaskę naszych mózgów, a poza tą małą kościaną kulą świat może w stu procentach odbiegać od naszych wyobrażeń.

— Ostatnio zyskuje popularność teoria, że czas nie istnieje – poinformował ich Shavi. – Postrzegamy go jako coś ciągłego właśnie tylko dlatego, że tak radzą sobie z tym pojęciem nasze mózgi. Tak naprawdę żyjemy we wszystkich epokach naraz. To mogłoby tłumaczyć jasnowidztwo.

— Ale jak to działa? – spytała Ruth.

— Błagam, zamknijcie się wreszcie – zirytował się Veitch. – Szału można dostać. Tylko gadacie i gadacie, jak jakaś banda studentów w okularkach. Jest jak jest i tyle. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Na niebie pojawił się w oddali wypatrujący ofiar sokół. Churchowi przypomniały się sceny znad studni, o których wolałyby zapomnieć.

— Nie byliśmy z Tomem sami pod Tronem – wyjął.

— Jasne, wziął przecież z sobą swoją drażliwość – wtrąciła cierpko Laura.

— Śledził nas porywacz Ruth. – Church zerknął z niepokojem

na przyjaciółkę, nie wiedząc, jak ta zareaguje na tę wiadomość.

Veitch najeżył się.

— I kto to jest?

Church westchnął ciężko.

— Nadal nie wiemy. Ukazał nam się jako olbrzymi wilk, tak jak wcześniej Laurze. Żółte ślepie i takie tam.

— A mówiłam, żeby nie rozmawiać w lesie z nieznajomymi – powiedziała Laura do Ruth, uśmiechając się delikatnie. Kątem oka Church dostrzegł, że Veitch przygląda się bacznie obu kobietom.

— Powtórz im to, co mówiłeś mi nad studnią – zwrócił się do Toma.

Hipis zdjął okulary i przetarł je ręką koszuli. Bez lenonek wyglądał już nie na weterana z lat sześćdziesiątych, lecz jak wykształcony, opanowany arystokrata, którym przecież byt.

— Kiedy bogowie przy kimś... – Zamilkł na dłuższą chwilę, aby znaleźć odpowiednie słowo. – Kiedy bogowie dokonali w kimś pewnej zmiany, umysłowi ludzkiemu trudno ustalić wygląd takiej osoby. Zdaje się, że taka przemiana sięga aż po poziom molekularny, a że jest wbrew naturze, zupełnie dezorientuje zmysły postronnych obserwatorów. Kiedy się widzi taką osobę po raz pierwszy czy drugi i bez należytego przygotowania, wrażenie jest takie, jakby ktoś nas kopnął w brzuch. A żeby w ogóle pokazać nam takiego nieszczęśnika, umysł wybiera kształt najbliższy mu duchowo.

— Czyli mój porywacz w głębi duszy jest wilkiem? – Słowa te z trudem przeszły Ruth przez gardło.

— Czy to stąd wzięły się wilkołaki? – chciał wiedzieć Shavi.

Tom machnął ręką.

— Nie, to dwie różne rzeczy. Istota, o której mowa, była kiedyś

śmiertelna. A tym, których bogowie przemienili, często tak przypada do gustu ich wewnętrzne ja, że fizycznie również się do niego upodabniają.

— Spotkałam w życiu kilku takich facetów – wtrąciła Laura. – Nie potrzebują pełni. Starcza im siedem piw.

— Nic nie pamiętasz? – spytał Church Ruth.

Pokręciła przecząco głową.

— Tylko Laureę.

— Laureę? – Veitch aż drgnął.

— Była gdzieś w pobliżu, kiedy mnie porywano. To wszystko, co pamiętam.

Zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali się na tym, co usłyszeli. A potem, kiedy żadne nowe hipotezy nie przychodziły im już do głowy, pomyśleli o tym, co musiała wycierpieć Ruth. Na usta cisnęły im się nietaktowne pytania, na które tak właściwie nie chcieli poznać odpowiedzi.

— Jak tam było? – spytał nieśmiało Church.

Spojrzała gdzieś w bok.

— Ach... Chyba można się domyśleć. Pokiwał głową.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Nie, nie. Chcę tylko szybko dojść do zdrowia.

— Postaram ci się jakoś pomóc – oświadczył zniecierpliwiony Tom, uśmiechając się łagodnie. Rzadko się zdarzało, by na jego twarzy malowało się tyle czułości. Poderwał się i ruszył przez pola, schylając się od czasu do czasu, by zerwać jakąś upatrzoną roślinkę.

— Hm, zioło i trawa. Szczęściara z ciebie – powiedziała Laura. Skąd mu się to wzięło? Nasz zgred zna się na zieleninie niczym jakaś czarownica.

Ruth skrzywiła się, ale nikt tego nie zauważył.

— Miał sporo czasu na naukę – przypomniał Church, nie spuszczać wzroku z nauczyciela. Czasem złościł się na niego, ale bardzo szanował za wiedzę. – Wyszkolili go pobratymcy Strażnika Kości – odezwał się Shavi. – Przekazywali sobie sekrety natury z pokolenia na pokolenie. Pochodzą one z czasów, kiedy ludzie byli bardziej związani z przyrodą.

— Musimy ustalić, co dalej. – Veitch miał dość rozmów o niczym.

— A co tu ustalać? – prychnęła Laura. – Jestem taka głodna, że mogłabym cię schrupać. – Zabrzmiało to nieco dwuznacznie, a ciemne okulary dziewczyny nie pozwalały ustalić, czy żartuje czy flirtuje.

— Spokojnie, chłopczyku – dodała. – Trzymam rączki przy sobie.

— Laura ma rację – powiedział Shavi. – Zjedzmy najpierw coś ciepłego, a potem kupmy nowe ubrania, zapasy i sprzęt. Wszystko to, co zostawiliśmy w hotelu.

— Tak, tak. Lepiej nie wracać do miasta. – Veitch tryskał energią.

— Nie będzie wyglądać za pięknie po naloce. Musimy znaleźć dla siebie jakąś bezpieczną kryjówkę, gdzie będziemy mogli w spokoju opracować jakiś plan działania.

— Sądę, że powinniśmy kierować się na południe – stwierdził Church.

— Święte słowa – przytaknął Veitch. – Mam już powyżej uszu wrzosów i szkockiej kraty. A ci cholerni skąpcy i tak nienawidzą Anglików.





Ruth zorientowała się, że nie towarzyszy im już sowa, i wypatrywała jej, dopóki pół godziny później nie pojawił się Tom. Przyniósł dwie garście różnorodnych ziół, które ugniótł znalezionym w aucie narzędziem na dwie porcje pulpy. Jedną obłożył kikut palca kobiety, a drugą, nie zważając na jej protesty, nakazał jej zjeść.

— Przestań jęczeć – skarciła ją Laura. – Powstrzymaj odruch wymiotny i zielsko przejdzie, wiem co mówię.

W końcu Ruth udało się przełknąć lekarstwo i choć mdliło ją później strasznie, nie zwymiotowała. Kiedy znalazła się w furgonetce, natychmiast zapadła w głęboki sen.

Zatrzymali się w bistrze przy drodze na solidny posiłek, który z racji pory był raczej lunchem niż śniadaniem. Niestety nie obyło się bez nieprzyjemnych niespodzianek. Samochód dwukrotnie odmówił posłuszeństwa, raz na dwie godziny, drugi raz na trzy kwadransy. Dotarwszy wreszcie do Peebles, zrobili duże zakupy. Po minach sprzedawców widać było, że podchodzą teraz nieufnie do kart kredytowych. Nie działały telefony, nie mogli więc sprawdzić, czy klienci są wypłacalni, spodziewali się też chyba, że i tak cały system bankowy zawali się lada chwila. Akceptowali jednak tę formę płatności jak gdyby nigdy nic, jakby chcąc zademonstrować w ten sposób, jak bardzo pragną powrotu do normalności. Church i jego towarzysze uznali, że dni ich cywilizacji są policzone.

Kiedy mijali Melrose, rodzinne strony Toma, hipis z rozrzewnieniem zaczął poetycko opowiadać o pięknie okolicy, ale przerwał po kilku minutach, przeklinając pod nosem, bo Laura zareagowała na jego wykład głośnym ziewaniem. O mijanym nieco później ledburgh nie powiedział już ani słowa.

Późnym popołudniem znaleźli się w Anglii i zaraz za granicą wszczęli żarliwą dyskusję o tym, dokąd jechać dalej. Ostatecznie postanowili posłuchać się Veitcha, który optował za niedaleką Puszcza Nadgraniczną. Wkrótce zieleń pagórkowatych pól południowej Szkocji ustąpiła fioletem i brązom rozległych wrzosowisk Parku Narodowego Northumberland. Nie rosły tu prawie żadne drzewa prócz targanych podmuchami samotnych śmiałków – jedyne urozmaicenie krajobrazu stanowiły krzaki i skały. Niebo było idealnie błękitne, a wśród wysokich wzgórz dął silny wiatr, wyjący niczym jakaś żywa istota.

Z ulgą zostawili tę surową krainę za sobą i wjechali w gęsty stary las. Bił od niego cudownie głęboki spokój. W Edynburgu wszędzie czuli się zagrożeni – tu w puszczy mogli wreszcie ukoić stargane nerwy. Baldachim liści rzucał na przednią szybę misterne cienie. Wpatrzeni w grę światła zapominali o swoich kłopotach.

Za kierownicą siedział teraz Shavi, a Veitch pilotował z pomocą atlasu. Krążyli jakiś czas od jednej zapomnianej wioski do drugiej, nadkładając w ten sposób pewnie z osiemdziesiąt kilometrów. Kiedy Veitch wyjaśnił, że takie działania zmylą ewentualną pogoń, Laura stwierdziła z ironią, że jak na razie pilot dezorientuje wyłącznie swoich własnych kompanów.

Zostawili w końcu furgonetkę na opuszczonej stacji kolejowej w High Staward, trzynaście kilometrów na południowy zachód od Hexham. Cały swój dobytek zapakowali do czterech wielkich plecaków, które wśród jęków i postękiwań założyli sobie na plecy panowie. Laura szydziła z nich, że nie są prawdziwymi mężczyznami. Nawet Ruth zdobyła się na kilka dowcipnych uwag. Obładowani, wąską ścieżką ruszyli na północ.

To Veitch po starannym namyśle wybrał cel ich wyprawy.

Chciał znaleźć miejsce nie tylko położone jak najdalej od siedzib ludzkich, ale także jak najmniej popularne wśród turystów. Wszyscy przyznali, że to dobry pomysł.

Zagłębili się w las. Puszcza powitała ich chłodnym półmrokiem. Panowała cisza, tylko wiatr zawodził dziwacznie. Brzmiało to tak, jakby tajemnicze głosy zachęcały ich z oddali do zejścia ze szlaku. Po dwudziestu minutach marszu oczom wędrowców ukazał się zapierający dech w piersiach widok – wysokie na siedemdziesiąt pięć metrów strome zbocza wąwozu Staward. Porośnięty gęsto drzewami, kilkukilometrowej długości jar wyglądał na żywcem przeniesiony z serca Alp. Od biegnącej wzdłuż potoku Allen ścieżki odchodziły liczne odgałęzienia.

— Gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy ukrywać się tu przez kilka tygodni. – W głosie Veitcha pobrzmiwała duma. Rzeczywistość nie zawiodła jego oczekiwań.

Wybrali zarośniętą drózkę wiodącą w największy gąszcz i zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy przestała być widoczna w trawie. Namioty rozbili w kręgu, a w jego środku Veitch wykopał płytki dołek na ognisko.

Church i Shavi wybrali się na krótki rekonesans. Na zboczu wąwozu natrafili na polankę ze skałą, z której szczytu roztaczał się wspaniały widok na najbliższą okolicę. Czubki drzew złociły promienie zachodzącego słońca. Obu mężczyzn poraziło piękno nieskalanej przyrody.

— Może bez tych wszystkich zdobyczy cywilizacji nie będzie tak znowu źle – stwierdził Church. – To wszystko przecież zostanie.

Nim Shavi zdążył odpowiedzieć, idylliczną ciszę zakłócił ryk silników dwóch wojskowych myśliwców. Leciały w stronę Newcastle.

— Założę się, że to nie trening – powiedział Church. – W mieście musiało wydarzyć się coś się niedobrego.

Piętnaście minut później, gdy niebo przeciął kolejny samolot, okazało się niestety, że niespodziewane awarie przytrafiają się nie tylko furgonetkom. Warkot ustał nagle i samolot runął jak rażony piorunem.

Mimo sporej odległości huk eksplozji niemal ogłuszył obserwatorów. Stali długo w milczeniu, wpatrując się w chmurę dymu. Czerń mieszała się z bielą puszystych obłoków. Katastrofa ta urosła w ich oczach do symbolu upadku znanego im świata. Church nie był już taki pewien, czy życie bez nowoczesnych technologii nie stanie się piekłem. Nie wiedzieli, co to dokładnie oznacza dla nich i dla całego kraju. W drodze powrotnej do obozu, myśleli o nieszczęsnym pilocie i zachodzili w głowę, co też może dziać się w Newcastle, dziękując Bogu, że sami zaszyli się w głuszy.



Na obiad upiekli kielbaski i podgrzali fasolkę z puszki. Jedli, siedząc wokół ogniska, rozkoszując się ciepłym letnim wieczorem. Powoli zapadał mrok. Trzask płomieni pomagał się odprężyć. Po raz pierwszy od wielu dni nie obawiali się ataku ani nie wzdrygali się na myśl o wyzwaniach nadchodzącego dnia. Trudno było im się przyzwyczać do tej wakacyjnej atmosfery.

Po obfitym posiłku nadszedł czas na kawę i delektowanie się odgłosami przyrody. Postanowili, że dadzą sobie godzinę wolnego, żeby każdy mógł pobyć sam na sam ze swoimi myślami, a potem spotkają się przy ognisku oblać niedawny sukces piwem

i whisky przywiezionym z Peebles.

Church wrócił do obozu pierwszy po krótkim samotnym spacerze, na którym zmuszał się do myślenia o rzeczach obojętnych. Ruth leżała tam, gdzie ją zostawili. Wpatrywała się w ogień. Słyszając kroki, podniosła głowę i uśmiechnęła się na widok przyjaciela.

— I co, jak się czujesz? – spytał, podchodząc bliżej.

— O wiele lepiej. Ręka przestała boleć, wypoczęłam – czuję, że powoli wracam do sił. Coś mi tylko zalega na żołądku, jakbym najadła się niedojrzałych jabłek. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że dojdę do siebie tak szybko. Za kilka dni będę już zupełnie na chodzie. Nie mam pojęcia, z czego Tom robi te swoje wstrętne mikstury, ale cokolwiek by to nie było, służba zdrowia powinna podpisać z nim umowę na stałe dostawy. To znaczy, jeśli służba zdrowia jeszcze w ogóle istnieje.

Usiadł kolo niej i objął ją swobodnie ramieniem. Od pierwszego spotkania pod mostem Alberta zdążyli się bardzo zżyć ze sobą. Cieszyli się, że wiele ich łączy, szanując zarazem dzielące ich różnice. Oboje byli przekonani, że w każdej sytuacji mogą na sobie polegać.

— Cieszę się, że wróciłaś – powiedział Church. Nie mógłby wyrazić tego, co czuł, w prostszy sposób.

Ruth oparła mu głowę na ramieniu. Przypomniało jej się, jak siedzieli tak razem na Skye. Choć minęło zaledwie parę dni, była już zupełnie inną osobą.

— Czasami myślałam, że już nigdy nie zasiądę z wami przy ognisku. Sądziłam, że będą mnie tak torturować i torturować, aż wreszcie załamie się i umrę.

— Pamiętaj, co powiedział Ryan. Wyszłaś z tego cało. Udowodniłaś sobie, że jesteś silniejsza, niż się tego spodziewałaś.

Pobyt w lochach Fomorian był koszmarem doświadczeniem, ale w paradoksalny sposób do czegoś ci się przysłużył.

Niepokoili ją jedna rzecz, ale nie zwierzyła się z tego Churchowi. Po co miała zawracać mu głowę takim drobiazgiem. Martwiło ją mianowicie to, że odkąd opuściła celę, jej sowa, a raczej jej nauczyciel, nie dawał znaku życia. Zaskoczyło ją to, jak bardzo się tym przejmuje. Wyczuwała, że ptak nie zgubił drogi, ale opuścił ją na dobre – łącząca ich więź zdawała się już nie istnieć.

Dlaczego tak się stało? Uczyła się przecież pilnie, z dnia na dzień zbliżała się do ideału. Nadal potrafiła powtórzyć słowo w słowo wszystkie lekcje.

Bała się, że rozwiązanie tej zagadki było proste – tak naprawdę nigdy nie miała opiekuna. Sowa, która jej dawniej towarzyszyła, była tylko przypadkowym ptakiem, a istota z celi omamem wywołanym przez kaźń.

Church oparł się z tyłu na łokciach.

— Miło pomyśleć, że wreszcie coś nam się udało. – Skrzywił się, zerknąwszy na dłoń swojej towarzyszki. – Choć trzeba przyznać, że zapłaciliśmy za ten sukces straszną cenę.

— Co teraz? Nie możemy się już dłużej nazywać ofiarami losu. – Ruth dała Churchowi delikatnego kuksańca. Ich zażyłość działała na nią równie ożywczo, co ziołowe papki Toma. – Tylko mi nie mów, że zarzuciłeś zrządzenie o swojej nieudacznosci.

— Co takiego? Miałbym porzucić moją życiową pasję? Nigdy. Dałem sobie tylko kilka dni wolnego. – Zaśmiał się. – Nie pozwolę, żeby cokolwiek zepsuło nasze wieczorne świętowanie. Po tym wszystkim, co przeszliśmy w ciągu ostatnich tygodni, zasługujemy na imprezę, która zaćmi wszystkie poprzednie.

Laura znalazła dla siebie wygodny głąz nad potokiem i

przysiadła na nim, żeby to i owo przemyśleć. Szmer strumieni i fal zawsze ją uspokajał. Jako dziecko marzyła o mieszkaniu nad morzem i często wspominała o tym rodzicom. Jej ojciec zgodził się nawet kiedyś pobawić z nią w szukanie idealnego miejsca. Zasiedli razem nad atlasem drogowym i o ile pamięć jej nie myliła, wybrali jakieś miasteczko na południu hrabstwa Devon. Ale to było jeszcze zanim matka w pełni poddała się woli Bożej, zanim ze zdrowej pobożnej kobiety zmieniła się w sadystyczną wariatkę. Kiedy, mimo obietnic ojca, nie przeprowadzili się na wybrzeże, Laura po raz pierwszy przeżyła głębokie rozczarowanie. Nie po raz ostatni. Całe jej późniejsze życie składało się z porażek i podeptanych marzeń. Szczęście traktowała jak podejrzanego ewenement.

Nigdy nie uważała, że to jej cyniczne nastawienie do życia może przynosić więcej szkody niż pożytku, ale nawet jeśli rzeczywiście tak było, nie miała szans się zmienić. Kiedy poznała Churcha, zdawało jej się, że oto zły los wreszcie się od niej odwrócił, myślała, że teraz wszystko się ułoży. Jakże była naiwna! Być może uwierzyła, że tak będzie, bo tak usilnie tego pragnęła. Jakby nie wiedziała od lat, że nadzieje są płonne, a marzenia się nie spełniają! Wystarczyło trochę poczekać, by przekonać się, że Church jej nie kocha, a przynajmniej nie tak bardzo jak ona jego. Co do pozostałych, których tak naprawdę przecież podziwiała, w głębi ducha z pewnością jej nienawidzili. Cóż, trudno się było dziwić – nigdy nie okazywała im zbytnej serdeczności, w dodatku nieraz pakowała w tarapaty.

I jeszcze ta zielona krew! Co się działo z jej ciałem? Przerazała ją ta przemiana, okropnie chciała z kimś o niej porozmawiać. Tyle że nie miała z kim. Nawet Church by nie zrozumiał. Jak zwykle musiała ukrywać swoje myśli i uczucia – tylko w ten

sposób potrafiła bronić się przed załamaniem nerwowym.

Można by się spodziewać, że w takiej sytuacji będzie rozgoryczona, ale nie – gdy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że czuje się raczej zrezygnowana, pogodzona z losem. I to dopiero było żałosne!

Zamarła, bo coś poruszyło się wśród drzew. Na szczęście był to tylko Veitch. Miał dziwną minę, najwyraźniej starał się ukryć przed Laurą emocje.

— Myślałam, że jesteś tym, no, wielkim strategiem-wojownikiem, czy co to tam było – zadrwiła dziewczyna – a tymczasem nie mógłbyś się do mnie podkraść nawet, gdybym była ślepa i głucha.

— Wcale się nie skradałem.

Maskowane przez Veitcha uczucia zrobiły się nieco bardziej widoczne. Laura rozpoznała gniew, podejrzliwość, nienawiść. Z tym ostatnim to może przesadziła. Nagle zaczęła się bać, choć nie wiedziała jeszcze czego.

— Jeśli amory ci w głowie, przypominam, że nie masz szans.

— Tak nisko jeszcze nie upadłem.

— Nieładnie, nieładnie. Tak trudno ci się pogodzić z porażką, że mi dogryzasz?

Złapał ją za rękę i ścisnął tak mocno, że krzyknęła. Wyrwała mu się.

— Co ty wyprawiasz, do cholery?

Oczy mężczyzny błysnęły dziko. Laura zdała sobie z przerażeniem sprawę, że napiął wszystkie mięśnie niczym drapieżnik gotowy do skoku. Zeskoczywszy z głazu, szybkim krokiem ruszyła w stronę obozu. Veitch próbował ją znowu schwycić, ale miała się na baczności i w porę zrobiła unik.

— Nie baw się ze mną! – zagroził.



— Odbiło ci, chłopie? – Z trudem opanowała drżenie głosu. – Wiesz, że nie dam ci po dobroci, to zmieniasz się w neandertalczyka?

Na moment zbiła go tym pytaniem z tropu. Zrobił zdziwioną minę, jakby nie mógł do końca zrozumieć, o co jej chodzi. A potem wściekł się jeszcze bardziej.

— Jak możesz mnie oskarżać o takie rzeczy! Masz mnie za ostatniego bydlaka?

— Cóż, nie zachowujesz się teraz jak dżentelmen, prawda? – Odważyła się spojrzeć mu w twarz, wiedząc, że w razie czego zdąży dobiec do namiotów.

— Wygadana z ciebie żmijka. – Zrobił krok do przodu, ale powstrzymał się i już nie próbował jej złapać. Za to Laura nie potrafiła się dłużej kontrolować.

— No, na co czekasz? – wybuchła. Dobrze wiedziała, o co mu chodzi, i miała już tego dość. – Gadaj, palancie, co ci zalało za skórę?

— Ty! – Wskazał oskarżycielsko palcem. – Zachowujesz się jak królowa dyskoteki, zadzierasz nosa, wszystkim nam docinasz, jakbyś sama była Bóg wie kim! Ale ja cię przejrzałem! Wiem, że maczałaś palce w porwaniu Ruth!

Dziewczynie opadły ręce.

— Wiesz co, jesteś taki walnięty, że na czubku głowy zbiera ci się woda!

Obróciła się na pięcie i poszła. Kręciło jej się w głowie.

Minęło może pół minuty. Nagle Veitch ryknął niczym zwierzę jak ktoś, kto strasznie cierpi i z tego powodu wzbiera w nim gniew. Laura wiedziała, że biegnie w jej kierunku. Nie czekając ani sekundy, skuliła się i rzuciła do ucieczki. Wymijając drzewa w szaleńczym pędzie, dziękowała Bogu, że ma na sobie dżinsy i

wygodne buty. Zabrakło tylko słońca. W ciemnościach uderzyła bokiem o pień i prawie się przewróciła, a potem otarła boleśnie goleń o wystający z ziemi fragment skały. Veitch wołał coś za nią agresywnie. Zwinnymi ruchami przypominał panterę – kierowany szóstym zmysłem, o nic się nie potykał. Szybko nadrabiał dzielące ich metry.

Strach wymiół z serca dziewczyny wszelkie inne emocje. Co mi zrobi, kiedy mnie złapie, przemknęło przez głowę ściganej. Dysząc ciężko, przeskoczyła powalone drzewo, by zaraz potem schylić się pod nisko rosnącym konarem.

— Suka! – usłyszała za sobą. Wyzwisko przecięło powietrze niczym pocisk.

Stopniowo ogarniała ją panika, coraz trudniej było jej się skupić. W końcu, odbiwszy się źle przed kolejnym susem, zwichnęła sobie nogę w kostce, przez co straciła równowagę. Runęła na ziemię, zobaczyła gwiazdy, a potem ześlizgnęła po zboczu, kalecząc się o drobne gałązki. Zatrzymała się na jakichś skałkach. Jej prawy bok przeszył silny ból, po policzkach pociekły łzy.

Veitch dopadł jej chwilę później. Jego ciemna sylwetka górowała nad nią złowrogo niczym w scenie wyjętej żywcem ze starego horroru. Twarz miał wykrzywioną, obie dłonie zwinięte w pięści.

— Wiem, że to twoja robota! Sama ją wydałaś Fomorianom albo zmówiłaś się z porywaczem! To ty jesteś zdrajcą, przed którym przestrzegali nas zmarli! Ale teraz zapłacisz mi za wszystko!

Zamachnął się. Laura krzyknęła. Skuliła się. Zamknęła oczy. Nic.

Kiedy cios nie nadszedł, jej strach nieco zelżał i zaczęła być w

stanie myśleć logicznie. Zerknęła na Veitcha. Siedział nieopodal z twarzą schowaną w dłoniach. Po kilku sekundach podniósł wzrok. Płakał.

— Ty suko! To ty mnie doprowadziłaś do tego stanu! – Mężczyzna ochrypi od nadmiaru uczuć. – Nigdy nie podniosę ręki na kobietę! Nigdy!

— A dopiero co widziałam... – Laura po raz pierwszy w życiu ugryzła się w język. – Wierz mi, nie miałam nic wspólnego z porwaniem Ruth. I nie jestem zdrajcą. – Starła się zachować spokój.

Kiedy mówiła, Veitch wstał i odszedł kawałek dalej.

— Nie wierzę ci. – Trochę już ochłonął. – Nie wierzę ci – powtórzył takim tonem, jakby jej groził. Wzdrygnęła się. – Mam cię na oku. Nadal będę cię obserwował. Nie pozwolę ci skrzywdzić pozostałych. I zamierzam zrobić wszystko, żeby pomścić Ruth. Podpadnij mi choć raz, jeden raz, a cię zabiję.

To powiedziawszy, znikł cicho wśród drzew. Gdy tylko ucichły jego kroki, Laura zwinęła się w kłębek i zanosła szlochem. Te łzy kumulowała w sobie od wielu, wielu lat.



Po pewnym czasie doszła do siebie i wróciła na ścieżkę. Rzucane przez płomienie światło przyciągnęło ją do obozu jak ćmę. Miała już wyjść na polanę, kiedy serce podskoczyło jej do gardła. Przy ognisku siedzieli Church i Ruth. On ją obejmował, ona oparła głowę o jego ramię. Laury nie zalała zazdrość – wiedziała, że tych dwoje jest dla siebie jak brat i siostra, i właśnie z tym faktem łączyło się jej szokujące odkrycie. Zrozumiała

nagle, że nigdy nie będzie umiała nawiązać z kimś tak bliskiej relacji pełnej ciepła i szczerości, że przy nikim nie będzie mogła czuć się równie swobodnie. Widać było jak na dłoni, że Church i Ruth darzą siebie miłością, której jej samej nie miało być dane doświadczyć. Zapewne nie zdawali sobie nawet sprawy z takiego stanu rzeczy.

Laura nie obwiniała ukochanego o to, że ich związek nie jest równie bogaty. To z nią było coś nie tak. Koszmarne dzieciństwo napiętnowało ją na całe życie – choćby i bardzo się starała, nie potrafiła otwarcie wyrażać uczuć. Więziła je uparcie w sobie, a wraz z nimi swoje prawdziwe ja. Słuchając swoich wypowiedzi, często miała wrażenie, że mówi za nią ktoś inny. Jej słowa przeinaczał zawsze cynizm i ironia. Żyła w kłamstwie i brzydziła się sobą za to.

Widok dwojga przyjaciół przy ognisku sprawiał jej niemal fizyczny ból. Czuła się teraz jeszcze gorzej niż wtedy przed laty, kiedy zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie członkiem kochającej się rodziny tak jak większość jej szkolnych kolegów i koleżanek. Ta emocjonalna blokada tkwiła w niej tak głęboko, że nie było sensu z nią walczyć. Pozostawało tylko pogodzić się z losem.

Dziewczyna otarła policzki, jakby chciała zetrzeć z twarzy wszelkie ślady rozpacz, i z drwiącym uśmiechem wyszła z cienia w krąg światła.

— Cześć, syjamskie bliźnięta – rzuciła obojętnym tonem. – Powinniście się wpisać na listę oczekujących na operację rozdzielania.



Godzinę później siedzieli już w komplecie wkoło buzującego wesoło ogniska. Trzaskał płonący chrust, pohukiwały polujące sowy, nad uchem bzyczały zwabione owady. Noc była znowu ciepła, a atmosfera wakacyjna. Świat zdawał się oferować nieograniczone możliwości.

Church leżał na boku podparty na łokciu i rzucał w płomienie patyki. Obok niego siedziała Ruth, silniejsza z godziny na godzinę – od czasu do czasu krzywiła się tylko, jakby nieco ją mdliło.

Laura i Veitch zajęli miejsce naprzeciwko siebie. Nie patrzyli sobie w oczy, ale wyczuwali swoją obecność. Jej ciążyły jego zarzuty i groźby, jemu żywiona wobec niej nienawiść. Wiedzieli oboje, że bez względu na koleje losu, już nigdy nie będą w stanie się pogodzić.

Tom siedział po turecku, skręcając w zamyśleniu jointa, zaś towarzyszący mu Shavi wydawał chętnym puszki piwa i pilnował, żeby nikt nie przypilił się na dłużej do butelki whisky. Ze spaceru po lesie wrócił z poszarzałą, postarzałą twarzą. Sprawiał wrażenie człowieka wyniszczonego chorobą. Tylko Laura знаła jego sekret. W ciemności, wśród drzew znów natknął się na kogoś, kto już nigdy nie miał go opuścić. Każde takie spotkanie musiało być dla szamana niezmiernie bolesnym doświadczeniem, ale ani razu się nie poskarżył, ani razu nikomu nie zwierzył. Laura zazdrościła mu tej wewnętrznej siły, dzięki której potrafił radzić sobie z swoim brzemieniem. Kiedy nikt nie patrzył, ścisnęła porozumiewawczo dłoń kompana. Uśmiechnął się. Poczwała się tak, jakby dał jej piękny prezent.



Alkohol lał się strumieniami. Unikali smutnych tematów, ale poza tym rozmawiali o wszystkim: o muzyce, kinie, seksie, narkotykach, archeologii i piłce nożnej. Dla tych rzeczy warto było żyć, a tego wieczoru mieli zamiar celebrować piękno życia.

Shavi ożywił się, gdy rozmowa zeszała na miejsca, które ostatnio odwiedzili. Wspominali tajemnicze kręgi Stonehenge i Avebury, surowe piękno Kornwalii, uroki życia w nadmorskich miasteczkach, majestatyczne pejzaże Krainy Jezior i szkockich pasm górskich.

— W żadnym innym kraju na świecie – stwierdził – nie ma tylu zapierających dech w piersiach krajobrazów. W kształcie żywopłotów, w siatce pól zaklęta jest wielowiekowa historia, a za każdym rogiem czają się mity. I ta różnorodność, spotęgowana zmianami pogody i pór roku! Okolice Oksfordu zimą, letnia noc w Londynie, wyrwane morzu pola wschodniej Anglii w czasie burzy... Mamy góry, wąwozy, bagna, plaże, łągi, rzeki, wodospady i wzgórza kredowe. W jakim innym państwie można tyle zobaczyć w ciągu jednego dnia? – Wzdychając, przesunął palcem po ziemi. – Wszystko tu wokół jest przesyczone magią.

— W dodatku byle pagórek mógł być świadkiem tylu wydarzeń historycznych! – wtrącił Church. – Bo, jeśli o mnie chodzi, nie tylko zwracam uwagę na piękno przyrody, ale i myślę przy takich okazjach o wielowiekowej koegzystencji natury i cywilizacji.

— Doskonale cię rozumiem – przytaknął mu z entuzjazmem Shavi. – To właśnie dlatego krajobraz przemysłowy może zachwycać tak samo jak ten nietknięty ręką człowieka. Wszystko sprowadza się do pojedynczych obrazów. Wystarczy się zatrzymać i zadumać, a już czuje się ich magię. Białe kłęby nad

potężną elektrownią o zachodzie słońca. Ptaki przemykające tuż nad szklistą taflą zalanych wyrobisk torfowych. Setki rozświetlonych okien mrówkowca w zimowy wieczór. Pomarańczowy traktor jadący ośnieżoną aleją. – Zasłuchani, wyobrażali sobie kolejne opisywane przez szamana sceny. – A błękitny ogień – zakończył z pasją w głosie – to ucieleśnienie tego piękna, esencja zachwyty.

Tu jego wynurzenia zostały raptownie przerwane, ponieważ Veitch zauważył wśród drzew dziwne ruchome światło. Złota kula najwyraźniej unosiła się w powietrzu. Jej powolne kołysanie działało na podchmielonych biesiadników hipnotyzująco, widzieli już jednak zbyt dużo o nowym świecie, by przyglądać się zjawisku bez obaw. Veitch zarwał się na równe nogi, sięgając po broń. Church i Shavi poderwali się ułamek sekundy później.

— Co to? – szepnęła Ruth. Nikt jej nie odpowiedział.

Światło przybliżało się. Po chwili zdali sobie sprawę, że jego źródłem jest niesiona przez kogoś latarnia, a ich uszu dobiegł cichy, harmonijny śpiew. Nie rozumieli wprawdzie słów pieśni, ale sama jej melodia była tak pogodna i słodka, że wszyscy się rozmarzyli. Veitch opuścił miecz. Tylko Tom pozostał nieufny i miał się na baczności.

Z mroku wyłoniły się dwie istoty. Jedna z nich trzymała latarnię w górze, oświetlając drogę. Zdawały się śpiewać o tym, jak bardzo kochają życie, jaką radość im ono daje i jak wiele ma do zaoferowania.

Idylliczny nastrój prysł jak bajka mydlana, gdy ognisko oświetliło twarze przybyszów. Ich skóra świeciła złotawo, a rysy były nadludzko piękne. Członkowie drużyny stali oko w oko z dwójką Tuatha Dé Danann. Należeli zapewne do kasty najbliższej ludziom, a nie do elity wszechmocnych bogów, bo na ich widok

nie zaczynały szeptać w głowie żadne obce głosy, a umysł ludzki bez najmniejszego trudu postrzegał ich prawdziwą postać.

Pierwszy z gości miał promienny uśmiech i rozpuszczone, falujące włosy, drugi, ze spiętymi włosami, wyglądał na nieco bardziej poważnego. Strojem przypominali piratów – oboje byli ubrani w ciasne bryczesy, wysokie buty i rozpięte po pas koszule z bufiastymi rękawami.

— Co my tu mamy? Kruche Istoty? Same w lesie, po nocy? – Pogodniejszy z przybyszy spojrział każdemu z młodszych obozowiczów prosto w oczy. Chcąc nie chcąc, musieli odpowiedzieć mu uśmiechem. – Czyżbyście jeszcze nie wiedzieli, że nastały nowe czasy? Po zmroku Kruche Istoty powinny siedzieć w domu.

Tom wysunął się zza Shaviego.

— Mylisz się, biorąc nas za przygodnych turystów.

— Wierny Tomasz! – ucieszył się nieznajomy. Choć wydawało się to niemożliwe, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Brakowało nam w Dalekim Kraju twoich pięknych ballad. Powiedz, jak ci się powodzi, stary druhu?

— Tak, jak się tego można domyślać, Cormorelu, wzięwszy pod uwagę okoliczności. A teraz pozwól, że ci przedstawię Braci i Siostry Smoków. – Wskazał na swoich towarzyszy.

Cormorel dał się zbić z pantafyku tylko na krótką chwilę. Zaraz potem na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. Ukłonił się uprzejmie i formalnie.

— Zaiste wielki to honor poznać dumę Niezmiennych Krain. Witaj, kwinkunksie [*quincunx; kompozycja z pięciu elementów, w której cztery elementy znajdują się w rogach, a jeden pośrodku*]. Sława drużyny Ducha Pendragona doszła nawet do naszego domu. Nasi prorocy wychwalali piątkę bohaterów, którzy są



jednością.

Veitch przyjrzał się obu Tuatha Dé Danann podejrzliwie. W każdej chwili gotowy był użyć miecza. Church przestraszył się, że popędliwość kompana doprowadzi do niepotrzebnej konfrontacji, ale uświadomił sobie szybko, że Ryan zerka co chwilę na Toma, czekając na decyzję najbardziej doświadczonego z grupy.

— Poznajcie Baccharusa – ciągnął Cormorel – mojego dobrego przyjaciela i towarzysza podróży.

Drugi przybysz, mniej wylewny, skłonił tylko głowę. Członkowie drużyny przedstawili się z wahaniem. Tom wskazał na ognisko.

— Może macie ochotę do nas dołączyć?

— Czemu nie, Wierny Tomaszu. Już od dawna nie bawiliśmy w gościnie u ludzi. – To ostatnie słowo wymówił niczym nazwę egzotycznego plemienia.

Obaj zasiedli na trawie z nieco podekscytowanymi minami. Church i Tom zajęli miejsca u ich boku. Tylko Shavi wydawał się być zupełnie nieskrępowany towarzystwem przedstawicieli wyższej rasy – pozostali z różnym skutkiem usiłowali ukryć swoje zakłopotanie.

Church znalazł swoją napoczętą puszkę piwa i podniósł ją do ust, zauważył, że Cormorel przygląda mu się ciekawie.

— Napijcie się czegoś? – zreflektował się. – Czy wy w ogóle pijecie?

— Pijemy, jemy, sprawiamy sobie przyjemność na różne sposoby. – Złoty mężczyzna spojrzął znacząco na siedzące przy ognisku kobiety. – Oczywiście nasze zmysły nie działają w ten sam sposób co wasze, ale z pewnością dążymy do zapewniania im jak najwięcej miłych bodźców. Czyż to nie sens życia? – Z

wyraźną wdzięcznością przyjęli dwie podane im przez Churcha puszki. Powąchawszy ich zawartość, upili ostrożnie mały łyk, a potem pokiwali z zadowoleniem głowami. – Kiedy ostatni raz zaproszono nas na ludzką zabawę, dostaliśmy coś na miodzie – przypomniał sobie Cormorel – ale to tu bardziej nam odpowiada.

— Co was tu sprowadza? – spytał go Tom.

— Wędrujemy, sprawdzając, jak Niezmiennie Krainy zmieniły się od czasu naszej ostatniej wizyty. Wspominaliśmy je zawsze bardzo ciepło. Zbyt długo nie było nam dane cieszyć się tutejszymi urokami.

Baccharus pochylił się do przodu i powiedział cicho: – Tu, gdzie grasuje śmierć, życie płonie z wielką mocą. Delektujecie się każdym doświadczeniem. Ta intensywność jest fascynująca.

— A i wy sami dostarczacie nam wiele rozrywki! – zaśmiał się Cormorel.

— Cała przyjemność po naszej stronie – mruknął Veitch chłodno, jeśli przybysze wyczuli jego niechęć, nie dali tego po sobie poznać.

— Odwiedzamy miejsca znane nam z dawnych czasów – wyjaśnił Baccharus – ale po tylu stuleciach trudno je rozpoznać. W powietrzu wiszą jakieś dziwne pyły, woda w rzekach skwaśniała, nawet drzewa cierpią. Gdy je mijamy, z pni dochodzą moich uszu skargi ich udręczonych dusz. Nie sprawdziliście się jako gospodarze.

— Wiele rzeczy nam nie wyszło – przyznał z pokorą Church, choć słowa Baccharusa mocno go zaniepokoiły. Czy ludziom rzeczywiście wiodło się lepiej, kiedy rządili nimi bogowie?

Cormorel zorientował się nagle, że Ruth przygląda mu się z zaciekawieniem.

— O co chodzi? – spytał.

— Nic o was nie wiemy – przyznała. – Wasi pobratymcy, z którymi zetknęliśmy się do tej pory, nie byli aż tak rozmowni.

— Jak widać nie można nas wrzucać do jednego worka – stwierdził Cormorel, rozkładając ręce.

— Może opowiecie nam zatem coś o sobie? – poprosiła. – O swojej rasie, o tym, skąd się wywodzicie, co lubicie, a czego nie.

Church domyślił się, że przemawia przez nią wrodzona przenikliwość dobrej prawniczki. Chciała użyć swoich zdolności, by uzyskać informacje, które później mogłyby się okazać przydatne drużynie.

— Próbujecie nas zdefiniować, posługując się swoimi pojęciami, ale to niemożliwe. My po prostu istniejemy. Jesteśmy częścią wszechświata, ale i przebywamy poza nim, poza czasem i wszelkimi odmianami rzeczywistości. Złożeni niczym przyroda, płynni niczym myśl, poruszamy się między gwiazdami, prześlizgujemy się wśród chwil. – Cormorel mrugnął do Toma. – Trudno nas przejrzeć, prawda, Wierny Tomaszu? Niezależnie od tego, ile czasu by się z nami spędziło.

Ruth nie zniechęciła ta niejasna przemowa.

— Wydajecie się jednak świetnie sobie radzić z postrzeganiem rzeczywistości na nasz ludzki sposób, więc może postarałbyś się opisać nam waszą naturę bardziej zrozumiałym dla nas językiem.

Cormorel pokiwał głową w zadumie.

— W takim razie będę musiał mówić o chwale i cudach, ale także o bólu i udręce. O ludzie tułającym się z dala od swojej ojczyzny, skazanym na wiekuistą wędrówkę. – W jego głosie pojawiła się melancholijna nuta, od której serca słuchaczy ścisnęły się z żalu. Tuatha Dé Danann byli niewątpliwie mistrzami w manipulowaniu ludzkimi emocjami. Church

podejrzewał, że to właśnie dlatego tak głupiej przy Niamh.

— Nasza rasa istnieje od zawsze – ciągnął Cormorel. – Widzieliśmy na własne oczy, jak powstawał wszechświat i będziemy tutaj nadal, kiedy wyda ostatnie tchnienie. Nasi kronikarze znają niezliczone historie z czasów naszej świetności. Świat nie miał wtedy jeszcze wad, a my zamieszkiwaliśmy cztery wspaniałe grody. To właśnie one składały się na naszą ojczyznę. Naszym największym marzeniem jest powrócić w rodzinne strony, ale w czasie wędrówek nie zdołaliśmy tam trafić. – Mężczyzna jeszcze posmutniał. – Moim zdaniem – dodał cicho – chyba nigdy nam się to nie uda. Cóż... Zarówno Dalekie Łądy, ze swoimi przyływami i odpływami, jak i, o dziwo, Niezmienne Krainy, także stały się z biegiem czasu bliskie naszym sercom. Nie mając innego wyboru, bawimy więc trochę tu, trochę tam, ale tęsknota daje nam się we znaki. Cóż z tego, że pamiętając swoją ojczyznę, dostrzegamy tu pewne podobieństwa? To tylko wzmacnia nostalgię. Taki już nasz los. Przekłęci, nigdy nie zaznamy spokoju. Jesteśmy może wszechmocni, zawsze w sercu wydarzeń, a nasze radości potrafią być wielkie – ale smutki równie ogromne. – Cormorel zerknął na Ruth. – Czy potrafisz pojąć, jak to jest, żyć wiecznie ze świadomością, że nigdy nie dostanie się tej jednej jedynej rzeczy, dzięki której żyłoby się prawdziwie? Bez naszej ojczyzny nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jaką rolę mamy do odegrania w świecie. Czegoś nam brakuje. Oto nasza natura.

— Każdy chyba tak ma – zauważył Shavi.

Baccharus zaczął śpiewać w swoim ojczystym języku przejmująco smętną pieśń. Z każdą sylabą obcych słów słuchacze czuli coraz większą rozpacz, jak jeden mąż wbili wzrok w ziemię. Dopiero teraz zrozumieli, jak wielka była udręka plemienia

Danu.

Kiedy przebrzmiała ostatnia nuta tej magicznej melodii, na krótką chwilę zapadła cisza. Ze smutku pierwszy otrząsnął się Cormorel.

— Wystarczy już tej żałoby. Zadumaliśmy się nad losem naszej rasy, więc teraz mamy prawo napić się i dobrze zabawić!

Wzniósł swoją puszkę w toaście, wychylił ją do dna i głośno beknął, a kiedy Church podał mu kolejną, od razu się do niej przypilił.

— Czas na weselsze i ciekawsze historie – oświadczył. – Czy chcielibyście usłyszeć, jak nasi najwięksi wojownicy rozbili w pył armię Nocnych Wędrowców podczas drugiej bitwy na Magh Tuireadh? A może opowiedzieć wam o biesiadach, w których bratem udział? Albo o tym, jak żyły Kruche Istoty, z którymi mieliśmy do czynienia przed wiekami? – Uśmiechnął się zagadkowo. Członkowie drużyny nie potrafili odgadnąć, jaki jest naprawdę jego stosunek do ludzi. – Niektórzy z waszych przodków nie byli wcale tacy krusi. Przynajmniej jak na przedstawicieli waszej rasy. Z początku nie odnosili się do nas zbyt grzecznie, o nie.

— Słyszałem, że stawiali zacięty opór – wtrącił Tom.

Cormorel zamyślił się na moment.

— Minęło dużo czasu, zanim docenili prawdziwy porządek rzeczy. Sądzę, że byli z natury dość agresywni i brutalni. Mieli w sobie coś z Nocnych Wędrowców.

— Wszystko zależy od punktu widzenia. – Hipis z uporem obstawał przy swoim, Cormorel nie wyglądał jednak na urażonego.

— W końcu stłumiliśmy bunty – powiedział.

Tom pokiwał głową.

— Niemniej do dziś dnia wasi dawni przeciwnicy wywierają wpływ na potomnych. W krajobrazie zakodowali wiedzę, którą miały rozszyfrować następne pokolenia. Rozszyfrować, by użyć jej przeciwko wam. – Church i jego towarzysze spojrzeli zdziwieni na swojego przewodnika, ale ten unikał ich wzroku. – Odwaga tamtych ludzi nie podlega dyskusji, ale nie doceniliście chyba ich inteligencji. Wybiegali myślą daleko w przyszłość.

Nie wiadomo było, czy Tom grozi przybyszom, czy po prostu stwierdza fakt. Jak zwykle nie miał zamiaru niczego wyjaśniać.

Cormorel przyglądał mu się przez chwilę znieruchomiały, z zaintrygowanym wyrazem twarzy, po czym wzruszył ramionami, jakby chciał podkreślić, że nic sobie z tego nie robi. Church wyczuwał jednak, że słowa ich kompana wywarły na gościu wielkie wrażenie.

— Wyjaśnijcie mi – poprosiła Ruth – dlaczego niektórzy z was są tak bardzo podobni do ludzi, a inni... Nasze umysły ledwie sobie radzą z ich postrzeganiem.

Cormorel uśmiechnął się z wyższością.

— To, że jesteśmy podobni do ludzi, to tylko pozory.

Baccharus uciszył go gestem dłoni.

— Nie, to dobre pytanie, Krucha Istoto. Niektórzy z nas rzeczywiście was przypominają, choć może tylko w tym, że dzielimy z wami radości i smutki. Ilu z naszych pobratymców potrafiłoby czerpać przyjemność z picia piwa i siedzenia z wami przy ognisku? Niewielu, ale ja przednio się bawię. Będę się rozkoszował wspomnieniem tego wieczoru i nieraz o nim opowiadał po powrocie do Dalekich Łądów. – Uśmiechnął się słodko. – Kochamy nasze historie. Są spoiwem, dzięki któremu wszechświat nie rozpada się na milion kawałków. Tom pochylił się, by znów przerwać wynurzenia złotych gości.

— W społeczeństwie Tuatha Dé Danann istnieje ścisła hierarchia. To bardzo skomplikowany system. W uproszczeniu przynależność do danej klasy zależy od mocy, jakimi się dysponuje. Na szczycie piramidy są członkowie tak zwanego Pierwszego Rodu, a najniżej... – Wskazał na przybyszów.

Church wzdrygnął się, bo zabrzmiało to jak obelga. Cormorel musiał mieć podobne odczucia, bo zerknął na Toma krzywo znad swojej puszeki piwa.

— Czyżbyś żywił do nas urazę o czas spędzony w naszym gronie?

— Nauczyłem się podchodzić ze spokojem do sytuacji, w jakiej się znajduję.

— Cóż – stwierdził gość – nie była to może do końca odpowiedź na moje pytanie, ale i tak ją przyjmę. – Jego uśmiech zrobił się cierpki. – Czy wiedziałeś, Wierny Tomaszu, że twoja Królowa powróciła do swojego dworu pod Wzgórzem Cisów, Tom–na–hurich? Twój biały rumak nadal tam przebywa, równie rączy, jak wtedy, kiedy widziałeś go po raz ostatni. – Mówiąc, przyglądał się uważnie starszemu mężczyźnie, jakby chciał go wy badać.

Twarz Toma pozostała nieprzenikniona, ale Church wyczuł, że w jego nauczycielu powoli wzbiera niechęć czy gniew.

— Miałem na myśli to – odezwał się hipis, zwracając się do reszty towarzystwa – że ilość posiadanej mocy zdaje się być u Złotego Ludu związana z wiekiem, a im kto ma jej więcej, a więc im kto starszy, tym bardziej jest nam, ludziom, obcy. Choć wszyscy Tuatha Dé Danann twierdzą, że istnieją od zarania dziejów, różnice w mocy wskazują na to, że niektórzy pojawili się wcześniej. Pierwszy ze wszystkich, Dagda, nie bez racji zwany wszechojcem, jest wszechpotężny i z ludzkością nie ma nic wspólnego. Tak rozumując, wnoszę, że nasi goście później wyszli

z nicości.

— Może nawet wśród bogów zachodzi ewolucja – zadumał się Shavi.

Uwaga kolegi zrodziła w głowie Churcha odważną wizję: – Może w toku ewolucji ludzie upodobnią do plemienia Danu.

Cormorel prychnął.

— A z nieba spadnie deszcz diamentów.

— Niemądrze jest być arogantem – upomniał go Baccharus. – Chociaż zajmujemy uprzywilejowaną pozycję, to my ze wszystkich ras winniśmy wiedzieć najlepiej, że światem rządzą cykle. Potęgi upadają, wpływy się kurczą. Dla Kruchych Istot los nie jest łaskawy, ale okazują wytrwałość i siłę. Choćby tych tu pięcioro. Wiesz, jaką moc reprezentują.

Jego kompan wzruszył ramionami.

— Marzyciel z ciebie, Baccharusie.

Zapadła cisza. Church postanowił wykorzysta nadarzącą się okazję, by zadać nurtujące go od Beltane pytanie.

— A jak radzicie sobie teraz z Fomorianami?

Do Cormorela doszła butelka whisky. Pociągnął łyk i oblizał usta.

— Mamy spokój. Trzymają się z daleka od nas, więc i my ich nie niepokojmy.

Podał butelkę sąsiadowi.

— Nie za długo to jeszcze potrwa – ostrzegł ich Church. – Próbowali wskrzesić Balora. Wprawdzie im w tym przeszkodziliśmy, ale pewnie wkrótce wymyślą coś nowego. To wy możecie stać się celem kolejnego ataku.

— Bez wątplenia. A jeśli odważą się podnieść na nas rękę, pokażemy im, kto tu jest górą.

Church nie mógł uwierzyć, że można być tak pewnym siebie.



— Czy nie byłoby lepiej uderzyć jako pierwsi, zanim tamci...

— Teraz mamy inne sprawy na głowie. Zbyt wiele miejsc musimy jeszcze odwiedzić. Chcemy nacieszyć się tym, co na tak długo zostało nam odebrane. – Podniósł puszkę z piwem. – Weselić się, popijając ten wspaniały napój...

— Już raz was pokonali. Kiedy pojawili się na świecie po raz pierwszy.

Cormorel rzucił Churchowi chłodne spojrzenie.

— Nie do końca zdawaliśmy sobie wtedy sprawę z ich zdradzieckiej natury. Teraz bierzemy ją pod uwagę. – Westchnął, przechodząc szybko od irytacji do zaciekawienia. – Ilekroć rozmawiam z ludźmi, trudno mi rozgryźć ich mentalność. Życie tak krótko, tak mało czasu spędzacie sprawiając sobie przyjemność, ale mimo swoich różnych dziwactw, jesteście fascynujący. Nadal będziemy starać się was zrozumieć.

— Czy wiadomo wam, czym obecnie zajmują się Fomorianie? – spytał Shavi.

Złoty gość uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

— Jeśli o mnie chodzi, mogą zagrzebać się głęboko w ziemi albo zaszyći w mroku czekać upadku ostatniej gwiazdy. Nocni Wędrowcy to plugawa hałastrą, rozmiłowana w gwałcie i intryganctwie, nie są jednak tak głupi, by prowokować nas bez potrzeby. Uważam, że nie ma po co zawracać sobie nimi głowy. – Wpatrywał się intensywnie w Churcha, marszcząc przy tym czoło. – Dopiero teraz zauważyłem, że nosisz w sobie ich piętno.

Church wyjaśnił mu, że w wyniku podstępu przyjął od Fomorian czarną różę i chociaż *Roisin Dubh* została zniszczona, Pocałunek Mrozu zaczął działać i część jej jadu nadal krążyła po jego ciele.

Cormorel posmutniał.

— Bardzo to było nierozważne z twojej strony, Bracie Smoków. Jeśli się nie uleczysz, Żółty Lud nigdy ci nie pomoże.

Skrzywił się, jakby czuł jakiś nieprzyjemny zapach.

— Tylko jak tego dokonać? – spytał Church.

Przybysz wzruszył ramionami.

— Może gdybyś pojechał na Wyspy Zachodnie i zanurzył się w tamtejszej Sadzawce Życzeń... – Nie powiedział nic więcej, tracąc zainteresowanie cudzymi kłopotami. – A teraz zmieńmy temat – poprosił z uśmiechem. – To w końcu ognisko, a nie jakaś narada. Chciałbym jeszcze jedną, tę... Jak to się nazywa?



Pili do rana. Cormorel z Baccharusem na zmianę zabawiali ich dzikimi pieśniami i porywającymi opowieściami o wielkich bitwach, straszliwych porażkach, słynnych fortelach, o mitach i wierzeniach Żółtego Ludu, czterech cudownych zaginionych grodach, okrucieństwie i nienawiści, miłości i namiętności. Członkowie drużyny siedzieli zasłuchani. Mimo swojej odmienności, Tuatha Dé Danann dobrze znali ludzkie emocje i przeżywali je z godną swojej potęgi intensywnością. Trudno było pozostać obojętnym na opisy targających nimi uczuć, zarówno tych negatywnych, jak i pozytywnych. Nawet Veitch pozwolił sobie na szeroki uśmiech podczas jednej z piosenek, a po pewnej wyjątkowo smutnej historii Laura musiała dyskretnie ocierać łzy. Tylko Tom pozostał po swojemu niewzruszony.

W końcu ożywiły się ptaki, a niebo spąsowiało świtem. Goście podnieśli się i ukłonili grzecznie, dziękując wylewnie za gościnę.

— Zrewanżujemy się, kiedy następnym razem będziecie bawić

w Dalekich Ładach.

— Nie sędzę – mruknał Tom.

Cormorel rzucił mu przebiegle spojrzenie i pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Wkrótce znikł wraz z Baccharusem w lesie, a ich śpiew zlał się z dźwiękami budzącej się natury.

— Byli tacy uroczy – stwierdziła Ruth. – I opowiadali takie wspaniale historie. Aż się tęskno robiło na duszy za tym wszystkim, co przeżyli, co widzieli. Chciałabym odwiedzić ich w Zaświatach.

— Oni tylko na to czekają – powiedział Tom i odszedł w stronę namiotów.

# ROZDZIAŁ 11

## WZDŁUŻ MROCNIEJSZYCH DROG

Śnili o strzelistych wieżach ze srebra i złota, o olbrzymach trzymających w złączonych dłoniach wirujące słońca, o cudach tak nieprawdopodobnych i porażających, że nie można ich było wziąć ze sobą do świata jawy. Kiedy w końcu wynurzyli się z namiotów spragnieni, z ociężałymi głowami – powitało ich prażące słońce i cudownie błękitne niebo. Wykąpali się w zimnej wodzie rwącego potoku, a potem, jedząc niespiesznie tosty i popijając herbatę, wspominali najciekawsze historie nietypowych gości niczym przyjaciele przywołujący wspólnie przeżyte przygody.

Przed pierwszą Veitch zaczął się nieco niecierpliwić i niepokoić. Spięty, coraz częściej przeszukiwał wzrokiem ścianę lasu, puszczając mimo uszu żartobliwe uwagi kompanów, którzy zachęcali go, żeby się rozluźnił.

— Za długo tu już jesteśmy – burknął tylko, pakując swoją torbę.

Z paska do spodni, liny i kilku innych drobiazgów, w które zaopatrzyli się poprzedniego dnia, zmajstrował coś na kształt uprząży na plecy, aby mieć w co wplątać kuszę, bełty i miecz. Kiedy założył kurtkę, wyglądał na garbatego – czego nie

omieszkała zauważyć głośno, acz z bezpiecznej odległości Laura – ale najważniejsze byto to, że mógł teraz szybko sięgnąć po broń.

Pozostali doszli do wniosku, że nie ma co z nim dyskutować, zabrali się więc z oporami do pakowania dobytku, po czym karnie ruszyli w drogę powrotną do furgonetki.

— Podoba mi się tutaj – jęknęła poirytowana Ruth. – Tak tu cicho i zielono. Nareszcie można by było porządnie wypocząć.

— Gdzie indziej też będzie ładnie – powiedział Veitch, nie patrząc jej w oczy, choć cały czas skrycie ją obserwował. Dzięki ziołom Toma jej stan znacznie się poprawił. Wprawdzie zwymiotowała zaraz po wyjściu z namiotu, ale przypisała tę niedyspozycję wczorajszej popijawie. Veitch cieszył się, widząc, że jego ukochana nabiera sił, i był dumny z siebie, że się do tego przyczynił, tęsknił jednak za zażyłością, jakiej zasmakował podczas wspólnej ucieczki z zamku. Tak bardzo chciał przyłapać ją na tym, że się mu przygląda, tak bardzo chciał znów móc porozmawiać z nią w cztery oczy. Pozostawało czekać, bo czuł mimo wszystko, że nie powinien tracić nadziei.



Pojechali na południe, drogą do Leeds. Normalnie o tej porze panowałyby duży ruch, ale, jako że ostatnio coraz mniej ludzi decydowało się na dalsze podróże, mijali jedynie pojedyncze samochody. Szosa wiała się wśród zielonych pagórków, a znad wybrzeża wiała orzeźwiająca bryza. Tylko jedna rzecz zakłócała idylliczny nastrój mimo wiatru, nad położoną między nimi a morzem konurbacją Newcastle wisiały wyjątkowo ciemne

chmury niepokojąco podobne do kłębow dymu.

Jeszcze zanim wyruszyli, Veitch przestudiował starannie mapy, by obmyślić strategię na nadchodzące dni. Odrzuciwszy kilka opcji, zdecydował wreszcie, że udadzą się do kolejnego parku narodowego, tym razem do Peak District, gdzie z jednej strony mogli łatwo zaszyć się w głuszy, a z drugiej, w razie potrzeby, w pół godziny znaleźć się w dużym mieście. Od Manchesteru czy Nottingham dzieliłoby ich tylko czterdzieści kilometrów.

Minęli podupadłe Consett i okrążali właśnie od zachodu Durham, kiedy za zjazdem na Bishop Auckland natrafili niespodziewanie na korek.

— Może był jakiś wypadek – stwierdził Church, wyciągając szyję. Liczył na to, że zobaczy coś ponad dachami aut, ale dostrzegł tylko migające kilkaset metrów przed nimi niebieskie światła. Praktycznie stali w miejscu. Shavi otworzył okno i wewnątrz samochodu wypełnił odór spalin. Z daleka dochodziły jakieś podniesione głosy, ale pojedyncze słowa ginęły w warkocie silników.

— Rozumiesz, co wołają? – spytał Church Shaviego.

Szaman pokręcił przecząco głową.

— Za duży hałas.

Furgonetka przesunęła się odrobinę do przodu, a potem zatrzymała raptownie, bo Shavi zaciągnął hamulec ręczny. Zauważyli kilkunastu policjantów. Część kręciła się między pojazdami, trzej stali w zbitej grupie na poboczu. Nie wyglądali na poruszonych.

— Żadnych karet. Żadnych wozów strażackich. – Church otworzył swoje okno i wpełzł po pas na zewnątrz. – Ani śladu karambolu – rzucił, na powrót siadając.

Gdy tylko pokonywali kolejne parę metrów, powtarzał ten manewr, aż w końcu zorientował się, co się dzieje. Opadł na fotel z zaniepokojoną miną.

— To blokada policyjna – wyjaśnił pozostałym.

— Jest stan wojenny – przypomniała Ruth, pochylając się nad siedzącymi z przodu. – Nie sądzę, żeby sprawdzali, czy ludzie mają zapięte pasy.

Od punktu kontrolnego dzieliło ich tylko kilka samochodów.

— Mam złe przeczucie. – Church zerknął w boczne lusterko. Zdążyła się już ustawić za nimi długa kolejka.

— Dlaczego to ma mieć niby coś wspólnego z nami? – spytała Laura. – Nikt nawet nie wie, że wybraliśmy tę trasę.

— Kto wie, może zablokowali wszystkie drogi prowadzące na południe. Kiedy przepuszczą następne auto – Church zwrócił się do Shaviego – nie podjeżdżaj bliżej. Podejmiemy jakąś decyzję na gorąco.

Wszyscy pasażerowie furgonetki skupili teraz uwagę na dwóch policjantach bezpośrednio zaangażowanych w kontrolę przepuszczanych osób. Każdy z nich trzymał w ręku jakąś tajemniczą listę. Church także wpatrywał się w nich uważnie, kiedy poczuł zniechęcenie, że podświadomie zauważył właśnie coś niezwykle istotnego. Rozejrzał się, ale nadal nie wiedział, co intuicja mu podpowiada. Dopiero przypadek sprawił, że uświadomił sobie przerażającą prawdę.

Poczynaniom swoich kolegów przyglądało się trzech stojących na poboczu funkcjonariuszy. Na pierwszy rzut oka wyglądali zupełnie zwyczajnie, ale z pomocą przyszło obserwatorowi słońce. Uzmysłowił sobie nagle, że jaskrawe promienie odbijają się od skóry tej trójki w bardzo podejrzany sposób. Twarze mężczyzn połyskiwały, jakby były maskami zrobionymi z wosku.

— Zmiennokształtni! – syknął Church. Dyskretnie wskazał ich kompanom. – Podszywają się pod ludzi, tak jak wtedy na stacji benzynowej w Heston. Pewnie jako pretekst wykorzystali raport, który niechybnie sporządził o nas ten policjant z Callander.

Jeden z funkcjonariuszy dzierżących listy ruszył w ich kierunku, zirytowany, że nie podjechali pod sam szlaban. Gestykulował gniewnie i miał już coś krzyknąć, kiedy dostrzegł przez szybę Shaviego i zatrzymał się zaskoczony. Musiał znać jego rysopis. Zerknąwszy na swoje papiery, żeby się jeszcze upewnić, podniósł do ust krótkofalówkę i zaczął szybko mówić.

— Cholera – mruknął Church.

Shavi nie czekał na dalsze instrukcje. Ruszył z takim impetem, że aż zapiszczały opony i zapachniało przypaloną gumą. Church podparł się rękami o deskę rozdzielczą, a wszystkich z tyłu rzuciło po prostu na podłogę. Przeklinając, usiłowali łapać się ścian.

Furgonetka jechała zygzakiem, potrącając rzędy pachołków. Churchowi mignęły przed oczami twarze trzech Fomorian. Nie wyrażały żadnych uczuć.

— Nie oszczędzaj się, chłopie! – krzyknęła Laura. – Gaz do dechy!

Pędzili teraz sto czterdzieści na godzinę, ale syreny goniących ich wozów robiły się coraz głośniejsze.

— Nie wymkniemy się im – stwierdził Veitch, zerkając przez ramię.

— Wiem. – Shavi rzucił okiem na boczne lusterko, po czym skręcił gwałtownie na sąsiedni pas, prosto pod koła nadjeżdżającej ciężarówki. Jej kierowca zaczął szaleńczo trąbić. Church i Veitch zaklęli, kuląc się odruchowo.

Furgonetka niemalże musnęła maskę ciężarówki, podskoczyła



na krawężniku i znalazła się na bocznej drodze prowadzącej w głąb wrzosowisk. Shavi zwolnił dopiero po kilku kilometrach, a na rozstaju dróg za wioską Eggleston skręcił na południe. Policjanci musieliby mówić o dużym szczęściu, gdyby udało im się wybrać ten sam kierunek za pierwszym razem. Pasażerowie furgonetki z wolna dochodzili do siebie.

— Ty cholerny, szalony skurczybyku! – Veitch wyglądał na zagniewanego, ale w jego głosie pobrzmiwał szacunek dla odwagi kolegi.

Nikommu nic się nie stało, nabili sobie tylko parę guzów, ale wszyscy mieli świadomość, że ich sytuacja znacznie się pogorszyła.

— Trzeba zmienić środek transportu – zauważył Veitch. – Po takim numerze każdy glina w kraju będzie znał opis tego forda.

Laura wyjrzała na zewnątrz przez okna w tylnych drzwiach. Aż po góry na horyzoncie ciągnęły się łagodne zielonobłękitne pagórki. Stykające się z szosą pola przechodziły dalej w ciemniejszej barwy nieużytki porośnięte gdzieś połaciami niskich krzaków bądź kępami jodeł.

— Świetnie – westchnęła dziewczyna. – Widziałam taki horror o mieszcuchach w dziczy. Gdzie my tu, na Boga, znajdziemy nową furgonetkę?

— Nie znajdziemy. – Veitch nakazał Shaviemu skręcić w nieutwardzoną polną drogę znikającą w gęstym zagajniku. – Dlatego przierzucamy się na nogi. – Laura wzdrygnęła się. Nienawidziła pieszych wycieczek. – Poza tym tylko w ten sposób unikniemy blokad. Poradzimy sobie. Mamy spore zapasy, namioty, jeśli zaszyjemy się gdzieś tutaj, nigdy nas nie znajdą. Nie będą mieli na to czasu ani sprzętu, bo teraz w kółko się przecież coś psuje.

— To dobra propozycja. – Church pokiwał głową.

— To tylko propozycja – poprawiła go Laura. – Tak jak to, że możemy położyć się na środku drogi i czekać, aż coś nas przejedzie! Wiecie dobrze, że nie jestem fanką biwaków, jeden, dwa dni wytrzymam, zwłaszcza gdy cywilizacja jest tuż za rogiem, ale bez przesady! – Znów wyjrzała przez okno. – Jak na to patrzę, widzę tylko pęcherze, brud, deszcz i zimny wiatr.

— Przeżyjesz. – Veitch nie miał zamiaru kierować się jej zdaniem. Zabrał ze schowka kolekcję map. – Bardzo się przydadzą. Sądzę, że uda nam się wyznaczyć bezpieczny szlak, który zaprowadzi nas pustkowiem aż do Gór Pennińskich. Musieliby naprawdę bardzo chcieć nas dorwać, żeby pójść naszym tropem.

— Naprawdę bardzo chcą nas dorwać – powiedział Church.



Rozdzieliwszy pomiędzy siebie liczne bagaże, zaparkowali auto tak głęboko w zagajniku, jak tylko się dało. Gęste listowie gwarantowało, że odnalezienie forda nie będzie łatwe. Uginając się pod ciężarem plecaków, ruszyli pospiesznie na południe. Słyszeli wprawdzie wycie policyjnych syren, ale pocieszała ich myśl, że po polach dźwięk niesie się daleko. Smagani wiatrem, wdrapali się na pobliskie wzniesienie. Dalej nie było już żadnych ścieżek, tylko mapa i intuicja.

Ze względu na Ruth nie mogli sobie pozwolić na szybkie tempo. Chociaż czuła się już znacznie lepiej, tatwo się męczyła, przez co musiała często i długo odpoczywać. Do biegnącej ze wschodu czteropasmówki doszli dopiero późnym popołudniem.

Schowani w krzakach, czekali prawie dziesięć minut, aż szosa będzie zupełnie pusta, po czym rzucili się biegiem na drugą stronę, by brnąć na przełaj przez pola.

Według mapy, pomiędzy tą a następną podobnej szerokości drogą znajdowały się tylko cztery wioski, szesnaście kilometrów dalej, a poza tym nic prócz pól i pojedynczych gospodarstw. Kolejny marsz przez pustkowia trochę ich przerażał. Wiedzieli, że muszą trzymać się z dala od głównych szlaków komunikacyjnych, ale zdawali sobie też sprawę, że wraz ze starymi bogami powróciło na ziemię wiele innych niebezpiecznych mitologicznych istot. Niektóre z nich były niegroźne, choć potrafiły napędzić stracha, inne należały jednak do urodzonych drapieżców, obdarzonych w dodatku przez naturę niemalże ludzką inteligencją. Nic dziwnego, że żaden z członków drużyny nie cieszył się na myśl o nocy pod gołym niebem. Nie potrafili zapomnieć, co im grozi, szli więc w milczeniu, starając się rozkoszować zapachem rosnących na miedzach dzikich kwiatów i dochodzącymi z mijanych żywopłotów ptasimi trelami.

Kiedy o zmierzchu znaleźli się kilometr od pierwszej z czterech osad, Ruth zaproponowała rozbić oboz w wśród domów, argumentując, że będą mieli jeszcze wiele okazji ryzykować życiem nocując w zupełnej głuszy. Długie godziny marszu dały się rekonwalescentce we znaki – w ciągu dnia dwukrotnie wymiotowała, a teraz w gasnącym świetle jej skóra wydawała się być śnieżnobiała. Słyszając, jak bardzo jest wyczerpana, przystali na jej pomysł, odsuwając na bok wątpliwości.



Nim dotarli do opadającego ku wsi zbocza, zdążyło się zrobić zupełnie ciemno i na widok świateł w oknach poczuli dużą ulgę. Przyspieszyli kroku. Nie tylko bliskość celu dodała im energii – nie mieli najmniejszej ochoty wędrować dłużej w mroku. Nie dość, że wydawały się ich śledzić przemykające po bokach cienie, to jeszcze poganiały ich słyszane za plecami tajemnicze odgłosy, których z pewnością nie pochodziły z gardeł żerujących nocą zwierząt.

Laura zauważyła nagle jakąś postać i nie mogła powstrzymać się od krzyku. Okazało się, że to tylko strach na wróble, ale to odkrycie wcale jej nie uspokoiło. Kształtem nóg za bardzo przypominał żywego człowieka, a ubranie, które miał na sobie, nie było dostatecznie znoszone. Minąwszy kukłę, dziewczyna poczuła, że jest obserwowana. Nie zatrzymała się, ale i nie potrafiła pozbyć tego dziwnego wrażenia; przypomniało jej się też, co stało się z mężczyzną z pociągu. Oddaliwszy się od stracha na kilkanaście metrów, odważyła się wreszcie zerknąć przez ramię i natychmiast pożałowała tego kroku. Czyżby ze strachu zaczynała mieć omamy? Spod naciągniętego na czoło kapelusza spoglądała na nią para wąskich czerwonych oczu.

Zabudowa wsi stanowiła mieszaną śladów dawnej świetności i świadectw kryzysu ostatnich dekad: kilkusetletnie kamienne gospodarstwa sąsiadowały z zaniedbanymi domami zbudowanymi w latach sześćdziesiątych z pieniędzy gminy. Nad wszystkim górował elżbietański dwór. Osada posiadała tylko jedną, nieoświetloną ulicę o kilku krótkich odgałęzieniach. Jakimś cudem nie zbankrutował jeszcze miejscowy pub i sklep,

jak to często miało miejsce w podobnych miejscowościach. Ciepłe nocne powietrze przesycone było zapachem pnących się po murach róż i powojników. Chociaż zza zaciągniętych zasłon prześwitywało światło, panowała idealna cisza. Nikt nawet nie wyjrzał przez okno.

— Powinniśmy zapytać kogoś o pozwolenie, zanim rozbijemy namioty – powiedział Shavi, jak zawsze licząc się z cudzymi uczuciami. Wybrał pierwszy dom z brzegu. Prowadzącą do frontowych drzwi ścieżkę porastał z obu stron łąbin i słoneczniki. Gdy zastukał do drzwi, wszyscy się wzdrygnęli, tak głośny wydał się ten odgłos. Chwilę później zza zasłon w najbliższym oknie wyjrzała pięćdziesięcioletnia kobieta. Spodziewali się, że będzie zaskoczona najściem albo poirytowana, że w czymś jej przeszkadzono, ale na jej twarzy malowało się wyłącznie przerażenie. Widząc na swoim progu Shaviego, odpędziła go bezceremonialnym gestem i nie czekając, aż sobie pójdzie, zaciągnęła zasłony stanowczym ruchem. Mężczyzna wrócił do towarzyszy z zagubioną miną.

— Mówiłam wam – powiedział Laura – będzie jak w tym horrorze. Nie schylajcie się zawiązać but, bo może się to dla was źle skończyć.

— Spróbuj u sąsiadów – poradziła szamanowi Ruth. – Może to miejscowa sekutnica. Wszędzie się takie trafiają.

— Nie czujesz, jaka tu panuje atmosfera? – zdziwiła się Laura.

Shavi spróbował szczęścia w domu obok, potem kilka budynków dalej, wreszcie przeszedł na drugą stronę ulicy. Wszędzie spotkał się z taką samą reakcją – jeśli już ktoś wychynął zza zasłon, miał przerażenie w oczach.

— Dajmy sobie spokój z tymi wariatami – zaproponował Veitch. – Chodźmy lepiej do pubu. Napiłbym się piwa.

Przynajmniej tam muszą nas obsłużyć.

Ruszyli w stronę skrzypiącego na wietrze szyldu nad oświetlonymi oknami. Church przysunął się do Toma.

— Najwyraźniej jakieś stwory dały im tu nieźle w kość.

— Nic dziwnego. Na takim odludziu monstra czują się jak ryby w morzu. Mieszkańcy wioski mogą mówić o szczęściu, skoro do tej pory uszli z życiem. Pamiętasz Builth Wells?

Tamto walijskie miasteczko zastali zupełnie wymarłe, a w opustoszałych budynkach czaiły się krwiożercze bestie.

— W takim razie nie powinniśmy nocować pod namiotami.

— Też tak myślę. Miejmy nadzieję, że nad pubem są jakieś pokoje gościnne.



Pub nazywał się Zielony Jaś, co kojarzyło się rzecz jasna z Cernunnosem, a także z zajazdem na Dartmoor, którego bywalcy zostali wyrznięci na ich oczach przez jeźdźców Dzikiej Pogoni. Po wielkiej przemianie życie obfitowało w niepokojące zbiegi okoliczności.

Church wszedł pierwszy do zadymionej sali. Odnosiło się wrażenie, że czas stanął tu w miejscu. Drewniane sprzęty zrobiono z solidnego ciemnego drewna, podłogę i wygasły kominek z kamienia. Niewielka liczba ściennych lamp zapewniała intymny półmrok.

O dziwo, mimo skromnych rozmiarów osady i późnej pory, przy barze siedziało sporo osób, a prawie wszystkie stoliki były zajęte. Większości klientów stanowili mężczyźni. Przez zamknięte drzwi brzmiał szmer ściszonych głosów, ale kiedy

Church je pchnął, z miejsca zapadła cisza. Pijący jak jeden mąż odwrócili głowy, żeby przyrzeć się nowoprzybyłym. Na ich twarzach malowały się identyczne emocje: najpierw strach, później ulga, a na koniec podejrzliwość i zaskoczenie.

— Chyba już to gdzieś widziałam – szepnęła Laura, kręcąc głową. Ruszyli w stronę baru.

— To jak scena z *Amerykańskiego wilkołaka* — powiedział Veitch Churchowi na ucho. — Też weszli tam do takiego pubu. Nazywał się „Zarżnięta owca”. Kojarzysz? Grał tam Rik Mayall i ten facet, co reklamował herbatę.

— Brian Glover.

— Tak, ten.

Church rozejrzał się dyskretnie, nie wiedząc, czy śmiać się z tak gwałtownej reakcji miejscowych, czy może bać się tego, co się za nią kryło.

— Zaraz któryś wstanie – dodała cicho Ruth – i powie z silnym wiejskim akcentem: „Rzadko ktoś obcy się tutaj zapuszcza”.

Właściciel szynku, potężny rudy pięćdziesięciolatek z bokobrodami, najwyraźniej zamarł na ich widok, bo prawą rękę nadal miał na kurku beczułki z piwem. Laura spojrzała mu prosto w oczy.

— Widzisz te blizny? – Wskazała na swoje policzki. — Ostatni barman, który nie obsłużył mnie dość szybko, wyglądał po wszystkim znacznie gorzej.

— Przepraszam – zreflektował się mężczyzna. — Rzadko widzujemy tu nowe twarze.

Ruth posłała Churchowi znaczący uśmiech. Barman zerknął na zegarek.

— Państwo pewnie na jednego małego, a potem... — Nie dokończył zdania, licząc na to, że wyjawia mu cel swojej

podróży, ale nikt prócz Laury nie był skory zabrać głos, za to dziewczyna po prostu go zignorowała.

— Dużą wódkę z lodem, czystą. Niech będzie potrójna, mam za sobą ciężki dzień. Nie przywykłam do takiej harówki. Ach, i jeszcze dla moich kompanów, co tam sobie zamówią.

Mężczyznę wyraźnie odrzuciła hardość klientki, gdyż nie próbował już jej zagadnąć. Zanieśli swoje napoje do ciemnego kąta, gdzie złączyli ze sobą dwa ostatnie wolne stoliki.

Shavi pił wodę mineralną.

— Miejsce z charakterem – podsumował, przyjrząwszy się wystrojowi.

— Idealne dla wielbicieli wariatów z widłami i horrorów z lat czterdziestych – stwierdziła ponuro Laura. – Nie rozumiem, czemu nie mogliśmy zostać w mieście.

— Jak myślicie, czego się tak boją? – spytał Church.

Tom otarł krople cydru skapujące z jego sumiastych siwych wąsów.

— To jakiś chochlik czy inny baśniowy stwór, Gnębi najbliższą okolicę. W Zaświatach roiło się od różnych mniej lub bardziej przerażających istot, a większość z nich, jak sądzę, powróciła na ziemię.

W przytulnym staromodnym pubie poczuli się znacznie pewniej niż na ciemnym, smaganym wiatrem polu. Rozsiedli się wygodnie i delektowali smakiem napojów, ciesząc się, że dzięki półmrokowi nikt nie może im się zbyt przyglądać. Kilku pijących odważyło się wprawdzie rzucić w ich kierunku podejrzliwe spojrzenia, ale Laura odstraszyła ich szybko, papugując ich zachowanie. Gdy się tak zabawiała, jej towarzysze omawiali swoją pozornie udaną ucieczkę.

— Fomorianie muszą być zdeterminowani – stwierdził



Church.

— Tylko ciekawe, że uciekli się do podstępu. Najwyraźniej tak bardzo wystraszyliśmy ich naszymi dokonaniem, że bali się nas zaatakować ot tak.

— Bez przesady – wtrącił Veitch. – Gdyby nie Shavi, zaatakowaliby nas bez wahania.

— Ale Church ma rację, co do tej desperacji – powiedziała Ruth.

— Nie chcą się mścić za Edynburg, chcą nas po prostu złapać. Tom poprawił zjeżdżające mu z nosa okulary.

— Wkrótce dowiemy się, co nimi kieruje.

— A w międzyczasie, błagam, rozluźnicie się trochę. Jesteście niemożliwi. – Laura wywróciła oczami. – Zawsze znajdziecie jakiś temat, którym można się dołować. A może by tak, dla odmiany, wykorzystać tę chwilę przerwy i trochę się zabawić?

Church uśmiechnął się i ścisnął pod stołem jej kolano. Zaskoczyło go, jak bardzo ucieszył ją ten drobny gest.

W tym samym momencie podszedł do nich młody mężczyzna z kuflem w dłoni. Miał okrągłą twarz o łagodnych rysach i fryzurę z przedziałkiem. W odróżnieniu od pozostałych klientów pubu, wydawał się być w dobrym nastroju.

— Hej – przywitał się. – Robię tu za komitet powitalny. Max Michaels. Wiem, śmiesznie brzmi, ale lepsze to niż Michael Michaels.

— Podrapał się po głowie. – Pewnie myślicie, że trochę tu dziwnie, co? No i macie rację. Mogę się dosiąść?

Zgodzili się, bo ujął ich swoją grzecznością. Dosunął sobie krzesło.

— Słuchajcie, czy mogę od razu przejść do rzeczy? – spytał. Wyglądacie na inteligentnych ludzi, z pewnością wiecie, co jest

grane. – Uśmiechnął się, widząc, że rozumieją, o co mu chodzi. Zadał jeszcze kilka pytań, żeby zyskać całkowitą pewność. – Co za ulga. Nie ma nic gorszego nad tłumaczenie jakiemuś tępakowi, że żyjemy teraz w świecie baśni i to tych mniej sympatycznych. Świetnie. Mogę mówić po prostu, co myślę. Nie zorientowałem się jeszcze, o co w tym wszystkim dokładnie chodzi, ale jedno jest pewne – wracamy do średniowiecza. Z jednej strony zaczyna zawodzić wszystko, co ma silnik albo jest na prąd, z drugiej strony zjawiska nadprzyrodzone stają się faktem: wizje, prorocze sny, zaskakujące zbiegi okoliczności. Nadążacie za mną?

Church pokiwał głową.

— Przydarzyło nam się to i owo.

— Sami widzicie. Kto wie, może to koniec świata? – Po twarzy Maxa przemknął cień. – Parę tygodni temu pewien miejscowy gospodarz wpadł tu, wykrzykując, że widział na polu coś dziwnego. Ale mieliśmy ubaw! Śmialiśmy się, że nawdychał się kleju przy naprawie dętki. Kiedy kilku innych rolników zaczęło rozgłaszać, że też coś widzieli, doszliśmy do wniosku, że mamy miejscowego potwora, jakąś panterę, która uciekła z zoo, czy coś podobnego. Tyle że według ich opisów to nie była żadna pantera... – Zamyślił się, nie zdradził jednak więcej szczegółów. – A potem wszystko stanęło na głowie. Ludzie powariowali. Dosłownie. Zresztą, co tu się dziwić, trudno się tak z dnia na dzień przyzwyczaić. Niektórzy wpadli w depresję, nie wychodzą z domów...

— Tak, jak tu szliśmy, rzeczywiście było pusto – wtrącił Veitch.

— Nie, nie. To dlatego, że słońce już zaszło. Jeśli nie ma takiej potrzeby, po zmroku nikt nie wychodzi na dwór. Ci, co, tak jak ja, przychodzą do pubu, niby chcą coś uradzić, ale tak naprawdę ważniejsze jest dla nas zachowanie pozorów normalności.

Później odprowadzamy się do domów. – Upił łyk z kufla, po czym dodał nieco żywszym tonem: – Najgorsza ta izolacja. Telefony nie działają, gazety nie wychodzą, usługi pocztowe też zawieszono, o radiu i telewizji nie wspominając. Jesteśmy zdani sami na siebie. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy widzieli, że w całym kraju ludzie mają podobne problemy. Zawsze to mniej nieszczęść na łebka. – Uśmiechnął się gorzko.

— Wierz mi, wszędzie jest tak samo – pocieszyła go Ruth. Coś w Maksie wzbudzało jej sympatię: może jego miłe usposobienie albo po prostu brak cynizmu.

— Tak właśnie mi się wydawało – przyznał. – Widzicie, z zawodu jestem reporterem, współpracuję z ogólnokrajowymi dziennikami. Teraz, gdy wszystko siadło, straciłem oczywiście źródło dochodów. Dzięki Bogu, sąsiedzi bardzo mi pomagają. Wprowadziliśmy taki system, że dzielimy się tym, co mamy. Tak czy owak, nie pracuję, ale dziennikarstwo mam przecież we krwi. Chciałem wiedzieć, co się dzieje i podzielić się tym z innymi. W końcu wpadłem na pomysł, żeby wybijać depesze Morse’em na bębnie. Chwyciło. Jedna wieś przekazuje wiadomości drugiej, taki łańcuszek. – Zawstydzony wzruszył ramionami. – Co było robić? Nie mogliśmy żyć dłużej w niepewności.

— Podziwiam twoją pomysłowość – powiedziała Ruth. – I że tak szybko wszystko zorganizowaliście. Większości ludzi chyba by się nie chciało.

— Kto ma wiedzę, ten ma władzę. – Ośmieliła go trochę ta pochwała.

— Powtarzam to sobie, odkąd zaczęliśmy wydawać lokalną gazetę. Udało nam się znaleźć czytelników od Appleby po Durham. Nie uwierzylibyście, ile mieliśmy kłopotów z jej

zalegalizowaniem. Jakiś urzędnik pofatygował się nawet tutaj, żeby nas powstrzymać! Tłumaczył nam coś o konieczności odgórnej cenzury, która zapobiegnie szerzeniu się paniki. A potem, mimo naszych przestróg, odjechał po zmroku do sąsiedniej wsi i ślad po nim zaginął. – Max milczał przez dłuższą chwilę, sącząc piwo.

— Trzeba się jakoś zaadaptować do nowych warunków, prawda? Stare zasady się nie sprawdzają, ale pewnie są jakieś nowe. Na przykład taka, że nawet we własnym aucie człowiek nie jest już bezpieczny.

— Świetnie sobie radzisz. – Ruth chciała mu jakoś dodać otuchy. Widać było, że jest mu ciężko i potrzebuje wsparcia.

— Opowiedzcie mi o wszystkim, co wam się przydarzyło – poprosił. – Ze szczegółami. Każda wskazówka będzie dla nas cenna.

— Ze szczegółami? – powtórzył rozbawiony Church. – Tylko później nie narzekaj.



Nie widzieli powodów, dla których nie mieliby zwierzyć się sympatycznemu dziennikarzowi. Przez półtorej godziny raczyli go mrozącymi krew w żyłach opowieściami. Z początku był podejrzliwy, ale ich miny upewniły go, że nie kłamią. Kiedy skończyli, wyglądał na oszołomionego.

— Niesamowite. Fantastyczne. Piątka wybrańców. Zwyczajni ludzie zmierzający się z potworami z Zaświatów. Zwyczajni ludzie zmieniający się w bohaterów. Tego właśnie ludziom trzeba!

— To nie tak – zaprotestował ze śmiechem Church. – Z naszej perspektywy wygląda to zupełnie inaczej.

— Zupełnie inaczej – zgodziła się naburmuszona Laura.

— Ależ taka historia da ludziom nadzieję! Już ja się tym zajmę! Rozpowiem wszystkim o waszych przygodach, wszystkim, do których tylko zdołam dotrzeć. Będę ich korespondentem wojennym. Bo przecież trwa wojna!

Jego entuzjazm zirytował Veitcha.

— Daj sobie spokój, nie jesteśmy żądni sławy. Nie ma mowy. Zresztą, jak znam dziennikarzy, pewnie byśmy się nawet nie rozpoznali w twoich artykułach.

— Jesteście to ludziom winni. To część waszej misji...

— Nic nikomu nie jesteśmy winni – zdenerwował się Veitch.

— Chcielibyśmy rozbić w obrębie wsi namioty – powiedziała Ruth, żeby zmienić temat.

— To niebezpieczne.

— W takim razie może macie tu jakieś pokoje do wynajęcia?

Max zerknął na barmana.

— Musiałbym się spytać Geordiego... Będzie ciężko. Nie sądzę, żeby po tym wszystkim, co się tu działo, miał ochotę przyjmować obcych pod swój dach. – Westchnął. – Z drugiej strony, nie będzie miał wyboru. Przecież was nie wygonimy.

Tom pochylił się nad stołem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

— Nie powiedziałaś nam jeszcze, co tak właściwie was dręczy.

— No tak... – Dziennikarz podrapał się po karku. Samo wspomnienie tych wydarzeń napawało go niepokojem. – Tak do końca to nie wiemy. Coś tam się przemyka po polach, ale co to takiego...

— Jak wyglądają te stworzenia? – spytała Ruth.

— Żeby mieć o nich w ogóle jakieś pojęcie, musieliśmy zebrać do kupy kilka fragmentarycznych opisów. W ruchu przypominają prześcieradła na wietrze, wydają się być płynne, bo najwyraźniej bezustannie przechodzą jakąś całościową metamorfozę, przez co nigdy nie są... hm... skończone. Ale nie znaczy to, że są zjawami. – Z emocji zaschło mu w gardle, więc sięgnął po piwo. – Mają zęby. I to jakie! Jeden z miejscowych widział, jak dobrały się do owcy. Jakby wpadła w młockarnię. To był ten pierwszy raz.

— Ale nie ostatni – wtrącił Church.

Max pokręcił ze smutkiem głową.

— Kiedy grasowały po polach, nie było jeszcze tak źle. Kilka owiec zawsze można przeboleć. Baliśmy się, ale do pewnego stopnia czuliśmy się bezpiecznie.

— Ale ośmielone bestie zaczęły zapuszczać się do wsi? – zgadł Tom. – Więcej tu zwierzyny, to i polować łatwiej.

— Pewnej nocy wpadły do miasta, jak trąba powietrzna. Pędziły główną ulicą, okręzały domy. Dzięki Bogu, ludzie wiedzieli, co się dzieje na polach i nie wychodzili już za często po zmroku. Zdołały znaleźć tylko jedną ofiarę. Panią Ransom. Mieszkała sama w wielkim domu przy końcu High Street. Była zamożna, ale wszyscy chyba się z nią dogadywali. Nigdy nie widziałem tyle krwi... – Pobladł. Wpatrywał się w osad na dnie swojego kufła. – Po tym wypadku już nic nie było tak jak dawniej, nawet za dnia. Zaginął Erie Rogers – znaleziono tylko jakiś strzęp. Niektórzy zaczęli rozpowiadać, że wynoszą się do miasta, kilku nawet wyjechało, ale większość boi się wychynąć poza wieś. Staliśmy się więźniami we własnych domach. Każdego wieczora barykadowaliśmy drzwi, a każdego ranka zbieraliśmy się tutaj na jałowych dyskusjach.

— To cud, że jakoś sobie radzicie – stwierdził Veitch.

— Z początku było fatalnie, ale z czasem poznaliśmy ich zwyczaje. Przychodziły do wsi każdego wieczora po zmroku, ale nigdy nie widywaliśmy ich w okolicy za dnia – trzymały się wtedy pól i dróg. Poza tym zdaliśmy sobie sprawę, że chociaż większość stawianych przez nas barykad była symboliczna, oprócz pani Ransom bestie nikogo nie wyciągnęły z domu. Chyba, że liczyć Immy’ego Oldfielda... To był taki pijaczek, mieszkał przy Recton Close. Od życia w ciągłym napięciu chyba w końcu zszedł. Siedział tu w pubie cały dzień i powtarzał, że ma dosyć, że się im postawi. Myśleliśmy, że się przechwala po pijanemu. – Maxa zdawały się gryźć wyrzuty sumienia. – Potwory musiały wyczuć, w jakim jest stanie, bo tej nocy kręciły się tylko pod jego drzwiami. Zrelacjonowali nam to później sąsiedzi z naprzeciwka. Nie umiały dostać się do środka, właściwie nawet tego nie próbowały. Ale Jimmy... – Dziennikarz pokręcił wolno głową. – Alkohol chyba przeżarł mu mózg. Wziął strzelbę i poszedł do przedpokoju. Bestie szybko zebrały się w jego ogródku od frontu, czekały, co zrobi, naprężone, gotowe do ataku. Biedak uchylił tylko nieco drzwi, żeby wystawić lufę na zewnątrz i ani się obejrzał, a już były w środku. Nic z niego nie zostało. – Max z westchnieniem dopił piwo. – W każdym razie wiemy, że przychodzą wyłącznie, kiedy się ściemni i nie wejdą ci do domu, jeśli masz zamknięte drzwi.

— Trochę to na pewno niewygodne – przyznał Veitch – ale chyba nie trudno się dostosować, jeśli w grę wchodzi twoje własne życie.

— Niby tak. – Max machnął kuflem na barmana, żeby ten mu dołał. – No i jak kogoś zabiją, dają nam na pewien czas spokój. Możemy wieść w miarę normalne życie. Wszyscy w wiosce

zostali powiadomieni, że mają nie wychodzić z domu po zachodzie słońca. Samotnym starszym osobom pomogliśmy zabezpieczyć drzwi.

— Ale i tak ktoś zginął? – domyślił się po jego zagubionej minie Church.

— Żeby jeden! Trzech! Trzech ludzi! To nie ma sensu. Przecież potwory nie mogą same wejść do środka. Otwierają im drzwi, czy co? Czemu wciąż ktoś ginie? – Odebrał piwo od barmana i wypił pół jednym haustem.

— Czasem ludzie wiedzą, czego nie powinni robić, ale i tak to robią – zauważyła Ruth.

— Nie o to tu chodzi. Z jedną z ofiar, Dave'em Garsonem, rozmawiałem ledwie kilka godzin wcześniej. Był śmiertelnie przerażony. Za żadne skarby nie otworzyłby im drzwi. Ale następnego dnia już nie żył. Jego żona i dzieci dostały hysterii. Ponoć potwory wtargnęły do kuchni, kiedy reszta rodziny poszła już spać, a Dave dopijał wieczorne piwo.

— Może jednak nie docenicie ich zdolności – zasugerował Church.

— Wierz mi, obserwowaliśmy je pilnie. Nie potrafią same otworzyć drzwi. Czego jak czego, ale tego akurat jesteśmy pewni. – Max odwrócił się i przywołał zadbanego starszego mężczyznę, który pił przy barze coś mocniejszego. Nieznajomy był wysokim, szczupłym, sześćdziesięcioletkiem z gęstym, śnieżnobiałym wąsem. Wyglądem przypominał przedwojennego generała. – Pozwólcie, że wam przedstawię sir Richarda. Mieszka w miejscowym dworze. Podobnie jak ja, jest członkiem naszej małej grupy wywiadowczej.

— Mam spore doświadczenie w tych sprawach – oświadczył arystokrata. – Dobraliśmy się tak, żeby, nie wychodząc z domu,



móc wspólnie obserwować całą wieś. Podzieliliśmy się dyżurami i całą noc nie spuszczałyśmy gadzin z oka. Coraz lepiej znamy ich zwyczaje. Próbowaliśmy nawet do nich strzelać, ale nic to nie dało. Równie dobrze moglibyśmy starać się zestrzelić chmurę.

— I bestie nie potrafią same otworzyć sobie drzwi, prawda sir Richardzie?

— Zgadza się. Zbierają się przed domami, ale ich nie szturmują. Podejrzana sprawa. Nie mamy pojęcia, co z tym zrobić. – Nie tracąc czasu na zbędne pogaduszki, dżentelmen wrócił do baru.

Max pochylił się nad stołem i szepnął: – To były poseł prawicy, ale i nasz nieformalny przywódca. Jest niezastąpiony, gdy trzeba coś zorganizować albo wciągnąć ludzi w jakąś akcję. Muszę przyznać, że jestem mile zaskoczony reakcją innych mieszkańców na ten kryzys. Nie uwierzylibyście, ilu dawnych samolubów i piniaczy pokazało zupełnie niespodziewanie ludzką twarz. Musiało zginąć kilka osób, żebyśmy stali się dla siebie mili. Co za ironia!

Dyskutowali na ten temat przez resztę wieczoru. Wszyscy członkowie drużyny zgadzali się, że cierpienie i trudności nieraz wydobywają z ludzi wiele dobrego, nie potrafili jednak dojść do porozumienia, czy to, co zyskali z nastaniem nowych porządków, zrekompensowało im to, co stracili.



Barman Geordie dysponował wprawdzie kilkoma pokojami, które zwykł wynajmować zagranicznym turystom, ale nie był zachwycony, że musi ulokować w nich przybyszy. Rozchmurzył

się odrobinę dopiero wtedy, kiedy obiecali go hojnie wynagrodzić, jeśli do noclegów dorzuci jeszcze wyżywienie. Zniknąwszy w kuchni, wrócił po trzech kwadransach z puree ziemniaczanym, groszkiem na ciepło i plastrami szynki. Laura narzekała trochę, że mięso „zbeczcześciło” jej warzywa, ale wygłodzona długim marszem, podobnie jak pozostali zjadła wszystko do ostatniego kęsa. Posiłek popili kolejną porcją jasnego piwa.

Max zostawił ich samych na czas kolacji, żeby opowiedzieć innym bywalcom pubu o tym, czego się dowiedział. Church obserwował, jak zmieniają się emocje malujące się na twarzach rozmówców dziennikarza – z początku mu niedowierzali, potem wyglądali na oszołomionych, wreszcie spoglądali na przybyszy z respektem graniczącym z nabożną czcią. Church zmieszał się i odwrócił wzrok.

Pub zamykano o jedenastej. Goście zgromadzili się przy drzwiach, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo są zdenerwowani, co jednak nie najlepiej im wychodziło. Tylko Max zdołał nie stracić pogody ducha. Pomachawszy nowym znajomym na pożegnanie, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyjrzał na pogrążoną w mroku ulicę. Nikt nie miał ochoty pójść w jego ślady, ale po chwili wahania tłum wylał się w końcu na zewnątrz. Wszyscy musieli wziąć wpierw głęboki oddech, bo zza zamykanych drzwi doszło grupowe westchnienie. Ruszyli. Kroki i szelesty ucichły.

— Nic im nie będzie? – spytała Ruth drżącym głosem. Zaskoczyła Churcha swoją troską o los nieznanym wieśniaków.

Barman podparł się łokciami o blat.

— Jak Bóg da. Mają już wprawę, wyćwiczyli powroty do

perfekcji. Nigdy niepotrzebnie nie ryzykują.

— Łatwiej byłoby po prostu siedzieć po zmroku w domu – zauważył Church.

— Ale wtedy pokazalibyśmy bestiom, że to one rządzą naszym życiem, prawda?

— Prawda.

Sprzątnąwszy za barem, Geordie zaprowadził ich na tyły budynku i dalej krętymi schodkami na górę. Zakręcający pod ostrym kątem korytarzyk prowadził do kilku skromnie urządzonych sypialni. W każdej z nich na całe umeblowanie składało się podwójne łóżko, krzesło, komoda i umywalka, wszędzie było czysto, a lniana pościel wyglądała na świeżo wykrochmaloną.

— O której śniadanie? – spytał Veitch.

— Kto płaci, ten dyktuje warunki – oświadczył Geordie. – Zastukajcie do mnie rano, jak będziecie gotowi.

Pierwszy pokój z brzegu zajęli Church z Laurą. Veitch liczył na Ruth, ale ta bez słowa poszła za Shavim.

— No to jest nas dwóch – stwierdził cierpko Tom.

— Hip hip hurra. – Veitch wszedł za nim do ich pokoju i zamknął za sobą drzwi kopniakiem. – Mam tylko nadzieję, że ten facet naprawdę jest gejem.



Laura kochała się z Churchem wyjątkowo namiętnie, wciskając go w materac i ujeżdżając dziko niczym mustanga. Ich łóżko tak trzeszczało, że nikt w budynku nie mógł mieć złudzeń co do tego, czym się zajmują. Po dziesięciu minutach łomotu

znieczierpliwiony Veitch zaczął walić w ścianę. Krzyczał coś przy tym gniewnie, ale dzielący ich mur tłumiał jego przekleństwa.

— Co, zazdrościsz? – wydarła się dziewczyna. – Miłego trenowania rączki!

Szaleńcze tempo szybko doprowadziło Churcha do wytrysku. Laura najwyraźniej nie oczekiwała niczego w zamian i padła zarumieniona na poduszki.

— Powinnam brać udział w rodeo! – zawołała, śmiejąc się z własnego zadyszania.

Wpatrywali się w sufit, czekając aż ich oddechy wrócą do normy i w końcu byli w stanie usłyszeć charakterystyczne dla starych domów trzaski desek podłogi. Podczas uprawiania seksu Church nie myślał o niczym, ale teraz powróciły dawne wątpliwości. Co tak właściwie czuł do leżącej koło niego dziewczyny? Za nic na świecie nie chciał jej zranić. Poza tym, znając ją lepiej niż kogokolwiek z drużyny, zdawał sobie sprawę, że w istocie brak jej pewności siebie, że dręczą ją kompleksy i przeróżne lęki – przeraziłaby się, gdyby powiedział jej, że odkrył jej sekret.

Laura domyśliła się chyba, o czym rozmyśla jej ukochany, bo z uśmiechem zakryła mu dłonią usta.

— Nic nie mów. Słowa tylko wszystko zepsują.

Delikatnie odepchnął jej rękę.

— Po prostu chcę być z tobą szczerzy. Sama wiesz... Żebyś się niepotrzebnie nie łudziła. Nie...

Tym razem przycisnęła dłoń mocniej.

— Churchill, zastanów się, do kogo mówisz, człowieku. Myślisz, że już planuję nasz ślub, jak jakaś naiwna siusiumajtka? Jestem dorosła, cokolwiek to znaczy. Znam życie. Wiem, w co się pakuję. I wiem, że gdyby zajrzeć do twojej głowy, zobaczyłoby się

sceny jakby żywcem wyjęte z *Szeregowca Ryana*. Przyznaję, że w Edynburgu trochę mnie poniosło. Straciłam nas sobą kontrolę. Byłam żałosna. Ale jeśli choć raz się to jeszcze powtórzy, przyrzekam, że wydlubię sobie oczy. – Odsunęła dłoń, a kiedy Church otworzył usta, żeby coś powiedzieć, natychmiast znów ją przyłożyła. Śmieszyła ją ta zabawa. – Niczym się nie przejmuj. Żeby wszystko było jasne: żadnych zobowiązań, jeśli między nami wszystko się ułoży, świetnie. Jeśli nie, cóż, przynajmniej próbowaliśmy. A na razie cieszymy się tym, co jest, i tyle.

Odsunął się, zasłaniając sobie dolną połowę twarzy poduszką, żeby Laura nie mogła go dłużej uciszać. Deklaracja dziewczyny poprawiła mu humor.

— Jesteś pewna?

— Pewna jak krewna, prosiaczku.

Śmiejąc się, rzucił w nią jaśkiem. Nie pozostała mu dłużna. Kotłowali się przez chwilę, bijąc się na niby – tylko tak potrafili okazywać sobie czułość – a potem padli na wznak, chichocząc histerycznie. Kiedy się uspokoili, Laura stwierdziła z powagą: – Wiesz, zmieniałam się.

— W jaki sposób?

— Kiedyś po prostu żyłam, ot, z dnia na dzień. Nic mnie szczególnie nie ekscytowało. Wszystko kwitowałam co najwyżej wzruszeniem ramion. A teraz... Znasz takie uczucie, jakby w żołądku przechodziły cię ciarki? Ostatnio w kółko mi się to zdarza. Wystarczy, że spojrzę na byle co, na przykład na cienie chmur sunące po polach. Albo powącham jakąś smakowitą potrawę. Zauważyłeś, jaki przyjemny jest zapach palonego drewna? Albo kiedy wszyscy się rozgadują, przekrzykujemy się, prekomarzamy, czasami aż iskrzy. Dogryzam wam, ile wlezie, a wy mi, i myślę sobie: „Oto najlepsze chwile mojego życia”. A

przecież zbliża się koniec świata, ludzie umierają! Nie świadczy to o mnie najlepiej.

— Nie ty jedna masz ten problem.

— Co takiego?

— Ja też tak się czuję. Sądzę, że pozostali także. O czym to świadczy? Chyba o tym, że właśnie tak należy podchodzić do życia.

— Oj, coś zaczynasz filozofować. Nie lepiej powiedzieć, że mam nie po kolei w głowie i zmienić temat?

— Przecież to nieprawda. – Nagle zrobiło mu się jej żal. – Nic się nie stanie, jeśli zaczniesz traktować siebie z większym szacunkiem. Nie jesteś wcale taka odpychająca, jaką udajesz. Po co grasz?

— To dobry test. Tylko ten, kto jest mnie w stanie przejrzeć, sprawdzi się jako przyjaciel. Odstraszam tych, którzy nie są warci zachodu.

— Są inne sposoby, łatwiejsze.

— I tu się z tobą nie zgodzę. Nie można dać się zwieść pozorom. Uśmiechają się tacy, komplementują, ale co tak naprawdę o mnie sądzą? To życie mnie tego nauczyło, chłopaczku. Dzieciak z ciebie, jeśli jeszcze o tym nie wiesz. Tylko tak da się odsiać ziarno od plew.

Zapadając się w ciepłe pościeli, rozmyślał o tym, co mu powiedziała. Intrygowała go jej złożona osobowość, ale w jej słowach kryło się coś jeszcze, coś istotnego, co podświadomie sobie uzmysłowił. Przez jakiś czas starał się wydobyć to odkrycie na powierzchnię, chowało się jednak uparcie w zakamarkach umysłu. Nawet nie zauważył, kiedy zmorzył go sen.



Veitch rozluźnił się, słysząc, że Church i Laura skończyli się kochać, niemniej incydent ten mocno go zirytował. Krążył po pokoju niczym zwierzę w klatce, nagi do pasa, cały w tatuażach, które falowały z każdym ruchem jego nabitych mięśni.

— Usiądziesz w końcu czy nie? – warknął Tom. – Czuję się przy tobie nieswojo.

Veitch zerknął na niego spode łba, ale nic nie powiedział, tylko opadł na krzesło i sięgnął po wiszącą na brzegu łóżka kuszę. Wyciągnąwszy ze skórzanego woreczka natłuszczoną szmatkę, przystąpił do cwieczornego rytuału czyszczenia swojej broni. Chciał być pewien, że w razie potrzeby go nie zawiedzie. Rutynowe czynności zdawały się przynosić ulgę.

— Coraz bardziej ujawniają się twoje talenty wojownika – zagaił Tom. – Czy uważasz, że jesteś w stanie dobrze je wykorzystać?

Veitch chrząknął tylko głośno. Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje na ten temat.

— Ponoć jesteś bohaterem – odgryzł się – a przynajmniej tak głoszą legendy. Może byś tak popisał się kiedyś przed nami jakimś heroicznym czynem?

Teraz to Tom ścisnął wargi.

— Nie przywiązuaj zbytnej wagi do legend, chłopcze. Mają za zadanie tworzyć bohaterów, żeby słabi mieli z kogo brać przykład. Ty lepiej stój obiema nogami mocno na ziemi. Jeśli się rozejrzysz, zobaczysz wokół siebie ludzi dokonujących trudnych wyborów, idących na kompromis, dających z siebie wszystko na przekór złemu losowi.

— Więc nie jesteś bohaterem? Przez lata rozsiewałeś o sobie pochlebne plotki?

— Dobrze ci radzę, nie popisuj się publicznie swoją ignorancją. Wierz mi, gorzko tego pożałujesz.

— Boże, stary, działasz mi na nerwy.

Tom wyjął puszkę, w której trzymał narkotyki, po czym zabrał się za skręcanie dla siebie jointa.

— Za dużo w tobie złości.

— Życie mnie złości – burknął Veitch, nie przerywając czyszczenia kuszy.

— Chciałbyś być kim innym – ciągnął Tom niewzruszony. – Złóścisz się na siebie, bo tym kimś nie jesteś.

— Mówisz jak jakiś pieprzony psycholog z poradni.

Tom zapalił skręta i zaciągnął się z lubością.

— Znasz tę starą przypowieść o skorpionie, który chce się przedostać na drugi brzeg rzeki na grzbiecie jakiegoś zwierzęcia? Nie pamiętam już, jakiego.

— Tak, tak. Skorpion obiecuje, że go nie ukąsi, ale w połowie drogi nie może się powstrzymać, więc w rezultacie obaj giną.

— Ludzie zawsze powołują się na podobne opowiadania, jakby głosiły jakieś dogmatyczne mądrości, ale prawda jest taka, że nie ma żadnych dogmatycznych mądrości, a przynajmniej nie ma takich, które ktoś z nas byłby w stanie poznać. Wszystko podlega dyskusji. Historia skorpiona ma nam pokazać, że jesteśmy więźniami własnej natury. Głosi, że wewnętrzna przemiana jest niemożliwa. Aż do śmierci będziemy powtarzać te same biedy. To bardzo smutna wizja, nieprawdaż?

Veitch nie odpowiedział.

— Ja jednak uważam – ciągnął Tom – że ludzie mogą się zmienić, że z roku na rok stają się coraz mądrzejsi i w końcu



potrafią porzucić przywary, z którymi przyszli na świat. Jeśli tylko bardzo się postarają.

Pochylony nad kuszą Veitch zdawał się w ogóle nie słuchać starego nauczyciela. Pokój wypełnił się stopniowo wonnym, haszyszowym dymem. Kiedy mężczyzna wreszcie się odezwał, w jego głosie jakimś cudem nie było już słycać gniewu.

— Sądę, że to ta suka Laura zamierza nas zdradzić.

— Skąd to przypuszczenie?

— To chyba się rozumie samo przez się. A ty... ty jej nie podejrzewasz?

— Czy ja wiem? Stawiałem raczej na ciebie.

Veitch podniósł głowę znad kuszy. Był zszokowany.

— Co ty wygadujesz?

Tom wzruszył ramionami.

— Intuicja starego wygi.

Veitch przyglądał mu się przez chwilę, chcąc sprawdzić, czy kompan go nie podpuszcza, ale jak zwykle z twarzy hipisa nie dano się nic wyczytać.

— Jestem czysty! – Głos mu drżał od skrywanych emocji. – Wiem, że wszyscy myślą tak jak ty, bo w przeszłości nieźle narozrabiałem, ale ci ludzie są dla mnie najważniejsi na świecie. To, co razem robimy... dla kraju... dla innych... Oddałbym za to życie. – Spojrzał wyzywająco na swojego rozmówcę.

— Jeśli tak, to co innego – odparł Tom takim tonem, że i tak nie było wiadomo, czy mówi serio. – Pamiętaj tylko, że nie powinno się nikogo oskarżać, nie mając dowodów.

— Nie martwi cię to; że jedno z nas może choćby teraz mieszać nam szyki?

— Biorę to pod uwagę, ale nie można też zawsze wierzyć wskazówkom zmarłych. Sam się o tym przekonałeś. Trochę

więcej cierpliwości. Miejmy się na baczności, a nie stanie nam się krzywda, nie myl tylko baczności z chorobliwą podejrzliwością. Musisz ufać tym, z którymi chcesz współdziałać.

— Co to ma być? Dopingująca gadka pana trenera?

— Wybór należy do ciebie.

Veitch odwiesił kuszę na miejsce.

— Spróbuję postępować tak, jak mówisz. Zadowolony?

Ból, potworny ból. Połyskujące w ciemnościach narzędzia tortur, rozgrzane do czerwoności. Zwierzęcy smród i te głosy, które nie były głosami, a raczej odgłosami dżungli po zmroku. Ruth pomyślała, że więcej nie znieśie. Łatwiej było już umrzeć.

Ale oni nie mieli zamiaru odpuścić. Kolejne tępe ostrze, kolejna stalowa spirala. I imadła. Oczy piekły od łez, gardło zacisnęło się do tego stopnia, że nie mogła złapać tchu. Krzyknęła, krzyknęła resztką sił.

— już dobrze, już dobrze. To tylko sen.

Rzucała się, nadal krzycząc, rozdarta pomiędzy piekłem izby tortur a mrokiem skromnego pokoiku nad barem. Głosy oprawców cichły stopniowo, ból słabł i zdała sobie sprawę, że wiszący nad nią w powietrzu jasny kształt to nic innego jak zatroskana twarz Shaviego.

— Już dobrze – powtórzył, głaszcząc ją po głowie, a widząc, że oprzytomniała, przyciągnął ją delikatnie do siebie. Napięte mięśnie kobiety powoli się rozluźniały. Oparła się o jego pierś. Serce trzepotało jej w piersi, po policzkach płynęły gorące łzy.

— Nigdy nie uda mi się zapomnieć – szepnęła. – Nigdy.



Może to krzyk Ruth ich wszystkich przebudził, a może coś innego, ale cała szóstka nie spała, gdy na dworze zaczęło się coś dziać. Zaniepokojeni podeszli do okien. Z początku trudno było cokolwiek dostrzec, ale potem ich oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyli, że w kilku miejscach na głównej ulicy coś krąży w tę i z powrotem, niczym kłęb tiulu przesuwany podmuchami. Wzdrygnęli się, uświadomiwszy sobie, co widzą. Jak prześcieradła na wietrze – tak powiedział Max.

Żadne znane im zwierzę nie poruszało się w taki sposób, ale jakieś zwierzęta być to musiały, bo od czasu do czasu w mroku błyskały czerwienią ich wąskie ślepia. Laura przypomniała sobie ze zgrozą, że takie same miał mijany przez nich strach.

Bestie czuły się zupełnie bezkarnie. Trzaskając furtkami, wchodziły do ogródków, ale sir Richard miał rację, nie próbowały wtargnąć do domów. Uspokojeni, jeśli tak to można było określić, wrócili do łóżek.

Dziesięć minut później usłyszeli charakterystyczny wysoki przerywany dźwięk, z którym każde z nich miało już do czynienia wiele razy, ale jeszcze nigdy w tak przerażających okolicznościach. Złani zimnym potem, rzucili się do okien. Galaretowate cienie wycofywały się pospiesznie ku polom, ale kiedy po drodze mijały pub, wśród ich ciemnych kształtów dostrzegli coś jasnego. Bestie porwały właśnie czyjeś dziecko.

## ROZDZIAŁ 12

# STOS POKRUSZONYCH OBRAZÓW

[T.S. Eliot Ziemia Jałowa]

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Church i Veitch w kilka sekund znaleźli się na ulicy, ale nie potrafili ustalić, dokąd czmychnęły potwory. Zbyt wiele miały możliwych dróg ucieczki, a w ciemnościach nie sposób było dostrzec na ziemi ich śladów. Mężczyźni znaleźli za to bez trudu dom ofiary, bo po całej wiosce niosły się krzyki i zawodzenia jego mieszkańców.

Na progu jednego z budynków zbudowanych przez gminę mocowała się z krewnymi młoda kobieta. Chciała pobiec za bestiami, czepiała się kurczowo framugi, ale bliscy, przerażeni, że i ją stracą, trzymali ją mocno. Nieszczęsna matka wyła niczym ranione zwierzę. Jedyne słowo, jakie powtarzało się w jej jęku, było imię córki: Ellie.

W okolicznych domach zapalały się kolejne światła. Do Churcha i Veitcha dołączyło kilkoro sąsiadów. Jeden z nich zmusił kobietę do połknięcia jakiejś tabletki, dzięki czemu uspokoiła się wkrótce na tyle, że zdołano wciągnąć ją do wnętrza domu. Po chwili na progu pojawił się jeden z krewnych. Był bosy,

w szarych spodniach od pizamy i podkoszulku z napisem *METALLICA*. Twarz miał bladą jak ściana.

— Jak do tego doszło? – spytał cicho Church.

Mężczyzna wydawał się być półprzytomny, patrzył gdzieś w bok. Kiedy po policzku spłynęło mu kilka łez, starł je szybko trzęsącą się ręką.

— Boże święty – wymamrotał. – Boże. – Musiał się podeprzeć o furtkę. – Mówiła, że były zamknięte na klucz! Boże święty!

Odwrócił się, żeby przyjrzeć się wspomnianym przez siebie drzwiom. Kiedyś musiały być białe, ale farba zdążyła zżółknąć. Sądząc po śladach u dołu, często otwierano je kopniakiem. W przedpokoju paliło się nieprzyjemnie ostre światło. Mężczyzna spojrzał na przybyszów i długo nie odwracał wzroku, jakby zaraz miał coś powiedzieć. W końcu niepewnym krokiem poszedł do domu obok.

Kiedy znikł w środku, Veitch wślizgnął się do ogródka i przyjrzał drzwiom z bliska.

— Spójrz tylko na to. – Na wysokości klamki framuga była rozszczepiona. – Max się mylił. Dranie jednak potrafią się włamać.

Church podszedł bliżej i przesunął palcem po zniszczonym fragmencie deski.

— Może uczą się nowych sztuczek.



Rano pub wypełniła apetyczna woń smażonych potraw: bekonu, kielbasek i sadzonych jajek. Siadając do stołu, członkowie drużyny mieli wrażenie, że nawet zapachy są w

nowej rzeczywistości intensywniejsze. Po tym, co wydarzyło się w nocy, trudno było jednak czymkolwiek się cieszyć. Rozmowa szybko zeszła na to, czy nie należałoby zarządzić masowej ewakuacji, skoro bestie potrafią już wtargnąć do domów.

— Ostateczna decyzja należy do mieszkańców – powiedział Tom – ale nie sądzę, żeby spodobał im się ten pomysł, bez względu na to, co im grozi. Skazaliby się na poniewierkę, a w czasach kryzysu symboliczne poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji jest niezwykle ważne.

Twarz Ruth nadal miała szarawy odcień. Odkąd Veitch ją uwolnił, rzadko dostawała zdrowych rumieńców przed śniadaniem.

— Biedna kobieta. – Westchnęła. – To było jej jedyne dziecko. Musimy im jakoś pomóc.

— Jakbyśmy nie mieli już dość na głowie – burknęła Laura.

— Ruth ma rację – stwierdził Church ku wyraźnej irytacji swojej dziewczyny. – Jeśli tylko w jakikolwiek sposób możemy pomóc mieszkańcom tej wsi, nie powinniśmy zostawiać ich na pastwę losu.

— Max mówił, że po każdym ataku bestie przez kilka dni nie pokazują się w wiosce – przypomniał Shavi. – Daje nam to pewne pole do manewru.

— W takim razie nie mamy czasu do stracenia – zapalił się Church. – Musimy zacząć działać. Porozmawiać ze wszystkimi. Wywiedzieć się, czy ktoś nie ma czegoś, co moglibyśmy wykorzystać do skutecznego odstraszania tych potworów.

— Nie rozumiem was – przyznała Laura z sarkazmem. – Gadacie do znudzenia o swojej wielkiej misji, a potem nagle ją porzucacie, żeby marnować czas, pomagając wieśniakom. I to narażając własne życie! Nie widzieliście, co się tu działo wczoraj

w nocy? Te galarety mogą dorwać każdego z nas, a tylko w komplecie jesteśmy w stanie wykonać powierzone nam zadanie. Musimy ratować własną skórę.

Veitch rzucił jej lodowate spojrzenie.

— Ratując tę wieś także ratujemy świat.

— Bycie tobą musi być zajmujące – zakpiła Laura. – Tylko byś ratował innych, od rana do nocy.

— Przynajmniej nie jestem pieprzonym egoistą.

— Uspokójcie się, na miłość boską! – przerwał im Church. – Zostajemy. Klamka zapadła.



Kiedy wychodzili na zalaną słońcem ulicę, Shavi trzymał się z tyłu, próbując dyskretnie zwrócić na siebie uwagę Churcha. Udało mu się, zostali sami na progu. Pozostali ruszyli zasięgnąć języka u mieszkańców.

Mimo wczesnej pory było gorąco. Głośno bzyczały pszczoły. W powietrzu unosiły się dziesiątki motyli zwabionych słodką wonią kwitnących róż.

Church domyślił się po minie szamana, że ten nie ma dla niego dobrych wiadomości.

— Coś nie tak? – spytał.

— Przechodzi mi to przez gardło z największym trudem – zaczął Shavi z wahaniem – ale cóż, muszę cię o tym poinformować. Gdy tylko opanujemy sytuację w tej wsi, mam zamiar odłączyć się od drużyny.

— Nie możesz odejść! – zaprotestował przerażony Church. – Jesteś... Gdyby nie ty... – Nie wiedział, jak to wyrazić. – Nie

poradzimy sobie bez ciebie. Jesteś dla nas wszystkich opoką, jedynym prawdziwie dojrzałym człowiekiem z naszej piątki!

— Obawiam się, że masz o mnie zbyt wysokie mniemanie. Proszę, nie utrudniaj mi tego. Dobrze wiem, co należy do moich obowiązków. Jestem członkiem drużyny, mamy swoją misję. Tyle że...

— Tyle że co? – Church niepotrzebnie się zdenerwował.

— To ja uwolniłem tego potwora Maponusa. Mam na sumieniu wszystkich, których w ciągu tych kilku ostatnich dni pozbawił życia.

— Przecież wspólnie podjęliśmy tę decyzję. Kazaliśmy ci go uwolnić. Skąd mogłeś...

Shavi uciszył go stanowczym gestem.

— Wiedziałem, co ryzykuję, czy nie wiedziałem – to nie ma znaczenia. Z pewnością okazałem zbyt wiele arogancji, co umożliwiło manipulowanie moją osobą. Mów co chcesz, i tak będę się czuł odpowiedzialny za tę katastrofę. Muszę jakoś odkupić swoje winy...

— I jak to sobie wyobrażasz?

— Chcę doprowadzić do ponownego uwięzienia Maponusa.

— Shavi, chyba zdajesz sobie sprawę, że to niewykonalne. Wtedy, przed wiekami, w rytuale wzięły udział setki ludzi, którzy posiadli ogromną wiedzę. Wielu z nich zginęło.

— Nie wiem, jak tego dokonam, ale muszę spróbować. Odszukam Strażnika Kości i zaoferuję mu pomoc. Być może we dwóch wpadniemy na jakiś pomysł...

— Nie ma mowy. Nie zgadzam się.

Shavi się uśmiechnął.

— Przykro mi to mówić, ale to dla mnie ważniejsze niż nasza przyjaźń i fakt, że jesteś naszym przywódcą. Jack, zrozum, nie



mogę inaczej.

Church szukał na gwałt jakichś argumentów. Bał się, że odejście szamana będzie oznaczać początek końca ich drużyny.

— Duch Pendragona dobrał nas tak, żeby nasze talenty i cechy charakteru się uzupełniały. Jesteśmy jednością. Bez ciebie nie będziemy w stanie kontynuować misji.

— Nie odchodzę na zawsze. Wrócę, kiedy znajdę jakieś rozwiązanie.

— Zostań jeszcze trochę. Przemyśl wszystko starannie.

— Już...

— Nie, posłuchaj, wiem, co zrobimy. Zwrócimy się z prośbą o pomoc do tej kobiety ze Strażnicy, tej, która nam wszystko na początku wyjaśniła. Ma na imię Niamh. Łączy mnie z nią jakaś tajemnicza więź. Zanim odejdiesz, pozwól, że spróbuję się z nią skontaktować. Może będzie miała dla ciebie jakieś wskazówki. W końcu oboje są potężnymi przedstawicielami tej samej rasy!

Shavi wyglądał na niezdecydowanego.

— Nie proszę cię, żebyś zmienił zdanie – dodał Church. – Zobacz tylko najpierw, co ona będzie miała do powiedzenia.

Szaman zamyślił się.

— Dobrze, poczekam.

Odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem, żeby dogonić pozostałych. Obserwując go, Church nie mógł pozbyć się wrażenia, że z dnia na dzień coraz bardziej ciężą mu obowiązki przywódcy. Był pewien, że prędzej czy później nie sprawdzi się w tej roli.

— Musimy potwierdzić wszystkie uzyskane do tej pory informacje – powiedziała Ruth znad listy ofiar, którą dostała od Maxa. Cieszyła się, że może wreszcie zająć się analizowaniem jakichś danych, zamiast zabijać czas myśleniem o swoich

niedomaganiach i wpływie czarnej perły na osłabiony organizm.

Tom westchnął ciężko, jakby to on dopiero opuścił lochy Fomorian i nie miał sił na jakiegokolwiek przesłuchania. Ruth знаła go zbyt dobrze, by dać się sprowokować.

— Wiesz, chyba odkryłam twoją sekretną broń.

— Tak?

— To wzbudzanie w ludziach irytacji. Nie musisz nawet nic mówić, starczy, że namierzysz ofiarę i gotowe. – Urażony, chrząknął w tak komiczny sposób, że nie mogła się nie uśmiechnąć. – Tak naprawdę znamy tylko pogłoski. Jeśli któraś z tych historii mija się z prawdą, istnieje prawdopodobieństwo, że, planując strategię obrony, popełnimy jakiś istotny błąd. Błąd, który może kosztować kogoś życie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Powinniśmy iść dalej. Przecież...

— Nie zaczynaj znowu. Klamka zapadła.

Wziął od niej listę i rozejrzał się, by odszukać wzrokiem dom każdej z zabitych osób.

— Dobrze, że czwórka była sąsiadami. Zawsze zaoszczędzimy trochę czasu.

Laura i Veitch rozmawiali właśnie z tymi, którzy widzieli stwory z bliska, a Shavi udał się już do domu pierwszej ofiary, pani Ransom, postanowili więc zająć się właśnie ową czwórką. Według listy należał do niej młody mleczarz, czterdziestoletnia sprzątaczką, mała Ellie i wspomniany przez Maxa pijaczyna Oldfield.

Na Recton Close odkryli, że dom tego ostatniego stoi pusty. Furka była otwarta na oścież, a jedną z szyb niedawno rozbito kamieniem. Ruth podejrzewała kogoś z miejscowych łobuziaków.

Nieopodal mieszkała rodzina, której zeszłej nocy porwano dziecko. Zastłony we wszystkich ich oknach były zaciągnięte. Ruth i Tom uznali, że należy zostawić nieszczęśników w spokoju i w zamian odwiedzili sąsiadów pozostałej trójki.

Niestety nie dowiedzieli się niczego, co mogłoby im pomóc rozwikłać zagadkę. Wszyscy zabici zajmowali lokale komunalne i nie śmierdzili groszem, Jimmy Oldfield, mimo swojego nałogu, okazał się powszechnie lubiany. Sprzątaczkę zatrudniali bogatsi mieszkańcy wsi, a mleczarza zwolniono z pracy na krótko przed pojawieniem się potworów. Sądząc z opisów, żadne z tych dwojga nie było na tyle nierozsądne, by zostawić po zmroku otwarte okna czy drzwi.

Przepytawszy wszystkich, inspektorzy-amatorzy usiedli na ławce i zabrali się za uważne czytanie swoich notatek.

— To nieprawdopodobne, żeby cała czwórka wpuściła bestie przez pomyłkę – stwierdziła Ruth. – Weźmy na przykład matkę Ellie. Przecież dobrze wiedziała, jak skończyło troje jej sąsiadów.

— Może to mała otworzyła drzwi? – zasugerował Tom.

Jego towarzyszka rozłożyła ręce.

— Kto wie, może te stwory mają hipnotyczne zdolności mitycznych syren? W jakiś sposób omamiają ludzi, a ci, bezwolni, wykonują ich rozkazy?

— Wszystko jest możliwe. Choć Ryan twierdzi, że te ostatnie drzwi zostały wyważone.

W zamyśleniu śledzili wzrokiem stadko kaczek, które, kolebiąc się, zmierzały ku sadzawce pośrodku skweru. Zbliżało się południe, słońce rozleniwiało, wokół panowała niemal idealna cisza. Okoliczne zabudowania prezentowały się wyjątkowo malowniczo. Nic nie wskazywało na to, że nocą grasują tu krwiożercze bestie.

— W takim razie Max i reszta muszą się mylić – odezwała się Ruth. – Te potwory potrafią dostać się do wnętrza każdego upatrzonego przez siebie domu.

Już wypowiadając te słowa, poczuła, że coś w jej rozumowaniu się nie zgadza, ale na razie podświadomość nie chciała jej powiedzieć, co.



— To niedorzeczna hipoteza. Zaręczam, że te istoty nie są w stanie poradzić sobie z zamkiem, mało tego, nawet ze zwykłą klamką. – Sir Richard stał nieruchomo wyprostowany jak struna, jakby lada chwila miał prezentować broń przed jakąś głową państwa. Shavi natknął się na niego przy drugim końcu High Street pod domem świętej pamięci pani Ransom. Chodnik zaciaśniały tu liczne sędziwe drzewa, a ogród otoczony był kamiennym murkiem. Ściany imponującego rozmiarami budynku porastał słodko pachnący powojnik.

Shavi nie zmierzał się spierać.

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko naszej dociekliwości.

— Nie, skąd. Wiem, że chcecie nam pomóc. – Dżentelmen poprawił swoją panamę. Spod jej runda ledwie było widać jego oczy. – Tyle że zdążyliśmy już się doskonale zorganizować. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ochronić naszą wieś. A co do tych gadzin, cóż, sam badałem ich zachowanie, a w obserwowaniu wroga czy zwierzyny mam ogromne doświadczenie, jestem przekonany, że poznałem ich ograniczenia.

— Więc jak...

— Nie potrafię tego wyjaśnić – odparł arystokrata ze smutkiem. – Cóż, wszyscy popełniamy głupie błędy. Wystarczyło zapomnieć i nie domknąć drzwi.

Shavi przeniósł wzrok na ciemną fasadę.

— Piękny ten dom.

— Mnie także bardzo się podoba. Ransomowie mieszkali w nim od pokoleń. To przykre, że Alma była ostatnią z rodu. Przychodzę tu codziennie, żeby mieć wszystko na oku, odstraszać wandalów. Co za straszna historia.

— Była pierwsza, prawda?

Sir Richard pokiwał głową.

— Nagle przejrzelśmy na oczy. – Wskazał na sąsiednie pięknie utrzymane rezydencje. – Myśleliśmy, że nic nam się nie może tu stać, że znaleźliśmy raj na ziemi. Okolice są takie piękne, wieś ma wieloletnią historię. Daleko stąd do miast, do gąsienicy nowoczesnego życia. Osiedliłem się tu, kiedy po przegranej w ostatnich wyborach przeszedłem na emeryturę. Mogłem tu odpoczywać od zgiełku, doglądać róż. A teraz... – Westchnął.

— Wszystkim jest ciężko – powiedział Shavi. – W całym kraju źle się dzieje, ale ludzie wspierają się, główkują, walczą.

— Tak, jest ciężko. Nadszedł czas próby. Muszę jednak przyznać, że jak na razie jestem dumny z naszej małej społeczności. Gdy tylko zorientowaliśmy się, co nam grozi, zwarliśmy szeregi. Od wojny nie miałem do czynienia z tyloma dowodami solidarności. – Arystokrata wyraźnie się wzruszył. – Mimo to boję się, co będzie dalej. Jeszcze kilka mordów, a panika nie pozwoli nam tak sprawnie współpracować. I co się wtedy z nami stanie?



Po spotkaniu w Callander, zakończonym niespodziewanym pocałunkiem, Church nie miał ochoty stanąć znowu oko w oko z Niamh, ale nie widział innego wyjścia. Bez szamana – jego taktu, mądrości, opanowania – drużyna miała duże szanse przestać istnieć. Był podporą dla wszystkich. Zawsze mogli na nim polegać. Nigdy nie tracił wiary w sens ich misji. Trzeba było go zatrzymać za wszelką cenę.

Ale wpierw należało skontaktować się z boginią. Tylko jak? Church nie miał pojęcia, jak skomunikować się z kimś przebywającym w Zaświatach. Czy plemię Danu było na tyle wszechmocne, by móc śledzić bez przeszkód to, co działo się na ziemi? Niamh podkreślała, że łączy ją z Churchem szczególna więź. Może wystarczyło wykrzyknąć jej imię?

Żeby ułatwić sobie zadanie, wypytał kilku napotkanych przechodniów o miejsca, które według lokalnych legend były związane z czarami bądź duchami. Pomogła mu dopiero pewna starsza kobieta. Zdradziła, że na skraju wsi znajduje się kopiec, przy którym jako dziecko widziała w nocy „elfy”. Chętnie wyjaśniła, jak tam trafić.

Church wdrapał się na wzniesienie, usiadł i zamknął oczy. Na karku czuł parzące promienie słońca. Intuicja podpowiadała mu, że powinien zjednoczyć swoje zmysły i zobaczyć błękitny ogień, ale bał się, że bez Toma sobie nie poradzi. Spróbował się wyciszyć i nie myśleć o niczym. Poszło mu to zadziwiająco szybko. Być może z każdą kolejną próbą nabierał wprawę, bardziej prawdopodobne było jednak to, że zawdzięcza tę łatwość ożywnieniu Studni Ognia. Nagle jego oczom ukazała się

sieć niebieskich strumyczków pokrywająca całą okolicę. Linie energii mieniły się szafirem wśród łąnów złotego zboża, pogłębiały grę światła i cieni w soczystej zieleni pastwisk. Upewniwszy się, że jest dość skupiony, by nie stracić ich z oczu, Church wyszeptał imię kobiety ze Strażnicy. Zamarł, ale nic się nie stało. Odczekał chwilę, dwie – wiedział, że musi być cierpliwy. Spotkanie z boginią było dla niego ostatnią deską ratunku. Po dwudziestu minutach zaczął tracić nadzieję. Miał już zejść z kopca, kiedy wyczuł w powietrzu dziwne wibracje, jakby zbliżał się do linii wysokiego napięcia. Ledwie zdążył się poderwać, a Niamh stała już przed nim. Uśmiechała się tajemniczo.

— Wołałeś mnie, Jack, zatem jestem – powiedziała głębokim głosem.

Church poczuł się na jej widok jak uczeń przed obiektem westchnień: oszołomiony, niezgrabny, nieco zawstydzony. Jego myśli i emocje poderwały się niczym spłoszone ptaki.

— Potrzebuję twojej pomocy.

Skinęła głowa ze zrozumieniem. Ujęła go za rękę i sprowadziła na dół. Usiedli oboje w nagrzanym trawie. Nie dotykała go, ale była tak blisko, że z każdym oddechem czuł jej boski zapach. Pachniała miętą i cytrusami.

— Dlaczego ja?

Nie zamierzał zadać tego pytania. Samo pojawiło się znikąd na jego wargach.

Zaśmiała się, jakby nigdy nie słyszała czegoś tak absurdalnego. Wokół jej oczu pojawiły się urocze zmarszczki, a twarz wydała się nagle bardziej ludzka. Trudno było uwierzyć, że jest przedstawicielką potężnego rodu, który zwykł traktować ludzi z pogardą.

— Widziałam, jak dorastałeś, Jack. Ba, widziałam, jak przyszedłeś na świat. Przyglądałam się z cienia temu wydarzeniu, tak jak potem tysiącom innych. Stałam tuż obok, kiedy po raz pierwszy ktoś cię zranił. Z dnia na dzień upewniałam się w przekonaniu, że jesteś tym, kim jesteś. Patrzyłam, jak rośnie w siłę twoja dobroć, jak uczysz się szanować bliźnich, jak rozwijasz w sobie przyzwoitość i uczciwość, jak ukochane łamią ci serce. Byłam nawet świadkiem największej tragedii w twoim życiu, kiedy myślałeś, że twój świat przestał istnieć. Wyszedłeś z tej próby zwycięsko, nie mógłbyś być lepszym człowiekiem. O tak niewielu Kruchych Istotach można to powiedzieć. Towarzyszyłam ci zawsze i wszędzie, odkryłam każdy twój sekret, odgadłam każde życzenie, zapamiętałam każdy najkrótszy nawet sen. Stałam się częścią ciebie samego. Nikt na świecie nie zna cię lepiej. Nikt.

Zdawać się mogło, że błaga go o coś tym wyznaniem.

— Ale ja nie znam ciebie.

— Nie, nie znasz – przyznała ze smutkiem, odwracając na chwilę wzrok. I tak nie potrafił odgadnąć, o czym myśli.

— Co usiłujesz mi powiedzieć, Niamh?

— Nic. Odkrywam tylko przed tobą najskromniejszą ze strużek, które składają się na kaskadę moich uczuć. Nasze rasy są sobie równie obce, co to miejsce i Zaświaty. I równie bliskie. Tyle że ta bliskość kończy się we Izach. Jedno tak szybko odchodzi, drugie zostaje samo na wieki...

Churchowi udzieliła się melancholia bogini. Po raz pierwszy z tonu jej głosu, wyrazu oczu, mowy ciała wyczytał, jak wiele dla niej znaczy. To niespodziewane odkrycie poruszyło nim do głębi. Oto ktoś kochał go do szaleństwa od lat, a on cały ten czas pozostawał w błogiej nieświadomości. Czując, że jest



zobowiązany odpłacić jej tym samym, raz jeszcze wejrzał w głąb swojego serca, ale nie znalazł w nim nic oprócz chaosu. Pomyślał, że podobnie rzecz się ma z Laurą. A może i z Ruth? Chociaż uważał ją za swoją przyjaciółkę, gubił się, kiedy próbował zastanowić się nad tym, co naprawdę go z nią łączy. A Niamh? Jej otwartość i szczerść kusiły niczym chłodna sadzawka w oazie – chciał się w nich zanurzyć, by zmyć z siebie wszystkie grzechy ostatnich tygodni i lat.

— Nie wiem, co do ciebie czuję – wyznał uczciwie.

— Szczęściarz z ciebie. – Posmutniała jeszcze bardziej. – Wiedzieć najtrudniej. Wiedzieć, co się czuje i że nic z tego nie wyniknie.

Chciał ją jakoś pocieszyć, ale nie wiedział jak. Rozejrzała się. Widok złączących się pól podniósł ją chyba odrobinę na duchu.

— Ten świat się zmienia – powiedziała. – Wkrótce na powrót zawładnie nim magia. – Spojrzała mu prosto w oczy, uśmiechając się słodko. – W takim świecie wszystko będzie możliwe.

— Kiedy ty o tym mówisz, nie wydaje się to takie złe.

— Jak mogę ci pomóc, Jack?

Wstydził się prosić ją o cokolwiek po tym, jak otworzyła przed nim swoje serce, ale po to ją wezwał. Opowiedział jej o Maponusie. Zdziwiła się najpierw, a potem spochmurniała. Czekając na to, co powie, zapomniał o swoich innych problemach.

— Nigdy nie zaprzestaliśmy poszukiwań Dobrego Syna. Wpadliśmy w rozpacz, kiedy zaginął, najjaśniejsza z gwiazd naszego ludu, nasza nadzieja na lepszą przyszłość. Nie wiedzieliśmy, jak do tego doszło. Przepadł jak kamień w wodę. Musimy sprowadzić go z powrotem, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ach, co to będzie za święto!

Pokażemy, na co nas stać! Od czasu zwycięstwa na równinie Magh Tuireadh nie mieliśmy po temu okazji. – Podekscytowana nie przyjmowała z początku do wiadomości, że Maponus oszalał. W końcu jednak to do niej dotarło: opuściła ręce, zwiesiła głowę. – Skoro Nocni Wędrowcy tak bardzo go okaleczyli, nawet z pomocą Tuatha Dé Danann nie będzie w stanie w pełni wrócić do zdrowia. Ci okrutnicy do mistrzostwa opanowali zadawanie cierpienia.

— Ale mimo to spróbujecie sprowadzić go do Zaświatów?

Widać było, że Niamh ma szczere chęci, ale zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń.

— Oczywiście. Jest klejnotem w koronie naszej rasy. – Westchnęła. – Tyle że może jest i chory, ale nie stracił zapewne swej mocy. Cóż, spróbujemy...

— Chcesz mi powiedzieć, że nawet Złotemu Ludowi może nie udać się go okiełznać?

— Jest niezwykle groźny, zwłaszcza dla tego świata. Nie wiadomo, ilu zginie tu z jego ręki. Ludzie są przy nim jak... – powiodła wzrokiem po polach – ...jak te źdźbła zbóż pod sierpem. Bez szans. Zerknęła na Churcha z przestachem. – Za nic nie wolno ci się do niego zbliżać, czy to jasne?

— Nie mogę nic obiecać. Nie wiem, dokąd wezwą nas obowiązki. Mamy...

— Waszym obowiązkiem jest bronić świat przed zagładą! Nie da się tego robić z za grobu!

— Proszę cię tylko o pomoc. – Spojrzał jej głęboko w oczy. W tęczęwkach bogini zdawał się wirować złoty ogień.

— I pomogę ci. Ale żądam czegoś w zamian.

— Zgoda.

— Chcę mieć szansę udowodnić światu, że miłość potrafi

pokonać każdą przeszkodę, że związek Tuatha Dé Danann z człowiekiem jest możliwy.

Church nie wiedział jak zareagować. Czuł, że traci kontrolę nad własnym życiem.

— Wiem, że coś cię łączy z pewną Kruchą Istotą – ciągnęła Niamh. – Obawiam się, że musisz z nią skończyć. Poświęć mi, proszę, całą swoją uwagę. Daj mi szansę. Jeśli nie będzie nam ze sobą dobrze, każde z nas pójdzie w swoją stronę.

Przyglądała się ze zrozumieniem, jak jej ukochany bije się z myślami. Pomyślał o Laurze, o tym, jak bardzo ją zrani. Czy miał prawo świadomie zadać jej ból? A może jednak byli dla siebie stworzeni? I co z Ruth, czy po czymś takim nie straci do niego szacunku? Dobrze wiedział, że niepotrzebnie mnoży dylematy. Nie miał wyboru, drużyny nie stać było na utratę Shaviego, a żaden inny sposób na schwytanie Maponusa, a tym samym zatrzymanie szamana, nie przychodził mu do głowy. Gorzkie doświadczenia ostatnich trzech miesięcy nauczyły Churcha, że jako przywódca nie może, podejmując decyzje, stawiać własnych uczuć na pierwszym miejscu. Misja wymagała poświęceń.

— Dobrze – oświadczył. – Zgadzam się na wszystko.

Jej wyraźne wzruszenie go zaskoczyło. Wstyd mu było za siebie, bo wciąż nie miał pewności, czy potrafi obdarzyć ją równie silnym uczuciem. Ujęła jego dłoń, co zapewne miało dla niej jakieś symboliczne znaczenie. Swoim zachowaniem przypominała wiktoriańską heroinę, której każdy gest wyrażał skrywane głęboko emocje.

— Sprowadzenie Maponusa do Zaświatów to poważne wyzwanie – powiedziała Niamh – wymagające starannego opracowania strategii i wielu narad. Będę musiała zająć się teraz planowaniem tej operacji i doradzaniem tym z moich

pobratymców, którzy do mnie dołączą. Nie zobaczymy się przez jakiś czas. Za to później... – Uśmiechnęła się szeroko, a jej zimne palce zacisnęły się mocniej wokół jego dłoni. Skinęła głową na pożegnanie, wstała i zaczęła oddalać się niespiesznym krokiem. Zerknęła na niego jeszcze raz przez ramię, nadal rozpromieniona, a potem w mgnieniu oka rozplynęła się w powietrzu, jakby niebo zakryło ją błękitną kurtyną.



Laura i Veitch nie wiedzieli dokładnie, jak do tego doszło, ale jakimś cudem wylądowali razem w parze i, chcąc nie chcąc, musieli współpracować. Na szczęście udawało im się przesłuchiwać mieszkańców bez potrzeby częstego komunikowania się ze sobą. Dziewczyna podejrzewała, że jej towarzysz jest nieco skruszony po tym, co się stało w wąwozie, ale mimo wszystko wolała go nie prowokować. Cieszyła się, że nie zgubiła jeszcze ciemnych okularów, bo ukrywały skutecznie widoczny czasem w jej oczach lęk.

W końcu zostali sami. Nie pozostawało im nic innego, jak wrócić do pubu ciągnącą się w nieskończoność główną ulicą wsi. Dziwnie było tak iść koło siebie w milczeniu. Pierwsza przełamała się Laura.

— Nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. – Wiedzieli o tym obydwój, ale ciążyła jej cisza, a wszystko poza banałem mogło mężczyznę rozsierdzić. – Ech... Kolejny zmarnowany poranek.

Veitch tylko odchrząknął. I on nosił okulary przeciwsłoneczne, więc także trudno było odgadnąć, co myśli.

Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że muszą wyglądać

absurdalnie: ona z tlenionymi włosami, on z długą kitą i w tatuażach, oboje w ciemnych szklach, a wokół urokliwe stare domostwa. Nie ma co, nie pasowali do otoczenia.

— Spójrz tylko na nas. Urwaliśmy się z filmu Tarantino i trafiliśmy na plan *Dumy i uprzedzenia*.

Udało jej się, uśmiechnął się. Właściwie tylko skrzywił, ale stwierdziła, że może zaryzykować.

— Co do wczoraj... – zaczęła.

— Przepraszam. Wystarczy? Nie wiem, co mnie naszło. Prawda, jestem cholernie popędliwy, rzadko kiedy siebie kontroluję, ale jeszcze nigdy nie miałem takiego ataku.

— To pewnie stres. Ale nie o tym chciałam porozmawiać. Dobrze, że zastanawiasz się, które z nas może być zdrajcą. Chyba nikt inny w drużynie zbyt nie przejmuję, chociaż to przecież kolejne z zagrożeń. Tyle że to nie ja, rozumiesz? To właśnie chciałam ci powiedzieć. To nie ja. Nie obchodzi mnie to, czy mi wierzysz, czy nie, muszę po prostu postawić sprawę jasno. Mam pomieszane w głowie, to fakt – jeśli przekażesz to innym, zaprzeczę, że to powiedziałam – ale nigdy, przenigdy nie wydałabym nikogo z naszych.

Zaskoczyła Veitcha tak długą przemową, choć nie dał tego po sobie poznać. Zazwyczaj należała do osób bardziej małowównych, musiała być więc szczerze oburzona jego oskarżeniami.

— A ty kogo podejrzewasz? – spytał.

Zawahała się, bojąc się, że znowu go rozzłości, ale stwierdziła, że nie powinni nic przed sobą ukrywać.

— Nie zabijesz mnie?

— Nie.

— Dobra, powiem ci. Wiem, że napalasz się na naszą Ruth i

wiem, rzecz jasna, że przeszła przez piekło, ale sędzę, że to ona.

— Bzdura.

— Wiedziałam, że starannie rozważysz moją sugestię – powiedziała z ironią w głosie, ale zaraz ugryzła się w język. Z takim osiłkiem lepiej było nie zadzierać. – Myślisz pewnie, że jestem wredna i tyle. I jestem, ale nie w tym przypadku. Oto mój tok rozumowania. Dziewczyna budzi się regularnie z krzykiem, bo dręczą ją koszmary o torturach...

— Każdy by miał koszmary na jej miejscu – warknął podirytowany Veitch. Laura wyczuła, że musi szybko przejść do sedna.

— Uważam, że te koszmary to efekt uboczny jakiegoś zabiegu. Pamiętasz, co ci dranie zrobili Tomowi pod Dartmoor? Wszczepili mu do głowy tę paskudną pluskwę, żeby móc zdalnie nim sterować.

Mężczyzna skierował na nią wzrok tak gwałtownym ruchem, że aż strzyknęło mu coś w szyi. Laura chciała już się rzucić do ucieczki, ale dotarło do niej, że domniemany napastnik ma stroskaną minę.

— Sądziś, że jej też coś wsadzili?

— Brzmi sensownie.

Zamyślił się na moment i pokręcił przecząco głową.

— To kompletna bzdura.

— Nieprawda, to całkiem prawdopodobne. Przemyśl to sobie, niczego więcej od ciebie nie wymagam. Ktoś musi mieć na nią oko, a skoro ty przyjąłeś już na siebie rolę sędziego, ławników i kata... Znów ugryzła się w język. Nie było potrzeby dłużej ciągnąć tego tematu. Widziała po minie kompana, że jej hipoteza trafiła na podatny grunt.



Gdy spotkali się przed pubem, Ruth wzięła Veitcha za rękę i odciągnęła na bok, gdzie inni nie mogli ich słyszeć. Nie zauważyła, że mężczyzna przygląda jej się podejrzliwie.

— Chodź, jesteś mi potrzebny.

— Coś się stało?

— Chcę się z tobą kochać.

Ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem – tylko pogorszyłoby to sprawę. Był już dostatecznie zawstydzony. Próbował coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Jego usta poruszały się bezgłośnie, nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

— Nabijasz się ze mnie.

Takiej odpowiedzi właśnie się spodziewała.

— Nie. Mówię jak najbardziej na serio.

Veitch podrapał się po karku. Był czerwony jak burak. Odważył się zerknąć na Ruth z ukosa, żeby odgadnąć, co nią kieruje.

— Kiedy zaczął się cały ten koszmar, byłam normalną dziewczyną, ale zmieniłam się, tak jak zmieniliśmy się zresztą wszyscy. W celi zaczęłam zgłębiać tajemną wiedzę, wiedzę, która daje władzę. Nauczyłam się wpływać na to, co dzieje się wokół nas, nauczyłam się... Mniejsza o to. Sama nie mogę jeszcze w to uwierzyć. Pamiętasz moją sowę?

Pokiwał głową. Wpatrywał się w kobietę tak intensywnie, jakby chciał przeniknąć jej myśli.

— To nie był zwyczajny ptak, tylko taki... Ach, sama nie wiem, kto to dokładnie był. Ale bredzę. Szkoda, że tak mało z tego

rozumiem, mogłabym lepiej wytłumaczyć ci, o co mi chodzi. – Spróbowała się skupić. – Czarownice w bajkach zawsze miały kota albo sowę, prawda? To byli ich pomocnicy. Nie prawdziwe zwierzęta, tylko... jakby to powiedzieć? Demony? To za mocne słowo. W każdym razie jakieś istoty obdarzone nadprzyrodzoną mocą. Mój pomocnik, chcąc mi towarzyszyć, zmieniał się właśnie w sowę i dopiero kiedy nawiedził mnie w niewoli u Fomorian, zorientowałam się, kim naprawdę jest. A raczej, co sobą reprezentuje, bo nawet go nie widziałam. To on stał się moim nauczycielem.

— Czego cię uczył?

Pomyślawszy o ogromie tej wiedzy, Ruth poczuła się tak, jakby patrzyła w głąb kosmosu.

— Uczył mnie rzeczy, które mogą nam się przydać. Problem w tym, że odkąd mnie uwolniłeś, już się nie pojawia, nawet jako sowa. Nie wiem dlaczego, a tyle jeszcze chciałabym się dowiedzieć.

— Bardzo to ciekawe, o czym opowiadasz, ale co to ma wspólnego z tym, że mamy iść razem do łóżka?

Westchnęła.

— Przepraszam, Ryan, namieszałam ci tylko w głowie. Spróbuję od początku. Seks leży u podstaw całej magii. Przez wieki stanowił istotny element wielu rytuałów. Energia ziemi, czyli błękitny ogień, płynie także w nas, nawet w naszych duszach. Tworzy sieć nie tylko w całym kraju, ale również w naszych ciałach. Na ziemi punkty o największej mocy oznaczono kamiennymi kręgami, a te w nas w religiach wschodu są znane jako czakry. Wszyscy ludzie mają je w tych samych miejscach. – Zauważyła, że Veitch zaczyna się niecierpliwić, więc przeszła szybko do rzeczy. – Uprawianie seksu w zwykły sposób napęlnia



energią nas całych, jest jednak jeszcze inna jego odmiana, tak zwany seks tantryczny. Energia koncentruje się wtedy w czakrach, dzięki czemu...

— I wiesz, jak się do tego zabrać?

— Sowa mi tłumaczyła. Nigdy tego nie próbowałam, ale...

— Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

— Właśnie. Słuchaj, nie chcę cię wykorzystywać. Nie ukrywam, że nic do ciebie nie czuję. Ale na pewno będziesz ci przyjemnie, zabawisz się, a ja w zamian zyskam...

— No, co? – Zmarszczył czoło. – Co będziesz z tego miała, skoro to dla ciebie nic znaczy? Nie należysz do puszczalskich...

— Jakiś ty słodki. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – Mam nadzieję uzyskać w zamian dojsście do tajemnej wiedzy. Do mocy, którą będę mogła się później posłużyć.

Nic nie rozumiał i czuł się skrępowany. Nie o tym marzył. Ale z drugiej strony bardzo chciał Ruth pomóc.

— Nie marnuj czasu na próżne rozmyślenia, Ryan. Albo się zgadzasz, albo nie, a jeśli tak, chodź ze mną, to wszystko ci wyjaśnię po drodze. To jak, idziemy? – Pokiwał głową z wahaniem. – Świetnie. Nie ma czasu do stracenia.



Poszli do jej sypialni. Zamknęła drzwi na klucz i zaciągnęła zasłony. Pozostali członkowie drużyny siedzieli na dole w barze, jedząc lunch i dzieląc się tym, co usłyszeli wcześniej od mieszkańców wioski. Ruth nie sądziła, żeby kogokolwiek zaniepokoiła ich nieobecność. Oddychała nierówno, co tłumaczyła sobie podenerwowaniem. Wstyd jej się było przyznać

przed sobą, że robi się podniecona.

— Na pewno chcesz to zrobić? – Sądząc po tonie głosu Veitcha, gdyby odstąpiła od swoich planów, mężczyzna odetchnąłby z ulgą.

— Na pewno. A ty?

— Tak, jasne – mruknął. Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie, ale cóż, czego się mogła spodziewać?

— Wiem, że nie tak to sobie wyobrażałeś, ja też nie o takich okolicznościach śniłam jako nastolatka. Nie, żeby to był mój pierwszy raz. – Spłonawszy rumieńcem, odwróciła wzrok. – Po prostu żadne inne rozwiązanie moich problemów nie przychodzi mi do głowy.

— W porządku. Nie musisz mówić nic więcej.

Uśmiechnęła się. Jak na siebie, zachowywał się jak dżentelmen.

— To od czego zaczynamy? – spytał, rozglądając się nerwowo.

— Najpierw musimy się rozebrać, prawda?

Biorąc pod uwagę to, że zaraz mieli się kochać, jakoś niezręcznie było rozbierać się samemu jak u lekarza, Ruth wiedziała jednak, że nie powinna okazywać nadmiernego skrępowania, bo Veitch może zrejterować albo nie dostać erekcji. Skupiła się na wykonywanych przez siebie czynnościach, starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Zdjęła bluzkę przez głowę i rzuciła na łóżko, a potem rozpięła sobie stanik, jej sutki zdążyły już stwardnieć, piersi wręcz Pobolewały. Próbowwała sobie wmówić, że podnieciła się tak szybko, bo już od kilku ładnych miesięcy nie uprawiała seksu, ale w głębi duszy wiedziała, że to Veitch tak bardzo ją pociąga. Teraz to on zdjął Podkoszulek i mimowolnie zerknęła na jego muskularną pierś. Z każdym ruchem mężczyzny falowały pokrywające jego zgrabny

tuors tatuaże, co sprawiało wrażenie, jakby malunki te żyły własnym życiem. Żaden z jej kochanków nie miał tak twardych mięśni – takich efektów nie dało się uzyskać na siłowni. To ciało ukształtowały lata spędzone na ulicy: codzienne bójki, ucieczki, popisy, wymyślne włamania. Takich ćwiczeń nie wymyśliłby żaden trener. Sutki Veitcha też sterczały i ta oznaka pobudzenia rozogniła Ruth jeszcze bardziej. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, w jego oczach nie dostrzegła śladu zawstydzenia. Obojgu wydało się, że powietrze w pokoju stało się dziwnie naelektryzowane. Gdy mężczyzna przeniósł wzrok na obnażony biust Ruth, przyglądała się wyrazowi jego twarzy. Nie miała wątpliwości, że i ona jemu się podoba.

Rozpiąwszy pasek i rozporek, pozwoliła, żeby dzinsy opadły jej do kostek, a potem jednym płynnym ruchem ściągnęła majtki i wyszła ze spodni. W kroku poczuła mrowienie i przyjemny chłód wilgoci.

Kiedy Veitch poszedł w jej ślady, okazało się, że jest twardy i gotowy. Na widok jego nagości przeszedł ją dreszcz. Od mężczyzny biła ogromna witalność, jak gdyby w każdej komórce jego ciała płonął błękitny ogień, żywioł zdolny ją pochłonąć.

Poprowadziła go na środek pokoju, gdzie w milczeniu usadziła go w odpowiedniej pozycji, z wyprostowanymi nogami i rękami opartymi z tyłu o podłogę. Sama dosiadła go okrakiem, po czym delikatnie wprowadziła sobie jego członek do pochwy. Zdawało się, że wbija się w nią aż po żebra. Jej podniecenie rosło, serce waliło jak młotem. Owinęła się nogami jego wokół pleców i tak jak on podparła z tyłu.

— Tylko się nie ruszaj – ostrzegła. – Na tym to właśnie polega. Do orgazmu dąży się w zupełnym bezruchu, medytując i odpowiednio nakierowując energię. Mój nauczyciel wyjaśnił mi

to i owo, ale zazwyczaj trzeba długich treningów i niezwyklej samodyscypliny, żeby osiągnąć sukces. Jak sądzisz, poradzisz sobie?

— Nie będę wiedział, dopóki nie spróbuję.

Zamknął oczy dla lepszej koncentracji. Ani drgnął.

Ruth skorzystała z tej okazji, by wreszcie móc bezkarnie przyjrzeć się jego twarzy. Rozluźniony, wyglądał na zaskakująco czułą osobę, niemalże niewinnego anioła. Potrafiła sobie teraz wyobrazić, jakim mógłby być człowiekiem, gdyby los inaczej pokierował jego życiem. Jej spojrzenie padło na tors męczyzny mieniający się wszystkimi kolorami tęczy. Była tam otoczona morzem gwiazd Strażnica, dziwny statek ślizgający się po błękitnych falach, rodzaj miecza i płonące miasto. Dwa tatuaże wywołały u Ruth ciarki i szybko skierowała wzrok gdzie indziej. Pierwszy przedstawiał przysadzistego stwora w przerażającej zbroi, której niecodzienny kształt upodabniał go do człekokształtnego owada, zaś drugi pojedyncze, groźne ślepię symbolizujące samego Balora.

Oczyściwszy umysł z wszelkich myśli, pochyliła się do przodu, by pocałować Veitcha w obojczyk. Drgnął. Podniosła się nieco i przyłgnęła wargami do jego szyi, a potem, prostując się, musnęła przelotnie jego usta. Członek intensywnie pulsował w jej ciele.

Na powrót oparta rękami o podłogę, z przymkniętymi powiekami, skupiła się tak, jak uczyła ją tego sowa. W celi spędziła wiele godzin ćwicząc tę umiejętność. Poszło jej zadziwiająco łatwo – szybko poczuła krążącą w ziemi energię. Church spisał się w Edynburgu na medal. Sieć powoli się odbudowywała. Z źródeł, które dotrwały czynne do czasów współczesnych, błękitny ogień bił ze zdwojoną siłą, ożywiając dawno nieużywane arterie i łącząc miejsca rozsiane po całym

świecie.

Czas stanął w miejscu – nie mieli pojęcia, jak długo tak siedzą. Przed ich oczami przesuwały się mroczne, zmienne krajobrazy, w podbrzuszach płonęła krew. Veitch walczył z sobą, by nie zacząć się rytmicznie poruszać, chociaż pragnęła tego każda cząstka jego ciała, Ruth za to masowała go delikatnie, zaciskając mięśnie pochwy wokół jego członka. Widział ją wyraźnie mimo zaciśniętych powiek, jakby jej obraz wyrył się w jego umyśle. Płaski brzuch, pełne piersi, krągłe biodra wysyłały pobudzające seksualnie sygnały.

Ruth zobaczyła w ciemnościach przed swoimi oczami, jak od najbliższego ze strumieni ognia odłącza się cienka strużka, jak przebija się przez fundamenty budynku, pnie się po ścianie i rozszczepiwszy się, sunie po podłodze, by w końcu wnikać do ich kręgosłupów. Szafirowe strzały zmierzały teraz po spirali ku ich czaszkom.

Kiedy struga błękitnego ognia jednocześnie sięgnęła ich mózgów, wybuchła niespodziewanie kaskadą iskier, drażniąc każdy nerw, po czym spłynęła spienioną lawiną ku złączonym pachwinom kochanków. Szczytując, oboje na moment stracili przytomność. Veitch wytrysnął tak gwałtownie, jakby miało ujść z niego całe życie, z kolei skurcze w pochwie Ruth wyzwoliły dziwny prąd, który najpierw pomknął ku czubkom jej palców, a później ku czołu. Nagle doświadczyła czegoś niezwykłego. Zdawało jej się, że unosi się w powietrzu, że szybuje w przestrzeni kosmicznej. Spotkała tam istotę o twarzy po trosze ludzkiej, a po trosze sowej. Jej opiekun wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Usiłował ją odpędzić, wykonując tajemnicze magiczne gesty.

— Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknął jękliwie. – Jesteś

nieczysta! Znajdź dla siebie lekarstwo. Znajdź je, bo inaczej umrzesz!

Ruth na powrót znalazła się w pokoju. Osunęła się na Veitcha dysząc, a on objął ją i mocno przycisnął do swojej piersi. Stopniowo dochodzili do siebie. Otaczała ich teraz ciepła miodowa poświata, ale kobieta nie była w stanie rozkoszować się tym niezwykłym zjawiskiem. Kiedy się odsunęła, jej partner przeżył szok, widząc jej wykrzywioną strachem twarz.

— Źle ze mną – powiedziała łamiącym się głosem. – Fomorianie poddali mnie pewnemu zabiegowi... Myślałam, że nic z tego nie wynikło. Ale to nadal działa... i zabije mnie, jeśli się nie wyleczę.



Ubrawszy się pospiesznie, poszli poszukać pozostałych. Zastali ich na schodkach przed pubem – Tom dopijał właśnie cydr.

— Gdzie się podziewaliście? – spytała podejrzliwie Laura.

Ruth zignorowała pytanie i z miejsca zaczęła tłumaczyć swoje obawy Tomowi i Churchowi. Po raz pierwszy opowiedziała im o czarnej perle. Reakcja sędziwego wędrowca zabolęła. Zasepił się, a zaraz potem skrzywił.

— Czemu tak długo to przed nami ukrywałaś? – warknął.

— To było takie traumatyczne przeżycie! – jęknęła. – Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Wolałam wymazać je z pamięci. – Spojrzała na niego błagalnie. – Co oni mi zrobili?

— Nie wiem, był to jednak z pewnością jakiś szczególny rytuał. Fomorianie mieli swoje powody, żeby cię niemu poddać.

— Przecież widzę, że czegoś się domyślasz.

— Rzeczywiście tak jest, ale wolałbym nie zdradzać wam moich hipotez, dopóki ich nie potwierdzę.

W oczach Ruth pojawiły się łzy.

— Pogorszy mi się, prawda? Boże, myślałam, że to minie. Ze wymiotuję, bo mój organizm jest jeszcze słaby.

Church objął ją ramieniem, chcąc pocieszyć przyjaciółkę. Laura i Veitch rzucili w ich stronę zazdrosne spojrzenia.

— Co teraz? – przywódca drużyny zwrócił się do Toma.

Hipis zdjął okulary i zamyślił się, czyszcząc je skrawkiem koszuli.

— Ruth powinien obejrzeć ktoś z plemienia Danu. Tylko oni będą potrafili wyjaśnić nam postępowanie Fomorian.

— I może będą mogli mi pomóc – dodała z nadzieją Ruth – tak jak Ogma pomógł tobie, kiedy wszczepiono ci Caraprak.

Veitch wpatrywał się w nią intensywnie.

— Przyjmą nas? – Church miał wątpliwości.

Ich przewodnik podrapał się po brodzie. Przyglądał się własnym butom.

— Chyba tak. Jeśli ich poproszę.

— A co, jeśli nam nie pomogą? Jaki jest plan B?

Tom nic nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem odszedł zamyślony główną ulicą wsi.



Kiedy wrócił, drzewa za oknami rzucały już długie cienie. Czekali na niego zniecierpliwieni przy stole wewnątrz pubu. W międzyczasie Ruth wymiotowała dwukrotnie. – Church podejrzywał, że nie tylko przez perłę, ale i ze stresu.

Hipis powiódł wzrokiem po zmartwionych twarzach.

— Niedaleko stąd znajdują się wrota do Zaświatów prowadzące do jednego z Pierwszych Dworów Złotego Ludu. Najlepsze tłumaczenie jego nazwy, na jakie wpadłem, to Dwór Ostatecznego Słowa. W odróżnieniu od większości siedlisk Tuatha Dé Danann, jest to miejsce przeznaczone do medytacji i zgłębiania wiedzy. Powinniśmy natrafić tam na kogoś, kto będzie potrafił postawić Ruth trafną diagnozę.

— Gdzie dokładnie znajduje się to przejście? – Słysząc było, że Veitch jest tą misją wyjątkowo przejęty.

— Pod zamkiem Richmond. – Mężczyzna zerknął na wiszący nad barem zegar. – Jeśli się pospieszymy, dotrzemy tam przed zapadnięciem zmroku.

— Aż tak nam się spieszy? – spytał Church oszołomiony tempem wydarzeń.

Milczenie Toma było wielce wymowne.



# ROZDZIAŁ 13

## TAM, Gdzie CZAI SIĘ DIABEŁ

— Trzymałem pełen bak na czarną godzinę – wyznał Max przygaszonym głosem. – Wszystko wskazuje na to, że benzyna będzie niedługo bezcenna. – Zerknął z troską na zalęknioną twarz Ruth. – Ale nie ma sprawy, jeśli nie teraz, to kiedy mam ją zużyć? – Uśmiechnął się, żeby nie zabrzmiało to zbyt pesymistycznie.

Przed nimi stał należący do niego czerwony ford fiesta. Framugi i zderzaki miał przyprószone rdzą. Deskę rozdzielczą, siedzenia i dywaniki pokrywała gruba warstwa papierzysk i śmieci. Max uchylił drzwiczki, nieco zawstydzony stanem swojego auta, po czym wybrał ze środka naręczce zmiętych map i opakowań po niezdrowych przekąskach.

— Wybaczcie ten bałagan – powiedział, odkładając je na bok. Od razu wiadomo, że to bryka dziennikarza.

Tom zajął miejsce koło kierowcy, przywódca drużyny i chora usiedli z tyłu. Kiedy Church położył wyprostowaną rękę na brzegu oparcia kanapy, Ruth oparła głowę na jego ramieniu. Pozostała trójka przyglądała im się z chodnika: Veitch i Shavi z ponurymi minami, Laura, nie zdradzając żadnych emocji.



Skierowali się na południowy wschód. Okolica była przepiękna trasa wiodła wzdłuż malowniczej doliny rzeki Swale. Tom i Church wyjaśnili Maxowi po drodze, czym jest Tír na nÓg i czego można się spodziewać po Tuatha Dé Danann. Dziennikarz zadziwił ich swoją błyskotliwością i doskonałą pamięcią. Szybko przestał się czemukolwiek dziwić i wkrótce przywoływał fakty z taką łatwością, jakby towarzyszył drużynie od samego początku.

Migające za oknami pagórkowate pola poprzecinane zielonymi żywopłotami wyglądały tak zwyczajnie, że można było przypuszczać, że nic się na świecie nie zmieniło. Od czasu do czasu podekscytowany Max zadawał Tomowi jakieś pytanie, na które ten odpowiadał coraz bardziej mrukliwie. Church i Ruth rozmawiali z tyłu ściszonymi głosami.

— Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – szepnęła wpatrzona w błękit nieba.

— Dość już wycierpiałas.

— Nie, to ludzie w tutejszych wioskach dość się już nacierpieli. Owszem, byłam więziona, ale przynajmniej rozumiałam, w jakiej znalazłam się sytuacji. Czymże jest kilka dni w celi w porównaniu z całym życiem postawionym do góry nogami? Tak bardzo chciałabym móc im jakoś pomóc, a tu zatrzymuje mnie to. – Wskazała na swój brzuch.

Oczy same jej się zamykały. Przez chwilę siedziała wyprostowana, ale w końcu znów oparła głowę na jego ramieniu. Obserwował, jak oddycha spokojnie przez sen, czując, że jej słowa wzbudziły w nim głęboki szacunek.

Po kilku minutach jazdy ciszę przerwał nagle okrzyk Toma.

— O nie!

— Co się dzieje? – Church wyrzwał przez okno, ale zanim dostrzegł, o co chodzi, zrozumiał, że popełnił błąd, bo nauczyciel skulił się, żeby nie było go widać. Na poboczu przy radiowozie stało trzech policjantów. Fiesta minęła ich tak szybko, że Church nie umiał stwierdzić ani czy byli Fomorianami, ani czy go rozpoznali. Mając się bardziej na baczności, zlany zimnym potem, sprawdził ich reakcję przez tylną szybę. Funkcjonariusze zniknęli, wsiedli więc chyba do samochodu, ale najwyraźniej nie po to, aby gonić forda. Church nie odrywał wzroku od radiowozu, dopóki ten nie zniknął za horyzontem.

— Mało brakowało – stwierdził, choć podejrzewał, że może się mylić.



Shavi spędził godzinę, pocieszając Veitcha, ale mimo jego starań londyńczyk nadal sprawiał wrażenie osoby, której niesprawiedliwą dyskwalifikacją właśnie odebrano złoty medal olimpijski.

— Nie możemy tracić nadziei na to, że Ruth wyzdrowieje, Ryan powtórzył po raz kolejny, ani trochę nie okazując zniecierpliwienia. Objął kompana ramieniem, żeby dodać mu otuchy i, o dziwo, nie został odtrącony. Laura przyglądała się im obu zza swoich ciemnych okularów, ale do tej pory ani razu nie zabrała głosu.

— Widziałeś minę starego. Spisał ją już na straty. – Veitch masował sobie delikatnie skronie. Biła od niego dziwnie niepokojąca energia.

— Trzeba nam wiary. Takie właśnie jest przesianie nowej ery.

Mężczyzna spojrział Shaviemu prosto w oczy, jakby słowa szamana go obudziły. Wydawał się być czymś zaskoczony. Zamyślił się na moment.

— Tak, oczywiście – powiedział. – Tak jest. Masz rację. – Na stole, przy którym wcześniej wszyscy razem siedzieli, dostrzegł plik sporządzonych przez Ruth notatek. – Musimy je przejrzeć, pomóc jakoś tym biedakom.

Chciał się czymś zająć, żeby zapomnieć o tym, że nie potrafi znaleźć lekarstwa dla ukochanej. Shavi domyślił się, że jego towarzyszem kieruje potrzeba działania, a nie współczucie, była to jednak kuracja o niebo lepsza od picia czy użalania się nad sobą, więc szybko przystał na propozycję kolegi. Veitch zagłębił się w lekturze zapisków, raz po raz wygłaszając głośno jakiś komentarz, a każdą przeczytaną kartkę przekazywał Laurze bądź szamanowi. Zapoznali się tak ze wszystkimi doniesieniami, ale nic z tego nie wynikło. Jedząc przyniesiony przez Geordiego obiad, zrezygnowani przeglądali notatki po raz kolejny.

— Nic nowego – westchnęła dziewczyna. – Możemy co najwyżej zakraść się do ich legowiska za dnia, ale i tak nie będziemy umieli ich zabić.

— Tak, tylko jak je znaleźć? – Shavi gmerał widelcem w ziemniakach.

— Sądzę, że w pobliżu tego szlaku, którym tu przyszliśmy. – Opowiedziała im o czerwonych oczach stracha na wróble.

— To już coś – stwierdził Veitch. – Ale zgadzam się, nie ma co ich szukać, skoro nadal nie wiemy, jak się do nich dostać. Z tego co widziałem, moje miecz i kusza są bez szans.

Wzrok dziewczyny padł na kartkę, na której naszkicowano plan miejscowości. Domy ofiar zaznaczone były innym kolorem.

— Cóż, przynajmniej znamy położenie ich żerowiska.

— Co masz na myśli? – ożywił się Veitch.

Wskazała na mapę.

— Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? – zauważył.

— Jaki zbieg okoliczności?

— Z tą czwórką sąsiadów.

— To chyba przypadek. Ta staruszka, co zginęła pierwsza, mieszkała przecież zupełnie gdzie indziej. Bestie pewnie upodobały sobie te komunalne domy, bo to od tamtej strony wchodzi do wsi. – Obracała plan na różne sposoby, usiłując odkryć inny powód.

Veitch zaczął z nerwów obgryzać paznokcie.

— Mam cholernie nieprzyjemne przeczucie – powiedział.



Zaprowadził ich pod dom pani Ransom. Wieczór był ciepły, śpiewały jeszcze ptaki, ale poza tym panowała cisza. Chociaż do zachodu słońca zostało jeszcze parę godzin, mieszkańcy wioski pochowali się już w domach.

Wślizgnęli się do ogrodu zmarłej, lekko uchylając skrzypiącą żelazną furtkę. Veitch nie miał zamiaru się włamywać, obejrzał tylko framugę frontowych drzwi. Musiał odkryć coś, co potwierdzało jego przypuszczenia, bo wzburzony zawrócił bez słowa wyjaśnienia i, przesadziwszy potężnym susem kamienny murek, puścił się biegiem w stronę feralnego Recton Close. Laura i Shavi popędzili za nim.

Nie zawracał sobie głowy domem Ellie, którego drzwi badał już wcześniej. Najpierw przyjrzał się framudze u Oldfielda, a

potem u mleczarza i sprzątaczkę. Za każdym razem znajdował to, czego szukał, cokolwiek by to było, ale zamiast uśmiechać się triumfalnie, robił się coraz bardziej przygnębiony.

— Boże święty... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Kiedy w końcu spojrzął na swoich towarzyszy, Laura dostrzegła w jego oczach znajomy złowrogi błysk. Patrzył tak na nią wtedy, w wąwozie. Najwyraźniej znów miał ochotę kogoś zabić.



Kiedy dojechali do Richmond, powoli zapadał zmrok. Nad miasteczkiem górowały ruiny normańskiego zamku, którego trzydziestometrowa wieża przeglądała się w wodach Swale. Brukowany rynek u stóp budowli pełen był ludzi. Zmierzając do pubów, rozkoszowali się ciepłem letniego wieczoru.

Max zadumał się na ich widok.

— Zdają sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale mimo to starają się zachować pozory normalności.

— To żaden temat na artykuł – burknął Tom.

Dziennikarz uśmiechnął się z wyższością.

— I tu się mylisz. Właśnie coś takiego warto opisać. Ten obraz mówi sam za siebie.

— Tak, tak. Mówi: „Oto owieczki na chwilę przed rzezią”.

Maxa nie dało się zirytować tak łatwo, jak członków drużyny.

— I tak to zrobię, zobaczysz, napiszę o tym wszystkim. Niech ludzie wiedzą, niech poznają prawdę. Muszę pisać, chcę pisać. Czuję, że to...

— Twój obowiązek? – Church dobrze go rozumiał. Dziennikarz

pokiwał głową, nadal się uśmiechając.

Zostawili samochód w centrum i podeszli pod zamek pieszo. W sercu Ruth rósł niepokój. Church przyjrzał się poszarpanej linii murów na tle czerniejącego nieba.

Tom podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Czujesz?

— Błękitny ogień.

— Szukając wskazówek, zawsze należy zwracać uwagę na miejscowe legendy. To w nich kryje się klucz do zrozumienia sekretów wielu starych budowli i uświęconych miejsc. Ponoć pewien garncarz o nazwisku Thompson znalazł pod tym zamkiem tunel prowadzący do wielkiej pieczary, w której leżał pogrążony w śnie król Artur i jego rycerze. Czyż nie brzmi to znajomo?

— A cóż on ma wspólnego z Tuatha Dé Danann? – zdziwił się Max.

— Podania są jak kod – wyjaśnił mu Church – zawierają ważne informacje. I tak król Artur to metafora siły ziemi, którą my nazywamy błękitnym ogniem, jeśli jakieś miejsce obrosło w legendy, jest zapewne potężnym skupiskiem tej energii, a często można także dostać się z niego do Zaświatów.

— Tak jak tutaj – wtrącił Tom.

— Pamiętam! Należy obudzić króla, żeby uratować kraj. Czyli tak naprawdę chodzi o energię ziemi? A to ciekawe. – Dziennikarz spojrział na zamek z nowym zainteresowaniem.

— W pobliżu śpiących rycerzy Thompson znalazł miecz i róg – ciągnął Tom, rozdrażniony, że przerwano mu opowieść w połowie. – Gdy podniósł ten drugi, wojownicy zaczęli przecierać oczy. Mężczyzna rzecz jasna wystraszył się nie na żarty. Upuścił róg i wziął nogi za pas. Biegąc tunelem, usłyszał za sobą

wołanie: „Garncarzu! Garncarzu! Gdybyś podniósł miecz albo zadął w róg, do końca życia niczego by ci nie brakowało!”.

— Fajna historyjka – powiedział Max.

Zaczęli się wspinać. Kiedy jakiś czas później spojrzeli za siebie, akurat zapalały się uliczne latarnie. Widok rozświetlonego miasteczka napawał ich serca otuchą. Zdawać by się mogło, że jest oazą spokoju.

Postępując tak jak Church pod Tronem Artura, Tom poprowadził ich wzdłuż strumieni błękitnego ognia, szukając miejsca, w którym zbiegałoby się wiele z nich. Tutejsze znajdowało się na zboczu zamkowego wzgórza. Mężczyzna ukląkł i przycisnął do niego dłoń. Spod jego palców trysnął snop niebieskich iskier. Ku zdumieniu Maxa, ziemia jęknęła, a skały i trawa rozsunęły się na boki, odsłaniając szeroki, ciemny otwór. Dziennikarz zajrzał nieśmiało do środka.

— Jesteś absolutnie pewien, że nic nam nie grozi?

— Nie – mruknął Tom, wpychając go bez pardonowo w mrok.



W Zaświatach trafili na jesień. Właśnie świtało. W mokrej trawie, skąpanej w delikatnym świetle poranka, pełzały głębokie po kostki języki mgły. Powietrze przesycone było zapachem żółknących liści, opadłych jabłek i przejrziałych jeżyn. Z pobliskiego zagajnika dochodził melodyjny śpiew niewidocznego ptaka. Drzewa zachwycaly szeroką paletą żółci, czerwieni i brązów.

Dziennikarz rozejrzał się dookoła zupełnie zbity z tropu.

— Co jest grane?



Church zauważył prześwitujące zza gałęzi mury Dworu. Porażały swoją bielą. Ruszyli w ich kierunku.

— Czas płynie tu inaczej. Czasami szybciej, czasami wolniej. Jego upływ nie podlega żadnym regułom.

Max skrzywił się, próbując poukładać to sobie w głowie.

— Oto zasady, których nie możecie złamać – poinstruował ich Tom. – Nic nie jedzcie i nie pijcie. Poczestowani grzecznie odmawiajcie. Wszystkim napotkanym istotom okazujcie szacunek. Nigdy, przenigdy nie podnoście głosu. Najlepiej żebyście w ogóle się nie odzywali. Starajcie się nie rzucać w oczy.

— Zaczynam się trochę bać – przyznał dziennikarz.

— Zachowuj się po prostu tak – doradził mu Church – jakbyś trafił do jakiegoś egzotycznego kraju, którego kultura jest ci zupełnie obca. Co zrobić, trzeba być grzecznym i mieć się na baczności, prawda?

Szli szybko. Pod ich stopami szeleściły liście. Wyszedszy z zagajnika, musieli zmrużyć oczy, taki blask bił od gładzonego białego kamienia, z którego wzniesiono imponującą siedzibę Złotego Ludu. Majestatyczną budowlę otaczały kunsztownie wytyczone ogrody. Doryckie kolumny podtrzymywały fronton o wyjątkowo bogatym zdobionym tympanonie. Zadziwiające mnogością szczegółów płaskorzeźby przedstawiały sceny z historii plemienia Danu. Po obu stronach portyku rozciągały się zdające się nie mieć końca mury, jakby postawiono tu koło siebie kilkadziesiąt połączonych greckich świątyń.

— Jakie to gigantyczne – szepnął onieśmielony Max.

— A czego się spodziewałeś? – prychnął Tom, podchodząc do olbrzymich kamiennych drzwi, w które bezceremonialnie zastukał pięścią. Samego pukania nie było słychać, ale we wnętrzu budynku odezwało się jego zwielokrotnione echo.

Kiedy ich uszu doszedł odgłos zbliżających się kroków, Church i Ruth mimowolnie wstrzymali oddech. Choć podczas swoich wędrówek widzieli już niejedno, cuda Zaświatów nadal robiły na nich wielkie wrażenie. Bogowie niezmiennie ich zaskakiwali i nie wiadomo było, czego można się po nich spodziewać.

Drzwi otworzyły się płynnie, jakby ważyły tyle co piórko. Ze środka bił przyjemny chłód. Oczom czwórki przybyszów ukazał się porażający swoimi rozmiarami hol z wielką fontanną otoczoną wysokimi drzewami, które najwyraźniej wyrastały wprost z posadzki. Na progu stały dwie osoby, dziewczyna i chłopak – wyglądali na najwyżej dwadzieścia parę lat, ubrani w śnieżnobiałe togi o brzegach wykończonych złotą lamówką. Ich oblicza nie zmieniały rysów, co wskazywało na to, że należą do niższej kasty Złotego Ludu i nie dysponują zbyt wielką mocą.

— Kruche Istoty? – zdziwił się młodzieniec, powoli poruszając powiekami niczym rozleniwiona słońcem jaszczurka. Urodą dorównywał marmurowym posągom.

— Nazywają mnie Wiernym Tomaszem – odezwał się przewodnik drużyny. – Być może o mnie słyszeliście. Zagwarantowaliście mi niegdyś swobodę poruszania się po waszym ziemiach.

— Witamy. – Dziewczyna ukloniła mu się uprzejmie, acz nieco sztywno. Jej długie czarne włosy błysnęły w słońcu. – Tak, znane nam są twoje przywileje.

Hipis skrzywił się, słysząc to słowo, choć w głosie kobiety nie było ironii.

— Moi kompani i ja chcielibyśmy zwrócić się do członków Rady Dworu z prośbą o pomoc. Czy któryś z nich obecnie tu przebywa?

— Wszyscy są pochłonięci nauką, Wierny Tomaszu – odparł

mężczyzna. – Po rzuceniu Uroku Życzeń zapanował chaos, teraz na powrót porządkujemy naszą wiedzę. Chociażby o Niezmiennych Krainach. Jestem pewien, że rozumiesz, jak istotne to studia.

Tom pokiwał głową, raptownie smutniejąc.

— Czyżby przeprowadzali jakieś sekcje?

Odpowiedziała mu cisza. Zreflektowawszy się, przybrał obojętny wyraz twarzy.

— Pragnąłbym poczekać, aż znajdą dla mnie trochę czasu.

— To może potrwać. W twoim odczuciu.

— Jeśli tylko poinformujecie Radę o moim przybyciu, niewątpliwie któryś z jej szacownych członków wyjdzie w końcu mnie powitać.

Przychylając się do jego prośby, młodzieniec przepuścił ich w drzwiach, a następnie poprowadził z towarzyszką do lśniącej bielą komnaty wychodzącej na przestronne podłużne atrium. Pomieszczenie to wypełniały marmurowe ławy. Wzdłuż szemrzących we wgłębieniach podłogi strumyków leżały stosy zbyt kownych poduszek.

— Szkoda, że nie pożyczyłam od Laury okularów – powiedziała Ruth słabym głosem.

— Jak się czujesz? – Church przytulił ją.

— Cały czas chce mi się wymiotować.

Zrobili krąg z części poduch i rozłożyli się na nich wygodnie.

— Co za arogancja – szepnął Max. – Przypominają mi najgorszy typ arystokratów.

Tom przyłożył sobie palec do ust. Dziennikarz wstrzymał się z krytycznymi uwagami, ale nie miał bynajmniej zamiaru zamilknąć.

— Jak długo każą nam na siebie czekać?

— Trudno powiedzieć. Kilka godzin, kilka tygodni...

— Tygodni? – przeraziła się Ruth.

Szczęście im jednak sprzyjało – już po dwudziestu minutach usłyszeli, że ktoś się zbliża.

— Chyba nadal cieszysz się tu pewnym poważaniem – zauważył Church, ścisząc głos.

Białe ściany korytarza rozbłysły złotą poświatą, jakby nadchodzący niósł zapaloną latarnię, ale ten, który stanął w drzwiach, miał puste ręce. Tym razem musiał być to ktoś zajmujący wysokie miejsce w hierarchii, ponieważ trochę to trwało, zanim umysłem czwórki udało się nadać jego ciału ostateczny kształt. Church obserwował zafascynowany, jak członek Rady jawi mu się a to jako oksfordzki profesor, a to jako budzący obrzydzenie potwór. Wreszcie zobaczył przed sobą mężczyznę o szlachetnych rysach i długich siwych włosach związanych z tyłu głowy. Znad orlego nosa przyglądały się światu bystre, szare oczy. Church gardził zwykle okazywaniem bogom szacunku, ale od przybysza bił tak wielki autorytet, że miał ochotę paść przed nim na kolana.

Tom właśnie tak postąpił.

— Jesteśmy zaszczyceni, panie.

— Wierny Tomasz! Miło mi cię widzieć w pełni sił! – Ciepły uśmiech nieznajomego sprawił, że natychmiast poczuli się pewniej. A twoi towarzysze, czy są równie odporni na wstrząsy i trudy?

— Z dnia na dzień coraz bardziej. – Podniósłszy się z klęczek, Tom wskazał na Churcha i Ruth. – Oto Brat Smoków i Siostra Smoków – przedstawił ich, celowo omijając Maxa. – Spotkał was ogromny zaszczyt. Stoi przed wami sam Dian Cecht, pan na Dworze Ostatniego Słowa: nieustrudzony badacz przyrody,

najprzedniejszy uzdrowiciel pod słońcem, doskonały kowal, który dla Nuady stworzył słynną srebrną rękę, a także...

— Wystarczy tego, wystarczy – zaprotestował serdecznie mężczyzna. – Nie ma potrzeby wymieniać wszystkich moich zasług, chyba że planujesz uzupełnić je o listę wcale licznych niepowodzeń, a tymi wolałbym się publicznie nie chwalić. Witam w moich skromnych progach Brata i Siostrę Smoków. Pozwólcie, że korzystając z okazji, podziękuję wam za rolę, jaką odegraliście w naszym uwolnieniu. – Church skrzywił się na wspomnienie cierpień, jakie Żółty Lud z wyrachowaniem zesłał na członków drużyny, aby zyskać pewność, że ci później będą w stanie pomóc mu odczynić zły urok. Nieświadomy jego niechęci, Dian Cecht uśmiechnął się wielkodusznie. – Powiedźcie, z jakąż to sprawą się do nas zwracacie?

Tom wypchnął delikatnie Ruth na środek.

— Dobry panie, ta oto kobieta została schwytana przez Nocnych Wędrowców i poddana odrażającemu rytuałowi. Bylibyśmy ci niezmiernie wdzięczni, gdybyś zechciał usunąć jego skutki.

Uzdrowiciel pokiwał głową w zamyśleniu.

— Tak, wyczuwam w niej mroczne piętno. Takiej skazy nie da się ukryć. Cóż, nie przypuszczałem, że Siostra Smoków pozwoli na to, by tak ją potraktowano.

Ruth poczuła, że go zawiodła.

— Ja nie mam jej nic do zarzucenia – stanął w obronie chorej Tom. – W niewoli wykazała się niezwykłą siłą ducha, a sama nie mogła przecież przeciwstawić się setce przeciwników. – Zamilkł, by zaraz dodać: – Także plemię Danu uległo w pierwszym starciu Fomorianom ze względu na przewagę liczebną wroga.

Dian Cecht rzucił mu chłodne spojrzenie.

— Myślałby kto, że nauczyłeś się u nas zasad dyplomacji. Zresztą, mniejsza o to. Uznaję, że twoim celem nie było mnie obrazić, a i rozumiem, czego chciałeś dowieść tym porównaniem. – Przeniósłszy wzrok na Ruth, uśmiechnął się ciepło. – Jestem pewien, że bardowie będą wkrótce wychwalać w pieśniach twoją odwagę. Zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc.

Chciał już odejść, ale jego uwagę zwrócił Max. Dziennikarz usiłował się schować za plecami swoich kompanów.

— Widzę, Wierny Tomaszu, że zapomniałeś mi kogoś przedstawić.

Tom zrobił minę przyłapanego na gorącym uczynku uczniaka.

— To człowiek, którego zadaniem jest opisywanie wielkich zmian, jakie zachodzą obecnie w naszym świecie.

— Staracie się kultywować tradycje kronikarskie? Popieram, popieram. Niech o tych wydarzeniach dowie się jak najwięcej ludzi, a potem, z zapisków, przyszłe pokolenia.

Kiedy wyszedł przygotować się do wystawienia diagnozy, Ruth zwróciła się do Toma: — Kto to taki? Naprawdę mi pomoże?

— Nie kłamałem, mówiąc, że spotkał was zaszczyt. Dian Cecht jest jednym z najpotężniejszych przedstawicieli swojej rasy. – Hipis osunął się na poduszki, jakby rozmowa z bogiem go wyczerpała.

— To jakiś mędrzec? – odgadł Max.

— Jest ucieleśnieniem mądrości. Ma wgląd w to, jak działa wszystko we wszechświecie. Dostrzega nie tylko tworzącą rzeczywistość materię, ale i przesycającego ją ducha. To dlatego nie ma lepszego od niego eskulapa, myśliciela i wynalazcy. – Z pozoru Tom darzył boga ogromną estymą, ale w jego głosie pobrzmiwała również nuta rozgoryczenia.

— Spotkaliśmy już na swojej drodze kilku Tuatha Dé Danann –

powiedział Church – i muszę przyznać, że bardzo się od siebie różnią.

— To rasa wielkich indywidualności – przytaknął Tom.

— Czyli ten Dian to jakiś ekstra lekarz? – upewniła się Ruth.

Jej frazeologia nie przypadła Tomowi do gustu. Westchnął.

— Dian Cecht jest w panteonie Złotego Ludu bogiem odpowiedzialnym za zdrowie. Wraz ze swoją córką Airmed strzeże sekretu położenia słynnego świętego źródła. Ponoć tryska ono właśnie gdzieś tutaj, w obrębie tego kompleksu świątynnego, ale gdzie dokładnie, tego nikt nie wie. Wody tego źródła posiadają cudowne właściwości: nie tylko leczą wszelkie choroby, ale i przywracają do życia zmarłych. – Church drgnął, słysząc tę informację, ale postanowił nie zaprzętać sobie nią na razie głowy. – Ponoć nawet bogom potrafią pomóc. Ruth nie ukrywała, że kamień spadł jej z serca.

— W takim razie nie powinien mieć problemów z usunięciem perły.

— Aha. Więc jest po naszej stronie. – Max porządkował zdobyte informacje.

— Tylko do pewnego stopnia – poprawił go Tom. – Żeby wyrobić sobie pełniejszy osąd, warto zapoznać się z legendami. Kiedy Nuada, wódz Złotego Ludu, stracił rękę w pierwszej bitwie na równinie Magh Tuireadh, Dian Cecht sporządził dla niego nową, ze stopu srebra. Tuatha Dé Danann zachwycali się jej sprawnością, ale uznali, że mimo wszystko nie jest doskonała i odsunęli Nuadę od władzy. Jako kaleka, nie mógł już nimi dowodzić. Radził sobie ze wstydem najlepiej jak umiał, w końcu jednak zwrócił się z prośbą o pomoc do Miacha, syna Dian Cechta, którego uważano za jeszcze lepszego medyka niż jego ojca. Miach udowodnił, że pogłoski o nim są prawdziwe.

Wyhodował dla Nuady nową rękę, prawdziwą, z ciała, i z powodzeniem mu ją przeszczepił. Nawet dla jednego z Tuatha Dé Danann to niesamowite osiągnięcie. Nuada mógł na powrót stanąć na czele swojego ludu. Myślicie, że Dian Cecht cieszył się z osiągnięcia syna? Wkrótce po tym z zazdrości brutalnie go zamordował. Cóż, może więc i jest po naszej stronie, ale to i owo ma na sumieniu.

Zamilkli zszokowani, zastanawiając się, czy to coś zmienia.

— Skoro taka z niego szycha – zapytał po chwili Church – czemu tak szybko do nas przyszedł, zamiast przysłać jakiegoś służącego?

— Może gryzą go wyrzuty sumienia – odparł Tom, nie wyjaśniając, o co dokładnie chodzi.



Godzinę później młodzieniec i dziewczyna poznani przy wejściu przyszli zaprowadzić ich do pracowni Dian Cechta. Ruth dochodziła właśnie do siebie po kolejnym ataku nudności, musiała być więc po drodze podtrzymywana przez Churcha. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było gigantyczne i tak wysokie, że ledwie widzieli sufit składał się on zresztą głównie z tafli szklą przepuszczających oślepiające ilości światła. Wokół podpierających strop kolumn wiły się pędy winorośli, a niektóre słupy zdawały się obrastać częściowo sędziwe drzewa.

Dian Cecht czekał na nich pośrodku sali, nieopodal bijącego z posadzki źródła. Jego kryształowo czysta woda mieniła się urokliwie w promieniach słońca. W żaden sposób nie pachniała, ale kiedy podeszło się bliżej, odnosiło się wrażenie, że za jej



zasługą powietrze robi się świeższe i bardziej przejrzyste. Church i jego towarzysze nie mogli się powstrzymać, by nie zerkać wciąż w stronę źródła, jakby ten przyzywał ich bezgłośnie.

Ruth wzdrygnęła się, widząc, że uzdrowiciel przebrał się w międzyczasie w szkarłatne szaty. Nawet włosy zasłonił chustą tego samego koloru. Na tle białych ścian przypominał plamę krwi. Skinął na nią. Kobieta zerknęła niepewnie na Churcha, ale, wzięwszy głęboki oddech, zrobiła kilka kroków do przodu. Kiedy Dian Cecht zaczął w milczeniu lustrować jej twarz, poczuła się tak, jakby dosłownie przeszywał ją wzrokiem na wylot, tym bardziej więc się zmartwiła, widząc, że zmarkotniał.

— Co mi jest? – spytała.

Pokręcił tylko głową.

Obrócił się do stojącego obok, marmurowego postumentu. Ruth zauważyła, że na mosiężnym półmisku leży tam coś dziwnego. Nie sposób było orzec, co to takiego, ponieważ bezustannie zmieniało kształt.

Pochyliwszy się nad tajemniczym przedmiotem, medyk przemówił do niego w nieznanym języku. Zabrzmiało to jakby wiatr zajęczał nad wrzosowiskiem. Pozbawiona formy masa odpowiedziała mu wzmożonym tempem przemian – to pęczniała, to zapadała się w sobie, wiła się i gięła. Wreszcie na półmisku pojawiło się białe jajo, z którego wyrastały ruchome, roślinne wąsy. Stwór promieniował bladym światłem. Ruth przypomniała sobie jego fomoriańskiego odpowiednika usuniętego z mózgu Toma przez Ogmę.

— Caraprix.

— Tak. – Dian Cecht spojrział na jajo z uśmiechem. – Mój wierny towarzysz.

Znów do niego przemówił, na co biały stwór pojaśniał jeszcze

bardziej.

— Co masz zamiar z nim zrobić? – zaniepokoiła się Ruth.

— Nie martw się. Nie zrobię ci krzywdy. – Sięgnął po jej dłoń, aby dodać jej otuchy, ale gdy jej dotknął, przeszedł go dreszcz. Puścił ją zbyt gwałtownie. – We wnętrzu twojego ciała zalega zwarty kłęb mroku, którego moje oczy nie potrafią przeniknąć. Mój mały przyjaciel może nam pomóc. Zbada to zjawisko z bliska i opowie mi o tym, czego się dowiedział.

W oczach Ruth pojawił się strach. Church poczuł bolesne ukłucie w sercu.

— Co tam jest? Co oni ze mną zrobili? – zawołała chora.

Dian Cecht uśmiechnął się smutno, po czym przesunął po jej czole opuszkami palców. Kobieta natychmiast straciła przytomność. Tej samej metody, z identycznym skutkiem, użył już wobec niej Tom, kiedy nocowali w Stonehenge. Church rzucił się, żeby ją złapać, ale medyk był szybszy. Głęboko uśpioną kobietę położył na kamiennej ławie. Przywódca drużyny przeraził się, kiedy zobaczył, że skóra jego przyjaciółki jest niemal tak biała jak marmur.

Atmosfera w pracowni zrobiła się napięta. Church mógłby przysiąc, że słońce przesłoniły chmury, chociaż tak naprawdę pomieszczenie nadal zalewało jaskrawe światło. Dian Cecht podniósł z półmiska pulsujący Caraprix i ukląkł przy głowie Ruth. Jack zerknął na Toma sprawdzić, czy ten aprobuje zabieg, ale przewodnik unikał jego wzroku. Z kolei Max wpatrywał się jak zaczarowany w jajo.

Kiedy medyk dotknął Caraprixem ucha kobiety, jajo znowu zaczęło zmieniać kształt. W mgnieniu oka wpierw stało się przezroczyste, a potem wydłużyło do rozmiarów tasiemca. Teraz z szybkością strzały mogło wnikać do małżowiny chorej. Jej

twarz wykrzywił grymas bólu.

Dian Cecht podniósł się i cofnął o krok. Drapiąc się po brodzie, przyglądał się w zamyśleniu uspiętej pacjentce. Church poczuł obrzydzenie na myśl o tym, co w tej chwili działo się w jej ciele. Wyobraził sobie, jak Caraprix penetruje różne jego zakamarki, wypatrując śladów fomoriańskiej ingerencji. Uświadomił sobie jednak szybko, że przypadłości Ruth nie można przyrównać do zwykłej ludzkiej choroby. Gdyby jakiś chirurg odsłonił jej organy, nie doszukałby się niczego podejrzanego. Kłęb mroku, o którym mówił bóg, znajdował się w jej duszy.

Czas dłużył się niemożliwie. Dian Cecht i Tom stali zupełnie nieruchomo. Church dopiero teraz zdał sobie sprawę, że obaj mężczyźni są do siebie bardzo podobni – hipis nie byłby zadowolony z tego spostrzeżenia. Max, gotowy do poświęceń dla swojego artykułu, czekał cierpliwie, aż cokolwiek się wydarzy.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Tasiemcowaty pomocnik Dian Cechta zaczął zniecka wyc jak opętany – jego jęk z łatwością przenikał tkanki Ruth. Kobiecie drgnęły policzki, skrzywiła się, a wreszcie zwinęła w kłębek, tak szybko i niespodziewanie, jakby została uderzona w brzuch. W tym samym momencie koło jej ucha coś mignęło. To wypadł z niego Caraprix, niemal niewidoczny w szaleńczym pędzie. Uwolniony hałasował jeszcze bardziej niż przedtem. Wszyscy obecni musieli zatkać uszy.

Stwór zdążył przeobrazić się na powrót w białe jajo. Leżał na podłodze w kałuży tajemniczego żelu. Pulsował nierówno, może po prostu dyszał wyczerpany ucieczką.

Wzburzony Dian Cecht z miejsca rzucił się na pomoc. Jego twarz rozmyła się na kilka sekund. Podniósł Caraprix ostrożnie, niczym wróbla z przetrąconym skrzydłem, i nie zerkając nawet

na pacjentkę, pospiesznie opuścił salę.

Mężczyźni zostali sami. Rozpaczliwe zawrodoenie stworzenia jeszcze długo niosło się po marmurowych korytarzach.



Ruth oprzytomniała chwilę później. Z początku nie wiedziała, kim jest, ani gdzie się znajduje, paplała coś tylko sennie o śmigającym po falach statku, ale kiedy jej wzrok padł na Churcha, przyszło otrzeźwienie. Zamilkła, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu. Chwycił ją mocno za rękę, odgarnął z bladego czoła niesforny kosmyk. Na skórę chorej wystąpiły kropelki potu.

— I co mi jest? – wychrypiała.

Church nie odpowiedział. Spojrzała przez jego ramię na Toma, potem na Maxa, po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.



Siedzieli w ciszy. Zalana słońcem pracownia przypominała protestancką katedrę. Nie wiedzieli, czy Dian Cecht jeszcze w ogóle wróci. Trzymał ich w niepewności ponad dwie godziny, a kiedy w końcu się pojawił, towarzyszyła mu liczna świta. Po bokach miał swoich giermków, chłopaka i dziewczynę, za nimi zaś weszło do sali przynajmniej dwadzieścia osób. Niektórzy z nowoprzybyłych posiadali płynne twarze o poważnych rysach, należeli więc niewątpliwie do elity swojej rasy. Ci, których miny dało się dostrzec, wyglądali na smutnych i zdenerwowanych. Nie

odzywiali się, ale najchętniej wygoniliby chyba przybyszów z krzykiem.

— Nie możemy pomóc ani tobie, ani twoim kompanom, Wierny Tomaszu – oświadczył Dian Cecht spokojnym tonem.

Tom wystąpił przed pozostałych i skłonił się lekko.

— Dziękuję, że poświęciłeś nam swój czas, panie.

— Chwileczkę! – wtrącił zaskoczony Church. – Czy ja dobrze słyszę? Nie możesz nas zbyć tak bez słowa wyjaśnienia!

Bóg zdrowia zmroził go spojrzeniem. Po jego dawnej serdeczności nie zostało ani śladu.

— Wypadałoby okazać trochę szacunku.

— To ty mi okaż szacunek – odciął się Church. – Przychodzę tu w imieniu mojego świata, moich ludzi. Jestem Bratem Smoków.

Tom postanowił ratować sytuację.

— Wybacz, panie. Jack jeszcze się nie nauczył...

Dian Cecht uciszył go władcym gestem i zwrócił się do Churcha.

— Mimo całej swojej mocy, Bracie Smoków, jesteś tylko bezsilną Kruchą Istotą. Możesz sobie krzyczeć, nic tego nie zmieni. W dodatku masz za sobą haniebną porażkę, haniebną nawet wzięwszy pod uwagę marne możliwości twojego ludu. Powinieneś zapomnieć o swoich żalosnych aspiracjach. Naprawdę nie masz pojęcia, co dolega twojej przyjaciółce?

— Czego się dowiedziałeś od Caraprixa? – spytał Church, starając się opanować gniew. Wzbierał w nim wstręt do wszystkich Tuatha Dé Danann. Z chęcią wygoniłby ich ze swojego świata, z Niamh włącznie.

Ruth położyła mu rękę na ramieniu.

— Daj spokój – szepnęła. Puścił jej radę mimo uszu.

Dian Cecht zerknął na Ruth, ale najwyraźniej nie był w stanie

się jej dłużej przyglądać.

— Na Siostrze Smoków dokonano niewyobrażalnie potwornego zabiegu. Stała się narzędziem niezbędnym do wskrzeszenia Serca Cieni.

Tom musiał coś wcześniej podejrzewać. Zakrył usta dłońmi i załamany pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „A jednak”.

— Narzędziem? – powtórzył Church, choć tak właściwie wolał nic nie wiedzieć.

— Czarna perła... – zaczęła Ruth.

— To esencja Balora – dokończył za nią z powagą uzdrowiciel jednookiego boga śmierci, Serca Cieni, Pana Zła. To ekstrakt ze wszystkiego, co z niego pozostało, zebrany pieczołowicie przez jego popieczników.

Churchowi przypomniały się beczki pełne wstrętnej czarnej mazi, na które natknęli się w Salisbury i w fortecy pod Dartmoor. Zakręciło mu się w głowie. Oszołomiony, wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Tom zdawał się mieć oczy pełne łez.

— Czarna perła – ciągnął medyk – tak zwana Gravidura, to ziarno, z którego Balor odrodzi się w dzień najbliższego święta.

— To znaczy, że jestem w ciąży? – uzmysłowiła sobie z przerażeniem roztrzęsiona Ruth, odruchowo dotykając obiema dłońmi brzucha. Spojrzała na nie tak, jakby należały do kogoś obcego. – Balor jest tu w środku? – Wyraz jej oczu był nie do zniesienia. Zaczęła drapać się wokół pępka, coraz szybciej, coraz bardziej brutalnie. Church musiał złapać ją za nadgarstki. – Co się ze mną stanie? spytała jękliwie.

— W święto Lughnasadh, pierwszego sierpnia – oświadczył niewzruszony Dian Cecht – perła przeistoczy się w Serce Cieni odrodzone w swojej dawnej postaci. Ta metamorfoza rozerwie cię na strzępy.

Przywódca drużyny miał ochotę podejść do boga i bić go tak długo, aż ten zmieniłby ton głosu. Powstrzymawszy mordercze zapędy, objął przyjaciółkę ramieniem, bo sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała paść zemdlna.

— Dlaczego ją tak traktujesz? – zawołał oburzony. – Jest niewinną ofiarą, a nie...

— Pozwoliła na to, aby do tego doszło.

— Co ty wygadujesz? – Church zreflektował się w porę i spróbował innego podejścia. – Skoro macie swojego największego wroga na wyciągnięcie ręki, dlaczego nie usuniecie go z ciała Ruth, żeby go unicestwić?

— Nie będziemy kalać sobie rąk kontaktem z czymś tak obmierzłym. Samo przebywanie w pobliżu tej esencji... – Machnął ręką, krzywiąc się, jak gdyby wyczuł jakiś brzydki zapach.

— Ależ to nie ma sensu! Jeśli Balor się odrodzi, nie da waszej rasie spokoju! Zmiecie ją z powierzchni ziemi! – Church zamilkł raptownie, widząc, że twarz jego rozmówcy nabiega purpurą, a następnie rozmywa się, ustępując miejsca pokazowi obrzydliwych masek.

Dian Cecht zwrócił się teraz do Toma, ignorując zupełnie jego niesforne podopiecznego: — Zajmiemy się Nocnymi Łowcami, jeśli zaczną nam przysparzać problemów, ale...

— Jeśli? Przecież to pewnik! – przerwał mu Church.

Hipis pchnął mężczyznę w kierunku wyjścia.

— Milcz, głupcze – syknął – albo umrzesz gwałtowną śmiercią!

— Opuść nasze terytorium, Wierny Tomaszu, i nie przyprowadzaj już tutaj tego impertynenckiego stworzenia.

To powiedziawszy, wielki uzdrowiciel odwrócił się na pięcie i wraz ze swoim orszakiem opuścił pracownię. Zapadła grobowa

cisza. Ruth zwiesiła głowę.

— Boże święty... – wyszeptała, wtulając się w Churcha.



— Zdradzisz nam, co odkryłeś, czy nie? – zawołała zniecierpliwiona Laura, usiłując dotrzymać Veitchowi kroku.

— Obserwuj mnie uważnie – rzucił – to sama się domyślisz.

Kipiał gniewem. Najwyraźniej spieszo mu było wymierzyć sprawiedliwość.

Dziewczyna zerknęła na Shaviego, który, równie bezradny co ona, rozłożył ręce, pokręcił głową i wzruszył ramionami. Nie mieli innego wyboru, jak podążyć za kompanem do pubu.

Wpadł do głównej sali z takim impetem, jakby grał w westernie samotnego mściciela. W środku zastał większość członków grupy samopomocowej – siedzieli przy barze pogrążeni w poważnej rozmowie. Na widok rozwścieczonego Veitcha zrobili zdziwione miny. Mężczyzna zagadnął szeptem pierwszego tubylca z brzegu, a uzyskawszy odpowiedź, natychmiast opuścił lokal. Laura złapała go w przelocie za rękaw, ale rzucił jej tak agresywne spojrzenie, że puściła Shaviego przodem, woląc trzymać się kilka metrów z tyłu.

Kiedy na powrót znaleźli się wśród rezydencji bogatszej części High Street, słońce skryło się zupełnie za horyzontem, pozostawiając jedynie kurczący się pasek jasnego złota i bladego błękitu. Skręcili w jedną z przecznic. Veitch zacisnął pięści. Rozglądając się niczym drapieżnik za ofiarą, dysząc ciężko po biegu, szukał właściwego numeru. Gdy go znalazł, wybił kopniakiem zagradzającą mu drogę drewnianą furtkę i rzucił się



pędem do frontowych drzwi.

Były zamknięte na klucz. Zaczął walić w nie z taką siłą, że zatrzęsły się szyby w najbliższych oknach.

— Otwórzcie, dranie!

Ktoś wewnątrz zawołał coś niskim głosem.

— Otwórzcie po dobroci albo je wyważę i nie będziecie mieli żadnej zapory przed bestiami!

Usłyszeli zbliżające się szybko kroki i odgłos odsuwanych rygli. Kiedy w drzwiach pokazała się szpara, Veitch kopnął je z całej siły, tak że uderzyły boleśnie tego, kto je uchylał. Niewidoczny mężczyzna jęknął i wpadł z łoskotem na ścianę. Korzystając z zamieszania, weszli do środka. W holu zastali nieznanego im pięćdziesięciolatka, próbującego bezskutecznie powstrzymać obfite krwawienie z nosa. Gdyby nie tusza, łysina i odrażająco obwisłe policzki, przypominałby wampira z tandetnego horroru.

O dziwo, zamiast zaatakować grubasa, Veitch minął go obojętnie, bardziej zainteresowany zaglądaniem do pokoi. Przystanął dopiero na progu imponującego salonu, którego sięgające podłogi okna wychodziły na ogromny ogród. Na umeblowanie pokoju składały się liczne antyki, na ścianach wisiały obrazy w złożonych ramach, w kącie stał fortepian, a mimo letniej pory w kominku płonęły malownicze polana.

Zgromadzonych tutaj kilkanaście osób wpatrywało się w intruzów z obawą. Spośród czterech kobiet, trzy miały już ponad sześćdziesiąt lat, ale nadal bardzo o siebie dbały. Na ich tle wyróżniała się młodsza dwie dekady blondynka o włosach tak grubo pokrytych lakierem, że przypominały hełm. Mężczyźni reprezentowali różne grupy wiekowe typy urody. Tylko Veitch zauważył od razu, co łączyło wszystkich obecnych w salonie –

byli to ludzie bogaci, a zarazem aroganccy.

Na środek pokoju wyszedł sir Richard. Trzymał kieliszek brandy. Laura zauważyła, że mężczyzna ma zaróżowione policzki, nie potrafiła jednak odgadnąć, czy od ognia, alkoholu czy od stresu.

— Co też najlepszego wyprawiasz, chłopcze? – spytał arystokrata.

Veitch podszedł do niego i wytrącił mu kieliszek z dłoni. Naczynie pękło, płyn zalał drogi dywan.

— Oszalałeś?

— Całe życie nienawidziłem bogaczy i szlachciurów. – Londyńczyk splunął z pogardą. Na dźwięk jego głosu Laure przeszły ciarki.

Shavi zebrał się na odwagę i zabrał głos: — Ryan, jesteś pewien...

— Tak, cholernie pewien! – Veitch przeniósł wzrok na szamana. – Ty i Laura nie wychowaliście się na ulicy, nie żyliście na ulicy. Nawet przez myśl by wam nie przyszło, żeby rozwiązania zagadki szukać w tym pięknym domu. Innych oceniacie po postępkach, a nie po pochodzeniu. I dobrze. Ale ja wiem, że na świecie są jeszcze ludzie, którzy mają się za lepszych tylko dlatego, że urodzili się w danej rodzinie albo tyle i tyle mają na koncie. Dobrze mówię, prawda? – spytał sir Richarda.

— Jeśli insynuujesz, że ja...

— Stul pysk, gnido.

Laura przyglądała się tej scenie z chorobliwą fascynacją. Ze swoimi mięśniami i dzikim wzrokiem Veitch przerażał nawet ją, więc co musiały czuć zgromadzone w pokoju osoby! Na ich twarzach malował się niepokój i zdezorientowanie. Spodziewali się chyba, że wytatuowany osiłek lada chwila ich powystrzela

albo przynajmniej obrabuje – i poniekąd tak właśnie mógł postąpić.

Veitch zwrócił się do Shaviego, ale było oczywiste, że mówi do wszystkich.

— Pozwól, że ci opowiem, co się wydarzyło w tej wiosce. Kiedy jako pierwszą bestie zabiły bogatą starszą panią, na tych tu pięknościów padł blady strach. Myśleli, że w swoim rajku na ziemi są nietykalni – nagle klapki opadły im z oczu. Cały świat stanął na głowie. Tego typu śmierci nie były w stanie odwlec pieniądze czy kontakty. Status społeczny tych ludzi przestał cokolwiek znaczyć. A potem stwory zabiły pijaczka z komunałki i w głowach miejscowej elity zaczął nieśmiało kiełkować pewien pomysł. Jakby nie było, pozbyli się nareszcie tego przebrzydłego ochlapusa, który tylko rozrabiał i brudził rzygami chodnik. Pomyśleli, że można by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: odwrócić uwagę gadzin od przyzwoitych obywateli, a przy okazji oczyścić wieś z wszelkiego „elementu”. Może na początek z tych wszystkich podpierających ściany łachudrów bez pracy?

— Veitch zmienił akcent na bardziej wyedukowany. – Całkiem ich tam sporo w tych tandetnych domkach zbudowanych przez gminę po drugiej stronie wsi, tam, dokąd nigdy się nie zapuszczamy.

— Jak pan może! To nasi sąsiedzi! – oburzył się mężczyzna w ciemnym garniturze. – Nigdy nie było pomiędzy nami żadnych niesnasek.

— Tolerowaliście ich, bo sami czuliście się panami świata. Ale starczyło, że śmierć zajrzała wam w oczy, a już byliście gotowi ich poświęcić. Bestie nie potrafią pokonać zwykłych zamkniętych drzwi, tak? A jednocześnie po każdym ataku dają wam kilka dni spokoju? Korzystaliście więc z tych bezpiecznych nocy i pod

osłoną ciemności wyważaliście łomem drzwi upatrzonych biedaków. Cóż, nie pierwszy raz w historii wybraliście, kto zostanie mięsem armatnim.

Laura uświadomiła sobie nagle, że na framugach jej kompan szukał śladów włamania – z pewnością znał się na tym o niebo lepiej niż ona czy Shavi.

Szaman spoglądał to na Veitcha, to na sir Richarda i jego znajomych. Po ich minach widać było jak na dłoni, że londyńczyk nie kłamie, jednak szaman nadal nie rozumiał do końca ich motywów.

— Ale dlaczego ktokolwiek w ogóle musiał ginąć? Wystarczyło każdemu nakazać zamykać drzwi po zmroku, a stwory nikogo by już nie porywały.

Veitch pokręcił głową.

— Masz za dobre serce, Shavi, a tu trzeba myśleć tak jak ci szubrawcy. Oni kochają pieniądze, modlą się do nich, zrobiliby dla nich wszystko. Nienawidzili być więźniami we własnych domach, bo nie mogli wtedy zarabiać, a tak po każdym mordzie następowało kilka dni przerwy i znów mieli szansę doglądać interesu – swojej firmy importującej wina, wysoko wyspecjalizowanego gospodarstwa czy innej bzdury ważniejszej niż ludzkie życie. – Powiódł wzrokiem po twarzach struchlałych bogaczy. – Tak to było, prawda, skurczybyki?

Sir Richard chciał zaprotestować, ale pięść Veitcha szybko trafiła go w usta. Z rozciętej wargi na białą koszulę chlusnęła krew. Wszyscy w pokoju, łącznie z Laurą, jęknęli zszokowani.

Jedna ze starszych kobiet wybuchła płaczem.

— Boże, wybaczcie nam, proszę...

— Trochę za późno na wyrzuty sumienia. Najpierw bezrobotny, tak? A ostatnim razem mieliście nadzieję pozbyć się

dziewczyny z nieślubnym dzieckiem? A padło na nieszczęsną małą.

— To nie było...

— Cicho tam. Czyj to był pomysł?

Na kilka minut zapadła cisza. Każdy starał się odgadnąć, jaki będzie następny krok brutalnego intruza. Wreszcie, zatamowawszy krwawienie, odezwał się sir Richard: — Wszyscy tu jesteśmy współodpowiedzialni. Razem podejmowaliśmy decyzje.

Strasznie było usłyszeć, że Veitch jednak się nie mylił.

— Dobra nasza. – Londyńczyk sięgnął po kuszę, umieścił w niej bełt i wycelował broń w mężczyznę w ciemnym garniturze. – To może zaczniemy od pana.

— Ryan, dosyć tego – powiedział Shavi, ale łucznik nadal gotował się do strzału.

— Błagam! – Niedoszła ofiara wskazała trzęsącą się ręką sir Richarda. – To był jego pomysł! Przyznaję, przystaliśmy na tę propozycję, ale sam pomysł wyszedł od niego!

— Tak jak myślałem. – Veitch opuścił broń i spojrzał na arystokratę. – Nie ma co, znam się na ludziach. Drania rozpoznam na kilometr. Tchórzy zresztą też, dlatego wiedziałem, że wystarczy postraszyć jednego z twoich popleczników, a zaraz cię wsypie. A teraz pójdiesz ze mną.

— Nie ma mowy! – Sir Richard łypał oczami na boki niczym osaczone zwierzę. Zanim zdążył rzucić się do ucieczki, londyńczyk wypuścił bełt na podłogę i zdzielił go kuszą po głowie. Mężczyzna osunął się nieprzytomny na ziemię. Veitch spokojnie schował strzałę i odwiesił kuszę na plecy, po czym przerzucił sobie bezwładne ciało arystokraty przez ramię. Wychodząc z pokoju, rzucił do swoich towarzyszy: — Zobaczymy

się w pubie.

— Dokąd go niesiesz, Ryan? – spytał przerażony szaman.

— Nic ci do tego.

I Laura, i Shavi żalowali później, że nie odwrócili w porę wzroku. Veitch usiłował się wprawdzie opanować, ale mimo to dostrzegli na jego twarzy ślady okrutnego uśmiechu.



Wracali przez marmurowe komnaty i jesienne łąki, wlokąc się noga za nogą, jakby szli w kondukcje pogrzebowym. Roztrzęsiony Tom miał trudności z odnalezieniem drogi powrotnej. Jeszcze nigdy nie widzieli go w takim stanie. Pograżona w myślach Ruth wspierała się na ramieniu Churcha – czuła się nie najgorzej, ale potrzebowała duchowego wsparcia. Pochód zamykał poblady Max.

Kiedy wyłonili się z wnętrza wzgórza, położenie słońca wskazywało na to, że w Richmond jest około dziesiątej rano. Z nieba lał się żar, z okolicznych dolin dochodziło bzyczenie owadów, od rynku bił smród samochodowych spalin. Wędrowcy nie mieli pojęcia, czy to nadal maj, czy może już koniec lipca. Cała czwórka zdawała sobie sprawę, co oznaczałaby ta druga ewentualność.

Ruth nie mogła się już dłużej powstrzymać. Gdy tylko zajęli miejsca w aucie, rozpięła rozporek i zsunęła odrobinę spodnie. Nie dało się ukryć, że jej brzuch jest nieco zaokrąglony.

— To się nie trzyma kupy! – zaprotestował Church. – Przecież tak naprawdę nic tam nie ma, prawda? – spytał Toma.

Hipis odwrócił szybko wzrok, kręcąc głową. Nie sposób było

orzec, co chce przez to powiedzieć. Chora zaniósła się histerycznym szlochem, a uspokoiwszy się, skuliła się na tylnym siedzeniu. Tom i jego uczeń wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wysiedli z samochodu, pozostawiając kobietę pod opieką Maxa. Odeszli kawałek, żeby tamci nie mogli ich podsłuchać.

— Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji – zaczął Church.

— Możliwe. Ale najpierw musimy rozwiązać inny problem. Skoro Ruth nosi w sobie esencję Balora, Fomorianie zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby nas namierzyć. Jego odrodzenie jest dla nich sensem istnienia. Pewnie umierają ze strachu, że ją zabijemy, zanim nas znajdą.

— Ze ją zabijemy? – Coś podobnego nie przyszło mu nawet do głowy.

— Poniekąd nie mamy innego wyboru.



Church zwymyślał Toma za zupełny brak serca, jego reakcja była jednak tak gwałtowna, ponieważ wiedział w głębi duszy, że gdyby odważył się wszystko przemyśleć, doszedłby do tego samego wniosku. Powrót Balora równał się końcowi świata, a życie Ruth stanowiło niewielką cenę za uratowanie całej ludzkości. Rzecz jasna, obiektywnie, teoretycznie. Jak mógł zabić lub pozwolić na zabicie najlepszej przyjaciółki, najważniejszej chyba dla niego istoty pod słońcem? Ale jakąś decyzję musiał podjąć – tak, właśnie on, bo to on był przecież przywódcą drużyny. Był świadomy czegoś jeszcze: że bez względu na to, co postanowi, ten straszny ból, który czuł teraz w sercu, nie opuści

go już nigdy.



W drodze powrotnej w aucie panowała atmosfera pełna niedomówień. Church zdawał sobie sprawę, że Max chętnie zasypałby go gradem pytań, ale nie czuł się na siłach odpowiadać na żadne z nich ani publicznie, ani też samemu sobie. Ruth już nie płakała i zachowywała się nad zwyczaj dzielnie – nie wiedzieć czemu, przygnębiało to go jeszcze bardziej.

— To dlatego sowa znikła – szepnęła kobieta. – Dopóki mam to coś w brzuchu, nie zbliży się do mnie.

Chociaż otworzyli szeroko wszystkie okna, skwar dawał im się coraz bardziej we znaki. Nie było dokąd przed nim uciec. Rozdrażnienie narastało. Przemoknięte od potu ubrania lepiły się do tapicerki. Powietrze na zewnątrz kisło, źdźbła traw ani drgnęły.

Max pędził na złamanie karku po pustej szosie, wytrzeszczając oczy, żeby zobaczyć cokolwiek wśród setek rozgniecionych na przedniej szybie owadów. Przemierzyli tak bez przeszkód kilka kilometrów, ale w pewnym momencie, za zakrętem, dziennikarz raptownie się zatrzymał. Samochodem zarzuciło. Przed nimi w oddali majaczył ogonek aut – kolejna blokada.

— Cholera. Tamtych trzech jednak nas wtedy zauważyło. Church schwycił Maxa za ramię. – Musisz zawrócić, znaleźć jakąś inną drogę.

Ledwie to powiedział, a z tyłu niewinnie wyglądającej furgonetki zaparkowanej przy skrzyżowaniu za nimi wysypało się kilku policjantów w kewlarowych hełmach i kamizelkach



kuloodpornych. Najprawdopodobniej byli uzbrojeni.

Max wrzucił wsteczny i fiesta ruszyła z piskiem opon, ale już po paru metrach zza przydrożnych krzaków wynurzył się ukryty w nich wcześniej radiowóz, więc dziennikarz musiał z całej siły wcisnąć hamulec. Zaskoczeni pasażerowie nabili sobie kilka guzów.

— Co teraz? – Nie czekając na odpowiedź Churcha, Max skręcił ostro w prawo i wjechał na pole. Na szczęście nic na nim nie rośło, a od upału było twarde jak kamień, nie brakowało w nim jednak bruzd, które zniszczyłyby zawieszenie jeepa.

Przytrzymując się siedzenia, Church wyjrzał przez tylną szybę. Policja powoli ich doganiała.

— Mam nadzieję, że widziałeś *Mistrz kierownicy ucieka* – powiedział do kierowcy.

Dziennikarz wydał z siebie niezrozumiałe chrząknięcie. Nagle wszystkie koła auta znalazły się w powietrzu. Ford gruchnęła o ziemię z przeraźliwym trzaskiem. Przez chwilę jechał bokiem, wzbijając tumany kurzu.

— Na filmach jakoś łatwiej im idzie – skwitował to wydarzenie Max.

Od radiowozu dzielił ich tylko rzut kamieniem, kiedy dziennikarz zaklął nagle i ni stąd ni zowąd wjechał w pobliskie ogrodzenie. Drut kolczasty zaskrzypiał na karoserii niczym kreda na tablicy, posypały się iskry. Za płotem pole schodziło stromo w dół. Fiesta sturlała się z góry, jakimś cudem przeskoczyła nad rowem i wylądowała z powrotem na szosie.

Samochód policjantów poszedł w jej ślady, ale najwyraźniej miał wyżej położony środek ciężkości, nie wytrzymał bowiem ostrego zjazdu i, zahaczywszy kołem o rów, przewrócił się na bok.

Max zerknął w boczne lustro.

— Ha! – krzyknął uszczęśliwiony.

— Nie chwał dnia przed zachodem słońca – powiedział ponuro Tom. Znow znajdowali się pomiędzy skrzyżowaniem a blokadą.

Za ogonkiem aut pojawił się wysoki na trzy metry kłęb cienia. Jego kontury zmieniały się bezustannie. Pozostali pasażerowie forda już nieraz byli świadkami podobnego zjawiska, ale Maxa chwyciły gwałtowne mdłości.

— Tylko nie patrz na tę chmurę! – pouczył go Church. – Pod żadnym pozorem! Gaz do dechy i już nas tu nie ma!

Dziennikarz jeszcze raz zerknął mimowolnie na kłęb, przez co zaraz zwymiotował między nogi. Na sekundę odwróciło to jego uwagę od prowadzenia auta i silnik przeszedł na jałowy bieg. Mężczyzna przetarł usta. Otrząsnął się, jakby chciał się obudzić.

Potężna plama czerni zdawała się zasysać otaczające ją światło. Zaczęła powoli przesuwać się w ich kierunku, odrzucając bezlitośnie na bok napotkane samochody. Fikołka zrobiło najpierw renault, potem peugeot i mondeo. Za każdym razem brzmiało to niczym wybuch bomby. Jaguar ugiął się pod ciężarem cienia jak kartka papieru, tylko szkło z jego szyb wystrzeliło gradem odłamków.

Church nie potrafił oderwać wzroku od tego przerażającego widowiska. Chmura przywodziła mu na myśl rekina, który zostawia za sobą wzburzony pas zakrwawionej wody.

— Max, jedź! – Jego głos ginął w kakofonii szorującego po asfalcie metalu.

Cień parł naprzód, nabierając prędkości. Przeobrażał się, wyostrzał – gęstsze jego fragmenty odrywały się od głównej bryły, by przywrzeć do niej w innym miejscu. Stopniowo kłęb przeistoczył się w olbrzymią istotę, którą pełna narośli zbroja

upodabniała do lśniącego czernią chrabąszcza. Z hełmu potwora sterczały liczne owadzie rogi.

Church rozpoznał Fomorianina napotkanego w pieczarze pod Tronem Artura. Tego samego stwora widział też Veitch – to on stał z Calatinem na scenie w trakcie rytuału pod edynburskim zamkiem.

Po jaguarze przyszła kolej na mikrobus. Monstrum cisnęło nim o pobocze, jakby ważył tyle co piórko. Boże Świąty, co ono jeszcze potrafi?, pomyślał Church.

— Max, odjeżdżaj, do cholery! – wrzasnął.

Dziennikarz ocknął się i ruszył w stronę skrzyżowania z takim impetem, że znowu mało brakowało, a wybiliby sobie zęby.

— Nie patrz w lusterko – ostrzegł go Church. Bał się, że ich nowy znajomy, nieprzyzwyczajony do obcowania z Fomorianami, na widok rycerza straci przytomność. – Wyciśnij z tego grata ile się da.

Odepchnąwszy ostatnie z stojących mu na drodze aut, potwór rzucił się biegiem po pustej szosie. Wnętrze fiesty wibrowało od każdego jego stąpięcia.

— Dogania nas? – spytała Ruth. Żeby uniknąć kontuzji, trzymała się kurczowo krawędzi siedzenia.

— Nie wiem, jak on to robi, ale samochód wariuje! – Max usiłował przekrzyczeć wycie silnika. – Kierownica sama wyskakuje mi z rąk!

Dziennikarz napierał na pedał gazu całym ciężarem ciała, kołysząc się przy tym w przód i w tył, jakby miało to coś pomóc. Każda sekunda wydawała się godziną. Trudno było mieć nadzieję, że przerdzewiały ford okaże się szybszy od ich prześladowcy, ale po pewnym czasie, chociaż nie śmieli w to uwierzyć, mrozące krew w żyłach drgania odrobinę zelżały.

Church odważył się zerknąć na goniące ich monstrum i zorientował się, że odległość między nimi się zwiększa. Wiedział jednak, że nawet jeśli teraz uda im się wymknąć, rycerz nie spocznie, dopóki ich nie dopadnie.

— Wygląda na to, że go zgubimy – poinformował towarzyszy. Módlmy się tylko, żebyśmy nie mieli jednej z tych dziwnych awarii. Jedyne pożytek z tych nowych porządków jest taki, że, co jak co, ale na pewno nie utkniemy w korku.



Kluczyli bocznymi drogami, aż Fomorianin znikł im z oczu, choć jeszcze przez kilkanaście minut słyszeli jego kroki. Rozkołatane serca z wolna się uspokajały.

— No to już wiemy, kto będzie nas odtąd ścigał – stwierdził Church.

— Naślą takich więcej – uściślił Tom. – Zmobilizują wszystkie swoje siły.

— Matko Boska! – jęknęła histerycznie Ruth. Church ujął delikatnie jej dłoń.

— Musimy jak najszybciej wynieść się z wioski. Nie będziemy już mogli nigdzie zostawać na dłużej.

— Po co te wszystkie zachody? Zabijcie mnie przed sierpniem i po krzyku.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

Zaparkowali na High Street. Na powitanie wyszedł im Veitch.

— Myśleliśmy, że już nigdy nie przyjedziecie. Udawaną irytacją próbował pokryć niepokój.

— Jak długo nas nie było? – spytał go Church, pomagając Ruth

wysiąć z wozu. Zachodził w głowę, jak poinformować kompanów, a zwłaszcza Veitcha, o tym, czego dowiedzieli się w Zaświatach.

— Trzy dni. – Londyńczyk nie wytrzymał, podszedł do chorej i spojrzał jej z troską prosto w oczy. – I co ci jest?

Zmusiła się do uśmiechu.

— Jestem w ciąży.

Oszupiał, a potem posmutniał. Jego reakcja ją rozśmieszyła. Przeszli do pubu, gdzie mężczyźni zamówili dla siebie coś mocniejszego. Ruth robiła dobrą minę do złej gry.

Veitch ani drgnął, kiedy opowiadali mu o diagnozie Dian Cechta, ale Church dopatrzył się czegoś w głębi jego oczu. Wiedział, że już nigdy nie zapomni ich wyrazu – należały do człowieka, który stracił wiarę w Boga. Londyńczyk upił łyk piwa, oplótł Ruth ramieniem, zażartował delikatnie na temat jej stanu i powiedział, że na pewno coś się wymyśli, bo do tej pory przecież z każdej opresji wychodzili cało – słowem, zachował się jak większość nieskorych do wyrażania emocji mężczyzn po otrzymaniu informacji o wiszącym nad kimś bliskim wyroku śmierci – maska twardziela nie przesłaniała jednak rozpaczony w jego oczach. Church był ciekaw, jak też jego kolega będzie sobie radził bliżej feralnej daty i za jakim rozwiązaniem się opowie, jeśli trzeba będzie podjąć najtrudniejszą z decyzji.



Wysłuchawszy raportu z wyprawy do Richmond, Shavi zrelacjonował przybyłym wydarzenia sprzed trzech dni. Nie pomogło to, rzecz jasna, w rozpędzeniu grobowego nastroju. Cała

czwórka przeżyła szok, a najbardziej poruszony był Max.

— Znam sir Richarda od lat, pozostałych zresztą także. Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek darzył ich szczególną sympatią, ale też nie miałem im nigdy nic do zarzucenia. Niech mnie, a myślałem, że z racji zawodu dobrze znam się na ludziach!

Przez jakiś czas siedział przygaszony, od czasu do czasu kręcąc głową z niedowierzaniem, ale, jak zwykle, zadziwiająco szybko doszedł do siebie i już po chwili zawzięcie notował coś w zeszycie.

Church pogratulował Veitchowi ujawnienia diabelskiej intrygi. Londyńczyk spiekł raka. Wydawał się być szczerze wzruszony pochwałą.

— A miałam go za takiego przygłupa! – prychnęła Laura. – Najwyraźniej nie mam prawa wyzywać go dłużej od tumanów. Dzięki Bogu, lista obelg obejmuje jeszcze parę innych kategorii.

Pozwalała sobie na coraz więcej, bo i Veitch zdawał się traktować jej docinki z humorem.

— Nie powiedzieliście nam jeszcze, co zrobiliście z sir Richardem – zauważył Church. – Chyba nie ryzykowaliście kontaktu z policją?

Shavi i Laura spojrzeli znacząco na Veitcha.

— Przekonałem drania, że powinien się stąd wynieść – odparł chłodno.



Po posiłku i krótkim odpoczynku nadszedł czas ruszyć w dalszą drogę. Max oświadczył wcześniej, że mogą wziąć jego

samochód. Za ten hojny gest Ruth uściskała go mocno, a Veitch klepnął przyjaźnie po plecach, nie skorzystali jednak z propozycji dziennikarza, obawiając się, że fiesta jest już dobrze znana policji. Po zażartej dyskusji ustalili, że mimo czyhających w dziczy niebezpieczeństw, będą przemieszczać się pieszo, z dala od dróg i osad ludzkich, co ułatwi im unikanie Fomorian, dopóki nie postanowią, co dalej.

Z pubu wynurzyli się o trzeciej. Słońce nadal prażyło niemiłosiernie, co dokuczało tym bardziej, że ostatnie kilka godzin spędzili w chłodzie. Do zapadnięcia zmroku zamierzali zaszyć się w sercu wrzosowisk. Pożegnali się serdecznie z Maxem, pomachali Geordiemu, który w odpowiedzi burknął tylko coś pod nosem, a potem wyszli ze wsi tą samą drogą, którą do niej doszli.

Dziennikarz i barman stali razem pośrodku High Street, czekając, aż szóstka wędrowców zniknie za horyzontem.

— Banda dziwaków – mruknął szynkarz.

— Nie, mówię ci, to bohaterzy. Może sami nie zdają sobie z tego sprawy, ale nimi są. I zasługują na godną bohaterów sławę. Trzeba im tylko sprawnego PR-u: podkreślenia zalet, wyliczenia zasług. Żeby odwrócić ludzką uwagę od niepotrzebnych drobiazgów.

— Też mi bohaterzy!

— Sam widzisz, Geordie, źle ich odbierasz. A mamy wojnę. Wojnę! Zrozum, chłopie, w takich czasach ludzie na gwałt szukają budujących przykładów, żeby mieć skąd czerpać odwagę do dalszej walki.

Nasi niedawni goście idealnie się do tego nadadzą, jeśli tylko opowie się ich historię we właściwy sposób. – Max uśmiechnął się do swoich myśli. – A ja jestem właśnie tym człowiekiem, który

opisze wszystko jak należy.



Kiedy wyszli na pole, Laura zerknęła w stronę stracha na wróble, który tak ją przestraszył parę dni wcześniej. Zdziwiła się, widząc, że kukła wygląda nieco inaczej. Z początku myślała, że oszukują ją jakieś refleksy, przesłoniła więc oczy daszkiem zrobionym z dłoni. Na drewnianym krzyżu wisiało teraz coś jeszcze, jakby nowy strach, grubszy, ale pozbawiony nóg. Dziwne... W dodatku jego głowa połyskiwała kremowo.

Zaintrygowana zrobiła kilka kroków do przodu i nagle zorientowała się, co widzi. Krzyk uwiązł jej w gardle. Nowa kukła miała na sobie elegancką marynarkę i poplamioną na torsie białą koszulę, a to, co tak błyszczało w słońcu, okazało się być obgryzioną do czysta czaszką. Mężczyznę pozostawiono na pastwę bestii.

Obróciła się mimowolnie i spojrzała na Veitcha. Nie spodziewała się, że był zdolny do czegoś takiego. Patrzył przed siebie, ale drgnął, więc wiedział, że mu się przygląda. Mimo to, krocząc władczo, nie przerywał marszu.



# ROZDZIAŁ 14

## PARSZYWE CZASY

**B**ezchmurne niebo ponad ich głowami było tak intensywnie błękitnie, że mieli wrażenie, iż wędrują po raju, a niezwykle czyste powietrze paliło przyzwyczajone do smogu gardła. Dookoła ciągnęły się podobne do dinozaurów wzniesienia Gór Pennińskich. Czuli się, jakby trafili w samo serce szerokiego na setki mil pustkowia albo w daleką przeszłość, bez dymiących kominów i hałaśliwych maszyn. Mijali rdzewiejące w promieniach słońca skałki, brodzili po pas w gęstych morzach paproci, kulili się smagani wiatrem na wrzosowiskach i wspinali po przyciętej na krótko przez owce trawie.

Orientując się w terenie bez użycia kompasu czy mapy, Tom prowadził ich ku najdzikszym rejonom kraju, gdzie nocnego nieba nie bezcześciła sztuczna pomarańczowa łuna. Jej miejsce zajmowały tu niezliczone gwiazdy, tworzące rozlaną po czerni mleczną rzekę. Zmierzali do jej źródła. Obozy rozbijali tam, gdzie nie rzucali się w oczy: w zagłębieniach terenu, wśród głazów, w płytkich pieczarach. Gdy reszta spała, zawsze ktoś stał na warcie – tylko Ruth była zwolniona z tego obowiązku.

Zdarzało się, że w ciemnościach widzieli przemykające sylwetki lub słyszeli odgłosy, jakich z pewnością nie wydawały miejscowe zwierzęta. Pewnej nocy Shavi uciął sobie pogawędkę z ukrytą w mroku istotą, której głos zmieniał się w niezwykle sposób – to mówiła cieniutko niczym małe dziecko, to

charczała basem sędziwego rybaka. Uciekła, tupocząc wieloma odnóżami, kiedy ptaki zaczęły radośnie witać świt.

Ponieważ postanowili unikać siedlisk ludzkich, największym problemem wędrowców było zdobywanie żywności. Musieli zdać się na bogatą wiedzę Toma, który nie tylko rozpoznawał, co jest jadalne, ale i potrafił znaleźć korzeń czy zioło w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Stary Szkot uczył Veitcha, jak łapać króliki, a także łowienia ryb w licznych górskich potokach. Od czasu do czasu przynosili ptaki. Wszystkie ich zdobycze, upieczone nad ogniskiem, smakowały wybornie, ale po kilku dniach tej diety marzyło się o jakimś jej urozmaiceniu.

— Czuję się, jak w *Władcy Much* – stwierdził Shavi pewnego spokojnego poranka, przyglądając się, jak Veitch ostrzy swój miecz nożem. Londyńczyk za nic nie chciał polować kuszą.

— Miejmy nadzieję, że nie skończymy tak jak tamci chłopcy – powiedział Church. Uśmiechnął się, żeby zabrzmiało to jak żart.

— Może jeszcze przypomnisz nam, co sobie robili, tak z detalami? – zaproponowała Ruth z figlarną minką. Było im niemalże głupio, że jest tak radosna. Nie miała najmniejszego zamiaru rozpaczać nad swoim losem. Przez kilka pierwszych dni Church spodziewał się, że się załamie, bo, okłamując samą siebie, z całych sił tłumiała smutek, ale czas mijał i nic podobnego się nie działo. Mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy Ruth ma w ogóle co tłumić.

— Rozejrzyjcie się tylko – ciągnęła. – Otacza nas to, co w życiu najlepsze. Te gwiazdy, to jedzenie, to świeże powietrze! Nigdy nie zaznałam takiego spokoju. Ha, i kto to mówi! W Londynie, czy to w domu, czy w pracy, coś bezustannie brzęczało, bzyczało, szumiało. Człowiek sam nie wiedział, co go irytuje. A tu... – Rozłożyła szeroko ręce. – Nic! Cisza!

— Zawsze tak jest. Trzeba katastrofy, żeby zrozumieć, za czym się tęskni. – Laura niby ironizowała, ale przecież mówiła prawdę.

Zdrowie Ruth się nie poprawiało. Wymiotując, śmiała się gorzko, bo mdłości męczyły ją przecież niczym zwykłą ciężarną kobietę z dnia na dzień rósł także obolały brzuch. Na szczęście czasem przez kilka godzin czuła się zupełnie tak jak dawniej.

Chociaż święto Lughnasadh zbliżało się wielkimi krokami, nie zdołali postanowić, co dalej. Być może paraliżowała ich waga tej decyzji i pewność, że za każdy błąd przyjdzie drogo zapłacić. Unikając drażliwego tematu, rozmawiali o niczym, jakby w dzikich górach spędzali beztroskie wakacje. Gdyby odważyli się otworzyć przed sobą serca, dowiedzieliby się, że wszyscy czują to samo – nie mieli innego wyboru, jak zabić Ruth, i nie potrafili się z tym pogodzić.

Poniekąd piątka wybrańców liczyła na Toma. W końcu do tej pory był ich przewodnikiem. Nikt tak jak on nie znalazł się na porządkach nowego świata. Dobrze wiedząc, czego się po nim oczekuje, przez pięć dni szukał natchnienia w gwiazdach i świętych gajach. Powoli w jego głowie krystalizował się pewien plan, choć po minie mężczyzny można było sądzić, że nie pokłada w nim wielkich nadziei. Nie zdradzał pozostałym żadnych szczegółów, twierdząc, że muszą najpierw wyjść z głuszy.

— Żeby rozmawiać o tak mrocznych sprawach, trzeba bezpiecznej przystani z wszelkimi wygodami, miejsca, w którym można zaraz naładować akumulatory i odpowiednio się przygotować.

Gdy próbowali wyciągnąć od niego coś więcej, zbywał ich, wskazując palcem linię widnokregu.



Tego wieczora rozbili obóz na południowych stokach Pen-y-Ghent, w osłoniętym punkcie nieopodal szczytu. Widoczność była tak znakomita, że po kolacji mogli przyglądać się światłom Bradford i Leeds, choć od konurbacji dzieliło ich kilkadziesiąt kilometrów.

Ciszę przerwała Ruth.

— Za duże, prawda? Za duże.

— Co jest za duże? – Veitch podniósł wzrok znad strzały, którą właśnie wykańczał. Powoli stawał się ekspertem w konstruowaniu broni.

— Spójrz tylko na nie. Ta łuna ciągnie się i ciągnie. A wszystko zaczęło się od kilku osad. Rosły, zmieniły się we wsie, w miasteczka, w miasta, a kilkanaście lat temu zlały w jeden organizm. Wyparły resztki prawdziwej przyrody, jak to ogarnąć? Jak w tym funkcjonować? Ludziom niezbędny jest kontakt z naturą, inaczej ciało i dusza chorują.

— Sądziłem, że za żadne skarby nie wyprowadziłabyś się z Londynu.

— Tak było. – Kobieta przymknęła na moment oczy. – Zmieniłam się.

— Być może do całej tej przemiany doszło nie bez powodu – zasugerował Shavi. Ruth przyjrzała mu się ciekawie, czekając aż rozwinie myśl, która kiełkowała także w jej głowie. – Rząd za rządem nic tylko wycinał, zasypywał i betonował. Ile akrów nieskażonych terenów zniszczono od drugiej wojny światowej? Ile dziewiczych puszczy znikło z powierzchni ziemi? Ile średniowiecznych żywopłotów zlikwidowano dla wygody

kombajnów? Ile wrzosowisk zamieniono w poligony? Zanieczyszczone rzeki, wysuszone bagna, bezmyślnie eksploatowane złoża kredy... Intensywna urbanizacja. A wszystko to w imię tak zwanego postępu!

— A teraz postęp został wstrzymany – dodał Church.

— Brzmi to paradoksalnie, ale świat chyba stanął na głowie, żeby się uratować, żeby odbudować zachwianą równowagę.

Shavi wyciągnął się na wznak z rękami pod głową, żeby oglądać gwiazdy.

— Co wy wygadujecie? – zirytował się Veitch. Nie do końca nadążał za kompanami. – Ze te potwory nas najechały i wyzynają ludzi, bo chcą ochronić ptaszki i kwiatki?

— Och, te potwory wcale nie muszą być świadome swojej roli powiedział Shavi. – Może są po prostu marionetkami.

— Marionetkami? To kto nimi steruje? – Zagubiony londyńczyk zerknął na Ruth.

— Bóg – oświadczyła z powagą.

— No nie! – Laura klepnęła się w udo. – Kilka dni w głuszy i już się nawrócili!

— „Zawsze jest coś wyższego” – zacytowała Ruth. – Tak powiedział nam Ogma.

Szaman podparł się na łokciach i uśmiechnął do Veitcha.

— Tylko zabijamy czas filozofowaniem. Nie przejmuj się, Ryan.

— Łatwo ci mówić. Nie lubię, jak ludzie zaczynają gadać o Bogu. I bez niego mamy dość problemów do rozwiązania.

— Właśnie! – podchwycił Shavi. – Jesteśmy niczym kraby żyjące w oczku wodnym wśród przybrzeżnych skał. Czasem wpada do niego fala przyływu, coś z sobą przynosi, to i owo zmienia, ale my nie mamy pojęcia, że w pobliżu rozpościera się wielkie morze. Widzimy tylko oczko, więc to cały nasz świat.

Takie zjawisko jak przyływ dziwi nas i niepokoi, ale regularność naszej egzystencji przynosi nam ulgę. Nawet przez myśl nam nie przyjdzie, że tuż obok żyją obce rasy, których codzienność byłaby w naszych oczach karnawalem cudów. I dobrze! Po co mieszkańcy skromnego wodnego oczka mają łamać sobie głowy nad zagadkami innych światów? Czy nie lepiej czerpać radość z owych dziwów, które przyniesie z sobą kolejna zbłąkana fala?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Ech, Shavi-davi – odezwała się wreszcie Laura. – Wstydziłbyś się tak bredzić na trzeźwo, chłopie.

— Ja tam tylko nie łapię tej całej magii – przyznał Veitch. – No bo jak to jest? Ktoś, dajmy na to, wypowiada zaklęcie i nagle na drugim końcu świata coś się dzieje. Jedno z drugim pozornie nie ma żadnego związku. Jak to działa, do licha?

— Spójrz na to pod innym kątem – doradził mu szaman. Rozmowa schodziła na bliskie mu tematy, nic więc dziwnego, że jego ekscytacja rosła. – Grywasz w gry komputerowe, prawda? Laura, ty też?

Wiecie dobrze, że w grach stosuje się specjalne kody, dzięki którym można czasem oszukać, obejść ograniczenia rzeczywistości: przeniknąć przez mur albo zdobyć dodatkowe życie. Gracz staje się nagle wirtualnym bogiem. Pewien pisarz, niejaki Warren Ellis [(ur. 1968) brytyjski twórca scenariuszy komiksów *fantastyczno-naukowych*], uważa, że magia sprawuje funkcję takich kodów w prawdziwym świecie. Według mnie to bardzo trafna analogia. Veitcha oświeciło.

— A niech mnie! No jasne, teraz wszystko rozumiem. Trzeba była tak od razu.

Nawet Laurę zainteresowała ta teoria.

— Nie powiem, przydałoby się znać parę takich kodów.

— Świat zmienił się tak bardzo, że znów jesteśmy dziećmi. Nim poznamy rządzące nim reguły, wiele rzeczy będzie nas zadziwiać. Church zadumał się na moment. – Kiedy wpadłem do Studni Ognia i myślałem, że już po mnie, zobaczyłem w dole błękitny ogień. Po prostu wyłonił się z pustki. Ale przecież to nie była ani pustka, ani wewnątrz Ziemi, tylko coś zupełnie innego, inny wymiar, jak Zaświaty. – Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. – Jak myślicie, skąd się ten ogień bierze?

— Ba, skąd się wszystko wzięło. – Tom wzruszył ramionami. W ciemnościach czerwieniał żar jointa. – Sądzicie, że kiedykolwiek poznacie prawdę? Nie, nie warto się nad tym głowić.

— Ależ warto – zaprzeczył Church. – Samo szukanie odpowiedzi jest budujące. Przecież...

— Patrzcie! – przerwała mu Ruth. Wskazywała coś na niebie. Wysoko wśród gwiazd lśniło węzowate cielsko. Rozpostarte szeroko błoniaste skrzydła pozwalały bestii ślizgać się z wdziękiem po powietrznych prądach. Choć nie mogli z tej odległości podziwiać wielobarwnych łusek smoka, zachwycił ich samą swoją obecnością. Symbolizował zagadkę wszechświata. – Tu on, a tam te przebrzydłe światła miasta. Zgodzicie się ze mną, że nie ma porównania.

Ledwie skończyła mówić, a jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pomarańczowa łuna na horyzoncie zgasła. Całej drużynie zaparło dech w piersiach. Była to tylko kolejna awaria elektrowni, ale biorąc pod uwagę słowa Ruth, odnosiło się wrażenie, że to nie zwykły zbieg okoliczności.

— Ale nas nastraszyłaś, dziewczyno! – zażartowała Laura. – A teraz bądź grzeczna i włącz je z powrotem.

Niepokój prysł, wszyscy wybuchli śmiechem. Położyli się koło siebie w trawie i resztę wieczoru spędzili śledząc wzrokiem

harce baśniowego stwora.



Wyczerpani trudami minionego dnia, Ruth, Tom, Shavi i Veitch znikli w namiotach na długo przed północą. Upewniwszy się, że są zupełnie sami, Laura przysunęła się do Churcha i oparła głowę o jego udo. Trudno jej było okazywać uczucia, musiała więc posuwać się do podobnych półśrodków. Mężczyzna w żaden sposób nie okazał niechęci, dręczyły go jednak wyrzuty sumienia. Nie zerwał z dziewczyną, mimo obietnicy danej Niamh. Co ciekawe, odkąd bogini skupiła całą swoją uwagę na schwytaniu Maonusa, nie wydawała się już Churchowi taka atrakcyjna. Powoli dochodził do wniosku, że chce na stałe związać się z Laurą. Przypuszczał, że Niamh nieświadomie manipulowała jego emocjami, że po prostu taka była natura jej rasy. Do Cormorela i Baccharusa też poczuli od razu sympatię. To pewnie stąd wziął się popularny w bajkach motyw wędrowca, który z łatwością ulega słodkim namowom wróżek. Tylko czy to usprawiedliwiało łamanie danego słowa? I czy Church mógł pozwolić sobie na to, by rozgniewać krzywoprzysięstwem równie potężną istotę?

— Zachowujesz się jak bohater farsy – przemówiła Laura. Dziewczyna się kolo ciebie pręży, a ty siedzisz pogrążony w myślach.

Dopiero teraz zorientował się, że jego towarzyszka bacznie mu się przygląda.

— Przepraszam. Sama wiesz... tyle jest rzeczy do przemyślenia. Zawstydził się, że sięgnął po tak idiotyczną wymówkę. Zaśmiała



się, ale zauważył, że wcale nie jest jej do śmiechu. – Coś nie tak?

— Tak naprawdę nigdy ze sobą nie rozmawiamy.

— Nie należysz do osób gadatliwych.

— To prawda. – Z jej twarzy nie zniknął niepokój.

— Powiedz mi, co cię gryzie. Możesz mi zaufać.

Przez jakiś czas udawała, że przygląda się gasnącemu ognisku. W końcu zebrała się na odwagę.

— Boję się – wyszeptwała. Zamilkła na chwilę. – Nie mogę uwierzyć, że przeszło mi to przez gardło. Łatwiej byłoby mi chyba połknąć garść gwoździ.

— Wszyscy się boimy.

— Ten to ma frazes na każdą okazję!

Westchnął.

— Skończ już z tym sarkazmem – poprosił.

— To ty skończ lepiej z wciskaniem mi kitu! – Po raz pierwszy, odkąd ją znał, usłyszał w jej głosie ból. – Boję się, bo coś się we mnie zmieniło. W środku.

— Coś cię boli?

— Nie, tylko... – Zawahała się. – Pamiętasz, jak uciekłam tej lodowej wiedźmie w Edynburgu? Kiedy mnie goniła, stało się coś, o czym nikomu nie opowiedziałam...

— Dlaczego nie?

— Bo się bałam, matole! Wysłuchasz, co mam do powiedzenia, czy będziesz mi w kółko przerywał? Próbowałam wydostać się z klubu, myślałam, że babsko zaraz mnie dorwie, jak zwykle wyrzucałam sobie bezdenną głupotę i nagle się skaleczyłam. Tak tylko odrobinę.

— Pokazała mu na palcu. – Tyle że krew, która pociekła z ranki, była zielona.

— Zmieniła kolor?

— Gorzej, ożyła, Jak jakaś kosmiczna plazma. Rozpełzła się po kratkach w oknie, pękły pod jej wpływem i mogłam wyskoczyć na zewnątrz. – Wpatrywała się w swoją rękę, jakby ta należała do innej osoby. – Chyba już do końca życia będę tak miała – dodała cicho.

Church przyjrzał się z bliska bliźnie po tym skaleczeniu, a potem wolno odwrócił dłoń dziewczyny. Po jej zewnętrznej stronie widniało wypalone piętno Cernunnosa: dwa splecione liście.

— To jego sprawka! Zielony to jego kolor! – uświadomiła sobie Laura. – Kurczę, tak się bałam, że nie skojarzyłam.

— Na to wygląda. Taki zbieg okoliczności...

— W dzisiejszych czasach nie ma już czegoś takiego jak przypadek. Więc co mi jest? Boże... – Uderzyła gniewnie pięścią o ziemię.

— Nie wiem, ale prędzej czy później na pewno poznamy pobudki Cernunnosa. Najwyraźniej wyznaczył ci do odegrania jakąś rolę.

— Krew go zalewała na myśl, że oto po raz kolejny są bez swojej zgody wykorzystywani przez bogów. – Słuchaj, staraj się tym nie przejmować. Skoro fizycznie nic ci nie dolega...

— Znalazł się pocieszyciel z Bożej łaski! Ciekawe jak ty byś się czuł, gdybyś zamiast krwi miał płyn do mycia naczyń? – Udała, że coś jej wpadło do oka, ale zauważył na jej policzku zbląkaną Izę, jedyny dowód na to, jak bardzo przeżywała swoją przemianę.

Church zdał sobie nagle sprawę, jak musiała się czuć. Zamartwiała się w samotności, nie śmiejąc nikomu zawracać głowy swoim odkryciem. Z jednej strony dbała o ich spokój, o pomyślność misji, z drugiej uważała, że nie powinna się

narzucać, bo brzydziła się sobie i nie była w stanie dostrzec w sobie nic pozytywnego. Żadne z nich nie było tak bardzo psychicznie okaleczone. Odgarnął kosmyk z jej czoła. Unikała jego wzroku. Musiał się nią zająć, nie miał serca postąpić inaczej. Nikt inny o nią nie dbał, a jej samej brakowało sił. Znowu wybierał to, co słuszne, nie bacząc na konsekwencje. Mógł tylko żywić nadzieję, że Niamh go rozumie. A jeśli nie? Wolał być ukarany za niedotrzymanie obietnicy niż patrzeć, jak jego przyjaciółka cierpi.

— Chodź – szepnął do Laury. – Czas kłaść się spać.



Obudzili się o świcie. Pierwszy wstał Tom. Rozpalił ognisko i odgrzał resztki wczorajszej potrawy. Czując woń króliczego mięsa, żołądki kompanów hipisa zaprotestowały, ale mogli jedynie zignorować ich bunt.

Wyruszyli przed siódmą. Tom parł pewnie naprzód, wspomagając się słońcem bądź jedną z map Veitcha. Nadal nie chciał im zdradzić, dokąd ich prowadzi.

— To dziwne – stwierdziła Laura. – Jeszcze wczoraj zamiast stóp miałam dwa wielkie odciski, a dziś po pęcherzach nie ma już śladu.

Przewodnik drużyny prychnął pogardliwie.

— Niczego się jeszcze nie nauczyłaś? Nie kojarzysz faktów? Jak sądzisz, dlaczego wasz szacowny przywódca tak szybko doszedł do siebie po fomoriańskich torturach w bazie pod Dartmoor? Czyżby Nocni Wędrowcy nie znali się na swojej robocie? A Ruth, jakim cudem jest w stanie...

— Do rzeczy, staruszk.

— To Duch Pendragona – wtrącił Church. – Wspomaga gojenie ran.

— W takim razie wielka szkoda, że nasz Tom Bombadil [*postać z Władcy pierścieni*] nie jest Bratem Smoków, bo jak mu oderwę ten głupi łeb, nie wyrośnie mu nowy.

Hipis nie pozostał jej dłużny, ale celowo mówił niewyraźnie, żeby Laura nie mogła zrozumieć jego obelg.

— Nie przerywaj marszu! – zawołała za nim dziewczyna. – I patrz pod nogi, może znajdziesz dla siebie jakąś groźną szczelinę!



Jakiś czas później Veitch i Shavi odłączyli od grupy, upolować coś na lunch. Nie chcąc się zgubić, umówili się w łatwym do rozpoznania miejscu: pod młodym drzewem, które niesłabnący w tych stronach wiatr upodobnił do przygarbionego starca. Spotkali się tam po godzinie bezowocnych poszukiwań – nie natrafili na żadne królicze bobki i nie przyuważyli ani jednego ptaka.

Londyńczyk z trzaskiem rozprostował palce obu dłoni i przystąpił do serii ćwiczeń na rozciągnięcie mięśni. Szaman przyglądał mu się leniwie oparty o pień.

— Chcesz może porozmawiać o tym, co się dzieje z Ruth? – odezwał się po chwili.

— Nie.

— Lepiej nie dusić niczego w sobie. To niezdrowe.

— Mówisz jak psycholog, do którego wieki temu zaciągnęli mnie rodzice.

Shavi zaśmiał się.

— Nie jestem twoim terapeutą, tylko przyjacielem.

Veitch najeżył się, ale w okamgnieniu się uspokoił.

— Nie przypuszczałem, że będę miał kiedyś ciotę za przyjaciela.

— Wszyscy się zmieniliśmy w ciągu ostatnich miesięcy.

Ryan westchnął.

— Ale obiecujesz, nikomu ani słowa?

— Oczywiście.

— Wiesz, tylko z tobą mogę szczerze o tym pogadać. Bo przejmuję się, jasne, że się przejmuję. Wariuję ze zmartwienia. Kiedy wyciągnąłem ją z tego piekła, byłem przekonany, że to już koniec koszmaru. A tu ta perła. Serce się kraje na myśl, co Ruth musi przeżywać. Nie zasłużyła sobie na taki koniec. Zasłużyła sobie na... no, na... Mężczyzna nie wiedział, jak to wyrazić.

— No, na co? – spytał się Shavi ciepło.

— Na to, co najlepsze. Na to, co ją uszczęśliwi.

— Nawet, jeśli to nie masz być ty?

Veitch wbił wzrok w ziemię.

— Tak. Ja się nie liczę, byleby jej było dobrze. – Zamyślił się głęboko, a potem zmarszczył czoło. – Jak sądzisz, co się z nią stanie?

— Wiem tylko tyle, że zrobimy co w naszej mocy, żeby ją uratować.

— Zdaję sobie sprawę, że jej sytuacja jest tragiczna, ale jakoś nie mieści mi się w głowie to, że ma niedługo umrzeć. Kiedy ją porwano, wszyscy uważali, że nie żyje. Potrafiłem to wyczuć, chociaż nikt nie powiedział tego głośno. Tylko ja jeden nigdy nie wątpiłem, że ją uwolnimy. I teraz też jestem tego zdania.

Shavi uśmiechnął się. Jego kompan mógł odstraszać mięśniami

i tatuażami, ale było w nim coś z dziecka, coś rozbrajającego.

— Widzę, że wierzysz w szczęśliwe zakończenia.

— Tak, chyba tak. To też dla mnie nowość.

Nagle usłyszeli coś, co nakazało im zerwać się na równe nogi. Obu mężczyzn przeszedł zimny dreszcz. Przerazający dźwięk obudził w nich pradawne instynkty. Był to dochodzący z oddali ryk wielkiego drapieżnika.

— Co to ma być, do jasnej cholery? – Veitch padł na ziemię i rozglądał się nerwowo z tej pozycji.

Dookoła nie było widać żywego ducha, zakradli się więc ostrożnie do miejsca położonego nieco wyżej, by móc ogarnąć wzrokiem większy obszar. Z początku wydawało się, że te przenosiny nie na wiele się zdały, ale wkrótce, gdy myśliwi przyzwyczaili się do gier światła i cienia na zboczach, dostrzegli jednocześnie czarny punkt przesuwający się powoli kilka kilometrów dalej. Nie musieli się długo zastanawiać nad tym, z czym mają do czynienia – od razu poczuli zawroty głowy i mdłości. Mimo dzielącej ich odległości, porażała ich bijąca od fomoriańskiego stwora siła.

Veitch, który widział monstrum wcześniej z bliska, rozpoznał je pierwszy.

— To ten olbrzymi rycerz w owadziej zbroi, ten, co o mało nie zabił naszych, kiedy wracali z Richmond.

— Poluje – odgadł Shavi wiedziony intuicją.

— Jak myślisz, wie, że jesteśmy w pobliżu?

— Cóż, wzięwszy pod uwagę to, że od kilku dni nas nie niepokoi, wyczuwa najwyraźniej, w jakim kierunku zmierzamy, ale nie jest w stanie dokładnie nas namierzyć.

— Boże, i ta bestia szuka naszej Ruth, najgorsza i największa gadzina z nich wszystkich... Co tu robić? – Zaraz odpowiedział

sam sobie. – Musimy cały czas się przemieszczać, nigdzie nie zostawać na dłużej.

Rzucili się biegiem w dół stoku, aby czym prędzej poinformować o odkryciu pozostałych.

Tego dnia nie zobaczyli już czarnego wojownika. Doszli do wniosku, że z nieznanых przyczyn kieruje się dalej na zachód, tak jak wtedy, kiedy obserwowali go dwaj myśliwi. Church i jego towarzysze maszerowali z kolei na południowy wschód. Mimo to mieli się jeszcze bardziej na baczności niż przedtem.

Popołudniu, z zachodu właśnie, nadciągnęły ciemne chmury. Wisiały przytłaczająco nisko nad połyskującymi srebrno w ich cieniu łąkami. Z ich przybyciem temperatura powietrza spadła gwałtownie, każdy powiew wiatru chłostał teraz mrozem. Wędrowcy żalowali, że nie mają przy sobie cieplejszych ubrań – zaopatrzyli się jedynie w zmiany bielizny i podkoszulków.

Pod poczerniałym niebem zmrok zaczął zapadać wcześniej niż zwykle. Aby nie stać się łatwym celem dla piorunów, członkowie drużyny podjęli decyzję o jak najszybszym rozbiciu obozu. Lunęło. Wiatr targał ulewą na wszystkie strony. Chmury jakimś cudem zdołały zejść jeszcze niżej. Widoczność spadła do kilku metrów. Szóstka śmiazków trzęsła się z zimna w namiotach, wpatrując się przez rozpięte klapy w ścianę deszczu. Kiedy w końcu zelżał, a ciemna skorupa przesunęła się na wschód, przyglądali się burzy dalej, tym razem szalejącej na horyzoncie. Błyskawice cięły ziemię niczym ciskane w pasji sztylety, z każdą eksplozją świat zmieniał się w negatyw, a widz zamierał w oczekiwaniu na dziki, bitewny werbel.

Laura krzyknęła tak głośno, że usłyszano ją w każdym z namiotów: – Powinna grać do tego rockowa kapela! Ale widowisko! Jean–Michel Jarre wysiada!

Entuzjazm w jej głosie udzielił się wszystkim.



Dojście do celu zabrało jeszcze dwa dni. Pierwszy z nich był wyjątkowo nieprzyjemny. Od czasu do czasu szlak drużyny przecinały kolejne ulewy, marsz utrudniał znacznie wiejący w przeciwnym kierunku silny wiatr, a zdradliwe pułapki terenu kryły zalegające tu i ówdzie mgły. Zniechęceni wędrowcy przerwali marsz jeszcze przed zmierzchem, za to mogli się wyspać.

Rano powitało ich słońce. Już przed dwunastą w południe na niebie nie uświadczyło się ani jednego obłoczka. Zachęceny upałem, trzech młodszy mężczyźni zdjęli T-shirty, namawiając do tego samego panie, Laura posłała taką wiązanekę, że stracili ochotę na podobne żarty.

Bezludne góry pozostawiali z wolna za sobą – wrzosowiska coraz częściej przecinały drogi. Na szczęście w okolicy nie brakowało tradycyjnych kamiennych murków, za którymi mogli się ukryć, usłyszawszy nadjeżdżający samochód. Po wymuszonym tygodniu w izolacji czuli dziwny niepokój, wiedząc, że wchodzą w najgęściej zaludniony rejon Yorkshire. Tom twierdził, że wiatr niesie już z sobą zapachy Leeds i Bradford.

Korzystając z map, ominęli szerokim łukiem miasteczka Skipton i Ilkley. Wrzosowisko Ilkley zachwyciło ich urodą. Było coś mistycznego w tym, jak cienie pojedynczych chmur przesuwają się płynnie po falujących połaciach traw. Zielone pola pięły się ku górze, ustępując stopniowo surowszemu, acz



niezmiernie romantycznemu krajobrazowi, w którym królowały niskie splecione zarośla. Gałązki głogów urzekały miedziastym odcieniem nadanym im przez promienie popołudniowego słońca. Znikły na powrót wszelkie ślady cywilizacji. Potęga natury rzucała na kolana, ale i dodawała otuchy.

Tom nie musiał im mówić, że dotarli na miejsce. Ustawione przez człowieka przed tysiącem lat kamienne bloki roztaczały jasnopomarańczowy blask. Ich cienie przypominały rozczapierzone palce. Piątka wybrańców wiedziała jednak, że zbliżają się do celu, jeszcze zanim monolity wyłoniły się zza widnokregu. Te parę dni spędzonych w dziczy wyostrzyło ich zmysły, uwrażliwiło na zmiany zachodzące w otoczeniu. Najpierw poczuli bijącą zewsząd, iskrzącą się witalność, która dodała im prędko tak potrzebnej pod koniec dnia energii. Potem przyszła kolej na wyśmienite nastroje. Na koniec pod ich stopami zaczęło coś pulsować, jakby w ziemi włączono ogromne maszyny.

Church przymknął powieki i z miejsca zobaczył wychodzące z kręgu gałęzi potężne arterie błękitnego ognia.

— To źródło tętni życiem – stwierdził.

Tom, jak miał to w zwyczaju, usiłował ukryć emocje, ale widać było, że cieszą go postępy ucznia.

— Tak, tego tu nikt nie musiał budzić. Witajcie u Dwunastu Apostołów z Wrzosowiska Ilkley.



Kamienie, które ich przewodnik nazwał apostołami, miały około stu dwudziestu centymetrów wysokości. Wyciosano je z

miejscowego piaskowca.

— Na początku monolitów było dwadzieścia – wyjaśnił Tom. Do dziewiętnastego wieku dotrwało tylko dwanaście, więc myślano, że krąg to kalendarz i ochrzczono go Zegarem Druidów.

Ledwie przekroczyli granicę kręgu, a ogarnęła ich anielska błogość. Instykt podpowiadał im, że w jego wnętrzu nikt nie może ich skrzywdzić.

— To jakby Stonehenge w pomniejszonej skali – zauważyła Ruth. Podobieństwo to jeszcze bardziej poprawiało jej humor.

— Kiedyś we wszystkich świętych miejscach było tak jak tutaj powiedział sędziwy Szkot. – Strumienie błękitnego ognia łączyły je w jedną ogromną sieć. Niestety wiele z nich zostało zniszczonych.

Shavi stanął w samym środku kręgu, zamknął oczy i wzniosł ręce ku górze.

— Magia działa! – zawołał radośnie.

— Tu pod Ilkley – ciągnął swój wykład Tom – moc nie osłabła nawet podczas Wieku Rozumu. W Anglii ostała się wówczas tylko garstka tak silnych punktów. W 1976 roku pełniło tutaj służbę trzech członków królewskiego korpusu obrony przeciwlotniczej. W nocy zobaczyli unoszącą się nad kamieniami kulę białego światła. Nie było to ostatnie tajemnicze zjawisko świetlne zaobserwowane w pobliżu. O kolejnych donoszono przez całe lata osiemdziesiąte. W rezultacie o istnieniu kręgu przypomnieli sobie okoliczni mieszkańcy i co roku, w dzień przesilenia letniego, gromadzi się tu całkiem sporo ludzi.

Oddaliwszy się od towarzyszy, Church przycisnął dłoń do jednego z monolitów. Piaskowiec wibrował delikatnie, jakby był podłączony do prądu. Mężczyzna miał wrażenie, że od jego wizyty w Stonehenge minęły wieki. To wtedy po raz pierwszy

usłyszał o błękitnym ogniu. W ciągu zaledwie paru tygodni energia ziemi stała się dla niego czymś oczywistym, bez czego nie wyobrażał sobie życia. Nieraz wracał myślami do tamtego wieczoru na równinie Salisbury, marząc, by tak jak Tom osiąść umiejętność manipulowania błękitnymi płomieniami. Nadarzała się okazja, by poćwiczyć te sztuczki. Odsunął dłoń na dwa centymetry od powierzchni kamienia, a następnie, skupiony, wyteżył wszystkie siły, aby pomiędzy jego skórą a głazem przeskoczyła niebieska iskra. Bez rezultatu.

Nie czuł rozczarowania. Był pewien, że to tylko kwestia czasu.



Tego wieczoru obóz rozbili wśród monolitów. Cudowne właściwości miejsca błyskawicznie leczyły dolegliwości, od obolałych kręgosłupów po swędzące blizny. Ruth odzyskała wigor z czasów sprzed porwania, choć narzekała na delikatne mdłości. Nie wszystko jednak wyglądało tak różowo. Specyficzne położenie kręgu powodowało, że ognisko drużyny było widoczne z wielu mil. Zdawało się, że wpatrują się w nich setki ukrytych w mroku wrogich oczu. Veitch trzymał wartę, siedząc na jednym z głazów.

— I jak tam? Widzisz coś? – spytał Church, oderwawszy się od przygotowywania kolacji.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową, nie przerywając lustrowania okolicy.

— Sam się rozejrzyj. Beznadziejna sprawa. Ktoś może leżeć w krzakach trzy metry od kręgu, a my i tak go nie zauważymy.

— No chyba, że to będzie ten wielki czarny rycerz. Nie sądzę,

żeby miał zamiar się tu podczolgiwać.

— Tak, ten to na pewno rzuci nam się w oczy. Tylko ciekawe, dokąd wtedy uciekniemy?



Niepokój wędrowców wzrósł z nastaniem ciemności. Nic nie wskazywało na to, że gdziekolwiek w okolicy mieszkają ludzie, atramentowej czerni nie rozpraszało najlichsze nawet światełko. Członkowie drużyny równie dobrze mogliby być neolitycznymi wojownikami modlącymi się do bogów o nadejście świtu.

Przy posiłku rozmawiali o sprawach wyjątkowo przyziemnych, nie przekomarzając się ani sobie nie docinając. Przygotowywali się w ten sposób psychicznie do czekającej ich poważnej dysputy. Sygnał do jej rozpoczęcia rozpoznali bez trudu: Tom wyjął puszkę z haszyszem i pieczołowicie zwinął dla siebie skręta. Ruth zrobiła taką minę, jakby chciała wymiotować.

— W ciągu ostatnich kilku dni – zaczął swoją przemowę – dokonaliście cudu ani razu nie poruszając wiadomego tematu. Takie zachowanie jest najzupełniej zrozumiałe. Stoimy przed tak ogromnym dylematem, że nie mieści się w głowie sama możliwość rozważenia poszczególnych opcji. Przełammy się jednak i pomówmy szczerze. Oto w krwawym konflikcie, w który nas wplątano, mamy szansę odnieść ostateczne zwycięstwo. Oby nie przyszło nam zapłacić najwyższej ceny, wyższej nawet niż utrata kompana w boju. Z czegoś takiego już nigdy się nie otrząśniemy.

Churcha zdumiało osobiste podejście Toma do całej sprawy –

udawał zawsze, że los jego podopiecznych jest mu niemalże obojętny.

Ruth pobladła, ale głos miała silny:

— Nie ma co silić się na delikatność. Wiemy dobrze, że jeśli umrę, umrze i Balor, Fomorianie przegrają, a my... a ludzkość... wygra. Z kolei jeśli poddacie się sentymentalnym odruchom i mnie nie zabijecie, Balor się odrodzi, a nasz świat przestanie istnieć. A ja i tak nie przeżyję jego wyklucia się z perły. Jak widać, w każdym wypadku czeka mnie to samo, więc wszelkie debaty to tylko strata czasu. Wolałabym... wolałabym, żebyście sami się za to zabrali. Bezzwłocznie.

— Chwileczkę... – zaprotestował Veitch.

— Właśnie – dodał Church. – Najwyraźniej o niczym tak nie marzysz, jak o powiększeniu grona męczenników, ale pozwól nam zaznajomić się z innymi scenariuszami, zanim rzucimy się hurmem poderżnąć ci gardło. Poczekaj chociaż, aż zaopatrzymy się w łopatę. Mamy cię zakopać na wrzosowisku gołymi rękami?

— Chciałam pokazać, że jestem gotowa na wszystko.

Shavi pochylił się do przodu.

— Czy Tuatha Dé Danann, a przynajmniej ci najwyżsi w hierarchii, nie są prawie wszechmocni? Może by tak ich poprosić o pomoc?

— Przecież byliśmy już u Dian Cechta – przypomniał mu Church. Na samo wspomnienie aroganckiego boga nóż otwierał mu się w kieszeni. – Złoty Lud uważa, że kontakty z szeregowymi Fomorianami grożą bliżej nieokreślonym skalaniem, a co dopiero z ich mitycznym przywódcą. Nie mają ochoty ubrudzić sobie swoich świętobliwych rączek, nawet jeśli by mogli uratować komuś życie.

— Są jak banda arystokratów wydająca rozkazy służbie –

wtrącił z pogardą Veitch.

Laura przyglądała się tymczasem Tomowi. Mężczyzna ssał w zadumie jointa, z pozoru bardziej zainteresowany żarzącym się u końca skręta popiołem niż tym, co mają do powiedzenia jego towarzysze.

— Masz jakiś plan, prawda? – spytała.

Hipis zignorował jej pytanie, ale inni je usłyszeli. Wszyscy, zaintrygowani odwrócili się ku niemu.

— Co prawda, plemię Danu nie potrafi zniszczyć esencji Balora w jej obecnej formie bez uśmiercenia Ruth, ale, tak jak powiedział Shavi, ich umiejętności są imponujące. Być może uda im się jakoś to obejść. Nie takie cuda wyczyniali w Tír na nÓg... – Tom ugryzł się w język.

— Ale jak ich do siebie przekonać? – odezwał się Church. – Raz nam już odmówili. Nie chcą mieć nic do czynienia z nieczystymi.

— Być może pomogą nam moje koneksje. – Hipis zaciągał się teraz tak często, że z pewnością nie chodziło mu już ani o relaks, ani też o poszerzenie świadomości. Rozpaczliwie usiłował się uspokoić. – Pamiętacie, co powiedział mi Cormorel w wąwozie Staward? Ze moja Królowa powróciła do swojego dworu?

Church pokiwał głową.

— To ona zabrała cię do Zaświatów.

Bogini potraktowała wówczas jeńca jak ciekawski dzieciak zabawkę: korzystając z potężnej mocy, odłączyła duszę nieszczęśnika od jego ciała, aby później złożyć je z powrotem. Cierpiał u niej w niewoli tak bardzo, że niemal postradał zmysły, ale mimo to z czasem ją pokochał... Przywódca drużyny wzdrygnął się.

— Ludzie nazywali ją Królową Wrózek – dodał Tom. – Czczono ją także między innymi jako Wielką Boginię. Mógłbym

wymieniać jej przydomki w nieskończoność.

— To jakaś wielka szycha, tak? – upewnił się Veitch. – Skoro jest królową.

— To tylko określenie umowne. Wśród Tuatha Dé Danann można napotkać wiele takich władczyń, a każda z nich ma swój dwór, ale przyznaję, moja znajoma zajmuje w ich hierarchii dość wysoką pozycję.

— Naprawdę myślisz, że zgodzi się nam pomóc? – spytał Church. Przyjrzał się Tomowi badawczo, nie mając pewności, czy ten ich nie zwodzi.

lego nauczyciel uśmiechnął się gorzko.

— A dlaczegoż to miałyby odmówić swojemu pupilowi? Pomerdam ogonkiem, dam się połaskotać po brzuchu...

Byli doskonale świadomi, jak wielkie jest to z jego strony poświęcenie. Ryzykował, że znów stanie się więźniem pozbawionej skrupułów istoty i powtórnie doświadczy tortur, o których nie zapomniał przez setki lat.

Do oczu Ruth napłynęły łzy. Starłszy je szybko, wbiła wzrok w ziemię.

— Rzecz jasna nie ma gwarancji na to, że jest w ogóle w stanie nam pomóc, prawda? – trzeźwo zauważył Shavi.

Tom rozłożył ręce.

— Na to nigdy nie ma gwarancji.

— W takim razie powinniśmy mieć w zanadrzu plan B. – Szaman położył swoją ciepłą dłoń na plecach Ruth. Zadrzała, ale najwyraźniej podziałało to na nią kojąco. – Kilkoro z nas posiada już pośród Złotego Ludu własnych patronów. Church ma Niamh...

— Nie sądzę, żebym mógł się znów do niej zwrócić o pomoc. Dopiero co zaczęła zajmować się dla mnie schwyтaniem

Maponusa. – Była to poniekąd prawda, ale Church i tak czuł wyrzuty sumienia. Bał się stanąć twarzą w twarz z boginią, ponieważ nadal nie zerwał z Laurą.

— Jest jeszcze Cernunnos – ciągnął Shavi niezrażony. – Nie zaprzeczycie, że zawdzięcza Ruth bardzo wiele. Gdyby nie ona, prawdopodobnie dotąd kontrolowaliby go Fomorianie. Teraz, kiedy to jego wybawicielka jest w podobnej sytuacji, może będzie gotowy jej się odwdzińczyć.

— Właśnie. – Kobiecie zapaliły się oczy. – Twierdził, że mieszka we mnie jedna z twarzy Zieleni. – Usiłowała przypomnieć sobie użyte przez boga wyrażenia. – Powiedział mi: „Kiedy nadejdzie najgorszy czas, wolno ci wezwać mnie na pomoc. Szukaj mnie w moim Zielonym Domu”.

— Świetnie! – zapalił się Veitch. – Mamy Plan A i plan B. Jeden z nich musi wypalić!

— Musimy jednak zachować ostrożność – powiedział Tom. Cernunnos może dojść do wniosku, że robi wam przysługę, a długów wdzięczności u plemienia Danu nie należy zaciągać zbyt pochopnie.

Jego kompani posmutnieli.

— Trudno, musimy ryzykować – stwierdził Church. – To sprawa życia i śmierci.

— Wiem – odparł hipis. – Nie zapominajcie tylko, że wszystko ma swoją cenę, czasami aż nadto wysoką. Nie pchajcie się nigdzie na oślep.

— To co robimy? Jak zamierzacie namierzyć tę parkę dziwadeł? Veitcha rozpierał isticie dziecięcy entuzjazm. Usłyszawszy, że istnieje jakieś rozwiązanie, nie potrafił spokojnie usiedzieć w miejscu.

Tom zmełł w ustach przekleństwo.



— Po pierwsze musicie się nauczyć odnosić do tych istot z należyтым szacunkiem. Jeśli któreś z was odezwie się przy nich arogancko, może nie mieć szansy ponownie zabrać głosu.

— Jasne. Przepraszam.

— Dwór mojej Królowej mieści się pod Tom-na-hurich, czyli pod Wzgórzem Cisów. To w Inverness, na północy Szkocji. Czekam na długą i ciężką podróż, dlatego wyruszę jutro o świcie.

— Ale nie sam – przerwał mu Church. Zdziwiło go, że Tom mu się nie przeciwstawia. Szybko powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. – Ryan, będziesz mu towarzyszył. W razie czego masz go wyrwać ze szponów Królowej. Sam sobie nie poradzi, a ty masz talent do wyciągania ludzi z niewoli. – Musiał się przełamać, żeby wspomnieć najczarniejszy z scenariuszy.

— Nie, tylko nie do Szkocji! – jęknął Veitch. – Dopiero co stamtąd wyjechaliśmy!

— A co z Cernunnosem? – spytała Ruth. – Gdzie znajduje się jego Zielony Dom?

— Najważniejsze miejsce kultu Zielonego Człowieka znajduje się w parku wokół zamku Windsor, w miejscu, gdzie niegdyś rósł wielki dąb. Drzewa już nie ma, ale boga nadal się ponoć tam widuje. Zwłaszcza, kiedy coś zagraża krajowi.

— Tak, wielki dąb... – Churchowi świtało coś w głowie. – Wiąże się z nim jeszcze jedna legenda. O Hernie Myśliwym.

— Cernunnos mówił mi, że to jedno z jego imion – potwierdziła Ruth.

— Podania głoszą, że Herne był królewskim łowczym – wyjaśnił Tom. – Kiedy na polowaniu władcę zaatakował rozsierdzony ranny jeleń, Herne obronił króla własnym ciałem. Zwierzę rozszarpało mu jelita, zanim myśliwi je zabili. Łowczemu nikt już nie umiał pomóc. Nagle przy umierającym

pojawił się znikąd czarodziej, który doradził monarsze, że uratują życie bohatera, jeśli przywiążą mu do głowy poroże owego samca. Postąpiono według jego wskazówek. Wyzdrowiawszy, Herne stał się najlepszym myśliwym w kraju. Król darzył go szczególnymi względami. Niestety wzbudziło to zazdrość innych łowczych. Udało im się w końcu przekonać władcę, aby zwolnił ze stanowiska wierne go sługę. Załamany Herne powiesił się w lesie, a król już nigdy nie miał szczęścia w łowach.

Shavi zamyślił się na moment, po czym oświadczył: – Podejrzewam, że to kolejna legenda, która jest jedną wielką metaforą.

Tom przyznał mu rację.

— Dzięki tej sprytniej metodzie przetrwało do naszych czasów wiele zakodowanych informacji. Legenda ta opowiada tak naprawdę o tym, jak ludzie odwrócili się od przyrody, za nic mając jej zbawienną moc. O tym, że cierpieli przez to i oni, i sama natura. To ostrzeżenie, choć w porównaniu z innymi podaniami dość łagodne. Widzicie, Cernunnos i Maponus, jego odpowiednik po stronie światła, są, jeśli tak to można określić, pośrednikami pomiędzy Tuatha Dé Danann a potęgą otaczającej nas przyrody. Z różnych przyczyn bliżej im do ludzi niż do ich własnych pobratymców. Kiedy ludzkość była jeszcze w powijakach, tych dwóch poprzysięgło sobie stawać w obronie naszego świata, a tym samym i wszystkich ludzi.

— To zadanie dla ciebie, Shavi – stwierdził Church. – Jesteś szamanem, praktykowałeś duchowe jednoczenie się z naturą. Jeśli któś z nas ma rozmówić się z bogiem zieleni, to tylko ty.

Siedząca u jego boku Laura poruszyła się niespokojnie. Wiedział, co ją dręczy. To ona została naznaczona przez

Cernunnosa, nie Shavi. Skoro Ruth nie miała dość sił, by wybrać się do Windsoru, Church powinien był wskazać właśnie ją. Nie zrobił tego, ponieważ uznał, że dziewczyna sobie nie poradzi, nie jest osobą, której można by powierzać tak odpowiedzialną misję. Przejrzała go na wylot. Wiedział, że bardzo ją zranił, ale musiał brać pod uwagę dobro całej drużyny.

— Jak mam przywołać Cernunnosa, kiedy już znajdę się w parku? – spytał Shavi.

— Podróżując po świecie w latach sześćdziesiątych, usłyszałem ciekawą historię – odpowiedział Tom. – Otóż w 1962 roku grupa nastolatków znalazła tam na skraju leśnej polany róg myśliwski. Dla zabawy zadęli w to oryginalne znaleźisko. Odpowiedział im drugi róg i ujadanie ogarów. Był to Cernunnos, jeszcze jako Król Olch, Dzikie Zastępy i ich psy–potwory. Chłopcy wystraszyli się i wzięli nogi za pas.

Szaman przypomniał sobie bitwę, jaką stoczyli w Walii.

— A jeźdźcy Pogoni nie spoczęli, dopóki nie pozbawili kogoś życia? Tak, cena doprawdy potrafi być wysoka.

— Może bóg zieleni nie pojawi się już pod tą postacią – pocieszyła go Ruth.

Shavi wzruszył ramionami.

— Cóż, będę zatem wypatrywał rogu.

Church spojrział na swoje przyjaciółki.

— No to zostaje nas troje – podsumował.

Laura unikała jego wzroku.

— Jesteś pewien, że jakby co, obronimy naszą wysiadującą kwokę? – rzuciła z sarkazmem.

— Jak zwykle zrobimy, co w naszej mocy. – Wolał nie zamartwiać się na zapas.

Czerń nocy przeciął znieńska bicz błyskawicy. Ponad

wrzosowiskiem przetoczył się pomruk grzmotu.

— Zanosi się na burzę – powiedział Veitch. Od dawna nie czuł się taki szczęśliwy. Nic go tak nie przygnębiało jak bezradność.

Przez jakiś czas przyglądali się bacznie niebu, ale ulewa przechodziła bokiem, kierując się na wschód. Blask kolejnego pioruna oświetlił na sekundę całą okolicę.

— Patrzcie! – szepnęła głośno Ruth, ale noc zdążyła już pochłonąć jej odkrycie.

— Co to było, jakiś człowiek? – spytał Church.

— Czy ja wiem... – Chyba coś podejrzewała. Przeniosła się nieco dalej od ogniska, żeby następnym razem mieć lepszy widok.

— Ani się waż wychynąć poza krąg! – ostrzegł ją Tom ostrym tonem. – Siła energii ziemi sprawia, że, siedząc w tym miejscu, jesteśmy dla mitycznych istot prawie niewidzialni. Nasi wrogowie musieliby przechodzić tuż obok, żeby nas dostrzec.

— Nie wiem jeszcze, czy to wróg. – Kobieta wytężyła wzrok, ale ciemności nie pozwalały się przeniknąć.

Burza oddaliła się na tyle, że światło trzeciej błyskawicy nie było już takie ostre jak dwóch pierwszych, nie przeszkodziło to jednak Ruth dostrzec, co się do nich zbliża. Wśród zarośli przemieszczał się szybko wielki czarny kształt, wycinek oszałamiającej otchłania pustki.

— To on. – Ledwie było ją słyszeć. W jej oczach zobaczyli strach. Nie musiała mówić im nic więcej.

Tom rzucił się ku ognisku i błyskawicznie je zgasił.

— Tylko nie wstawajcie! I ani słóweczka! Może nas minie.

W tym samym momencie za najbliższym wzgórzem pojawiły się bliźniacze wiązki światła. Najpierw celowały w chmury, a potem, znenacka, w dół. Był to pokonujący wniesienie samochód

nadjeżdżający biegnącą nieopodal drogą, jego reflektory liznęły kilka z monolitów.

— Cholera jasna – zaklął Veitch.

Z otwartych okien auta dochodziła głośna muzyka. Church rozpoznał mimowolnie *You Get What You Give* zespołu New Radicals, ale myśl tę porwała fala wzbierającej w mężczyźnie paniki. Pasażerów było czterech, może pięciu. Młode głosy, męskie i kobiece, śpiewały wesoło, przekrzykując skutecznie wycie silnika.

— Zamknijcie się – syknęła Laura.

— Wyłączcie światła – szepnął Veitch.

Church milczał. Według niego, nic nie mogło już tamtym pomóc. Samochód mknął po wiejskiej drodze niczym zagubiony robaczek świętojański.

Londyńczyk zwrócił ku swoim kompanom wykrzywioną bólem twarz.

— Chodźcie! Nie możemy tu tak siedzieć z założonymi rękami! To monstrum lada chwila ich dorwie! Nie mają szans!

Church zawahał się. Jego towarzysz miał rację.

— Nie, nie ma mowy! – Tom najwyraźniej czytał w jego myślach. – Niech nikt nie opuszcza kręgu! Poza nim też nie macie szans na przeżycie, a nawet tutaj są bardzo male.

— Co ty pieprzysz? – oburzył się Veitch. – Musimy im jakoś pomóc! – Zawołał to takim tonem, jakby zaraz miał się rozpłakać.

— Jeśli stąd wyjdiesz, nie dość, że sam zginiesz w idiotyczny sposób, to jeszcze ściągniesz na nas rycerza! – oświadczył Tom głosem nie znającym sprzeciwu. – Jesteście zbyt ważni! Pomyśl o waszej misji!

Ryan chciał już się poderwać, gdy hipis chwycił go za ramię. Mężczyzna próbował wyrwać się z uścisku, ale na próżno, choć

Szkot zdawał się zbytnio nie wysilać. Veitch posłał mu pełne furii spojrzenie, jednak na tym poprzestał i zrezygnował z walki.

Z nieba strzeliła czwarta błyskawica i ich oczom ukazała się na sekundę mrożąca krew w żyłach scena. Ciemna plama przeobrażała się ze szczękiem w owadzią zbroję fomoriańskiego olbrzyma, który namierzył już swe ofiary i gotował się do ataku. Rozradowana młodzież nadal nie była świadoma jego obecności.

Zszokowana Ruth zerknęła na Churcha. Jej oczy były pełne łez. Skrzywił się zmieszany i odwrócił wzrok.

— Może moglibyśmy... – zaczęła Laura, ale nie uciszana przez nikogo, przerwała. Pokręciwszy ze smutkiem głową, zeszła pozostałym z oczu.

Shavi, niewzruszony, wpatrywał się w reflektory wozu.

Nagle rozległ się dźwięk, jakby ktoś rozerwał na dwoje arkusz blachy. Wędrowcy zamknęli na moment oczy, modląc się bezgłośnie. Ziemia zadrżała. Cała szóstka wstrzymała oddech. Zbliżający się rycerz przesłonił sobą kilkanaście gwiazd. Ledwie majaczący w mroku ciemny kształt dopadł samochodu niczym lew gazeli. Zgrzytnął miażdżony metal. Podwójny snop przednich świateł ponownie wystrzelił ku górze, a śpiewy przeszły w rozdierające wrzaski. W tle nadal słyhać było piosenkę New Radicals. Sekundę później muzyka urwała się równo z krzykami. Zgasły reflektory. Znów zgrzytnęło. Zapadła cisza.

A potem eksplodował bak, wynosząc wysoko płomienie i odłamki metalu.

— Na płask! – rozkazał szeptem Tom.

Przywarli do ziemi. Czuć było, że intensywne vibracje stopniowo słabną. Podnieśli się ostrożnie dopiero wtedy, gdy zupełnie wygasły. Pobledli i zrozpaczeni, wyglądali jak żołnierze, którzy przeżyli właśnie w okopach swój pierwszy ostrzał.

— Mamy ich na sumieniu. – Veitch nie bał się nazywać rzeczy po imieniu. Oparłszy się o jeden z monolitów, wbił wzrok w trzaskający ogień. Łuna pożaru czerwieniła diabolicznie okoliczne zarośla, gęsty dym tłumiał światło gwiazd.

Ruth wtuliła się w Shaviego, a ten przycisnął ją mocno do siebie. Church zerknął na Laurę, ale dziewczyna siedziała do niego tyłem, udając, że nie ma ochoty być pocieszana.

— Przyznaję, to była słuszna decyzja – powiedział do Toma – nie pojmuję tylko, jak możesz być taki nieczuły.

Hipis wyciągnął się wygodnie na trawie, starając się nieco rozluźnić.

— Życie jest o wiele prostsze, kiedy człowiek jest miody.



Zanim poczuli się na siłach podjąć przerwana dyskusję, musiała minąć ponad godzina. Veitch wciąż był załamany, inni jedynie śmiertelnie poważni.

To Ruth powiedziała głośno to, czym zamartwiali się wszyscy: – Jakie mamy szanse na przeżycie, jeśli poluje na nas takie monstrum? Sądzicie, że Laura, Church i ja zdołamy mu się wymykać aż do waszego powrotu?

— Nie – odparł bez ogródek Tom – ale mam pewien plan.

— No to bomba – stęknęła Laura.

— Niedaleko stąd znajduje się źródło błękitnego ognia o sile porównywalnej do tego tutaj, kolejne miejsce, w którym jest się prawie niewidzialnym, jego ogromną zaletą jest to, że zajmuje całkiem spory obszar. Dobrze wybrawszy kryjówkę, można przebywać tam, nie ryzykując bycia wykrytym przez... hm... –

Zastanowił się. – W każdym razie dość długo.

— Obawiam się, że w twoim głosie nie słyhać entuzjazmu – pożałowała się Ruth.

— Gdzie to dokładnie jest? – spytał Church.

— To wzgórze na północy Derbyshire, właściwie góra, ponad pięćset metrów nad poziomem morza. Nazywa się Mam Tor, Góra Matka. W czasach prehistorycznych niczego w okolicy nie otaczano taką czcią jak ją. Już wtedy wiedziano, że posiada wielką moc.

— Mają schować się w górze? – zdziwił się Veitch.

— Super – stwierdziła Laura. – Pobawimy się w Waltonów [*The Waltons; emitowany dziesięć lat serial amerykański z lat siedemdziesiątych o wiejskiej rodzinie z lat trzydziestych mieszkającej w górach*].

— W pobliżu – ciągnął Tom – jest też Lose Hill, niegdyś Lugh Hill, wzgórze Lughy, a także monolity i inne odpowiedniki ołtarzy, wszystkie skierowane w stronę świętej Mam Tor, symbolu Wielkiej Bogini. U jej stóp leży ponadto jaskinia Błękitnego Jana słynąca z biało-fioletowego fluorytu. Same tajemnicze, magiczne miejsca. Idealna kryjówka. – Problem tylko w tym, jak się tam dostać – zauważył Church.



Obudził się w środku nocy, w charakterystyczny sposób zaniepokojony. Nie czuł się tak już od kilku tygodni. Wzruszenie chwyciło go za gardło.

Wyczołgawszy się z namiotu, zobaczył Laurę, która, zamiast trzymać straż, drzemiała przy dogasającym ognisku. Odnotował



w pamięci, że musi się z nią nazajutrz rozmówić.

Rozejrzał się. Nic. Nic prócz napierających na krąg ciemności. Szelest wiatru w zaroślach przypominał westchnienia. Church miał jeszcze nadzieję, że się myli, ale w głębi serca wiedział dobrze, że tak nie jest.

— Pokaż mi się – rzucił czule w mrok.

Z czerni wyłoniła się zjawą, tym razem niewyraźna, mglista, jakby patrzył na nią przez ścianę dymu. Spędziwszy wiele godzin, rozmyślając o doli swojej zmarłej ukochanej, spodziewał się, że wszystko sobie poukładał i nic na jej widok nie poczuje, ale ból był równie dotkliwy, co dawniej.

— Jak się masz, Marianno? – Z trudem wstrzymał łzy.

Dym zdawał się powoli rozrzedzać i oto stała przed nim jak żywa, równie piękna, jak wtedy, kiedy razem mieszkali. Milczała jak zawsze, ale miał wrażenie, że niemal czyta jej w myślach. Jej blada twarz to przerażała, to napawała smutkiem.

— Czarny rycerz mnie nie znalazł, więc wysiali ciebie? Powinienem był się domyślić, że tak właśnie postąpią. Masz mi coś przekazać, Marianno? Co takiego? A może po prostu liczyli na to, że załamie się nerwowo?

Jego uszu doszło westchnienie. Czy był to wiatr, czy jednak ona?

Church uśmiechnął się smutno. Tak bardzo chciał móc spróbować po raz ostatni dotknąć jej dłoni... Tymczasem nie wolno mu było opuścić kręgu, a i wszelki bliższy kontakt ze zjawą groził wystawieniem się na wpływ Fomorian.

— Myśleli, że znowu dam się nabrać? – Mówił cicho i spokojnie. Nie wiedział nawet, czy duch go słyszy. – Powiedz im, że ta sztuczka już na mnie nie działa. Tamten słaby facet należy do przeszłości. Teraz, widząc cię taką, zdając sobie sprawę, ile

wycierpiałś, czuję, że staję się jeszcze silniejszy. Uwolnię cię, a potem odpłacę mi za to, co zrobili. Jeśli możesz coś im ode mnie przekazać, niech to będzie ta obietnica.

Czy wargi Marianny drgnęły, jakby chciała się uśmiechnąć? Nie miał pewności, bo zaraz później znikła, ale łudził się tą nadzieją.

# ROZDZIAŁ 15

## DRAPIEŻCY

Pożegnali się pod złoconym brzaskiem bezkresem nieba. Do święta Lughnasadh pozostał niespełna miesiąc. Chociaż ukrywali targające nimi emocje, rozumieli się bez słów. Churchowi, Veitchowi i Tomowi wystarczyły mocne uściski dłoni i przyjacielskie poklepanie się po plecach.

Churcha zaskoczyło, jak różnorodne i silne są pozytywne uczucia, którymi darzy Shaviego i Veitcha, a nawet Toma. Łączyła go z nimi, rzecz jasna, owa silna więź, jaka tworzy się zawsze wśród ludzi, którzy przeszli razem przez piekło, ale także darzył ich głębokim szacunkiem za okazaną w trudnych chwilach odwagę i przyzwoitość. Podnosiła go na duchu myśl, że żadnego z jego towarzyszy nie zniszczyły psychicznie manipulacje Złotego Ludu. Bał się o ich bezpieczeństwo, ale nie miał wątpliwości, że nikt inny nie wywiązałby się lepiej z powierzonej mu misji.

Ruth uściskała serdecznie odchodzących, nie bacząc na skrzywioną minę Toma. Hipis odsunął się pospiesznie na bok, aby uniknąć kolejnej porcji czułości. Laura także zachowywała się dość wyniośle i pożegnała kompanów jedynie skinieniem głowy, ale w jej oczach widać było, że bardzo przeżywa rozstanie.

Kiedy Shavi uśmiechnął się szeroko do Veitcha, londyńczyk

pomachał mu przed nosem nożem.

— Jeśli spróbujesz się do mnie przytulić, zabiję cię! Nie żartuję!

Szaman odepchnął ze śmiechem uniesioną dłoń osiłka, po czym przycisnął go mocno do siebie. Veitch zeszywniał na moment, ręce mu opadły, ale po kilku sekundach rozluźnił się i odwzajemnił uścisk. Nikogo nie zdziwiła ta manifestacja przyjacielskich uczuć inni wędrowcy zdążyli zauważyć, że obaj mężczyźni stają się sobie coraz bardziej bliscy. Jeden Veitch jeszcze do końca się z tym nie pogodził.

— Cholerna ciota – mruknął po wszystkim.

— Bandzior – odgryzł się w żartach Shavi.

Mimo niezliczonych zagrożeń, w ich sercach królowała nadzieja.

Nie mogli dłużej zwlekać. Szaman miał odłączyć się od Churcha i kobiet dopiero pod Mam Tor, poprowadził ich więc na południe, Veitch i Tom wyruszyli z kolei na północ, omijając szerokim łukiem kopcący się wrak samochodu. W oddali, szokujący rozmiarami wilk wyruszał na polowanie.



Aby dojść do Mam Tor, musieli wyminąć przeludnione przedmieścia aglomeracji Manchesteru oraz konurbację zachodniego Yorkshire. Choć trasa była trudna, podróż przebiegała bez zakłóceń, wszystkim dokuczało jednak zmęczenie – Ruth ze względu na jej pogarszający się stan zdrowia, innym, ponieważ nie umiała już iść samodzielnie. Z każdym dniem brzuch kobiety robił się coraz bardziej widoczny,

napierając nieprzyjemnie na spodnie. Rosnąca perła zdawała się wysysać z niej całą energię, cudem udawało jej się nie przerywać marszu. Wymioty nasiliły się, zwłaszcza rano, przez co groziło jej odwodnienie – Church, Laura i Shavi stawali na głowie, żeby miała co pić. Nocami trzęsa się w nienaturalnie wysokiej gorączce, przerażając trupim odcieniem twarzy i pocąc tak obficie, że ubrania przemakały do suchej nitki.

Gdy doszli na miejsce, znalazła w sobie dość sił, by stanąć bez niczyjej pomocy, uznała bowiem, że inaczej nie wypada, miejsce to było przecież tak niezmiernie ważne dla jej przodków. Jakby nie patrzeć, Pramatka była teraz jej patronką. Ruth modliła się o jej wstawiennictwo.

Mam Tor wznosiła się majestatycznie nad mozaiką zielonych pól, poprzecinanych tu i ówdzie kamiennymi murkami. Jej brązowozielone skały odcinały się ostro na tle bezchmurnego nieba, porażając wysokością i stromiznami ścian. U stóp imponującego wzniesienia rozciągały się dwie żyzne doliny – w upale, rzeki Noe i jej dopływy kusiły chłodem.

— Teraz rozumiem, co miał na myśli nasz dziadzio – stwierdziła Laura. – Nikt się nie wdrapie na to cudo dla kaprysu.

Church odszukał w pamięci kilka informacji ze studiów.

— W trakcie wykopalisk prowadzonych w latach sześćdziesiątych natrafiono tam na rytualny kamienny topór i inne narzędzia. Ludzie epoki brązu osiedlili się na niej, ponieważ jako twierdza była nie do zdobycia. Wierzyli, że chroni ich tam Wielka Bogini.

— Oby i nas ochroniła – powiedziała Ruth.

— Poradzicie sobie dalej? – Shavi odgarnął z twarzy swoje długie włosy, które ustawicznie zaganiał tam wiatr. Mimo długich dni marszu wyglądał rewelacyjnie, trzymał się prosto i

nie narzekał na żadne dolegliwości. Sama jego obecność sprawiała, że jego towarzysze czuli się lepiej.

Church machnął ręką.

— Nic nam nie będzie.

— Mów za siebie. – Laura z krzywą miną przyglądała się wiodącej na szczyt stromej ścieżce.

— Uważaj na siebie – dodał Church. – Głupio wyszło, że idziesz sam. Szaman uśmiechnął się.

— Nie ma sprawy. Dobrze czuję się we własnym towarzystwie. Przynajmniej będę mógł się szybciej przemieszczać.

Uściskali się serdecznie, Shavi pocałował na pożegnanie obie kobiety, a potem odwrócił się i odszedł na południe, w stronę Londynu.



Z każdym pokonanym metrem wzmagał się wiatr.

— Zapowiada się świetna zabawa – oświadczyła Laura cierpko. Nie ma jak bezpośredni kontakt z żywiołami. Skóra twarzy od razu nabiera zdrowych rumieńców.

— Podziękuj Bogu, że to nie zima – warknął Church. Po prawdzie, nie miał pojęcia, jak zorganizują sobie życie na Mam Tor. Żadne z nich nie potrafiło polować ani nie znało się na ziołach, a sama góra robiła raczej przygnębiające wrażenie. Mężczyzna wiedział jedynie, że powinni rozbić namiot w jak najbardziej osłoniętym miejscu, tak żeby nikt nie mógł wypatrzeć ich z daleka. Poza tym musieli zdecydować o wszystkim spontanicznie, co w tak trudnych czasach nie wydawało się najlepszą strategią.

Ruth była tak słaba, że musieli dosłownie wciągać ją na szczyt. Po dwóch godzinach przebyli zaledwie połowę trasy, a słońce chyliło się już ku zachodowi. Przystanąwszy, obrócili się i zaparło im dech w piersiach. Olbrzymia połać północnej Anglii złociła się w gasnącym świetle. Widok do tego stopnia ich urzekł, że rozmarzyli się na chwilę, zapominając o kłopotach.

Ale czas naglił. Ruszyli w dalszą drogę.

— Trzeba znaleźć dobry punkt przed zapadnięciem zmroku. Church przeczesywał wzrokiem nieprzyjazne zbocza.

— Nie krępuj się. Powiedz, że zginiemy tu marnie – zachęciła go zjadliwie Laura.

— A ty dalej mnie wkurzaj, to sam zacznę ci docinać. Co cię napadło?

— Proszę, nie kłóćcie się – odezwała się Ruth słabym głosem. Rozbijmy się gdzieś prędko i tyle.

Przez wzgląd na chorą oboje się powstrzymali. Odkąd przywódca drużyny rozkazał jechać do Windsoru Shaviemu, narastało pomiędzy nim a Laurą napięcie, którego nie mieli jeszcze okazji rozładować. Church był świadomy tego, jak bardzo ją zranił, nie mógł jednak pojąć, dlaczego nie widziała, że z jego strony było to posunięcie czysto taktyczne, a nie atak wymierzony w jej osobę.



Noc nadchodziła nadspodziewanie szybko, rozlewając się po okolicy morzem atramentu. Wymęczeni, nie rozglądali się już zbyt wiele. Łydki bolały ich od wspinaczki, jakby ktoś przypiekl je gorącym pogrzebaczem.

Church o mało co wybrałby na rozbicie obozu pierwsze miejsce z brzegu, kiedy nagle zauważył w mroku serię ciemniejszych plam, zbyt regularnych, by mogły być dziełem natury. Nie zważając na protesty Laury, poprowadził kobiety w kierunku znaleziska. Jakież było jego zdumienie, kiedy z ciemności wyłonił się ukryty w zagłębieniu zbocza opuszczony dom. Wszystko wskazywało na to, że od lat nikt tu nie mieszkał – drzwi obwisły, a okna wymontowano. W środku walało się mnóstwo wielorakich śmieci: parę dachówek, puszki po coli, plastikowe torby, stare gazety i kilka zużytych kondomów.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – oświadczył Church wesoło, poklepując odrapaną framugę. – Ale nam się trafiło!

— Nie podoba mi się tutaj. Czuję się jak w horrorze. – Ruth zatrzymała się w bezpiecznej odległości od budynku z założonymi rękami. Przyglądała mu się podejrzliwie, jakby w każdej chwili mógł ugryźć.

Laura minęła śmiało Churcha.

— A ja tam mam namiotu po dziurki w nosie. Jeśli w środku nie wieje i nie pada, to głosuję za zajęciem tej nory.

— To dobra kryjówka. – Przywódca drużyny widział, że Ruth nie da się tak łatwo przekonać. – Nikt nas tu nie znajdzie, chyba że będzie przechodził tuż obok.

— Chodźcie tylko coś zobaczyć! – doszedł ich stłumiony głos Laury.

Ruth podążyła za Churchem, zachodząc w głowę, czy lepiej słuchać intuicji, czy też narażać się na niespodziewany atak pod gołym niebem. Domostwo składało się zaledwie z trzech pomieszczeń.

W jednym z nich Laura wskazywała palcem na ścianę oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Mur



pokrywały niezliczone napisy. Niektóre litery były wielgachne, inne układały się w długie teksty pisane maczkiem. Większości nie sposób było odcyfrować.

— Dzieciaki – stwierdził Church.

Laura pochyliła się, próbując cokolwiek odczytać.

— Cóż, w tych stronach nie mają zbyt wielu rozrywek.

Ruth stała w kącie, nadal z założonymi w geście protestu rękami. Church dostrzegł kątem oka, że kobieta nerwowo zezuje na boki, jakby spodziewając się, że coś wyskoczy z drugiego rogu pokoju.

— Wydaje mi się, że wydarzyło się tu coś potwornego – wyznała.

W tym samym momencie słońce definitywnie skryło się za horyzontem.



Kiedy tuż przed zmierzchem zeszli z gór, rozpętała się nawałnica. Nim dotarli do szosy, ich ubrania zdążyły przemoknąć, a pociemniałe kosmyki włosów przywarły do czaszek. Deszcz zacinał nieubłaganie. Zrobiło się bardzo zimno. Co rusz rozpraszała ciemności kolejna para świateł, samochody bryzgały wodą i buchały gorącem. Większość kierowców ignorowała ograniczenie prędkości, pragnąc za wszelką cenę uniknąć podróżowania po nocy.

Tom i Veitch znaleźli się tutaj, ponieważ po długich deliberacjach postanowili porzucić strategię krycia się w głuszy na rzecz autostopu. Przypuszczali, że skoro jest ich teraz tylko dwóch, powinno udać im się dojechać przynajmniej do

środkowej Szkocji. Czterdzieści pięć minut na poboczu zweryfikowało jednak te plany. Problemem okazał się wygląd wędrowców. Nikt nie miał najmniejszej ochoty zaprosić do swojego wozu osiłka w tatuażach i podstarzałego ćpuna.

— To był głupi pomysł. Będziemy stać tu całą pieprzoną noc! – Veitch z trudem hamował gniew. Rozpędzone volvo dopiero co wjechało tuż obok niego w kałużę. Nawet w ustach miał błoto. Czuł się tak, jakby dostał w twarz.

Tom po raz trzeci w ciągu trzech minut zdjął okulary i wytarł je do sucha. Nie spuszczał oczu z nadjeżdżających aut.

— I nic, kurde, dziwnego. Możemy być wszystkim: wampirami, zombie... Ludzie wiedzą dobrze, że nie można ufać temu, co się widzi. Zatrzyma się taki, a my odgryziemy mu głowę. – Tym razem w samą porę uciekł przed bryzgiem spod kół golfa. – Od wieków nie widziałem takiego ruchu. Pewnie dlatego, że to droga krajowa. W grupie bezpieczniej i takie tam. Założę się, że bocznymi nikt już nie jeździ.

— Gadasz jak nakręcony.

— Przecież to nerwy. Co poradzić, martwię się o Ruth.

Zbliżał się następny samochód. Tom z niesłabnącym optymizmem po raz tysięczny pomachał ręką ze sterczącym w górę kciukiem.

— Nie mamy teraz zbyt wielkich szans na zwycięstwo, prawda? Oczywiście nie tracę nadziei, że naszą wyprawą pomożemy Ruth, ale ten gad w jej brzuchu... – Veitch pokręcił głową. – Jak to będzie, jeśli stamtąd wylezie?

Tom długo nie odpowiadał.

— Kiedy Balor dowodził Fomorianami w pradawnych czasach, ponoć każda rzeka świata spływała krwią. Na ziemi zapadła wieczna noc, a w ciemnościach czuć było jedynie smród

spalonego mięsa. – Przez chwilę słyhać było tylko szum wiatru i deszczu. – Nie sądzę, żeby zmienił się zbytnio przez te wszystkie lata.

Veitch zamyślił się nad słowami swojego przewodnika, nie zwracając uwagi na mijające ich samochody, a potem odezwał się jak gdyby nigdy nic: — Jak długo masz zamiar tu tkwić? Nie widzisz, że nikt nam nie pomoże? Chodźmy już lepiej, trzeba znaleźć jakieś schronienie na noc.

— Ludzie się nie zmienili. Niektórzy nadal mają na tyle dobre serca, by przełamać strach i wyciągnąć rękę do potrzebującego.

— Tak, tak... – zaczął Veitch cynicznym tonem, ale przerwał, bo zauważył hamującego citroena 2CV, tak zwaną „kaczkę”.

Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się i z wnętrza, wozu wyjrzała zaskakująco pogodna twarz. Kierowca miał najwyżej trzydzieści pięć lat, pulchne policzki i fatalnie przycięte czarne włosy. Przypominał chłopczyka z przedwojennej reklamy lizaków.

— Dokąd można was podwieźć, panowie? – zawołał wesoło, przekrzykując nawałnicę i silniki innych aut.

Tom pochylił głowę.

— Jak najdalej na północ.

— Okej. Wskakujcie.

Wycisnąwszy z włosów wodę, Veitch wgramolił się na tylne siedzenie, zaś Tom zajął miejsce koło nieznanego, który okazał się księdzem.

— Chyba oszaleliście, wybierając się w podróż stopem w taką pogodę.

— Jak trzeba, to trzeba – odparł Tom nieco zbyt oschle. – Liczyliśmy na Miłosiernego Samarytanina.

— No cóż, kręci się nas jeszcze paru po świecie – zaśmiał się

kierowca. – Tak naprawdę nie jestem taki święty. Kierowały mną także pewne egoistyczne pobudki. Brakowało mi towarzystwa. – Wyciągnął dłoń na powitanie. – Jestem Will.

Tom i Veitch przedstawili się, nie dodali jednak nic więcej, za to ksiądz rozgadał się na całego.

— Wracam z Londynu, wpadłem tam na dwa dni. Mam parafię w Newcastle. Niebezpieczna dzielnica, ale ludzie mili. Mimo to czasami jest ciężko, oj ciężko. Chociaż ostatnio wszystkim w Anglii nie jest łatwo.

— W Newcastle mieliście niedawno na głowie wojsko, prawda?

Will zrobił dziwną minę i poprawił się nerwowo w fotelu. Najwyraźniej był to temat, którego wolałby nie poruszać.

— Tak, ewakuowano i zamknięto część miasta. Ech, okropność. Nie ma o czym mówić. Ale w dzisiejszych czasach to chyba nic wyjątkowego. Macie może jakieś wiadomości o tym, co się dzieje w innych częściach kraju?

— Wiemy tylko o tym, co widzieliśmy na własne oczy. – Tom rozkoszował się ciepłem nawiewu ogrzewającym stopy.

— Podobno dni rządu są już policzone. Słyszałem, że zawiązano specjalną koalicję, tak zwany rząd mobilizacyjny. Ci politycy! Myślą, że ich szumna akcja coś pomoże!

Hipis przyznał mu rację.

— Nie powinno się pozwalać obejmować władzy komukolwiek, kto do tego właśnie dąży.

— Według mnie te szuchy z Londynu nie mają pojęcia, co się dzieje.

— A ktoś w ogóle ma? Ty, na przykład? – Tom przyjrzał mu się ciekawie. Jak wielu młodych duchownych, kierowca sprawiał wrażenie naiwnego idealisty.

— Nikt nie zna wszystkich szczegółów, ale każdy szary obywatel widział dość, żeby zdać sobie sprawę, że naukowa wizja rzeczywistości przestaje się sprawdzać. To, co nadprzyrodzone, staje się przyrodzone! Jeszcze nie tak dawno, ci, którzy wierzyli w duchy albo samoleczenie musieli się sporo namęczyć, żeby wyszukać choćby jedną wzmiankę o niecodziennym wydarzeniu – teraz wystarczy wyjść na ulicę!

Tom przekrzywił głowę.

— Myślałem, że kto jak kto, ale ksiądz będzie jednym z tych, którzy wierzą w cuda.

Will ucichł. W mroku nie można było dostrzec jego wyrazu twarzy.

— Nie, nie wierzyłem – przyznał odrobinę zawstydzony. – Uważałem się za przedstawiciela religijnej awangardy. Wiecie, jednego z takich, co schlebia gustom młodzieży: hip hop zamiast hymnów, dyskotekowy dym zamiast kadzidła. Uznawałem, że Pismo Święte nie może być odczytywane dosłownie. Czary i cuda z Biblii wsadzałem między bajki. Liczyły się zasady moralne, przypowieści uczące, jak żyć.

Veitch poczuł, że oczy same mu się zamykają. Ciepło, łagodny głos Willa, rytmiczne odgłosy wycieraczek – wszystko to działało usypiająco, zwłaszcza po kilku dniach wyczerpującego marszu. Wprawdzie przysłuchiwał się dalej rozmowie, ale, przysypiając, słyszał tylko jej skrawki.

— I co, zmieniłeś zdanie? – spytał ksiądz Tom.

— A zmieniłem, cholera, zmieniłem... – Zreflektował się. – Muszę przestać przeklinać, licho nie śpi. Kto wie, jeszcze mnie piorun trafi. Rozumowałem tak: Bóg jest istotą nadprzyrodzoną. Tyle że, skoro nie ma żadnych dowodów na istnienie nadbudówki rzeczywistości – mnie przynajmniej żadne nie były

wówczas znane – to jak wierzyć w Boga, niepokalane poczęcie, ba, nawet we wniebowstąpienie? Nie przeszkadzało mi to jednak, bo nie zmieniało faktu, że Kościół jako instytucja czyni wiele dobrego. A potem, parę miesięcy temu, zaczęły się cuda. W każdym hrabstwie inwalidzi odrzucali kule, niewidomi odzyskiwali wzrok, zmarli wstawali z grobów – same sztampowe przykłady. Ale tym razem wszystkie poparte dowodami. – Stuknął kilka razy w kierownicę, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Wracam właśnie z synodu generalnego duchowieństwa anglikańskiego zwołanego w celu przedyskutowania tych wszystkich przypadków. Byłem cynicznie nastawiony do tego przedsięwzięcia, dopóki nie usłyszałem relacji naocznych świadków tych wydarzeń. Zjechali do stolicy z całego kraju.

— Sądysz, że te cuda to znaki od Boga? – Tom nie kłopotał się, by ukryć pobłażanie w tonie swego głosu.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Byłoby miło. Choć niektórzy moi koledzy twierdzą coś wręcz odwrotnego. Cuda są czymś specjalnym, czymś wyjątkowym, jak więc nazywać cudem coś, co ma miejsce każdego dnia? To nie Bóg, a w każdym razie nie nasz Bóg, tylko magia. Tak mówią. W dodatku na synodzie zapoznaliśmy się z raportami, z których wynika, że na ziemi pojawiły się pewne... istoty. Zerknął niepewnie na Toma. – Istoty obdarzone potężną mocą.

— Istoty nie stworzone przez Boga?

— Na to wygląda.

— A jaka jest twoja opinia na ten temat?

— Musiałbym najpierw zobaczyć je na własne oczy. Trochę mnie to drażni. Skoro wierzą, że Wszechmogący stworzył cały wszechświat, dlaczego uznają, że nie mógłby stworzyć czegoś, co nie mieści nam się w głowie? Kim jesteśmy, żeby odgadywać jego

zamysły? Przypominamy dziecko przyglądające się przez dziurkę od klucza olbrzymiemu freskowi. – Will znów zerknął na swojego pasażera. Ty, jak mniemam, nie wierzysz w Boga?

Hipis chrząknął.

— Wierzę w bliżej nieokreśloną siłę wyższą. Jeśli chcesz, możesz nazywać ją Bogiem. Często się powtarza, że ludzie, którzy przez wiele przeszli, tracą wiarę, uważając, że Stwórca nie pozwoliłby na tyle cierpienia. To sąd płytki i mylny. Wyłącznie ci, którzy przez wiele przeszli, zyskują pewność, że Bóg istnieje.

— Jak to? – spytał zaskoczony wikary.

— Sam to musisz sobie wytłumaczyć. Tylko w ten sposób dochodzi się do prawdziwej wiedzy. – Tom nie odrywał wzroku od migających za szybą świateł wiosek.

Willa nie zrażała obcesowość nowego znajomego.

— Mogę ci tylko powiedzieć, jak ja to odbieram. Żyjemy teraz w świecie, w którym cuda są na porządku dziennym. Być może nie stoi za nimi mój Bóg, ale ważniejsze jest to, że nareszcie w nie uwierzyłem. Cuda się zdarzają, a zatem wszystko jest możliwe! Gdy tylko to sobie uświadomiłem, poczułem, że jak najszybciej muszę przekazać tę dobrą nowinę moim parafianom.

— Zupełnie jak w historii o nawróceniu świętego Pawia.

— Potrafię zrozumieć, skąd bierze się twój cynizm, naprawdę potrafię. Ale, widzisz, mimo tych wszystkich okropności z ostatnich kilku miesięcy – a podejrzewam, że i tak o większości z nich nic nam nie wiadomo – sędzę, że na poziomie duchowym zyskaliśmy nieskończenie wiele nadziei. Nauki biblijne przestały być abstrakcyjne. Życie stało się takie... Po prostu nabrało barw. Jak można zamartwiać się własną karierą czy pieniędzmi, gdy wokół dzieją się takie wspaniałe rzeczy? Pod ich wpływem umysł sam koncentruje się na sprawach wyższych i prawdziwie

ważnych.



Jechali nieprzerwanie na północ. Deszcz przestał wreszcie padać, pozostawiając za sobą zachmurzone niebo. Noc była ciepła. W aucie co jakiś czas zapadała cisza, bo dwóch mężczyzn pogrążało się w rozmyślaniach. Kiedy milczenie zaczynało im ciążyć, wracali do przerywanej rozmowy o stanie państwa i zmianach, jakie zaszły w życiu mieszkańców. Veitch spał tymczasem smacznie rozciągnięty na tylnym siedzeniu.

Minęła północ. Na kilkanaście kilometrów przed Newcastle w powietrzu z nawiewu zapachniało nieprzyjemnie chemikaliami i spalenizną. Tom spojrzął na kierowcę. Spochmurniały duchowny nie wyglądał już tak młodzieńczo.

— Aż tak tam źle? – spytał Szkot.

Will wziął głęboki oddech.

— Tak.

— W takim razie ta nadzieja, o której wspominałeś, rzeczywiście im się przyda.

Ksiądz pokiwał głową.

— Nadzieja i wiara w magię. Kościół odrzucił magię, zapomniał o tym, czemu ludzie jej potrzebują. Zbyt skupiono się na wnętrzu człowieka, kontemplacji, rozpamiętywaniu. Za dużo rozsądku, a za mało serca. I magii oczywiście.

Niebo nad ich głowami rozbłysło na moment, jakby przeleciało po nim słońce. Will wyjrzał ponad kierownicą przez przednią szybę.

— Dobry Boże, co to było? Jakaś raca?



Kolejne pięć minut upłynęło bez niespodzianek, aż następne niecodzienne zjawisko zmusiło wikarego do zmniejszenia prędkości.

— Popatrz tam – szepnął, zachwycony i przestraszony zarazem.

W górze przesuwały się świecące jasno projekcje tworzące na czerni nieboskłonu skomplikowane wzory. Były tam wolno obracające się walce we wszystkich kolorach tęczy, a także czerwone i białe kule. Ich łuna barwiła chmury niczym sztuczne ognie.

— UFO – powiedział Will.

— Tak, tak też je nazywali. Jedź, nie zrobią nam krzywdy.

Wikary zerknął podejrzliwie na Toma.

— Myślisz, że to coś żyje? To tylko światła.

— Tylko światła? W dzisiejszych czasach nie ma żadnego „tylko”.

— Więc co to niby jest? – Will zwolnił jeszcze bardziej, by móc lepiej przyjrzeć się dziwnemu widowisku.

— Hm... Najtrafniejszym określeniem byłyby chyba zjawy. To istoty rozumne, które odzwierciedlają to, co dzieje się w naszych głowach.

— Skąd tyle wiesz?

— Już je kiedyś widziałem.

— Wyglądają jak cherubini. – W Willu narastała ekscytacja. Cóż, być może po prostu nimi są. Jeśli zaobserwowano je już w czasach starożytnych... – Duchowny przechylił głowę. – Coś wyczuwam. Jakąś aurę. A ty? – Nie domagał się odpowiedzi, jakby nie zarejestrował, że nie padła. – Lżej się od tego robi na sercu. Niemalże błogo.

— Takie już są te zjawy.

Po policzku księdza spłynęła łza.

— Mówisz, że to zjawy, ale jeśli ja nazwę je aniołami, kto rozsądzi, który z nas ma rację?

Tom wzruszył ramionami.

— Wszystko zależy od punktu widzenia.

Will nie wytrzymał i zaparkował samochód na poboczu, skąd przyglądał się urzeczony baletowi rozświetlonych brył. Zamarły nagle, by po chwili zacząć się ustawiać z gracją w pewien wzór. Kilka sekund później utworzyły na niebie wielki wielobarwny krzyż.

Wikary stłumił jęk, ale Izy popłynęły po jego twarzy.

— Boże, jak bardzo się myliłem.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Wreszcie, jakby w zwolnionym tempie, tęczowy krzyż pękł na wiele kawałków, a te rozpierzchły się i skryły za chmurami. Duchowny ssał swój kciuk. Cały się trząsał. Tom skrzywił się, potem westchnął. Nie był pewien, jak dyplomatycznie ubrać w słowa to, co chciał przekazać swojemu kompanowi.

— Może...

— Wiem, co masz zamiar powiedzieć: może to tylko przypadek, może moja interpretacja jest zupełnie błędna. Ale, zrozum, to nie ma żadnego znaczenia! Takie zjawisko to symbol czegoś większego. Niczego więcej nam nie potrzeba.

Milczał długo z głową opartą o złożone na kierownicy ręce. Kiedy się wyprostował, widać było, że pogodził się z latami własnej niewiary. Uśmiechał się szeroko, bił od niego optymizm. Patrząc na jego rozpromienioną twarz, Tom doszedł do wniosku, że chyba powinien przyznać mu rację.



Will wysadził ich na obrzeżach Newcastle. Tom przespał się w szopie na tyłach czyjegoś domu i nazajutrz rano pojechali stopem dalej na północ. Przekroczywszy bez przeszkód granicę wyznaczoną przez Mur Hadriana, kilkakrotnie zmieniając samochody, dotarli na północ od Stirling. Niestety za Perth każdy zatrzymany wóz tajemniczo się psuł, więc, zdesperowani, postanowili iść pieszo. W górzystym terenie nie było im łatwo, wiedzieli jednak, że jest to bezpieczniejsza opcja. Na północ Szkocji prowadziła tylko jedna główna droga i szanse namierzenia ich w aucie gwałtownie rosły.

Sosny rzucały przyjemny cień i cudownie pachniały, a w okolicy nie brakowało zdatnego na pieczone ptactwa. Veitchowi udało się jakimś cudem ustrzelić z kuszy jelenia i tego wieczoru zasiedli do prawdziwie królewskiej uczyty. Resztki pieczeni spakowali, by zapewnić sobie prowiant na następne parę dni. Kierowali się w stronę majestatycznego Ben Macdui, którego poszarpana brązowa grań górowała nad czubkami drzew. Miejscowe źródła zachwycały czystością wody – pijąc ją, czuli się tak, jakby kosztowali eliksiru życia.

Veitch to żartował sobie z Tomem swobodnie, to kłócił się z nim o głupstwa bądź wybuchał gniewem, nieraz w przeciągu jednej godziny. Nie był w stanie rozgryźć towarzysza, a jego lakoniczne komentarze zbijały go z pantałyku. Odkąd go poznał, nie potrafił pozbyć się wrażenia, że ten sędziwy Szkot o niewzruszonej twarzy jest tak naprawdę zwykłym oszustem, a nie bohaterem średniowiecznych legend. Poza tym szczerego, impulsywnego londyńczyka denerwowało to, że jego

przewodnik, chociaż zdawał się znać na każdej dziedzinie, bardzo wiele informacji uparcie przed drużyną ukrywał.

Pewnego dnia, na niespełna dwa tygodnie przed feralnym celtyckim świętem, wędrowali w ciszy, dochodząc do siebie po niedawnej sprzeczce. Poszło o to, która trasa przez głuszę jest najkrótsza. Pretensje poszły błyskawicznie w niepamięć, kiedy Veitch dostrzegł w dole zbocza niewytłumaczalny fenomen. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby tuż pod ziemią przetaczała się z wolna fala, wypiętrzając płynnie przeobrażające się pasmo roślinności.

— A to co, u licha? – Młodszy z mężczyzn wyteżył wzrok, starając się w ciemnej zieleni wyłapać więcej szczegółów.

— Widzisz tam? – Tom zwrócił jego uwagę na kroczącą przed czołem fali postać. Z tej odległości wydawała się maleńka.

Veitch zorientował się wreszcie, co jest grane. Tam, gdzie przeszła owa tajemnicza istota, w ciągu kilku minut wyrastały z ziemi dojrzałe drzewa. To ich strzelające rzędem w niebo korony układały się w odwróconą falę.

— Walińczycy znają ją pod imieniem Ceridwen – oświadczył Tom. Londyńczyk spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Mi się coś ledwie majaczy, a ty ją rozpoznajesz?

— Mam lepszy wzrok od ciebie, lepszy od każdego człowieka. Hipis nie odczuwał potrzeby, by to udowodnić.

— No dobra, ale co ona tu robi?

— Jest jedną z Tuatha Dé Danann, krewną Cernunnosa. A co tu porabia? Moim zdaniem, zalesia na powrót szkockie góry, chcąc im przywrócić stan sprzed setek lat. Wielkie połacie puszczy wycięto pod pola, na opał, na statki...

— Czemu jej tak na tym zależy?

— Jej ród darzy przyrodę ogromną estymą, w szczególności

drzewa i ich rozumne dusze. Bogini wie dobrze, że gdzie las, tam magia, magia dobroczynna, którą ludzie z pewnością docenią. Przywraca ziemi to, czego tak bardzo jej brakowało.

Veitch przykucnął, podpierając się rękami. Zauważył, że Ceridwen ma lśniące czarne włosy. Za nią wirowała peleryna, to szafirowa, to szmaragdowa.

— Nie kapuję. Skoro są naszymi wrogami, czemu sieją drzewa? Myślałem, że to nasz obowiązek.

Tom wzruszył ramionami.

— Pamiętaj, że nie na darmo nazywamy ich bogami. Wymyka nam się logika ich postępowania.

Mężczyzna odszedł, jednak Veitch nie ruszył się z miejsca. Nie mógł oderwać oczu od tego niezwykłego zjawiska. Nie wiedział, jaka jest tego przyczyna, ale im dłużej obserwował zieloną wstęgę przecinającą ponury krajobraz wrzosowisk, tym jakoś lżej robiło mu się na duszy. Podniósł się dopiero po pięciu minutach, z ociąganiem, jeszcze nie mając dosyć.



Słońce zachodziło, zaczęli więc rozglądać się za osłoniętym miejscem, w którym mogliby zanoć. Zbierało się na deszcz, a mimo letniej pory wiał coraz bardziej lodowaty wiatr.

— Nie podoba mi się tutaj – stwierdził londyńczyk, zasapany po ostrym podejściu.

Tom tylko odchrząknął. Nie był w nastroju do rozmowy.

— Ciemno tu, jak nie powiem gdzie. – Veitch zdawał sobie sprawę, że poniekąd rozmawia sam z sobą, ale inaczej czuł się nieswojo. – Ja tam wychowałem się w mieście. W takim Londynie

w nocy nigdy nie robi się do końca ciemno. Owszem, i tam nie jest za bezpiecznie, ale przynajmniej się te niebezpieczeństwa widzi. – Zerknął w niebo. – Pełnia. Kurczę, gdyby nie te chmury...

— Chyba się nie boisz tych kilku cieni? – Jak zwykle, będąc w Szkocji, Tom mówił z silniejszym lokalnym akcentem.

— A, idź się powieś.

— Ech, miastowi chloptasie... I wy się macie za twardzieli?

Veitch zakipiał gniewem. Czasem przerażała go własna popędliwość, zastanawiał się, do czego mógłby się w amoku posunąć. Miał już wszcząć kolejną dziką awanturę, kiedy znów zdekoncentrowało go niespodziewane odkrycie. Po prawej stronie, wysoko w górze, mignęło mu między skałami światelko. Cofnął się, żeby sprawdzić, czy to nie przewidzenie.

— Hej, tam ktoś mieszka! – zawołał do towarzysza. Rozświetlone okno przyciągało jak magnez. – Może pozwolą nam się przespać w jakimś kącie.

Szkot zawahał się, ale i jego skusiła wizja noclegu pod dachem. Wyprzedziwszy Veitcha, z werwą rozpoczął wspinaczkę.



Kamienna zagroda kulila się do zbocza zastraszona przez żywioły. Z komina bił dym rozpraszany szybko przez wiatr. Pachniał torfem i bliżej niezidentyfikowanym gatunkiem drewna. W ciemnościach bieleły kształty leżących w trawie owiec. Obaj mężczyźni przystanęli na moment, oceniając ryzyko, ale nawet Tom nie doszukał się niczego podejrzanego. Pierwszy podszedł do drzwi i śmiało zastukał.

Z początku nikt się nie odezwał, co nie zdziwiło ich, bo

domownicy musieli być w szoku. Piechurzy wątpili, żeby ktokolwiek się tu zapuszczał, zwłaszcza po zmroku i w tak niespokojnych czasach. Po chwili ich uszu dobiegł jednak odgłos ciężkich kroków.

— Kto tam? – zapytał niepewnie czyjś bas z silnym góralskim akcentem.

— Dobry wieczór – przywitał się grzecznie Tom. – Wędrujemy po górach. Mamy namiot, ale idzie burza. Może mógłby pan udzielić nam schronienia?

— Nie, nie mógłbym. Żegnam. – Trudno byio stwierdzić, czy mieszkańca zagrody to najście roziościło czy też przeraziło.

— Co za łajza – burknął Veitch. – Chodź, widziałem po drodze dobre miejsce na obóz. Ten tu to i tak pewnie jakiś debil, dziecko kuzynów. No wiesz, na takim odludzi trudno sobie kogoś przygruchać.

Zdążyli odejść ledwie na parę kroków, kiedy w głębi domu odezwał się drugi głos, jakby z pretensjami. Bas coś odpowiedział, usłyszał ripostę i doszło do ostrej wymiany zdań. Nagle drzwi się otworzyły. Wędrowcy aż odskoczyli zaskoczeni. Na progu stał rozjuszony czterdziestolatek. Miał ciemne oczy i czarne, kręcone włosy ze śladami siwizny.

— Wchodźcie, byle szybko! – warknął przez zaciśnięte zęby.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Gospodarz zatrzaskał drzwi, po czym zasunął energicznie kilka rygli, jakby chciał przez to podkreślić powagę sytuacji. Miał na sobie wyblakły T-shirt z napisem *MIAMI* i brudne szare spodnie w tenis, niegdyś część garnituru. Podtrzymywała je para wytartych niebieskich szelek. Gdyby nie trzydniowy zarost i gniewne spojrzenie, mężczyzna prezentowałby się o niebo korzystniej. Zmierzył przybyszy wzrokiem. Chyba zdali egzamin, bo wskazał

im miejsce przed nagrzanym kominkiem.

— Lepiej się ogrzejcie. Zimno tu nocami, nawet w lipcu.

Znikł w sąsiednim pomieszczeniu i wrócił w towarzystwie młodej kobiety, najwyraźniej tej samej, z którą wcześniej się kłócił. Wyglądała na zrelaksowaną i pewną siebie, a jej serdeczność kontrastowała z nieufnością jej kompana. Podobnie jak on miała czarne włosy oraz ciemne oczy, ale jej podkoszulek był śnieżnobiały. Przypominała Veitchowi Ruth – Ruth, która nigdy nie była u drogiego londyńskiego fryzjera.

— Wybaczcie mojemu tacie. Biedaczek nie zna znaczenia słowa „gościnność”. – Czterdziestolatek chciał zaprotestować, ale dziewczyna rzuciła mu groźne spojrzenie – odziedziczyła po ojcu temperament. – Mam na imię Anna, a to mój tata, James. Zdrobniale Jim.

— Dla was pan McKendrick – sprostował mężczyzna.

Wędrowcy także się przedstawili.

— Sądząc po reakcji na nasze najście, wnioskuję, że ostatnio nie było tu najspokojniej. – Tom z ulgą zsunął plecak na ziemię.

— Coś atakuje owce – wyznał gospodarz z zakłopotaną miną. Atakuje to za mało powiedziane. Raczej pożera. Sześć w dwie noce. Rozpędziło się bydło, bo w zeszłym miesiącu załatwiło osiem.

— Może to zdziczały pies? – zasugerował Tom, choć oczywiście wiedział swoje.

— Całą zeszłą noc przesiedziałem na czatach ze strzelbą. I nic. A rano znów znalazłem obgryzione truchła.

Tom pokiwał głową.

— Sam bym się zaczął niepokoić. I co, myślał pan, że winowajca zapukał panu do drzwi?

Mężczyzna zignorował to pytanie, za to odezwała się córka: –



Jedliście kolację? Może zrobić wam kanapek z bekonem?

Obaj przyjęli jej propozycję z entuzjazmem. McKendrick podniósł ostrożnie rąbek zasłony, żeby wyjrzeć na zewnątrz, Tom poszedł skorzystać z toalety, a Veitch podążył za odgłosami smażenia do kuchni, która okazała się tak mała, że z trudem mieściła jego i Annę.

Dziewczyna uśmiechnęła się i poprosiła o nakrojenie chleba.

— Mam nadzieję, że nie macie tacie za złe, że was przegonił. Jest taki zestresowany. To skromne gospodarstwo, nigdy nie zarabialiśmy dużo, a ostatnie parę lat było wyjątkowo ciężkich. Nie stać nas na tracenie owiec w takim tempie.

— Pracujecie razem?

— Nie rób takiej zdziwionej miny! – Pacnęła go po kumplowsku w ramię. – Zimą zmarła mama, zupełnie niespodziewanie. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy, ale tato najbardziej. Po prostu się załamał. Mieszkałam wtedy w Glasgow, miałam fajną pracę, mnóstwo znajomych, ale co było robić, rzuciłam to w diabły i wróciłam do domu, pomóc mu wrócić do zdrowia.

Nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny, Veitch wyjął jej z rąk drewnianą łopatkę i przewrócił bekon na drugą stronę. Anna także często na niego zerkiała.

— To wspaniałe, że zdobyłaś się na coś takiego.

— Ech, nie rób ze mnie świętej. Każdy by tak postąpił, gdyby chodziło o jego matkę czy ojca. Ale za dobre uczynki też trzeba odpokutować, prawda? Teraz tata z jednej strony wolałby, żebym nie tkwiła na tym zadupiu, a z drugiej strony, rzecz jasna, nie chce zostać tu sam jak palec. I tak każdego wieczoru dręczą nas te same dylematy.

— Podziwiam cię, że to wytrzymujesz.

Wzruszyła ramionami.

— Może powiesz mi coś o sobie dla odmiany? – Spowaźniał. Przechyliła figlarnie głowę. – Nie wyglądacie mi na turystów. Żresztą oboje wiemy, co się dzieje w kraju. Nikt o zdrowych zmysłach nie zapuściłby się tu po nocy. Chyba, że miałyby jakiś szczególny powód.

— Mam powód.

— Jakiż to?

— Staram się uratować świat przed zagładą.

Przyjrzała mu się uważnie, chcąc sprawdzić, czy nie żartuje. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, a potem Anna uśmiechnęła się i skupiła uwagę na zawartości patelni. Nie poruszyli już więcej tego tematu.



Zjedli kanapki siedząc przed kominkiem. McKendrick, rozpogodziwszy się trochę, poczęstował gości whisky, bez etykiety, więc pochodzącej zapewne z jakiejś lokalnej destylarni. Oszołomiony Veitch nadal nie spuszczał swojej nowej znajomej z oczu, mimo że gnębiły go wyrzuty sumienia. Jak mógł być taki niestały w uczuciach? Podobieństwo dziewczyny do Ruth go nie usprawiedliwiało – Anna była przede wszystkim piękną młodą kobietą. W dodatku wyraźnie nim zauroczoną. Siedzieli razem w kącie na dwóch wytartych fotelach, rozmawiając o głupstwach i zawzięcie dowcipkując, podczas gdy Tom i Jim wiedli przy ogniu poważną dysputę.

W pewnym momencie Veitch zorientował się, że McKendrick zezuje w jego stronę – rozdrażniony, niemalże zagniewany.

Londyńczyk dobrze wiedział, co tak irytuje jego gospodarza, ale nie przejął się tym. Szkoda mu było czasu.



Krótko po północy rozmowy przerwał nieopisany harmider: żalosne pobekiwanie owiec i charkot bliżej nieokreślonego drapieźnika, który przeszedł wkrótce w gardłowy ryk. Veitch pierwszy dopadł okna, ale palące się w środku światło uniemożliwiało dostrzeżenie czegokolwiek na zewnątrz. McKendrick wyjął strzelbę i ruszył szybkim krokiem do drzwi. Londyńczyk zagroził mu drogę.

— Pójdę przodem, zgoda?

Z kuszą w dłoni wyszedł w chłodną noc. Szybko pożałował swojej decyzji. Nawet na dworze widać było tylko to, co oświetlały okna zagrody. Zalegający wokół mrok przypominał aksamitną kurtynę. Veitch jeszcze nigdy nie słyszał tak przerażonych owiec – oszalałe z trwogi, nie beczały już, tylko wyły cienko. Brzmiało to czasem niczym obdzierana ze skóry kobieta. Z domu wyłonił się Jim uzbrojony w latarkę.

— Tam! Szybko!

Ryan niepotrzebnie wskazał kierunek, z którego dochodziły hałasy – jego gospodarz nie był przecież głuchy. Na twarzy McKendricka malowała się determinacja, a także niezbyt skutecznie maskowany strach. Zamachnął się latarką. Strumień ostrego światła prześlizgnął się po trawie i kudłatych bokach pierzchających zwierząt, by w końcu natrafić na pustkę, nieprzenikniętą czerń. Coś w niej mignęło, coś, co zauważył tylko Veitch.

— Na lewo! – krzyknął. – Przeoczyłeś go! Bardziej na lewo!

Jim zawrócił i zdołali dostrzec sunący tuż nad ziemią cień. Znikł im od razu z pola widzenia, pędził z szybkością błyskawicy. Po prawej połyskiwał szkielet zmasakrowanej owcy. Białe kości sterczały na boki niczym olbrzymie kły. Bestia rozdarła biedulę na strzępy – trudno było się domyślić, co jest żebrem, a co piszczelą.

— Jezu Chryste, a niech mnie! – McKendrick gwizdnął. – To jednak pies!

Oparłszy sobie lufę strzelby o przedramię, nadal przeczesywał ciemności swoim reflektorem.

— Ostrożnie – powiedział Veitch. – Może być wściekły.

Ojcu Anny z nerwów trzęsły się ręce, więc białe światło skakało chaotycznie, jakby używał nie latarki a stroboskopu. Poszczególne miejsca oświetlał tylko na sekundę: to wycinek łąki z biegnącą prosto na nich owcą, to skałę, na której widok obaj podskoczyli, to ponownie objedzony szkielet. Wiatr przybrał na sile, jęczał wśród wierchów, zagonił chmury przed księżyc i gwiazdy – zrobiło się jeszcze ciemniej, jeśli w ogóle było to możliwe. Nie tylko wypatrywanie, ale i nasłuchiwanie drapieżnika nie wchodziło raczej w rachubę, bo prócz szumu podmuchów dezorientował tętent owczych racic.

McKendrick nie należał do ludzi, których łatwo zniechęcić.

— Tylko nie wychodź przede mnie. Jak zobaczę drania, zaraz strzelam. Może się chociaż cholernik przestraszy.

I Ryan i Jim znali powiedzenie „mrozący krew w żyłach”, jednak do tej pory sądzili, że to jedynie metafora. Tymczasem, gdy rozległo się wycie bestii – najpierw niskie i rzewne, później wyższe i bardziej agresywne – poczuli się tak, jakby zalała ich lodowata woda. Potworny odgłos rozbudził w nich pierwotne

instynkty. Straciwszy nad sobą panowanie, pognali do zagrody.

Pod drzwiami McKendrick po raz ostatni zatoczył pospiesznie łuk strumieniem światła. W oddali rozbłysły na ułamek sekundy upiorne żółte ślepie. Wystrzeliwszy w ich stronę, Szkot natychmiast wślizgnął się do wnętrza domu. Veitch poszedł w jego ślady. Zasunęli rygle.

— Chyba go trafiłem – wydyszał Jim, opierając się plecami o drzwi. – A przynajmniej postrzeliłem w łapę.

Londyńczyk nie był tego taki pewien.

Anna i Tom czekali na nich pobladli na środku pokoju – ich także przeraziło wycie tajemniczego napastnika. McKendrick i Veitch spojrzeli po sobie. Domyślali się, że obaj doszli do tych samych wniosków.

— To był wilk. Na sto procent – oświadczył starszy z mężczyzn.

— Chyba żartujesz! – wykrzyknęła dziewczyna. – Ostatniego zabito w tych górach wieki temu!

— Niemniej kiedyś tu żyły – zauważył Tom. – Może teraz wracają.

— Tak jak puszcza – dodał Veitch.

— Ale skąd się biorą? Nie, to szalona hipoteza...

McKendrick podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

— Ostatnio sprawdza się sporo szalonych hipotez.

— Jesteście pewien, że to wilk, a nie człowiek? – spytał Tom, spoglądając znacząco na Veitcha. Ryan dobrze wiedział, co jego kompan ma na myśli.

— Duża sztuka, ale poza rozmiarami nic nie odstawało od normy. Anna przyjrzała im się ciekawie, ale nie zabrała głosu.

— Jeśli go trafiłeś – zwrócił się Veitch do Jima – może uda nam się wytropić go za dnia po śladach krwi. W dziennym świetle będzie nam łatwiej. Po ciemku nie mamy szans.

Pomysł ten wydawał się być najbardziej rozsądny, pozostawało tylko poczekać do świtu. Córka gospodarza poszła do kuchni zaparzyć herbaty, zaś pozostała trójka zasiadła przed kominkiem. Wszyscy potrzebowali trochę czasu, żeby dojść do siebie.



Kiedy godzinę później McKendrick poszedł spać, Tom uciął sobie drzemkę na fotelu przy ogniu, a Ryan zabrał się do składania w rogu prowizorycznego legowiska. Anna zносиła mu poduszki z całego domu. Usta jej się nie zamykały.

— Przepraszam, że tyle gadam – powiedziała rozbawiona swoim zachowaniem. – Od kilku miesięcy jestem skazana na towarzystwo taty.

Londyńczyk rozłożył się na gotowym pościeli z rękami założonymi za głowę.

— Z tego, co widzę, stanął już na nogi. To twardy gość. Trzyma się w ryzach: żadnej tam wódeczki czy leż na boku. Może nadszedł czas wracać do Glasgow?

Posmutniała.

— Czy ja wiem... Nie chcę być egoistką.

— Czasami tak trzeba. Życie ma się tylko jedno. Jaki byłby z niego pożytek, jeśli robiłoby się tylko to, czego inni by od nas oczekiwali? A lista takich oczekiwań jest zawsze nieskończenie długa.

Anna zdusiła w sobie ziewnięcie, położyła się koło Veitcha i wlepiła wzrok w sufit.

— Tak, wszystko, co mówisz, brzmi całkiem sensownie. Też to

sobie nieraz powtarzam. Tyle że później przyłapuję tatę zapłakanego, ze zdjęciem mamy w dłoni...

— Nie doskwiera ci tu samotność?

Zerknęła na niego.

— Zdarza się, że doskwiera.

Obrócił się na bok i podparł na łokciu.

— Wyglądasz na kogoś, kto lubi się zabawić, wyjść na miasto z przyjaciółmi. Jeszcze parę tygodni, a zwariujesz w tej głuszy.

— Czasami mam wrażenie, że to już się stało. – Westchnęła ciężko. – Każdy potrzebuje w życiu czegoś, co nadaje sens, prawda? Dla mojego taty to jego gospodarstwo. Nieważne, że urabia się po łokcie i nic nie dostaje w zamian. To jego miłość, jego pasja. Umarłby szybko, gdyby miał się stąd wyprowadzić. Na pierwszy rzut oka jest tu nudno, ciężko, ponuro, ale, wierz mi, jak się wstanie jesienią o świcie... Ach, te góry, całe w brązach i pomarańczach! Albo zimą, gdy nocami zawodzi wiatr... Jak żywa istota.

— A co nadaje sens twojemu życiu?

— Cóż, opieka nad dobrym, pracowitym człowiekiem, któremu udało się w tych surowych warunkach wychować dziecko. Tyle dla mnie poświęcił. Teraz moja kolej. To naprawdę niewielka cena za szczęśliwe dzieciństwo.

Veitch położył się na powrót na wznak z zagubioną miną.

— A jak to jest u ciebie? – spytała Anna.

Jej pytanie wpędziło go w jeszcze większe zakłopotanie.

— Chyba nadal tego sensu szukam.

Pochyliwszy się nad nim, dotknęła delikatnie tatuażu na jego przedramieniu, jej palce były chłodne, ale ich dotyk wzniecał płomień.

— Opowiedz mi coś o nich – poprosiła. – Wszędzie je masz?

dodała z filuternym uśmiechem.

Nim zdążył odpowiedzieć, drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się gwałtownie. Wyrzała zza nich rozczochrana głowa zagniewanego McKendricka.

— Anna! Biegiem do własnego łóżka, ale to już! – warknął.

Dziewczyna spojrzała smutno na rozmówcę, podniosła się i wymaszerowała posłusznie do sypialni.



Wichura rozszalała się na dobre. W kominie bezustannie gwizdało, okapy trzeszczały. Veitch budził się kilkakrotnie. Nasłuchiwał, pamiętając o tym, że Anna przyrównała wiatr do żywej istoty. Rzeczywiście, czasem dałby sobie głowę uciąć, że ktoś tam na dworze uporczywie go woła, może przed czymś ostrzega, a może wręcz przeciwnie, podstępnie próbuje nakłonić do wyjścia.

Ocknąwszy się po raz kolejny, zerknął na zegarek. Trzecia. Niedługo miało świtać. W przeciwległym kącie pokoju, przy żarzącym się w mroku palenisku, Tom przekręcił się w fotelu i wymamrotał coś przez sen.

Nagle na dachu rozległ się rytmiczny łomot, jakby jakieś zwierzę przebiegło z jednego jego końca na drugi. Veitch przysiadł na posłaniu zły zimnym potem. Cisza. Odczekał trochę w napięciu. Nic. To wiatr, wytłumaczył sobie. Nie zdziwiłby się, gdyby do rana zwiało połowę dachówek.

Ledwie przyłożył znużoną głowę do poduszki, gdy łomot powtórzył się – zwierzę zawróciło. Zwierzę albo człowiek – w każdym razie nie wiatr. Mężczyzna nie miał już wątpliwości, że



na dachu coś się ruszało.

Pod wpływem wstrząsu od wnętrza komina oderwały się płyty sadzy i z szumem opadły czarnym deszczem na gasnące polana. Veitch zerwał się na równe nogi. Chciał już podbiec do kominka, gdy nieznany napastnik zaczął taranować drzwi. Huk był tak wielki, jakby pękły na dwoje – na szczęście, grube deski wytrzymały pierwszy cios.

Tom wstał niezdarnie, przecierając zaspane powieki.

— Co, u licha?

Veitch rzucił się do okna wychodzącego na ganek. Przed progiem nabierał właśnie rozpędu olbrzymi szary wilk. Ryan nie miał pewności, czy z nerwów nie zawodzą go zmysły, drapieźnik był bowiem wielkości sporego kuca. Z każdym jego uderzeniem zawiasy odrobinę się zniekształcały. Londyńczyk odsunął się szybko od szyby.

— Jim! Dawaj tu strzelbę!

Wstrząśnięty McKendrick stał już w drzwiach sypialni ze śrutówką w dłoni.

— Chodź! Od nas lepiej je widać! – Machnął na Veitcha.

W pokoju na składanym łóżku siedziała zatroskana Anna. Za szybą widać było krążącą watahę. Żaden z osobników nie ustępował rozmiarami wilkowi spod drzwi. Po dachu znów coś przebiegło czyli było ich jeszcze więcej.

— Osiem, dziewięć sztuk! – oświadczył McKendrick z niedowierzaniem.

— Masz drugą strzelbę? – spytał Ryan, obmyślając strategię. Szkot pokręcił przecząco głową.

Klnąc głośno, londyńczyk wrócił pędem do saloniku po swoją kuszę. Wydawała się taka krucha w porównaniu z cielskami bestii. W tym samym momencie, w którym skończył ją ładować,

drzwi ustąpiły. Podmuch wiatru rozkołysał zasłony, wygarnął z kominka popiół i płatki sadzy. Wilk trafił Veitcha w pierś z impetem rozpędzonego motoru. Mężczyzna padł na plecy. Oddychał z trudem monstrum stało na nim wszystkimi czterema łapami. Z cuchnącej zgnilizną paszczy skapywała gorąca ślina, a ostre jak brzytwy zębiska kłapały milimetry od twarzy ofiary.

Ryan odchylił głowę na bok, jakby mogło mu to coś pomóc, zacisnął powieki i czekał na cios. Spodziewał się, że basior jednym chiapnięciem pozbawi go połowy twarzy. I wtedy stało się coś dziwnego. Głęboko w zakamarkach swojego umysłu poczuł zniechęcające nieprzyjemne mrowienie, jakiś prąd, przesyłany w niezrozumiały sposób sygnał. Wbrew swojej woli przekręcił głowę i nagle patrzył wilkowi prosto w oczy, a złoto tęczówek bestii wciągało go do środka. Utonął w ich blasku. Czy chciały mu coś przekazać?

Czar prysł, tak jak prysła najbliższa szyba. W pokoju znalazło się kolejne zwierzę, otrzepywało się właśnie z odłamków szkła. Za nim wtargnęły pozostałe osobniki. Tom próbował odpędzić jednego z nich przy pomocy krzesła. Drapieżnik przekomarzał się z nim tak jakiś czas, ale widać znudziła go ta zabawa, bo zaraz w mgnieniu oka zmienił mebel w trociny.

Katem oka Veitch widział swoją kuszę, leżącą nadal tam, gdzie upadła na ziemię. Powoli wyciągnął rękę w jej kierunku. Była naładowana, wystarczyło ją odbezpieczyć.

Zdołał przesunąć dłoń o kilkanaście centymetrów, kiedy wilk zorientował się, co się święci. Z gardła zwierzęcia dobył się basowy pomruk, który przeszedł prędko w potężny ryk. Jego ruchy były tak szybkie, że Ryan przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Wpatrująca się w niego para żółtych ślepi nagle znikła, a z nią wszystko inne. W ciemnościach czuć było tylko smród.

Dopiero przenikliwy ból w obu policzkach uzmysłowił mężczyźnie, że bestia trzyma jego głowę w swojej paszczy. Kły wżynały mu się w skórę. Wystarczyłoby zwiększyć nacisk, a rozplątałyby czaszkę.

W tej ciągnącej się w nieskończoność sekundzie Veitch przypomniał sobie wszystkie najczarniejsze momenty swojego życia. A potem... A potem, ku jego ogromnemu zaskoczeniu, ból minął. Nim zdążył otworzyć oczy, wilka już nie było – jak gdyby nigdy nic, wybiegł truchtem na dwór.

Ryan rozejrzał się. Reszta sfory też opuściła budynek. Pokój wyglądał tak, jakby przeszło przezeń tornado. Wszędzie walały się poprzewracane meble, pokryte warstwą szkła i podartych na strzępy tkanin.

Tom leżał pod ścianą jak szmaciana lalka, ale szybko się ocknął. Usiłował sam się podnieść, nie odniósł więc raczej żadnych poważnych obrażeń. Na pierwszy rzut oka gorzej było z McKendrickiem. Zza drzwi sypialni wystawały jego bezwładnie rozrzucone nogi. Veitch podczołgał się bliżej. Twarz gospodarza była zalana krwią. Londyńczyk uniósł delikatnie głowę nieprzytomnego, po czym oczyścił mu rany znalezionym skrawkiem zasłony. Na szczęście w większości okazały się być płytkie i niedługo potem Szkot także otworzył oczy. Ryan zaczął coś mówić, zamilkł jednak, widząc, że Jim jest śmiertelnie przerażony.

— Porwały Annę – wychrypiał cicho McKendrick.



Wyruszyli na poszukiwanie dziewczyny, gdy tylko zrobiło się

dostatecznie jasno. W powietrzu wisiał jeszcze nocny chłód, a na źdźbłach traw krople porannej rosy. Wiatry przeniosły się przed świtem do innej części gór.

Szli gęsiego – Veitch z przodu, bo Jim nie nadawał się na przewodnika. Twarz miał poszarzałą, oczy zamglone, wzrok wbity tępo w ziemię. Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku miesięcy jego świat przestał istnieć. Człapał przygarbiony zalondyńczykiem. Pochód zamykał Tom.

Poprzednią godzinę spędzili sprzątając w zupełnej ciszy. Nie potrafili zmusić się do rozmawiania o Annie lub tym, co mogły jej zrobić wilki, zachodzili za to w głowę, co bestiami kierowało. Dlaczego zachowały się tak nietypowo, jak bandyci, a nie jak zwierzęta? Rzecz jasna, nie znaleźli na te pytania odpowiedzi. I tak, milcząco tudzież jednogłośnie, przystali na to, by wysledzić tajemniczą sforę i znaleźć Annę lub to, co z niej pozostało.

Veitch był wewnętrznie rozbity. Już zeszłego wieczoru nie potrafił poradzić sobie z emocjami, z podobieństwem obu kobiet i tym, co do nich czuł, a teraz na nowo przeżywał koszmar porwania ukochanej. Podejrzewał, że podświadomie chciał pomóc dziewczynie rozwiązać jej dylemat, licząc na to, że w ten sposób pomoże również sobie albo Ruth. Ale los po raz kolejny rzucił mu kłodę pod nogi.



Nawet niewprawne oko dostrzegłoby pozostawiony przez wilki trop: wydeptaną w mokrej trawie ścieżkę znaczoną brunatnymi plamami krwi, która, jak usiłowali sobie wmówić, należała do postrzelonego przez Jima basiora. Ślady prowadziły

w dół zbrocza, posuwali się więc szybko do przodu.

Wkrótce znaleźli się w zasadzonym przez Ceridwen lesie. Razem z drzewami wyrosły tu krzewy, mchy i byliny, pojawiła się nawet skompostowana ściółka. Wokół kwitły dzikie kwiaty i śmigały niezliczone ptaki. Z każdym krokiem wędrowców gęstniała zaścielająca dno doliny mgła, nie tylko przesłaniając widok, ale i tłumiąc wszelkie dźwięki.

Przeszli tak kilkanaście metrów.

— To szaleństwo – szepnął Tom Veitchowi na ucho. – Jeśli nas tu zaatakują, będziemy bez szans. Mogłyby się przemykać tam za krzakami, a my i tak byśmy ich nie zauważyli.

Londyńczyk przyznał mu rację, ale nie chciał zawrócić.

— Jeśli się teraz wycofamy, zgubimy trop.

— Ty i te twoje porwane dzierlatki! To jakaś obsesja.

— Wiesz co, może i posłuchałbym ciebie, gdybyś sam nie był zdrowo rąbnięty. – To powiedziawszy, Veitch wyprzedził pogrążonego w myślach Jima. Zirytował się, bo Tom trafił go w czuły punkt. Musiał ocalić Annę, ponieważ tak właśnie postępowali prawdziwi herosi, a do wyboru miał albo herosa, albo swoje dawne żalosne ja.



Kiedy zagłębili się na jakieś pół kilometra w najgęstsza część lasu, otoczyły ich znieścacka przeróżne szelesty i szmery. Palec McKendricka powędrował machinalnie na spust. Ryan spokojnym gestem położył dłoń na lufie strzelby i spojrzał Szkotowi prosto w oczy.

— Spokojnie – szepnął opanowanym głosem. – W takiej mgle

łatwo o tragiczny wypadek.

Ojciec Anny sprawiał wrażenie człowieka na skraju załamania nerwowego. Jego dolna warga drgała. Zawstydzony, przygryzł ją z taką siłą, że po brodzie pociekła mu stróżka krwi.

Mgła nadal deformowała dźwięki – nie umieli określić, skąd dokładnie dochodzą. Niektóre były niewinne, ot, zaśpiewał ptak, ale od czasu do czasu z przodu trzaskała gałąź albo z boku chrzęściły szyszki. Nie wiedzieli, czy doganiają stado, czy też wataha ich osacza. W dodatku Veitch nie był taki pewien, czy w ogóle mają do czynienia z wilkami – jego wyczulone zmysły podpowiadały mu, że coś jest nie tak. Ledwie słyszalnym ruchom brakowało właściwej drapieżnikom gracji.

— Przybliżyły się – zakomunikował towarzyszom.

— Skąd wiesz? – zdziwił się McKendrick. Wymachiwał wciąż nerwowo strzelbą i Veitch poniekąd bardziej bał się jego nieobliczalności niż wroga.

— Mam dobry słuch.

Od niedawna, dodał w myślach. Gdzież się podział tamten gapowaty osiłek? Duch Pendragona naprawdę go odmienił.

Tom znów podszedł do niego bliżej, żeby nie usłyszał go Jim.

— I jak tam? Obmyśliłeś dla nas strategię, dzielny wojowniku?  
Pomiędzy pniami przemknął jakiś spory cień.

— Tam! – zawołał McKendrick, szykując się do strzału.

Z zarośli wypadł kolejny stwór, zwalając go z nóg. Śrutówka wpadła w krzaki. Veitch zadziałał odruchowo – rzucił się za napastnikiem i wiedząc, że nie może go gonić, kopnął go tylko na pożegnanie w goleń. Tamten jęknął głośno i zbiegł, kuśtykając.

— To nie był wilk! – krzyknął Ryan, rozglądając się w boksterskiej pozie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, opadł przed nim na ziemię

trzeci osobnik, który najwyraźniej wspiął się wcześniej na pobliskie drzewo. Był to człowiek, ale niepodobny do zwyczajnych ludzi. Przerażała bijąca od niego moc, a także dłonie i stopy – nieproporcjonalnie duże, zakończone zakrzywionymi szponami. Miał długie skołtunione włosy, czarne jak smoła, i silnie owłosione, muskularne ciało. Pokrytej potem skóry nie osłaniało nic prócz warstwy brudu.

W przystojnej śniadej twarzy o ostrych męskich rysach błyszczały przenikliwie dumne żółte oczy. Londyńczyk poczuł, że już gdzieś je kiedyś widział.

Sięgnął po kuszę, ale obcy ostrzegł go dziwnym, symbolicznym gestem – pokazał mu dłoń z wyprostowanymi małym i wskazującym palcem. Nie wiedzieć czemu, zniechęcił on Veitcha do stawiania oporu.

— Kto to? – McKendrick nie spotkał chyba jeszcze żadnej z istot, które ostatnio pojawiły się w kraju. Tom pomógł mu się podnieść.

— Lupinarianie powrócili do puszczy – oznajmił nieznajomy warkliwym basem. Mówił z nierozpoznawalnym obcym akcentem.

Tom pokiwał głową ze zrozumieniem, widać, że znał tę nazwę. Ruszył do przodu, by powitać przywódcę watahy, ale został zatrzymany tym samym groźnym gestem co Veitch. Cofnąwszy się, hipis podniósł poddańczo obie ręce do góry. Skłonił się grzecznie.

— Nigdy nie natrafiłem na twych pobratymców w Dalekich Łądach.

Mężczyzna rzucił mu chłodne spojrzenie.

— Zatem nigdy nie zapuszczałeś się do lasów nocą.

— Tak było w istocie.

— Dalekie Łądy może kuszą swą mroczną atmosferą, ale to tu jest nasza ojczyzna. – Wilkołak zatoczył ręką łuk. – To nasz świat, w którym polowaliśmy od zarania.

Z mgły wyłaniali się stopniowo pozostali członkowie jego stada, zarówno mężczyźni, jak i kobiety: nadzy, smagli, przyczajeni. Poruszali się ostrożnie i zwinnie, ich oczy lśniły.

— Przed wiekami z wami dzieliliśmy te ziemie. Dziki leśny lud, tak nas nazywaliście. Czuliście przed nami respekt, wiedząc o naszej sile, a zimą byliście nam wdzięczni za podrzucaną na próg dziczyznę. Cóż, pomaganie innym istotom rozumnym leży w naszej naturze. – W tym ostatnim zdaniu pobrzmiwał jakiś wyrzut. – Nigdy na nas nie polowaliście, bo i my nie polowaliśmy na ludzi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że smak waszego mięsa podziałałby na nas jak narkotyk, a nie dążyliśmy do wojny między naszymi rasami. Jeśli jeden z nas łamał ten zakaz, sami go tropiliśmy i zabijaliśmy.

Inne wilkołaki krążyły bezustannie wkoło, to znikając we mgle, to wynurzając się kilka metrów dalej. Veitch miał ich na oku. Zwłaszcza po wzmiance o ludzkim mięsie nie czuł się zbyt pewnie.

Przez chwilę przywódca grupy przyglądał się im w milczeniu.

— Tymczasem, zeszłej nocy, to wy zaatakowaliście nas. – Wskazał zaschniętą plamę krwi na swojej piersi.

— Pożeraliście jego owce – obruszył się Veitch.

— Ale ludzkiego mięsa nie tknęliśmy – odparł wilkołak lodowatym tonem.

Tom zrobił krok do przodu, żeby odwrócić uwagę włochatego mężczyzny od swojego popędliwego towarzysza.

— Nie mieliśmy pojęcia o powrocie Lupinarian – powiedział ugodowo. – Zaklinamy się, że nie było naszym zamiarem was



urazić. Chcemy żyć z wami w pokoju, tak jak za dawnych czasów.  
Żółte oczy pozostały niewzruszone.

— Możemy zawrzeć pakt, ale najpierw odpłaciecie nam za wczorajsze.

Trójka wędrowców nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Obawiali się najgorszego.

— Tylko nie Anna – jęknął Jim. Chyba dopiero teraz sobie uświadomił, że stoi przed porywaczami swojej córki.

— Damy wam wszystkie jego owce – podsunął pospiesznie Tom. Przywódcę sfory nie zadowalała ta propozycja.

— Gdybyśmy wiedzieli, że są jego, zostawilibyśmy je w spokoju. Nie zależy nam na nich. W okolicy dość jest innej zwierzyny.

— Tylko nie Anna – powtórzył błagalnie McKendrick.  
Veitch nie wytrzymał.

— Jeśli ją zabiliście... – zaczął, ale zmroził go dziki wzrok wilkołaka. Londyńczyk bezwiednie zasłonił ręką gardło.

— Jesteś dla mnie nikim – syknął rozwścieczony drapieżca. – Dziś w nocy trzymałem twoją głowę w mojej paszczy.

— Mimo, że nie jadacie ludzkiego mięsa? – wtrącił Tom.

Z mgieł wyłoniła się kolejna postać – Anna. Z początku posuwała się niemrawo, niczym w transie, ale rozpoznawszy ojca, z miejsca rzuciła się mu na szyję. Łkali bezgłośnie, trzymając się w objęciach.

— Czego żądacie? – spytał Tom cicho. Mężczyzna spojrział na niego wyniośle.

— Każdego roku dziewczyna ma spędzać wśród nas jedną noc.  
McKendrick ze strachu otworzył szeroko oczy.

— Po co, na Boga?

— Będzie z nami polować.

— Polować? – Jim zakrył usta dłonią. – Moja mała dziewczynka? Yeitchowi przypomniał się dylemat Anny.

— A co, jeśli stąd wyjedzie?

— Jeśli złamie postanowienia paktu, gorzko tego pożałuje.

— Umowa stoi – powiedział Tom.

— Nie! – wybuchł McKendrick. – Nie zostawię mojej córki na pastwę tych stworzeń!

— Nie masz innego wyjścia. – Tom położył mu rękę na ramieniu. Jeśli chcesz ocalić jej życie, a i własne przy okazji, musisz przystać na ich warunki. Umowa stoi – powtórzył, przenosząc wzrok na wilkołaka.

Przywódca sfory skinął głową.

— Może dzięki temu nasze rasy będą mogły żyć z sobą w pokoju. Nie było już potrzeby zabierać głosu.

Veitch pociągnął za sobą McKendricka, modląc się w duchu, by ten nie próbował więcej protestować. Dziękował Bogu za to, że nie doszło do starcia – gdyby musieli z wilkami walczyć, wszyscy by już nie żyli.

Po kilku krokach zerknął za siebie, by upewnić się, czy nie są śledzeni. Lupinarianie, jeden po drugim, bezszelestnie znikali we mgle.



Wrócili do zagrody. Jim nie mógł otrząsnąć się z szoku, ale Anna przyjęła wyrok zaskakująco dobrze. Widząc, że Veitch przygląda się jej uważnie, nakazała mu dyskretnym gestem przejść do kuchni. Zamknęli za sobą drzwi.

— Tylko mi się nie rozpłacz. – Pogroziła mu palcem. – To nie

koniec świata.

— Skąd wiesz, co oni ci tam zrobią nocą w lesie.

— Pożyjemy, zobaczymy.

— Będzie ci teraz trudno wrócić na stałe do Glasgow.

— A kto mi zabroni przyjeżdżać tu tylko na tę jedną noc? – Oboje wiedzieli jednak, że dziewczyna nie zdecyduje się na wyjazd. – Dziękuję za pomoc – dodała. Gdy patrzył jej głęboko w oczy, wydawało mu się, że Anna czyta mu w myślach, rozumie wszystkie rozterki. Wspięła się na palce i pocałowała go namiętnie w usta. – Jak szkoda, że musisz iść.

— Muszę.

— Wiem. Ale i tak szkoda.

Uśmiechnęła się i wyszła z kuchni, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Przyglądał się, jak kuca przy siedzącym przed kominkiem ojcu, przytula go, szepcze mu od ucha słowa pociechy. Zerknął na Toma. Ich spojrzenia się spotkały. Hipis wskazał głową drzwi.

Pół godziny później byli już na szlaku.

— Czy człowiek zawsze się tak czuje? – spytał Veitch zniecierpliwiony, – tak?

— Jakby dźwigał jakiś cholernie wielki kamień. Szlag by to, staram się robić z moim życiem coś dobrego, a tu tyle trzeba się namęczyć, tylu wyborów dokonać...

O dziwo, swoim wyznaniem sprawił Tomowi miłą niespodziankę. Hipis poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Tak to właśnie wygląda. Nagrodę dostaje się później.

— Później, czyli kiedy?

Mężczyzna uśmiechnął się blado.

— Uzbrój się w cierpliwość.



Wędrowali bez przerwy aż do zmierzchu, a obóz rozbili w zacisznym wąwozie. Po drodze nie spotkali na górskich ścieżkach żywego ducha. Ludzkość mogłaby zostać zmieciona z powierzchni ziemi bez ich wiedzy.

Od rozstania się z Anną Veitch nie potrafił się uspokoić. Ni stąd ni zowąd, zaczął analizować zachowanie pozostałych członków drużyny. Dlaczego postępowali tak, a nie inaczej? Dlaczego mówili jedno, a wierzyli w drugie? Sam zawsze był prostolinijny, mówił to, co myślał, i w przeszłości ten sam szablon przykładał do innych, choć intuicja podpowiadała mu już wtedy, że jego postawa należy do wyjątków. Porzuciwszy rozmyślenia o kolegach, skupił się na Tomie. Przez resztę dnia studiował w sekrecie jego ruchy, miny i dobór słów i nim zasiedli do kolacji, doszedł do wniosku, że tak naprawdę nic o tym człowieku nie wie.

Pochłaniając podarowane im przez McKendricka wiktuały, poczuł, że nie może dłużej powstrzymać wzbierającej w nim fali pytań.

— Wczoraj napomknąłeś, że masz lepszy wzrok ode mnie. – Sędziwy Szkot przytaknął. – Co jeszcze masz inne niż zwykli ludzie?

Tom pogmerał patykiem w ognisku, wzniesając snop iskier.

— Znajdzie się to i owo.

— Na przykład?

— Słuch też mam lepszy. I węch. Z drugiej strony, smak zaniki mi już niemal zupełnie.

Veitch żuł przez chwilę skórkę od chleba.

— A gdyby rozciął cię chirurg, co by zobaczył? Tom nie odpowiedział. Wpatrywał się w ogień.

— Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, nie ma sprawy...

— Chyba nie jestem już tak do końca człowiekiem.

— Chyba? – Veitch przyjrzał się twarzy swojego towarzysza, zastanawiając się, dlaczego zawsze jest taka nieprzenikniona.

— Po prostu nie wiem. – Nie odrywał wzroku od płomieni. – Nie wiem, czy powinienem być tu, między ludźmi, czy w Zaświatach z całą resztą przeróżnych dziwadeł. Nie wiem, czy mogę ufać własnym uczuciom i czy w ogóle mam jeszcze jakieś uczucia, bo może tylko się okłamuję. Nie wiem wreszcie, co znalazłbym w swoim brzuchu, gdybym go rozplatał. Kto wie – słomę, diamenty, ryby? Ha! Może zwykłe organy, tylko umieszczone nie w tych miejscach, co trzeba?

Veitch uzmysłowił sobie nagle ogrom tragedii swojego kompana. Oto siedział przed nim ktoś, kto utracił wszystko – nie tylko zmarłych przed wiekami bliskich, ale i poczucie przynależności do własnej rasy. Nikt inny na świecie nie był równie samotny. Po tym wszystkim, co go dotknęło, nadal czuł, tęsknił, pragnął, starał się i troszczył, pomimo cierpienia.

— Według mnie jesteś zwyczajnym facetem, takim jak ja czy Church. – Tom zerknął na niego kątem oka. – I sądzę, że znajdziesz kiedyś to, czego szukasz.

Szkot odwrócił głowę. Znow patrzył na ogień.

— Dziękuję.

— Musi ci być ciężko – ciągnął Ryan. – Idziemy przecież do tej suki, która cię w to wszystko wpakowała.

Tom nie odezwał się, ale Veitch zauważył, że mężczyźnie zadygotał jakiś drobny mięsień w kąciku ust.

— Zarzuciłem ci kiedyś, że tylko udajesz bohatera. Chciałbym

cię za to przeprosić. Głupio się wtedy zachowałem.

Szkot dorzucił do ogniska kilka gałęzi. Rozległy się charakterystyczne trzaski.

— Czas spać – oświadczył lakonicznie.

— Czas spać. Ja pierwszy stanę na warcie, dobra? – Veitch przeciągnął się, nabierając w płuca nocnego powietrza. – Jak tam jest, na tym dworze pod Wzgórzem Cisów?

— Znajdziesz tam wszystko to, o czym kiedykolwiek marzyłeś. Tom odchodził już wolno w kierunku namiotu. – A także wszystko to, czego kiedykolwiek się bałeś.



Zaledwie pięć minut później od ścian wężowozu odbił się echem przeraźliwy krzyk. Ryana przeszedł zimny dreszcz. Miał nadzieję, że to tylko wiatr piata mu figle, ale stracił ją, zobaczywszy pobladłą twarz Toma, który, zaalarmowany, natychmiast wynurzył się z namiotu.

Gdzieś nieopodal lamentowała pogrążona w bezdennej rozpacz kobieci.

Veitchowi przyszło na myśl, że to może Anna, poderwał się więc, chcąc wyruszyć na poszukiwania. Tom przytrzymał go za rękaw.

— Siadaj. Nikogo tam nie znajdziesz.

— Skąd wiesz? – Dlaczego było mu wciąż tak zimno? I ta trzęsąca się lewa ręka...

— Caoineag się tylko słyszy.

Mimo to londyńczyk wyteżył wzrok. Zawodzenie niewidzialnej istoty wytraciło go z równowagi. Czuł się strasznie. Miał ochotę

wczołgać się do namiotu, by już nigdy z niego nie wypelznąć.

— Kim jest Caoineag?

— Jedną z sióstr Praczki u Brodu. – Tom mówił tak cicho, jakby nie miał już na nic sił. – To rodzaj zjawy.

— Ma tu niedaleko jakieś ruiny zamku, w których straszy?

Szkot pokręcił głową.

— Nie. Przybyła tu z naszego powodu.

— Naszego? – powtórzył zdębiały Veitch, choć wolał nie znać szczegółów.

— Tym, którzy słyszą lament Caoineag – odparł Tom – pisane jest wiele cierpienia... albo rychła śmierć.

# ROZDZIAŁ 16

## WĘDRUJĄC NOCĄ

W mgnieniu oka migoczący tysiącem światła horyzont zmienił się w ciemną pustynię. Shaviemu zaparło dech w piersiach. Serce biło mu jak oszalałe. Świadkiem nocnej awarii elektrowni był już kilkakrotnie, ale znikające miasta wciąż robiły na nim ogromne wrażenie.

Znajdował się w pobliżu Ashbourne, u podnóża Gór Pennińskich. Do tej pory nigdy nie wędrował nocą, zwłaszcza na odludziu, zależało mu jednak na szybkim powrocie do cywilizacji. Dalej, aż po Windsor na przedmieściach Londynu, ciągnęły się już setkami kilometrów tereny gęsto zaludnione. Szaman miał świadomość, że wiele ryzykuje. Fomorianie nie dawali znaku życia, ale z pewnością wciąż szukali swojego przywódcy.

Czas uciekał, do Lughnasadh pozostało marne jedenaście dni. Trudno było uwierzyć, że w niespełna dwa tygodnie zdołają zapobiec katastrofie. A tak niedawno świętowali swoje zwycięstwo w Edynburgu! Cieszyli się z uwolnienia Ruth, nie wiedząc jeszcze, co jej grozi. Biedna Ruth. Co też musiało dziać się w jej głowie! Myślał o niej często, ale to nie tragedia przyjaciółki spędzała Shaviemu sen z powiek. Bo nie spał dobrze, dręczyły go coraz intensywniejsze koszmary, jako najwrażliwszy z drużyny, wszystkimi zmysłami wyczuwał już nadejście Balora.



Gdzie nie spojrzeć, bóg śmierci szykował się do przejścia rzeczywistości: pod drzewami zalegały cienie, wiatr niósł z sobą jesienny chłód, podczas pochmurnych nocy gęstniał nienaturalnie mrok.

I dziś, chociaż niebo pełne było gwiazd, napęczniały księżyc krył się uparcie za gromadą ciemnych obłoków, pozostawiając wędrowca bez szans na dostrzeżenie tego, kto od pewnego czasu szedł za nim krok w krok. Co kilka godzin uszu Shaviego dochodził kolejny podejrzany odgłos – to z tyłu, to z boku, zawsze z pewnej odległości. Szaman wmawiał sobie wprawdzie, że to początki paranoi, intuicja podpowiadała mu jednak coś innego. Czyż Duch Pendragona nie wyostrzył im wszystkim słuchu?

Pocieszało go to, że nawet, jeśli naprawdę był śledzony, jego prześladowca nie zamierzał go zabić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Zbyt wiele zmarnował już po temu okazji – pogrążony we śnie mężczyzna był przecież zupełnie bezbronny.

Gdzieś w mroku trzasnęła złamana pod stopą gałązką. Shavi wzdrygnął się. Nie pozostawało nic innego, jak ruszyć w dalszą drogę. Już przed awarią zauważył płonące w oddali potężne ognisko. Zerknąwszy raz za siebie, udał się w jego kierunku.



Na granicy pól i zagajnika rozsiadło się przy ogniu niemal czterdzieści osób. Gwar rozmów zagłuszał trzask płomieni. Granicę obozowiska wyznaczał krąg dziwacznych pojazdów – podniszczonych, poprzerabianych chałupniczo, wyładowanych wszelakim dobrem – od ciężarówki meblowej pomalowanej w fluorescencyjne esy-floresy po czarny miejski autobus rodem z

lat pięćdziesiątych. Shavi zorientował się, że ma do czynienia z *travellersami* [travelers; *charakterystyczna dla Wysp Brytyjskich odmiana włóczęgów, prowadzących hipisowsko–cygański tryb życia*]. Nie brakowało tu przedstawicieli żadnej grupy wiekowej: na skraju światła i cienia baraszkowały dzieci, kilkoro berbeci drzemało na podółkach rodziców, a paru członków wspólnoty przekroczyło sześćdziesiątkę. Królowały wytarte bojówki, skóra i dżins, wymyślne piercingi i wielobarwne tatuaże, włosy długie lub bardzo krótkie, fantazyjnie postawione na żel. W powietrzu czuć było haszyszowy dym.

Gdy w kręgu światła pojawił się Shavi, zapadła głucha cisza. Szaman rozejrzał się niepewnie, spodziewając się, że może zostać bezpardonowo przepędzony, nic takiego jednak nie nastąpiło. Widząc, że nikogo nie zirytowało jego najście, zaczął szukać wzrokiem potencjalnego lidera grupy.

Przysadzisty brodacz przywołał go leniwym machnięciem ręki, która swoją grubością dorównywała udu przybysza. Włochatą pierś siedzącego przesłaniała kamizelka z dżinsowej kurtki z odciętymi rękawami, a na wytatuowanym bicepsie prężył się złoty łańcuch dobrany do lśniącego wśród czarnych loków cygańskiego kolczyka. Mężczyzna uśmiechał się szeroko, strasząc ukruszoną jedynką.

— Witamy ostatniego odważnego człowieka w Anglii! – Miał ciepły, głęboki głos udomowionego niedźwiedzia. – Podejdź bliżej, opowiesz nam, jak to jest łązić samemu po nocy.

— Tak właściwie to nie planowałem być na nogach o tak późnej porze... – odezwał się Shavi, kucając naprzeciwko.

— Ileśmy to już razy słyszeli tę gadkę, co nie, chłopaki? – Brodacz ryknął tubalnym śmiechem. Zawtórowali mu jego kompani, ale serdecznie, bez cienia niezyczliwości. – Klapnij

sobie. – Wskazał na ubity skrawek ziemi u swojego boku. – Chyba nie spieszno ci wracać na szlak.

Szaman z chęcią przyjął zaproszenie. Natychmiast podjęto przerwana rozmowę, jakby był starym znajomym, zajmującym swoje stałe miejsce. Ani się obejrzał, a wciśnięto mu w dłoń kubek grzanego cydru.

Po chwili ktoś włączył staromodny przenośny magnetofon z wielkimi wbudowanymi głośnikami. Puszczana muzyka zmieniała się bez ładu i składu: upbeat przechodził w ambient, jungle w folk. Shavi chłonał panującą w kręgu rozluźnioną atmosferę. Noc, rytm, ognisko, szmer rozmów, dzieci – było w tym coś ponadczasowego.



Brodacz przedstawił się jako Breaker Gibson. Członkiem wędrownej komuny był od sześciu lat. Powstała na początku lat dziewięćdziesiątych i przetrwała do tej pory, choć jej skład ustawicznie się zmieniał. Na kolejnych postojach zyskiwali nowych członków, starzy zaś wykruszali się, nieraz odchodząc bez słowa wyjaśnienia. Podróżowali po całym kraju, zaliczając przeróżne alternatywne imprezy plenerowe: od rockowych festiwali w Glastonbury i Reading po nieformalne zjazdy twórców kontrkulturowych w Kornwalii i Somerset. Beltane świętowali w Szkocji, przesilenie letnie w Stonehenge. W równym stopniu powielali model życia średniowiecznych najmitów, co Cyganów, hipisów czy współczesnych sekt New Age. Stanowili osobną społeczność, miniaturową namiastkę narodu z własnym kodeksem obyczajowym, zwyczajami i tradycjami. Co

ciekawsze wydarzenia z historii komuny opowiadano sobie niemal co wieczór przy ognisku – ubarwiane, powoli przechodziły do legendy.

Breaker nie chciał zdradzić, gdzie się wychował ani czym zajmował się wcześniej. Shavi domyślił się, że brodacz ma za sobą bolesne doświadczenia i przeszłość usiłuje zostawić za sobą. Wieczna tułaczka sprawdziła się chyba w jego przypadku jako lekarstwo, bo lata spędzone w drodze relacjonował z wypiekami na twarzy. Sypał jak z worka anegdotami o przeróżnych na wpół legalnych eskapadach, konfabulując ze swadą, jak na rasowego gawędziarza przystało.

Po godzinie szaman darzył go już wielką sympatią. Sam bez oporów wyznał prawdę o perypetiach drużyny, nie wspomniał jednak, dokąd zmierza i w jakim celu, uznając swoją misję za zbyt ważną, by przekazywać tyżące jej szczegóły przygodnie poznanym osobom.

Kiedy skończył snuć swoją opowieść, jego nowy znajomy spojrzął w ogień.

— Tak, tak – westchnął. – Przekonaliśmy się już na własnej skórze, jak to wygląda. Parę tygodni temu, na przykład, koło Bromsgrove zabraliśmy autostopowicza. Facet od stóp do głów był ubrany na zielono. Nie żebym coś miał do niego, to wolny kraj – wtrącił. – Mniejsza o jego ciuchy. Dojeżdżamy ci do miejsca, w którym obiecaliśmy go wysadzić, rozglądamy się po autobusie, a delikwenta wywiało! Nikt mi nie powie, że wyskoczył po kryjomu przez zamknięte okno. To jeszcze nie wszystko! Po jego zniknięciu odkryliśmy, że monety jednofuntowe w naszych portfelach zamieniły się w czekoladki, takie pieniążki w sreberkach! Ech, dzieciarnia miała radochę... – Nagle spochmurniał. Możemy mówić o szczęściu. Po zmierzchu

wyść teraz samemu na pole... – Shavi dobrze wiedział, co brodacz ma na myśli. – Mimo to Breaker wznosił swój kubek w toście – pięknie jest żyć.



Gdy tak rozmawiali, popijając cydr, podeszły dwie kobiety z jakąś sprawą do Breakera. Najwyraźniej cieszył się w komunie dużym poważaniem. Pierwsza z nich, Meg, blondynka przed trzydziestką obcięta na pazia, na pierwszy rzut oka bardzo bystra, a zarazem sympatyczna i wylewna, ubrana była w zrobiony na drutach grubo tkany sweter i sięgającą kostek cygańską spódnicę. Starsza od niej o jakieś dziesięć lat Carolina, fanka gotyckiego rocka, odrzucała nieco oczami jadowitej żmii, niemniej serdecznie się do Shaviego uśmiechała.

Przedstawiwszy się, Meg przeszła do rzeczy: – Mikey odmawia wzięcia najpóźniejszej warty – poinformowała, zerkając na trzymaną w ręku listę imion.

— Ten palant twierdzi, że uwzięliśmy się na niego z tymi wartami – dodała podenerwowana Carolina.

— Ale sprawdziłam w grafiku i rozdział był sprawiedliwy.

Spoważniały Breaker upił w zamyśleniu łyk cydru.

— Wezmę faceta na stronę. Jak ulegniemy jednemu, inni mogą pójść w jego ślady i wszystko szlag trafi. – Zwrócił się do Shaviego.

— Po pewnym wyjątkowo paskudnym incydencie musieliśmy ponad miesiąc temu wprowadzić całonocne warty.

— Co się stało? – spytał szaman, czując na sobie ciekawskie spojrzenia Meg i Caroliny.

— Któregoś ranka obudziło mnie straszne zamieszanie. Widzisz ją? – wskazał głową wychudłą, bladą kobietę z wytrzeszczem oczu sugerującym problemy z tarczycą. – To Penny. Szalała z rozpaczy i trudno jej się dziwić. Zamiast swojego maleńkiego synka Jacka znalazła w łóżeczku kukielkę z gałązek przewiązanych źdźbłami zboża.

— Po pogodnej twarzy brodacza znowu przemknął cień. – Rzecz jasna powiadomiliśmy gliny, przyjechali, popatrzyli. Zawsze traktują nas tak, jakbyśmy sami ponosili część winy za to, co nam się złego przydarza. Przeszliśmy przez cały ten ich biurokratyczny młyn, ale wszystko to była tylko taka gra pozorów. Każdy wiedział swoje. No i stąd te warty. Chyba zdają egzamin, bo nic się od tamtej pory nam nie przytrafiło. Tyle że niektórym naszym... mniej zaangażowanym... kolegom nie podoba się to, że nie mogą się czasem wyspać. Breakera musiała bardzo drażnić taka postawa, jednak starał się nie dać tego po sobie poznać.

— A ty, czemu włączysz się sam po nocy? – spytała Shaviego bezceremonialnie Carolina.

— Moja przyjaciółka jest ciężko chora. Szukam sposobu na to, żeby jej pomóc.

— Lekarstwa? – chciała wiedzieć Meg.

— Czegoś w tym rodzaju.

— Dokąd idziesz? Może możemy cię podwieźć? – Carolina zerknęła pytająco na Breakera, a ten jej przytaknął.

Szaman zawahał się, ale postanowił się przyznać.

— Na południe. Do Windsoru.

Breaker zamyślił się, skubiąc sobie brodę.

— Możemy pojechać i tam.

— Czemu nie, już dawno nie byliśmy pod Londynem. –

Carolina mrugnęła porozumiewawczo do Shaviego. – Zwykle trzymamy się z dala od willi z basenami. Tak się tam boją włamań, że przeganiają nas widłami.

Kobiety odeszły, przywołane przez utytłanego w błocie nastolatka przypominającego piktyjskiego wojownika. Kiedy były już na tyle daleko, że nie mogły nic podsłuchać, Breaker wyznał: – Te dwie to nasze nieformalne szefowe. Nie mówię im tego, żeby nie poprzewracało im się w głowach, ale bez nich byśmy sobie nie poradzi. To co, dołączasz się do nas?

— To dla mnie zaszczyt.

— Świetnie. Zaraz przydzielimy ci warty!



Shavi już dawno nie spał tak smacznie. Wstał stosunkowo późno, obóz tętnił już życiem. W dziennym świetle łatwiej było przyjrzeć się kręcącym się wokół ludziom i ich dziwacznym wehikułom, które sprawiały wrażenie niezdolnych do pokonania kilku a co dopiero tysięcy kilometrów. Na śniadanie zjadł jajka w koszulce na toście i po raz pierwszy od pobytu w Zielonym Jasiu napił się herbaty. Towarzyszyła mu głodna wieści z kraju Meg. Miło im się gawędziło. Szaman polubił ją nie tylko za błyskotliwy intelekt.

Kiedy zaczęto się zbierać do wyjazdu, Breaker zaprosił Shaviego do swojego autokaru. Pochodzący z lat sześćdziesiątych pojazd pomalowano na biało i czerwono, co upodobniło go do furgonetki lodziarza. Tył wozu, służący chyba za magazyn dla całej komuny, zavalony był prawie po sufit sprzętem turystycznym i nagłaśniającym.

— No to w drogę! – rzucił wesoło brodacz, przekręcając kluczyk w stacyjce. Po chwili jechali już w konwoju za czarnym autobusem.



Szosa świeciła pustkami. Żadne ciężarówki czy jeepy nie przesłaniały widoku na rozrośnięte drzewa i nieprzycinane od dawna żywopłoty.

— Zdarzyło wam się, że silniki zgasły bez powodu? – spytał Shavi.

— Wielokrotnie, i wyobraź sobie, że niektórych z naszych to zjawisko nawet cieszy! Przekłęci luddyści [*grupy robotników angielskich niszczące odbierające im pracę maszyny na początku XIX wieku*]! – zaklął wesoło. – Po co używają samochodów, skoro mają je za diabelskie wynalazki?

— Zastanawialiście się, jak sobie poradzicie, jeśli wszystko na dobre odmówi posłuszeństwa?

— Nie jest tak źle, są przecież jeszcze konie. Pomagały naszym przodkom, pomogą i nam. Marzy mi się taki stary wóz cygański z żółtą plandeką... Ha, ha! Też mi pan Ropuch [*bohater dziecięcego klasyka O czym szumią wierzby Kennetha Grahame'a, miłośnik samochodów*]! Tru tu tu tu! Tru tu tu tu! – Breaker naśladował przez chwilę staromodny klakson, po czym wybuchł tak konwulsyjnym śmiechem, że po policzkach pociekły mu łzy. Trzęsąc się, oparł czoło o kierownicę, żeby się uspokoić, przez co autobus odbił niebezpiecznie w stronę zarośniętego pobocza. Zaniepokojony Shavi chciał już przejąć stery, kiedy brodacz wyprostował się i szybko poprawił kurs.



Uwagę szamana przykuła wisząca na lusterku wstecznym miniaturka bogato zdobionego celtyckiego krzyża.

— To twój amulet chroniący przed wypadkami?

— Tak – odparł Breaker – ale nie wyciągaj z tego faktu pochopnych wniosków. To stary symbol, Kościół tylko go sobie przywłaszczył, a ja osobiście nie jestem fanem chrześcijaństwa. Jego wyznawcy za bardzo rozpychają się łokciami. Nietolerancja, hipokryzja... Znasz te klimaty. Na papierze, owszem, wygląda to sympatycznie – szanuj swego bliźniego i tym podobne – gorzej z praktyką, z właściwym interpretowaniem słów Biblii. Nie powiem, mamy tu w komunie kilku chrześcijan, ale z tego sortu, co to nie interesuje się tym, jak kto się ubrał na mszę – rozumiesz, o co mi chodzi. Poza tym są wśród nas wyznawcy Odyna i czarnej magii, inni poganie, paru buddystów. W przypadku kilku osób wiem tylko, że w coś tam wierzą, a pewnie sami nie znają oficjalnej nazwy swojej religii.

— W dzisiejszych czasach wiara nabiera wagi. I naprawdę czyni cuda.

— A ty, w co wierzysz?

Shavi podrapał się po brodzie.

— We wszystko.

Breaker zaśmiał się głośno.

— Dobra odpowiedź! Moim zdaniem najbardziej trzeba uważać na tych, co nie wierzą w nic. Pełno ich dookoła. Naukowcy myślą, że wiedzą, jak działa wszechświat, bo zbadali mechanizm zderzania się jakichś molekuł. Biznesmeni oszukują, ile wlezie, bo nie wierzą, że będą się za to smażyć w piekle lub męczyć w przyszłym wcieleniu. Developerzy zastępują łąki rządkiem identycznych bloków... Dla zbyt wielu ludzi liczą się tylko pieniądze. – Mężczyzna zerknął z nadzieją na swojego

pasażera. – Teraz, w nowym świecie, nie będzie im łatwo z takim światopoglądem.

— Miejmy nadzieję – zażartował Shavi.

Obaj wybuchnęli śmiechem.



Karawana fantazyjnych wehikułów przemieszczała się niespiesznie, trzymając się bocznych dróg i często klucząc. Jak wytłumaczył Shaviemu Breaker, taktyka ta miała na celu unikanie za wszelką cenę kontaktu z policją. Nieopodal Nuneaton minął ich konwój zmierzający w przeciwnym kierunku, nie byli to jednak travellersi, ale wojsko. Na widocznych zza zakurzonych szyb twarzach żołnierzy malowały się strach, stres i zmęczenie.

— Ostatnio w kółko dzieją się różne złe rzeczy – zauważył Shavi.

— I wszystkie mają pewnie ze sobą coś wspólnego, ale tego to już nam nikt nie powie. Najpierw wprowadzają tacy stan wojenny, a potem brakuje im ludzi, którzy by dopilnowali, żeby obywatele przestrzegali nowych reguł, bo, jak wieść niesie, armia prowadzi regularną wojnę z jakimś bliżej nieokreślonym przeciwnikiem. Słyszałeś coś może więcej na ten temat?

— Tylko widziałem to i owo, więc nie znam ogólnej sytuacji, ale wszędzie, gdzie się zetknąłem z władzami, popełniały kardynalne błędy. Podchodzą do tego problemu tak, jakby od zimy nic się nie zmieniło.

— Nie mają szans, prawda? – Breaker popadł na moment w zadumę. – Zawsze pragnęliśmy upadku establishmentu. Ciekaw

jestem, jak bez niego będzie się nam żyło.

Za następnym zakrętem natrafili na blokadę policyjną.



Wszystkich poproszono o opuszczenie pojazdów. Shavi obawiał się aresztowania, ale go nie rozpoznano. Nieplanowany postój potrwał pół godziny. Musieli czekać na poboczu, aż wnętrza ich pojazdów zostaną gruntownie przeszukane. Lata doświadczenia nauczyły członków komuny dobrze chować narkotyki, więc funkcjonariuszom nie udało się znaleźć nic podejrzanego. Mimo to nie ukrywali żywionej wobec gromady włóczęgów pogardy. Celowo narobili okropnego bałaganu, nie obyło się też bez wyzwisk i prowokowanych przepychanek. Travellersi zachowywali spokój, zdając sobie sprawę, że stawianiem oporu tylko by policjantów rozsierdzili. Zakończywszy ten żalosny pokaz siły, nakazano karawanie zawrócić bez żadnej wyraźnej przyczyny. Pozostałe samochody przepuszczano nawet bez rewizji.

— Jak podczas strajku górników w latach siedemdziesiątych mruknął wściekły Breaker, gdy odjeżdżali na północ. – I to ma być niby wolny kraj!



Blokadę dało się na szczęście okrążyć wiejskimi drogami. Późnym popołudniem dotarli w okolice Stratfordu i rozbili obóz

na odludziu na wschód od miasta, w miejscu z czterech stron otoczonym lasem, by ich pojazdów nikt nie mógł dostrzec z daleka.

— To tak na wszelki wypadek – wyjaśnił Shaviemu brodac – bo miejscowi nie przeganiają nas już po nocach z pochodniami. Boją się wychynąć z domów po ciemku. I dobrze. Dla nas to jedna z zalet tych ostatnich przemian.

Kiedy wszyscy zaparkowali, przyszedł czas na podział obowiązków. Trzech mężczyzn oddelegowano do kopania latryny. Spora grupa poszła nazbierać chrust – obowiązywał zakaz kaleczenia żywych drzew. Z wyniesionych z autobusu Breakera sprzętów odtworzono kuchnię polową, w której zaczęto przygotowywać wielki gar wegetariańskiego chilli. Wkrótce po obozowisku rozpełzły się smakowite wonie, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Po posiłku Shavi usiadł przy ognisku ze swoimi nowymi znajomymi. Od wczorajszego wieczoru nie potrafił zapomnieć o maleńkim Jacku. Dręczyło go to, że tak łatwo pogodzone się z tą tragedią.

— A co moglibyśmy zrobić? – spytała Carolina ponurym tonem.

Meg przyznała jej rację.

— Widzieliśmy z daleka na polach różne dziwne stwory. Nieraz nawet krążą wokół obozu. Nie wydają się być nastawione do nas przyjaźnie. I co, mamy może iść spytać się ich, czy to one porwały dziecko? Nie jesteśmy głupi.

— Wiem, że nie – powiedział Shavi – i wiem także, że nie tędy droga. Mam inną propozycję. Jesteście ludźmi o szerokich horyzontach, nie boicie się słowa magia, zatem nie zdziwi was zapewne informacja, że posiadam zdolności, które mogą wam się

przydać. – Opowiedział im pokrótce o tym, jak je w sobie odkrywał, a następnie rozwijał. Tak jak się spodziewał, nie wyśmiali go, tylko wysłuchali z uwagą. Jak mało która społeczność w kraju byli gotowi na przyjęcie nowego ładu.

— Więc co sugerujesz? Przeprowadzanie jakiegoś szamańskiego rytuału?

— Zgadza się. Tam, po drugiej stronie, wiedzą wszystko. Być może, nawiązując kontakt z tym, co niewidzialne, dowiecie się, jak uratować chłopca.

— A ty nam w tym pomożesz? – Carolina przyjrzała mu się sceptycznie.

— Daj mu szansę, kobieto! – skarcił ją Breaker. – To prawda. Wstyd przyznać, ale nie kiwnęliśmy palcem, żeby odzyskać małego. Skoro nadarza się okazja, nie zaszkodzi spróbować.

— Jestem za – oświadczyła Meg. – Możemy zorganizować ten obrzęd choćby dzisiaj. Potrzebujesz czegoś specjalnego, Shavi?

— Zacisznego miejsca, kilku odpowiednio nastawionych osób, które skupią na sobie energię, i trochę grzybków albo haszyszu dla poszerzenia świadomości. Jeśli nie macie nic halucynogennego, od biedy starczy alkohol.

Kompani szamana spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.

— Załatwione – powiedziała rozbawiona Carolina.



Usłyszawszy od Meg o planach Shaviego, Penny wybuchła spazmatycznym płaczem. Odpychając stojących jej na drodze ludzi, podbiegła do szamana i uczepliła się kurczowo jego koszuli.

— Błagam, pomóż mi odnaleźć Jacka – wyłkała, wpatrując się

w niego dzikimi oczami.

Meg otuliła nieszczęsną ramieniem i odprowadziła na bok, by uspokoić kubkiem gorącej herbaty.

Na barki Breakera spadło wyszukanie chętnych do wzięcia udziału w rytuale. W rezultacie do ich czwórki dołączyły kolejne cztery osoby: rudzielec o szurzej twarzy, jego tęga, wiecznie uśmiechnięta partnerka, starsza kobieta z śnieżnobiałymi włosami związanymi w koński ogon oraz ów ubłocony osiemnastolatek, na którego, jak się okazało, wołano Spink.

Razem znaleźli w lesie odpowiednią polanę – obozu nie było stąd ani widać, ani słyszeć. Brodacz zawahał się, czy mogą przebywać tak daleko od ogniska, ale Shavi pocieszył go, że moc rytuału odstraszy wszelkich intruzów równie dobrze.

Wieczór był ciepły, wiał delikatny wietrzyk. Usiedli w kręgu, rozkoszując się zapachem liści i wsłuchując w ich kojący szum. Na szczęście nabrzmiałej tarczy księżycy wyjątkowo nie przesłaniały chmury. Srebrne światło przedzierało się wśród gałęzi ku ściółce, tworząc na leśnym poszyciu zachwycające ornamenty cieni – idealne tło dla tego, co miało się tu zaraz wydarzyć.

Breaker puścił w obieg woreczek z grzybkami i blok haszyszu, które rozdzielili między sobą po równo. Narkotyki zaczęły działać już po kilku minutach. Shavi uprzedził wcześniej towarzyszy, że zaintonuje mantrę. Wyczuwał instynktownie, że wywoływane przez specyficzne dźwięki wibracje wraz z chemicznymi stymulatorami uaktywnią nieużywane na co dzień obszary mózgu. Coś mówiło mu, że tak samo postępowano przed wiekami przy świętych kromiechach, menhirach i dolmenach.

Nucili chórem. Mantra niosła się wśród drzew, aż wreszcie przeobraziła się w coś namacalnego, żywą istotę w umyśle

szamana. Shavi pozwolił podmuchom wiatru pieścić swoją twarz. Zamknął oczy. Krew w nim śpiewała, zapadał się w błogostanie. Czuł, że jego ciało zapuszcza w glebie korzenie, że z wolna stapia się z przyrodą w jedno.

Następny krok był najtrudniejszy. Kontrolując węza morskiego, Shavi nieomal się zatracił – odtąd w zakamarkach jego serca krył się wielki niepokój. Mężczyzna musiał dać z siebie wszystko, aby nie pozwolić środkom odurzającym na dotarcie do tego uczucia i jego nadmierne wzmocnienie. Oddychając równomiernie, ujeżdżał ze znanstwem fale świadomości, po czym dał susa w jej niezbadane odmęty. Przez długi czas spadał w niekończącej się studni. Paradoksalnie, podróż w głąb siebie zawiiodła go poza ciało. Nagle unosił się w powietrzu, choć w dole wciąż powtarzał z innymi mantrę. Był to dziwny widok – barwy nie przystawały do ilości światła, te zaś bezustannie się przemieszczało, pulsowało. Wisiał tak ledwie sekundę, bo już po chwili zmieniał wcielenia w szaleńczym tempie. Za każdym razem z siłą piorunu przeszywał go zimny dreszcz. Wpierw trafił w zarośla, skąd patrzył na świat prawie z poziomu ziemi. Zmarszczył wilgotny nosek. Co to za śpiewy? Kicnął raz, drugi. Błysnęło i stał się kołującą nad polaną sową o oszałamiająco wyostrzonym wzroku. Dostrzegłszy królika, którym dopiero co był, poczuł przypływ drapieżnej żądz. Natychmiast płynnym ruchem obniżył lot... i już jako borsuk niuchał nieopodal korzonki, jako lis kręcił się wokół obozu próbując coś zwędzić, jako ćma obijał się o podświetloną szybę autobusu...

W końcu trafił znienacka z powrotem we własne ciało, ale odmienione, obdarzone nowymi, lepszymi zmysłami. Widział, słyszał i czuł teraz o niebo więcej. Był to znak, że otwiera się przed nim równoległy niewidzialny świat.

— Przybywajcie – powiedział głośno.

Jedna czy dwie osoby, zaskoczone, przestały na chwilę nucić, ale Breaker przywołał je zaraz do porządku karcącym spojrzeniem.

W powietrzu nad środkiem polany pojawiło się coś na kształt pęknięcia, z którego zaczął wylewać się powoli jakby płynny metal. Zapachniało rozgrzanym żelazem. Siedzący w kręgu drgnęli nerwowo, ufali jednak szamanowi na tyle, by się nie rozbiegać. Z kipiącej nieznaną substancją szpary wyłoniły się białawe galaretowate dłonie, barwą i fakturą przypominające ciało głębinowej ryby. Zacisnęły się na krawędzi otworu. Za nimi ukazał się czubek łysej głowy, łokcie, przedramiona. Coś wypełzało z głębi nicości niczym z wnętrza dziupli. Shavi domyślał się, że to jeden z mglistych człekokształtnych tworów, przy których pomocy nadprzyrodzone moce komunikowały się często z śmiertelnikami. Istota wynurzyła się tylko do polowy. Zamiast oczu, nosa i ust, miała płytkie wgłębienia.

— Kto przyzywa?

— Ja wołam. – Szaman wolał się nie przedstawiać. – Pragnę się dowiedzieć, gdzie przebywa pewne ludzkie dziecko.

— To, że wiedza ma swoją cenę, jest ci, jak wnoszę, wiadome?

W odpowiedzi Shavi naciął swój kciuk zabranym z obozu nożem.

Na trawę skapnęło kilka kropel krwi.

— Smaczny kąsek – skwitowała jego czyn zjawa. – Jak się miewa Lee? Mężczyzna wzdrygnął się, słysząc imię swojego zmarłego chłopaka.

— Tylko bez gierki. Chodzi o niemowlę wykradzione mojej komunie parę tygodni temu. W miejsce Jacka podrzucono kukielkę z gałązek.



Głowa istoty rozkołysała się jak u niewidomego murzyńskiego pianisty.

— Dziecko przebywa w Zaświatach.

— Żywe? Nic mu się nie stało?

— Tak jak się można tego było spodziewać.

— Kto je porwał?

— Tuatha Dé Danann cieszy towarzystwo śmiertelników. – W głosie zjawy pobrzmiwała nutka ironii. – Udają przed światem, że sprowadzają ich sobie, bo lubią zabawiać się swoimi pupilami. Ha! Istotnie, zabawiają się nimi, lecz to nie prawdziwy powód!

Shavi nie miał pewności, czy to odpowiedź na jego pytanie, czy też jego rozmówca celowo zbacza z tematu.

— A jaki jest prawdziwy powód? – spytał, obawiając się, że połknął haczyk.

— Zbyt nisko stoję w hierarchii, by rozwodzić się o zagadnieniu tak wielkiej wagi. – Szamanowi przemknęło przez głowę, że w takim razie rozwiązanie tej zagadki może być cenne dla misji drużyny. – Powinieneś się raczej starać dowiedzieć ode mnie – ciągnęło widmo – czy istnieje szansa, by malec wrócił do matki.

— A istnieje?

— Nie.

— Nie ma żadnej nadziei?

— Cóż, możesz zmusić Złoty Lud do postępowania wedle twojej woli. Albo dostarczyć w zamian coś, czego potrzebuje.

Shaviego zaskoczył ton głosu zjawy. Sarkazm znikł, wydawała się udzielać mu porady. Tylko do czego piła?

— Gdzie dokładnie przebywa Jack?

— Na Dworze Ostatecznego Słowa.

Tam, gdzie Church, Tom, Ruth i Max spotkali się z Dian

Cechtem. Gdzie plemię Danu dokonywało na ludziach eksperymentów.

— Pięknie dziękuję za pomoc – pożegnał widmo Shavi. – Obyś wrócił bezpiecznie na drugi brzeg.

— Jeszcze tylko jedna rzecz – powiedziała z powagą zjawa. – Pamiętaj, gdy rozpoczniesz się wycie, odwróć się prędko, bo inaczej świat czeka zagłada.

Zanim szaman zdążył poprosić o wyjaśnienie tych enigmatycznych słów, mglista istota zsunęła się w głąb szczeliny, a ta błyskawicznie się za nią zasklepiła. Shavi miał już zacząć analizować to dziwne ostrzeżenie, ale z zamyślenia wyrwał go krzyk Caroliny. Szybko podążył wzrokiem za jej przerażonym spojrzeniem.

Potężny dąb, pod którym do tej pory siedziała spokojnie Meg, wciągał ją właśnie łapczywie do swojego wnętrza – zapadała się w jego odmienionym pniu niczym w ruchomych piaskach. Kobieta wiła się rozpaczliwie, ale nie mogła krzyczeć, bo jej usta zakrywała szorstka drewniana dłoń.

Breaker schwycił koleżankę za widoczną jeszcze prawą rękę, zaparł się, pociągnął z całej siły. Bez powodzenia. Przyłączyli się do niego pozostali, jednak drzewo nie dawało za wygraną. Lada chwila głowa Meg mogła zniknąć pod korą.

Nagle Shaviego olśniło.

— Czekaście! – krzyknął.

Przepchnął się pod dąb i przytknął dłoń do chropowatego pnia. Pod palcami poczuł oleistą substancję. Gdyby nie miał się na baczności, zassałoby i jego.

Członkowie komuny rozstąpili się, czekając na to, co zdoła.

— Spokojnie, Dębowy Człowieku. Nie chcemy zrobić ci krzywdy. Przyzywaliśmy tylko zjawy, aby zdobyć potrzebne nam

informacje.

Przez moment musiał jeszcze walczyć z próbującym wchłonąć jego dłoń drzewem, ale później ssanie osłabło, kora zafalowała i z pnia wyłoniła się twarz o orlim nosie i krzaczastych brwiach.

— Słyszeliśmy o tobie, Bracie Smoków – padło z kanciastych ust. Zabrzmiało to jak zamieniony w słowa odgłos rozszczepianego drewna.

Towarzysze Shaviego krzyknęli ze zdumienia.

— A ja słyszałem o was – odrzekł grzecznie szaman – choć dotąd z żadnym z twych pobratymców nie rozmawiałem.

— Rzadko zabieramy głos w obecności ludzi. Nie darzą nas zbyt szacunkiem. – Dąb westchnął ciężko. – Ale ty jesteś inny. Wiemy, że należysz do przyjaciół Zieleni. Czy ręczysz za swoich kompanów?

— Tak.

Na polanie zapadła cisza, a potem Meg została przez drzewo delikatnie wypluta. Wyczerpana szarpaniną, dysząc, upadła na trawę. Breaker i Carolina pomogli jej się podnieść. Na pierwszy rzut oka nie odniosła żadnych obrażeń, ale Shavi wolał się upewnić.

— Nic ci nie jest? – spytał z troską.

Pokręciła przecząco głową, nadal nieco oszołomiona. Oczy miała pełne łez.

Szaman odetchnął z ulgą. Już podczas swoich wcześniejszych prób wyczuwał obecność Dębowych Ludzi, a także innych ściśle związanych z przyrodą istot, ale jeszcze nigdy nie stanął z żadną z nich twarzą w twarz. Cieszył się, że zdołał zażegnać konflikt, kierując się jedynie intuicją.

— Niebezpiecznie jest radzić się kogoś z niewidzialnego świata pouczył go życzliwie dąb.

— Staram się zawsze zachowywać należyłą ostrożność. Powiedz mi, jak się wam teraz wiedzie?

— Doskonale. Mamy dość sił, by pokonać każdego, kto wystąpiłby przeciwko nam. Na północy i na zachodzie kraju już poląła się krew, ale ludzie nauczyli się nie zapuszczać po zmroku tam, gdzie leżą nasi powaleni ziomkowie.

Zabrzmiało to na tyle groźnie, że towarzysze Shaviego cofnęli się o kilka kroków, ale szaman postanowił jak najdłużej podtrzymywać rozmowę, wietrząc okazję do zyskania potężnego sojusznika.

— Sądząc po tym, co głoszą legendy, ludzie i drzewa żyli niegdyś z sobą w zgodzie.

— Tak, zanim twoi przodkowie wyrzekli się mądrości natury, szanowaliśmy się wzajemnie.

— Czy nie można by do tego powrócić?

— Chyba jeszcze na to za wcześnie. Świat zaczął się zmieniać zaledwie parę miesięcy temu...

— Nieprawda! – U boku Shaviego stanęła Meg. Drzewo chrząknęło gniewnie, niezadowolone, że mu przerwano. – Wybacz mi moją popędliwość – dodała pośpiesznie kobieta – ale nie wszyscy ludzie są tacy sami. My, w naszej wspólnocie, zawsze dbaliśmy o drzewa, o całą przyrodę. Nigdy nie odcinamy gałęzi na opał. Nie zanieczyszczamy środowiska. – Jej oczy płonęły. Podobnie jak Shavi, rozumiała, że warto mieć dęby po swojej stronie.

Rozległ się dziwny dźwięk, jakby do każdego z sąsiadów ich rozmówcy podreptał niewidzialny jeź, chrzęszcząc głośno zeszlými liśćmi. Fala podobnych odgłosów przetoczyła się w głąb lasu.

— One się tak porozumiewają – odgadła Carolina.

Niedługo potem, daleko wśród drzew, rozbłysły migoczące ogniki. Nie wiedzieć czemu, ich pojawienie się zupełnie ósemki śmiazków nie zaniepokoiło – wręcz przeciwnie.

— To duchy drzew – wyszeptał porażony tym widokiem Shavi. To duchy drzew opuszczają las!

— Śmiertelnicy nie widzieli ich od wielu pokoleń – powiedział Dębowy Człowiek – nawet podłóg naszej rachuby czasu. Przyjmujemy wasze słowa za dobrą monetę, wzywając was, abyście przychodzili do nas jako przyjaciele. Cieszcie się lasem, wędrujcie w jego cieniu, wsłuchujcie się w szepty naszych serc. Okazujcie nam szacunek, ludzie z krwi i kości, a my w zamian odwdzięczymy się wam wieczystą ochroną. Niechaj będzie to pierwszy pakt nowej ery.

— Dziękujemy za wielkoduszność. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za to, że puście nasze grzechy w niepamięć. – Shavi ponownie przyłożył dłoń do pnia. Tym razem był ciepły i miły w dotyku.

— Liczymy, że zyskają na tym obie strony.

Szaman odwrócił się przodem do swoich kompanów. W nabożnym skupieniu śledzili wzrokiem przemierzające się płynnie światła z takim samym zachwytem jak ich dalecy przodkowie. Pogrążeni w transie, ruszyli przez las: przytulali się do drzew, głaskali czule liście, z uśmiechem wyciągali ręce ku tajemniczemu ognikom. Stopniowo odradzała się zerwana przed laty więź.

Shavi szedł w pewnej odległości za travellersami, obserwując zachodzące w ich zachowaniu zmiany. Byli tacy radośni, tacy wyciszeni. W głębi lasu czuli się jak w ramionach matki.

Kilkoro z nich natrafiło wśród drzew na jeziorko zasilane przez skromny strumyczek, który szemrał melodyjnie, spływając

po omszałych kamieniach. Zielonkawą taflę oczka zalewało księżycowe światło. Było to niezwykle urokliwe miejsce.

Przysiadłszy na przybrzeżnym kamieniu, rozmarzona Carolina musnęła powierzchnię wody. Nagle odskoczyła, bo pod jej palcami zamrugały czyjeś oczy. Urodziwa mieszkanka jeziora zdawała się mieć ciało ze świetlnych refleksów. W jej gwiazdzistym spojrzeniu nie było cienia wrogości. Carolina ostrożnie wyciągnęła rękę, ale z ciekawości zatrzymała ją na kilka centymetrów nad taflą sadzawki. W odpowiedzi wynurzyło się z wody coś podobnego do szklistego sopła. Kontakt trwał ułamek sekundy – kobieta ledwie zdążyła poczuć dotyk kryształu na opuszkach. Plusnęło. Nimfa wybuchła stłumionym perlistym śmiechem, a Carolina uśmiechnęła się do księżyca.



Kiedy wrócili do obozu, natychmiast przekazali pozostałym dobrą nowinę. Ich entuzjazm był zaraźliwy, a oczarowanie widoczne jak na dłoni, nie minęło więc dużo czasu, a przekonali wszystkich, że przed chwilą w lesie stało się coś niezwykle ważnego. W obozie zapanowała świąteczna atmosfera.

Usłyszawszy, że jej synek żyje, ale przebywa w Zaświatach, Penny nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Jej ostatnią deską ratunku był teraz Shavi.

— Musisz mi pomóc – oświadczyła z twarzą wykrzywioną bólem.

— Zrobię, co w mojej mocy – przyrzekł kobiecie zmieszany. Poniekąd nie kłamał, zataił jednak przed nią to, do czego chłopczyk miał służyć bogom. Istniało duże

prawdopodobieństwo, że, nawet jeśli Jack lada dzień wróci na ziemię po eksperymentach, jego matka nie będzie w stanie go rozpoznać.

Obietnica mężczyzny dodała Penny otuchy. Wyszła poza obóz spacerować się po lesie, żywiąc nadzieję, że dzięki mocy Dębowych Ludzi jej los się odwróci.

Shavi szybko oddalił się do swojego namiotu. Oczy same mu się zamykały. Poza tym, w świetle gasnącego ogniska, zauważył kręcący się wśród autobusów cień, a nie czuł się tego wieczoru na siłach zajmować się Lee. Wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia, nie pomagała nawet świadomość, że w zabójstwie chłopaka maczali palce Tuatha Dé Danann. Wierzył, że miał szansę go uratować i wstyd mu było, że sparaliżował go strach. Nie miał żalu do zjaw z Mary King's Close, że co noc musiał wysłuchiwać z ust zmarłego gorzkich wymówek. Choć słowa Lee doprowadzały go do szaleństwa, był gotów zapłacić taką cenę za pozbycie się dręczących go emocji.

Ktoś skrobął kilkakrotnie płótno namiotu. Shavi rozpoznał znajomy kształt, ale wtulił się w śpiwór. Tak bardzo chciał zasnąć. I wtedy jego uszu doszedł natarczywy szept...



Musiał się w końcu zdrzemnąć, bo obudził go szmer przy wejściu. W pierwszej chwili, niezupełnie jeszcze przytomny, pomyślał, że to Lee, ale spod kłapy wynurzyła się głowa Caroliny, zza niej z kolei wyłonił się Spink, który w międzyczasie obmył się gdzieś z błota, odsłaniając ciemne włosy i przystojną twarz. Shavi włączył latarkę i postawił ją tak, żeby oświetlała całe wnętrze.

— Można? – spytała kobieta, choć była już w środku. – Nie śpisz?

— Nie, nie. Zapraszam. Rozgośćcie się, proszę. – Zmęczenie dawało mu się we znaki, ale, po prawdzie, cieszył się, że ma towarzystwo. – Czym mogę służyć?

Spink był zbyt onieśmielony, żeby zabrać głos, oddając tym samym pałeczkę przebojowej Carolinie.

— Ludzie przy ognisku mówią tylko o tobie – zaczęła euforycznym tonem. – Mają cię za kogoś w rodzaju mesjasza.

— Żaden ze mnie mesjasz.

— Nie bądź taki skromny. Widzieliśmy, czego dokonałeś w lesie. Zwykli ludzie nie potrafią robić takich rzeczy. Posiadasz jakąś tajemną moc.

— Co do mocy, zgoda, ale poza tym niczym się od was nie różnię. Mylę się, boję, mam swoje wady.

Pokręciła żywiłowo głową. Jej czarne włosy zaśniły w świetle latarki.

— Nie przekonasz mnie. Sam nam mówiłeś, że jesteś wybranym, który ma obronić ludzkość przed zagładą!

— Bez przesady...

— Dobrze, może mesjasz to zbyt mocne określenie, ale co powiesz na mistyka? Mędrca? Szamana? Nie wypieraj się, nazwałś przecież swój rytuał szamańskim.

Musiał przyznać jej rację.

— Chcielibyśmy, żebyś przekazał nam swoją wiedzę.

— Nie jestem nauczycielem.

— Spójrz na nas! – Carolina była zdeterminowana. – Jak sądzisz, dlaczego wybraliśmy taki styl życia? Każde z nas mogłoby mieszkać w przytulnym, ciepłym domu, gdzie zawsze w lodówce jest coś do jedzenia, a w trudnych chwilach wspiera



kochający człowiek... – Przerwała ten wywód, żeby zbyt nie wywnętrzać. – Wszyscy tu czegoś szukamy, czegoś lepszego. Dokonaliśmy takiego a nie innego wyboru, bo zależało nam na duchowym rozwoju. Rozumiesz to, prawda? – Pokiwał głową. – Zawiodło nas społeczeństwo, Kościół, religia, ale nadal czegoś łakniemy. Tu w sercach mamy pustkę. Uderzyła się pierś. – A ty możesz nam pomóc tę pustkę wypełnić.

Jej pełna pasji przemowa zrobiła na Shavim wrażenie.

— A więc chcecie być moimi uczniami?

— Właśnie. – Zerknęła na Spinka, któremu rozbłysły oczy.

— Pozwólcie, że opowiem wam wpierw coś o sobie. Dorastałem w zachodnim Londynie. Moja rodzina jest bardzo liczna: rodzeństwo rodziców, ich dzieci, moje rodzeństwo, ich dzieci oraz małżonkowie... Trudno nas zliczyć. Miałem szczęśliwe dzieciństwo, nigdy nie brakowało mi miłości. W szkole uczyłem się pilnie, żeby ojciec był ze mnie dumny i był. Ach, ojciec... Kiedy zasypiam, przypomina mi się czasem, jak pokazuję mu dobrą ocenę w zeszycie, a on z uśmiechem mocno mnie do siebie przytula. Był uczciwym, poukładanym wewnątrz człowiekiem. Widziałem to i chciałem być taki jak on.

Shavi przymknął oczy. Powracały bolesne dziś wspomnienia.

— Meczet stanowił integralną część naszego domu, jak kuchnia. Zarówno rodzice, jak i krewni, należeli do gorliwych wyznawców islamu. Religia przenikała wszystkie aspekty naszego życia, a moim najbliższym dawała siłę na zmierzanie się z przeciwnościami losu. Ale nie mi. Na mnie to nie działało. Próbowalem. Tak bardzo starałem się do niej przekonać, że z nerwów nie spałem po nocach, nie mogłem jeść. Wiedziałem, że sprawiam rodzicom ogromny zawód, jednak słowa Allacha nie przemawiały ani do mojego umysłu, ani do mojego serca. Nie

przynosiły ulgi czy poczucia bezpieczeństwa, nie wyjaśniały sensu życia czy tajemnic wszechświata. Nie zrozumcie mnie źle, darzę tę religię głębokim szacunkiem, to ze mną po prostu coś było nie tak. Czułem, że nie mogę żyć dłużej według przykazań tej wiary.

Carolina i Spink chłonęli każde jego słowo.

— Przyznałem się ojcu. Był zszokowany, zdruzgotany. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy: przez ułamek sekundy spoglądał na mnie jak na obcego człowieka. To mnie dobiło. Szybko się opanował, ale od tamtej pory już nigdy mnie nie przytulił. Później wielokrotnie usiłował mnie przekonywać, że jestem w stanie zostać pobożnym muzułmaninem, a gdy to nie pomogło, poczekał do dnia moich szesnastu urodzin i, wiedząc, że mogę już na siebie legalnie zarabiać, wypędził mnie na ulicę. Stałem na progu zalany łzami. Byłem tym samym oddanym synem, który przynosił ze szkoły dobre stopnie, ale ojciec nie chciał teraz na mnie patrzeć ani ze mną rozmawiać. Drzwi rodzinnego domu zamknęły się za mną raz na zawsze.

— A to drań – mruknęła Carolina.

— Nie mam do niego żalu. Taki już był, wierny pewnym zasadom. Co dzień przed zaśnięciem wspominam go z miłością.

— Po co nam o tym opowiadasz?

— Ponieważ spędziłem całe życie szukając czegoś, dzięki czemu poczuje się tak samo błogo i bezpiecznie, jak w dzieciństwie. Czegoś, co, jak to określiłaś, wypełni pustkę.

— Aż znalazłeś...

— Nie. Niczego takiego nie znalazłem. Wędrownica ku oświeceniu prowadzi przez ciemny tunel i na razie nie dostrzegłem światła u jego wylotu. To podróż, w którą wyruszyć musi każdy, i w którą każdy z nas musi wyruszyć sam.

To, co odpowiadało mojemu ojcu, dla mnie nic nie znaczyło. To, co zachwyci mnie, może wam nie przypaść do gustu. Nie marnujcie czasu na poszukiwanie guru. Zajrzyjcie w głąb siebie.

— I właśnie do tego jesteście nam potrzebni. Żeby doradzić nam, jak...

Shavi westchnął z rezygnacją.

— Wiem, mamy być samodzielni – powiedziała Carolina. – Wszystko jasne. Ale uprzedzam. – Pogroziła mu w żartach palcem. – I tak zostaniemy twoimi uczniami. Bez twojej wiedzy – przekomarzała się. – Będziemy cię podpatrywać z daleka.

Odwzajemnił uśmiech.

Jego nocni goście ociągali się z opuszczeniem namiotu.

— Macie do mnie jeszcze jakąś sprawę? – spytał, niczego się nie domyślając.

— Chcemy zostać tu dziś z tobą – wyjaśniła Carolina.

Dopiero po sekundzie czy dwóch zorientował się, o co obojgu chodzi.

— Nie, to chyba nie jest dobry pomysł – odparł, odrobinę zbity z tropu.

— Dlaczego? Boisz się, że działamy pod wpływem impulsu? Ze poczujemy się później wykorzystani? To nie tak, nie przyrównuj nas do małych fanek rockmanów. Chcemy... – Nie wiedziała, jak to określić.

— To będzie rodzaj rytuału – odezwał się zniecierpliwiony Spink.

Shavi rozumiał, co mieli na myśli. Wiedział dobrze, że w trakcie aktu płciowego jedna osoba może przekazać drugiej część swojej mocy, wiedział też, że moc można czerpać z niepokornego hedonizmu. Nie podobało mu się jednak, że rozmówcy wynoszą go na piedestał, a zarazem próbują uszczknąć coś z jego domniemanej boskości dla siebie.

Zanim zdążył zdecydować, jak zareagować na propozycję travellersów, Carolina jednym ruchem zdjęła podkoszulek. Szaman zerknął mimowolnie na jej drobny biust. Spink nie kazał na siebie długo czekać. Na klatce piersiowej młodzieńca wyraźnie rysowały się żebra.

— Spink jest bi. – Carolina przysunęła się do Shaviego. – Albo może homo. Nie jest jeszcze pewien.

Pocałowała mężczyznę w same usta, a chłopak zajął się jego szyją. Któreś z nich wyłączyło latarkę. Shavi usiłował się skupić, ale bez powodzenia. W końcu dał się ponieść fali narastającej przyjemności.

Pod jego palcami przesuwaly się polacie cieplej skóry, pieściły go i rozbierały niewidoczne dłonie. Dwa nagie ciała przycisnęły go do ziemi. Czasami nie potrafił odgadnąć, kogo właśnie dotyka, jego ruchy stawały się coraz szybsze, powietrze coraz bardziej naelektryzowane. Gwałtowny finał przyniósł długo wyczekiwane odprężenie.



Panującą w obozie ciszę zakłócił o świcie kobiecy krzyk, wytrącając szamana z głębokiego snu. Wydostawszy się z plątaniny kończ/n dwojga zaspanych kochanków, narzucił coś na siebie naprędce i wy gramolił w mokrą od rosy trawę. Na zewnątrz otrzeźwił go przenikliwy chłód.

Jego uwagę przykuło coś bielejącego się przed wejściem do namiotu. Zamarł. Był to palec, szczupły i blady.

Z autobusów, furgonetek i przyczep wylaniały się ociężałe kolejne postacie. Shavi podniósł się prędko z klęczek, ledwie

mogąc oderwać wzrok od makabrycznego znaleziska. Rozejrzał się, pragnąc ustalić, z której strony padł krzyk. W paśmie ziemi niczyjej pomiędzy lasem a samochodami stała nieznana mu z imienia kobieta. Przykucnęła, podniosła się, znowu przykucnęła. Wpatrywała się w coś u swoich stóp, co wyglądało na stos gałąńców.

Szaman rzucił się biegiem w jej kierunku. Uprzedziło go kilka osób – odepchnął je na bok nieco zbyt brutalnie. W centrum kręgu leżała matka porwanego dziecka, Penny. Była martwa. W miejscu jej obciętego palca czerwieniała plama krwi.

Rozpacz ścisnęła Shaviemu serce. Miał pełną świadomość, że gdyby nie jego obecność w obozie, nie doszłoby do tragedii. Zakręciło mu się w głowie. Posuwając nogami, odszedł tam, skąd nie mógł widzieć zwłok.

# ROZDZIAŁ 17

## PROŚB WIERZEŃ ZAPOMNIANYCH

[Percy Bysshe Shelley Prometeusz Wyzwolony]

— Co masz na myśli, mówiąc, że to twoja wina? – Breaker był załamany.

Twarz miał nadal zaczerwienioną od płaczu. U jego boku stała Carolina, a nieopodal przykucnęła Meg. Dłońmi przesłaniała oczy, jakby licząc na to, że potworny obraz nie dostanie się w ten sposób do jej mózgu.

Shavi opowiedział im o wszystkim, co wiedział na ten temat: o króliku znad jeziora Maree, o porwaniu Ruth w Callander, o ataku na Churcha w edynburskiej bibliotece. Słuchali z uwagą, nie zdradzając żadnych emocji – zastanawiał się, czy wyrabiają sobie o nim właśnie negatywny osąd. Kiedy zamilkł, Carolina spytała go łamiącym się głosem: — Dlaczego ta bestia na was poluje?

— Nie mam pojęcia. – Szaman przełknął głośno ślinę. – Sądziłem naiwnie, że została w Edynburgu. Gdybym wiedział, że mnie śledzi, nie przyłączyłbym się do waszej komuny. Wierście, że nie...

— Ależ wierzymy. – Meg podeszła do niego i mocno go

uściskała.

— Nie mamy wątpliwości, że jesteś dobrym człowiekiem, któremu by przez myśl nie przeszło, żeby narażać nas na niebezpieczeństwo. Kobieta zerknęła na nakryte prześcieradłem zwłoki. – Biedna Penny. A dopiero co dowiedziała się, że mały Jack żyje.

— I dlatego zginęła – oświadczył Shavi ponuro.

— Jak to? – zdziwił się Breaker.

— Atak na nią miał pokazać, że nie ma nadziei. Penny zabito, gdy tylko ją odzyskała. – Szaman przygryzł dolną wargę, aż poczuł słodycz krwi. – To była wiadomość dla mnie. Palec pozostawiono przed moim namiotem. Napastnik dał mi do zrozumienia, że równie dobrze to mogłem być ja.

— Co chciał przez to osiągnąć? – Carolinie zbierało się na wymioty.

— Ten ktoś chce, żebym cierpiał i żebym żył w wiecznym strachu – zerkał ustawicznie nerwowo przez ramię, w każdej chwili spodziewając się śmiertelnego ciosu. Tak myślę.

— A ta obsesja na punkcie palców?

— Nie wiem, skąd się wzięła. Czy zamierzacie powiadomić o tym morderstwie policję?

Breaker zaczął skubać się po brodzie. Meg odpowiedziała za niego: — Nie, to bez sensu. Tyle się teraz dzieje, że i tak nie mieliby czasu przeprowadzić dochodzenia. Skorzystaliby tylko z okazji, żeby nam dokopać.

— W takim razie – stwierdził Shavi – proponuję pogrzebać Penny w lesie. Dębowi Ludzie z pewnością otoczą ją opieką.



Upewniono się, że grób ma przepisowe sto dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości, i zadbano o to, by przy jego kopaniu nie naruszyć żadnych korzeni. Ręk do pracy było dość, cała operacja nie zabrała więc zbyt wiele czasu.

Na pogrzeb zeszli się wszyscy członkowie wędrowniej społeczności. Na twarzach żałobników malowały się rozpacz, gniew i niedowierzanie. Do tragedii doszło tak nagle i tak niedawno, że nikt nie zdołał jeszcze dojść do siebie. Breaker i Meg pożegnali koleżankę kilkoma ciepłymi słowami. Był to pradawny rytuał nawiązujący do niezmiennych praw natury i bezlitosnego przemijania pór roku.

Na usypaną mogiłę spadł zniecka rzęsisty deszcz zielonych liści. Hołd zmarłej składały okoliczne drzewa. Ten spontaniczny gest wzruszył wiele osób do łez. Shavi poczuł, że więź pomiędzy dwoma rasami stałą się dzięki temu smutnemu wydarzeniu silniejsza niż kiedykolwiek.



Postanowiono poczekać ze stypą, aż wszyscy otrząsną się z szoku. W zamian Breaker zaprosił Caroline, Meg i Shaviego do swojego autobusu, gdzie zasiedli przy prowizorycznym stole.

— Rzecz jasna, opuszczę obóz jak najszybciej – oznajmił pozostałym szaman.

— A to dlaczego? – oburzyła się Meg.

— Ten potwór wciąż będzie mnie prześladował. Kiedy odejdę, będziecie mogli spać spokojnie.

— Nie ma mowy – zaprotestowała kobieta.



— Nie ma mowy – powtórzyła za nią Carolina. – Jesteś teraz jednym z nas. Nie odeślemy cię na poniewierkę.

— Dziewczyny jak zawsze mają rację i za to je kocham – powiedział Breaker. – Pamiętaj, że w kupie bezpieczniej, Shavi. Samego ta łajza dorwie cię, kiedy tylko będzie miała na to ochotę. A tak możemy się zorganizować, wystawić strażę z prawdziwego zdarzenia. Zobaczysz. Dostarczymy cię na miejsce w całości. – Ale...

— Nie kłóć się z nami, do cholery! – Carolina otarła Izy wierzchem dłoni. – Pomyśl o swojej przyjaciółce. O swojej misji. O całej ludzkości. Pozwól, że dołożymy swoją maleńką cegiełkę.

Shavi odetchnął głęboko.

— Dziękuję. Jesteście prawdziwymi przyjaciółmi.

— Prosimy cię tylko o jedno – dodał Breaker.

— Co takiego?

— Jeśli tylko będzie to możliwe, sprowadź Jacka z powrotem. Dla Penny.

Shavi położył sobie prawą dłoń na sercu, a lewą uniósł w górę.

— Dla Penny – przyrzekł uroczyście.



Dziewięć dni minie jak z bicza strzelił, pomyślał Church.

Dochodziło południe. Siedział w prażącym słońcu na wypiętrzeniu skalnym nad stromą przepaścią. Przed nim, po horyzont, rozciągała się zielona mozaika pól Derbyshire. Spokojne wsie łączyły wstążki dróg i potoków. Ale to nie pięknu przyrody się przyglądał.

Kilka domów płonęło, a na jednej z szos połyskiwały karoserie

wraków z niedawnego karambolu. W cieniu, wzdłuż żywopłotów i granic zagajników, przemykały się ledwo widoczne istoty. Od czasu do czasu jedna z nich była zmuszona przebiec przez pole – wyglądało to tak, jakby po ziemi przemieszczał się ciemny kłęb dymu. Church nieodmiennie wzdrygał się na ich widok.

Fomorianie z dnia na dzień pozwalali sobie na coraz więcej, pragnąc za wszelką cenę zlokalizować Ruth przed Lughnasadh. Wyczuwali, że kobieta przebywa w pobliżu, ale magia Mam Tor, zgodnie z przewidywaniami Toma, jak na razie nie pozwalała im jej namierzyć. Church nie oszukiwał się, że to tylko kwestia czasu. Po raz pierwszy od początku misji był zupełnie bezsilny, zdany wyłącznie na Shaviego, Veitcha i Toma.

Zdarzało się, że wokół góry krążył także czarny rycerz. Z daleka przypominał pędzoną dziką furią trąbę powietrzną. Widząc monstrum, Church czuł wzbierające mdłości i narastający strach. Wstyd było przyznać, ale powoli zaczynał tracić wiarę. Dziewięć dni. Co jego towarzysze mogli zdziałać w nieco ponad tydzień? Znowu czekała ich klęska, a tym razem miała się ona równać zagładzie całego świata.

Oddalił się ostrożnie od krawędzi zbocza. Co zamierzał zrobić w razie ataku sił ciemności? Próbować odgonić przeciwników kamieniami, jak kolegę z sąsiedniego podwórka? Czy też sięść i pomodlić się, z nadzieją, że Bóg naprawdę istnieje?



Opiekunowie Ruth wysprzątali chatkę jak umieli najlepiej. Cały ranek zamiatali i wynosili za dom śmieci. Church poupychał w dziurach w dachu gałęzie i liście, nie był niestety w stanie

zastąpić niczym strzaskanych szyby i przez okna do wnętrza budynku nadal wpadał wiatr. Być może nie z winy działalności Fomorian, ale ze względu na wysokość, na jakiej się znajdowali, mimo lata wędrowcom dokuczał czasem chłód. Nie zimna jednak obawiali się najbardziej – najdotkliwszym problemem było zdobywanie pożywienia. Na górze mieszkało niewiele zwierząt, a żadne z trójki i tak nie wiedziało, jak skutecznie je łapać. Church wymknął się kilkakrotnie do pobliskiej wioski ze świadomością, że wkrótce takie wypadki staną się zbyt niebezpieczne. Pozostawało modlić się, że to, co zgromadził, wystarczy.

Ruth leżała w rogu pokoju, w śpiworze, na posłaniu z paproci. Jej włosy były skołtunione od ataków wzmożonej potliwości, jakie wraz z majaczeniem towarzyszyły silnej gorączce. Skórę miała szarą jak popiół, jej powieki drgały, dręczyły ją tiki, a do głowy cisnęły się obce, straszne myśli.

Laura, siedząca w kucki w przeciwległym kącie, co kilka minut zerkała na śpiącą z niemym wyrzutem. Ostatnio rzadko zdejmowała ciemne okulary, nawet po zmroku – ukrywała w ten sposób wrzące w jej wnętrzu emocje. Była wściekła na Churcha, że myślał tylko o Ruth. Słuchając przepełnionych serdecznością rozmów tych dwojga, odnosiło się wrażenie, że zostali przyjaciółmi u zarania świata. Dziewczyna tęskniła za tym, aby i jej okazywano tyle czułości i troskliwości, aby i ją łączyły z kimś równie silne więzy. Zdawała sobie doskonale sprawę, że zżera ją zazdrość. O takim związku właśnie marzyła, tego oczekiwała, wiążąc się z Churchem. Spotkał ją zawód. Skoro nawet tak szlachetny człowiek jak on nie potrafił obdarzyć jej gorącym uczuciem, czy mogła liczyć na to, że sama kiedykolwiek dozna emocjonalnego spełnienia?

Wiedziała, że Ruth jest umierająca – wiedzieli o tym wszyscy,

choć żadne nie odważyło się powiedzieć tego wprost – ale mimo to z zawiści ledwie mogła na swoją rywalkę patrzeć. Miała ochotę ją gryźć i kopać, a przynajmniej jej docinać. Było to błędne koło, bo im większą niechęć czuła do chorej, tym, dręczona wyrzutami sumienia, większą niechęć czuła do siebie samej, co z kolei zwiększało niespełnioną potrzebę bycia w centrum zainteresowania.

— O czym myślisz?

Laura drgnęła – sądziła, że Ruth śpi.

— Myślę o tym, jak to fajnie, że siedzisz cicho i mam święty spokój. Ciężarnej udało się zebrać dość sił, żeby cichutko się zaśmiać – brzmiało to jak szelest opadłych na ziemię suchych liści.

— Ty to się nigdy nie zmienisz, prawda?

— Możesz przyjmować zakłady.

Ruth spróbowała usiąść. Ręce miała słabe, a brzuch ogromny w kilka dni osiągnął rozmiary sporego arbuza. Poddała się w końcu, zadowolając się pozycją pólężącą. Wydawała się być rozbawiona swoim niedołęstwem.

— Powiedz, jak ty sobie z tym radzisz? Najpierw jakiś maniak odciął ci palec, potem wrzucono cię do lochu i torturowano, a teraz...

— A teraz spodziewam się jednookiego boga śmierci, który za kilka dni rozpruje mi bebechy. Cóż, jeśli sformułować to w ten sposób... – Ruth znów się zaśmiała, ale zaraz potem zaniósła kaszlem.

— Oczom nie wierzę. Kiedy cię poznałam, byłaś taką sztywniaczką, taką rozpieszczoną, napuszoną kretynką z klasy średniej. Myślałam, że wymiękniesz przy pierwszej próbie, a ty nic.

— O co chodzi? Zazdrościsz mi? – spytała Ruth pogodnym tonem.

Nieświadomie trafiła w samo sedno. Zaboląło.

— Patrzcie ją tylko! Co za poczucie humoru!

— Hej! Umieram! Powinnaś być dla mnie miła.

Laura zamilkła.

— No, teraz twoja kolej – zachęciła ją Ruth. – Powiedz: „Co za bzdura! Wcale nie umierasz. Zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży”.

Kobieta przesłoniła sobie oczy przedramieniem. Może nie płakała, ale Laura i tak poczuła się fatalnie. Nie dość jednak fatalnie, żeby okazać chorej choć odrobinę serca. Takie zachowanie było jej zdaniem dla mięczaków.

— To co mam mówić? – burknęła.

— Czy ja wiem? O czym tu rozmawiać? Umieram. Wiem, że umieram. Tylko cud może mnie uratować.

Ruth odsłoniła twarz, zaskakując Laurę opanowanym spojrzeniem. Opanowana! W takim momencie! To przelało czarę goryczy. Dziewczyna była od krok od płaczu. Tracąc nad sobą kontrolę, dostała słowo toku: — Święta, kurczę, święta. Więc czemu ja? Taki Church, na przykład, to urodzony bohater, widać to na kilometr. Cale to gadanie o obowiązkach i odpowiedzialności po prostu go kręci. Shavi też jest ucieleśnieniem cnót wszelakich. Wiadomo, że za sprawę przez wielkie „S” oddałby życie. Nawet Veitch, ten napakowany testosteronem prostak i morderca stryjów, nawet on ze wszystkich sił walczy, żeby czynić dobro. Ma chłopak wiele wad, ale kiedy przyjdzie co do czego, nie zawiedzie. No i jeszcze ty, nasza Joanna d’Arc – przeszłaś z godnością przez piekło i zapewne z godnością wyzioniesz ducha. Co ja, do cholery, robię

w takim doborowym towarzystwie? Postawcie mnie przed wyborem: własna skóra a szczytny cel, a tyle mnie będziecie widzieli!

— Jesteś dla siebie niesprawiedliwa...

— Tylko mnie nie traktuj jak domorośli psycholog! I, na miłość Boską, nie staraj się być dla mnie miła!

— Wcale nie chcę...

— A idź mi.

— Słuchaj, Lauro, czy nie możemy odnosić się do siebie przyjaźnie? Nawet teraz? – Oczy Ruth napełniły się łzami. Może i nie rozpaczała nad swoim losem, ale łatwo ją było wyprowadzić z równowagi.

Dziewczyna milczała, wpatrując się w ścianę. Na widok pokrywających ją bazgrołów przechodziły ją ciarki. Nie próbowali ich z Churchem jeszcze odcyfrować, być może kierowani podświadomym lękiem przed tym, że napisy te kryją jakąś mroczną tajemnicę. Laura domyślała się, że Ruth poznała już ten sekret, była przecież z ich trójki najbardziej wrażliwa. Wydaje mi się, że wydarzyło się tu coś potwornego, tak powiedziała. Może miała wizję, którą nie chciała ich straszyć? A co, jeśli męczyły ją nie echa dawnej tragedii a złowróżbne przeczucie? Nawet Laura coś wyczuwała, a uważała się za osobę wyjątkowo oporną na tego typu rzeczy. Co, jeśli coś potwornego dopiero miało się wydarzyć?

Oszaleję tutaj, pomyślała. Nie mam dokąd uciec.

— Nigdy nie byłaś wobec nas do końca szczerą – odezwała się Ruth. Mówiła niewyraźnie, co zapowiadało zbliżające się delirium.

— Chowasz się w kóiko za ciemnymi okularami, wygłaszasz te swoje sarkastyczne komentarze, byle tylko nikt nie wiedział, co

myślisz i czujesz. Cała jesteś sztuczna i udawana, cała się wykreowałaś. DuSantiago? Przyznaj się, nawet twoje nazwisko nie jest prawdziwe. – Chora przełknęła z trudem ślinę. – Jako skazaniec mam prawo do ostatniego życzenia, a więc oto one: wyjaw mi chociaż swoje nazwisko.

Laura siedziała przez chwilę nieruchomo, po czym przeszła przez pokój i przycupnęła przy posianiu koleżanki. Nachyliła się nad jej uchem. Ruth czekała w napięciu.

— Wal się – szepnęła i wyszła poszukać Churcha.



Breaker zaklął pod nosem, widząc, że przewodzący ich karawanie autobus zaczyna skomplikowany manewr zawracania na wąskiej drodze. W oddali na szosie majaczył ogonek samochodów – jak nic była to kolejna blokada policyjna. Wszystko wskazywało na to, że obstawiono każdą drogę prowadzącą ku stolicy. Shavi nie potrafił zliczyć, ile razy musieli się już dzisiaj cofać. Nie to jednak najbardziej go niepokoiło – stokroć gorsze były te złowrogie cienie na polach. Niemal za każdym razem, gdy kątem oka zerkał przez boczną szybę, widział, jak przemieszczają się z szybkością chartów, a gdy zdarzało mu się raptownie odwrócić głowę, nieraz coś błyskawicznie kryło się za najbliższym krzakiem.

Nocni Wędrowcy. Może właśnie dlatego, że dobrze wiedział, z kim ma do czynienia, na razie nie podzielił się z brodaczem swoim odkryciem. Pocieszał się, że gadziny przynajmniej wciąż starają się nie rzucać w oczy. Utrata esencji Balora musiała podkopać ich pewność siebie, jeśli oczywiście w przypadku

Fomorian można było mówić o emocjach, niemniej liczebność ich oddziałów przerażała. Skoro już z tajemnych twierdz wypełzło ich tylu, jak to miało wyglądać na dwa–trzy dni przed Lughnasadh?

Nagle Shaviemu przyszło do głowy, że może monstra szukają nie tylko czarnej perły, ale i członków drużyny. Czy byli w stanie wyczuć go na odległość?

— Coś taki markotny? – spytał Breaker.

— Myślę o tych wszystkich pułapkach, które nas czekają po drodze.

— Sądzisz, że ten maniak od palców jeszcze nas nie zgubił? Jakim cudem? No chyba, że facet tropi nas na węch.

Szaman zachował dla siebie, że nie było to wcale takie nieprawdopodobne.

— Zapomnij o tym zboczeńcu – ciągnął Breaker. – Naszym największym problemem są gliniarze. Kiedyś jedynie nam utrudniali życie, a teraz każdego obywatela traktują jak zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Te blokady... Co ich napadło? Spodziewają się, że ludzie wożą w bagażnikach bomby, czy co? Nie rozumiem, czego tak szukają.

Ale Shavi rozumiał. Podejrzewał, że przydrożne posterunki obsadzone są częściowo podstawionymi policjantami o twarzach jak z wosku. Zarówno oni, jak i wilk–olbrzym, mieli ten sam cel – niewykluczone, że od początku ze sobą współpracowali. Oka sieci się zaciskały. Czując się coraz bardziej osaczony, szaman tracił powoli wiarę, że kiedykolwiek spotka się z Cernunnosem.





Opuściwszy miejsce pochówku Penny, wyruszyli na południe w kierunku Banbury, by bocznymi drogami pomiędzy Bicester a Oksfordem dojechać w okolice autostrady łączącej słynne uniwersyteckie miasto z Londynem. Według mapy od Windsoru dzieliło ich zaledwie czterdzieści minut jazdy, ale rzeczywistość nie przedstawiała się tak różowo – przy każdej próbie skrętu w prawo silniki pojazdów w konwoju gasły. Chcąc nie chcąc, wędrowcy dryfowali na wschód równoległe do autostrady, zbliżając się coraz bardziej do stolicy kraju.

— Musimy zawrócić – stwierdził strapiony Breaker. – Na obwodnicy wyłapią nas kamery i ani się obejrzymy, a zainteresują się nami władze. Poza tym niektórzy z naszych kręcą już już pewnie nosami na smog.

Shavi zrobił się małomówny i głównie wyglądał przez okno. W jego głowie kłębiły się czarne myśli. Skoro zabójca Penny dostarczył Nocnym Wędrowcom Ruth, nic nie stało na przeszkodzie, by teraz dostarczał im informacje. Wiedział, z kim szaman podróżuje, mógł podsłuchać, co jest celem jego podróży. Tymczasem, paradoksalnie, od dłuższego czasu na polach było pusto. Istniała możliwość, że Fomorian odstrasza bliskość Londynu, jednak Shavi wolał mieć się na baczności.



Zatrzymali się na naradę na parkingu na wschód od Postcombe. Większość członków wspólnoty pozostała w wozach, wykorzystując postój na zapełnienie pustych żołądków. Na poboczu zebrali się jedynie nieformalni liderzy grupy, między innymi Breaker, Meg i Carolina. Shavi krążył wokół

dyskutantów, nerwowo się rozglądając. Wzdrygał się na samą myśl o tym, że niedługo będą musieli rozbić obóz, stając się łatwym łupem dla przyczajonego przeciwnika.

Było późne popołudnie. Duchota doskwierała jeszcze bardziej przynajmniej pozornie – odkąd na niebie pojawiły się chmury. Ich gruba warstwa zdawała się tworzyć zwartą kopułę wiążącą w swoim wnętrzu masy gorącego powietrza.

Shavi usiłował uważnie przeczesywać wzrokiem okolicę, ale podniesione głosy jego towarzyszy nie pozwalały mu się skupić. Za plecami mężczyzny narada z wolna przeradzała się w kłótnię – nie było w tym zresztą nic dziwnego, bo po śmierci Penny wszystkim udzieliły się niepokój i rozdrażnienie. W końcu szaman nie wytrzymał, odwrócił się i fuknął: — Zamknijcie się, do cholery!

Spojrzeni na niego zaskoczeni. Parking minęło jakieś auto, ale potem zapadła cisza.

— O co chodzi? – spytała Carolina. – Przecież nic...

Uciszył ją gniewnym gestem. Coś mu się nie zgadzało, choć nie wiedział jeszcze, co. Skoncentrował się. Jego uszu nie dochodziły żadne podejrzanе dźwięki: ot, szelest wiatru w koronach drzew, ledwie słyszalny szmer odległej o kilka kilometrów autostrady... i nawoływania ptaków. Tak, to było to. Shavi wyczuł instynktownie, że czegoś się bały.

— Do samochodów! – zakomenderował. – Szybko! Uciekajcie!

W tym samym momencie Fomorianie ruszyli do ataku. Zastępy ciemnych kształtów wypełzły z przydrożnych rowów, oderwały się od cieni rzucanych przez rozdzielające pola żywopłoty.

Przywódcy komuny posłusznie rzucili się w stronę szoferek. Tylko jeden z mężczyzn, nieznany szamanowi z imienia,

mimowolnie, a może z ciekawości, zerknął za siebie. Poblądł, zachłysnął się żółcią, stracił równowagę. Shavi pchnął go bezpardonowo w kierunku jego wozu, zasłaniając własnym ciałem budzący mdłości widok.

— Nie patrzcie na to, co się dzieje na polach! – krzyknął do pozostałych. – Zmywamy się stąd! Jedźcie za autobusem Breakera!

Sekundę później siedział kolo brodacza na miejscu pasażera. Wyjechali na szosę prawie na oślep. Zatrąbił na nich wściekły kierowca rozpędzonego porsche.

— Co jest grane?

— Fomorianie atakują. – Shavi nie spuszczaaj oka z bocznego lusterka. – Chcą mnie dorwać. A przy okazji was.

Kawalkada pojazdów wylewała się z parkingu na drogę. Ewakuacja sztaby płynniej, gdyby niektóre wehikuly nie były takie stare – silniki nie chciały odpalać, w kołach zawodziła zwrotność. Szaman modlił się w duchu, żeby nikomu nie przytrafiła się awaria.

Nocnych Jeźdźców przybywało. W ich czarnej, połyskującej masie było coś owadziego. Zębate zbroje przypominały pancerze, gdzieś sterczały skrzydła bądź nadliczbowe odnóża. Shavi widział już Fomorian nie raz, lecz mimo to robiło mu się niedobrze.

— Wszyscy już? – upewnił się zaniepokojony Breaker.

— Prawie wszyscy.

Autobus. Następny autobus. Minivan.

— Jeszcze jeden.

Maruderem był wielgachny wóz kempingowy należący do mężczyzny, którego Shavi musiał wcześniej popędzić.

— Tylko nie patrz znowu za siebie – szepnął szaman,

zaciskając pięści.

Niestety, auto skręciło nagle, zachwiało się i stanęło. Shavi domyślił się, co się stało: kierowca stracił przytomność. Nie było już dla niego ratunku.

— Psiamać! – Szaman walnął ręką w drzwiczki, jakby mogło to ocucić nieszczęśnika.

Zwarte szeregi wojska uderzyły wóz niczym fala tsunami. Wpierw załamał się pod jej naporem, jakby miał karoserię z papieru, a potem rozpadł się w mgnieniu oka na tysiące kawałków. Shavi odwrócił wzrok.

Breaker nie musiał go o nic pytać. Odczekał kilka minut, po czym zapytał cicho: — Sądysz, że będą nas gonić aż do Londynu?

— Jeśli zachowacie taką prędkość jak teraz, nie zdołają utrzymać tempa. Ale wiedzą, że trzymam się z wami i dopóki to się nie zmieni, jesteście na celowniku. W dodatku, przekroczywszy granicę miasta, prędzej czy później zwolnicie, prawda?

— To co, masz jakiś pomysł? – Brodacz zaczął stukać kciukiem o kierownicę.

Shavi zamyślił się.

— Jedźmy szybko, ale tak, żeby nie zniknąć gadzinom zupełnie z oczu. Niech widzą, że się od was odłączam...

— Zwariowałeś? Nie zostawię cię tutaj na pastwę losu!

— Wierz mi, samemu łatwiej mi będzie ich zgubić. Zobaczmy... Szaman sięgnął po wyświechtany atlas drogowy. – Hm... O, mam! Tu mnie wysadzisz.



Breaker był przekonany, że kierują się do centrum High Wycombe, ale Shavi niespodziewanie nakazał mu skręcić. Całą karawaną zatrzymali się pod West Wycombe. Teraz należało poczekać na pojawienie się czarnej fali. Nie potrafiąc dłużej pohamować ciekawości, Meg i Carolina wyskoczyły z aut i podbiegły do Shaviego zapytać, co ten planuje. Jego strategia nie przypadła im do gustu, szaman puścił jednak ich błagania mimo uszu i nie dał się odwieść od opuszczenia grupy. Miał świadomość, że jeśli nie podejmie ryzyka, wyda na swoich towarzyszy wyrok śmierci.

Wpatrzywszy na horyzoncie Fomorian, ucałował na pożegnanie obie kobiety i ucisnął z mocą niedźwiedzią dłoń Breakera. Konwój ruszył. Z każdego pojazdu wyglądały wystraszone twarze ludzi, którzy nie mieli pewności, co przyniosą najbliższe godziny.

Zagranie Shaviego zdało egzamin. Zauważywszy, że wysiadł, Nocni Wędrowcy natychmiast stracili zainteresowanie ściganiem travellersów, skupiając całą swoją uwagę na jego osobie.

Upewniwszy się, że tak jest w istocie, mężczyzna prześlizgnął się przez bramę i popędził ile sił w nogach w kierunku palladiańskiego pałacu.



Chmury obniżyły swój pułap, przyspieszając nastanie zmroku. W powietrzu zapachniało żelazem – zbierało się na burzę. Teoretycznie ciemność i deszcz mogły okazać się sprzymierzeńcami uciekiniera, ale po Fomorianach można było spodziewać się wszystkiego – także tego, że widzieli dobrze w

każdych warunkach.

Shavi miał nadzieję, że chociaż miejsce, które wybrał, przyjdzie mu w sukurs. Nie przypadkiem wysiadł właśnie tu. Gdy tylko zobaczył tę nazwę w atlasie, przypomniały mu się związane z nią historie i legendy.

West Wycombe Park – od wieków siedziba rodu Dashwood.

Biegł teraz przez rozległy angielski ogród ku ich lśniącej rodowej rezydencji. Nie byłaby taka słynna, a raczej niesławna, gdyby nie sir Francis Dashwood, osiemnastowieczny *bon vivant* i założyciel tajnego stowarzyszenia Rycerzy świętego Franciszka. Nazwa ta była celowo dobrana z ironią – w zachowaniu arystokratycznych członków nie było nic rycerskiego. Zgodnie z swoim mottem brzmiącym: „Rób, co chcesz”, zajmowali się głównie orgiami oraz świętokradczymi ceremoniami religijnymi, dzięki czemu ich bractwo zyskało wkrótce miano Hellfire Club. Wybryki Francisa i jego przyjaciół przeszły do legendy, ale to nie pamięć o nich miała teraz uratować skórę Shaviemu, a coś innego, co ekscentryk pozostawił po sobie na terenie posiadłości – jeśli tylko szamanowi miało udać się owo coś odnaleźć.

Udał się w stronę wzniesionego przez Dashwooda kościoła Św. Wawrzyńca. Wieżę świątyni wieńczyła wielka złota kula, w której wnętrzu mogło zabawiać się wygodnie dziesięciu członków gorszącego bractwa. Shavi zdziwił się trochę, że nie zatrzymali go jeszcze pracownicy ochrony czy ktoś chcący sprzedać mu bilet wstępu, ale doszedł do wniosku, że życie w okolicach Londynu musiało być już na tyle ciężkie, że nikt nie miał głowy ani do zwiedzania atrakcji turystycznych, ani do przychodzenia do pracy.

Przy kościele szaman zerknął za siebie, aby ocenić sytuację. Po zielonym zboczu trawnika spływały zwartym kłębowiskiem

ciemne kształty.

Po chwili znalazł tego, czego szukał: ozdobny portyk stanowiący wejście do systemu korytarzy. Pod ziemią we wnętrzu wzgórza kryła się tu sieć połączonych z sobą sztucznych pieczar, w których członkowie Hellfire Club urządzali bezbożne przyjęcia bądź odprawiali magiczne rytuały. Wejście do podziemi nie rzucało się w oczy i było położone pod specyficznym kątem, istniała więc duża szansa, że Fomorianie dadzą się wykiwać – nie zorientowawszy się, że Shavi skręcił, pognają przed siebie, a nie znając sekretu posiadłości, nie będą w stanie szamana odszukać.

Wszedłszy do środka, zatrzasnął za sobą drzwi. Serce waliło mu jak młotem, płuca nieznośnie piekły. Wzmocniony Duchem Pendragona nigdy przedtem nie był w tak dobrej formie, ale i od dawna nie przebiegi tak długiego odcinka.

Wokół panowały egipskie ciemności. Zza najbliższym rogiem nie było już nawet widać szpary wokół drzwi. W korytarzach zainstalowano wprawdzie oświetlenie ze względu na turystów, Shavi nie miałby jednak śmiałości użyć go w takich okolicznościach, nawet gdyby wiedział, gdzie znajduje się włącznik. Przypomniała mu się wizyta w równie ponurym Mary King's Close, a wspomnienie to nie należało do najprzyjemniejszych. Próbował wówczas nagiąć zjawy do swojej woli, ale im więcej wiedział o tym, co niewidzialne, tym lepiej zdawał sobie sprawę, z tego, jak bardzo się tego obcego świata bał. Być może, tak jak wśród murów edynburskiego zaułka żywa była wciąż pamięć o rzezi z czasów zarazy, tak samo tu zachowały się widmowe pozostałości potwornych rytuałów czy innych bezceństw niesławnego bractwa. Shavi wzdrygnął się. Był gotowy co najwyżej stanąć twarzą w twarz z duchem sir

Francisa. Zjawy nic ci nie zrobią, pocieszyl się w myślach, za to, jeśli podziemia odkryją Fomorianie, złapią cię jak królika. Nie masz dokąd uciekać.

Przeszedłszy spory kawałek, usiadł pod ścianą i wziął głęboki oddech. Ze strachu i zmęczenia trząsł się na całym ciele. Krew pulsowała w uszach tak głośno, że nie usłyszałby stukotu podkutych butów zbliżających się żołnierzy. Zmusił się do wykonania serii ćwiczeń relaksacyjnych, żeby choć trochę się uspokoić, a kiedy jego oddech się wyrównał, skupił całą swoją energię na nasłuchiowaniu. Wyobraził sobie, co dzieje się w parku. Zastępy Nocnych Wędrowców niszczyły wszystko, co spotkały na swojej drodze: tratowały klomby, wyrywały krzewy, obracały w niwecz starania ogrodników. Zmiennokształtni powinni już byli dotrzeć do budynku kościoła, powinni już byli natrafić na wejście w zboczu.

Wyostrzone zmysły szamana przeczesywały mrok.

Nic.

Czyżby fala przeszła? Czyżby oddziały z rozpędu minęły świątynię, niczym bezrozumna armia robotów toczących się bezwładnie we wskazanym im kierunku? Nie byłoby w tym nic zaskakującego – ich sita tkwiła w masie, a nie w inteligencji. Tylko dwóch Fomorian, z którymi Shavi się zetknął, sprawiało wrażenie zdolnych do przejrzenia większości forteli, a mianowicie ich przywódcy: mieszaniec Calatin i otoczony przez kłęb kotłujących się wron Mollecht. Obu po raz ostatni szaman widział w Krainie Jezior, kiedy kierowane przez nich frakcje walczyły po przeciwnych stronach barykady.





Przesiedział tak kilka godzin. Czas zabijał dedukowaniem. Skoro jeszcze żył, jego kryjówkę przeoczono, co nie oznaczało, że może ją opuścić. Po zmroku na zewnątrz czyhali nie tylko Nocni Wędrowcy, ci zaś zresztą czuli się w ciemnościach znacznie pewniej niż za dnia. Nie pozostawało nic innego, jak spędzić noc w podziemiach. Szaman zadręczał się myślą, że nawet w południe jego szanse są niewielkie. Na mapie odległość pomiędzy West Wycombe a Windsorem nie wydawała się zbyt duża, ale jeśli po okolicy kręcili się Fomorianie, cel jego podróży mógł równie dobrze znajdować się na Księżycu.

Zasnął na długo. Ocknął się obolały, z przesuszonym gardłem. Przez chwilę siedział zdezorientowany na chłodnej posadzce, zachodząc w głowę, gdzie jest i dlaczego nie świeci słońce. Pogoń, pieczary... Pamięć szybko wróciła. Uświadomił sobie nagle, że nie obudził się ot tak. Coś go zaalarmowało. Tylko co?

W pierwszej chwili pomyślał, że go wytropili Zmiennokształtni. Nadstawił uszu. Nie, z korytarzy nie dochodził żaden dźwięk, jego podejrzenia padły zatem na zjawy, ale i tu zmysły nie potwierdziły jego przypuszczeń: nie czuł charakterystycznego łaskotania w żołądku, jakie zawsze do tej pory anonsowało nadejście widm.

Wstrzymawszy oddech, cały zamienił się w słuch – na szczęście ciemność pomagała się skoncentrować. Idealnej ciszy nie mącił najmniejszy szmer... ale tylko pozornie. Ktoś przesuwiał się w mroku, ostrożnie, krok za krokiem. Kimkolwiek był, nie mógł mieć uczciwych zamiarów.

Pieczary zniekształcały tor rozchodzenia się dźwięków, nie sposób było więc orzec, z której strony zbliża się napastnik. Shavi bał się, że jeśli ruszy się z miejsca, to po prostu na niego wpadnie,

ale z drugiej strony nie mógł przecież spokojnie czekać na jego przybycie.

Rozważywszy wszystkie za i przeciw, zdecydował, że wróci do wejścia, zyskując tym samym minimalną szansę na udaną ucieczkę. Wstał. Oparł się lewą ręką o ścianę, żeby iść prosto, zrobił kilka kroków i zatrzymał się sprawdzić, czy ktoś je usłyszał. Cisza. Przeszedł ostrożnie kolejne parę metrów, po czym znów wyteżył słuch.

Po prawej coś szurnęło. Shaviego przeszedł dreszcz. Odgadł, że stopa tropiciela natrafiła na grudkę żwiru. Czy naprawdę krył się gdzieś po prawej? Nie miał czasu na próżne rozważania. Ruszył dalej. Musiał pobić swojego wroga w bezszelestnym skradaniu.

Nie dojrzałyby znieruchomiałej postaci nawet z odległości dziesięciu centymetrów. Stres ścisnął mu żebra. W każdej chwili mógł zginąć, zostać okaleczony, wpaść w zasadzkę. Z ogromnym wysiłkiem opróżnił swój umysł z podobnych wizji – panika była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Kolejny szmer, tym razem z przodu, odbił się echem od ścian pieczary. Szaman nie umiał orzec, czy to jego przeciwnik się przemieścił, czy też on sam błędnie oceniał, z której strony dobiega dany dźwięk. Znów zrobił kilka kroków i znów się przyczaił.

To, że Shavi trafi w ręce wroga, było prawie pewne – zabawa w kotka i myszkę nie mogła trwać w nieskończoność. Pozostawało pytanie: kiedy. Aby grać na czas, licząc na to, że zdąży jednak dojść do wyjścia, mężczyzna postanowił wykorzystać pewną magiczną sztuczkę. Odkrył w sobie tę zdolność zupełnie przypadkowo, a wędrując z drużyną nieco ją rozwinął. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech, skupił się, uspokoił. Odczekawszy moment, poczuł, że jego ciało zaczyna

wypełniać powoli dziwna energia. Wzbierała w nim niczym płyn, aż wreszcie sięgnęła ust i wylała się na zewnątrz, otulając od stóp do głów ciepłą warstwą. Nie wiedział, jak działa ta energetyczna peleryna, sądził jednak, że w jakiś sposób zlewa się z otoczeniem, bo kiedy po raz pierwszy oblekł się nią w górach, Veitch nie widział go z odległości dwóch metrów. Czar omamiał człowieka jedynie na kilkanaście sekund i prysłby, gdyby tylko coś wytrąciło Shaviego z równowagi, ale szaman mimo wszystko nie tracił nadziei, że w ciemności uda mu się przechytrzyć przeciwnika.

Nie usłyszawszy nic więcej, ruszył w dalszą drogę. Rozbolało go od dawna niezwilżane gardło. Nie przystawał już tak często i wkrótce przeszedł tyle, że według swoich rachunków powinien być już dojsć do drzwi. Powinien był. Cóż, widać gdzieś źle skręcił. Nie było sensu zawracać, i tak nie odtworzyłby swojej trasy. Zamyślił się. Zdecydował, że trzymając się lewej strony, prędzej czy później znajdzie się na granicy jaskiń i ziemi, a wtedy graniczny mur zaprowadzi go do wyjścia.

Stąpając ostrożnie, pilnie nasłuchiwał. Chociaż wokół panowała niczym nie zmacona cisza, czyjaś obecność była wręcz namacalna. Nagle zamarł, pewien, że ktoś stanął tuż za nim. Tylko cudem opanował odruch i nie rzucił do ucieczki. Czyżby miał halucynacje? Jeśli tak, nawet dotyk go zwodził, bo na szyi czuł lekki wietrzyk cudzego oddechu. Sam nie miał odwagi ani oddychać, ani przełykać śliny. Każdy inny na jego miejscu czmychnąłby gdzie pieprz rośnie, Shavi jednak przyrzekł ponad wszystko słuchać się intuicji, a ta podpowiadała mu, że najmniejsze drgnienie może przypłacić życiem.

Czekał cierpliwie. Po kwadransie wrażenie się rozmyło. Mężczyzna nie miał pojęcia, czy to umysł spletał mu figła, czy też

rzeczywiście tropiciel znalazł się tuż za nim. Jedynie mdłości, które go ogarnęły, były bez wątpienia prawdziwe.

Sunąc dłonią po ścianie, podjął swoją mozolną wędrówkę.



Wydawało mu się, że odkąd się zbudził, minęło już parę godzin. Od czasu do czasu wstrzymywały go kolejne ciche odgłosy – a to echo szmeru, a to ostrożnie stawiany krok – być może same wytwory jego wyobraźni.

Był już gotowy zrzucić wszystko na karb przewrażliwienia, kiedy znów coś usłyszał i odruchowo się obrócił. Jak każdy na jego miejscu, zobaczył na czarnym tle różne błyski i migotania tworzone przez jakieś zachodzące w oku procesy – tyle że tym razem dwa punkciki nie chciały zgasnąć. Widział je zbyt wyraźnie, umiał skupić na nich wzrok. I ten ich kolor, tak intensywnie żółty...

Dwa żółte punkciki żarzyły się w mroku.

Mrugnęły. Tak, już wiedział, że to oczy. Były bardzo daleko, ale i tak dostał gęziej skórki. Spojrzał przed siebie i ze zdumieniem znów dostrzegł światło – blade światło dnia wlewające się przez szpary pomiędzy framugą a drzwiami.

Pokonawszy na paluszkach ostatni odcinek korytarza, nacisnął klamkę i znalazł się na zewnątrz. Śpiewały ptaki, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Kierowany nagłym impulsem, Shavi zerknął w mrok za swoimi plecami, po czym puścił się biegiem przez stratowany park.

Pędził ile sił w nogach, byle zwiększyć dystans dzielący go od przeciwnika, i przystanął dopiero wtedy, gdy zupełnie opadł z sił.

Rozejrzał się, dysząc. Nikt go nie gonił. Po Fomorianach także nie było śladu.

Przed oczami miał wciąż niewyraźną postać tropiciela. Tak jak się spodziewał, w głębi pieczar zobaczył wilka, ale zwierzę błyskawicznie zaczęło przeobrażać się w człowieka. To, że pragnęło go zabić, nie przerażało szamana tak bardzo, jak świadomość, że człowiek ten wydawał się znajomy.

## ROZDZIAŁ 18

### NA DWORZE U KRÓLOWEJ WRÓŻEK

**Z**za ciemnych pasm wzgórz wyłoniło się Inverness, wysepka światła w oceanie cieni. Veitch i Tom schodzili w dół, nieco niezdarnie, bo po wielodniowym marszu nogi mieli jak z ołowiu. Wyczerpanie potęgował stres – ostatnie kilka dni spędzili na ustawicznym wymykaniu się Fomorianom, których cale mrowie wypełzło znikąd na wrzosowiska. Piechurzy chronili się przed wykryciem, pijąc przyrządzone przez Toma napary, obrzydliwe w smaku, ale zapewniające częściową niewidzialność. Mimo to woleli trzymać się z daleka od wydeptanych szlaków, a te mniej popularne należały do najtrudniejszych. Gdy nie walczyli ze stromymi podejściami, kryli się nerwowo po lasach, czekając aż minie ich dany oddział.

Veitch z łezką w oku wspominał pierwszy etap ich wędrówki przez Szkocję, kiedy to po prowiant zachodzili do wiosek. Dzikizny i jadalnych chwastów miał powyżej uszu, niezależnie od tego jak sprawnie Tom je preparował. Marzył o chłodnym piwie do pizzy lub curry.

Wlekąc się noga za nogą, dotarli do przedmieść.

— Jak sądzisz – spytał londyńczyk – przed wizytą u Królowej da się skombinować gdzieś curry?

Tom spojrział na niego zdziwiony.

— Jakie znowu kary?

— Curry. Takie danie kuchni indyjskiej.

Hipis prychnął niczym kot.

— A jak już znajdziemy twoje curry, może przy okazji strzelimy sobie kilka głębszych? Za zdrowie Ruth. Pewnie od razu nam wyzdrowieje.

— Dobrze, już dobrze. Po co zaraz tyle sarkazmu? – obruszył się Veitch. – Kretyn – mruknął pod nosem, wyprzedziwszy kompana, i od razu poczuł się lepiej.

Termin powrotu Balora zbliżał się nieubłaganie i oddziaływanie bóstwa na rzeczywistość robiło się coraz wyraźniejsze, co nie pozostało bez wpływu na psychikę obu mężczyzn. Co noc w snach widzieli wpatrzone w nich potworne oko. Mokrzy od potu i bliscy mdłości, budzili się z przeświadczeniem, że monstrum wie o ich istnieniu. Nawet za dnia nie potrafili wyzbyć się uczucia, że są przez niego obserwowani, powietrze ciążyło zapowiedzią przyszłych okropności. Atmosfera ciągłego napięcia wpędzała nieraz w czarną rozpacz, a wówczas jedynym wyjściem z sytuacji wydawało się samobójstwo. Walczyli ze wszystkich sił, by odgonić te ataki depresji.



Miejski pejzaż z miejsca poprawił Veitchowi humor. Swojskie klimaty sprawiały, że powoli zapominał o zmęczeniu. Mrok nocy nareszcie rozpraszały uliczne latarnie, a z otwartych okien domów dobywały się smakowite wonie. Niestety, im bliżej

znajdował się centrum, tym więcej zauważał powodów do niepokoju. Mimo że niedawno wybiła dziesiąta, odkąd weszli do miasta, nie spotkali żywej duszy – na chodnikach nie było przechodniów, na jezdniach samochodów. Puby działały, bo ze środka dochodził gwar rozmów, ale wszystkie bez wyjątku miały drzwi zamknięte na klucz. Kiedy Veitch zaczynał się dobijać, wewnątrz zapadała cisza, jednak nikt nie otwierał sprawdzić, kto puka. W końcu pod kolejnym lokalem zlitował się nad nimi któryś z sąsiadów. W oknie na piętrze, zza zaciągniętej zasłony, wyjrzała twarz starszego mężczyzny. Sądząc po jego przerażonej minie, był to dla niego akt wielkiej odwagi.

— Na miłość boską, człowieku, przecież już po zmroku! Wracaj w te pędy do domu, jeśli ci życie miłe!

Zatrzasnął za sobą okno, zanim Veitch zdążył spytać go, co jest grane.

— Proszę pana! Proszę wrócić! Proszę otworzyć!

Londyńczyk nawoływał dobrą minutę, ale nieznajomy pozostał głuchy na jego prośby.

Tom nie przerywał marszu. Nic go nie zrażało.

— Co tu się dzieje? – Krzyknął za nim Veitch.

— Co tu się dzieje, pytasz? Ot, starzy znajomi wpadli z wizytą i nie odejdą dopóki z wszystkimi się nie zabawią.

— Masz na myśli tych, z którymi przyszliśmy się tu zobaczyć?

— Tak, Królową Wróżek i...

— Wróżek? – Rozbawił Veitcha. – Nabijasz się ze mnie.

— Pod takim imieniem pojawia się w legendach. Cóż, nie powiem, czarować to ona umie. Z czym jeszcze kojarzą się wróżki? Są pomocne, mają dobre serca... Ludzie sądzą chyba, że nazywając ją w ten sposób, zachęcają do tego, żeby taką właśnie się stała. Albo że nieco ją udobruchają. Marzenia ściętej głowy!



— A ty jak byś ją trafniej nazwał?

— Lepiej, żeby nie usłyszała moich propozycji. – Tom odwrócił twarz, żeby Veitch nie wiedział, co się na niej maluje. – Tylko czasem sam z niczym przy niej nie wyskocz! W Zaświatach musimy mieć się na baczności.

— Z twoich opisów wylania się obraz jakiejś straszliwej wiedzy, która tylko czyha, żeby przetrącić nam karki.

— Sam zobaczysz. Jest charyzmatyczna, fascynująca, pociągająca. A przez to wyjątkowo groźna.

— O mnie się nie martw.

— Dobrze ci radzę, więcej pokory! Na Dworze pod Wzgórzem Cisów jeden fałszywy ruch możesz przypłacić życiem, a zaręczam ci, że łatwo jest się tam zatracić i zapomnieć. Każdy dwór Złotego Ludu poświęcony jest innemu aspektowi życia. Dworowi Spragnionego Serca patronuje przyjemność, dlatego też królują tam chaos i szaleństwo. Znasz zasady zachowania się w Zaświatach, nieprawdaż? Nie możesz sobie pozwolić na to, by ich teraz nie przestrzegać. Przede wszystkim, aby nie zostać niewolnikiem, pod żadnym pozorem nie jedz nic i nie pij, a uprzedzam, że Królowa lubuje się w przechytrzeniu swoich gości. Będziesz musiał się pilnować, Ryan! Jak nigdy dotąd!

Veitcha zaszokowało, że Tom użył jego imienia. Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na podobną poufałość. Londyńczyk po raz pierwszy poczuł, że hipisowi naprawdę zależy na jego bezpieczeństwie.

— A co się stanie, jeśli przypadkiem...

— Nie będzie żadnego przypadkiem!

— No to teoretycznie.

Tom westchnął.

— Nie pozwolą ci wrócić na ziemię, a przynajmniej nie

pozwołą na to dopóty, dopóki Królowa nie rozbierze cię aż po molekuły i nie złoży z powrotem w taki sposób, na jaki akurat będzie miała ochotę. Dopóki nie doświadczysz każdej możliwej odmiany cierpienia i rozkoszy. Dopóki sam nie zaczniesz się domagać, by tak właśnie cię traktowano. Kiedy bogini z tobą skończy, będziesz już zupełnie innym człowiekiem, jeśli w ogóle będzie można zaliczać cię jeszcze do ludzi.

Jeśli Szkot zamierzał Veitcha nastraszyć, to mu się udało.

— Nie ma na świecie mężczyzny, który by jej nie pokochał – ciągnął – ale Królowa traktuje pupili na zmianę z życzliwością i okrucieństwem. Czasami nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji swojego postępowania. Istnieje wiele podań o jej bestialskich wybrykach, bo nawet po odejściu bogów zdążało się, że bramy na Wzgórzu Cisów kogoś przepuszczały. Chociażby dwóch wędrownych skrzypków. Zaprosiła ich na ucztę i zapłaciła za przygrywanie zebrany przez resztę wieczoru. Dali z siebie wszystko, a kiedy rano odprowadzono ich na Tom–na–hurich, rozpadli się w proch, bo w międzyczasie minęło dwieście lat. Ileż Królowa miała uciechy, ukrywając to przed nimi! Veitch zamilkł na chwilę.

— A ty, czemu się nie rozpadłeś w proch po wyjściu?

Tom parsknął śmiechem.

— Cóż, tylko ludzi spotyka ten los. Moja patronka już zadbała o to, żebym go uniknął.

Zatrzymał się na środku drogi i spojrzał w zadumie w stronę rzeki. Veitch domyślił się, że gdzieś tam właśnie leży cel ich podróży.

— Według legendy leżą pod Tom–na–hurich pogrążony w śnie, z moimi ludźmi i białym rumakiem, aż pewnego dnia obudzę się, aby uratować Szkocję przed katastrofą.

— No to chyba tym właśnie się teraz zajmujesz?

Tom prychnął.

— Tak naprawdę nie ma herosów i szlachetnych czynów. Są tylko zwykli ludzie – zagubieni, rozdarci, kierowani trudnymi do sprecyzowania pobudkami. Przypadek decyduje o tym, czy przejdziemy do historii jako bohaterowie czy jako tchórze, o tym, czy w ogóle do niej przejdziemy.

— Jesteś skończonym cynikiem – stwierdził Veitch. – I grubo się mylisz.



Szli w milczeniu przez kwadrans, aż londyńczyk zauważył nagle bijącą pośród sklepów High Street złotą lunę. Przesuwała się w ich kierunku, rzucając dziwne cienie na ponure ceglane ściany centrum handlowego Eastgate.

— A to co takiego? – spytał, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

— Komitet powitalny. Cóżby innego?

Kiedy poświata się przybliżyła, Veitch zorientował się, że otacza ona grupkę idących ulicą ludzi, chociaż żaden z nich nie niósł latarki ani innego źródła światła. Nauczony doświadczeniem, nie zdziwił się, że twarze nieznanomych płynnie się przeobrażają.

Tom wzdrygnął się na ich widok, ale poza tym zachował spokój. Wyprostował się. Jak zwykle, nie sposób było odgadnąć, co myśli. Londyńczyk stanął u jego boku, czując nieznośne napięcie.

Tuatha Dé Danann było pięciu. Mieli na sobie złote pancerze

nałożone na szaty z czerwonego jedwabiu, a na głowach dziwaczne hełmy przyozdobione wielkimi muszlami.

— Straż przyboczna Królowej – mruknął hipis. – Szukają na mieście rozrywki.

Instynkt nakazywał Veitchowi uciekać, ale musiał brać przykład z kompana. Nie mając większego wyboru, przyglądał się poczynaniom przybyszy. Bogowie zaglądali przez okna wystawowe, przeczesywali wzrokiem mijane przecznice. Dostrzegłszy dwóch wędrowców, uśmiechnęli się drapieżnie i przyspieszyli kroku, jakby spodziewali się, że trzeba będzie ich gonić.

— Wierny Tomasz! – zawołał przywódca strażników, bynajmniej nie z serdecznością osoby, która przypadkiem napotkała znajomego, ale z triumfem chuligana rozpoznającego dawną ofiarę i liczącego na to, że znowu zabawi się jej kosztem.

— Melliflorze. – Tom grzecznie skłonił głowę.

Dwóch strażników zajęło pozycje za mężczyznami, aby odciąć im drogę ucieczki. Co jakiś czas Veitch zerkał na nich niespokojnie.

— No, no. Sądziłeś, że opuściłeś nas na dobre. Tak trudno zapomnieć o urokach naszego Dworu? – Melliflor nie krył sarkazmu. – Kuszą, wiem, że kuszą. A może to nasza Pani sprowadziła cię z powrotem? Będzie wniebowzięta.

— W takim razie zaprowadź mnie do niej, proszę – odparł Tom. Stęskniłem się za nią po tylu latach.

Melliflor zasygnalizował dworskim gestem, że łaskawie zgadza się, aby to Tom był przewodnikiem grupy. Sam dołączył do niego po kilku krokach, uparcie ignorując Veitcha.

— Czy można widzieć, czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? – spytał Szkota.

— Pragnę odnowić stare znajomości.

— Słyszałem, że przyczyniłeś się do naszego powrotu do Niezmiennych Krain. Jestem pewien, że Królowa zechce ci się odwdzięczyć, tak jak to ma w zwyczaju.

— Wybacz, Melliflorze, ale nie jestem w nastroju do pogawędki. Zmęczył mnie wielodniowy marsz. Nie dręcz mnie, idź przodem.

Złośliwy uśmieszek na twarzy boga stanowił niezbity dowód na to, że zrozumiał ukryte znaczenie słów Toma – jeszcze kilka takich komentarzy, a popędliwy Veitch mógł strzelić do przywódcy strażników z kuszy.

Wędrowali w szybkim tempie wyludnionymi ulicami. Nikt nie zabrał już głosu. Przeszli most nad Ness, a potem ruszyli na zachód Glenurquhart Road. Domy w tej okolicy były opuszczone, po niektórych zostały tylko wypalone od wewnątrz skorupy. Skręcili na cmentarz pełen jasnych, postawionych na sztorc nagrobków. Połyskując w świetle księżyca, przywodziły na myśl szeregi upiorów.

Z serca cmentarza wyrastało zniecka strome wzgórze. Porastał je gęsty las: ostrokrzewy, jawory, sosny, dęby i, rzecz jasna, cisy. Gdzieś tam panoszyły się kępy kolczastego głogu. Zbocza wzniesienia także usiane były mogiłami – zdawały się wyrastać z ziemi niczym sąsiadujące z nimi drzewa.

— Witajcie u stóp Wzgórza Cisów – oznajmił Melliflor uroczystym tonem. – Miejscowi nazywają je Tom-na-hurich, tak jak i sam cmentarz.

Poprowadził ich wzdłuż zadbanych kwater do drogi wiodącej spiralą na sam szczyt. Miała nowoczesną nawierzchnię, ale trasę, którą wyznaczała, musiały już przed wiekami pokonywać procesje pątników.

Weszli w las. Wśród drzew panowała zbyt poniosła atmosfera, by przerywać ciszę. Każdy krok budził nienaturalnie donośne echa. Światła Inverness zostawili wkrótce w tyle. Letnia noc porażała intensywnością zapachów.

Na polanie na wierzchołku wzniesienia zamiast ołtarza druidów znajdował się rażący w tym miejscu wiktoriański cmentarz. Rzędy schludnych pomników otaczały sędziwe cisy i dęby. W najwyższym punkcie kamienny krzyż upamiętniał ofiary obu wojen światowych.

Zatrzymali się przy jednym ze zmurszałych brązowych nagrobków. Zrobiwszy krok do przodu, Melliflor pochylił głowę, mamrocząc coś pod nosem. Sekundę później, jakby włączono jakąś niewidzialną maszynę, ziemia zawibrowała basowym pomrukiem i rozstąpiła się, odsłaniając ujście długiego ciemnego tunelu. Z jego głębi dobiegała skoczna muzyka, od której nogi Veitcha rwały się do tańca. Londyńczyk poczuł też nagle, że zjadłby konia z kopytami, bo wesołym dźwiękom towarzyszyła woń wschodnich przypraw. A potem zerknął na Toma. Jedno spojrzenie i wszystkiego mu się odechciało. Twarz starszego mężczyzny była biała jak ściana, mięśnie mimiczne napięte z wysiłku wkładanego w zachowanie pozorów. Jeden nerwowy tik w kąciку ust mówił więcej niż najgłośniejszy skowyt śmiertelnie przerażonego zwierzęcia.

U końca tunelu wisiała szkarłatna portiera. Melliflor odchylił ją, przepuszczając gości przodem. Znaleźli się w ogromnej sali, najwyraźniej w samym środku hucznego przyjęcia. Muzyka wręcz ogłuszała. Grały skrzypki, bębny, flet i całe mnóstwo innych ludowych instrumentów, nigdzie jednak nie było widać muzykantów. Powietrze nagrzewał buzujący w kominku ogień, co mimo lata, o dziwo, nie dawało się we z znaki. Każdy wdech

oszałamiał coraz to innym zapachem – chmielu, kardamonu, pieczonej wołowiny, limy, truskawek Veitchowi zakręciło się w głowie.

Wokół tyle się działo, że na niczym nie potrafił się skupić. Okalające salę stoły uginały się pod potrawami z całego świata, ale, nie wiedzieć czemu, niektórym półmiskom mężczyzna nie mógł przyglądać się dłużej. Wolną przestrzeń pośrodku wypełniali tańczący. Setki Tuatha Dé Danann wirowały w dzikim zapamiętaniu w takt niezwyklej melodii, w którą, sądząc po przerwach, wkomponowane były ultradźwięki. Kłębowisko balowiczów przypominało wzburzone morze, złote fale rozbijały się o stoły i ściany. Na ich widok londyńczykowi po raz kolejny zakręciło się w głowie.

Z początku zmysły Veitcha nie radziły sobie z nadmiarem bodźców – trzęsły mu się kolana, bał się, że zemdleje – jednak stopniowo zaczynał zatracać się w kalejdoskopie wrażeń. Chciał zjednoczyć się z tłumem, dać się porwać uniesieniu. Jego ciało zachowywało się tak, jakby zażył koktajl narkotyków: łagodny środek halucynogeny w połączeniu z amfetaminą.

Ktoś z prawej zaoferował mu puchar czerwonego wina. Półprzytomny, nie odrywając wzroku od parkietu, odruchowo wyciągnął rękę po naczynie.

Ocuciła go błyskawiczna reakcja Toma. Szkot niby to mimochodem pociągnął przedramię Veitcha w dół, dziękując jednocześnie za wino dziewczynie, która nim częstowała. Użył przy tym wielu kunsztownych formułek grzecznościowych, najwidoczniej niezbędnych, jeśli chciało się uniknąć gniewu gospodarzy. Udało się, przynajmniej częściowo. Bogini odeszła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

Tom rzucił Veitchowi piorunujące spojrzenie. Zawstydzony

londyńczyk pragnął zapaść się pod ziemię. Nie mógł uwierzyć, że tak szybko dał się omamić. Obiecał sobie, że to już się nie powtórzy.

lego uwagę ponownie przykuł roztańczony tłum, a dokładniej zalegające na obrzeżach dygoczącej masy cienie. Przyjrząwszy się im uważniej, dostrzegł płataninę nagich ciał – jeśli oczy go nie myliły, bogowie uprawiali seks. Jedne ruchy były zmysłowe, inne gwałtowne, wręcz brutalne. Głowy podrygiwały, tułowia kołysały się rytmicznie, bujne biusty trzęsły, plecy wyginały. Co jakiś czas przez ścianę dźwięków przebijały jęki rozkoszy. Veitch nie widział wszystkiego wyraźnie, ale coś mu się nie zgadzało. Zamiast tulić się do siebie, ciała kochanków przenikały się jak gęste płyny.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

Dołączył do nich Melliflor.

— Powiadomiłem już Królową, Wierny Tomaszu. Nie posiadała się z radości. – Strażnik nadal pławił się w sarkazmie, choć głos miał słodki jak ulip. – Niedługo cię przyjmie. Tymczasem zachęcam ciebie i twego towarzysza, abyście się rozgościli. Proszę, nie krepuj się, jedzenia i wina jest pod dostatkiem, a w Dalekich Łądach nie znajdziesz lepszych muzykantów. Baw się jak przystało na syna Dworu Spragnionego Serca.

— Czy za posiłek zażądacie czegoś w zamian? – spytał Tom bez większego entuzjazmu.

— Oj, Tomaszu, Tomaszu – Melliflor przekrzywił głowę – wiesz dobrze, że tu się niczego nie obiecuje.





Wędrowcy usadowili się w kącie na stercie poduszek, skąd mogli w spokoju obserwować parkiet. Veitch od dawna nie siedział na czymś równie wygodnym – najchętniej by zasnął, ale podejrzewał, że byłoby to z jego strony nierozważne. Bo i co nie byłoby nierozważne? Tego do końca nie wiedział. Na wszelki wypadek we wszystkim naśladował po prostu Toma. Pluł sobie w brodę, że nie przywiązywał wagi do lekcji etykiety, jakich Szkot udzielał mu podczas marszu przez góry.

Wielokrotnie podchodzono do nich z dzbanami wina lub półmiskami smakołyków, ale rymopis nieodmiennie dziękował grzecznie za poczęstunek. Tuatha Dé Danann przekomarzali się chyba ze swoimi gośćmi, chcąc sprawdzić, czy ci za którymś razem się nie zapomną. Veitch widział, jak szepczą do siebie podekscytowani, śmiejąc się i wskazują na niego palcami. Kiszki grały mu marsza, usta miał pełne śliny. Myślał wyłącznie o tym, ileż to godzin już nie jadł.

Wreszcie doczekali się audiencji. Melliflor stanął przed nimi i skłonił się nisko.

— Królowa wzywa.

Poprowadzono ich diugimi kamiennymi korytarzami wypełnionymi odurzającym zapachem kadzideł i olejków. Na ścianach wisiały jeden przy drugim misternie utkane arrasy. Zza mijanych drzwi dochodziły nieraz niepokojące jęki – trudno było ocenić czy bólu, czy rozkoszy.

Ze stropu komnaty, w której czekała bogini, spływały niezliczone zasłony z kremowego jedwabiu, delikatnego niczym pajęczyna. Prześwitywało przez nie migotliwe światło pochodni, co tworzyło efekt iskrzącej się białej mgły. Z osobna płachty tkaniny były niemal przezroczyste, ale w masie uniemożliwiały

dojrzenie, co też kryje się w sercu pomieszczenia. Melliflor skłonił się na pożegnanie. Zanim odszedł, nakazał im gestem śmiało wchodzić do środka.

Zaczęli się posłusznie przedzierać przez kolejne warstwy jedwabiu, muskające zwiewnie ich skórę niczym rój motyli. Z każdym krokiem widzieli coraz wyraźniejszy zarys ogromnego legowiska i spoczywającej na nim w leniwej pozie kobiety.

Królowa leżała na stosie kosztownych poduszek, tak wielkim, że z łatwością mogłaby się w nim utopić. Veitch jeszcze nigdy w życiu nie zetknął się z osobą o tak pięknej twarzy. Wydatne usta zdawały się być wyrzeźbione z mokrego koralu, a intensywnie zielone oczy płonęły wewnętrznym światłem. W jej urodzie było coś okrutnego, co czyniło ją tym bardziej pociągającą. Lśniące czarne włosy sięgały jędrnych pośladków. Ciało bogini, połyskującego złotymi drobinami, nie okrywała nawet najmniejsza szmatka. Miała duże piersi o sterczących sutkach, szczupłą kibić, płaski brzuch i szerokie biodra. Nic dziwnego, że rezydowała na Dworze Spragnionego Serca – stanowiła poniekąd ucieleśnienie męskich fantazji. Veitch zastanawiał się, czy kobieta naprawdę tak wygląda, czy przeobraziła się w jego domniemany ideał, żeby sprawniej nim manipulować. Powtarzał sobie w duchu, że plemię Danu to szczerwane bestie.

Jego wzrok przyciągnęły włosy łonowe Królowej, kruczoczarne, a zarazem nienaturalnie gładkie. Bogini leżała z szeroko rozłożonymi nogami, odsłaniając bezwstydnie nabrzmiały krwią srom. Chyba celowo przybrała pozycję, w której mogła zaprezentować się gościom w całej okazałości. Veitch zrozumiał, dlaczego Tom był nią niegdyś tak bardzo oczarowany.

— Cudownie cię znowu widzieć, Wierny Tomaszu. – Mówiła

takim tonem, jakby właśnie przeciągała się po masażu. Miała niski, zmysłowy głos.

— Królowo. – Tom skłonił głowę.

— Podejdz bliżej. Kogóż to z sobą przyprowadziłeś? Stanęli tak blisko łoża, że Veitch poczuł słodki zapach jej skóry.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, rozchylając usta.

— To Ryan Veitch, Pani. Jest jednym z Braci Smoków.

— Doprawdy? – spytała bez cienia ironii. – Dzielny wojownik z Niezmiennych Krain? – W jej oczach można się było dopatrzeć czegoś na kształt podziwu. Jeśli tylko udawała zainteresowanie, była doskonałą aktorką.

Veitch skłonił się niezdarnie, co przyjęła z zadowoleniem. Zwróciła się teraz wprost do niego: — Wyświadczyłeś nam nieoszacowaną przysługę uwalniając nas spod działania czarów Nocnych Wędrowców. Jesteśmy zobowiązani. Jeśli na moim Dworze znajduje się coś, czego ci trzeba, powiedz tylko, a w nagrodę będzie to twoje.

— Dziękuję. – Veitch zmieszał się, bo słyhać było, jak bardzo jest zdenerwowany.

Królowa dostrzegła nagle wystające spod rękawa jego kurtki tatuaże. Zaciekawiona, zmarszczyła czoło.

— Co my tu mamy? Czyż to nie Berło Pragnień? – Odkrycie to odrobinę ją podekscytowało. – Muszę się temu przyjrzeć. Zdejmij, proszę, koszulę.

Veitch zerknął na Toma, który przyzwolił mu na to skinieniem głowy, po czym, skrępowany, obnażył umięśniony tors. Wielobarwne obrazki załśniły w świetle pochodni. Królowa przysunęła się tak blisko, że poczuł na skórze brzucha jej oddech.

— Strażnica, miecz... To Excalibur, prawda? Niesamowite...

Uśmiechnęła się zalotnie. – Chodzący z ciebie album.

Patrząc Veitchowi prosto w oczy, dotknęła go delikatnie pod pępkiem. Mężczyznę przeszedł gwałtowny dreszcz. Ani się obejrzał, a pod jego spodniami pojawiło się znaczące wybrzuszenie. Wyprężony członek bolał z podniecenia. Trysnął, gdy tylko bogini oderwała palce. Londyńczyk cofnął się mimowolnie o krok, oddychając konwulsyjnie.

Wygrawszy pierwszą rozgrywkę, Królowa z miejsca zaczęła traktować Veitcha jak powietrze. Zajęła się Tomem.

— Byłeś zawsze moim ulubieńcem, Wierny Tomaszu.

Skłonił się.

— Pani, jesteś dla mnie niezwykle łaskawa.

— Dlaczego wróciłeś? Myślałam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. Chyba nie stęskniłeś się za względami, jakimi cię obdarzałam?

— Przybyliśmy tu, Pani, błagać cię o pomoc. To dla nas sprawa ogromnej wagi.

— Dla nas?

— Dla mnie, Królowo. Jeśli mi pomożesz, będę ci dozgonnie wdzięczny.

— Dozgonnie, powiadasz? Brzmi kusząco...

Choć Veitch domyślał się, co okrutnej władczyni chodzi po głowie, i tak nie potrafił przestać jej pożądać.

— Jedna z Sióstr Smoków została zainfekowana skazą Nocnych Wędrowców – wyjaśnił Tom. Zamilkł na chwilę, by lepiej dobrać argumenty, świadomy, że los Ruth leży w jego rękach. – Skaza to mało powiedziane. Wydano na nią wyrok. W jej ciele z czarnej perły odradza się Serce Cieni. Nocni Wędrowcy planują jego powrót w dzień święta Lughnasadh.

Królowa cierpliwie wysłuchiwała pupila.

— Istotnie, masz powód do niepokoju. – Na niej samej informacje te nie zrobiły żadnego wrażenia. Ułożyła się na poduszkach nieco inaczej, tak że Veitch znów mógł oglądać jej zaróżowioną łechtaczkę. – Co byłoby zatem spełnieniem twoich marzeń?

Tom przełknął ślinę.

— Zniszczenie Balora.

— Uratowanie Ruth – poprawił go szybko jego kompan.

Bogini uśmiechnęła się. Spoglądała to na Veitcha, to na Toma.

— To jak? Sami jeszcze nie wiecie?

— Ależ wiemy, wiemy. – Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Veitch już by nie żył.

— Nie musicie się kłócić. – Głos Królowej ociekał słodyczą. – Być może będę w stanie dogodzić wam obu.

Tom znowu się skłonił.

— Z wdzięcznością przyjmiemy jakąkolwiek pomoc, Pani.

Bogini zerknęła na Veitcha. Mężczyzna zorientował się, że też powinien być oddać jej hołd, więc bezzwłocznie poszedł w ślady swojego towarzysza, mamrocząc nieskładnie stosowną formułkę. Kobieta uśmiechnęła się, udobruchana.

— Posiadam w mojej kolekcji wiele magicznych przedmiotów. O niektórych z nich nie wiedzą nawet ci moi pobratymcy, którzy wraz ze mną zamieszkują Dwór Spragnionego Serca. Większość tych cacek to prezenty od wielbicieli – prędzej czy później każdy oddaje mi wszystko. Tylko co się nada... – Zamyśliła się. – Mam! Kula Wirów. Wyssie esencję bytu i odeśle ją w przestrzeń między światami.

— Czy Siostra Smoków przeżyje taki zabieg?

— Oczywiście. Nic jej się nie stanie. A Serce Cieni trafi do miejsca, gdzie nic nie rzuca cienia. – Ta wizja rozbawiła boginię.

Veitch nie potrafił ukryć, jak wielką odczuł ulgę. Zerknął na Toma. Rymopis lepiej się maskował, ale i jemu najwyraźniej kamień spadł z serca.

— Dziękuję, Królowo – powiedział.

— A zrobisz coś dla mnie w zamian, Wierny Tomaszu?

Tom spał się, jakby w oczekiwaniu na cios.

— Jestem do twoich usług, Pani.

Spodziewał się, że zażąda, by pozostał u jej boku. Bogini udała, że zastanawia się nad tym, o co go poprosić w rzeczywistości rozkoszowała się tym, że ma nad nim władzę.

— Nie, chyba jednak ci podziękuję. Wolę tego tu Brata Smoków. – Rzuciła londyńczykowi uwodzicielskie spojrzenie. – To jemu oddam... Jemu dam Kulę Wirów. Pod jednym warunkiem.

— Zrobię, co zechcesz – palnął Veitch bez namysłu.

Na twarzy Królowej zagościł triumfalny uśmiech, na którego widok zrobiło się Ryanowi nieswojo.

— Nasza Tropiąca Bestia znów wymknęła się z podziemi Dworu. Poluje teraz gdzieś w Niezmiennych Krainach. Moim pragnieniem jest, aby Brat Smoków odszukał ją i zgładził, ewentualnie sprowadził ją tu z powrotem.

Veitch słuchał jej rozkazu, nie odrywał jednak wzroku od Toma, który poblądł tak gwałtownie, jakby lada moment miał zemdleć.

— Tropiąca Bestia... – zaczął rymopis.

Królowa nie dała mu skończyć.

— Zrobisz to dla mnie? – spytała londyńczyka.

Veitch stwierdził w duchu, że niezależnie od obiekcji Toma, nie mają wyboru.

— Jasne.

— W takim razie zaraz się wszystkim zajmę. Melliflor zaopatrzy cię w niezbędny ekwipunek.

Słowo się rzekło. Obaj wędrowcy wycofali się w jedwabny gąszcz. Przedzierając się przez warstwy zasłon, Veitch otarł się przypadkiem swojego kompana i odkrył, że Tom trząsał się jak galareta.

Oddano do ich dyspozycji dwie połączone drzwiami sypialnie położone z dala od gwaru głównej sali. Umierali z głodu, który dokuczał tym bardziej, że w pokojach zostawiono dla nich półmiski z jedzeniem. Hipis wydobył z czeluści chlebaka dwie torebki orzeszków ziemnych zostawione na czarną godzinę. Ich zawartość pochłonęli w mgnieniu oka.

Ryanowi cisnęło się do głowy mnóstwo pytań, ale z początku Tom nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Przez godzinę nie wychodził ze swojej sypialni. Leżał na łóżku i palił skręta.

Veitch nie mógł się uspokoić. W jego głowie kotłowały się chaotycznie wspomnienia wszystkiego, czego doświadczył w ciągu kilku ostatnich godzin, a co kilkanaście sekund stawała mu przed oczami naga Królowa. Zaczynał się obawiać, że to początki jakiejś obsesji. Zmuszał się do tego, by nie myśleć o ciele bogini, ale wówczas dręczył go z kolei widok porozstawianych na stołach potraw.

Ulżyło mu, kiedy Tom zdecydował się z nim wreszcie porozmawiać. Choć na chwilę oderwało to jego uwagę od niezaspokojonych potrzeb fizycznych.

— No, dalej. Powiedz mi, co to, kurde, za bestia.

Tom przysunął sobie krzesło i usiadł na nim z oparciem do przodu.

— Nie mogę uwierzyć, że jej to obiecałeś. Trzeba ci było zakleić tę cholerną gębę plastrem.

— Nie mieliśmy wyboru.

— Co za bzdura. Zrozum, oni się z nami drocą, targują. Tak jak w handlu, nie przyjmuje się pierwszej oferty. To jej goła cipka tak cię zahipnotyzowała.

— A ciebie nie? Mało brakowało, a dyszałbyś z wywieszonym jęzorem!

Tom zaklął szpetnie i zakrył oczy dłonią.

— Nie ma o czym dyskutować. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy się zastanowić, co zrobić, żebyś wyszedł z tego cało.

Veitch kopnął drugie krzesło, tak że przeleciało przez pokój.

— Słucham. Nawijaj. Co wiesz o tej bestii?

— Tropiąca Bestia to stwór rodem z najgorszych koszmarów. Nawet sami Tuatha Dé Danann wolą nie wchodzić jej w drogę. Według legend Złotego Ludu zamieszkiwała Zaświaty już wtedy, kiedy pojawili się tu po raz pierwszy, należy więc do najstarszych stworzeń we wszechświecie. Mówi się o niej, że jest czymś w rodzaju prototypu drapieżnika, prototypem nie do końca dopracowanym czy udanym.

Veitch przysiadł na brzegu łóżka.

— I występuje w legendach istot, które my, ludzie, mamy za bogów?

— Zgadza się.

— Czyli każą mi jej szukać, żeby oszczędzić sobie fatygi? Bomba. Cóż, można się było tego spodziewać, prawda? Te dranie lubują się w wysługiwaniu innymi. Skoro się jej boją, po jakie lichy ją hodowali? I jakim sposobem mam ją niby zabić?

— Królowa trzyma na Dworze wiele groźnych stworzeń i przedmiotów. To podnosi jej prestiż. A co do twojego drugiego pytania...

— Szkot rozłożył ręce. – Nie mam zielonego pojęcia. Za mało o



niej wiem. Plemię Danu także. Może jednak pocieszy cię informacja, że unikają bestii nie tyle ze względu na jej siłę, co na jej odrażający wygląd. Odrzuca ich podobnie jak Fomorianie. Nas ledwie tolerują, a co dopiero coś brzydszego.

— To jest niebezpieczna, czy nie?

— Jest, i to bardzo. Nie lekceważ swojego przeciwnika. Kiedy przed wiekami, jeszcze przed moim urodzeniem, uciekł do naszego świata, zanim bogowie go pochwycili, zginęły setki ludzi. Wierzono wówczas, że jest synem śmiertelniczki i samego diabła. Podania, jakie się o tej wizycie zachowały, głoszą, że bestia ma głowę węża i tułów drapieżnego kota, co znaczy tylko tyle, że nikt nie potrafił jej należycie opisać. Ponoć ujada tak, jakby w jej brzuchu czekało czterdzieści ogarów, które dopiero zwęszyły trop. To stąd wziął się jej przydomek.

— Tak właściwie nic o niej nie wiemy, poza tym, że lepiej się do niej nie zbliżać. – Veitch zerwał się z łóżka i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Co jakiś czas zerkał mimowolnie w stronę półmisków.

— Raz już bydlę zagnali do Zaświatów, więc rzecz jest do zrobienia. Ha, może nie będzie tak źle. W każdym razie, nie ma rady, trzeba chociaż spróbować. Dla Ruth, dla Churcha, dla Sprawy. Nie możesz ich zawieść.

Tom uświadomił sobie, że mężczyzna mówi do siebie, niczym sportowiec przed meczem albo bokser przed walką. Londyńczyk chodził tak kilka minut, obmyślając strategię.

— Dobra nasza – oświadczył w końcu. – Poukładałem sobie wszystko w głowie, a teraz się przekimam.

Szkot zostawił go samego, nie zdradzając ani słowem, że reakcja Yeitcha zrobiła na nim spore wrażenie. Ustaliwszy, co go czeka, mężczyzna zamieniał się w maszynę: nie paraliżował go

strach ani nie zaślebiała pewność siebie. Dzięki dobremu wpływowi Ducha Pendragona, skupiał się po prostu na sprawnym wykonaniu zadania. Tom mógł mieć tylko nadzieję, że to wystarczy.



Veitch nie wiedział jak długo spał – przebywając na Dworze, nie dało się ocenić, jaka jest pora dnia – ale po przebudzeniu czuł się jak nowonarodzony. Z mięśni zniknęło zmęczenie. Był gotowy na podjęcie nowych wyzwań. Nadal doskwierał mu głód, pocieszał się jednak myślą, że już niedługo naje się w swoim świecie.

Tom dołączył do niego, gdy tylko usłyszał, że jego kompan krząta się już po pokoju. Razem wyszli na korytarz, gdzie czekał Melliflor.

Veitch łudził się jeszcze, że Królowa przyjdzie się z nimi pożegnać, ale tak się, rzecz jasna, nie stało. Przywódca strażników zaprowadził ich za to do zbrojowni. Było to długie pomieszczenie o nisko wiszącym stropie i ścianach obwieszonych najróżniejszymi rodzajami oręża. Londyńczyk upatrzył sobie topór z wiszącą u rękojeści kolczastą kulą, ale gdy go podniósł, narzędzie zmieniło kształt. Odłożył je szybko zdegustowany. Spędziwszy piętnaście minut na przeglądaniu ton żelastwa, doszedł do wniosku, że pozostanie przy swoim mieczu i kuszy. Łatwiej poszło ze zbroją. Pod nadzorem Melliflora trzech innych członków straży dobrało dla Veitcha jej fragmenty: mocowany skórzanymi paskami napierśnik ze srebrnym filigranem, naramienniki i bogato zdobiony szyszak podobny

niecو do hełmu centuriona. Londyńczyk zachodził w głowę, z czego też zbroję zrobiono, ponieważ była tak lekka, że mógłby w niej wędrować godzinami. Okazało się jednak, że przeznaczono już dla niego inny środek transportu niż własne nogi. Po zbrojowni zawitali do stajni z imponującą liczbą koni.

— Wykradzione z naszego świata – mruknął Tom – żeby niżsi w hierarchii Tuatha Dé Danann też mogli szybko się przemieszczać.

— Kiepsko to widzę – wyznał Veitch. – Nigdy nie jeździłem konno.

Na twarzy Melliflora pojawił się okrutny uśmiech.

— Trochę przy nich pomajstrowaliśmy i teraz nie sprawiają żadnych kłopotów.

Wskazał zachęcającym gestem na białego ogiera, ale Veitchowi nie przypadł on do gustu.

— Rzuca się w oczy jak lamborghini – wyjaśnił, kierując się w stronę skromnego kasztanka.

Gdy dosiadł wybranego przez siebie konia, Melliflor ujął uzdę zwierzęcia i podprowadził je do ściany. Machnął ręką. Stajnia zatrzęsała się, a kamienny mur rozstąpił, odsłaniając szczyt wzgórza z widokiem na Loch Ness. Świtało. Nad jeziorem unosiły się strzępki mgły. Pachniało sosnami. Dookoła panowała idealna cisza.

Londyńczyk zerknął na Toma. Nie wiedział, co powiedzieć, więc pomachał tylko nieśmiało. W odpowiedzi rymopis skłonił głowę. Obaj rozumieli dobrze, ile emocji kryją te proste gesty.

Veitch spiął konia i pogalopował ku jezioru.



Morze kłębiącej się ciemności smagało niecierpliwymi falami zbocza Mam Tor. Church przyglądał się z góry temu przerażającemu zjawisku, obojętny na uroki kolejnego upalnego dnia. Stopniowo ogarniała go coraz większa beznadzieja.

— Ileszcze trochę, a zaczną się wspinać.

Drgnął. Nie zdawał sobie sprawy, że stoi za nim Laura.

— Lepiej o tym nie myśleć.

— Tak, tak. Skoro chcesz schować głowę w piasek, może przynieść ci łopatkę?

Church zmusił się do bladego uśmiechu – nie był w nastroju do żartów. Dziwił się sam sobie, że jeszcze się nie załamał. Siedzieli odcięci od świata w kryjówce, która lada chwila mogła być odkryta, a stan Ruth systematycznie się pogarszał.

— Ani śladu naszych? – Położywszy mu dłoń na ramieniu, Laura wyteńczyła wzrok. Mieli taki zwyczaj, że codziennie zadawała mu z ironią to pytanie.

— Może jutro. – Starał się wykrzesać w sobie nadzieję, ale nie wierzył, że ktokolwiek z nich wróci. Nie było ich już tak długo. Jak mieliby zresztą przedrzeć się przez otaczające górę wojska? Miał rację, mówiąc Laurze, że lepiej było o tym nie myśleć.

— Ruth prosi, żebyś do niej zajrzał. – Dziewczyna uparcie wpatrywała się w horyzont, byle tylko nie zerkać w dół na nieprzebrane masy Fomorian.

— Jak się czuje?

— Od pewnego czasu przynajmniej nie bredzi.

Ruth coraz rzadziej była w pełni świadoma. Nad ranem miewała ataki: wiła się i okładała rękami. Bali się, że będą musieli ją krepować. Jej krzyki wyrywały ich ze snu. Budzili się złani zimnym potem, nie wiedząc, czy czasem nikt nie usiłuje jej

zabić. Czasem rozmawiała z niewidzialnymi gośćmi. Jej towarzysze nie mogli wtedy zasnąć.

Powłócząc nogami, Church ruszył w kierunku domu, ale Laura dogoniła go już po kilku krokach, przycisnęła do siebie i wpiła się mocno w jego wargi. Było to szokujące u osoby tak zamkniętej w sobie.

— To z jakiej okazji? – spytał, miło zaskoczony.

— A co, nie może być bez powodu? Przecież cię kocham.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, zanim zorientował się, co mu wyznała.



Rozmyślał o tym po drodze, ale zapomniał o Laurze i jej pocałunku, gdy tylko zobaczył Ruth. Jej bladą cerę podkreślały fioletowe worki pod oczami i ciemny kolor mokrych od potu loków. Z dnia na dzień miała coraz bardziej zapadnięte policzki. Pod śpiworem sterczał nabrzmiąły ciężą brzuch. Church podejrzewał, że kobieta nie dożyje pierwszego sierpnia, Jakaś część jego osobowości, z która nigdy nie stanął twarzą w twarz, miała nadzieję, że tak właśnie się stanie. Nie musiałby jej wtedy sam zabić.

Chociaż wszedł do środka na palcach, chora uniosła głowę.

— Hej. Widzę, że się trochę opaliłeś.

Jej głos przypominał szmer.

— Co poradzić. Cały dzień leniuchuję nad basenem.

Przykucnąwszy przy jej posianiu, odgarnął jej z czoła zbłąkany kosmyk. Skóra kobiety parzyła gorączką.

Położyła dłoń na jego dłoni i ścisnęła serdecznie.

— Cieszę się, że do mnie wpadłeś.

— Jasne. Bardzo ci pomagam.

— Naprawdę, wystarczy że jesteś blisko, a zaraz czuję się lepiej.

Uśmiechnął się. Jej oczy poweselały na moment, ale zmuszona była je zamknąć. Po jej policzku spłynęła samotna łza.

— Tak bardzo mi przykro, że musiałaś przejść przez to wszystko. Żadne z nas tyle nie wycierpiało, co ty. Jedno nieszczęście za drugim.

— Nieszczęścia chodzą parami.

Przesunęła dłoń mężczyzny, tak żeby móc ucałować jego palce. Wargi miała przesuszone.

— Zachowujesz się zbyt dzielnie. Stawiasz nam wysoko poprzeczkę. Ach, ty niepoprawna prymusko!

Oboje się zaśmiali. Church wyobraził sobie tę scenę widzianą przez postronnego świadka – wycieńczoną kobietę na stosie paproci, wybite szyby, odrapane ściany. Zamrugął, żeby powstrzymać łzy i nie pokazać po sobie, że żal ścisnął mu serce.

— Czasami mam wrażenie, że znamy się od zawsze. Wydaje się, że od tej nocy pod mostem Alberta minęły całe wieki.

— Może to daje o sobie znać Duch Pendragona. W końcu nie jesteśmy pierwszą drużyną, w której się odrodził.

— Romantyczka z ciebie.

Chciała się zaśmiać, ale zamiast tego rozkaszała się, a później spochmurniała.

— Jestem pogodzona z moim losem, wolałabym tylko być gdzie indziej. Ten dom... To straszne miejsce. Nie wiem, co się tu wydarzyło, ale zdarza się, że słyszę wokół szepty... Przepowiadają różne tragedie: Ryan ma zginąć, a...

— Przestań.

— Te bazgroły na ścianach... Czasem słowa wychodzą do mnie z muru.

Przyłożył jej do ust dwa palce, żeby ją uciszyć. Nadchodził kolejny atak delirium. Łysnęła białkami. Po chwili zaczęła rzucać się na łóżku, majacząc. Church siedział cierpliwie u jej boku, głaszcząc ją po głowie, aż wreszcie uciszyła się i zapadła w sen.



Gdyby nie rozpaczliwa sytuacja, co noc zachwycałby się nocnym niebem nad Mam Tor: ciemnogranatowym, roziskrzonym tysiącem gwiazd. Nigdy przedtem nie był świadkiem czegoś podobnego, bo i po raz pierwszy w życiu nocował na takiej wysokości, w dodatku z dala od zanieczyszczeń wielkich miast.

Podziwiał teraz ten cud natury, tuląc się do Laury, która w drodze wyjątku zdjęła ciemne okulary.

— I tak daleko zaszliśmy. Szkoda tylko, że to już koniec.

— Jeszcze nie lecą napisy.

— Nie, jeszcze nie. – Church śledził wzrokiem spadającą gwiazdę, zastanawiając się, czego może być zwiastunem. – Czasami trudno docenić własne wysiłki. Patrzę na nas i widzę pięcioro szaraczków, przeciętniaków ze swoimi wadami i problemami. Ale nie możemy zapominać, że jednocześnie jesteśmy jednak wybrańcami, zbawcami świata, ucieleśnieniem Ducha Pendragona – czymkolwiek by nie był.

— Może to nic takiego.

— Co?

— Ten Duch Pendragona. Może każdy to ma, ukryte w sobie,

uśpione. Może to duch ludzkości albo coś podobnego. Boże, gadam jak jakaś nawiedzona. Chodzi mi o to, że może Tom nazywa nas wybrańcami, żeby trzymać nas w kupie. Żebyśmy myśleli, że nikt inny prócz nas nie może brać na siebie odpowiedzialności.

— Może raczej po to, żebyśmy się zmobilizowali? Dali z siebie wszystko?

— Ech... – Oparła się czołem o jego ramię. – To by tłumaczyło, dlaczego czujemy się jak ofiary losu, a nie jak herosi. Jesteśmy normalni, a mamy dokonać cudu.

— Na razie spisywaliśmy się całkiem nieźle.

— Na razie. Ale jeśli nie władamy żadną magiczną mocą, tym większe są szanse na to, że wszystko spartolimy. Do tej pory mieliśmy szczęście. Prędzej czy później nas opuści.

Church zadumał się nad jej słowami, wpatrując się w gwiazdy.

— Kilka miesięcy temu, na samym początku, może bym się z tobą zgodził, ale przeszliśmy razem wiele i na żadnym z was się nie zawiodłem. Jesteście wspaniałymi ludźmi. Nie chciałbym mieć w drużynie nikogo innego i nie sądzę, żeby ktokolwiek inny lepiej nadawał się to tej roboty.

— Nie wiesz, co czasem chodzi mi po głowie.

— Potrafię się domyślić.

— Nie, nie potrafisz. Jestem przeżarta ziem na wylot. Weźmy taką Ruth. Czasem marzę o tym, żeby się pospieszyła i kopnęła wreszcie w kalendarz. Miałabym wtedy ciebie tylko dla siebie. Wiem, że to okropne z mojej strony, ale i tak nie mogę się opanować. Czuję do siebie obrzydzenie.

— Masz mnie tylko dla siebie. Nie rozumiem, o co jesteś zazdrosna.

— Boże, jakiś ty tępy. Przejrzyj wreszcie oczy. Kobita cię kocha,



a moim zdaniem z wzajemnością. Gdybyś nie Fomorianie i cała reszta, sam byś się pewnie zorientował.

Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Poczł się zagubiony. Spojrzał na Laurę, ale odwróciła twarz.

— Dobra z ciebie dziewczyna.

— A z ciebie dobry kłamca.

— Zawsze masz na wszystko odpowiedź.

— Gdyby tak było, od szukania odpowiedzi mózg by mi się nie wylewał uszami.

— Posłuchaj...

Zakryła mu usta dłonią.

— Cicho bądź – powiedziała. – Jakoś to będzie.

Nie spodobał mu się wyraz jej twarzy, gdy to mówiła.

Nie chcąc myśleć o niej źle, po prostu ją pocałował: długo, namiętnie. Z początku się opierała, ale tylko z początku.

Nagle uderzył ich silny podmuch lodowatego wiatru. Church odskoczył, dygocząc z zimna. Od zachodu w błyskawicznym tempie zbliżał się do Mam Tor kłęb chmur. W jego wnętrzu strzelały pioruny – jeden z nich trafił w ziemię – ale nie rozległ się grzmot, a chmury były śnieżnobiałe.

Wiatr przybrał na sile. Z trudem utrzymywali równowagę.

— Co to ma być? – krzyknęła Laura. – Co jest grane?

Chmury obniżyły swój lot i Church zauważył, że kogoś z sobą przyniosły, a gdy zakrywająca tajemniczą postać mgła rozrzedziła się nieco, rozpoznał kogo i zrozumiał, co się dzieje.

— Pędem do domu – rozkazał takim tonem, że Laura wolała nie wdawać się z nim w dyskusje. Zerknęła po raz ostatni na chmurę i rzuciła się biegiem ku zagrodzie. Uświadomiwszy sobie, że przyjaciel za nią nie biegnie, odwróciła się zaskoczona, ale machnął na nią gniewnie, że ma się pospieszyć.

Ledwie dziewczyna znikła, gwałtowny podmuch cisnął nim o ziemię. Church usiłował podnieść się z klęczek, ale wiatr napierał z siłą szarżującego byka. Powalił go. Mężczyzna zaczął się toczyć w kierunku skalistego urwiska. Czepiał się rozpaczliwie trawy, ale bez powodzenia. Polne kamienie obijały kości, haratały twarz do krwi. Przepaść była coraz bliżej. Church wyobraził sobie, jak zamieniony w pulpę leży kilkadziesiąt metrów niżej na skałach z przetrąconym karkiem.

Gdy nogi nieszczęśnika wystawały już poza krawędź, ciągnąc go swym ciężarem w dół, huragan zmienacka zelżał. Mężczyzna wziął głęboki oddech. Dygocząc ze strachu o życie, spróbował wczołgać się z powrotem, ale uniemożliwił mu to kolejny podmuch. Przeciwnik pragnął go unieruchomić, posługując się wiatrem niczym treser biczem. Churchowi nie pozostawało nic innego, jak wisieć bezradnie, starając się ze wszystkich sił uspokoić. Jediną szansą na przeżycie było teraz zachowanie przytomności umysłu.

Kręciło mu się w głowie. Skołowany, podniósł wzrok. W chmurze unosiła się przed nim wściekła Niamh. W furii powróciła do swojej pierwotnej postaci: nie była już pociągającą kobietą, ale przedstawicielką obcej rasy. Jej piękna twarz rozmywała się i falowała setką innych. Church po raz pierwszy postrzegał ją tak, jak innych przywódców plemienia Danu.

— Zdrada! – zagrzmiał ze wszystkich stron odmieniony głos bogini. Ziemia zadrżała.

— Nie...

— Dałeś mi słowo! Obiecałeś kochać tylko mnie! Kłamca! Jesteś taki sam jak i wszyscy twoi pobratymcy – niegodny zaufania!

Jednym gestem przesunęła go wiatrem o kilka dalszych centymetrów. Od wczepiania się w darń bolały go palce.

— Wybacz mi, proszę! – Nie wiedział, czy zdołał przekrzyczeć szalejącą wciąż wicherę.

— Drugi raz już mnie nie wystrychniesz na dudka! – Gniew Niamh swoją mocą dorównywał tornadu, ale za jej wybuchem stało złamane serce.

— Błagam o wybaczenie!

Podmuchy osłabły, jakby tym razem bogini usłyszała jego wołanie i była gotowa go wysłuchać. Church postanowił uchwycić się tej szansy.

— Czuję się taki zagubiony. Naprawdę, nie wiem, co mnie napadło...

Padło kolejne uderzenie powietrznego bicza. Jeszcze trochę, a ciężar własnych nóg miał pociągnąć go w dół. Zdjęty paniką, oddychał z trudem. Kości w palcach zdawały się pękać.

— Kłamiesz!

Głos Niamh zrobił się odrobinę bardziej ludzki, a jej rysy przestały się przeobrażać. Twarz miała wykrzywioną rozpaczą. Churcha ogarnęło głębokie współczucie. Jak mógł potraktować ją tak instrumentalnie? Wstyd mu było za siebie.

— Tuatha Dé Danann targają porywy namiętności o sile nieznanej zwykłym śmiertelnikom. Nie potrafiłbyś ogarnąć nawet ułamka tego, co dzieje się w naszych umysłach i sercach!

Kłęb chmur nadal kotłował się za boginią, co jakiś czas unosząc ją nieco ku górze. Opadała zaraz z powrotem na tę samą wysokość. Church chciał jakoś ukoić jej ból, ale nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Milczał więc, by nieopatrnie jeszcze bardziej jej nie rozsierdzić. Kiedy Niamh podpłynęła bliżej, wyczytał z jej twarzy, że gniew bierze jednak górę nad smutkiem i znów zaczął lękać się o swoje życie.

— Zawsze mi powtarzano, że ze związków z Kruchymi

Istotami nie wynika nic dobrego. Nie dowierzałam moim doradcom, ale to oni mieli rację. Siedząc kilkadziesiąt lat twoje poczynania, straciłam widocznie zdolność obiektywnej oceny faktów. ·

Church poczuł, że lada chwila ześliznie się i runie w przepaść. Tyle myśli cisnęło mu teraz się do głowy – jak się uratować, jak przebłagać boginię, co będzie z drużyną... Zdziwiło go to, że nie tyle boi się śmierci, co ma do siebie ogromny żal, że popełnił ten sam błąd, co w kwietniu. Znowu wszystko zaprzepaścił, bo nie kontrolował swoich uczuć.

Nagle wichura ustała. Church spojrział na Niamh. Oddalała się powoli, przyglądając mu się nienawistnie.

— Od tego momentu nasza umowa przestaje obowiązywać – oświadczyła sucho, po czym wskazała na złote błyski na horyzoncie. – Niedługo wizytę złożą wam Dobry Syn.

To powiedziawszy, zniknęła za kurtyną chmur, a ich biała masa nabrała szybkości i skryła się szybko za szczytem góry.

Church wczuł się na trawę, łapczywie zaczerpując ustami powietrze. Nie podniósł się od razu, czekał aż jego serce zwolni. Gdy ukląkł, dobiegła do niego Laura.

— Nie ma co, potrafisz wkurzać kobiety – powiedziała.

Zignorował ją, całą swoją uwagę skupiając na zwiastujących Maponusa złotych błyskach i podmywających Mam Tor czarnych falach.

— Znowu spieprzyłem sprawę – wyszeptał.

— Co takiego?

— Znowu wszystko spieprzyłem.

Nie miał odwagi wyjaśnić jej, co na nich ściągnął przez własną głupotę. Ze zwieszoną głową powlókł się do domu.



Pierwsze dwa dni Veitch spędził przeczesując zalesione stoki wokół Loch Ness. Porażała go atmosfera tajemniczości. Nigdy nie był w równie niesamowitym miejscu: pod bezchmurnym niebem wyłaniały się z ziemi czarne, brązowe lub pomarańczowe skały, sędziwe, powykręcane, sękate drzewa pokrywały podkreślające ich wiek zielonkawe porosty, zaś tam, gdzie drzewa nie rosły, zbocza były fioletowe. Strzępki mgły przemykały wśród pni niczym białe zjawy. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze kojące nerwy śpiewy ptaków i odgłos fal bijących rytmicznie o kamyczki i różowe łupki wzdłuż brzegów jeziora. Tylko sosnowa gęstwina na południowym krańcu zbiornika przypominała w nieprzyjemny sposób odgradzającą od świata palisadę. Wędrowcowi zdawało się, że ktoś go stamtąd obserwuje.

Czasami znikąd nadchodziła burza i fale tłukły o stromy brzeg, innym razem tafla wody była równie nieruchoma co powierzchnia lustra i, przyglądając się odbitym w niej bez jednej skazy krajobrazom, mężczyzna miał ochotę dać nurka w głębiny, by przechadzać się po chłodnych leśnych polanach. Nocą, kiedy nad doliną królowały niezliczone gwiazdy, panowała w niej pełna napięcia cisza, jakby cały świat czekał na odpowiedź na zadane pytanie.

Na okolicznych drogach Veitch nie zauważył ani jednego samochodu – zastanawiał się, czy miejscowi boją się bestii, czy już wcześniej przenieśli się do miast. We wsi Drumnadrochit, gdzie dolina Glen Urquhart krzyżowała się z Great Glen, uliczki zastał wymarłe, a domy zamknięte na głucho, choć z niektórych kominów unosił się dym. W położonym dalej na południe Fort

Augustus sytuacja wyglądała podobnie. Natknął się wprawdzie na kilka osób, ale uciekły na jego widok.

Obie noce spędził nieopodal tego miasteczka, w zacisznym wąwozie. Był przygnębiony. Nic nie wskazywało na to, że w okolicy cokolwiek grasuje. Podejrzewał, że wraz z Tomem mogli paść ofiarą intrygi Królowej, która być może z jakichś powodów pragnęła ich rozdzielić.

Dopiero trzeciego dnia zyskał pewność, że bestia istnieje. Wczesnym rankiem jechał wzdłuż rwącej rzeki żłobiącej dno Glen Urquhart. Dolinę spowijały strzępki mgły zachowujące się jak żywe stworzenia – to pojawiały się, to znikwały, niczym płochliwe acz ciekawskie wróble. Tłumiły i zniekształcały odgłos końskich kopyt i szum spienionej wody. Właśnie tam, pośrodku wystrzyżonego przez owce pastwiska, natrafił na stary kamienny kopiec, jakie się często widuje na szkockich pustkowiach. Nawet Veitch, zwykle mało wrażliwy na energię ziemi, wyczuwał bijącą od tego miejsca moc błękitnego ognia. Nie dane mu było jednak poprawić sobie nastroju tym symbolem Ducha Pendragona. Za kopcem, wśród pozostałych po kromlechu głazach, odkrył szczątki mężczyzny wiszące na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Sądząc po ubraniu zmarłego, był robotnikiem rolnym. Miał rozszarpany brzuch, jakby zaatakował go byk lub dzik. Coś wyjadło mu oczy i odgryzło genitalia – trudno było stwierdzić, czy samo monstrum, czy jacyś padlinożercy. Londyńczyk rozejrzał się uważnie, licząc na jakąś wskazówkę, ale nic nie znalazł, od zwłok nie odchodził też żaden trop. Jedyną rzeczą, jaka rzucała się w oczy, były to, że plamy krwi na ziemi układały się w kształt przerażonej twarzy o rozwartych krzykiem wargach. Shavi nauczył Veitcha, że w nowej rzeczywistości takich znaków nie można bagatelizować – tym bardziej

niepokojące było to znalezisko. Samotny myśliwy odjeżdżał stamtąd, mając wrażenie, że jest coraz bliżej poznania prawdziwego oblicza Tropiącej Bestii.



Tej nocy rozbił obóz niemalże na szczycie wzgórza, skąd mógł swobodnie obserwować Loch Ness i ponure stoki u jego południowego krańca. Zachodzące słońce malowało wody jeziora fioletem i czerwienią. Gładka tafla znowu przypominała szkło. Sosny i dzikie kwiaty wydzielają cudowne wonie.

Veitch nie był w stanie napawać się urokami sielankowej szkockiej przyrody. W każdej chwili spodziewał się ataku przeciwnika, o którym nic a nic nie wiedział. Nie wykluczał, że zwierzę jest niewidzialne lub posiada skrzydła. Marzył o tym, aby zdobyć jakiś punkt zaczepienia. Czułby się znacznie lepiej, gdyby mógł coś zaplanować, coś śledzić, a wreszcie coś najnormalniej w świecie zatłuc.

Żywił się chipsami, czekoladą i kruchymi ciasteczkami, które zabrał z opuszczonego warsztatu samochodowego w Fort Augustus. Obrzydły mu już te śmieci, ale wstydził się wejść w zbroi do lokalnego sklepu, poza tym z napięcia prawie nie czuł głodu.

Przed snem jego myśli nieodmiennie kierowały się ku Ruth. Nawiedzała go bezustannie wizja jej twarzy w momencie, kiedy dowiedziała się, co jej dolega. Nie potrafił zapomnieć wyrazu jej oczu. Wszystko, co teraz robił, robił wyłącznie dla niej. Chęć zostania lepszym człowiekiem czy odkupienia win zeszyły na dalszy plan. Niczego tak nie pragnął, jak wyleczyć i uratować

ukochaną, bez względu na to, jaką cenę miałyby za to zapłacić. Po raz pierwszy w życiu darzył kogoś gorącym uczuciem i zaskakiwało go to, że poświęcanie się w imię miłości jest tak przyjemne.



Zapadał zmrok. Szykując się na kolejną zimną noc, Veitch dołożył do ognia chrustu, po czym zabrał się do oporządzania konia. Zdążył już się przywiązać do darowanego mu rumaka. Podane mu przez Melliflora imię zwierzęcia było nie do wymówienia, nazwał więc ogiera Grom, na cześć konia bohatera amerykańskiego komiksu o kowbojach, którym zaczytywał się jako chłopiec. Za każdym razem, gdy wymawiał to imię, mimowolnie się uśmiechał, nie zamierzał jednak przyznać się pozostałym członkom drużyny do tego dziecinnego gestu. Dbanie o wierzchowca poprawiało mu humor. Niestety zwierzę nie odwzajemniało uczuć. Podchodziło do niego z dużą nieufnością, prawie jakby się bało. Veitch tłumaczył to sobie eksperymentami, jakimi poddano psychikę Groma na Dworze Spragnionego Serca, ale i tak było mu smutno. Nawet koń mnie nie lubi, pomyślał, głaszcząc go po lśniąącym boku. Zabrzmiało to tak idiotycznie, że londyńczyk wybuchnął śmiechem.



To Grom ostrzegł zasypiającego Veitcha przed zbliżającym się



niebezpieczeństwem. Zaczął cicho rzeć i przebierać niespokojnie nogami na długo przed tym, jak mężczyzna cokolwiek usłyszał. Myśliwy zerwał się na równe nogi i stał już z mieczem w dłoni, gotowy do odparcia ataku, kiedy jego uszu dobiegł od strony jeziora mrozący krew w żyłach okrzyk. Wpierw ktoś się przeraził, a potem zawył z bólu i zamilkł.

Dosiadłszy konia, Veitch ruszył w dół ku nadbrzeżnej drodze zwierzę wykonywało rozkazy bez zastrzeżeń, ale w jego oczach widać było lęk. Wkrótce jeździec znalazł się przy porzuconym wraku motoru. Na asfalcie w świetle księżyca błyszcząły kleksy świeżej krwi. Mężczyzna zeskoczył na ziemię, by dokładnie je zbadać. Szkarłatne ślady zdawały się prowadzić ku zatoczce, nad którą to górowały ruiny zamku Urquhart. Veitch nasłuchiwał przez chwilę, ale na próżno. Nie miał pojęcia, z jaką prędkością potrafiła się przemieszczać bestia – mogła w międzyczasie oddalić się na kilkanaście kilometrów – nie należało jednak tracić nadziei. Wspiął się na Groma i pogalopował we wskazanym przez plamy kierunku. Kopyta dudniły o asfalt, zakłócając ciszę nocną głośnym echem. Londyńczyk nadal nie mógł się nadziwić, że nie natrafia na żadne auta.

Dziesięć minut później minął ruiny zamku. Nie odczuwał lęku, górę nad emocjami brała koncentracja. Intuicja podpowiadała mu, że monstrum przebywa gdzieś w pobliżu, a kilka tygodni polowań nauczyły go jej słuchać. Wyteżał wszystkie zmysły, jego gotowość sięgała zenitu.

Za zakrętem na Drumnadrochit natrafił na zakrwawione strzępki odzieży. Ponownie zeskoczył z konia, by dokładniej przyjrzeć się znalezisku. Nie usłyszał ani nie wywęszył niczego podejrzanego, ale Grom coś wyczuwał, bo lysnął białkami i znów przestępował z nogi na nogę.

Z ułożenia skrawków tkaniny Veitch wywnioskował, w którą stronę bestia pobiegła. Powoli, przeczesując wzrokiem zarośla, okrążył zatoczkę. Drzewa rosły tu tak gęsto, że droga tonęła w mroku.

Kątem oka dostrzegł, że po lewej coś się poruszyło. Był to ciemny kształt; ciemniejszy niż otaczające go cienie. Przemieszczał się zatrważająco szybko.

Veitch spiął konia i wjechał w las z kuszą gotową do strzału. W gęstwinie trudno mu było manewrować wielkim zwierzęciem. Czasem nie wiedział czy gałęzią poruszył wiatr, czy też skradający się drapieżnik. Ustawicznie się rozglądał. Jego serce biło jak dzwon na trwogę.

Znów coś się poruszyło i znów, po lewej. Czyżby bestia go okrążała, próbując zająć od tyłu? Nagle zdał sobie sprawę, że, zbaczając z drogi w gęszcz, popełnił wielki błąd i z duszą na ramieniu czym prędzej wycofał się na asfalt. Pożegnał go dźwięk, który Tom określił jako ujadanie czterdziestu ogarów – tak naprawdę nic się z nim nie równało. Było to wysokie wycie przesycone niezaspokojonym od stuleci głodem. Jego echo jeszcze długo niosło się po wyludnionej okolicy.

Coś przesunęło się za plecami jeźdźca. Tym razem zadziałał jak automat. Przeanalizowawszy w ciągu ułamka sekundy wszystkie parametry, zwolnił bełt. Strzała zginęła w mroku, a po chwili dało się słyszeć coś, co mogło być jękiem bólu. Veitch drgnął. Naciągając korbą cięciwę, przygotował kuszę do kolejnego strzału.

Odnalazł miejsce, w którym trafił bestię. Rzecz jasna nie było już po niej śladu, nie spodziewał się przecież jednak, że pójdzie mu tak łatwo. Na nawierzchni drogi lśniły pachnące chemikaliami plamy. Londyńczyk ucieszył się, że nareszcie coś

wie o swoim przeciwniku. Po pierwsze, w żyłach stwora płynęła krew. Po drugie, można go było zranić.

Po trzecie, najwyraźniej zawrócił w kierunku zamku. Ruiny bieleły w księżycowym świetle niczym wytrawione solą kości. Veitch miał ogromną nadzieję, że bestia nie umie pływać. Liczył na to, że na wąskim półwyspie odetnie jej drogę ucieczki. Dysponował tylko mieczem i kuszą, ale wierzył, że mu się uda. Przeszedł go dreszcz ekscytacji. Wyruszał na łowy.

U stóp zamku mieścił się rzęsiście oświetlony parking dla turystów, którzy zapewne już nigdy nie mieli tutaj wrócić. Na jego obrzeżu mignęło coś zwalistego. Veitch wypuścił drugą strzałę. Ponownie rozległ się nieludzki jęk. Wszystko szło jak po maśle.

Zjechał stromą ścieżką prowadzącą z parkingu przez trawnik aż po fosę i zostawił Groma pod latarnią przy moście zwodzonym. Trudno byłoby przeszukiwać ruiny konno.

Warownia istniała w tym miejscu od czasów wczesnego średniowiecza. Chociaż wysadzono ją w powietrze w siedemnastym wieku, nadal wyglądała imponująco. Po obu stronach mostu ciągnęły się grube mury, a po lewej wznosiła samotna wieża, wpatrzony w wody jeziora strażnik.

Pod bramą ciemniała kałuża cuchnącej krwi. Jej ilość wskazywała na to, że bestia jest ciężko ranna. Veitch podniósł z ziemi dwa zakrwawione bełty i przygotował kuszę do następnego strzału.

Za bramą coś zaszeleściło. Mężczyzna wszedł ostrożnie na zamek. Miał świadomość, że to niezwykle trudny teren. Korytarze, dziedzińce i przejścia tworzyły wielopoziomowy labirynt, a z zamkniętej przestrzeni nie sposób było szybko uciec. Stwór mógł się na niego czaić w jednym z tysięcy zakamarków.

Po kolejnym szmerze Veitch rzucił się biegiem po schodach, by z najwyższej blanki ogarnąć wzrokiem cały zamek. W dole nic się nie poruszało, ale londyńczyk tłumaczył sobie, że prędzej czy później bestia będzie musiała czymś zdradzić swoje położenie, zwłaszcza jeśli naprawdę tak celnie ją postrzelił. Zamierzał zapędzić ją w jakąś ślepią uliczkę i tam dobić.

Po kilku minutach obserwacji doszedł do wniosku, że monstrum przebywa na niższym, niewidocznym poziomie, skierował więc kroki ku kaplicy i kuchni. Ledwie znalazł się na niższym dziedzińcu, przemknął za nim znajomy kształt i zanim się obejrzał, silne uderzenie wyrzuciło go w powietrze. Na sekundę ogłuszyło go bolesne lądowanie, ale instynkt samozachowawczy nakazał mężczyźnie szybko się podnieść. Siedział na trawie w cieniu północnego skrzydła. Na szczęście był sam. Gdy zawiął wiatr, na piersiach poczuł dziwny chłód. Okazało się, że z jego kurtki i koszuli zostały strzępy, nawet zbroja nie wytrzymała ataku. Trzy głębokie nacięcia w skórze broczyły obficie krwią. Veitch zabrał się natychmiast do opatrywania ran kawałkiem oderwanego rękawa, ale jego przeciwnik nie poprzestał na jednym podejściu. Padł kolejny cios. W szyi myśliwego coś głośno strzeliło. Przestraszył się, że to kręgosłup. Zobaczył gwiazdy, a potem jego skronie zalała fala pulsującego bólu. Coś pociekło mu z oczu – przetarł je odruchowo, zerknął w dół. Na spodnie skapywał mu ciemny płyn.

Uderzenie go oszołomiło. Postrzegał teraz świat w zwolnionym tempie, obrazy załamywały się, jakby patrzył przez pryzmat.

Bestia wydała z siebie przeraźliwy, triumfalny ryk, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron naraz.

Co jest, zdziwił się Veitch. Przecież ją postrzeliłem.

Nieopodał znów coś mignęło. Jakimś cudem londyńczyk zdołał wypuścić bełt. Zanim doleciał do celu, potwór był już daleko. Unikanie strzał nie sprawiało mu najmniejszych trudności.

Veitch uświadomił sobie, że dał się nabrać. Bestia przechytrzyła go, wykazując się nieprzeciętną inteligencją. Przez te dwa dni to ona go śledziła, to ona go rozpracowywała, to ona wreszcie zwabiła go na półwysep, by odciąć mu drogę ucieczki. Nie docenił istoty starszej od siebie o dziesiątki tysięcy lat.

Musiał jak najszybciej wrócić do Groma, by w zaciszu nabrać sił. Skołatany umysł próbował odtworzyć drogę do mostu. Mężczyzna zrobił niezdarnie kilka kroków do przodu, skręcił raz, drugi, ale gdzie się nie odwrócił, bestia już tam była. Sukcesywnie zaganiała śmiałka pod mur, krążąc wokół niego bez przerwy z tak niesamowitą prędkością, że niemożliwością było opisanie jej wyglądu.

W Bramie Wodnej Veitch potknął się i, objając się dotkliwie o kamienie, sturlał się po stromym zboczu na niewielką kamienistą plażę. Tam niewidoczny przeciwnik zaatakował błyskawicznie po raz trzeci. Zniknął w ciemnościach, zanim mężczyzna zorientował się, co się dzieje.

Leżał nad samą wodą, przemoknięty do suchej nitki z buchającą z rozharatanego przedramienia krwią. Za kilka, kilkanaście minut miał wykrwawić się na śmierć. Bestia też o tym wiedziała. To ile jeszcze? Ból był potworny, nie zagłuszał jednak wyrzutów sumienia. Veitch czuł, że przez swoją głupotę, arogancję i popędliwość, właśnie te swoje cechy, z którymi usiłował walczyć, zawiódł wszystkich – siebie, przyjaciół i Ruth.

Monstrum uznało, że nie musi się już kryć przed swoim nieudolnym tropicielem. Londyńczyk widział je jak przez mgłę. W odróżnieniu od Tuatha Dé Danann, nie przybierało żadnego

określonego kształtu, jakby u zarania świata nie istniała materia, a jedynie emocje i inteligencja. Z galaretowatej mazi wyłaniał się co rusz fragment cielska nowego drapieżnika: olbrzymiego węża, umięśnionej pantery, przerażającego rozmiarami skorpiona. Veitch odniósł wrażenie, że ta potężna istota mogłaby go zabić na odległość, samą siłą swojej furii. Nie zasługiwał na to, żeby ją pokonać.

Wyczuł, że bestia szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. Pozostał mu tylko instynkt – cała reszta wyciekała z krwi. I to instynkt zmuszał go do ostatniej, rozpaczliwej próby.

Przed oczami formował już mu się ciemny tunel, w oczodołach zbierała krew, ale się nie poddawał. Odłożył kuszę i przyciągnąwszy z wysiłkiem kolana do tułowia, obrócił się na brzuch. Skulony, z dłonią na rękoności, czekał na sygnał.

Nie czekał długo. Bestia rzuciła się na niego z impetem trąby powietrznej, rycząc jak lew i klapiąc niewidocznymi zębiskami. W tym samym momencie Veitch postawił miecz na sztorc nad swoim ramieniem, modląc się, żeby siła uderzenia nie wybiła mu broni z rąk. Wiedział, że to jego ostatnia deska ratunku. Trzymał miecz mocno. Ostrze zatopiło się w czymś miękkim, a zaraz potem śmiałka zalała cuchnąca posoka. Potwór zawył tak głośno, że mężczyźni pękły bębunki i przestały docierać do niego jakiegokolwiek odgłosy.

Nie słyszał, jak monstrum wpada z pluskiem do wody. Cisza otoczyła go niczym gęsty syrop. Przewrócił się na bok. Jego oczom ukazało się jezioro, gwiazdy, księżyc, i smutno mu się zrobiło, że już więcej ich nie zobaczy. Stracił czucie w całym ciele – tylko jego myśli się jeszcze kotłowały, ale i one powoli gasły, jedna po drugiej.

W grze odbijających się w falach światła było coś

hipnotyzującego. Londyńczykowi przemknęło przez myśl, że miło widzieć coś tak urokliwego tuż przed śmiercią. Jednak koniec nie nadchodził. A przeciwnik nadal zagrażał.

Po jeziorze sunął złowieszczy kształt podobny do atakującego rekina. Veitch nie bał się, odpływał, rozmyślał o wszystkim i niczym. Ciekaw był, ileż to razy bestia wymknęła się dotąd z Zaświatów, by po raz kolejny przejść gdzieś do legendy.

Paszczka wystrzeliła z wody tuż obok leżącego. Zanim, pożegnawszy się ze światem, przymknął powieki, zdążył zauważyć jakieś wąsy czy macki, i kły, za którymi czerniała bezdenne otchłań.

Otworzył oczy. Czyżby już nie żył? Znajdował się w tym samym miejscu co przedtem, ale wokół zaroilo się od ludzi. Rozpoznał wśród nich Melliflora. Część członków straży przybocznej celowała w coś dziwnie wygiętymi włóczniami, których groty połyskiwały w świetle księżyca, inni zarzucali właśnie wydętą bryzą sieć. Nad rannym pochylał się Tom. Nie był zły ani zasepiony – na jego twarzy malowały się niepokój i troska. Utwierdziło to Veitcha w przekonaniu, że trafił już do rajy albo przynajmniej dręczą go przedśmiertne omamy.

Obraz zaszedł mgłą. Londyńczyk zapadał się w ciemność. Przed utraceniem przytomności przypomniało mu się jeszcze, że gdy bestia szarżowała, na chwilę jakimś sposobem znalazł się w jej skórze i uderzył go wówczas ogrom dręczącej ją samotności. Wszyscy przedstawiciele jej gatunku wymarli tuż po narodzinach wszechświata. Od tamtej pory trawiła ją niewysłowiona, wiekuista tęsknota. To dlatego tropiła. Tak dawała ujście rozpacz.

Co za straszny los, pomyślał Veitch. Jakie to beznadziejne i głupie. Więziona w głębokich lochach, wyrywała się co kilka

setek lat na wolność tylko po to, by obsesyjnie polować.



— Już nic ci nie grozi.

Ten głos... Czy rozległ się w jego głowie, czy też poza nią? Nagle uzmysłowił sobie, że słyszy, najzwyczajniej na świecie słyszy! Tylko jak to było możliwe? Widział też coraz wyraźniej. Uzmysłowił sobie, że siedzi pod ścianą na przesiąkniętym krwią sianie w stajniach Dworu Spragnionego Serca. Grom stal nieopodal. Wraz z przytomnością powrócił nieopisany ból. Zaciskając zęby, Veitch zerknął na swoją pierś. Resztki zbroi, usiane rdzawymi plamami, zwisały smętnie ze skórzanych pasków, odsłaniając głęboką ranę o poszarpanych krawędziach. Pokrywał ją świeży strup, jakby zaczęła się zablizniać. A słuch? Przecież na plaży pękły mu bębenki. Trzęsąc się niczym ofiara wypadku drogowego, mężczyzna nie mógł się nadziwić, czemu jeszcze żyje.

Znów pojawił się Tom. To on przed chwilą go uspokajał.

— Co się stało? – wychrypiał Veitch.

— Królowa zobaczyła...

Bogini weszła mu w słowo: — Widziałam na własne oczy, jak odniosłeś zwycięstwo.

Tom wstał szybko z kłeczek i odszedł ku przeciwległemu krańcowi stajni. Kobieta zajęła jego miejsce u boku rannego. Utyłane krwią i błotem ubranie Veitcha kontrastowało rażąco z połyskliwą bielą jej wlokących się po ziemi szat.

— Swoim dzielnym czynem udowodniłeś, że zasługujesz na miano rycerza. Mojego rycerza – oświadczyła z dumą. –



Sprowadziłam cię tutaj, ponieważ na mym Dworze, jeśli tylko sobie tego życzę, nic i nikt nie umiera. Twoje rany wkrótce się zagoją. Niedługo dojdiesz do zdrowia, Ryanie.

Melliflor postawił koło władczyni kryształową misę z wodą. Królowa zanurzyła w niej wręczoną jej czystą szmatkę, wykręciła ją i zaczęła obmywać delikatnie twarz nowego pupila.

— A niech mnie... – szepnął Veitch półprzytomnie. – Opiekuje się mną sama Królowa.

— Czyżby królowe nie były w stanie doceniać wielkiego męstwa? Twoje imię przejdzie do historii, Ryanie, nawet do historii mojej rasy. Nadto działałeś w mym imieniu, więc i na mnie spłynie nieco twojej chwały. Doskonale. Tropiącą Bestię na powrót zamknięto w lochu.

— Żyje jeszcze?

— Istnieje, tak jak zawsze.

W głowie Veitcha zrodziło się przypuszczenie, że oto wziął udział w perwersyjnej zabawie Złotego Ludu. Monstrum pozwolono wymknąć się z podziemi tylko po to, by wystawić charakter i umiejętności śmiałka na próbę. Przeszedł ją pomyślnie, zadziwiając nie tylko plemię Danu, ale i siebie samego.

— Pomożesz teraz Ruth?

Królowa nie przerwała przemywać jego czoła. Do oczu naleciało mu trochę wody, więc przetarła je ostrożnie. Wzdłuż grzbietu nosa Veitcha spłynęła zabłąkana kropla.

— Dałam ci moje słowo.

Nie potrafił odgadnąć, co kryje się pod jej enigmatycznym uśmiechem. Poczul za to, że rozluźniony lada chwila znowu odpłynie w nicość. Zabiegi bogini przynosiły natychmiastową ulgę, chłód jej palców cudownie uśmierzał ból.

Przetarła mu policzki, a potem brodę i skronie. Na koniec uniosła ściereczkę wysoko w górę i mocno ją wykręciła. Od rąbka szmatki oderwała się pojedyncza kropla. Spadała tuż przed Veitchem, który pomyślał właśnie, że umiera z pragnienia. Wysunął język.

— Nie! – krzyknął z rozpaczą w głosie przyglądający się im obojgu Tom. Chciał do nich podbiec, ale powstrzymali go strażnicy.

Kropla znalazła się tymczasem w gardle Veitcha, w magiczny sposób wypełniając je orzeźwiającym płynem. Mężczyzna, nadal otumaniały po walce z bestią, nie rozumiał ani tego, czemu Królowa tak bacznie mu się przygląda, ani tego, czemu jego towarzysz tak szaleje. Przełknął.

Bogini gwałtownym ruchem odstawiła miskę na bok, poderwała się i ruszyła w stronę drzwi. Odwróciła się na progu, by rzucić Veitchowi triumfalne spojrzenie – spojrzenie kogoś, kto po raz kolejny dopiął swego. Ranny zastanawiał się, czy jej czymś nie rozgniewał. A było mu już tak przyjemnie! Wolałby, żeby nie przerywała zabiegów. Rozmarzył się.

Otrzeźwiły go dopiero wypowiedziane ostrym tonem słowa Toma: — Ty głupcze! Pić na dworze Tuatha Dé Danann! Teraz już nigdy nie wyzwolisz się spod jej mocy!

Strażnicy pospieszyli za władczynią, zerkając na obu mężczyzn z politowaniem. Wiedzieli, że nie ma już potrzeby ich pilnować.

Veitch był zdruzgotany. Pomyślał zaraz o Ruth. Zostały jej trzy dni. Równie dobrze sam mógł być ją zabić. Zmarnował daną mu szansę, a uwięziony w Zaświatach już nigdy nie miał dołączyć do drużyny. Był śmieciem. Nawet Duch Pendragona mu nie pomógł.

— Nie martw się – szepnął ochryple Szkot. – Nie zostawię cię

tutaj samego.

— Wracaj na ziemię. Reszta cię potrzebuje.

— Nie tak bardzo jak ty.

Jak nikt inny, Tom zdawał sobie sprawę z tego, co czeka Veitcha w ciągu nadchodzących stuleci.

Dwie myśli nie dawały rannemu spokoju. Pierwsza, że nie ma w sobie tyle hartu ducha, co jego poprzednik, więc jak nic postrada zmysły podczas wymyślnych eksperymentów. I druga – że już nigdy nie zobaczy swojego świata, oddanego Churcha i ukochanej Ruth.

Szkot z całej siły przycisnął go do siebie. Veitch poczuł, że mężczyzna drży, a gdy coś skapnęło mu na policzek, uświadomił sobie z przerażeniem, że jego przewodnik szłocha.

Tom płakał.

Tom!

W takim razie trafili do piekła.

# ROZDZIAŁ 19

## PODARUNKI ROZDŁAWANE LEKKĄ RĘKĄ

Był piękny letni dzień, jeden z tych, które napęniają serce beztroską, ponieważ przywołują ulotne wspomnienia z dzieciństwa. W takie dni człowiek ma ochotę zwinąć się jak jaszczurka na nagrzanym gładzie i, wsłuchując się w brzęczenie owadów, wdychać zapach świeżo skoszonej trawy. Siedząc plecami do słońca na swojej ulubionej skale, Church rozmyślał, jak zabić najbliższą sobie osobę. Z przerwami na zagłębienie do Ruth, zastanawiał się już trzy godziny i nadal niczego nie postanowił. Do Lughnasadh pozostały dwa dni.

— Masz zamiar tu tkwić, aż zamienisz się w plasterek chrupiącego bekonu?

Laura podkradła się niepostrzeżenie pod skałę ponad minutę temu, ale zamiast odezwać się od razu, przyglądała się mężczyźnie w milczeniu, żałując, że nie może nic poradzić na jego rozterki.

Podniósł głowę. Jeszcze nigdy nie widziała w jego oczach tyle smutku. W pierwszym odruchu chciała rozśmieszyć go jakimś niewybrednym komentarzem, byle tylko się uśmiechnął, ale opanowała się. Żarty się skończyły.

— Co jest? – spytała, udając zdziwienie.

Pokręcił głową. Nie był pewien, czy jest w stanie z kimkolwiek rozmawiać, ale kiedy w końcu przemówił, nie potrafił powstrzymać potoku słów: — Zachodzę w głowę, jak inni podejmują podobne decyzje. No wiesz, głowy państw czy prezesi wielkich koncernów. Korzystają z jakichś wzorów, z których wszystko jasno wynika, czy co? Bo jeśli nie, to jak mogą sobie spojrzeć w oczy? Na papierze to co innego. Poświęcasz jedną, anonimową osobę, a ratujesz miliony. Każdy dzieciak zrozumie, że to się opłaca. Ale kiedy w grę wchodzi ktoś, kogo znasz i na kim ci zależy, matematyka zawodzi. Rozsądek podpowiada jedno, a serce drugie: że ta osoba jest zbyt cenna, by poświęcać ją dla dobra ogółu, bez względu na konsekwencje. – Church zamilkł na chwilę. – Taka jest prawda, czyż nie? Każdy z osobna jest zbyt cenny. Nie nam decydować o życiu i śmierci. To zadanie dla Boga.

— To co zamierzasz zrobić?

Okulary przeciwsłoneczne pozbawiły spojrzenie Laury wszelkich emocji.

Church zaklął paskudnie. Rozejrzał się, jakby szukał czegoś, co mógłby uderzyć bądź kopnąć.

— Zabiję ją, oczywiście, że ją zabiję. Skażę się tym samym na wieczne potępienie i pewnie zaraz potem popełnię samobójstwo.

Dziewczyna prychnęła szyderczo.

— Jestem oburzona, że możesz choćby brać to pod uwagę.

Zagubiona, nakładała coraz to inne maski, nie wiedząc jak wyrazić to, co czuje.

— Zejdź na ziemię! Tu chodzi o przyszłość całego świata! I o zagładę całego świata. Stawką jest życie jednej osoby. Tu jedna, a tam miliard. – Rękami naśladował drgania szali wagi. – Każdy idiota potrafiłby ocenić, co przeważa.

— Myślałam, że Era Wodnika to dobry czas dla kobiet: w New Age liczą się kobiece wartości i takie tam. Nareszcie mieliśmy rzucić testosteronowe jarzmo, a tu to. Spójrz tylko na nią. Leży biedula w tej ruderze, męczy się, a ile już się przecież nacierpiała. Żeby to chociaż na Veitcha padło albo na starego...

— Wszyscy wiele wycierpieliśmy – rzucił z przekorą Church. Przekomarzanie się nie miało sensu, ale przynajmniej stanowiło jakąś odskocznnię. – Mnie też torturowano...

— Tak? Przez tyle dni, co ją? To może pokażesz mi blizny?

— Już dobrze, już dobrze. Co, masz jakiś plan? Poprosisz złotą rybkę czy wypowiesz życzenie, zdmuchując świece na torcie? Jeśli jej nie zabijemy i tak umrze, rodząc Balora.

— Cholera, sama nie wiem. Ale to dobra postać w tej bajce i nie zasłużyła sobie na taki koniec. – Laura odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem przed siebie, jakby chciała w ten sposób wyładować złość na niesprawiedliwość świata. Po kilku metrach przystanęła. Zerknęła na Churcha. – Tylko, błagam, nigdy jej tego nie powtarzaj. Nawet jeśli będzie rzucać się w malignie.

Mężczyźnie przypomniał się początek ich wyprawy. Nie rozumieli wówczas za bardzo, co się wokół nich dzieje, ale wybory, których musieli dokonywać, były dużo prostsze.

— Co ja mam począć, u licha?

— Mnie się pytasz? – Podniosła z ziemi garść kamieni. – To ty dowodzisz drużyną. Ja tu jestem od sarkastycznych komentarzy.

Zaczęła ciskać jeden kamień za drugim w przepaść, nie bacząc na to, gdzie wylądują, a pozbywszy się ostatniego, oddaliła się niespiesznie w kierunku domu, jak gdyby nic a nic jej nie trapiło.



Za pozbawionym szyb oknem niebo zaróżowił wreszcie świt. Church wyszedł zaczerpnąć powietrza, bo ze wschodem słońca pojawił się lekki wiatr. Wzdłuż widnokregu ciągnął się pas czerwieni – jeśli wierzyć ludowym porzekadłom, zapowiadało to zmianę pogody.

Ciepło słonecznych promieni dodawało nieco sił. Noc była ciężka, mężczyzna nie zmrużył oka. Ruth rzucała się bezustannie, majacząc i drapiąc się do krwi po policzkach i brzuchu. Piskliwy skrzek nieszczęsnej wwiercał się w czaszkę. Nie mogąc znieść ogromu cierpienia przyjaciółki, Church nieraz miał ochotę zakryć uszy i wziąć nogi za pas, tkwił jednak wiernie u jej boku, troskliwie się nią opiekując – dbał przede wszystkim o to, by nie zrobiła sobie krzywdy. Teraz, po wielu godzinach walki z samym sobą, czuł się zupełnie wyprany z emocji.

Korzystając z tego, że jakiś czas przed świtem zapadła cisza, wyczerpana Laura spała snem sprawiedliwego zwinięta w kłębek niczym dziecko. Kilkakrotnie w ciągu nocy wymykała się z pokoju we łzach, nie potrafiąc poradzić sobie z tym, co widzi. Jej towarzysz udał, że nic nie zauważył.

Rozprostowawszy zastałe mięśnie, Church wrócił do Ruth. Twarz śpiącej nie zdradzała nic z ostatnich dramatycznych wydarzeń. Jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała w zadziwiająco równym rytmie. Jaka ona piękna, pomyślał jej kompan, zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. To niesprawiedliwe, że ktoś taki tak cierpi. Napawał się bijącą od chorej niewinnością, kiedy nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. Oto nadarzała się idealna okazja: mógłby udusić kobietę

śpiworem. Dopływ powietrza odciąłby delikatnie, tak że nawet by się nie obudziła. Nie musiałby wtedy patrzeć swojej ofierze prosto w oczy, a i zapamiętałby ją właśnie taką, a nie wykrzywioną upiornym grymasem. Jego zbrodnia byłaby przez to jakoś łatwiejsza do przyjęcia.

Zastanawiał się nad tym przez moment, ale przerwał mu niezwykle bolesny skurcz jelit – bał się już, że zwymiotuje. Nie, jednak nie był w stanie jej teraz zabić. Ledwie trzymał się na nogach. Później.

Później na pewno to zrobi. Pogodził się w końcu chociaż z tym, że to nieuniknione.

Odwrócił się, nie chcąc dłużej patrzeć Ruth w oczy. Jego uwagę przykuły niespodziewanie szpecące mur napisy. Z daleka zawijasy miniaturowej czcionki przypominały misterny wzór na perskim dywanie. Dopiero z bliska okazywało się, że to litery tworzące niezrozumiałą, choć z pewnością możliwą do rozkodowania całość. Church stwierdził, że jest zbyt zmęczony, żeby zabierać się za łamanie szyfru, ale kierowany impulsem, zaczął przyglądać się ścianie tak jak stworzonej przez komputer barwnej mozaice z ukrytym trójwymiarowym obrazkiem – nie skupiając wzroku na żadnym z detali. Opróżnił umysł jak przy medytacji. Stopniowo znużenie ustępowało skupieniu. Nie wiedział, jak długo tak stał, kiedy zorientował się, że z gąszczy liter wyłania się kilka angielskich słów. Jakąż to straszliwą wiadomość zapisano na murze tego nawiedzonego domu?

*Kocham cię.*

Bomba, pomyślał z ironią. Może Ruth się myliła, twierdząc, że w zagrodzie wydarzyło się coś złego? Może spotykały się tu po



prostu pary z okolicy, które z jakichś powodów nie dysponowały innym lokum? A może to beznadziejny romantyzm Churcha znów dawał się mu we znaki? Sądził, że porzucił go na wzgórzu nieopodal Skye.

*Church.*

Zamarł. Słowo rozbłysło, po czym rozmyło się powoli. Gdy znikło, nie był już taki pewien, że naprawdę je widział.

*Tu Marianna.*

Tym razem zrobiło mu się niedobrze i zakręciło mu się w głowie. Przeszły go ciarki. Marianna próbowała nawiązać z nim kontakt! Wyczuwał instynktownie, że nie może zbyt mocno analizować tego, co się dzieje, bo wizja pryśnie jak bańka mydlana. Obowiązywały tu takie same zasady jak przy postrzeganiu błękitnego ognia. Cierpliwości, powiedział sobie. Otwórz się na nowe doświadczenie.

Przez chwilę nie pojawiło się nic nowego. Coraz bardziej piekły Churcha oczy. Z wysiłkiem powstrzymywał odruch, żeby wyostrzyć widziany obraz.

*Bądź dzielny.*

*Bądź ostrożny.*

*Koniec już blisko.*

Mężczyznę swędział spocony kark. Nasuwało mu się mnóstwo pytań, ale bał się okropnie, że jeśli się odezwie, czar przestanie działać.

*Masz to w sobie, zawsze o tym wiedziałam.  
Nie martw się o mnie.  
Nie trzymaj się mnie kurczowo.  
Żyj przyszłością. Zostaw przeszłość za sobą.*

Czy wiadomość kryła się wśród bazgrołów od samego początku, a on zauważył ją dopiero teraz, przypadkiem? Tom mówił, że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Widocznie nadszedł właściwy moment. Dlaczego tak późno? Tyle dni spędził tu na nieznośnym czekaniu. Gdyby odczytał ją wcześniej, dodałaby mu przecież otuchy...

*Widzę cię, kiedy ty mnie nie widzisz.  
Wszyscy to potrafimy.  
Nic nie dzieje się bez powodu, Church.  
Czasem trudno to tylko dostrzec.*

O mało nie wybuchł płaczem. Tyle uczuć tłumił w sobie, odkąd zamordowano Mariannę, tyle przeżył w ciągu ostatnich miesięcy... Zdawało mu się, że zaraz eksploduje, ale nic takiego się nie stało. Po policzkach mężczyzny spłynęło zaledwie parę łez.

*Może i mnie więżą, ale nie mogą mnie skrzywdzić.  
Jestem szczęśliwa, bo nie mogą już wysługiwać się mną, żeby cię kontrolować. Nie martw się o mnie. Kocham cię, Church. Kocham cię. Church. Tu Marianna.*

Wiadomość zaczęła się powtarzać, jak hasło reklamowe wyświetlane na jednym z tych podłużnych czarnych wyświetlaczy, które widuje się na budynkach w Nowym forku.

Upewniwszy się, że rzeczywiście tak jest, Church wyszedł na dwór.

Nie miała mu do przekazania zbyt wiele, ale jej słowa tchnęły optymizmem. Ucieszył się strasznie, że nie cierpi i że nadal dzielnie się trzyma. Najważniejsze było jednak to, że stale przebywała gdzieś w pobliżu, że nie odeszła na dobre. Miała na niego oko. I nie tylko ona.

„Wszyscy to potrafimy”.

Jacy znowu wszyscy?

Zbliżył się do skraju przepaści i spojrzał w dół na przemykające po polach cienie. Skoro wszyscy to potrafimy, nie można się poddawać. Nic więcej się nie liczyło.

Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

„Nic nie dzieje się bez powodu”.

Musiał tylko go poznać.



Schodził szybko, ślizgając się na mokrej od rosy trawie. Przepęłniała go energia, a może odwaga, choć nigdy nie uważał się za szczególnie odważnego. Nareszcie miał poczucie, że coś może działać. Kiedy wszystko nie miało sensu, ryzykowanie własnym życiem nic nie znaczyło, ale dzięki Mariannie Church odnalazł sens. Dziwne, że nie wcześniej, bo wokół nie brakowało nigdy wskazówek – nawet istnienie Fomorian stanowiło jedną z nich. Całe nauczanie Toma także zmierzało w tym kierunku, teraz to widział. Bez dwóch zdań, patrzył na świat nowymi oczami.

Zrozumiał, że muszą wygrać, po prostu muszą, i to nie po to,

by ocalić ludzkość czy znaną sobie rzeczywistość, ale coś tak ogromnego, że wszystko inne przy tym czymś blakło. Większość ludzi załamałaby się, uświadomiwszy sobie, że spoczywa na nich taka odpowiedzialność – Churchowi dodawało to skrzydeł.

W połowie drogi wdrapał się na głaz, żeby dyskretnie przyjrzeć się okolicy. Postronny obserwator stwierdziłby, że pola odrobinę pociemniały, ale poza tym nic nie wzbudziłoby jego podejrzeń. Zauważalne jedynie kątem oka rozedrgane cienie wzięłyby zapewne za mroczki wywołane zmęczeniem. Church miał jednak wzrok wyostrzony działaniem Ducha Pendragona, więc wiedział swoje. Mam Tor, niczym średniowieczny zamek, oblegało rozciągające się niemal po horyzont mrowie żołnierzy ciemności. Mężczyzna wzdrygnął się na myśl o tym, co go czeka, opanował się jednak i ruszył w dalszą drogę.



Odnalezienie Maponusa nie nastręczało większych trudności – ryki boga dorównywały siłą odgłosom wydawanym przez przelatujące nisko odrzutowce, a bijąca od niego złota łuna była widoczna ponad koronami drzew. Church skradał się ku Dobremu Synowi, chowając się na wszelki wypadek za żywopłotami, chociaż odgadł trafnie, że Fomorianie będą trzymać się od olbrzyma z daleka. Jego plan był niezwykle ryzykowny – nawet Nocni Wędrowcy bali się Maponusa – ale na tym etapie tylko równie brawurowa akcja mogła przynieść zamierzony efekt.

Kiedy w powietrzu zapachniało spalenizną, Church położył się na ziemi i pozostały odcinek drogi pokonał czołgając się jak

komandos. Dotarłszy do kolejnego żywopłotu, wyrwał przez przerwę w gąszczu. Umierał ze strachu, że zostanie przyłapany.

Dobry Syn miotał się po polu otoczony przez krwawe ochłapy, jakby przed chwilą wybuchła przy nim bomba. Church domyślił się, że to szczątki jego ofiar – przenosząc oszalałego boga pod Mam Tor, Niamh z rozpędu zabrała wszystko, co znajdowało się w jego pobliżu.

Maponus był nieobliczalny. Czasem padał na kolana, ryjąc dziko dłońmi w trawie, a czasem zatrzymywał się, odrzucał głowę do tyłu i bezgłośnie wył. Żył w swoim wewnętrznym świecie, dręczony obsesyjnie powtarzającymi się myślami, nieraz tak intensywnymi, że jego twarz rozpływała się i falowała: połyskiwały w niej ostrza, kotłowały się jakieś żyjątka, szczękały zębiska, oślepiało złote światło.

Church odwrócił wzrok, żeby się uspokoić. Przestraszył się, że przyglądając się olbrzymowi, sam postrada zmysły.

Zaczął ostrożnie okrążyć pole. Zastanawiał się przy tym, ile jeszcze czasu minie, zanim natrafi na tego, kogo szuka. Czyżby się mylił i go tu nie było?

Martwił się na zapas. Nagle coś powaliło go na ziemię. Kiedy doszedł do siebie, odetchnął z ulgą – siedział na nim okrakiem nie kto inny jak Strażnik Kości. Starszy mężczyzna miał rozognione spojrzenie i zapadnięte policzki. Wyglądał strasznie; jak ktoś, kogo tylko krok dzieli od popadnięcia w obłęd. Zerkał nerwowo na boki, odsłonił zęby. Mimo podeszłego wieku przytrzymał Churcha z taką siłą, że ten nie potrafił uwolnić się z jego uścisku i w pewnym momencie przeraził się, że opiekun Maponusa zaraz rzuci mu się do gardła.

— To ja! – wysapał, szamocąc się z przeciwnikiem. – Brat Smoków!

— Dobrze wiem, kim jesteś, kretynie! – wysyczał Strażnik agresywnie. Na policzek Churcha spadła nitka jego śliny. Przeklinając pod nosem, starzec sturlał się ze swojej niedoszłej ofiary, po czym natychmiast przyjął pozę zapędzonego w róg zwierzęcia, gotowego do ataku lub ucieczki, zależnie od okoliczności. – Po coś tu przyszedł, idioto! Życie ci niemiłe? – Nawet wzburzony, pamiętał, żeby zachowywać ciszę.

Skinieniem głowy wskazał Churchowi bramę prowadzącą do sąsiedniego pola. Przekradli się tam pospiesznie i przysiedli pod metalowym korytem. Strażnik Kości przymknął powieki. Musiał być bardzo zmęczony, jego poorana zmarszczkami twarz mogłaby należeć do stulatka. Koszulę miał podartą i utyłaną błotem, a lewą dłoń owiniętą zakrwawioną szmatą. Jego opalony tors pokrywały liczne świeże szramy. Mężczyznę przeszedł dreszcz. Otworzył oczy. Patrzył już zupełnie przytomnie.

— Siedząc Dobrego Syna, wspinałem się po górach i przeprowiałem przez rzeki. – Pasja w jego głosie robiła na Churchu wielkie wrażenie. – Od tygodni piję wodą z rowów i żywię się surowym wiewiórczym mięsem. Brodziłem w krwi, widziałem, jak płonęły całe wsie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakich okropieństw byłem świadkiem. A czemu? Przez arogancję twoich przeklętych przyjaciół! Co ich, na Boga, podkusiło?

— Nie mieliśmy wyboru...

— Nie mieliście, powiadasz? – Strażnik Kości spojrzał na niego z taką nienawiścią, że Church spodziewał się, że tamten go uderzy. Tyle osób zginęło lub straciło swoich bliskich! Warto było zapłacić taką cenę za spełnienie swoich zachcianek?

— Zachcianek? – Church zapłonął gniewem. Pomyślał o decyzji, którą musiał wkrótce podjąć, i o świecie, w którym jeszcze niedawno dawało się łatwo rozróżnić, co jest dobre, a co

złe. – Nie masz prawa mnie krytykować.

Strażnika Kości zaskoczył wyraz jego twarzy.

— Tu nikt nad nikim nie ma przewagi moralnej – oświadczył chłodno Church. – Wszyscy przedzieramy się przez zwały gówna, próbując jakoś zakończyć ten koszmar.

Starzec przeniósł wzrok na falującą złotą lunę.

— Piękne zjawisko, prawda? Cóż, osobiście nie mam pojęcia, jak zakończyć ten koszmar. Kiedy Maponusa ujęto po raz pierwszy, w rytuale wzięły udział setki moich pobratymców. Sam sobie nie poradzę. Ech, a już myślałem, że go mają...

— Kto?

— Było ich sześciu. Same szychy – płynne twarze, ciskanie gromów. Widać było, że chłopaki dają z siebie wszystko. Ucieszyłem się, że Złoty Lud nareszcie bierze się do roboty. Otoczyli go pod Aberdeen na zgliszczach wioski. Dobry Syn chciał mnie właśnie dopaść, wyciągałem z ruin domu ranne dziecko. Malec już zresztą nie żył. – Strażnik zerknął na swoje trzęsące się dłonie. – Z woli bogów w niebie powstało coś na kształt tunelu. Mieli zamiar go tam wepchnąć. I wtedy zniemacka pojawiła się ta suka. Znikąd. W amoku. Równie szalona, co on. – Mężczyzna wskazał źródło złotego światła. – Błysnęło, poczułem się tak, jakbym dostał łopatą przez łeb, i ani się obejrzałem, a przeniosło nas pod tę górę.

Ze też akurat wtedy musiał pocałować Laurę! Church był na siebie wściekły. W dodatku Tuatha Dé Danann mogli postanowić ukarać Niamh!

— A ty, co tu robisz? – spytał Strażnik.

— Szukam ciebie.

— Mnie? – Church znowu go zaskoczył.

— Posłuchaj uważnie. Mam następujący plan.



Church popędził z powrotem ku Mam Tor. Bał się, że podczas jego nieobecności Fomorianie rozpoczęli szturm. Na szczęście z daleka zbocza wyglądały na puste.

Przed sobą miał najtrudniejszy odcinek trasy: otwartą przestrzeń u podnóża góry, dokąd nie docierała zbawienna moc błękitnego ognia. To, że nikt go tam nie złapał, gdy szedł szukać Strażnika, graniczyło z cudem, ale także dodawało odwagi. Może zmysły Fomorian nie były znowu tak wyostrzone? Może niepotrzebnie głodowali w zagrodzie i mogli bez przeszkód przenieść się pod osłoną ciemności do innej kryjówki?

Cios był tak potężny, że mężczyzna przeleciał kilka metrów i spadł prosto na płot z drutu kolczastego. Wisiał przez chwilę na ogrodzeniu niczym szmaciana lalka, a potem załamało się pod jego ciężarem. Metal wpił się w jego ciało niezgorzej niż setka orlich szponów. Ból był nie do wytrzymania, w płucach na moment zabrakło powietrza. Church zrobił fikołka i wylądował w zbożu. Ostre źdźbła wbiły mu się w plecy. Kątem oka zobaczył czmychającego żuka.

Był tak zamroczony, że kiedy na jego twarz padł cień, przyszło mu do głowy, że to chmura albo nisko lecący samolot. Dopiero próbując wstać, dostrzegł napastnika i zrozumiał, co jest grane.

Z początku Fomorianin przypominał wycinek czarnej dziury, wtapiający się w tło wir zasysający obserwatora w głąb pustki, jednak percepcja Churcha szybko poradziła sobie z tym niespójnym obrazem. Z płynnej masy wyłaniały się fragmenty zbroi czy pancerza, które ze szczękiem zatrzymywały się we



właściwym miejscu. Całość przeobrażała się w stojącego na dwóch łapach olbrzymiego włochatego owada o czerwonych oczach, wielu odnóżach i groźnie rozwartym otworze gębowym. Jak każdy Zmiennokształtny, stwór cuchnął zwierzęcym moczem. W przebłyskach niepokojąco przypominał człowieka: wielkiego jak czołg czarnego rycerza.

Church poderwał się, żeby uciec, ale drugi cios trafił go w brzuch. Zalała go kolejna fala koszmarnego bólu. Padając na ziemię, pomyślał, że jak nic pękła mu wątroba. Jaką pychę się wykazał, sądząc, że nikt go nie wypatrzy!

Mimo wszystko, znalazł w sobie dość sił, by odskoczyć w bok i puścić się biegiem w stronę Mam Tor. Monstrum minęło go o kilka centymetrów, ale nie potrafiło w porę zawrócić, bo ciężar zmniejszał jego zwrotność. Odkrywszy to, Church powtórzył manewr raz jeszcze – gdy Fomorianin był tuż za nim, skreślił gwałtownie, zyskując parę cennych sekund. Zdawał sobie sprawę, że bez podobnych forteli nie ma szans.

Przynajmniej na płaskim terenie.

No właśnie. Jeśli zdążyłby dobiec do wiodącej w górę ścieżki, pewnie zostawiłby rycerza daleko w tyle. Nie sądził, żeby potwór mógł sprawnie się wspinać. Tyle że tym manewrem ujawniałby wrogowi swoją kryjówkę, narażając tym samym Laure i Ruth...

Znów uskoczył, choć odrobinę za późno. Monstrum otarł się o niego z takim impetem, że mężczyzna zaczął kręcić się jak bąk. Z trudem utrzymał równowagę. Oszołomiony, miał tylko sekundę do namysłu: albo sprint ku Mam Tor, albo pewna śmierć. Wybrał to drugie. Zdziwiło go to, jak łatwo się z tym pogodził. Bał się tylko o los pozostałych członków drużyny i żałował, że nie wcielił w życie swojego wielkiego planu. Myśli te znikły jednak z jego mózgu za jednym zamachem, gdy rycerz zadał mu trzeci cios,

tym razem w plecy.

Ocknął się, majtając nogami w powietrzu – to Fomorianin trzymał go w pasie. Church czuł, że popękała mu tam skóra. Krew leciała mu ciurkiem nogawkami spodni. I gdzie się ten Ryan podziewa, kiedy go potrzebuję, pomyślał z sarkazmem godnym wyszczekanej Laury.

A potem stało się coś niezmiernie dziwnego. Nagle odniósł wrażenie, że potrafi czytać w myślach czarnego rycerza, współodczuwać jego emocje, tak odmienne od ludzkich, że właściwie nie powinno się ich tak nazywać. Wszystko wskazywało na to, że monstrum nie zaalarmowało swoich rodaków, nie miało też pojęcia, gdzie przebywają obie kobiety. Wnikając w jego psychikę, Church czuł zarazem fascynację i wstręt. Wiedział, skąd się wzięły u niego takie zdolności – był to wpływ wskrzeszającego nektaru Złotego Ludu oraz Czarnej Róży Fomorian, którą nosił niegdyś na sercu. Dzięki ich działaniu zbliżył się nieco do obu tych ras.

Stwór przypatrywał się uważnie Churchowi, być może również czytając mu w myślach. Powoli uniósł rękę, by ująwszy lewą dłoń mężczyzny, wygiąć mu wszystkie palce w tył pod kątem prostym. Nie było to nic innego, jak demonstracja siły. Trzasnęły stawy. Church krzyknął. Rycerz cisnął nim o ziemię i nieszczęśnik znowu stracił przytomność.



Skoro nadal żył, musiało minąć zaledwie parę sekund. Monstrum stało tuż obok, szykując się zapewne do dobitcia ofiary. Church poniekąd ciszył się na myśl, że nie będzie już dłużej się

męczył.

Zapachniało przypalonym olejem. Stwór wyrzucił obie ręce w górę i wydał z siebie taki sam dźwięk, co rozdierany płat blachy. Mężczyzna zakrył uszy. Nic nie rozumiał, jeśli rycerz triumfował, dlaczego zabrzmiało to jak jęk bólu?

Do tej pory Church nie widział Fomorianina zbyt wyraźnie, co tłumaczył wysoką pozycją wojownika w hierarchii swojego ludu. Teraz czarna masa nabierała ostrości, przybierając nie formę insekta, ale tę drugą, olbrzyma w lśniącym hełmie. Sądząc po wyrazie oczu potwora, rzeczywiście straszliwie cierpiał. Na całym jego ciele, nawet na zbroi, pojawiły się niezliczone brodawki. Szybko pękły i ze środka wyciekła cuchnąca smolista ropa, której krople skwierczały, opadłszy na trawę. Wywracając dziko ślepiami, rycerz złapał się za głowę, a po chwili eksplodował niczym nadmiernie nadmuchany balon. Na wszystkie strony wystrzeliły spływające ropą strzępy czarnego mięsa – kilka trafiło Churcha. W miejscu, gdzie stało monstrum, podrygiwał jeszcze powykręcany szkielet, niemający nic wspólnego z zewnętrzną powłoką, ale kości topiły się błyskawicznie jak воск. Z potwora zostały rozrzucone wśród zboża, bliżej niezidentyfikowane resztki.

Church nie musiał domyślać się, kto zgładził napastnika. Kilka metrów dalej, nisko nad ziemią, kłębiło się stado wron, uprzednio całkowicie zasłonięte przez cielsko rycerza. Ptaki rozpierzchły się widać na moment, ale wirowały już coraz bliżej siebie, tworząc zwartą całość, jakimś cudem wzajemnie się przy tym nie masakrowały. Church wiedział, że stado wraca do swojego pierwotnego kształtu kształtu człowieka zbudowanego z kotłujących się bezustannie piór, dziobów i pazurów.

Był to Mollecht, jeden z dwóch przywódców Nocnych

Wędrowców. Nie odzywał się, być może zresztą wcale nie umiał mówić niewiele było wiadome na jego temat. Potworny eksperyment czy rytuał, w wyniku którego zmienił się w kłęb bliżej nieokreślonej materii, uczynił z niego najbardziej tajemniczego przedstawiciela tej mrocznej rasy. Gdyby nie ciągły ruch otaczających go wron, przestałby istnieć.

Church przypomniał sobie konfrontację z przywódcą Fomorian w Tintagel – przez pory leciała mu wtedy krew i ratował się desperackim skokiem z klifu. Odgadł, że Mollecht zabił czarnego rycerza, wystawiając go na działanie ukrytej we wronach mocy, czyli rozchylając po prostu na sekundę swój ptasi płaszcz. Tylko dlaczego go zabił? Walczyli po tej samej stronie, obaj nienawidzili ludzi. Czyżby zazdrościł mu zdobyczy? Chciał ją przejąć, żeby sam się nią zabawić? Church był przekonany, że trafił z deszczu pod rynnę. Targany bólem, pochylił się i zwymiotował. Zerknął w prawo, później w lewo. Czemu do Mollechta nie dołączali inni Fomorianie? Podniósł wzrok. Zamurowało go. Kłęb wron się oddalał. Zostawił za sobą wbity w ziemię czarny miecz.

Mollecht pozwalał mu ujść z życiem? Trudno było w to uwierzyć. Zataczając się i kuśtykając, Church podszedł do miecza. Bał się go dotknąć, ale przyjrzał mu się uważnie, jedna z krawędzi ostrza była ząbkowana, by ranić przeciwnika jak najbardziej dotkliwie. Na klindze wryto skomplikowany wzór widoczny wyłącznie pod określonym kątem. Na ornament ten składały się najprawdopodobniej magiczne symbole. Oreż bez wątpienia powstał w pracowni fomorian skiego płatnerza.

Wrony były już tylko niewielką plamką sunącą wzdłuż żywopłotu. Nie było mowy o żadnym podstępie. Church miał przeżyć i posłużyć się mieczem. Męczyzna zachodził w głowę,

jakie są intencje Mollechta. Zastanowił się, czy zabrać podarunek. Z jednej strony przygoda z Pocałunkiem Mrozu skutecznie zniechęciła go do przyjmowania tajemniczych prezentów, zwłaszcza o tak oczywistym pochodzeniu. Z drugiej strony nie wyczuwał żadnego zagrożenia, a broń mogła się przydać. Doświadczenie podpowiadało jedno, a intuicja drugie, i to jej postanowił zaufać. Tom byłby z niego dumny.

Pozostawało modlić się, żeby podczas wspinaczki nie stracić przytomności. Wspierając się na mieczu, Church ruszył w kierunku góry.



Shavi stał na obrzeżach parku otaczającego windsorski zamek. Na głównej wieży warowni powiewała flaga. Czuł tak wielką ulgę, że zapomniał na chwilę o tym, że jest w stanie skrajnego wyczerpania. Od kilku dni bawił się z Fomorianami w kotka i myszkę. Wiedzieli, że przebywa w okolicy, ale nie potrafili go namierzyć. To kluczył, to zawracał, to przeczekiwał jakiś czas w ukryciu, to znowu próbował się przebić postępowaniem przez ich szeregi. Zdarzało się, że rano przybliżał się do Windsoru o półtora kilometra, by do wieczora oddalić o pięć. Sypiał pod żywopłotami lub wysoko na drzewach, raz nawet zdrzemnął się w szopie na węgłach. Czasami myślał, że już nigdy nie dotrze do celu.

W okolicy roiło się od Nocnych Wędrowców, ale widział ich tylko Shavi. Większość ludzi nie zwracała uwagi na liczne dziwaczne cienie i wołała ignorować krzaki, które pojawiały się jednego dnia, a zniknęły następnego. Starano się żyć tak jak

dawniej, choć podejrzewano, rzecz jasna, że coś jest nie tak.

Z każdym dniem Fomorianie robili się coraz bardziej niespokojni. Pewnej nocy Shavi zauważył na zachodzie ogromną łunę, jakby płonęło niedalekie stutysięczne miasto Reading. Nieraz wiatr przynosił z sobą różne przerażające odgłosy, zbyt jednak ulotne, by je rozpoznać czy zlokalizować. Gdzie podziewała się policja, wojsko, myśliwce? Czy rząd, jeśli jeszcze istniał, stracił nad nimi kontrolę, czy zrezygnował z walki po licznych, krwawych porażkach? Szaman nie natrafił na żadne ślady stawiania najeźdźcom zbrojnego oporu.

Do windsorskiego parku dojechał w końcu na pacy furgonetki popołudniu trzydziestego pierwszego lipca. Czas gonił. Shavi miał nadzieję, że jeśli się pospieszy, zdoła przed północą wrócić pod Mam Tor autostopem. Najpierw jednak musiał odnaleźć Cernunnosa.



W sercu parku mężczyzna poczuł niezwykle przypiływ optymizmu. Bez wyraźnego powodu zaczął się uśmiechać. Zrozumiał, że to magia. Przyroda także nie pozostawała na nią obojętna. Mimo bliskości Londynu, powietrze było tu równie świeże co wysoko w górach, znikąd pojawiły się chmury motyli, a palące słońce wydawało się nie mieć żadnego wpływu na stan bujnej, szmaragdowej roślinności. Shavi żałował, że cały kraj nie przypomina tego cudownego miejsca.

Wszedł pomiędzy drzewa. Wszystko tu przybrało zielonkawy odcień. W gałęziach coś zatrzepotało. Wędrowiec sądził, że to znowu motyle, ale okazało się, że wysoko w górze hasa grupa

czarodziejskich istotek. Ruchliwe maleństwa miały przezroczyste skrzydełka i połyskujące zielenią i złotem ciała. Czasami stapiały się w jedno z listowiem, jeden z chochlików przyglądał się szamanowi ciekawie, a zanim odleciał, prychnął rozbawiony.

Shavi nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Wielki Dąb, zdał się więc na instynkt. Po kilku minutach marszu jego uszu dobiegły śmiechy i wesołe głosy. Niemalże na czworakach zakradł się ostrożnie na skraj zalanej światłem polany. Na jej przeciwległym krańcu leżały w trawie dwie pogrążone w rozmowie osoby: młoda Hinduska i chłopak z ogoloną głową. Byli niekompletnie ubrani, najwyraźniej dopiero co skończyli się kochać. Z głową opartą na piersi swojego wybranka dziewczyna głaskała go czule po muskularnym brzuchu.

— Nikt nam tego nigdy nie odbierze – powiedziała.

Zaśmiał się radośnie.

— Kurczę, kto by przypuszczał? Ty i ja razem i niczym nie musimy się przejmować.

— Nadal nie wierzę, że wyjechaliśmy z Birmingham. Twój ojciec...

— On nie jest moim ojcem.

— Wiesz, co mam na myśli. – Klepnęła go karcąco. – Kiedy tamten wóz zaczął taranować nas na autostradzie...

— Mówiłem ci, że mamy własnego anioła stróża.

Obróciła się na plecy. Delikatną twarz dziewczyny otaczały teraz jej długie lśniące czarne włosy. Przesłoniła oczy dłonią.

— Myślę, że wszystko się ułoży.

— Pamiętaj, że na świecie dzieją się ostatnio dziwne rzeczy.

— Nie szkodzi. – Przytuliła go mocno do siebie. – Tu chodzi o nas. Zostawiliśmy przeszłość za sobą. Nikt już nie rządzi naszym życiem. Jeśli będziemy się wzajemnie wspierać, pokonamy każdą

przeszkodę. Ucieczka z Birmingham była tego dowodem.

Chłopak zaczął nucić *Stand by me*, ale tak fałszował, że zaraz parsknął śmiechem. Hinduska dała mu kumplowskiego kuksańca w żebro.

— To co – spytał, wciąż się śmiejąc. – Może się pobierzemy?

— Czemu nie. Ale jeszcze nie teraz. Mamy dużo czasu. W tyle miejsc chciałabym pojechać, tyle rzeczy zrobić...

Wczołgała się na niego i pocałowała go namiętnie. Shavi nie miał zamiaru podglądać pary, więc czym prędzej się oddalił, jednak ta sielankowa scena wciąż stałą mu przed oczami. Dlaczego zrobiła na nim tak wielkie wrażenie? Miło było przyglądać się ludziom młodym, szczęśliwym i zakochanym, ale chodziło o coś więcej. Dziewczyna miała rację. To jej słowa sprawiły, że w sercu wędrowca zakiełkowała nadzieja. Wielkie zmiany, jakie zaszły od zimy, dotyczyły w gruncie rzeczy spraw mniejszej wagi – te prawdziwie istotne pozostały nietknięte. Żadna siła nie mogła ich ot tak pokonać.

Było to dosyć oczywiste stwierdzenie, ale w tak magicznym miejscu Shavi uznał je za rewelację. Nie mógł się już doczekać, aż podzieli się tą radosną nowiną z przyjaciółmi.



Następną godzinę spędził przeczesując las. Co kilkanaście metrów przebiegały go ciarki, jakby przekraczał jakąś podłączoną do prądu granicę, aż wreszcie wydedukował, że to właśnie ta linia doprowadzi go do celu.

Okazała się być spiralą, kończącą się na pięknej polanie. Panowała tu iście katedralna atmosfera. Nad głową szamana



rozpościerało się szmaragdowe sklepienie, a wszystko wokół tonęło w kojącym zmysły zielonym świetle. Niewidoczna bariera tłumiała wszelkie dochodzące z zewnątrz dźwięki i nie dopuszczała tu nawet najłżejszego podmuchu wiatru. Shavi odgadł, że znalazł się w Zielonym Domu Cernunnosa. Przed wiekami stał tu ołtarz, przy którym ludzie oddawali cześć przyrodzie. Wędrowiec odruchowo skłonił z szacunkiem głowę.

Nagle jego wzrok padł na leżący w trawie odrapany róg myśliwski. Mógłby przysiąc, że sekundę wcześniej go tam nie było. Ręce spocily mu się z podekscytowania – zanim podniósł instrument, wytarł je o podkoszulek. Róg ważył o wiele mniej, niż się można było tego spodziewać, ale poza tym wydawał się zupełnie zwyczajny. Szaman poczuł się odrobinę zawiedziony. Liczył na to, że wielka moc znaleziska co najmniej poparzy mu palce.

Obrócił instrument kilka razy w dłoniach, grając na zwłokę, po czym z wahaniem przyłożył go do ust i wziął głęboki wdech. Zadał. Po lesie oczyszczającą falą rozszedł się przepelniony nadzieją dźwięk.

Przez kilka dłużących się w nieskończoność minut nic się nie działo. Shavi chciał już zadać po raz drugi, kiedy z bardzo daleka odpowiedział mu inny róg, o dostojniejszym, ale i potworniejszym brzmieniu. Szaman zadrzał, a niedługo potem rozdygotał się na dobre, bo znenacka zerwał się porywisty lodowaty wiatr, jakby anonsując równie posępnego przybysza. Pierwszy podmuch nieomal zwałił mężczyznę z nóg. Shavi obracał się wolno, nadstawiając uszu i wyęzając wzrok. Wichura hałasowała w koronach drzew, szarpała brutalnie gałęziami. Długie włosy wędrowca smagały mu twarz. Ktoś się zbliżał, wiedział to na pewno, czuł w piersiach charakterystyczną

ciężkość.

W zaroślach coś mignęło – wychwycił to kątem oka. Obrócił się, ale niczego więcej nie zauważył. Powtórzyło się to kilkakrotnie, z pomocą przyszły mu jednak pozostałe zmysły. Kolejny powiew przyniósł z sobą piźmową woń zgrzanych koni, następne ledwie słyszalne rżenia i miękkie uderzenia kopyt o leśną ściółkę. Później pojawiły się tajemnicze cienie – to odrywały się od pni, to za nimi znikwały. Były coraz bliżej, otaczały szamana ze wszystkich stron, nadal niezupełnie widzialne, bo nadal niezupełnie należące do tego świata. W końcu zamigotały niczym fatamorgana, nabrały ostrości i zmieniły się w jeźdźców. Jeźdźców Dzikiej Pogoni.

Shavi mniemał do tej pory, że straszliwi wojownicy potrafili materializować się wyłącznie w nocy – magia parku umożliwiała im to najwyraźniej także w dzień. Znów rozległ się dźwięk rogu, tym razem tuż za plecami wędrowca. Włosy na karku stanęły mu dęba. Za końmi kryły się w cieniu rozwścieczone ogary. Głośnym ujadaniem domagały się spuszczenia ze smyczy.

Jeźdźcy podjechali aż pod obręb polany. Wyglądali tak samo, jak wtedy, gdy ścigali szamana na Dartmoor. Ubrani byli w zbroje i narzucone na nie futra, a w dłoniach dzierżyli piki. Twarze zakrywali kapturami kolczugi. Ślepią ich rumaków płonęły szkarłatem. Ich szeregi rozstały się, by przepuścić największego z koni, któremu, mimo upału, z nozdrzy ulatywała para. Dosiadał go Król Olch we własnej osobie. Zamiast głowy miał czaszkę pokrytą jaszczurzymi łuskami, zamiast ludzkich oczu żółte oczy żmii o wąskich źrenicach. Na jego widok Shaviemu zebrało się na mdłości.

Zeskakując z siodła, Król zaczął przeobrażać się w Cernunnosa. Urósł, przygrabił się niczym skupiony drapieżnik,

ze skroni wystrzeliło mu imponujące poroże, nos pogrubiał się, oczy odsunęły od siebie, skórę wraz z zbroją pokryły mieszanką liści i futra. Bila od niego taka potęga, że mężczyzna miał ochotę paść na kolana. Bóg nakazał gestem dłoni skryć się swojej świcie w lesie.

— Kto wzywa Dziką Pogoń?

Jego głos przypominał odgłosy wydawane przez burzę.

— Ja, Shavi, Brat Smoków.

Szaman skłonił się z szacunkiem.

— Znam cię, Bracie Smoków.

— Przybywam w imieniu mojej siostry, Ruth. Jest umierająca. Powiedziałeś jej kiedyś, że może zwrócić się do ciebie z prośbą o pomoc. To właśnie teraz czynię.

Przykucnąwszy, Cernunnos zanurzył palce w miękkiej ziemi. Chwilę węszył z uwagą.

— W Siostrze Smoków, o której mowa, żyje twarz Zieleni. Pozostała wierna Prawdziwemu Słowu Zieleni mimo wielu prób. Jej serce jest silne.

— Czy jej pomożesz?

— Pomogę. – Parsknął jak jeleni. Pachniał intensywniej niż konie. – Co jej dolega?

Shavi opowiedział mu o porwaniu Ruth i torturach, jakim ją poddano, o czarnej perle i cierpieniach wywoływanych potworną ciążą. Mówiąc, odnosił wrażenie, że bóg o wszystkim tym już wie. Kiedy skończył, Cernunnos pokiwał głową, chrząkając zwierzęco.

— Można się byio spodziewać po Nocnych Wędrowcach, że zechcą wskrzesić Serce Cieni, jednak Siostra Smoków nie zasłużyła sobie na to, by służyć im za mamkę.

— Jak możemy ją uwolnić od tego brzemienia? Inni Tuatha Dé

Danann odmówili nam wsparcia. Niektórzy stwierdzili nawet, że nic się już nie da zrobić.

— Serce Cieni toczy swą ofiarę zaciekle niczym rak. Tak jest w tym zapamiętałe, że nie sposób go powstrzymać.

— A więc nie ma nadziei?

— Zawsze jest nadzieja. Złoty Lud pilnie strzeże swych tajemnic, ale ja wyjawię ci swoją. Dzięki znanemu mi rytuałowi, usuniemy Serce Cieni, nie szkodząc przy tym naszej Dobrej Siostrze. – Shavi się ożywił. – Rytuał ten będzie musiał zostać odprawiony dziś wieczorem, przed północą, przy widocznym księżycu. Konieczna jest ofiara...

— Zgadzam się na wszystko – rzekł szaman bez namysłu.

— Naprawdę?

— Ruth to wspaniała osoba. Nie powinna więcej cierpieć.

— A ty gotowy jesteś cierpieć za nią?

— Jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

Cernunnos przyjrzał się swojemu rozmówcy niczym zwierzę, które ocenia, czy ma do czynienia z wrogiem czy z potencjalną kolacją. Odwróciwszy się do Shawiego plecami, wykonał lewą ręką kilka dziwacznych gestów, a gdy na powrót stanął z męczyzną twarzą w twarz, trzymał w dłoni buteleczkę z matowego szkła zakorkowaną woskiem.

— Oto światłość, która wypali Serce Cieni – oświadczył, podając ją szamanowi. Shavi przejął ją, modląc się w duchu, żeby jej nie stłuc. Materiał, z którego została zrobiona, w dotyku wcale nie przypominał szkła.

— Co się stanie po zastosowaniu tej substancji?

Cernunnos zmrużył tylko oczy.

Shavi schował cenny dar do kieszeni.

— W imieniu Ruth i całej drużyny pokornie dziękuję za

okazaną nam łaskę.

— Powodzenia, Wieczorny Tancerzu. Zawsze miałem dobrą opinię o narodzie, z którego się wywodzisz.

Szaman zawahał się. Chciał prosić boga o coś jeszcze, ale nie wiedział, czy mu wypada.

— Skoro wezwałem Dzikie Zastępy, teraz ktoś musi zginąć, prawda?

Cernunnos milczał, ale wzmogło się ujadanie ogarów.

— Oprócz mnie w parku przebywa para młodych ludzi. Darujcie im życie.

Bóg rzucił mu zaintrygowane spojrzenie. Kiwnął głową na znak, że wyraża zgodę, a potem zerknął na niebo. Słońce chyliło się już powoli ku zachodowi.

— Pogoń ruszy w kraj po zapadnięciu zmroku – powiedział.

Shaviemu ulżyło na wieść, że swoją śmiałością uratował kochanków, ale nie dawała mu spokoju myśl, że po raz kolejny przyczyni się do czyjejś śmierci, bo psy Pogoni i tak kogoś dopadną. Przerażało go, że nawet przychylnie mu istoty są pozbawionymi skrupułów mordercami. Takie pojęcia jak moralność czy współczucie były im obce – kierowane kapryсами, co najwyżej mogły wyświadczyć komuś przysługę. Dopóki któraś z nich stąpała po ziemi, ludzie nie mogli w pełni cieszyć się wolnością.

Szaman skłonił się na pożegnanie, choć wzbierał w nim wstręt. Cernunnos parsknął jak koń i zabrał się do dosiadanania swojego rumaka, zmieniając się jednocześnie w Króla Olch. Przed odjazdem oznajmił z enigmatyczną miną: – Niech ci się dobrze wiedzie w Szarych Krainach. Bywaj zdrów. A dziś wieczór oczekiwać będę twojej ofiary.

Jeźdźcy znikli za nim wśród drzew, ale ujadanie nie ucichło.

Shavi zgarbił się pod ciężarem wyrzutów sumienia, ale pocieszył się, sięgając po buteleczkę. Była namacalnym dowodem na to, że nie należało tracić jeszcze nadziei. Nowa era obfitowała zarówno w zbrodnie, jak i w cuda.

Do godziny zero pozostało niewiele czasu. Mężczyzna puścił się biegiem w stronę szosy. W ciągu najbliższego kwadransa zamierzał znaleźć się w aucie zmierzającym na północ.

# ROZDZIAŁ 20

## VENCEREMOS

Church nie wiedział, jakim cudem wspiął się na górę. Gdyby nie służący mu za laskę miecz, nie poradziłby sobie ze stromym podejściem. Każdy centymetr jego ciała bolał go do tego stopnia, że po pewnym czasie przeładowany bodźcami umysł mężczyzny po prostu się na nie wyłączył. Church wiedział, że rozsądnie byłoby przysiąść gdzieś i odpocząć, ale z drugiej strony nie mógł teraz myśleć tylko o sobie. Do feralnego święta pozostało jedynie parę godzin i los ludzkości zależał poniekąd od tego, jak członkowie drużyny je wykorzystają.

U wylotu ścieżki czekała na niego Laura. Na powitanie rzuciła mu takie spojrzenie, jakby chciała go uderzyć.

— Witamy pana samobójcę – zaszydziła. – I jak tam, znowu się nie udało? – Zauważywszy, że jest ranny, dodała brutalnie: – Widzę jednak, że mało brakowało. Cóż, może następnym razem.

Church spodziewał się, że dziewczyna go podeprze, a później opatrzy, ale odwróciła się na pięcie i zostawiła go samego.

Pokuśtykał za nią. Na szczęście, zbliżając się do zagrody, czuł się już o wiele lepiej niż wtedy, kiedy zaczynał wspinaczkę. Było to, rzecz jasna, zasługą Ducha Pendragona oraz bijącej od Mam Tor ziemskiej energii. Mężczyzna zdawał sobie jednak sprawę, że nawet z ich pomocą dojście do zdrowia zajmie mu wiele dni. Po drodze, niemal mdlejąc z bólu, próbował nastawić sobie połamane palce, ale okazało się, że nie obejdzie się bez asysty

Laury. Żeby zrosły się prawidłowo, trzeba było je jak najszybciej usztywnić.

Zapomniał o swoich ranach, gdy tylko zobaczył Ruth. Leżała zwinięta w kłębek na swoim skromnym posianiu. Wyglądała na ofiarę ataku kijem baseballowym, bo jej nadęty brzuch pokrywały rozległe, ciemne sińce. Przerażliwa bladość kobiety, worki pod jej oczami i zapadnięte policzki przywodziły na myśl zdjęcia z obozów koncentracyjnych. Nie majaczyła już w gorączce – leżała nieruchomo, a oddychała tak płytko, że prawie niesłyszalnie. Było oczywiste, że umiera.

Laura omijała ją wzrokiem. Wpatrywała się uporczywie w okna albo w ściany.

— To co – spytała z rozgoryczeniem w głosie – kiedy zamierzasz się nią zająć? Dobrze, że przyniosłeś ten miecz, na pewno się przyda.

— Mamy jeszcze trochę czasu. – Nie miał siły wyklócać się, jak Laura powinna zachowywać się w takiej sytuacji.

Uklęknął przy Ruth i odgarnął jej włosy z czoła. Skóra chorej była nieprzyjemnie lepka w dotyku. Church zerknął na jej brzuch. Zawahał się, ale w końcu przyłożył do niego dłoń i natychmiast oderwał ją ze wstrętem, bo w środku coś się poruszyło. Mężczyzna poczuł się, jakby pogłaskał psa, a ten rzucił się go ugryźć.

Laura musiała się przyglądać temu zdarzeniu, bo nagle wybuchła płaczem.

— Czy on naprawdę w niej siedzi? Czy on naprawdę w niej siedzi? Tam nic nie ma, prawda? – Histeryzowała jak małe dziecko.

Church otarł pot z czoła, nieco się już uspokoił. Wstał i podszedł do drzwi.



— Poczekamy do wpół do dwunastej, może dłużej – oświadczył, nie patrząc na dziewczynę. – Nie możemy tracić nadziei, jest szansa, że któryś z chłopaków zdąży wrócić.

Wychodząc, czuł na plecach jej błagalne spojrzenie. Chciała, żeby został, żeby ją pocieszał. On z kolei pragnął znaleźć miejsce, w którym mógłby odpocząć i odkryć w sobie ukryte pokłady siły – jeśli w ogóle takowe posiadał.



Kiedy Shavi dobiegł do szosy, słońce wisiało już nisko nad linią horyzontu. Szaman był zlany potem, jego gardło płonęło, a w bokach dokuczała mu kolka, ale wszystko to nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Intuicja podpowiadała mu, że to właśnie dar Cernunnosa uratuje Ruth. Dzięki Bogu pozostało jeszcze dość czasu, by dotrzeć pod Mam Tor samochodem.

Pół roku temu zastałby w tym miejscu taki ruch, że nie mógłby przejść na drugą stronę jezdni, ale dzisiaj podmiejska droga była zupełnie pusta.

— Błagam – szepnął. – Bogowie, jeśli mnie słyszycie...

Zza zakrętu wyłoniło się białe renault clio. Zduszając w sobie krzyk radości, Shavi wyskoczył na szosę, zastanawiając się, jak przekonać kierowcę, żeby oddał mu swój wóz. Wiedział, że jest gotowy w razie potrzeby odebrać mu je przemocą.

Nad kierownicą clio pochylała się białowłosa starsza pani, tak nerwowo skupiona na jeździe, jakby wyprzedzała właśnie kawalkadę tirów. Zerknąwszy na szamana, zdębiała ze strachu, rozdziawiając szeroko usta.

Co z nią, zdziwił się Shavi. Zrobił krok do przodu.

Staruszka gwałtownie przyspieszyła.

— Nie! – zaprotestował. – Muszę...

Przerwał mu przedziwny dźwięk. Mógł być zawodzeniem wiatru, ale przypominał także niepokojąco wycie wielkiego drapieżnika. W głowie Shaviego włączyły się syreny alarmowe – zorientował się, że zapomniał o czymś niezwykle istotnym, jak brzmiała przepowiednia zjawy, którą wywołał z travellersami? „Gdy rozpocznie się wycie, odwróć się prędko, bo inaczej świat czeka zagłada”.

Nie zdążył. Jego plecy rozdarł potworny ból. Wrażenie było takie, jakby ktoś dźgnął je rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Z jego umysłu pierzchły wszystkie myśli, a świadomość uczepiła się kobiety za kierownicą. Przerażona starsza pani otworzyła usta i oczy tak szeroko, że jej twarz upodobniła się do jakiejś afrykańskiej maski. Renault przemknęło koło szamana, zabierając z sobą resztki jego nadziei. Usiłował coś krzyknąć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Został sam na sam ze swoim zapomnianym przeciwnikiem.

Silna ręka oplotła jego klatkę piersiową i zaczęła odciągać mężczyznę w głąb lasu. Próbował się wyrywać, ale nogi i mózg miał jak z galarety. Nadal nie doszedł do siebie po pierwszym dźgnięciu.

Cisnięto nim o ziemię. Górne partie koszuli miał przemoczone na wylot. Sięgnąwszy odruchowo do rany na łopatkę, zobaczył na palcach krew i widok ten nieco go otrzeźwił. Podniósł się na łokciach.

Reakcja napastnika była błyskawiczna. Prawy łokieć szamana trafił czubek podkutego buciora. Shavi stracił równowagę i uderzył się boleśnie w potylicę. Napastnik przycisnął go całym swoim ciężarem do podłoża, nie czekając na jego kolejny ruch.

Wymachiwał mu przed nosem nożem. Shavi zobaczył nad sobą pysk olbrzymiego wilka, który śledził go aż od Szkocji. Tym razem byli jednak tak blisko siebie, że dzięki swojej wyostrzonej percepcji, szaman zyskał szansę poznać prawdziwą tożsamość bestii.

Jej zewnętrzna powłoka rozwiewała się jak mgła. Żółte ślepia jarzyły się coraz słabiej. Zwierzę kurczyło się, przeobrażając stopniowo w człowieka. Wyglądał znacznie gorzej niż jako wilk – Shaviemu zebrało się wręcz na wymioty. Błądą skórę jego przeciwnika znaczyły żyły tak czarne, jakby zamiast krwi płynął w nich atrament. Czarne miał również gnijące pieńki zębów, co upodabniało jego usta do łba ryby z oceanicznych głębin. Mężczyźnie usunięto powieki, a w jego oszalałych oczach malowało się tyle samo gniewu, co rozpacz. Był tak bardzo okaleczony, że gdyby nie czary Fomorian, już dawno by nie żył.

Chociaż bardziej przypominał kosmitę niż ludzką istotę, Shavi rozpoznał go po burzy siwych włosów i zniszczonym ciemnym garniturze.

— Callow – wyszeptał. Na myśl o tym, jakim torturom poddano włóczęgę, przeszedł go zimny dreszcz, ale zaraz potem wezbrała w nim nienawiść. Zazwyczaj był pokojowo nastawiony do świata, ale oto miał przed sobą człowieka, który dla własnych korzyści kolaborował z Fomorianami. To właśnie Callow odciął Ruth palec i oddał ją w ręce wroga, okaleczył Laurę żyłką, a parę dni temu zabił biedną Penny.

Shavi przycisnął dłoń do swojej rany, żeby zatamować krew – nie była chyba zbyt głęboka.

— Co oni z tobą zrobili? – spytał mężczyznę, grając na czas. Rozmyślał intensywnie nad tym, jak wydostać się z opresji.

— Co oni ze mną zrobili? – powtórzył Callow, łypiąc. – Spójrz

tylko na mnie! Oto jak ukarał mnie Calatin za to, że wymknęliście się nam w Krainie Jezior! Oto jak ukarał mnie za własne błędy! Bydlę! Nie wiadomo było, czy zaśmiał się, czy zaklął. Każdy jego gest ujawniał, że włóczęga oszalał w wyniku tortur. – Nie dość tego! Po wszystkim zrezygnował z moich usług! Porzucił mnie na pustkowiu, żebym odtąd radził sobie sam!

— Zapłaciłeś straszliwą cenę...

— Za was ją zapłaciłem! – Callow otarł oślinione usta. – To wy uciekliście z insygniami! To wy powinniście byli cierpieć! Dlatego was odszukałem. Żebyście mi odpłacili za moje krzywdy. – Pokazał Shaviemu swoją brudną dłoń. Brakowało w niej jednego palca – tego, który wędrowcy znaleźli nad Loch Maree. – Palec od łebka, tak to sobie wyobrażam. To tymi pięcioma palcami trzymali mnie w garści. Jak je wszystkie zdobędę, będę nareszcie wolny. Okaleczę każdego z was i każdego, kto stanie mi na drodze.

Ostrożnie, niby to przypadkiem, szaman przyjął taką pozycję, by przy nadarzającej się okazji móc łatwiej zerwać się na równe nogi. Liczył na to, że Callow na chwilę się zapomni.

— Jeśli chciałeś się tylko zemścić, to dlaczego oddałeś Ruth Fomorianom? – spytał podstępnie. Bardzo mu zależało na tym, żeby zagadać przeciwnika.

Włóczęga zasepił się.

— Sądziłem, że tym sposobem wkupię się w ich łaski. Widzisz, z waszej piątki Ruth jest obdarzona największą mocą, większą nawet niż ty. To ja podrzuciłem Calatinowi pomysł, by to w niej umieścić czarną perłę. Cóż za ironia! Największa bohaterka tego świata służąca za narzędzie do jego zniszczenia! Calatin nie ma wprawdzie poczucia humoru, ale uznał, że dzięki swej wyjątkowej sile wewnętrznej, kobieta dobrze zniesie trudy takiej

cięży. – Mężczyzna zachichotał jak obłąkany. – Cięży! Ha, ha! Dziewicze poczęcie dwa! I pomyśleć, że zanim im to zaproponowałem, mieli zamiar poświęcić jednego z swoich żołnierzy! Calatin wziął więc Ruth, a mnie znowu wyrzucił. Ale jak się z wami uporam, przyjmie mnie, wiem, że mnie przyjmie.

— Po co chcesz do niego wrócić, skoro zmienił cię w potwora? Shavi nie potrafił ukryć wstrętu, jaki czuł do nieszczęśnika.

Callow najwyraźniej nie przejmował się tonem głosu rozmówcy.

— On mnie kocha. Jestem dziełem jego rąk. Ukształtował mnie zgodnie z swoją wizją. A ja nienawidzę go i wielbię zarazem. Nie ma dla mnie innego miejsca prócz tego przy jego boku.

Zabrzmiało to niczym opis relacji pomiędzy Tomem a jego Królową. Shavi nie mógł zrozumieć, co takiego jest w ludzkiej psychice, że niektóre ofiary współdziałają z swoimi oprawcami.

Włóczęga wytarł nóż o nogawkę szamana, pozostawiając na niej cienki pasek czerwieni.

— Widzisz, im się trzeba całkowicie poddać – wymamrotał pod nosem, bardziej do siebie niż do szamana. – To bogowie, nasi bogowie. Mają prawo sterować naszym życiem.

Shavi zerknął z niepokojem na gasnące słońce. Miał świadomość, że jeśli szybko nie ucieknie, wszystko będzie stracone.

— Ja i moi przyjaciele nie poddamy się nikomu. Podlizywanie się obcej rasie nie wyzwoli ludzkości spod jej jarzma. Musimy przejąć kontrolę...

Callow wybuchł szaleńczym śmiechem.

— Uważasz, że możecie ich pokonać?

— Tak, choć będzie nas to kosztować niewyobrażalnie wiele trudu. Wierzę, że przeznaczeniem ludzkości nie jest poddaństwo.

Plama krwi na plecach Shaviego robiła się coraz większa. Rana od noża może nie była głęboka, ale pilnie wymagała zszycia. Szaman przestraszył się, że jeszcze trochę, a wykrwawi się w rozmowie z wariatem.

— Zginiesz jako pierwszy. – Callow powrócił nagle do swojej obsesji. – Najpierw cię zabiję, a potem odetnę ci palec. A może na odwrót? – Zaczął obracać nóż w palcach, szykując się do zadania kolejnego ciosu, jego stale odsłonięte białka nienaturalnie połyskiwały.

— Możemy ci pomóc. – Shavi zdobył się na życzliwy uśmiech. Mamy potężnych przyjaciół wśród Tuatha Dé Danann...

— Naprawdę? – Mężczyzna opuścił nieco nóż.

Shavi stwierdził, że to dobry moment na rozpoczęcie pertraktacji.

— Naprawdę. Zobaczysz. Możemy na przykład...

Callow rzucił się na niego z impetem kobry. Nóż zatopił się w klatce piersiowej szamana – raz, drugi, trzeci. Ranny zapadł się w ciemność.

Kiedy odzyskał przytomność, wydało mu się, że leży pogrzebany w głębi swojej głowy i tylko przez maciupkie okienko może wyglądać na zewnątrz, jego lewa dłoń paliła żywym ogniem, jednak nie był w stanie ani nią ruszyć, ani choćby na nią spojrzeć. Gasnąca część jego umysłu wiedziała, co się stało, ale ta jeszcze działająca nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Z niczym sobie zresztą nie radziła. Skupiła się na rejestrowaniu przypadkowych doznań: przejmującego acz ulotnego żalu, że się wszystkich zawiodło, miękkości trawy pod policzkiem, leśnych woni lata, łuny zachodzącego słońca... Przed oczami Słwiego przewijały się jak w kalejdoskopie twarze Ruth, Churcha, Laury, Veitcha, Toma, Lee i rodziców.

Z oddali doszedł uszu rannego głos Callowa: — Nie ma dla mnie lekarstwa, jest tylko ból i cierpienie.

Słysząc byto jak szalenie odchodzi. Zapadła cisza. Ale szaman nie był sam. Pochyliła się nad nim dobrze znana mu postać, nie tylko teraz widziana jak przez mgłę. Ileż to już nocy dręczył go ten głos? Niedługo znów będziemy razem.

A potem Lee zaczął mu opowiadać, co też go czeka w Szarych Krainach.



W parku w Windsorze powoli zapadał zmierzch. Wśród drzew gęstniała ciemność, a trawę znaczyły coraz dłuższe cienie. Gdzieś w pobliżu ujadły psy. Jeden z cieni oderwał się od pozostałych i zbliżył do leżącego w kałuży krwi szamana. Cernunnos obwąchał mężczyznę uważnie, po czym odchylił zwieńczoną porożem głowę do tyłu i przeciągle zawył. Dołączyły do niego ogary. Gdyby słyszał to jakikolwiek śmiertelnik, serce pękłoby mu z rozpacz.

Wraz z bogiem przyrody ucichły wszystkie stworzenia w okolicy: od ptaków po świerszcze. Cisza ta była gorsza niż poprzedzające ją wycie. Cernunnos pogmerał w kurtce Shaviego i wyjął podarowaną mu przez siebie buteleczkę. Przyglądał jej się przez kilkanaście sekund, wolno kolebiąc głową na boki, aż wreszcie odwrócił się i zniknął w lesie.



Church siedział na swojej ulubionej skale wpatrzony w gasnące słońce. Na niebie, nie wiedzieć czemu, nie przeważały fiolety, ale czerwienie. Przywódca drużyny czuł się tak, jakby jego ciało należało do kogoś obcego – składało się wyłącznie z siniaków, zadrapań i ukrytych obrażeń. Najbardziej dokuczały połamane palce. Od pulsującego bólu w dłoni chciało mu się wymiotować. Gdy Laura ją usztywniała, oczywiście zemdlał. Naigrywała się z niego później, ale bez większego entuzjazmu.

Zdrową dłoń zaciskał na rękojeści czarnego miecza. Dziwny metal, z którego ją zrobiono, przypominał w dotyku węża – czasami mężczyzna odnosił wrażenie, że coś w jej wnętrzu się porusza. Był tak słaby, że wątpił, czy będzie zdolny użyć fomoriańskiego daru.

Nie mógł się opanować i w kółko zerkał na zegarek, odliczając, ile minut pozostało do dwunastej. Jego myśli krążyły uporczywie wokół Ruth. Pogrążył się w wspomnieniach. Ich pierwsze spotkanie... Uznał ją z miejsca za bratnią duszę. W hotelu w Salisbury chowali się razem pod kołdrą przed Baobhan Sith... Na Skye powiedziała mu przy ognisku: „Kilkoro z nas z pewnością przypłaci to życiem”.

Pocieszał się, że jeszcze nie wszystko stracone. W każdej chwili, odgrywając rolę przeznaczoną w klasycznych westernach dla kawalerii, mógł pojawić się Shavi albo Veitch z Tomem. Tyle że tych chwil było coraz mniej...

I znów jak echo powracało trapiące go od dawna pytanie: czy był w stanie zabić najbliższą sobie na świecie osobę, choćby nawet jej los i tak był już przesądzony? Czy potrafił zgasić tłące się w niej życie, przyglądać się, jak z jej twarzy znika cierpienie? Zakrył oczy, by po raz pierwszy od wielu lat się pomodlić.





Laura siedziała w rogu pokoju, w którym leżała Ruth, i obejmując się rękami za kolana, obserwowała, jak śpiąca dygocze. Trudno było znieść to, co działo się z jej towarzyszką. Takie doświadczenie zmuszało do przemyśleń. Dziewczyna zastanawiała się, jak sama zniosłaby coś podobnego, a także jak znosi to kobieta, którą, jakby nie było, od początku darzyła publicznie niechęcią. Przez długi czas nie mogła nawet patrzeć na Ruth – teraz z kolei nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Laura nie wiedziała, czy w ten sposób wymierza sobie karę, tak jak nauczyli ją tego obsesyjnie religijni rodzice, czy też po prostu czeka na to, aż coś się wydarzy. Poniekąd wszystko wokół wydawało się czekać. Atmosfera w pokoju przypominała tę przed burzą.

— Daruj jej życie – szepnęła, wmawiając sobie, że się nie modli. – Spraw, żeby Ryan albo Shavi wrócili w porę z dobrą nowiną.

Okropne było to, że nie mogła nic zrobić. Nie ją wysłano w heroiczną misję. Po co w ogóle trafiła do drużyny? Żeby prawdziwym bohaterom służyć za nadwornego błazna? Nie posiadała żadnych zdolności, na niczym się nie znała. Była tchórzem, popaprańcem, sarkastyczną zazdrośnicą. W sekrecie marzyła o tym, by udzieliły jej się talenty jej kompanów. Sama mogła pochwalić się co najwyżej zieloną krwią.

Dlaczego wybrano ją na Siostrę Smoków? Czy czegoś o sobie nie wiedziała?

Zakryła oczy dłońmi, ale szybko tego pożałowała, bo do pokoju

wszedł Church. Był jednak zbyt poruszony, by ją zauważyć. Wyczerpany walką z bólem, wyglądał na czterdziestolatka.

Na jego widok jak zawsze zalała ją fala czułości. Żałowała okropnie, że nigdy nie była wobec niego do końca szczerą. Mogłaby się zmienić, ale na kilka godzin przed końcem świata nie miało to według niej sensu. A jeszcze parę tygodni temu tyle sobie po tym związku obiecywała! Nareszcie znalazła kogoś, przy kim czuła się w miarę swobodnie, kogoś przyzwoitego i pełnego nadziei – całkowite jej przeciwieństwo. Zgodnie ze stałym scenariuszem, zaraz potem wszystko zaczęło się sypać.

— Co jest? – spytała obojętnym tonem.

Odpowiedź odgadła, zanim się odezwał. Wyczytała ją z wyrazu jego twarzy.

— Sądzę, że Fomorianie zaczynają szturm.



Podpełzłszy na skraj skalnego występu, spojrzeli w dół na morze kotłujących się cieni. Dopiero po chwili Laura zorientowała się, że czerń powoli się przemieszcza.

— Wiedzą, gdzie jesteśmy – powiedział Church. – Pierwsze szeregi już się wspinają.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Cóż, nie powiem, żeby była to niespodzianka. Zapowiada się powtórka Alamo.

Church zerknął na wiszące nad widnokręgiem czerwone słońce.

— Nie rozumiem, dlaczego tak wcześnie.

— Wcześnie?

— Myślałem, że poczekają, aż zapadną ciemności. Muszę spróbować jakoś ich trochę opóźnić.

— Jak to sobie wyobrażasz? Może będziesz ciskał w nich kamieniami?

— Mam już powyżej uszu twoich prześmiewczych uwag. Nawet w takiej chwili nie potrafisz się opanować?

— Wybacz, że tak cię irytuję, wrażliwcu. – Odwróciła głowę, żeby nie mógł zobaczyć jej miny.

Czarny przypływ nabierał prędkości, zakrywając coraz to nowe połacie skał i trawy. Był to fascynujący spektakl. Z wysokości występu Church nie rozróżniał poszczególnych żołnierzy, co potęgowało iluzję, że górę otacza wzburzony ocean inkaustu. Słońce wisiało już zbyt nisko, by ocenić, jak daleko sięgały jego wody, noc i Fomorianie złączyli się w jedno, ale Church podejrzewał, że są tam ich w dole tysiące, podobnie jak w czasie bitwy w Krainie Jezior. Gadziny szykowały się prawdopodobnie na świętowanie przybycia swojego władcy, gotowe przetransportować go po północy do jakiejś nowej podziemnej twierdzy. Pod drugiej stronie barykady był tylko on sam, ranny i wyczerpany, zbrojny w jeden jedyny miecz. Gdyby nie chodziło o niego samego, śmiałyby się pewnie w kułak z podobnego śmiałka.

Nie gniewał się już na Laurę.

— Wróć do zagrody, posiedź przy Ruth – poprosił łagodnym tonem głosu.

— Ale z ciebie podły macho. Kobiety do garów i chorych, tak? Walka to męska sprawa?

— Nie, po prostu ktoś powinien być przy Ruth...

— Aż do samego końca? – Najwyraźniej zrozumiała. Przez dłuższą chwilę przyglądała się w milczeniu zrujnowanemu budynkowi. Chyba nie spodziewasz się, że ja to zrobię?

— Nie, skąd. To moje zadanie.

— A co, jeśli... – Brakowało jej eufemizmów.

— Obiecuję, że wrócę na czas i wszystkim się zajmę.

Pokiwała głową.

— Dobra nasza. Jako wyjątkowe oferty spieprzymy wszystko w wyjątkowy sposób.

Nadal kiwając głową, ruszyła w stronę domu. Nagle zawróciła biegiem. W widocznych w jej oczach łzach błyszczało zachodzące słońce. Otarłszy je prędko, dziewczyna rzuciła się Churchowi na szyję i przytuliła go mocno do siebie.

— Nie mogę powiedzieć, że było super. No, może czasami. Ale pewne jest to, że nie zapomnę naszych przygód aż do śmierci.

Pocałowała go namiętnie w usta i już jej nie było.

Church skupił się na tym, co czekało go tego wieczora. Zdesperowany, usiłował obmyślić jakiś fortel, dzięki któremu zyskałby kilkadziesiąt cennych minut na wprowadzenie w życie swojego planu, ale nic odpowiedniego nie przychodziło mu do głowy. Gdyby chata była w lepszym stanie, mógłby zmienić ją w fortecę. Gdyby ścieżka na Mam Tor biegła przez wąwóz, mógłby go czymś przegrodzić. Gdyby wróg musiał przejść po moście, mógłby go spalić. Gdyby... Tymczasem zagroda znajdowała się w taki miejscu, że można było ją zdobyć z dowolnej strony. Bomba.

— Shavi, Tom, Ryan – zwrócił się głośno do nieobecnych kompanów. – Jeśli zamierzacie wykonać jakiś ruch, nadeszła właściwa pora.

Jego słowa uleciały w dal z wieczornym wiatrem.



Usiadł na głazie. Był spięty. Serce bilo mu coraz szybciej. Miał wrażenie, że jeszcze trochę, a wystrzeli z jego piersi. Fomorianie przemieszczali się zwartymi szeregami, zachowując się jak jeden organizm. Podobnie rzecz się miała w Krainie Jezior – gdy go wtedy porwano, zdawało mu się, że unosi go prąd smolistej rzeki. Być może tak właśnie należało postrzegać tę rasę: jako ucieleśnienie zła, jedną istotę obdarzoną jednym umysłem i jednym ciałem, które w razie potrzeby rozbijało się na tysiące autonomicznych części. Od tej hipotezy zakręciło się Churchowi w głowie. Zarówno Nocni Wędrowcy jak i Tuatha Dé Danann byli tak odmienni od ludzi, że przykładanie do nich ludzkich miar nie miało najmniejszego sensu. Ich zachowaniem rządziły zupełnie inne, wręcz niewyobrażalne reguły.

Church pomyślał z pobłażaniem o naukowcach. Wielu z nich zajmowało się teraz prawdopodobnie zgłębianiem tajemnic nowej ery. Jak radzili sobie w laboratoriach z badaniem istot i zjawisk, których nie dawało się ani zmierzyć ani przypisać do znanych kategorii? Czy bliscy załamaniu nerwowemu próbowali wcisnąć klocek o kwadratowym przekroju do okrągłego otworu swoich intelektualnych możliwości?

Mimo wszystko, nie można było zaprzeczyć, że pod pewnymi względami Fomorianie przypominali ludzi. Czyżby ci drudzy przejęli u zarania dziejów pewne cechy od starszej rasy? A może mieli tych samych przodków? To ostatnie przypuszczenie było zbyt potworne, by w ogóle brać je pod uwagę.

Nocni Wędrowcy przywodzili mu na myśl barbarzyńców z wczesnego średniowiecza. Bez wątpienia posiadali plemienną strukturę społeczną, a różne frakcje bezustannie walczyły w jej obrębie o władzę. Church podejrzewał, że zjednoczyć je mogły wyłącznie rządy Balora, ponieważ z jednej strony był on tyranem

trzymającym poddanych krótko, zaś z drugiej obiecywał najwyższą z nagród – podbicie całego świata. Co do Złotego Ludu, przyrównywał go na własne potrzeby do dworzan dworu cesarskiego chylącego się ku upadkowi imperium, gdzie górę wzięło szeroko pojęte rozpasanie. Trudno mu się było pogodzić z tym, że bogowie dzielą z ludźmi tyle przywar.



Czekał. Gdy wojska pokonały połowę drogi, jego uszu doszły odgłosy dręczące go w koszmarach – charakterystyczne zwierzęce chrząknięcia i porykiwania. Potem przyszła kolej na znany mu od dawna smród. Wreszcie z ciemnej masy wyłoniły się sylwetki poszczególnych żołnierzy. Tysiące składających się na czarną falę insektów pięło się nieprzerwanie ku górze, nieraz bezpardonowo wdrapując się po swoich sąsiadach. Percepcja Churcha nie przypisywała im konkretnych kształtów. Czasami widział monstra o skrzydlatych szkieletach uzbrojone w skorpionie ogony bądź homarze szczypcy, innym razem wojów w lśniących czernią zbrojach dzierżących zdeformowane topory i miecze o ząbkowanych ostrzach. Miał dość. Odsuwając się od krawędzi przepaści, nie wiedział, czy prędzej zwymiotuje czy zemdleje.



Laura wyglądała przez okno, popadając w coraz to większe

przygnębienie. Tyle się natrudzili, tyle wycierpieli i wszystko na nic. Tym razem miała to być ich ostatnia porażka. Za jej plecami, Ruth znowu zaczęła rzucać się na posłaniu. Pewnie przygotowywała się już do porodu.

Dziewczyna zastanowiła się, jakby to było umrzeć. Do pewnego stopnia wyczekiwała tej chwili ze zniecierpliwieniem, dotyczyło to jednakże tylko jej własnej śmierci. Z tym, że życie mieli też stracić Church i Ruth, nie potrafiła się pogodzić.

Ocierając łzy, zauważyła, że w pobliżu domu coś się poruszyło. Zamarła. Nadchodzili Fomorianie, co do tego nie miała wątpliwości. Nie zamierzali pozostawiać swojego przywódcy w rękach wroga dłużej niż to było konieczne. Czyżby obeszli Churcha podstępem, tak że nie miał kiedy podnieść alarmu? Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego, podłużnego przedmiotu, chcąc bronić chorej do ostatniej kropli krwi. Żałowała, że nie zdążyła przeprosić towarzyszki, że tak źle ją traktowała – zazdrościła jej po prostu kryształowego charakteru.

Sekundę później ktoś wywarzył drzwi. Twarz Laury stężała z przerażenia. To koniec, pomyślała, widząc, kto stanął na progu.



Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Powietrze zdawało się być naładowane elektrycznością. Church poczuł w ustach metaliczny smak. Ziemia pod jego stopami niepokojąco wibrowała. Chociaż próbował sobie rozpaczliwie przypomnieć, kim jest i jakie są jego ideały, kiedy ponad krawędzią skarpy pojawili się pierwsi Fomorianie, miał ochotę paść ze strachu na

kolana.

W ciemnym kłębowisku rozróżniał kolejne kształty rodem z najstraszniejszych horrorów: kończyny zmieniające się w macki, macki zmieniające się w pajęcze odnóża, dzikie ślepia przeobrażające się w fasetowe owadzie oczy. Czarna masa połyskiwała niczym złożę węgla, a w jej wyższych partiach odbijała się głęboka czerwień zachodzącego słońca. Takie nagromadzenie brzydoty było niemalże piękne w swojej sile.

Churcha poraziła prędkość, z jaką przemieszczało się czoło tej straszliwej fali. Był żaloszny, mniemając, że jest w stanie ją powstrzymać. Spiętrzała się przed nim tak długo, że wreszcie przesłoniła połowę nieba. Spodziewał się, że runie na niego, zgniatając go na miazgę, ale zamiast tego rozstąpiła się i otoczyła zagrodę półksiężycem. Fomorianie wydzielali sporo ciepła i okropnie cuchnęli.

Jakimś cudem Church zdołał utrzymać się na nogach, zmuszając się, by nie myśleć o tym, co go czeka. Skoncentrował się na swoim własnym zachowaniu i postawie, mając nadzieję, że nie wygląda na zdjętą strachem Kruchą Istotę.

Obrzydliwe pomruki ucichły nagle, a wojska zastygły w bezruchu. Równie dobrze mogłyby być wyciosane z obsydianu. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było zawodzenie wzmagającego się wiatru.

Na co oni czekają, zdziwił się Church, i zaraz uzyskał odpowiedź. Przez zebrany wokół niego tłum przeszedł szmer ekscytacji, a potem zgasł ostatni promień słońca i zapadła ciemność. Z tysięcy fomoriańskich gardeł dobył się chrapliwy triumfalny okrzyk. Mężczyzna zadrżał. Na powrót zapadła głucha cisza. Nadszedł czas na drugi akt przedstawienia.

W pobliżu krawędzi czarnej ściany powstało dziwne



wybrzuszenie. Ruszyło szybko w stronę Churcha niczym płynący tuż pod powierzchnią wody rekin. Śmiałek wstrzymał oddech. Dotarłszy do skraju, groźny kształt odłączył się od całości niczym kropla. Okazało się, że to przywódca Nocnych Wędrowców, Calatin. Miał na sobie ohydną zbroję nałożoną na brudną koszulę z białego jedwabiu, a w ręce trzymał, niby to od niechcienia, ten sam rdzewiejący miecz, którym zadał Churchowi śmiertelny cios podczas ich ostatniej konfrontacji.

— I oto znów się spotykamy w przeddzień wielkiego święta oświadczył głosem przepełnionym wzgardą i arogancją. – Czyżby jedna śmierć cię nie zadowalała?

Church milczał, ale jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Słońce zaszło, lecz zostało chyba jeszcze dość czasu.

— Dokonałeś właściwego wyboru – ciągnął Calatin sarkastycznym tonem. – Ukryłeś się przy źródle błękitnego ognia, zamiast zmierzyć się z nami na polu bitwy. Wiedziałeś, że nie masz szans. Nadal nie zasłużyłeś sobie na miano dziedzica Ducha Pendragona.

— Dość wam sprawiliśmy kłopotów w Edynburgu – przerwał mu Church. – Zniszczyliśmy waszą warownię i wykradliśmy wasz... skarb.

Po twarzy Calatina przemknął cień. Uśmiechnął się szatańsko.

— Za to teraz odkryłeś, że nie tak łatwo pozbyć się wysoko urodzonego Nocnego Wędrowca.

Zrobił kilka kroków do przodu. Z trudem dźwigał miecz. Wysiłek pozwolił mu uspokoić się po ripoście Churcha. Wskazał na niebo.

— Dziś noc cudów. Wkrótce Serce Cieni zasiądzie na tronie, nastaną nasze porządki, świat na dobre odwróci się od światła.

A wy, Bracia i Siostry Smoków, przyczyniliście się do tego, że

tak się stanie.

Tłum znów przeszedł szmer, jakby po swojemu parskali śmiechem. Church postanowił za wszelką cenę grać na czas.

— Dlaczego Ruth?

— Ponieważ jest wytrzymała i obdarzona wielką mocą. Nawet ty jej nie dorównujesz – dodał, licząc chyba, że zrani w ten sposób męskie ego rozmówcy. – Tylko ona z waszej piątki była zdolna donosić czarne nasienie. Miałem inne zamiary, ale kiedy mi ją dostarczono, stwierdziłem, że posłużenie się Siostrą Smoków do wskrzeszenia Serca Cieni to idealny symbol naszej potęgi.

Church powstrzymywał się z całych sił, aby nie wybuchnąć gniewem.

— Planowaliście to od dawna... – podsunął Calatinowi następny temat.

— Od dawien dawna. Odkąd Przymierze ze Złotym Ludem pozbawiło nas wodza. Wielka była nasza żałoba w Dalekich Łądach. Bez Serca Cieni... cóż, istniejemy tylko w połowie. Stworzyliśmy więc Urok Życzeń, aby przełamać bariery i dostać się do tego świata. Później wystarczyło czekać. Gdy wybiła nasza godzina, zaczęliśmy odpowiednie działania. Powiodło się. Przejdę do historii jako ten, który sprowadził Serce Cieni z powrotem na ziemię. – Calatin wyraźnie się rozmarzył. – Moje plemię zajmie najwyższe miejsce w hierarchii. Tylko moje.

— Balor nie jest jeszcze w waszych rękach.

Przywódca Fomorian zaniósł się niespodziewanie męczącym suchym kaszlem. Przesłonił usta dłonią. Gdy zamilkł, podparł się mieczem, garbiąc przy tym tak, że brodą prawie sięgał jego rękojeści. Spojrzał na Churcha rozleniwionym wzrokiem.

— Ciekaw jestem, co teraz czujesz? Żal? Wstręt do samego

siebie? Wyrzuty sumienia?

— Nie jestem człowiekiem, którego poznałeś kilka miesięcy temu, Calatinie. Nie skupiam się już na sobie, ale na innych. Jeśli czuję wstręt, to wobec ciebie i twoich pobratymców, istot nie z tego świata, które myślą, że mogą rozkazywać jego prawowitym mieszkańcom. Czuje do was nienawiść, za to, ile krzywd nam wyrządziliście. I za to, co zrobiliście z Marianną.

— A, tak – ożywił się Calatin. – Twoja kolejna porażka. Sądziłem, że będziesz się na nas mścił. Ale nie, zapomniałeś o dawnej ukochanej. Woląłeś zabawiać się z innymi.

Church wiedział, że Fomorianin chce go zranić, ale oskarżenie i tak go dotknęło.

— Według mnie, zaakceptowałem to, że mam pewne zobowiązania, nie bacząc na to, czy wywiązywanie się z nich czymś mi grozi.

Calatin zaśmiał się.

— Nie wierzysz mi? – Church wskazał na dom. – Ruth nie żyje. Zabiłem ją już wcześniej, a wraz z nią waszego boga.

Czarne wojska zaprotestowały odgłosami przypominającymi ostrzenie noży. Church wzdrygnął się. Na twarzy Calatina pojawił się strach, ale na moment.

— Kłamiesz! Poczulibyśmy rezonans!

Mimo wszystko oświadczenie Churcha wyprowadziło go z równowagi. Nie potrafił powstrzymać nerwowego dygotu. Popatrzył w stronę zagrody, a potem odwrócił się do żołnierzy.

— Gdyby Serce Cieni przestało istnieć, już byśmy o tym wiedzieli – dodał.

Teraz to Church parsknął śmiechem. Calatin rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Poza tym, nie masz w sobie dość odwagi. Zaglądałem w

twoje serce, Smoczy Bracie, i nie da się ukryć, że całym sobą należysz wciąż do Kruchych Istot.

— Nie zyskasz pewności, dopóki nie wejdiesz do środka.

Mina, jaką przybrał Calatin, świadczyła o tym, że już nie może się doczekać. Wzniósł rękę, żeby nakazać zastępom runąć na swojego przeciwnika.

— Co takiego? Tym razem rezygnujesz z pojedynku? – rzucił pospiesznie Church, zerkając dyskretnie na niebo. Nadal było puste.

— jeśli mnie pamięć nie myli...

— Tak, pokonałeś mnie, ale nie walczyłeś uczciwie. Wiedziałeś, że wygrasz, bo odurzyłeś mnie najpierw mocą Pocałunku Mrozu. Gdyby nie to, z łatwością bym cię pokonał.

Dowódca armii zawahał się. Church widział jego myśli niemalże jak na dłoni. Jakby nie było, Nocni Wędrowcy nasłuchali się opowieści o wyczynach Braci i Sióstr Smoków, podobnie jak ludzie poznali przez legendy dokonania Fomorian. Calatin nie mógł ot tak zbagatelizować poddań swojej rasy – a nuż mogły okazać się prawdziwe.

Dłonie Churcha spływały potem. Rozsądek podpowiadał mu, żeby pobiec w te pędy do Ruth i ją zabić, ale miał nogi jak z ołowiu. I nie tracił jeszcze nadziei.

Podniósł miecz, gotowy zmierzyć się z Calatinem. I wtedy stało się coś dziwnego. Fomorianin spojrział z niedowierzaniem na jego oręż, po czym cofnął się o krok zszokowany. Jego żołnierze chóralnie jęknęli.

— Ten miecz... – Calatin wskazał go drżącym palcem.

Przyjrząwszy się ciekawie darowi Mollechta, Church wzruszył ramionami.

— No, rusz się – zachęcił przeciwnika do walki, chociaż sam

czuł się słaby i obolały, jego lewa dłoń wciąż nie nadawała się do użytku. – Chyba, że zamierzasz się tchórzliwie wycofać?

Calatin uniósł dumnie brodę, ale zezował na boki, jakby zastanawiał się, w którą stronę umknąć. W końcu sięgnął po swój własny miecz z miną, jakby żegnał się z życiem.



Krążyli wkoło siebie skoncentrowani, nie zadając jednak żadnych ciosów. W niczym nie przypominało to ich poprzedniego starcia. Calatin starał się zachowywać jak największą ostrożność i odstęp. Ta defensywna postawa dodała Churchowi pewności siebie. Zachodził w głowę, jakaż to siła tkwi w mieczu Mollechta.

Spróbował oczyścić umysł z wszelkich negatywnych myśli, emocji i wrażeń. Zapomnieć o płynącym z licznych obrażeń bólu, o dręczących go dylematach, o tygodniach mrozących krew w żyłach przygód. Zapomnieć o otaczającym go mrowiu wrogich mu Nocnych Wędrowców. Ich obecność odbierał jako setki wbijających się w jego ciało szpilek. Wydawało mu się, że ci za jego plecami już ruszają do ataku. Z tej paranoi także musiał się błyskawicznie wyleczyć. Aby rozbudzić w swoim sercu nadzieję, skupił się na twarzy Calatina, na której malowały się wyraźnie sprzeczne uczucia.

Z każdym miarkowanym pchnięciem napięcie rosło. Church dostrzegał także, że rósł niepokój przeciwnika. Z jednej strony bał się mocy miecza Mollechta, z drugiej obawiał się stracić twarz.

Wreszcie nie wytrzymał presji i natarł na mężczyznę. To, że

był na skraju załamania nerwowego, nie zmieniało faktu, że w fechtunku nie miał sobie równych. Church zdążył tylko dojrzeć, że rdzewiejące ostrze znika, wprowadzone celowo w niezwykle intensywne drżenie. W ostatniej chwili zrobił unik, ale i tak musnęło jego policzek – gdyby wahał się sekundę dłużej, trafiłoby w gardło. Krzyknął z bólu. Calatin uśmiechnął się okrutnie. Pierwszy sukces dodał mu skrzydeł. Ponowił atak, zamachując się mieczem niczym kosą.

Nagle rozległo się dźwięczne szczęknięcie. Z początku Church nie wiedział, co się stało, a gdy zrozumiał, przeszły go ciarki. Jego miecz samodzielnie zablokował wymyślny manewr! Otumaniony bólem mężczyzna miał osłabiony refleks i bez wsparcia magicznego przedmiotu już by nie żył.

Calatin wykorzystał dekoncentrację Churcha, próbując zranić go w brzuch. Miecz Mollehta natychmiast wyrwał się w odpowiednim kierunku, odparował cios i powrócił do pozycji wyjściowej.

Church poczuł obrzydzenie. Czyżby dzierżył w dłoni coś żywego? Rękojeść miecza już wcześniej przypominała w dotyku gada teraz i ostrze wyglądało na giętkie i oślizgłe.

Tym razem Fomorianin wycelował w kolana swojego przeciwnika. Church zablokował go bez trudu i nabrawszy śmiałości, pozwolił mieczowi przeć naprzód. Ani się obejrzał, a ranił Calatina w przedramię. Wojownik zawył, a w jego oczach znów zagościły niepewność i lęk. Church spodziewał się po żołnierzach jakiejś reakcji na porażkę ich przywódcy, ale żadnej się nie doczekał. Ich wieloznaczne milczenie działało mu na nerwy.

Cofnął się nieco, by wziąć głębszy oddech. Obficie się pocił. Sądził, że Calatin wykorzysta nadarżającą się okazję, ale jego

oponent zrobił się jeszcze bardziej ostrożny niż na początku pojedynku. Nie spuszczał miecza z oczu, oblizwał wyschnięte wargi.

— To on ci go dał, prawda? – zapytał.

Church zignorował to pytanie. Oddychając miarowo, mimowolnie zwiększał swoją koncentrację, przez co wkrótce, mile zaskoczony, był w stanie dostrzec linie niebieskiego ognia. Lśniły w mroku. Niektóre kończyły się ślepo, inne słabły na pewnych odcinkach, ich ogólny stan pozwalał jednak wierzyć, że energia ziemi stopniowo się odradza. Na Mam Tor była bez wątpienia najsilniejsza w okolicy. Wnikała w tkanki mężczyzny, orzeźwiając go i przyspieszając gojenie się ran. Przede wszystkim, poczuł się dzięki niej częścią większej całości, co przypomniało mu sens jego istnienia i dodało sił. Był gotów.

— Powiniennem był zgładzić drania – mruknął Calatin, kręcąc głową.

Zdesperowany, rzucił się na Churcha, siekając gdzie popadnie. Wahanie i strach zastąpiła znienacka nieposkromiona furia.

Na nic zdało się jego poświęcenie. Z pomocą czarnego miecza i energii ziemi, Church odpierał każdy jego cios z takim impetem, że tamten, chcąc nie chcąc, zaczął się wycofywać. Celne pchnięcie rozplatało mu zbroję na piersiach, a kolejne trafiło w grzbiet nosa. Zawył z bólu, gdy trysnęły krople czarnej krwi. Zaraz potem, żeby odeprzeć atak, musiał aż ukucnąć. Ostrze minęło go o milimetr. Odkoczył do tyłu. Nie miał jednak dokąd uciekać, bo szeregi żołnierzy się nie rozstępowały, nikt nie zamierzał mu również przyjść z pomocą. Jego rasie obce było pojęcie współczucia. Słabszych pozostawiano na pastwę losu. Ich eliminacja wzmacniała uśredniony potencjał grupy.

Przywódca Nocnych Wędrowców wiedział, co go czeka, ale,

trzeba było przyznać, trzymał się dzielnie. Żadnym gestem nie zdradzał lęku – wyzierał on tylko z jego oczu. Ale Churchowi to wystarczało.

Od wibracji przy zderzeniach mieczy bolały go wszystkie stawy. Naparł na Calatina resztką sił. Siekał powietrze w amoku, aż wreszcie prawa ręka jego przeciwnika została odepchnięta gdzieś w bok, na ułamek sekundy odsłaniając bezbronną pierś. Church zdawał sobie sprawę, że jeśli chce wygrać, musi zadać decydujący cios, ale zawahał się. Chociaż Calatin był bogiem, miał w sobie także wiele z człowieka. Zbyt wiele.

Co z niego za bóg, pomyślał Church.

Jego miecza nie interesowały jednak moralne dylematy. Zaatakował z okrutną precyzją, niemalże wyskakując z palców swojego właściciela. Zatopił się w ciele Calatina niczym w cieście. Chlusnęła krew. Church przesłonił wolną ręką oczy. Calatin dygotał, jakby przepuszczano przez niego tysiące wolt. Z jego twarzy bila niewypowiedziana rozpacz i przerażenie, na których widok kroilo się serce. Church zrozumiał, że istocie uważającej się od milionów lat za niezniszczalną, śmierć jawiła się jako coś o stokroć gorszego niż ludziom.

Miecz Mollechta nie przestawał drgać, zdając się wysysać z Calatina życie. Policzki umierającego zapadły się, mięso zaczęło odpadać płatami od kości, mieszając się ze strzępkami ubrania. Church puścił rękojeść. Narzędzie opadło na ziemię wraz z topniejącym w oczach szkieletem, z którego wkrótce pozostała jedynie malejąca plama. Miecz tymczasem skurczył się i wypuściwszy skorpionie odnóża, czym prędzej czmychnął w mrok. Church domyślił się poniewczasie, że był to należący do Mollechta Caraprix, jedno z owych tajemniczych stworzeń żyjących z bogami w symbiozie. Do tej pory miał je za



stosunkowo niegroźne, ale teraz, po pokazie ich wampirycznych zdolności, zastanawiał się, czy to czasem nie one sterują bogami, a nie na odwrót.

Nie miał czasu na rozmyślenia. Dla otaczających go Fomorian śmierć Calatina stanowiła sygnał do ataku. Dopóki mężczyźni towarzyszył Caraprix, mieli się jeszcze na baczności, ale kiedy zniknął, nic ich już nie powstrzymywało. Church z chęcią stawiłby im opór, tyle że ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Wyczerpany, opadł na kolana.

To koniec, pomyślał. Był tak zmęczony, że nawet nie czuł smutku. Nie mógł mieć do siebie żalu – przynajmniej w ostatnim pojedynku dał z siebie wszystko.

W czarnej masie znów przeobrażały się ohydne kształty. Fala ciemności wezbrała nad Churchem niczym oglądane w zwolnionym tempie tsunami. Rzuciła przejmujący chłodem cień.

Mężczyzna zwiesił głowę, czekając na śmiertelny cios. Minęło kilka sekund. Nic. Ostrożnie podniósł wzrok. W tym samym momencie fala zadrżała, wygięła się dziwnie i rozbiła na kłębiący się tłum pojedynczych żołnierzy. Uciekali w popłochu, tratując się i obijając o siebie. Church prawie stracił równowagę, jego uszu dobiegał znany mu skądinąd odgłos rozrywanej blachy. Przed oczami migwały potworne acz przerażone twarze.

Granat nieba rozbłysnął złotą poświatą.

— Nareszcie – powiedział Church, nie wierząc w swoje szczęście. – Kawaleria.

U jego stóp wylądowało zrzucone z dużej wysokości, okaleczone ciało. Bryzgnęła cuchnąca posoka. Church cofnął się odruchowo, wpadł uciekającemu Fomorianinowi pod nogi i od kopniaka stracił przytomność. Kiedy się ocknął, chaos sięgnął apogeum. Zewsząd dochodziły jęki rodem z rzeźni, w powietrzu

latały pokieroszowane członki. Mężczyzna ruszył niezdarnie w stronę domu, ślizgając się na kałużach ciemnej parzącej mazi.

Nagle z czarnego kłębowiska buchnęła oślepiająca jasność i przed porażonym nią śmiałkiem stanął Dobry Syn. Na jego pięknej twarzy malował się taki spokój, jakby bóg nie zabijał, a medytował, co kontrastowało z jego skapującymi posoką włosami i utyłanymi policzkami. Pełne niewinności oczy ledwo było widać spod warstwy fomoriańskiej ropy. Na prawo i lewo hojnie rozdzielał kalectwo i śmierć. Pod jego dotykiem ciała ofiar stawały w płomieniach lub się rozpadały. Wielu nieszczęśników po prostu miażdżył.

Oszołomiony makabrycznym pokazem bestialstwa, Church znów padł na kolana, ale zanim Maponus zdążył się nim zainteresować, ktoś złapai go za koszulę i brutalnie odciągnął na bok. Mężczyzna padł na trawę na skraju stoku. Nad sobą zobaczył Strażnika Kości.

— Mało brakowało, a nie wyrobiłbym się na czas. – Starzec otarł sobie pot z czoła, ciężko dysząc. – Nie był taki chętny gonić mnie aż na sam szczyt.

— Spisałeś się na medal. – Church uściśnął mu z wdzięcznością przedramię. – Szczerze mówiąc, zaczynałem już tracić nadzieję.

— Nigdy nie popełnij drugi raz tego błędu.

Strażnik podniósł się z ziemi, podpierając się na swoim kosturze.

Nie mieli sił dłużej rozmawiać. Skupili uwagę na wycofujących się zastępach Fomorian, spływających ku polom niczym olej silnikowy po szkle. Za nimi podążał otoczony łuną Maponus, mszcząc się wciąż szaleńczo za zniszczoną psychikę.

Nie było mu jednak dane dokończyć rozpoczętego dzieła zniszczenia. Kiedy dotarł do podnóża góry, w niebie pojawiło się

coś na kształt pęknięcia, z którego w promieniach złocistego światła wyłonili się lecący konno przedstawiciele elity plemienia Danu. Dowodził nimi Nuada Airgetlamh, ten sam, który na Skye przywrócił Churcha do życia. Bóg dzierżył w prawej ręce potężny miecz Caledfwlch, jeden z czterech odnalezionych przez drużynę insygniów. Oprócz niego z siódemki przybyszów Church rozpoznał tylko ostatniego jeźdźca. Białego rumaka o czerwonych ślepiach dosiadała Niamh.

A więc i ona zaakceptowała to, że ma pewne zobowiązania, pomyślał mężczyzna.

Otoczywszy Maponusa, Tuatha Dé Danann zabrali się do zapędzania go do szczeliny. Z początku stawiał opór, musiały jednak kołatać w jego umyśle resztki dawnej świadomości, bo najwyraźniej zorientował się, że ma do czynienia ze swoimi pobratymcami i dobrowolnie przeszedł z nimi do innego wymiaru. Po chwili w aksamicie nieba po rozpruciu nie zostało ani śladu.

Mimo że Dobry Syn pozbawił życia wielu niewinnych ludzi, Church miał nadzieję, że medycy Złotego Ludu zdołają choć odrobinę ulżyć jego cierpieniom.

Fomorianie albo nie zauważyli, że ich prześladowca zniknął, albo obawiali się, że nadal coś im z jego strony zagraża, bo słychać było, że nie przerywają panicznej ucieczki. Church i Strażnik wyteżali wzrok, by upewnić się, że tak jest w istocie.

W końcu ucichł tupot setek stóp i szcęk setek zbroi. Dwaj mężczyźni pozostali sami wśród morza makabrycznych szczątków.

Teoretycznie można byto odetchnąć teraz z ulgą, ale Church nie zapominał o czekającym go zadaniu. Nie miał już żadnej wymówki, za to nadal dość czasu. Oczy nabiegły mu łzami.

— Jaka szkoda, że jeszcze żyję.

Zaszokował Strażnika Kości tym wyznaniem.

— Co ty wygadujesz? Dokąd się wybierasz?

— Spełnić swój obowiązek.

Czy czuł się gotowy? Westchnął. Nie miał wyboru. Otarłszy łzy, ruszył powłócząc nogami w kierunku zagrody.



Był w połowie drogi, kiedy drzwi wejściowe domu nagle się otworzyły.

Boże, nie zniosę więcej kpin, przemknęło mu przez głowę na myśl o spotkaniu z Laurą.

Ale kobieta, która stanęła na progu nie miała jasnych włosów, ani blizn na policzkach, tylko długie ciemne loki i piękną bladą twarz. Church poczuł, że jego serce lada moment eksploduje z nadmiaru emocji. Nie wiedział, czy śmiać się z radości, czy płakać ze wzruszenia.

Nie zważając na swoje skrajne wyczerpanie, puścił się ku Ruth biegiem, wziął ją na ręce i przycisnął mocno do siebie, niczym główny bohater ckliwego romansu. Zasłony opadły. Zrozumiał nareszcie, że ją kocha.

Spojrzał jej prosto w oczy. Bał się jeszcze, że kobieta zmieni się w coś potwornego, ale do niczego takiego nie doszło. To była ona, cała i zdrowa. Chciał coś powiedzieć uradowany, ale przyłożyła mu do ust palec.

— Nic nie mów – ostrzegła go z poważną miną. – Nie jest tak, jak myślisz. To nie happy end.

— O co ci chodzi?

Nakazała mu milcząco, żeby postawił ją na ziemi, po czym ujęła go za rękę i zaprowadziła do wnętrza domu. Church szukał wzrokiem Laury, pragnąc podzielić się z nią swoją radością, ale nigdzie jej nie było.

— Tak bardzo mi przykro – szepnęła Ruth.

# ROZDZIAŁ 21

## ЛУЧНАСАДЪ

— Wrażenie było takie, jakbym unosiła się w powietrzu. Widziałam i słyszałam wszystko, co działo się wokół mnie.

Ruth wpatrywała się z rozpaczą w swoje nędzne posłanie. Otępiały Church przysiadł w rogu pokoju, wsłuchany w jej ponurą opowieść. Na zewnątrz wiatr przybrał na sile i chłostał sędziwe mury.

— Umierałam. Odgadłam, że umieram, bo moje myśli zaczęły się rozplýwać, zanikać. Zawartość mojej ziemskiej powłoki rwała się na wolność.

Ruth zerknęła na swój brzuch. Znikło obrzmienie, znikły sińce wyglądał już zupełnie zwyczajnie. Tylko zmęczone spojrzenie kobiety świadczyło o tym, co przeszła.

— Wiesz, Laura nie był wcale takim złym człowiekiem.

— Nigdy nie uważałem jej za złego człowieka.

— Ale i nie wierzyłeś, że ma dobre serce, ja też nie. Zwłaszcza ja. A najgorsze jest to, że ona sama też tak o sobie myślała.

Church oparł się czołem o kolana. Był zmordowany. Przez chwilę skupił się na własnym oddechu.

— Co się z nią stało?

— A przecież – ciągnęła Ruth – zasługiwała na to, żeby należeć do drużyny. Jak każde z nas, miała zadatki na bohaterkę.

Church podniósł głowę.

— Co się z nią stało? – powtórzył ostrzejszym tonem.

— Jeszcze przed zachodem słońca Laurę wystraszyły dziwne odgłosy – jakby wkoło domu krążyło węsząc jakieś duże zwierzę. Zamierzała mnie bronić, ale nie miała czym. Wcześniej sporo rozmyślała i rosła w niej desperacja, nie tylko ze względu na zbliżający się szturm.

— Tak, ty to zawsze wiesz, kiedy w kimś rośnie desperacja – wtrącił Church nieco bardziej oschle, niż to było jego intencją.

Ruth puściła uwagę mimo uszu.

— Sądzę, że wpadła na pomysł, żeby zabarykadować drzwi, ale właśnie wtedy do środka wszedł Cernunnos.

Church zmarszczył czoło.

— Cernunnos tutaj? A co z Shavim?

— Był sam. Przybył w postaci Herne’a, a nie Króla Olch. Miał ze sobą buteleczkę. Z matowego szkła. – Kobieta wpatrywała się tępo w ścianę pokrytą niezrozumiałymi napisami. – Rozmawiał z Laurą.

— O czym? – spytał niecierpliwie Church, choć z drugiej strony nie był taki pewien, czy jest w stanie zmierzyć się ze straszliwą zapewne prawdą.

— Buteleczka zawierała jakąś potężną substancję. Myślę, że to właśnie ją miał zdobyć Shavi.

— Cernunnos nic o nim nie wspominał?

— Nie, ani słowa. Powiedział za to, że eliksir mnie wyleczy, ale nie zniszczy Balora. Jego działanie polegało na tym, że... – Ruth doszła widać do sedna sprawy, bo się zawahała.

— Na czym, do licha?

Kobieta wzięła głęboki oddech.

— Cernunnos wszystko dokładnie Laurze wyjaśnił. Chciał, żeby podjęła w pełni świadomą decyzję. Upewniał się wielokrotnie, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego, czego by

się ewentualnie podjęła. Do niczego jej nie przymuszał, mogła zrezygnować, odejść... No, może trochę inaczej to sformułował. W każdym razie oddawał jej buteleczkę do dyspozycji. Chciał nam pomóc, Church. Z naszej piątki wybrał Laurę i mnie...

— Ofiara. Magiczne rytuały wymagają ofiar.

— Tak. Wszystko ma swoją cenę.

— A ile wynosiła ona w tym przypadku?

Church schował twarz w dłoniach.

— Substancja nie uśmiercała Balora, tylko przenosiła...

— Co takiego? – przerwał jej. Dostał dreszczy.

— Cernunnos postawił buteleczkę na podłodze i wyszedł. Laura przyglądała jej się jakiś czas. Widziałam w jej oczach, co przeżywa... Żałuję okropnie, że tak podle ją traktowałam.

— Nie przesadzaj. To ona ciebie podle traktowała.

Co czuł? Gniew? Rozgoryczenie? Był zaskoczony, że w ogóle coś czuł.

— Podniosła butelkę. Nie wiedziała chyba, czy wypić jej zawartość, czy może mnie nią polać. Wyciągnęła zatyczkę. Z wnętrza buchnął kłęb dymu, wydawał się poruszać jak żywe stworzenie. Nagle przeszył mnie straszliwy ból, gorszy niż na torturach, jakby...

jakbym płonęła na stosie. A potem minął jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. Byłam zdrowa. Laura leżała na podłodze. Dzięki bogu, straciła przytomność. A Balor... Cóż, miała wyдутy brzuch...

— Jezus Maria...

Church mimowolnie wyobraził sobie tę scenę. Wolałby nie mieć tak bogatej wyobraźni.

— Podjęła decyzję, aby przenieść go ze mnie do siebie.

— Jezus Maria...



— Zrobiła to dla mnie, Church. Dla całej drużyny.

— Jezus Maria...

Ruth podeszła do okna. Wycieńczony Strażnik Kości nadal siedział na krawędzi skarpy, ale jego obecność wcale jej nie zdziwiła.

— To co się z nią później stało? Gdzie ona jest?

— Zabrali ją Fomorianie. Kiedy pojedynkowałeś się z Calatinem...

— ...przyszedł po nią Mollecht.

— Z kilkoma kamratami.

— Dał mi miecz, żebym pomógł mu przejąć władzę? Teraz ma i ją, i największy skarb swojej rasy...

Ruth ukucnęła u jego boku. Przybity relacją, oparł głowę o jej ramię.

— A więc mają w swoich rękach Balora. Wygrali.



W milczeniu dołączyli do Strażnika Kości. W dole aż po horyzont rozpościerała się mozaika świateł – wsie połączone wstążkami oświetlonych szos, pomarańczowe luny odległych miast – dowód na hegemonię człowieka na tych terenach. Church zerknął na zegarek. Było za dwie dwunasta.

Znienacka wszystkie te światła zgasły.

— Zaczyna się – oświadczył ponuro.

Od południa dobiegło dalekie wycie wiatru. Przybierało na sile w nienaturalnie szybkim tempie. Takie dźwięki wydawałby zapewne tabun pędzonych do piekła potępionych dusz. Wichura mknęła ponad polami, uginając drzewa, szarpiąc żywopłotami.

Pchała przed sobą zbitą masę chmur, które wkrótce przesłoniły gwiazdy. Okolica pogrążyła się w zupełnych ciemnościach – nieznosnie klaustrofobicznych, zbyt strasznych, by w nich żyć. Siły światła przegrały. Church mógłby przysiąc, że słyszy w zawierusze przeraźliwy krzyk rodzącej Laury. Umierającej Laury. Balor zmartwychwstał.

To tak wygląda koniec świata, pomyślał mężczyzna.

Tyle że świat wcale nie zamierzał przestać istnieć. Z pozoru nic się nie zmieniło – tylko wiatr zelżał. Zapachy, odgłosy pozostały te same. Było to znacznie gorsze niż nagła śmierć.



— Nie mogę uwierzyć, że Laura nie żyje – powiedział Church, wpatrując się w ogień.

Za jego plecami majaczyła w mroku zwalista sylwetka Mam Tor. Nie był w stanie zostać w zagrodzie ani minuty dłużej, więc za jego namową rozbili obóz u podnóża góry. Strażnik Kości poszedł szukać jedzenia.

Powoli szok ustępował otępieniu. Przywódca rozbitej drużyny próbował przetrwać wydarzenia ostatnich godzin. Przypomniało mu się, jak w dzień święta Beltane trzy miesiące wcześniej uważali, że ponieśli druzgocącą klęskę – tak naprawdę nie znali nawet znaczenia tego słowa.

— Od samego początku wiedzieliśmy, że w każdej chwili możemy zginąć. – Ruth dorzuciła nieco drewna, rozkoszując się ciepłem ogniska. Mimo wszystko, po prostu cieszyła się życiem. – Przepraszam, Church, to zabrzmiało tak brutalnie. Nie chciałam...

— Wiem, wiem. I tak długo dopisywało nam szczęście. Ale świadomość, że coś cię czeka, nie oznacza jeszcze gotowości na to, prawda?

— Zgadza się. Zawsze jest się zaskoczonym. W dodatku Laura była ostatnią osobą, po której spodziewałam się takiego poświęcenia. Nie dawała nic po sobie poznać...

— Była bardzo skryta.

Ruth przyjrzała mu się wnikliwie.

— Sądzisz, że choć w jakimś stopniu ją rozgryzłeś?

Pokręcił przecząco głową.

— Widziałem, że się męczy... Chyba nikt na świecie nie umiałby powiedzieć, co działo się w jej sercu i umyśle.

— Kochałeś ją?

Church długo nie odpowiadał.

— Czy ja wiem... Raczej nie. Oczywiście mi się podobała, ale... Boże, gadamy jak w liceum!

Zerwał się i obszedł obóz szybkim krokiem, żeby rozładować gniew. Ruth zaczęła, aż się uspokoi.

— Martwię się też o chłopaków.

— Nie wierzę, że oni też zginęli. I nie uwierzę w to, dopóki nie zobaczę dowodów.

— Zmieniłeś się, wiesz.

— Tak. Oboje się zmieniliśmy. Przeszliśmy piekło... Ale uważam, że paradoksalnie, wyszło nam to na dobre.

Zamyśliła się nad jego słowami, a potem spytała: — Gdyby nie ta historia z Cernunnosem, zabiłbyś mnie?

Rzucił jej zza płomieni podejrzliwe spojrzenie.

— Nie wiem. Czułem, że to mój obowiązek.

— Nie mam cię za potwora. Tak właśnie trzeba było postąpić. Na twoim miejscu to właśnie bym zrobiła. Tu nie chodzi tylko o

nas, ale o całą ludzkość...

Zamilkła, bo w oczach Churcha dostrzegła zbyt wiele bolesnych emocji. Dla niego nie była to taka łatwa decyzja.

— Obawiam się, przedkładałem pewną osobę nad całą ludzkość.

Wpatrywali się w siebie kilkanaście sekund, nie wiedząc, co powiedzieć. Z opresji wybawiło ich pojawienie się obładowanego Strażnika Kości.

— W najbliższych domach wszystkich wymordowali – oświadczył, odkładając zapasy na trawę. Podparłszy się na kosturze, zapatrzył się w ogień.

— To jak, zastaniesz z nami na dłużej? – zagadnął go Church.

— Nie.

— Jakie masz plany?

— Nie twój interes – warknął. – Mam dużo roboty.

— Przecież przegraliśmy. Wszystko skończone.

Starszy mężczyzna prychnął pogardliwie.

— Miałem rację, twierdząc, że jesteś żalosnym kretynem.

Kiwał się na swoim kiju, jakby lada moment miał paść na twarz ze zmęczenia.

— Czyżbyśmy się pomylili? – spytała go zaintrygowana Ruth. Balor wrócił. Widziałeś, jak wyło i wiało. Musiałeś też coś poczuć. Ja odebrałam to jako takie specyficzne wibracje.

— A ja – dodał Church – poczułem nagle w ustach wstrętny smak. Zebrało mi się na wymioty.

— I tobie, i mnie, i królikom. – Starzec machnął ręką. – Tak, Balor powrócił. Wie o tym już cała przyroda. Ale rozejrzyjcie się tylko. Czy świat przestał istnieć? Czyżbyśmy nie zauważyli własnej śmierci? – Rozkasłał się. W oczach zalśniły mu łzy. – Dobrze wam radzę, nigdy nie traćcie nadziei. – Przykucnął, nie

puszczając kostura. – To przesłanie życia.

Church pomyślał, że ich rozmówca przypomina mu Toma. Uzmysłowił sobie zaskoczony, że bardzo brakuje mu jego nauczyciela – może nie jego docinków, ale z pewnością jego mądrości i zdolności trafnej oceny sytuacji.

— Nasza misja się nie skończyła?

— Skąd. Po to powstała wasza drużyna. „Kiedy Anglia znajdzie się we władaniu ciemności...”.

— „...jej przyszły wybawca ocknie się ze snu”.

— A Balor jest chyba władcą ciemności, nieprawdaż?

Church westchnął.

— Ciekaw jestem, kiedy zacznie się zniszczenie.

— Już niedługo – powiedział Strażnik z przekonaniem w głosie.

— Jak tylko dojdzie do siebie po rytuale wskrzeszenia i stuleciach przebywania w stanie bliskim śmierci. Daj naszemu drogiemu rekonwalescentowi trochę czasu. Musi najpierw wypocząć, rozgościć się w swoim nowym gniazdku, zrobić przegląd wojsk, wysłuchać skarg i zażaleń, których się trochę przez ten czas uzbierało...

Churchowi nie przypadł do gustu ten ironiczny ton.

— Rzecz jasna, wszystko rozkręci się na dobre dopiero po następnym celtyckim święcie, kiedy wreszcie będzie można sprowadzić z Zaświatów najgorsze monstra, a przy okazji, w kolejnym rytuale, Balor odzyska resztki dawnej mocy. – Strażnik przekrzywił zawadiacko głowę, jakby chciał spytać złośliwie, czy ma kontynuować.

Church przeniósł wzrok na Ruth.

— No proszę, rzeczywiście jestem innym człowiekiem. Parę tygodni temu po tej wyliczance strzeliłbym sobie w łeb, a teraz...

Ruth uśmiechnęła się.

— Na pewno nie jesteśmy bez szans.

— Nie chcę zostać źle zrozumiany – zaznaczył Strażnik Kości.

— Balor rozpoczął już likwidację świata. Tyle że dopiero nabiera rozpędu. Może uda wam się wsadzić kij w szprychy kół jego wozu.

Church nadal patrzył Ruth prosto w oczy, zadowolony z tego, co w nich widzi.

— Nie zasłużyliśmy sobie na to, żeby dotrzeć do tego etapu. Pod wieloma względami Veitch i Shavi byli od nas o niebo lepsi. Sądzę jednak, że będąc w drużynie sporo się nauczyliśmy i teraz będziemy mieli okazję wykorzystać tę wiedzę w praktyce.

— W końcu pokażemy, na co nas stać.

— A pokażcie, pokażcie – stwierdził starzec nieco sarkastycznie, choć kątem oka Church dostrzegł na jego twarzy przelotny uśmiech.

— Los dał nam szansę – powiedział – ale to nasza ostatnia szansa. Będziemy prowadzić partyzantkę w piekle.

Ruth podciągnęła kolana pod brodę.

— To zadziwiające, że gdy nie ma się nic do stracenia, odnajduje się w sobie całe pokłady odwagi.

Church uświadomił sobie, że rzeczywiście tak było. Nie czuł lęku, o nic się nie martwił, nie miał problemów z podejmowaniem decyzji. Stan jego psychiki budził w nim nadzieję.

— Od czego powinniśmy zacząć? – zwrócił się do Strażnika.

— Spodziewasz się, że będę prowadził was za rączkę?

— Spodziewam się, że zaczniesz wreszcie dzielić się z nami swoją wiedzą, zamiast pozwalać jej leżeć odłogiem. Gdybyś nie był taki skryty, może Fomorianie nie mieliby dziś powodu do

radości.

— Ty mi tu nie podskakuj, młodzieńcze! To, co wiem, jest objęte tajemnicą nie bez powodu. Nie mogę się nią dzielić z pierwszym lepszym.

— Proszę – włączyła się Ruth. – Potrzeba nam jedynie jakiejś wskazówki. Jeszcze nie tak dawno służyło nam radą czterech towarzyszy, ale teraz pozostała tylko nasza dwójka. Nie mamy pojęcia, czym się zająć ani dokąd iść. Nie wiemy nawet, czy chłopcy żyją i czy nie powinniśmy ich ratować.

Słyszalna w głosie kobiety pasja zrobiła na starcu duże wrażenie. Podpierając się na kij, poczłapał na skraj kręgu światła, gdzie najwyraźniej zastanawiał się, czy zrobić dla niedobitków wyjątek.

— Niech wam będzie – oświadczył po głębokim namyśle. – Ale nie proście mnie o nic więcej! Balora można pokonać jedynie za pomocą miecza, włóczni, kotła i kamienia.

Ruth spochmurniała.

— Mamy namówić Złoty Lud, żeby oddał nam cztery insygnia?

— Nie chcą z nami współpracować, bo skaził mnie Pocałunek Mrozu – dodał Church.

— To się odkaż, człowieku – prychnął Strażnik Kości. – Pamiętajcie, że to włócznią Lugha strącono Balora na wieki w niebyt. Miecz, włócznia, kocioł i kamień to jedyne przedmioty na ziemi, które mają dość mocy, by skutecznie unicestwić Jednookiego.

Pogrążony w rozmyślaniach Church jak automat dorzucał do ognia gałązki. Światło i podtrzymanie jego niepewnego źródła wydały mu się niespodziewanie najważniejszymi rzeczami pod słońcem.

— Kilka tygodni temu – odezwał się – spędziliśmy wieczór z

dwoma Tuatha Dé Danann. Spytałem ich wtedy, jak pozbyć się mojej skazy, i poradzili mi kąpiel w Sadzawce Życzeń na jakichś Wyspach Zachodnich.

Strażnik Kości wzruszył ramionami.

— Nic mi o niej nie wiadomo. Ale Wyspy Zachodnie, owszem, pojawiają się w podaniach. Leżą gdzieś w Zaświatach. Zapytasz pewnie, jak się tam dostać? Cóż, w Kornwalii powiadają, że kto stanie na nadbrzeżu w Mousehole i spojrzy na wystającą z morza Skałę Merlina, temu objawi się statek wrózek, który zawiezie go w dowolnie wybrane miejsce. Zadowolony?

Church pokiwał głową.

— Na początek wystarczy. Nie ma tego dużo, ale do tego akurat jesteśmy przyzwyczajeni.

Starzec wyciągnął zza pazuchy napoczętą butelkę whisky.

— Znalazłem ją w jednym z gospodarstw. – Upiwszy spory łyk, podał ją Churchowi. – Każdy punkt zwrotny w życiu wymaga stosownego rytuału, aby odciąć się od przeszłości i przygotować do nowych wyzwań. Warunki mamy spartańskie, więc i rytuał będzie skromny. Wznies toast.

Nie namyślając się długo, Church uniósł butelkę jedną ręką.

— Za nieobecnych przyjaciół. Z nadzieją, że są cali i zdrowi. I za Laureę, za to, że okazała się najlepszą z nas wszystkich.

Napił się i przekazał butelkę Ruth.

— Też za to wypiję – powiedziała – i dodam jeszcze coś od siebie. Zostało nas dwoje, dwoje, jak na samym początku. Ale dwójka wystarczy. Zwyciężymy!

Oznajmiła to z taką energią, że Church niemalże jej uwierzył.





Po toaście zaczęli rozmawiać o Tomie, Shavim i Veitchu, starając się, żeby chociaż wspomnienia o nich pozostały żywe. W pewnym momencie zorientowali się, że Strażnik Kości ich opuścił. W planach miał zapewne kolejny obchód świętych miejsc.

Przed mocami ciemności, przynajmniej symbolicznie, nie chroniło ich nic prócz ogniska, przysunęli się więc tak blisko do ognia, jak to tylko było możliwe i dbali o to, aby nie wygasło.

— Naprawdę uważasz, że nam się uda? – spytał Church.

— Popatrz tylko, ile osiągnęliśmy do tej pory. – Ruth oparła głowę o ramię kompana. Przytulił ją. – Zabiłeś Calatina...

— Z pomocą Mollechta.

— Ale to ty się pojedyńkowałeś. I to ty wpadłeś na pomysł, żeby sprowadzić na górę Maponusa. Sam jeden doprowadziłeś do tego, że nie musimy teraz walczyć z tysiącami Fomorian.

— Miałem dużo szczęścia...

— Nie ma się czego wstydzić. Najważniejsze, że przejąłeś inicjatywę, jak na dowódcę przystało. Tylko mną jedną już nie rządź, dobra? – Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

Siedzieli tak w milczeniu, przysypiając, bo z nerwów nie mogli na dobre zasnąć. Wprawdzie nie zwierzali się ze swoich spostrzeżeń, ale oboje czuli, że wiele już się na świecie zmieniło: nienaturalnie chłodny wiatr niósł z sobą zapach popiołu, a powietrze zdawało się przyciskać do ziemi ze zwiększoną siłą. Aż do świtu w okolicy nie zapaliła się ani jedna lampa czy latarnia.

Od kilku godzin gdzieś tam w ciemnościach biło Serce Cieni, z każdą minutą coraz szybciej, z każdą minutą coraz głośniej, niczym taraban oznajmujący wszem i wobec nadejście Końca Wszechrzeczy.